

STEPHEN  
**KING**



**CHRISTINE**

Prószyński i S-ka

**STEPHEN KING**

**CHRISTINE**

**(PRZEŁOŻYŁ: ARKADIUSZ NAKONIECZNIK)**

**SCAN-DAL**

*Dedykuje tę książkę George'owi Romero,  
Chrisowi Forrestowi Romero oraz Burgowi*

## OD AUTORA

Cytowane w powieści słowa piosenek przypisuję wykonawcy (lub wykonawcom) najczęściej z nimi kojarzonym. Może to urazić purystów wyznających zasadę, że słowa piosenki należą bardziej do pisarza niż piosenkarza. Mógłbym od nich usłyszeć, że postąpiłem tak, jakbym uznał Hala Holbrooka za autora dzieł Marka Twaina. Nie zgadzam się z nimi. W świecie muzyki rozrywkowej jest tak, jak powiedzieli Rolling Stones: ważny jest nie utwór, lecz jego wykonawca. Ale dziękuję im wszystkim, zarówno pisarzom, jak piosenkarzom - szczególnie Chuckowi Berry'emu, Bruce'owi Springsteenowi, Brianowi Wilsonowi... a także Janowi Berry'emu z duetu Jan i Dean. On na prawdę wrócił z Zakrętu Śmierci.

Uzyskanie koniecznych zezwoleń na wykorzystanie tekstów piosenek to bardzo ciężka praca i dlatego chciałbym podziękować niektórym spośród osób, które pomogły mi przypomnieć sobie te utwory, a następnie zatroszczyły się o to, żebym mógł z nich skorzystać. Są wśród nich: Dave Marsh, krytyk muzyczny i historyk rocka; James Feury, alias "Mighty John Marshall", który ma w moim małym mieście stację radiową i nadaje głównie rocka; jego brat Pat Feury, prowadzący w Portland dyskotekę ze starymi przebojami; Debbie Geller; Patricia Dunning oraz Pete Batchelder. Dziękuję wam wszystkim i życzę, aby wasze stare płyty nigdy nie powyginały się tak bardzo, żebyście nie mogli ich odtwarzać.

S. K.

## PROLOG

Mogłoby się wydawać, że jest to opowieść o miłosnym trójkącie - Arnie Cunningham, Leigh Cabot i, oczywiście, Christine. Musicie jednak wiedzieć, że Christine była pierwsza. Ona była jego pierwszą miłością, a wydaje mi się (choć nie podjąłbym się stwierdzić tego z całą pewnością, w każdym razie na pewno nie teraz, spoglądając na świat z wyżyn mądrości, na jakie udało mi się wspiąć podczas dwudziestu dwóch lat mojego życia), że także jedyną. Dlatego moim zdaniem to, co się stało, należy uważać za tragedię.

Arnie i ja wychowywaliśmy się w tej samej dzielnicy, chodziliśmy do tej samej szkoły podstawowej, a potem razem poszliśmy do szkoły średniej w Libertyville. Przypuszczam, że udało mu się tam przeżyć głównie dzięki mnie. Byłem w szkole ważnym facetem - tak, wiem, że to w sumie gównie znaczy, bo pięć lat po zdaniu matury nikt nawet nie postawi ci piwa za to, że byłeś kapitanem drużyny futbolowej i brałeś udział w międzystanowych zawodach pływackich - ale Arniego nie zabili właśnie dzięki temu. Owszem, musiał znieść mnóstwo upokorzeń, ale przynajmniej go nie zabili.

Był kozłem ofiarnym. W każdej szkole średniej musi być przynajmniej dwoje takich; to ogólnokrajowe prawo. Jeden chłopak i jedna dziewczyna. Okazja do wyżycia się dla każdego. Masz zły dzień? Zawaliłeś ważną klasówkę? Pokłóciłeś się ze starymi i uziemili cię na weekend? Nie ma sprawy. Po prostu znajdź któregoś z tych biednych, ponurych łapciuchów, którzy jak przestępcy przemykają korytarzami w oczekiwaniu na ostatni dzwonek, i odbij to sobie na nim. Czasem rzeczywiście giną pod każdym ważnym względem, z wyjątkiem fizycznego, a czasem udaje im się czegoś złapać i przeżyć. Arnie miał mnie, potem zaś miał Christine. Leigh pojawiła się później.

Po prostu zależało mi na tym, żebyście dobrze to zrozumieli.

Arnie był urodzonym nieudacznikiem. Miał przechłapanie u szkolnych osiłków ze względu na warunki fizyczne - ledwie metr siedemdziesiąt wzrostu i siedemdziesiąt kilogramów spoconego ciała w ubraniu i turystycznych buciorach. Miał przechłapanie u szkolnych intelektualistów (którzy w takim miasteczku jak Libertyville sami nie mieli zbyt łatwego życia), ponieważ nie miał żadnej specjalności. Arnie był bystry, ale nie wykazywał naturalnych zdolności w żadnym kierunku... z wyjątkiem mechaniki samochodowej. Chłopak miał nieprawdopodobną smykalkę do wozów. Jednak jego rodzice, oboje pracujący jako wykładowcy w Uniwersytecie Horlicks, z pewnością nie zgodziliby się, żeby ich syn, który w teście Stanforda-Bineta zmieścił się w górnych pięciu procentach wyników, kształcił się w tym kierunku. Miał szczęście, że pozwolili mu w ogóle

chodzić na zajęcia warsztatowe podczas pierwszych trzech lat nauki. Musiał to sobie wywalczyć. Miał przechlapane u ćpunów, bo niczego nie brał, i u wszystkich tankujących ile wlezie supersamców, gdyż nie pił, a jak dostał mocniej w zęby, to płakał.

A w dodatku miał totalnie przechlapane u dziewczyn, bo jego hormonalna maszyna była kompletnie rozregulowana. Arnie miał pryszcze. Mył twarz co najmniej pięć razy dziennie, brał dwadzieścia pryszniców tygodniowo i wypróbował wszystkie kremy i mlecza znane współczesnej nauce, ale nic mu nie pomagało. Jego twarz wyglądała jak przyprawiona pizza i taka miała już na zawsze pozostać.

Mimo to bardzo go lubiłem. Odznaczał się inteligentnym poczuciem humoru i wygimnastykowanym, bystrym umysłem bez przerwy zadającym pytania. Kiedy miałem siedem lat, to właśnie Arnie pokazał mi, jak założyć hodowlę mrówek, i spędziliśmy prawie całe lato obserwując te małe dranie, zafascynowani ich organizacją i śmiertelną powagą, z jaką wszystko robiły. To on wpadł na pomysł, kiedy mieliśmy dziesięć lat, żeby pewnej nocy wymknąć się z domu, zakraść się do stajni przy szosie numer siedemnaście, zabrać stamtąd stertę wyschniętego końskiego nawozu i ułożyć ją pod ogonem plastikowego konia stojącego na trawniku przed motelem w Monroeville. On pierwszy odkrył szachy. On pierwszy odkrył pokera. Nauczył mnie, jak najłatwiej wygrywać w scrabble'a. We wszystkie deszczowe dni, aż do chwili, kiedy się zakochałem (to znaczy, w pewnym sensie; była jedną z dziewczyn zagrzewających naszą drużynę do gry i miała fantastyczne ciało, w którym rzeczywiście zakochałem się bez reszty, ale kiedy Arnie zwrócił mi uwagę, że jej umysł swoją głębią i stopniem skomplikowania przypomina piosenki Shauna Cassidy, nie mogłem powiedzieć mu, że jest zafajdanym kłamcą, bo nim nie był), on pierwszy przychodził mi na myśl, bo wiedział, jak najlepiej wykorzystać te dni, podobnie jak wiedział, co zrobić, żeby wygrać w scrabble'a. Chyba właśnie po tym można poznać naprawdę samotnych ludzi... Zawsze wiedzą, co robić w deszczowe dni. Zawsze można do nich zadzwonić. Zawsze są w domu. Pieprzone z a w s z e.

Z kolei ja nauczyłem go pływać. Przekonałem go, żeby jadł warzywa, to może uda mu się trochę rozbudować jego mizerne ciało. W przedostatniej klasie załatwiłem mu pracę przy budowie drogi, ale musieliśmy przy okazji stoczyć cholerną bitwę z jego rodzicami, którzy uważali się za wielkich przyjaciół kalifornijskich robotników rolnych i hutników z Pittsburgha, ale nie mieściło im się w głowach, żeby ich nadzwyczajnie utalentowany syn (pamiętajcie: górne pięć procent w teście Stanforda-Bineta) mógł pobrudzić sobie ręce i trochę popracować fizycznie.

A potem, pod koniec wakacji, Arnie zobaczył po raz pierwszy Christine i od razu się w niej zakochał. Byłem z nim tego dnia - wracaliśmy po pracy do domu - i mógłbym zeznawać w tej sprawie nawet przed Tronem Boga Wszechmogącego, gdyby zaszła taka potrzeba. Zakochał

się na amen. Mogłoby to nawet być zabawne, gdyby nie było takie smutne i gdyby tak szybko nie stało się okropne. Byłoby śmiesznie, gdyby nie było tak źle.

A jak źle było?

Od samego początku bardzo źle. A zaraz potem zrobiło się jeszcze gorzej.

**CZĘŚĆ I**  
**DENNIS – PIOSENKI O SAMOCHODACH**



## 1. PIERWSZE SPOTKANIE

*Hej, spójrz no tam!*  
*Po drugiej stronie!*  
*To wóz w sam raz dla mnie,*  
*Taki wóz to luksus...*  
*Nieźle wygląda, nie ma co gadać,*  
*Ale to nie jest zwykły samochód.*

Eddie Cochran

- O, mój Boże! - wykrzyknął nagle mój przyjaciel Arnie Cunningham.

- Co się stało? - zapytałem. Oczy skryte za okularami w drucianej oprawie wyszły mu z orbit, przycisnął dłoń do twarzy tak, że częściowo zasłaniała mu usta, i odwrócił głowę w taki sposób, jakby zamiast karku miał łożyska kulkowe.

- Zatrzymaj się, Dennis! Wróć!

- O czym ty...

- Wróć. Chcę jeszcze raz na nią spojrzeć.

Nagle zrozumiałem.

- Człowieku, daj sobie spokój - powiedziałem. - Jeśli myślisz o tym... o tym czymś, co właśnie minęliśmy...

- Wróć! - prawie krzyknął.

Cofnąłem wóz myśląc, że to może jeden z jego żartów, ale nie miałem racji. Arnie wpadł po uszy. Zakochał się.

Wyglądała paskudnie i nigdy nie zrozumiałem, co on wtedy w niej zobaczył. Lewa strona przedniej szyby była pokryta siatką pęknięć. Prawy tylny błotnik był wgnieciony, a w obdartej z lakieru wnęce zagnieździły się ogniska rdzy. Tylny zderzak był przekrzywiony, kłapa bagażnika otwarta, przez długie rozdarcia w obiciach przednich i tylnych foteli wylazły kłaki jakiegoś materiału, jakby ktoś pociął całą tapicerkę nożem. Z jednej z opon uszło powietrze, pozostałe zaś były tak zdarte, że widać było cały kord. Co najgorsze, pod blokiem silnika widniała czarna kałuża oleju.

Arnie pokochał plymoutha fury z 1958 roku, jednego z tych długich, z wielkimi tylnymi

pletwami. Po prawej stronie przedniej szyby - tam gdzie nie sięgały pęknięcia - była przyklejona stara kartka z wyblakłym od słońca napisem: DO SPRZEDANIA.

- Spójrz na jej linię, Dennis! - wyszeptał Arnie. Biegł dookoła samochodu jak opętany. Mokre od potu włosy podskakiwały mu nad czołem. Pociągnął za klamkę prawych tylnych drzwi; otworzyły się z przeraźliwym piskiem.

- Nabierasz mnie, prawda? - zapytałem. - Dostałeś udaru słonecznego, zgadza się? Arnie, powiedz mi, że to udar. Zawiozę cię do domu, posadzę przy samym klimatyzatorze i zapomnimy o tym, zgoda?

Jednak powiedziałem to bez większej nadziei. Arnie potrafił żartować, ale tym razem na jego twarzy nie było uśmiechu, tylko jakieś bezmyślne szaleństwo, które zupełnie mi się nie podobało.

Nawet nie pofatygował się, żeby mi odpowiedzieć. Z wnętrza samochodu buchnęło gorące, stęchłe powietrze, przesycone wonią starości, oleju i zaawansowanego rozkładu. Arnie nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, tylko wszedł do samochodu i rozparł się na pociętej, wypłowiałej tylnej kanapie. Kiedyś, dwadzieścia lat temu, była czerwona; teraz miała sprany różowy kolor.

Wyciągnąłem rękę, wyszarpnąłem strzęp sterczącego włosa, spojrzałem na nie i zdmuchnąłem je z dłoni.

- Ten wóz wygląda tak, jakby w drodze do Berlina przeszła przez niego cała Armia Czerwona - mruknąłem.

Wreszcie zauważył, że wciąż tam jestem.

- Tak... Tak. Ale można ją naprawić. Może jeszcze być... może być niezła. Ona może jeździć, Dennis. Prawdziwa...

- Hej! Czego tam chcecie, dzieciaki?

Był to stary facet, który wyglądał tak, jakby rozkoszował się właśnie siedemdziesiątym latem w swoim życiu. Może sześćdziesiątym którymś. Szczerze mówiąc, od razu zrobił na mnie wrażenie kogoś, kto miał niewiele okazji rozkoszować się czymkolwiek. Miał długie, nierówno obcięte włosy, w dodatku mocno przerzedzone. Łysą część jego czaszki opanowała luszczyca.

Był w zielonych spodniach, butach z krótką cholewką i bez koszuli; jego tułów spinało coś przypominającego kobiecy gorset. Kiedy podszedł bliżej, przekonałem się, że to pas ortopedyczny. Sądząc po wyglądzie tego urządzenia, ostatni raz prał je mniej więcej i wtedy, kiedy umarł Lyndon Johnson.

- Czego chcecie? - Głos miał piskliwy i ostry.

- Czy to pana samochód? - zapytał Arnie. Trudno było mieć co do tego jakiegoś

wątpliwości. Plymouth stał na trawniku przed wzniesionym krótko po wojnie domem, z którego wyszedł mężczyzna. Trawnik był okropny, choć w porównaniu z plymouthem i tak robił znakomite wrażenie.

- A jeśli tak, to co z tego?

- Ja... - Arnie przelknął ślinę. - Chcę go kupić.

Oczy starego eleganta zabłysły, a gniewny grymas twarzy ustąpił miejsca przebiegłemu spojrzeniu i chciwemu uśmieszкови, który następnie zamienił się w szeroki, przebiegły uśmiech; zdaje się, że właśnie wtedy - dokładnie wtedy - poczułem w sobie coś zimnego i ponurego. W tej samej chwili przemknęło mi przez myśl, żeby walnąć Arniego w głowę i odciągnąć go stamtąd. Coś pojawiło się w oczach starego mężczyzny. Nie błysk, tylko coś ukrytego za tym błyskiem.

- Trzeba było od razu tak gadać - powiedział wyciągając rękę. Arnie podał mu swoją. - Jestem LeBay. Roland D. LeBay, Armia Stanów Zjednoczonych, teraz na emeryturze.

- Arnie Cunningham.

Stary cwaniak uściśnął mu dłoń, a w moją stronę wykonał jakiś nieokreślony gest. Ja się nie liczyłem; miał już swojego frajera. Równie dobrze Arnie mógłby mu dać swój portfel.

- Ile? - zapytał Arnie, po czym dodał: - Bez względu na to, ile pan powie, to i tak będzie za mało.

Chciałem westchnąć, ale aż jęknąłem. Oprócz portfela facet miał też książeczkę czekową Arniego.

Uśmiech LeBaya na moment przygasł, a jego oczy zwięzły się podejrzliwie. Na pewno zastanawiał się, czy to nie jakiś kawał. Przez chwilę szukał na szczerej, spragnionej twarzy Arniego śladów przebiegłości, a następnie zadał zabójczo doskonale pytanie:

- Synu, miałeś już kiedyś wóz?

- Ma mustanga mach II - wtrąciłem się szybko. - Dostał go od starych. Ze skrzynią biegów Hursta, turbodoładowaniem i takim przyśpieszeniem, że asfalt marszczy się pod kołami. Oprócz tego...

- Nie - powiedział spokojnie Arnie. - Niedawno zrobiłem prawo jazdy.

LeBay rzucił mi krótkie, ale mocne spojrzenie, po czym skoncentrował uwagę na podstawowym celu. Położył obie dłonie w okolicach krzyża i wyprostował się. Poczulem kwaśny odór potu.

- W wojsku dorobiłem się kłopotów z kręgosłupem - wyjaśnił. - Całkowita niezdolność do służby. Lekarze nic nie mogli poradzić. Jak was ktoś kiedyś zapyta, chłopcy, co jest złego na świecie, powiedzcie mu, że trzy rzeczy: lekarze, komuchy i czarni radykałowie. Komuchy są najgorsze, a zaraz za nimi lekarze. A jeśli zapyta, skąd o tym wiecie, to powiedzcie mu, że od

Rolanda D. LeBaya, tak jest... - Delikatnie musnął ręką starą, obdrapaną maskę plymoutha. - To najlepszy wóz, jaki miałem w życiu. Kupiłem ją we wrześniu 1957. Wtedy właśnie, we wrześniu, wypuszczali na rynek nowe modele. Przez całe lato pokazywali zdjęcia samochodów pod plandekami, aż wreszcie nie mogłeś wytrzymać z ciekawości, jak one naprawdę wyglądają. Nie tak, jak teraz. - Jego głos był przesycony pogardą dla podłych czasów, jakich dożył. - Była prosto z taśmy i pachniała właśnie jak samochód prosto z taśmy, a to jest najwspanialszy zapach na świecie.

Zastanowił się przez chwilę.

- Może z wyjątkiem cipki - dodał.

Spojrzałem na Arniego zagryzając z całej siły wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Odpowiedział mi zdumionym spojrzeniem. Stary człowiek w ogóle nie zwracał na nas uwagi; przebywał na swojej własnej planecie.

- Byłem w wojsku trzydzieści cztery lata - ciągnął LeBay, wciąż dotykając maski samochodu. - Zaciągnąłem się w 1923. Żarłem kurz w Teksasie i widziałem w burdelach w Nogales kraby wielkości homarów. Widziałem też podczas drugiej światowej, jak bebechy wylazły ludziom uszami. To było we Francji. Flaki wylazły im uszami. Uwierzyłbyś w to, synu?

- Tak, proszę pana - odparł Arnie. Nie wydaje mi się, żeby dotarło do niego choćby słowo z tego, co mówił LeBay. Cały czas przestępował z nogi na nogę, jakby koniecznie musiał pójść do łazienki. - Jednak wracając do samochodu...

- Chodzisz na uniwersytet? - szczeknął nagle LeBay. - Tam, w Horlicks?

- Nie, proszę pana. Do szkoły średniej w Libertyville.

- To dobrze - mruknął ponuro LeBay. - Trzymaj się z dala od college'ów. Pełno w nich wielbicieli czarnuchów, którzy chcą oddać Kanał Panamski. Mówią o nich "giganci rozumu", a ja o nich mówię "gigantyczne sukinsyny". - Obrzucił pełnym uczucia spojrzeniem swój samochód stojący na trzech napompowanych oponach, z lakierem połyskującym rdzawo w promieniach południowego słońca. - Kręgosłup nawalił mi na wiosnę pięćdziesiątego siódmego. Armia już wtedy szła w rozsypkę, więc zwolniłem się w samą porę. Wróciłem tutaj, do Libertyville i zacząłem rozglądać się za jakąś gablotą. Nie śpieszyłem się. W końcu poszedłem do salonu Plymoutha przy Main Street - prowadził go Norman Cobb, a teraz jest tam kręgielnia - i zamówiłem ten wóz. Chciałem, żeby sprowadzili mi przyszłoroczny model, czerwono-biały. Czerwony jak wóz strażacki od środka. I sprowadzili. Kiedy do niej wsiadłem, miała wszystkiego sześć mil na liczniku, tak jest...

Splunął na ziemię.

Zerknąłem nad ramieniem Arniego na licznik. Szybka była porysowana, ale mimo to

udało mi się dostrzec wstrząsającą prawdę: 97432. I sześć dziesiątych. Słodki Jezu.

- Jeżeli pan tak lubi ten samochód, to dlaczego go pan sprzedaje? - zapytałem.

LeBay skierował na mnie zamglone, niepokojące spojrzenie swoich oczu.

- Starasz się odgrywać mądrą, synu?

Nie odpowiedziałem, ale też nie odwróciłem wzroku.

Po trwającym kilka chwil pojedynku na spojrzenia (który Arnie całkowicie zignorował, głaszcząc z zachwytem jedną z tylnych pletw), LeBay powiedział:

- Nie mogę prowadzić. Grzbiet mam już do niczego. Oczy zresztą też.

Nagle zrozumiałem - a przynajmniej wydawało mi się, że zrozumiałem. Jeśli podał nam prawdziwe daty, miał teraz siedemdziesiąt jeden lat, a w naszym stanie po przekroczeniu siedemdziesiątki trzeba co roku przechodzić badanie wzroku, żeby przedłużyć ważność prawa jazdy. LeBay albo był już po badaniu, które go zdyskwalifikowało, albo bał się na nie zgłosić, co w sumie sprowadzało się do tego samego. Nie chcąc doświadczyć upokorzenia, przestał jeździć swoim plymouthem i samochód szybko się zestarzał.

- Ile pan za niego chce? - zapytał jeszcze raz Arnie. Nie mógł się doczekać egzekucji.

LeBay podniósł twarz ku niebu, jakby zastanawiając się, kiedy spadnie deszcz, a następnie spojrzał ponownie na Arniego z tym samym co przedtem szerokim, przebiegłym uśmiechem.

- Wołałem trzysta - powiedział - ale ty mi wyglądasz na porządnego faceta. Opuśćcę na dwieście pięćdziesiąt.

- O, mój Boże... - jęknąłem.

Ale on doskonale wiedział, z kim powinien rozmawiać, i natychmiast znalazł sposób, żeby wbić między nas ostrze niezgody. Na pewno nie spadł wczoraj z wozu z sianem, żeby użyć określenia mojego dziadka.

- Dobra - warknął. - Skoro tego chcecie. O czwartej trzydzieści mam serial w telewizji. "Krawędź nocy". Zawsze go oglądam, jak tylko mogę. Miło się z wami gadało, chłopcy. No to, na razie.

Arnie zmiażdżył mnie spojrzeniem przepelnionym takim bólem i wściekłością, że aż cofnąłem się o krok. Ruszył za starym mężczyzną i złapał go za łokieć, po czym pograżyli się w rozmowie. Niewiele z niej słyszałem, ale widziałem więcej, niż było trzeba. Staruszek poczuł się urażony, więc Arnie zaczął go przeproszać. Staruszek miał nadzieję, że Arnie rozumie, iż on, LeBay, nie może spokojnie słuchać, jak obraża się samochód, który służył mu wiernie przez tyle lat. Arnie całkowicie się z nim zgodził. Staruszek łaskawie zgodził się wrócić, a ja ponownie wyczułem w nim coś przerażającego... zupełnie jakby był zimnym listopadowym wiatrem. Nie potrafię tego lepiej wyrazić.

- Jeśli on powie jeszcze jedno słowo, umyłam ręce od tej sprawy - ostrzegł LeBay, wskazując mnie zrogowaciałym kciukiem.

- Nie powie, nie powie! - zapewnił go pośpiesznie Arnie. - Powiedział pan trzysta...?

- Tak, chyba tak...

- Opuścił pan do dwustu pięćdziesięciu - odezwałem się głośno.

Arnie zbladł jak ściana, bojąc się, że właściciel plymoutha znowu się obrazi, ale LeBay postanowił nie kusić losu. I tak miał już rybę prawie na brzegu.

- Może być dwieście pięćdziesiąt - zgodził się łaskawie. Zerknął jeszcze raz w moją stronę, ja zaś zrozumiałem, że doszliśmy do porozumienia: on nie lubił mnie, a ja jego.

Ku mojemu wzrastającemu z każdą minutą przerażeniu Arnie wyciągnął portfel i zaczął w nim grzebać. Zapadło milczenie. LeBay patrzył przed siebie, a ja gapilem się na jakiegoś dzieciaka, który właśnie postanowił popełnić samobójstwo na deskorolce. Gdzieś w oddali zaszczeakał pies. Ulicą przeszły dwie dziewczyny wyglądające na ósmo- lub dziewiątoklasistki, chichocząc i przyciskając do rozkwitających piersi narecza książek. Pozostała mi tylko jedna nadzieja na uratowanie Arniego: byliśmy dzień przed wypłatą. Może w ciągu dwudziestu czterech godzin ta dzika gorączka minie. Arnie coraz bardziej przypominał mi Ropucha z "O czym szumią wierzby".

Kiedy odwróciłem się z powrotem, Arnie i LeBay wpatrywali się w dwie pięcio- i sześć jednodolarówek. Najwidoczniej było to wszystko, co udało mu się znaleźć w portfelu.

- Przyjmie pan czek? - zapytał Arnie.

LeBay uśmiechnął się sucho i nic nie odpowiedział.

- Ma pokrycie - zaprotestował Arnie.

Mówił prawdę. Przez całe lato pracowaliśmy dla Braci Carson przy budowie odgałęzienia I-376, o którym wszyscy mieszkańcy okolic Pittsburgha myślały, że na pewno nigdy nie zostanie ukończone. Arnie twierdził nawet, że bukmacherzy zaczęli przyjmować zakłady w tej sprawie wkrótce po zakończeniu wojny secesyjnej. Nie oznacza to wcale, że mieliśmy powody do narzekań; tego lata mnóstwo chłopaków pracowało za głodowe stawki albo w ogóle nie miało pracy, my natomiast zarabialiśmy całkiem nieźle, czasem nawet zostając po godzinach. Brad Jeffries, kierownik budowy, miał poważne wątpliwości, czy przyjąć takiego cherlaka jak Arnie, ale wreszcie doszedł do wniosku, że potrzebuje kogoś do oznaczania chorągiewkami terenu niebezpiecznych prac. Dziewczyna, którą chciał zatrudnić, zaszła w ciążę i czym prędzej postanowiła wyjść za mąż. Tak więc Arnie zaczął w czerwcu od biegania z chorągiewkami, lecz stopniowo brał się za coraz cięższe prace, radząc sobie głównie dzięki odwadze i determinacji. Była to jego pierwsza prawdziwa praca w życiu i nie chciał jej spieprzyć. Wywarł tym na Bradzie

jak najlepsze wrażenie, a letnie słońce pomogło nieco jego cerze. Być może chodziło o promienie ultrafioletowe.

- Wierzę ci, synu, ale to ma być transakcja za gotówkę - powiedział LeBay. - Sam rozumiesz.

Nie wiedziałem, czy Arnie to zrozumiał, ale ja tak. Zapłaciwszy czekiem mógłby wstrzymać wypłatę, gdyby w drodze do domu w tym przerdzewiałym wraku pękła oś albo rozsadziło któryś z cylindrów.

- Może pan zadzwonić do banku - zaproponował Arnie z desperacją w głosie.

- Nie da rady - odparł LeBay drapiąc się pod pachą nad swoim wyświechtanym pasem ortopedycznym. - Dochodzi wpół do szóstej. Już dawno zamknęli.

- W takim razie proszę przyjąć zadatek - powiedział Arnie podając mu szesnaście dolarów. Wyglądał jak ogarnięty szalem. Może nie uwierzycie, że chłopak prawie wystarczająco dorosły, żeby głosować, mógł w ciągu piętnastu minut do tego stopnia zadurzyć się w jakimś anonimowym starym rupieciu. Ja sam nie bardzo mogłem w to uwierzyć. Tylko Roland D. LeBay zdawał się nie mieć z tym żadnych kłopotów - miało to chyba związek z jego wiekiem oraz faktem, że widział w życiu już niejedno. Dopiero później przyszło mi do głowy, iż jego dziwna pewność siebie brała się z zupełnie innych źródeł. Tak czy inaczej, nawet jeżeli w jego żyłach płynęło kiedykolwiek mleko zwykłej ludzkiej dobroci, to już dawno zdążyło się zamienić w kwaśną śmietaną.

- Musiałbym wziąć co najmniej dziesięć procent - oświadczył. Ryba była już poza wodą; jeszcze chwila i trafi do worka. - Gdybym dostał dziesięć procent, mógłbym zatrzymać ją przez dwadzieścia cztery godziny.

- Dennis, możesz pożyczyć mi do jutra dziewięć baksów? - zapytał mnie Arnie.

Miałem w portfelu dwanaście dolarów i żadnych planów na wieczór. Kolejne dni wypełnione rozsypywaniem piasku i kopaniem rowów czyniły cuda, jeśli chodzi o przygotowania kondycyjne do sezonu futbolowego, lecz jednocześnie sprawiły, że w ogóle nie miałem życia towarzyskiego. Ostatnio nawet przestałem atakować fortecę ciała mojej dziewczyny od kibicowania w taki sposób, do jakiego zdążyłem już ją przyzwycząić. Byłem bogaty, ale samotny.

- Chodź, to zobaczymy - powiedziałem.

LeBay zmarszczył brwi, ale zrozumiał, że nic nie może poradzić, bez względu na to, czy mu się podoba, czy nie. Jego postrzępione siwe włosy powiewały w łagodnym wietrze. Cały czas dotykał dłonią maski plymoutha, podkreślając swoje prawo własności.

Skierowaliśmy się w stronę mojego stojącego przy krawężniku samochodu, duster z 1975 roku. Objąłem Arniego ramieniem. Nie wiedzieć czemu przypomniałem sobie, jak pewnego

deszczowego jesiennego dnia, kiedy obaj mieliśmy po sześć lat, siedzieliśmy w jego pokoju; w starym czarno-białym telewizorze migaly kreskówki, a my malowaliśmy coś kredkami trzymanymi w powyginanej puszcze po kawie. To wspomnienie napelniło mnie melancholią i niepokojem. Czasem wydaje mi się, że sześć lat to najlepszy wiek i być może właśnie dlatego w rzeczywistości trwa to nie dłużej niż 7,2 sekundy.

- Masz dziewięć baksów, Dennis? Oddam ci jutro po południu.

- Mam - odparłem. - Ale na litość boską, co ty robisz, Arnie? Przecież ten stary pierdziel ma rentę za całkowitą utratę zdrowia. Nie potrzebuje tych pieniędzy, a ty nie jesteś instytucją charytatywną.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- On cię nabiera. Nabiera cię dla samej przyjemności nabierania. Gdyby zaprowadził ten wóz do Darnella, nie dostałby za niego nawet pięćdziesięciu dolarów. To kupa gówna.

- Wcale nie.

Gdyby nie ta nieszczęsna cera, mój przyjaciel Arnie wyglądałby zupełnie zwyczajnie. Jednak Bóg daje każdemu przynajmniej jedną rzecz dobrej jakości, a w przypadku Arniego to były oczy - szare i inteligentne, koloru chmur na jesiennym niebie, tyle tylko, że zawsze skryte za okularami. Kiedy coś go zainteresowało, ich spojrzenie mogło być nieprawdopodobnie ostre i przenikliwe, ale teraz było rozmarzone i nieobecne.

- To nie jest kupa gówna.

Właśnie wtedy zacząłem podejrzewać, iż chodzi o coś więcej niż tylko o prosty fakt, że Arnie nagle postanowił mieć samochód. Do tej pory nigdy nie przejawiał takiego pragnienia; w zupełności wystarczało mu, że jeździł ze mną, składając się na benzynę, albo wsiadał na swój rower z trzystopniową przerzutką. Nie potrzebował też samochodu w celach reprezentacyjnych - według posiadanych przeze mnie wiadomości Arnie jeszcze nigdy w życiu nie umówił się z dziewczyną. Tutaj chodziło o coś innego: na przykład o miłość albo o coś w tym rodzaju.

- Przynajmniej każ mu go uruchomić - powiedziałem. - I podnieś maskę. Pod silnikiem jest kałuża oleju. Wygląda to tak, jakby pękł blok silnika. Wydaje mi się, że...

- Możesz pożyczyć mi dziewięć dolarów? - powtórzył, wpatrując się we mnie nieruchomym wzrokiem.

Poddalem się. Wyciągnąłem portfel i dałem mu dziewięć dolarów.

- Dziękuję ci, Dennis.

- To na twój pogrzeb, chłopie.

Nie zareagował. Dolożył moje dziewięć do swoich szesnastu i wrócił do LeBaya. Podal mu pieniądze, a starzec przeliczył je uważnie, pośliniwszy uprzednio kciuk.



- Pamiętaj, że zatrzymam ją tylko na dwadzieścia cztery godziny - powiedział LeBay.

- Dobrze, proszę pana. To wystarczy.

- Pójdę do domu i napiszę ci pokwitowanie - oznajmił właściciel plymoutha. - Powiedz mi jeszcze raz, jak się nazywasz, żołnierzu.

Arnie uśmiechnął się lekko.

- Cunningham. Arnold Cunningham.

LeBay odchrząknął i ruszył przez niechlujny trawnik w kierunku tylnych drzwi domu. Były wykonane z aluminium i miały wypisaną ozdobnymi zawijasami dużą literę L.

Zamknęły się za nim z trzaskiem.

- Arnie, ten facet jest szurnięty. Ma cholernego pieprzonego świ...

Ale Arniego przy mnie nie było. Siedział za kierownicą samochodu, cały czas z tym samym otepiałym wyrazem twarzy.

Zaszedłem od przodu, namacałem zaczep zwalniający kłapę i pociągnąłem; kłapa podniosła się z przerdzewiałym piskiem przywodzącym na myśl efekty dźwiękowe z filmów grozy. Na ziemię posypał się metalowy pył. Akumulator był przeraźliwie stary, a bieguny do tego stopnia pokryte zielonym nalotem, że nie sposób było stwierdzić, który jest dodatni, a który ujemny. Wyjąwszy filtr powietrza spojrzałem ponuro w czarną niczym kopalniany szyb otchłań czterokomorowego gaźnika.

Opuściłem kłapę i wróciłem do Arniego, który siedział w fotelu kierowcy gładząc dłonią krawędź tablicy przyrządów tuż nad prędkościomierzem, wyskalowanym do całkowicie absurdalnych stu dwudziestu mil na godzinę. Czy samochody kiedykolwiek jeździły z taką szybkością?

- Arnie, wydaje mi się, że blok silnika jest pęknięty. Właściwie jestem tego pewien. Ten samochód to kupa złomu, przyjacielu. Jeśli chcesz kupić sobie wóz, za dwieście pięćdziesiąt papierów znajdziemy ci coś dużo lepszego. Bez porównania lepszego.

- Ma dwadzieścia lat - powiedział. - Czy wiesz o tym, że oficjalnie dwudziestoletni samochód to już zabytek?

- Owszem. Na złomowisku obok Garażu Darnella jest pełno takich oficjalnych zabytków. Wiesz, co mam na myśli.

- Dennis...

Drzwi domu otworzyły się z trzaskiem. LeBay wracał. I dobrze, bo dalsza dyskusja i tak nie miałyby żadnego sensu. Może nie jestem najbardziej przenikliwym człowiekiem na świecie, ale nawet ja potrafię odebrać pewne sygnały, jeżeli są wystarczająco silne. To było coś, co Arnie postanowił mieć za wszelką cenę, i nie miałem najmniejszych szans, żeby go od tego odwieść.

Podejrzewam, że nikt nie miałby najmniejszej szansy.

Rozpromieniony LeBay wręczył mu pokwitowanie. Na zwykłej kartce papieru widniały następujące słowa, napisane koślawymi literami lekko drżącą ręką starego człowieka: “Kwituję 25 dolarów otrzymane od Arnolda Cunninghama jako 24-godzinną zaliczkę za Christine, plymoutha rocznik 1958”. Na dole widniał jego podpis.

- Co za “Christine”? - zapytałem sądząc, że źle przeczytałem albo on pomylił się przy pisaniu.

LeBay zacisnął usta i zgarbił się nieco, jakby oczekując, że zostanie wyśmiany... albo prowokując mnie do parsknięcia śmiechem.

- Zawsze ją tak nazywałem - wyjaśnił. - Christine.

- Christine - powtórzył Arnie. - Podoba mi się. A tobie, Dennis?

W dodatku postanowił ochrzcić tego przekłętego grata. Powoli zaczynałem mieć tego dość.

- Co o tym sądzisz, Dennis? Podoba ci się?

- Nie - odparłem. - Jeżeli już musisz go jakoś ochrzcić, to czemu nie Kłopot?

Zrobiło mu się przykro, ale mnie już nic to nie obchodziło. Poszedłem do samochodu, by tam na niego zaczekać, żalując, że nie pojechałem do domu inną drogą.

## 2. PIERWSZE NIEPOROZUMIENIE

*Powiedz tym swoim kumpłom podejrzanym,*

*Że nigdzie nie jedziesz, zostajesz z nami!*

*(Eeej-juj!)*

*Tylko nie pyskuj!*

### The Coasters

Odwiozłem Arniego do domu i wszedłem z nim, żeby zjeść kawałek ciasta i wypić szklanek mleka. Bardzo szybko tego pożałowałem.

Arnie mieszkał na Laurel Street, w spokojnej dzielnicy willowej w zachodniej części Libertyville. W gruncie rzeczy prawie całe Libertyville jest spokojne i willowe. Nie ocieka przepychem, jak niedalekie Fox Chapel, składające się przeważnie z posiadłości podobnych do tych, jakie można oglądać co tydzień w kolejnych odcinkach "Columbo", ale też nie przypomina Monroeville z ciągnącymi się bez końca chodnikami, sklepami z przecenionymi oponami i stoiskami z używanymi książkami. Nie ma tu żadnego przemysłu, tylko domy ludzi pracujących w większości na pobliskim uniwersytecie. Może nie jest bogato, ale za to przynajmniej mądrze.

Przez całą drogę do domu Arnie był milczący i zamknięty w sobie. Próbowalem go rozruszać, ale nic z tego nie wyszło. Zapytałem, co ma zamiar zrobić z samochodem.

- Naprawić go - odpowiedział lakonicznie i znowu umilkł.

Cóż, na pewno dysponował odpowiednimi umiejętnościami, nie mogłem temu zaprzeczyć. Potrafił posługiwać się narzędziami, potrafił słuchać i zlokalizować uszkodzone miejsce. Miał zręczne dłonie, radzące sobie ze wszystkimi urządzeniami; stały się niezgrabne i niespokojne tylko w towarzystwie innych ludzi, szczególnie dziewcząt. Przejawiały wtedy skłonności do zacierania, znikania w kieszeniach lub, co było najgorsze, do wędrówki w okolice twarzy i nerwowego dotykania nierównego krajobrazu pokrytych pryszczami policzków, brody i czoła, co natychmiast zwracało na nie uwagę.

Owszem, był w stanie naprawić ten samochód, ale pieniądze, które zarobił podczas wakacji, były przeznaczone na studia. Nigdy do tej pory nie miał własnego samochodu i chyba nawet nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki bezwzględny sposób stare wozy potrafią wysysać z kieszeni pieniądze. Robią to tak, jak karmiące się krwią wampiry. Mógł ograniczyć wydatki na

robociznę wykonując własnoręcznie większość czynności, ale same koszty nowych części zgmiotłyby go na placek, zanim doznałby do końca swego dzieła.

Powiedziałem mu o tym, lecz moje słowa w ogóle do niego nie dotarły. W dalszym ciągu miał rozmarzone, nieobecne oczy. Nie byłem w stanie odgadnąć, o czym myśli.

Zarówno Michael, jak i Regina Cunningham byli w domu - ona układała kolejnego debilnego puzzla (składał się z sześciu tysięcy różnych części i wpędziłby mnie w szaleństwo najdalej po piętnastu minutach), on zaś słuchał w salonie muzyki z magnetofonu.

Już wkrótce zacząłem żalować, że nie zrezygnowałem z ciasta i mleka. Arnie powiedział im, co zrobił, pokazał pokwitowanie, a oni o mało nie wyszli ze skóry.

Musicie zrozumieć, że Michael i Regina byli aż do szpiku kości ludźmi nauki. Pragnęli czynić w życiu dobro, co według nich oznaczało, że muszą protestować przeciwko wszystkiemu, przeciwko czemu się dało. Zaczęli na początku lat sześćdziesiątych od protestów przeciwko segregacji rasowej, potem przeskoczyli na Wietnam, a kiedy ten temat się wyczerpał, wzięli na celownik Nixona, proporcje rasowe w szkołach (mogli recytować do znudzenia kolejne wyroki sądowe w tej sprawie), brutalność policji i znęcanie się rodziców nad dziećmi. Oprócz tego istniało także mówienie. Kochali mówić prawie tak samo, jak protestować. Byli gotowi w każdej chwili wziąć udział w całonocnej dyskusji na temat programu badań kosmosu, panelu na temat Ustawy o Równouprawnieniu Płci lub seminarium na temat alternatywnych źródeł energii. Uczestniczyli w Bóg wie ilu "gorących liniach" - o gwałtach, narkotykach, dzieciach uciekających z domu - a także w starych, dobrych "telefonach zaufania", gdzie mógł zadzwonić każdy, kto miał zamiar popełnić samobójstwo, i wysłuchać współczującego głosu mówiącego mu: "Słuchaj, stary, nie rób tego, masz pewne zobowiązania wobec pozostałych członków załogi statku kosmicznego Ziemia". Po dwudziestu lub trzydziestu latach nauczania na uniwersytecie człowiek nabiera odruchu psa Pawłowa i zaczyna się ślinić na dźwięk dzwonka. Przypuszczam, że nawet można to polubić.

Regina (uparli się, żebym mówił do nich po imieniu) miała czterdzieści pięć lat i była przystojna w dość chłodny, półarystokratyczny sposób, to znaczy udawało jej się sprawiać arystokratyczne wrażenie nawet wtedy, kiedy miała na sobie dzinsy, czyli prawie zawsze. Wykladała na anglistyce, co oczywiście jest zbyt ogólne, kiedy uczy się na poziomie uniwersyteckim - to tak samo, jakby na pytanie "skąd jesteś?" odpowiedzieć: "z Ameryki". Dokonała selekcji i powiększenia niczym na ekranie precyzyjnego radaru. Specjalizowała się w staro-angielskich poetach, pracę doktorską zaś napisała o Robercie Herricku.

Michael zajmował się historią. Wyglądał ponuro i melancholijnie, czyli tak, jak go nastrajała muzyka, której słuchał z magnetofonu, choć zwykle nie sprawiał takiego wrażenia.

Czasem patrząc na niego przypominałem sobie, co podobno powiedział Ringo Starr na konferencji prasowej jakiemuś dziennikarzowi, kiedy Beatlesi po raz pierwszy przyjechali do Ameryki. Dziennikarz zapytał go wtedy, czy naprawdę jest tak smutny, jak wygląda. "Nie - odparł Ringo. - To tylko moja twarz". Michael był właśnie taki. Poza tym jego szczupła twarz i grube okulary upodabniały go do najczęściej spotykanych, niezbyt pochlebnych karykatur uczonych. Miał mocno przerzedzone włosy i małą kozią bródkę.

- Cześć, Arnie - powitała nas Regina, kiedy weszliśmy do domu. - Jak się masz, Dennis.

Były to chyba ostatnie przyjazne słowa, jakie usłyszeliśmy od niej tego popołudnia.

Przywitaliśmy się, wzięliśmy po kawałku ciasta i szklance mleka i usiedliśmy przy stole. Na kuchence gotował się obiad - przykro mi o tym mówić, ale pachniało paskudnie. Regina i Michael jakiś czas temu zaczęli flirt z wegetarianizmem; sądząc po zapachu, główne danie miało się składać ze starej kapusty morskiej albo czegoś w tym rodzaju. Modliłem się w duchu, żeby mnie nie zaprosili.

Dźwięki muzyki umilkły i do kuchni wszedł Michael. Był w obszarpanych dżinsach i wyglądał tak, jakby przed chwilą umarł jego najlepszy przyjaciel.

- Spóźniliście się, chłopcy - powiedział. - Zdarzyło się coś ciekawego?

Otworzywszy lodówkę zaczął w niej grzebać. Może jemu także nie spodobał się zapach kapusty morskiej.

- Kupiłem samochód - oznajmił Arnie, biorąc sobie jeszcze jeden kawałek ciasta.

- Co zrobiłeś?! - wykrzyknęła natychmiast jego matka. Chyba zbyt szybko poderwała się z miejsca, bo usłyszałem głuchy łoskot, z jakim potrafiła duży arkusz tektury, na którym układała puzzla, a; następnie klekot spadających na podłogę fragmentów układanki. Właśnie wtedy zacząłem żalować, że nie pojechałem prosto do domu. Stojący w otwartych drzwiach lodówki Michael Cunningham odwrócił się, by spojrzeć na swego syna, trzymając w jednej ręce jabłko, w drugiej zaś pudełko naturalnego jogurtu.

- Żartujesz - powiedział, a ja z jakiegoś bezsensownego powodu zauważyłem po raz pierwszy, że jego kozia bródka, którą nosił mniej więcej od 1970 roku, zaczęła wyraźnie siwieć. - Żartujesz, prawda? Arnie, powiedz, że to był tylko żart.

Do kuchni weszła Regina - wysoka, półarystokratyczna i cholernie wściekła. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, jakim obrzuciła twarz Arniego, by przekonać się, że on nie żartuje.

- Nie możesz kupić samochodu - oświadczyła. - Co ty w ogóle wygadujesz? Przecież masz dopiero siedemnaście lat.

Arnie przeniósł powoli wzrok z ojca znieruchomiałego przy lodówce na matkę stojącą w przejściu do salonu. Jego twarz zastygła w twardym, zawziętym grymasie, jakiego jeszcze nigdy u

niego nie widziałem. Przemknęło mi przez myśl, że gdyby częściej robił taką minę w szkole, chłopaki z warsztatów przestaliby robić z niego popychadło.

- Mylicie się - powiedział. - Mogę go kupić bez żadnych problemów. Nie dostałbym kredytu, ale kupno za gotówkę to zupełnie inna sprawa. Oczywiście do zarejestrowania samochodu, kiedy ma się siedemnaście lat, potrzebna jest zgoda rodziców.

Wpatrywali się w niego z zaskoczeniem, niepewnością, a także - kiedy to dostrzegłem, poczułem nagle ogromną dziurę w żołądku - z rosnącym gniewem. Oprócz tego, że mieli liberalne przekonania, kochali robotników rolnych, maltretowane żony, samotne matki i całą resztę, sprawowali nad Arniem całkowitą kontrolę. A on im na to pozwalał.

- Nie powinieneś mówić do matki w ten sposób - powiedział Michael. Odstawił jogurt, zatrzymując jabłko, i powoli zamknął drzwi lodówki. - Jesteś za młody na to, żeby mieć samochód.

- Dennis ma - zripostował Arnie.

- Ojejku! - wykrzyknąłem. - Popatrzcie, jak się zrobiło późno! Powinienem już jechać do domu. Właściwie powinienem już tam dawno być. Ja...

- To, co robią rodzice Dennisa, a co uznają za stosowne robić twoi rodzice, to dwie zupełnie różne rzeczy - powiedziała Regina Cunningham. Nigdy nie słyszałem u niej tak lodowatego tonu. Nigdy. - Nie masz prawa podejmować takiej decyzji nie pytając o zdanie twojego ojca i mnie...

- Zapytać was o zdanie! - ryknął nagle Arnie, rozlewając mleko. Mięśnie jego szyi i żyły napięły się jak postronki.

Regina otworzyła ze zdumienia usta i cofnęła się o krok. Gotów jestem przyjąć zakład, że jej brzydkie kaczątka ryknęło na nią po raz pierwszy w życiu. Michael był równie oszołomiony. Zasmakowali tego, co ja odczułem już na sobie nieco wcześniej: z niewiadomych przyczyn Arnie znalazł wreszcie coś, na czym naprawdę mu zależało, i niech Bóg ma w opiece tych, którzy chcieliby stanąć mu na drodze.

- Zapytać o zdanie! Pytałem was o każdą cholerną rzecz, jaką robiłem. Każda decyzja była podejmowana na walnym zebraniu, a nawet jeżeli było to coś, na co nie miałem żadnej ochoty, to i tak przegrywałem stosunkiem głosów jeden do dwóch! Ale tym razem to nie jest żadne cholerne zebranie. Kupiłem sobie samochód, i koniec!

- Zapewniam cię, że się mylisz - odparła Regina.

Z zaciśniętymi ustami, w dziwny sposób (a może wcale nie dziwny) przestała wyglądać tylko pólarystokratycznie; teraz przypominała samą królową Anglii, pomimo dzinsów i wszystkiego. Michael chwilowo przestał się liczyć. Wyglądał dokładnie tak, jak ja się czułem, to

znaczy beznadziejnie, i przez chwilę wzbudził we mnie ogromne współczucie. Nawet nie mógł uciec do domu na obiad, bo już był w domu. Doszło do ostrej próby sił między starą a nową gwardią, i rozstrzygnięcie miało zapaść w identyczny sposób, w jaki zwykle zapadają rozstrzygnięcia w takich konfliktach, to znaczy przy użyciu nieproporcjonalnie silnych ładunków goryczy i zjadliwości. Regina, w przeciwieństwie do Michaela, była na to przygotowana, ale ja nie miałem najmniejszego zamiaru brać w tym udziału. Wstałem i ruszyłem w kierunku drzwi.

- Pozwoliłeś mu to zrobić? - zapytała Regina spoglądając na mnie wyniośle, jakbyśmy nigdy nie zaśmiewali się razem z dowcipów, nie piekli gruszek w popiele ani nie jeździli wspólnie na weekendy. - Bardzo ci się dziwię, Dennis.

Zabolało mnie to. Zawsze lubiłem matkę Arniego, ale nigdy jej do końca nie ufałem, a przynajmniej nie od wydarzenia, które nastąpiło, kiedy miałem jakieś osiem lat.

Pojechaliśmy z Arniem na rowerach do centrum, na popołudniowy seans w kinie. W drodze powrotnej Arnie przewrócił się, próbując ominąć psa, i porządnie rozharatał sobie nogę. Odwiozłem go do domu na ramie, a Regina zabrała go natychmiast do ambulatorium, gdzie lekarz założył mu kilka szwów. Potem, kiedy już było jasne, że nie stało się nic wielkiego i że Arnie prędko się z tego wylize, nie wiedzieć czemu zaatakowała mnie, nie przebijając w słowach. Obsztorcowała mnie jak zawodowy sierżant. Kiedy skończyła, trząsałem się jak galareta i z trudem powstrzymywałem się od płaczu; cóż w tym dziwnego, miałem zaledwie osiem lat, a Arnie po wypadku bardzo krwawił. Nie potrafiłbym teraz przypomnieć sobie szczegółów tej awantury, ale jestem pewien, że wywarła na mnie ogromne wrażenie. Zdaje się, że Regina zaczęła od oskarżenia mnie o to, że źle opiekowałem się jej synem - jakby Arnie był dużo młodszy ode mnie, a nie dokładnie w tym samym wieku - skończyła zaś na stwierdzeniu (lub dając mi wyraźnie do zrozumienia), że to powinno spotkać nie jego, lecz mnie.

Teraz wszystko wyglądało dokładnie tak samo - "Dennis, nie uważałeś na niego!" - w związku z czym udzieliło mi się jej zdenerwowanie. Na pewno przyczyniała się do tego nieufność, jaką odczuwałem wobec niej, ale jeśli mam być zupełnie uczciwy, to muszę przyznać, że chyba w niezbyt wielkim stopniu. Kiedy jesteś dzieckiem (a czym jest wiek siedemnastu lat, jak nie najdalszą granicą dzieciństwa?), przejawiasz naturalną tendencję do brania strony innych dzieci. Głęboko zakorzeniony instynkt podpowiada ci, że jeśli nie rozwalisz paru plotów i nie wyważysz kilku bram, twoi rodzice - oczywiście kierując się jak najlepszymi intencjami - zamkną cię na zawsze w kojcu dla niemowląt.

Zdenerwowałem się, ale zrobiłem wszystko, żeby nad sobą zapanować.

- Na nic mu nie pozwalałem - odparłem. - Chciał go kupić, więc kupił. - Jeszcze parę minut temu powiedziałbym im, że przecież Arnie tylko dał zadatek, ale teraz nie miałem

najmniejszego zamiaru tego robić. - Prawdę mówiąc, próbowałem mu to wyperswadować.

- Wątpię, czy bardzo się starałeś - odparowała Regina. Równie dobrze mogłaby powiedzieć: "Nie pieprz, Dennis, dobrze wiem, że razem to uknułicie". Jej policzki pokryły się intensywnym rumieńcem, a oczy miały groźne błyski. Usiłowała zmusić mnie, bym poczuł się znowu jak ośmioletni szczeniak, i prawie jej się to udało. Postanowiłem jednak walczyć.

- Gdybyście poznali wszystkie fakty, przekonalibyście się, że w gruncie rzeczy nie ma się o co wściekać. Zapłacił za niego dwieście pięćdziesiąt dolarów i...

- Dwieście pięćdziesiąt dolarów! - przerwał mi Michael. - Jaki samochód można kupić za dwieście pięćdziesiąt dolarów?

Jego niepewne oddzielenie od głównego nurtu wydarzeń - jeśli to rzeczywiście było to, a nie szok wywołany podniesionym głosem zwykle spokojnego syna - zniknęło bez śladu. Spowodowała to cena samochodu. Spojrzał na swą latorośl z nie ukrywaną odrazą, która aż mnie trochę przestraszyła. Chciałbym kiedyś mieć dzieci i gdy już będę je miał, postaram się, żeby ten wyraz twarzy zniknął na zawsze z mego repertuaru.

Powtarzałem sobie w kółko, że muszę się opanować, że to nie moja sprawa, że nie ma się czym podniecać... ale zjedzony kawałek ciasta tkwił mi w żołądku niczym duża obślizgła kula, a skóra piekła mnie żywym ogniem. Od wczesnego dzieciństwa traktowałem Cunnighamów jak drugą rodzinę i czułem w sobie wszystkie fizyczne objawy towarzyszące zwykle każdej rodzinnej kłótni.

- Reperując stary samochód można się mnóstwo nauczyć - powiedziałem, lecz moje słowa zabrzmiały mi w uszach niczym jakaś szalona imitacja LeBaya. - A w ten trzeba będzie włożyć mnóstwo pracy, zanim dopuszczą go do ruchu. (O ile w ogóle go dopuszczą, dodałem w myśli). Możecie to uważać za... za rodzaj hobby.

- Ja osobiście uważam to za szaleństwo - odparła Regina.

Nagle zapragnąłem po prostu stamtąd wyjść. Przypuszczam, że gdyby nie wyraźnie wyczuwalne, ogromne napięcie emocjonalne, uznałbym sytuację za dość zabawną; oto bronilem samochodu Arniego, choć sam byłem zdania, że od początku cała ta historia nie miała ani odrobiny sensu.

- Skoro tak myślisz... - mruknąłem. - Tylko nie mieszajcie mnie do tego. Muszę już iść do domu.

- To dobrze - parsknęła Regina.

- Dobra - odezwał się Arnie bezbarwnym głosem i wstał z miejsca. - Spierdalam stąd.

Regina nabrała raptownie powietrza w płuca, a Michael zamrugał, jakby ktoś uderzył go w twarz.



- Co powiedziałaś? - wykrztusiła wreszcie. - Co...

- Nie rozumiem, o co wam obojgu chodzi - przerwał jej Arnie opanowanym, niesamowitym tonem - ale nie mam zamiaru siedzieć i wysłuchiwać tego steku bzdur. - Spojrzał na matkę. - Chcieliście, żebym poszedł na kurs przygotowawczy na uniwersytecie - poszedłem. Chcieliście, żebym zamiast do szkolnego zespołu muzycznego zapisał się do kółka szachowego - zapisałem się. Udało mi się przeżyć siedemnaście lat nie robiąc wam wstydu przed przyjaciółmi z klubu brydżowego ani nie lądując w więzieniu.

Wpatrywali się w niego wybaluszonymi oczami, jakby był jedną z kuchennych ścian, która nagle przemówiła ludzkim głosem.

Arnie odpowiedział im dziwnym, groźnym spojrzeniem.

- Powtarzam wam: muszę to mieć. Tę jedną jedyną rzecz.

- Arnie, towarzystwo ubezpieczeniowe... - zaczął Michael.

- Przestań! - wrzasnęła Regina. Nie chciała dopuścić do rozmowy o konkretnych problemach, ponieważ stanowiłoby to pierwszy krok na drodze do ewentualnej zgody. Postanowiła szybko i całkowicie zmiążyć bunt pod obcasem. Są takie chwile, kiedy dorośli budzą w człowieku odrazę, jakiej nawet nie potrafiliby sobie wyobrazić. To była właśnie jedna z takich chwil, w związku z czym poczułem się jeszcze bardziej paskudnie. Kiedy wydarła się na męża, dostrzegłem w niej zarówno chamstwo, jak i przerażenie, a ponieważ kochałem ją, nigdy nie chciałem jej taką widzieć.

Stałem bez ruchu w drzwiach, pragnąc jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz, ale jednocześnie doświadczając niezdrowej fascynacji tym, co widziałem - pierwszą poważną kłótnią w rodzinie Cunninghamów, jakiej byłem świadkiem, a całkiem możliwe, że pierwszą w ogóle. Było to prawdziwe trzęsienie ziemi, może nawet o sile dziesięciu stopni w skali Richtera.

- Dennis, chyba będzie lepiej, jeśli pójdziesz, zanim tego nie wyjaśnimy - powiedziała ponuro Regina.

- Chyba tak - odparłem. - Ale zrozumcie, że robicie z igły widły. Ten samochód... Gdybyście go zobaczyli... Wątpię, czy przyspiesza od zera do trzydziestu w dwadzieścia minut, o ile w ogóle jeździ...

- Dennis, idź już!

Poszedłem.

Kiedy wsiadałem do mego dusterka, zobaczyłem, jak przez tylne drzwi wychodzi Arnie, zapewne zamierzając wprowadzić w życie swoją groźbę opuszczenia domu. Jego starszankowie wybiegli za nim, sprawiając wrażenie nie tylko zaniepokojonych, ale wręcz przerażonych. Mogłem ich częściowo zrozumieć; wydarzenia spadły na nich niespodziewanie jak cyklon uderzający z

pogodnego bezchmurnego nieba.

Uruchomiłem silnik i wyjechałem tyłem na spokojną ulicę. Sporo się zdarzyło od chwili, kiedy dwie godziny temu skończyliśmy pracę. Byłem wtedy tak głodny, że zjadłbym dosłownie wszystko (może z wyjątkiem kapusty morskiej); teraz żołądek skurczył mi się do tego stopnia, że natychmiast zwróciłbym to, co bym połknął.

Odjeżdżając widziałem ich stojących na podjeździe przed podwójnym garażem (w środku znajdowały się porsche Michaela i volvo kombi Reginy; oni mają swoje samochody, przemknęła mi zjadliwa myśl), nadal pograżonych w kłótni.

Tak to wygląda, pomyślałem z odrobiną smutku i przygnębienia. Wybiją mu to z głowy, LeBay zarobi dwadzieścia pięć dolarów, a jego plymouth będzie tam stał jeszcze przez co najmniej tysiąc lat. Tak samo działo się w przeszłości, ponieważ Arnie zawsze przegrywał. Był inteligentny; pod zewnętrzną warstwą nieśmiałości i rezerwy kryło się poczucie humoru i bystry umysł. Ogólnie rzecz biorąc był... “słodki”, to chyba najlepsze słowo.

Słodki chłopak, który zawsze przegrywał.

Wiedzieli o tym zarówno jego rodzice, jak i gogusie z warsztatów, którzy wrzeszczeli na niego przy lada okazji i nabijali się z jego okularów.

Wiedzieli o tym, że nie ma żadnych szans i wybiją mu to z głowy.

Tak wówczas myślałem, ale tym razem bardzo się pomyliłem.

### 3. NAZAJUTRZ

*Mój tato rzekł: "Synu,  
Przez ciebie zaczął się pić,  
Jeśli nie przestaniesz się tłuc  
Tym cholernym lincolnem".*

Charlie Ryan

Następnego dnia przyjechałem pod dom Arniego o wpół do siódmej rano. Zatrzymałem samochód przy krawężniku, nie mając najmniejszej ochoty wchodzić do środka, mimo że jego rodzice na pewno nie wstali jeszcze z łóżka; poprzedniego wieczoru w tej kuchni wyczulem zbyt wiele nieprzyjemnych myśli, żeby jak zwykle skusić się przed pracą na pączka z kawą.

Arnie nie pojawił się przez prawie pięć minut i zacząłem już się zastanawiać, czy przypadkiem nie zrealizował swojej pogroźki na temat wyprowadzenia się z domu, ale właśnie wtedy otworzyły się boczne drzwi i mój przyjaciel wyszedł na podjazd, wlokąc za sobą torbę z drugim śniadaniem.

Wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwi i powiedział:

- Jedziemy, Jeeves.

Mówił tak zawsze, kiedy był w dobrym humorze.

Ruszyłem, zerkając na niego ostrożnie. Chciałem go zagadnąć, ale doszedłem do wniosku, że będzie lepiej, jeśli on sam zacznie... jeżeli w ogóle ma coś do powiedzenia.

Przez długi czas wydawało się, że nie ma. Przebyliśmy prawie całą drogę nie zamieniwszy ani słowa, słuchając WMDY, miejscowej stacji nadającej muzykę rock i soul. Arnie wystukiwał w zamyśleniu rytm.

Wreszcie przemówił.

- Przykro mi, że musiałeś wczoraj przy tym być.

- Nie ma sprawy, Arnie.

- Czy przyszło ci kiedyś na myśl - dodał niespodziewanie - że rodzice są tylko przerośniętymi dziećmi, dopóki ich własne dzieci nie wykopią ich w dorosłość, najczęściej wbrew ich woli?

Potrząsnąłem głową.

- Powiem ci, co myślę. - Dojeżdżaliśmy już do placu budowy; od przyczepy Braci Carsonów dzieliły nas tylko dwa pagórki. O tej porze ruch na drodze był niewielki i senny. Niebo miało kolor dojrzałej brzoskwini. - Otóż myślę, że bycie rodzicem polega częściowo na tym, że starasz się zabić swoje dziecko.

- To brzmi bardzo sensownie - przyznałem. - Moi staruszkowie ciągle usiłują mnie zabić. Dziś w nocy mama zakradła się do mojego pokoju i próbowała udusić mnie poduszką, a dzień wcześniej ojciec gonił mnie i siostrę ze śrubokrętem w dłoni.

Żartowałem, ale jednocześnie zastanawiałem się, co by pomyśleli Michael i Regina, gdyby usłyszeli te bzdury.

- Wiem, że w pierwszej chwili to się wydaje zupełnie bez sensu - przyznał nie zrażony Arnie - ale tak jest z całą masą rzeczy, dopóki im się bliżej nie przyjrzysz. Zazdrość o penisa. Kompleks Edypa. Całun turyński.

- Dla mnie to stek bzdur - stwierdziłem. - Pokłóciłeś się ze starymi, i to wszystko.

- Ja w to wierzę - mruknął z zadumą Arnie. - Ma się rozumieć, oni nie zdają sobie z niczego sprawy. A wiesz dlaczego?

- Ty mi powiedz.

- Dlatego że jak tylko urodzi ci się dziecko, wiesz na pewno, że kiedyś umrzesz. Patrząc na nie, widzisz swój własny grób.

- Wiesz co, Arnie?

- Co?

- Myślę, że to cholernie makabryczne - powiedziałem i obaj parsknęliśmy śmiechem.

- Wcale nie o to mi chodziło.

Skręciłem na parking i wyłączyłem silnik. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Zagroziłem im, że zrezygnuję z kursu przygotowawczego i zacznę ITN.

ITN oznaczało Indywidualny Tok Nauki - coś takiego, co mają dzieciaki w szkołach eksperymentalnych, tylko że one, oczywiście, nie wracają na noc do domów. Można to chyba określić jako program kształcenia obejmujący dokładnie wszystkie aspekty życia.

- Arnie... - zacząłem niepewnie, nie bardzo wiedząc, jak powinienem zareagować. Wciąż trochę przerażała mnie gwałtowność, z jaką wybuchła ta sprawa. - Arnie, jesteś jeszcze nieletni. Będą musieli zaakceptować twój program...

- Jasne - przerwał mi z uśmiechem, w którym nie było ani odrobiny wesołości; w chłodnym świetle poranka wyglądał dużo poważniej i jednocześnie jakby znacznie młodziej... Jak cyniczny niemowlak. - Mogą nawet ułożyć własny i kazać mi go przerabiać przez cały rok. Mogą zapisać mnie na kurs mody i lekcje planowania domowego budżetu. Według przepisów mają do

tego prawo, ale nigdzie nie jest powiedziane, że ja muszę zaliczyć to, co oni dla mnie wybiorą.

Dopiero wtedy do mnie dotarło, jak ogromną przebył drogę. W jaki sposób zwykła kupa złomu mogła w tak krótkim czasie zacząć dla niego znaczyć aż tak wiele? Przez następne dni pytanie to powracało do mnie na wiele sposobów, tak jak chyba powraca rozpacz po utracie kogoś bliskiego. Arnie najwyraźniej nie żartował, kiedy oświadczył Michaelowi i Reginie, że musi mieć ten samochód. Odkrył ich najslabsze miejsce i wykorzystał je ze zdumiewającą bezwzględnością. Nie jestem pewien, czy poradziłby sobie z Reginą przy użyciu łagodniejszej taktyki, ale mimo wszystko nie spodziewałem się, że będzie zdolny do czegoś takiego. Szczerze mówiąc, byłem wręcz zaszokowany. Gdyby Arnie zrealizował swoją groźbę, mógłby pożegnać się z marzeniami o wyższej uczelni, a tego ani Michael, ani Regina z pewnością nie potrafili sobie wyobrazić.

- I tak po prostu... ustąpili? - Zbliżała się godzina, o której powinniśmy odbić nasze karty, ale musiałem się wszystkiego dowiedzieć.

- Nie, nie tak po prostu. Obiecałem im, że znajdę dla niego jakiś garaż i że nie będę próbował go zarejestrować bez ich zgody.

- Myślisz, że to ci się uda?

Obdarzył mnie smutnym uśmiechem, jednocześnie pewnym siebie i wystraszonego. Był to uśmiech kierowcy buldożera opuszczającego spych przed szczególnie opornym pniakiem.

- Uda mi się - odparł. - Jak tylko będę gotowy.

I wiecie co? Uwierzyłem mu.

#### 4. ARNIE SIĘ ŻENI

*Pamiętam ten dzień,  
Kiedy wybrałem ją spośród sterty złomowanych śmieci,  
Bo byłem pewien,  
Że pod warstwą rdzy jasne złoto świeci...*

The Beach Boys

W to piątkowe popołudnie mogliśmy mieć dwie nadgodziny, ale zrezygnowaliśmy z nich. Odebraliśmy w biurze czeki i pojechaliśmy do mieszczącego się w Libertyville oddziału Pittsburgh Savings and Loan, żeby je zrealizować. Większość swojej forsy wpłaciłem na konto długoterminowe, pięćdziesiąt dolarów na rachunek bieżący (w związku z jego posiadaniem wydawałem się sobie niepokojąco dorosły, ale to uczucie chyba z czasem mija), natomiast dwadzieścia dolarów zatrzymałem w gotówce.

Arnie wziął wszystko w gotówce.

- Masz - powiedział, podając mi dziesięciodolarowy banknot.

- Zatrzymaj go - odparłem. - Będziesz potrzebował każdego centa, dopóki nie skończysz z tym złomem.

- Weź to. Ja zawsze oddaję długi.

- Nie trzeba, naprawdę.

- Weź - powtórzył z uporem.

Wziąłem, ale wepchnąłem mu z powrotem dolara reszty, którego z kolei on nie chciał przyjąć.

W miarę jak zbliżaliśmy się do domu LeBaya, Arnie stawał się coraz bardziej spięty. Nastawił radio głośniejsz niż zwykle i wystukiwał rytm najpierw na swoich kolanach, a potem na desce rozdzielczej. Foreigner śpiewał "Dirty White Boy".

- To historia mego życia, chłopie - powiedziałem, a on wybuchnął zbyt donośnym i za długim śmiechem.

Zachowywał się jak ojciec czekający na narodziny dziecka. Wreszcie zrozumiałem, dlaczego: bał się, że LeBay sprzedał komuś jego samochód.

- Uspokój się, Arnie. Na pewno tam będzie.

- Jestem spokojny - odparł i wykrzywił twarz w szerokim sztucznym uśmiechu. Jego cera

wyglądała tak źle, jak jeszcze nigdy dotąd. Przez głowę przemknęła mi myśl (nie po raz pierwszy ani ostatni), jak to jest być Arniem Cunninghamem, zamkniętym bez chwili przerwy w pułapce za tą kwitnącą twarzą...

- To przestań się trząść. Zachowujesz się tak, jakbyś miał zamiar naszczać w portki, zanim tam dojedziemy.

- Wcale nie - mruknął i wystukał szybki nerwowy rytm na desce rozdzielczej, aby udowodnić mi, jak bardzo jest opanowany. "Dirty White Boy" Foreignera ustąpił miejsca "Jukebox Heroes" tej samej grupy. Było piątkowe popołudnie i na UKF-104 zaczął się Weekendowy Blok Muzyczny. Kiedy teraz przypominam sobie ten rok, mój ostatni rok w szkole, wydaje mi się, że mógłbym go odmierzać kolejnymi blokami muzyki... i narastającym, przypominającym senny koszmar przerażeniem.

- O co właściwie chodzi? - zapytałem. - Co takiego jest w tym samochodzie?

Siedział przez długi czas bez słowa spoglądając na Libertyville Avenue, po czym gwałtownym ruchem ręki wyłączył radio, przerywając wokaliście w pół słowa.

- Nie wiem dokładnie - powiedział. - Może to dlatego, że po raz pierwszy od chwili, kiedy skończyłem jedenaście lat i dostałem pierwszych pryszczki, zobaczyłem coś jeszcze brzydszego ode mnie? Czy to właśnie chciałeś usłyszeć? Czy teraz możesz już zaszeregować mnie do jakiejś kategorii?

- Daj spokój, Arnie! To przecież ja, Dennis... Pamiętasz mnie jeszcze?

- Pamiętam. Nadal jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

- Jasne. Ale co to ma wspólnego z...

- To znaczy, że nie musimy się okłamywać, a przynajmniej ja uważam, że to właśnie na tym polega. Więc powiem ci prawdę. Wiem, kim jestem. Wiem, że jestem brzydki. Nie potrafię zawierać przyjaźni, bo... w jakiś sposób odstręczam od siebie ludzi. Nie chcę tego robić, ale tak jakoś mi wychodzi. Rozumiesz?

Skinąłem niechętnie głową. Jak sam zauważył, byliśmy przyjaciółmi, a to oznaczało także ograniczanie takiego pieprzenia do niezbędnego minimum.

Powtórzył mój gest, jakby potwierdzając diagnozę.

- Ludzie... - Umilkł, po czym dodał ostrożnie: - Na przykład ty, Dennis... Nie zawsze rozumieją, co to oznacza. Kiedy jesteś brzydki i każdy się z ciebie nabija, patrzysz na świat zupełnie inaczej niż wszyscy. Bardzo trudno wtedy zachować poczucie humoru. Czasem nawet jest trudno nie zwariować.

- Chyba rozumiem, ale...

- Nie - przerwał mi spokojnie. - Nic nie rozumiesz. Może ci się wydawać, że rozumiesz,

ale to nieprawda. Ty jednak mnie lubisz, Dennis...

- Kocham cię, człowieku. Przecież wiesz o tym.

- Być może. W każdym razie na pewno to doceniam. Jeśli tak jest naprawdę, to dlatego, że dostrzegasz pod tymi pryszczami i głupią gębą coś więcej...

- Wcale nie masz głupiej gęby, Arnie - zaprotestowałem. - Może pedalską, ale nie głupią.

- Pieprz się! - parsknął z uśmiechem.

- Zostałeś w siodle, Jeźdźcu Znikąd.

- Z tym samochodem jest tak samo. W nim coś jest. Coś więcej, coś lepszego. Ja to po prostu widzę, i to wszystko.

- Widzisz?

- Tak, Dennis - powiedział cicho. - Widzę.

Skręciłem w Main Street. Byliśmy już blisko domu LeBaya. Nagle przyszła mi do głowy paskudna myśl: czy ojciec Arniego nie przysłał z samego rana któregoś ze swoich przyjaciół albo studentów, żeby podкупił jego syna? Może powiecie, że trochę za bardzo trąci to machiawelizmem, ale Michael Cunningham miał ku temu odpowiednie kwalifikacje, gdyż specjalizował się w historii wojskowości.

- Jak tylko zobaczyłem ten samochód, poczułem, jak... jak coś mnie do niego przyciąga...

Nie potrafię tego wytłumaczyć nawet samemu sobie, ale...

Umilkł, wpatrując się przed siebie rozmarzonymi szarymi oczami.

- Ale od razu nabrałem pewności, że uda mi się jej pomóc - dokończył wreszcie.

- Chciałeś powiedzieć: naprawić?

- Tak... To znaczy nie. To brzmi za bardzo bezosobowo. Naprawia się stoły, krzesła i inne takie rzeczy. Kosiarkę, jeśli nie daje się uruchomić. No i zwyczajne samochody.

Być może zauważył moje uniesione brwi, bo roześmiał się niepewnie.

- Tak, wiem, jak to brzmi - powiedział. - Dlatego niechętnie o tym mówię. Ale ty jesteś moim przyjacielem, Dennis, a to oznacza ograniczenie pieprzenia do niezbędnego minimum. Według mnie ona nie jest zwyczajnym samochodem. Nie wiem, dlaczego tak uważam... ale właśnie tak myślę.

Otworzyłem usta, żeby powiedzieć coś, czego później mógłbym żałować - coś o konieczności spoglądania na świat z odpowiedniej perspektywy albo nawet o potrzebie niepoddawania się obsesjom - lecz właśnie w tej chwili skręciliśmy w ulicę, przy której stał dom LeBaya.

Arnie wciągnął głośno powietrze.

Na trawniku widniał żółty prostokąt trawy, jeszcze brzydszej i rzadszej niż rosnąca



dookoła. Przy jednej z krótszych krawędzi można było dostrzec wyraźną czarną plamę oleju, który wsiąkł w ziemię zabijając wszystko, co kiedyś rosło w tym miejscu. Żółty prostokąt był tak ogromny, iż prawie uwierzyłem, że mógłbym oślepnąć, gdybym patrzył na niego zbyt długo.

W tym miejscu jeszcze wczoraj stał czerwony plymouth z 1958 roku.

Miejsce zostało, ale plymouth zniknął.

- Arnie - powiedziałem, podjeżdżając do krawężnika - tylko się nie denerwuj. Nie rób głupstw, na litość boską.

Nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Wątpię, czy w ogóle mnie słyszał. Zbladł jak kartka papieru, tak że zdobiące jego twarz wykwity i pryszcze stały się jeszcze bardziej wyraźne niż zazwyczaj. Otworzył drzwi, zanim zatrzymałem samochód.

- Arnie...

- To mój ojciec - wycedził z gniewem i odrazą. - Czuje, że to robota tego sukinsyna.

Wyskoczył z wozu i pognał przez trawnik do drzwi domu LeBaya.

Pobiegłem za nim, myśląc, że to szaleństwo chyba nigdy się nie skończy. Nie mogłem uwierzyć, że przed chwilą Arnie Cunningham nazwał swego ojca sukinsynem.

W chwili kiedy Arnie wziął zamach, by załomotać pięścią, drzwi otworzyły się i stanął w nich Roland D. LeBay we własnej osobie. Dzisiaj oprócz pasa ortopedycznego miał na sobie także koszulę. Uśmiechnął się skąpo i spojrzał wprost w rozwścieczoną twarz Arniego.

- Witaj, synu.

- Gdzie ona jest?! - ryknął Arnie. - Przecież się umówiliśmy! Do cholery, zostawiłem panu zaliczkę! Mam pokwitowanie!

- Zmniejsz trochę ogień, chłopcze - poradził mu LeBay. - Co się stało twojemu przyjacielowi, synu? - zapytał, zobaczywszy mnie stojącego przed schodkami z rękami wbitymi w kieszenie.

- Zniknął jego samochód - odparłem. - To mu się stało.

- Kto go kupił?! - wrzasnął Arnie. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak wściekłego. Przypuszczam, że gdyby miał wtedy pistolet, przyłożyłby go LeBayowi do skroni. Byłem tym zafascynowany, częściowo wbrew samemu sobie, gdyż wyglądało to tak, jakby królik nagle zamienił się w drapieżnika. Przemknęła mi nawet myśl, czy Arnie przypadkiem nie ma guza mózgu albo czegoś w tym rodzaju.

- Kto go kupił? - powtórzył spokojnie LeBay. - Na razie nikt, synu. Jesteś pierwszy w kolejce. Po prostu wstawiłem ją do garażu. Zmieniłem koło i wymieniłem olej.

Nastroszył się, po czym niespodziewanie obdarzył nas absurdalnie wielkodusznym uśmiechem.

- Cholerny z pana żartowniś - powiedziałem.

Arnie spojrział na niego niepewnie, po czym odwrócił głowę i skierował wzrok na niewielki garaż połączony z domem wysypaną żużlem ścieżką. Ścieżka, podobnie jak cała posiadłość LeBaya, najlepsze czasy miała dawno za sobą.

- Poza tym nie chciałem, żeby stała na zewnątrz, skoro wyłożyłeś już na nią trochę forsy - dodał. - Pożarłem się trochę z paroma facetami z tej ulicy, a kiedyś jakiś szczeniak rzucił kamieniem w mój wóz. Tak, mam tu paru sąsiadów prosto z BD.

- Co to takiego? - zapytałem.

- Brygada Dupków, synu.

Omiótł drugą stronę ulicy złowieszczym spojrzeniem snajpera, obejmując nim schludne, ekonomiczne samochody, dzieci bawiące się w berka i skakankami, ludzi siedzących na werandach i popijających pierwsze przedwieczorne drinki.

- Chciałbym wiedzieć, który z nich rzucił tym kamieniem - powiedział cicho. - Tak jest, cholernie chciałbym wiedzieć...

Arnie odchrząknął.

- Przepraszam, że na pana nakrzyczałem.

- Nie przejmuj się - odparł dziarsko LeBay. - Lubię facetów, którzy upominają się o swoje... albo o prawie swoje. Przyniosłeś forszę, synu?

- Tak.

- W takim razie chodź do domu. Twój kumpel też. Spiszemy umowę i wychylimy po szklaneczce piwa.

- Dziękuję, ale wolę zostać tutaj - powiedziałem.

- Rób jak chcesz, synu - odrzekł LeBay... i mrugnął do mnie. Po dziś dzień nie wiem, co właściwie miało oznaczać to mrugnięcie. Weszli do domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Ryba znalazła się już w worku i teraz należało przystąpić do jej patroszenia.

Czując ogromne przygnębienie poszedłem żużlową ścieżką do garażu i spróbowałem unieść drzwi; powędrowały w górę bez żadnych problemów, uwalniając te same zapachy, które poczułem poprzedniego dnia otworzywszy drzwi plymoutha: oleju, starej tapicerki i ciepła nagromadzonego podczas długiego lata.

Przy jednej ścianie stały grabie i inne narzędzia, przy drugiej leżał bardzo stary wąż ogrodniczy, pompka rowerowa i stara torba z pokrytymi rdzawym nalotem kijami golfowymi, pośrodku zaś, przodem do drzwi, rozpiął się samochód Arniego, Christine. Wydawała się mieć milę długości, szczególnie teraz, kiedy nawet cadillaki robią wrażenie ściśniętych ze wszystkich stron. Pajęcza sieć pęknięć z boku przedniej szyby załamywała światło, przybierając kolor

matowej rtęci. Kamień ciśnięty przez jakiegoś dzieciaka, jak powiedział LeBay, a może mały wypadek w drodze powrotnej z klubu VFW<sup>1</sup> po wieczorze spędzonym na picciu whisky z piwem i opowiadaniu o dawnych bitwach. Stare dobre czasy, kiedy to można było oglądać przez celownik bazooki Europę, Pacyfik i tajemniczy Daleki Wschód. Kto wie... A zresztą, jakie to miało znaczenie? Tak czy inaczej na pewno nie będzie łatwo znaleźć taką nową szybę.

Ani tanio.

Och, Arnio - pomyślałem. Człowieku, pogrążasz się po uszy.

Zdjęte przez LeBaya uszkodzone koło stało oparte o ścianę. Ukłękłem na posadzce, oparłem się na rękach i zajrzałem pod samochód. Zaczęła się tam już tworzyć świeża plama oleju, odcinająca się wyraźnie od starej, znacznie większej, która przez lata zdążyła wsiąknąć głęboko w beton. Ten widok ani trochę nie poprawił mojego nastroju; nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że pękł blok silnika.

Wstałem i podszedłem do wozu od strony kierowcy. W chwili kiedy dotknąłem klamki, w kącie garażu dostrzegłem kosz na śmieci, z którego sterczała duża plastikowa butelka. Bez trudu odczytałem widoczną część napisu: SAPPH.

Jęknąłem. Wymienił olej, a jakże. To bardzo miło z jego strony. Po prostu wylał resztki starego - o ile coś z niego zostało - i nalal przepracowany Sapphire Motor Oil. Kupuje się go po trzy i pół dolara za pięciogalonowy baniak. Nie ma co, Roland D. LeBay miał gest. Prawdziwy książe, niech go gęś kopnie.

Otworzyłem drzwi i wśliznąłem się za kierownicę. Zapach panujący w garażu stracił nieco na intensywności, a w każdym razie nie wywoływał już tak mocnych skojarzeń ze starością i zużyciem. Kierownica była szeroka, czerwona i sprawiała solidne wrażenie. Ponownie spojrzałem na zdumiewający prędkościomierz, wyskalowany nie do 70 lub 80, tylko do 120 mil na godzinę. Pod spodem nie było czerwonych cyferek oznaczających kilometry. Kiedy to cacko zjeżdżało z taśmy, nikt w Waszyngtonie nie wpadł jeszcze na pomysł przejścia na system metryczny. Nie było także dużej czerwonej liczby 55; wtedy benzynę kupowało się po trzydzieści centów za galon albo nawet jeszcze taniej, jeśli w twoim mieście akurat toczyła się wojna cenowa. Arabskie embargo naftowe i ograniczenia prędkości miały nadejść dopiero piętnaście lat później.

Stare dobre czasy - pomyślałem i uśmiechnąłem się lekko. Pomacałem ręką po lewej stronie i znalazłem małą konsolę z przyciskami, pozwalającą na przesuwanie fotela do przodu, do tyłu, w górę i w dół (pod warunkiem, że działała, ma się rozumieć). To też trzeba będzie naprawić. Samochód był wyposażony w klimatyzację (ta na pewno nie działała), tempomat i wielkie radio z mnóstwem guzików i chromowanych części - tylko długie i średnie, ma się

---

<sup>1</sup> VFW (Veterans of Foreign Wars) - organizacja skupiająca weteranów wojen prowadzonych poza granicami

rozumieć. W roku 1958 UKF stanowił jeszcze dziewiczą pustynię.

Położyłem dłonie na kierownicy i wtedy coś się stało.

Nawet teraz, po tak długim czasie, nie jestem pewien, co to właściwie było. Może pewien rodzaj wizji, ale jeśli tak, to trudno uznać ją za coś wielkiego. Po prostu przez chwilę odniosłem wrażenie, że zniknęły rozdarcia w tapicerce, że siedzenia znowu są całe i przyjemnie pachną winylem... a może nawet prawdziwą skórą. Kierownica stała się czysta i gładka w dotyku, chromowane części zaś przyjemnie błyszcząły w promieniach późnopołudniowego słońca wpadających przez otwarte drzwi garażu.

*Pojedźmy gdzieś, chłoptasiu*, zdawała się szeptać Christine w gorącej letniej ciszy panującej w garażu LeBaya. *Pojedźmy gdzieś sobie*.

Nagle wszystko się zmieniło, a przynajmniej tak mi się wydawało. Brzydka siatka pęknięć na przedniej szybie zniknęła bez śladu, zaniedbany, lysiejący trawnik stał się bujny i soczysto zielony, podjazd wyglądał jak świeżo wybetonowany, bez choćby jednej rysy. Zobaczyłem (albo śniłem, czy też myślałem, że widzę) stojącego przed domem cadillaca z 1957 roku, ciemnozielonego, bez odrobiny rdzy, na białych gangsterskich oponach i z deklami błyszczącymi jak lustra. Cadillac wielkości łodzi? A czemu nie? Przecież benzyna była prawie tak tania, jak woda z kranu.

*Pojedźmy gdzieś, chłoptasiu... Pojedźmy gdzieś sobie*.

Pewnie, dlaczego nie? Mógłbym wyjechać z garażu i skręcić do centrum, w kierunku starej szkoły, która jeszcze stała na swoim miejscu - miała splonąć dopiero za sześć lat, w 1964 - mógłbym włączyć radio i usłyszeć Chucka Berry'ego śpiewającego "Maybellene" albo Everlys wykonujących "Wake Up Little Susie" lub Robina Luke'a zawodzącego "Susie Darling". A potem...

Wysiadłem z samochodu najszybciej, jak tylko mogłem. Drzwi otworzyły się z przerdzewiałym, diabelskim skrzypieniem; wyskakując rąbnąłem mocno łokciem w ścianę garażu. Zatrzasnąłem drzwi (szczerze mówiąc, nie miałem najmniejszej ochoty ich dotykać), po czym stanąłem tam, wpatrując się w plymoutha, który, o ile nie nastąpiłby jakiś cud, już wkrótce miał należeć do mojego przyjaciela Arniego. Potarłem rozbity łokieć. Serce waliło mi zdecydowanie zbyt szybko.

Nic. Ani błyszczących chromowań, ani nowej tapicerki. Wręcz przeciwnie: mnóstwo wkleśnięć, ognisk rdzy, brak jednego reflektora (nie zauważyłem tego poprzedniego dnia), szaleńczo powyginana antena. A w dodatku ten zakurzony, brudny zapach starości.

Właśnie wtedy doszedłem do wniosku, że nie lubię samochodu mojego przyjaciela.

Wyszedłem z garażu zerkając co chwila za siebie - nie wiem czemu, ale czułem się niepewnie mając go za plecami. Wiem, że to musi brzmieć strasznie głupio, lecz wtedy tak właśnie się czułem. Rozpierał się tam, szczerząc powyginaną, zardzewiałą osłonę wlotu powietrza, nic strasznego ani nawet niezwykłego, tylko zwykły, bardzo stary plymouth z nalepką potwierdzającą dopuszczenie do ruchu, nieważną od 1 czerwca 1976, czyli od bardzo dawna.

Arnie i LeBay wyszli z domu. Arnie trzymał w ręku kawałek papieru - umowę kupna--sprzedaży, jak przypuszczam. Ręce LeBaya były puste. Zdażył już schować pieniądze.

- Mam nadzieję, że będziesz z niej zadowolony - powiedział, a mnie z jakiegoś powodu przyszedł na myśl bardzo stary stręczyciel namawiający bardzo młodego chłopca. Poczulem, jak ogarnia mnie fala pogardy dla tego człowieka z łuszczycą i przepoconym pasem ortopedycznym.  
- Na pewno będziesz. Za jakiś czas.

Jego lekko kaprawe oczy odszukały moje, wpatrywały się w nie przez chwilę, a potem skierowały się z powrotem na Arniego.

- Za jakiś czas... - powtórzył.

- Jestem tego pewien, proszę pana - odpowiedział odruchowo Arnie. Szedł w stronę garażu jak lunatyk, a potem zatrzymał się, wpatrując w swój samochód.

- Kluczyki są w stacyjce - poinformował go LeBay. - Musisz ją stąd od razu zabrać. Chyba rozumiesz, prawda?

- A zapali?

- Wczoraj wieczorem zapaliła - odparł były żołnierz, ale w tym momencie jego wzrok powędrował ku odległemu horyzontowi. - Twój kumpel na pewno ma dodatkowe kable w bagażniku - dodał tonem człowieka, który umywa od wszystkiego ręce.

Rzeczywiście, miałem w bagażniku dodatkowe kable, którymi można było połączyć dwa akumulatory, ale wcale nie byłem zachwycony domyślnością LeBaya. Chyba dlatego że... Westchnąłem w duchu. Dlatego że nie chciałem mieć nic wspólnego z tym złodem, który właśnie kupił Arnie, lecz widziałem, jak krok za krokiem jestem wciągany w tę sprawę.

Arnie w ogóle przestał brać udział w rozmowie. Wszedł do garażu i wsiadł do samochodu. W ukośnych promieniach przedwieczornego słońca dostrzegłem obłok kurzu, jaki podniósł się z fotela kierowcy, i odruchowo otrzepałem spodnie. Przez dłuższą chwilę Arnie po prostu siedział za kierownicą, opierając na niej lekko dłonie, a ja poczułem nawrót niepokoju. Wyglądało to tak, jakby samochód po prostu go połknął. Zmusiłem się do zachowania spokoju, tłumacząc sobie, że nie ma żadnego powodu, dla którego powinienem się zachowywać jak przestraszona siódmoklasistka.

Potem Arnie pochylił się nieco do przodu i rozrusznik zaczął się obracać. Posłałem

LeBayowi gniewne, oskarżycielskie spojrzenie, ale on wpatrywał się w niebo, jakby sprawdzał, czy będzie padać.

Ten silnik nie miał zamiaru pracować. On po prostu nie mógł zacząć pracować. Mój duster był w niezłym stanie, ale poprzednio miałem pod rząd dwa rupiecie (choć każdy z nich był o niebo lepszy od Christine) i zdążyłem dobrze poznać ten odgłos w mroźne zimowe ranki - powolny, zmęczony charkot, oznaczający, że akumulator wykorzystuje resztki energii.

Chrr-chrr-chrr... chrr... chrr... ... .. chrr... ... .. chrr...

- Nie męcz się, Arnie - powiedziałem. - On nie zapali.

Nawet nie podniósł głowy. Przekręcił kluczyk, a potem znowu uruchomił rozrusznik, który zarzęził z bolesną powolnością.

Podszedłem do LeBaya.

- Nie mógł go pan zostawić na chodzie tak długo, żeby się trochę podładował? - zapytałem.

Spojrzał na mnie swoimi żółtawymi, kaprawymi oczami, nic nie odpowiedział, po czym zaczął znowu szukać na niebie pierwszych oznak zbliżającego się deszczu.

- A może on wcale nie zapalił? Może po prostu ściągnął pan paru przyjaciół, żeby pomogli przepchnąć go do garażu? Oczywiście zakładając, że takie stare gówna jak pan w ogóle ma jakichś przyjaciół.

Utkwił wzrok w mojej twarzy.

- Mało jeszcze wiesz, synu - odparł. - Masz jeszcze mleko pod nosem. Jak przeżyjesz parę wojen, tak jak ja...

- Pieprzę pańskie wojny - przerwałem mu i wszedłem do garażu, gdzie Arnie w dalszym ciągu starał się uruchomić swój samochód. Równie dobrze mógłby spróbować wypić Atlantyck przez słomkę albo polecieć balonem na Marsa, przemknęło mi przez myśl.

Chrr... ... .. chrr... ... .. chrr...

Wkrótce ze starego skorodowanego akumulatora wycieknie ostatni erg energii, a wtedy rozlegnie się ten najokropniejszy ze wszystkich samochodowych odgłosów, często słyszany na zalanych deszczem bocznych drogach i opustoszałych autostradach - suche kłaśnięcie solenoidu, a potem straszny dźwięk podobny do przedśmiertnego charkotu.

Otworzyłem drzwi po stronie kierowcy.

- Idę po kable - oświadczyłem.

Arnie podniósł na mnie wzrok.

- Myślę, że ona zaraz zapali.

Poczułem, jak moje usta wykrzywają się w szerokim, sztucznym uśmiechu.

- Mimo to pójdę po nie, tak na wszelki wypadek.

- Jasne, skoro chcesz... - odparł obojętnie, a potem dodał tak cicho, że ledwo go usłyszałem: - Dalej, Christine... No, co powiesz...?

W tej samej chwili w mojej głowie rozległ się znajomy głos: *Pojedźmy gdzieś, chłoptasiu...  
Pojedźmy gdzieś sobie...*

Zadrzałem.

Jeszcze raz przekręcił kluczyk. Spodziewałem się usłyszeć pyknięcie solenoidu i przedśmiertny charkot, a tymczasem w garażu rozległ się odgłos obracającego się coraz szybciej wału korbowego. Silnik zaskoczył, lecz natychmiast zgasł. Arnie ponowił próbę. Tym razem wał obracał się jeszcze szybciej; nastąpiła jakaś detonacja, przeraźliwie głośna w ciasnej przestrzeni garażu. Podskoczyłem nerwowo, Arnie natomiast w ogóle nie zareagował. Znajdował się we własnym świecie.

Gdybym był na jego miejscu, na pewno pomógłbym sobie przekleństwami. "Dalej, ty dziwko!" skutkuje prawie zawsze. "Ruszaj, złamasiel!" też ma swoje zalety, a czasem wystarczy nawet zwykłe soczyste "Jazda, do cholery!" Większość mężczyzn, których znam, postępuje właśnie w ten sposób; myślę, że jest to jedna z tych rzeczy, których uczymy się od ojców.

Od matek otrzymujemy głównie proste porady praktyczne – jeśli dwa razy w miesiącu będziesz obcinał paznokcie u nóg, nie porobisz sobie w skarpetkach tyłu dziur; nie ruszaj tego, bo nie wiesz, gdzie to było przedtem; zjedz marchewkę, bo jest zdrowa - od ojców zaś przejmujemy całą magię, talizmany i zaklęcia. Jeśli samochód nie chce zapalić, przeklnij go... tak, jakbyś przeklinał kobietę. Gdybyśmy cofnęli się siedem pokoleń wstecz, ujrzelibyśmy zapewne jednego z naszych przodków klnącego swoją cholerną oślicę, która rozkraczyła się akurat na samym środku mostu gdzieś w Sussex albo w Pradze.

Lecz Arnie nie klął.

- Co mówisz, lalczko? - wymamrotał pod nosem.

Znowu przekręcił kluczyk. Silnik zaskoczył raz, drugi, strzelił głośno, po czym zaczął pracować. Wydawał przy tym przerażające odgłosy, jakby cztery z ośmiu cylindrów wzięły sobie akurat wolny dzień, ale pracował. Nie mogłem w to uwierzyć, lecz nie mogłem też stać przy nim i dyskutować na ten temat, gdyż garaż błyskawicznie wypełnił się niebieskim dymem i spalinami. Wyszedłem na zewnątrz.

- Wygląda na to, że jednak się udało, co? - odezwał się LeBay. - I nie musiałeś nawet podłączać swojego cennego akumulatora.

Splunął na ziemię.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Szczerze mówiąc, było mi trochę głupio.

Samochód wypełził powoli z garażu; wydawał się tak absurdalnie długi, że chciało się śmiać, płakać albo robić obie te rzeczy naraz. Nie wierzyłem własnym oczom. Byłem gotów przysiąc, że to złudzenie. Prawie nie mogłem dostrzec siedzącego za kierownicą Arniego.

Opuścił szybę i dał mi znak, żebym podszedł. Musieliśmy prawie krzyczeć, żeby się zrozumieć. To była kolejna cecha dziewczyny Arniego - miała nadzwyczaj donośny, grzmiący głos. Należało jak najprędzej założyć jej nowy tłumik... naturalnie jeśli układ wydechowy znajdował się w takim stanie, że będzie można go tam doczepić. Małeńki rachmistrz urzędujący w części mojego mózgu zarezerwowanej dla samochodów szacował niezbędne wydatki na co najmniej sześćset dolarów, nie licząc wymiany przedniej szyby. Jeden Bóg raczył wiedzieć, ile to mogło kosztować.

- Zaprowadzę ją do Darnella! - krzyknął Arnie. - W ogłoszeniu w gazecie było napisane, że można u niego wynająć miejsce za dwadzieścia dolarów tygodniowo!

- Dwadzieścia dolarów za jakiś marny boks to za dużo! - odwrzasnąłem.

Szykował się kolejny bandycki napad na młodych i niewinnych. Garaż Darnella stał tuż przy czteroakrowym cmentarzysku samochodów znanym pod zwodniczą nazwą Składu Używanych Części Samochodowych Darnella. Odwiedzałem kilka razy to miejsce, między innymi po to, żeby kupić rozrusznik do duster'a, a wcześniej gaźnik do mercury'ego, mojego pierwszego samochodu. Will Darnell był ogromną tłustą świnią, dużo pił i palił długie cuchnące cygara, choć podobno chorował na astmę. Serdecznie nienawidził wszystkich nastolatków w Libertyville mających własne samochody, co jednak w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało mu zaopatrywać ich w części zamienne i zdzierać z nich skórę, na czym tylko się dało.

- Wiem! - odpowiedział Arnie, przekrzykując ryczący silnik. - Ale to tylko na tydzień albo dwa, dopóki nie uda mi się znaleźć czegoś tańszego. Nie mogę zaprowadzić jej do domu w takim stanie. Starzy dostaliby chyba zawału serca!

Miał całkowitą słuszność. Otworzyłem usta, żeby jeszcze coś powiedzieć - może nawet błagać go, żeby przerwał to szaleństwo, dopóki nie wymknęło się zupełnie spod kontroli - ale natychmiast je zamknąłem. Transakcja została sfinalizowana. Poza tym nie miałem ochoty dłużej współzawodniczyć z tym ryczącym tłumikiem ani wdychać w płuca przesyconych tlenkiem węgla spalin.

- W porządku. Pojadę za tobą.

- Dobra - odparł z uśmiechem. - Będę jechał Walnut Street i Basin Drive. Wolę nie pchać się uczęszczanymi drogami.

- Jasne.

- Dzięki, Dennis.



Przesunął ponownie dźwignię na D; plymouth skoczył do przodu o pół metra i silnik zakrztusił się. Arnie nacisnął mocniej pedał gazu, z rury wydechowej strzeliły kłęby dymu, a następnie Christine popęzła po podjeździe przed domem LeBaya w kierunku jezdni. Kiedy nacisnął hamulec, zapłonęło tylko jedno światło stopu. Mój małeńki rachmistrz natychmiast dopisał do rachunku kolejne pięć dolarów.

Plymouth skręcił w lewo w ulicę, szorując resztkami tłumika po wybrzuszeniu nawierzchni. Kiedy Arnie dodał nieco gazu, samochód ryknął niczym wóz wyścigowy szykujący się do gonitwy na 500 mil w Indianapolis. Po drugiej stronie ulicy ludzie wychylali się zza płotów, aby zobaczyć, co się dzieje.

Rycząc i prychając Christine potoczyła się przed siebie z prędkością około dziesięciu mil na godzinę, zostawiając za sobą gęste obłoki cuchnącego dymu, rozpraszające się powoli w łagodnym powietrzu sierpniowego wieczoru.

Po mniej więcej czterdziestu metrach, przy znaku stopu, silnik zgasł. Jakiś dzieciak na rowerze mijając nieruchomego plymoutha uderzył ręką w karoserię i krzyknął:

- Wyrzuć go pan do śmieci!

Arnie pogroził mu pięścią, po czym wystawił w górę środkowy palec. Kolejny pierwszy raz. Nigdy do tej pory nie widziałem, żeby pokazywał komukolwiek ten gest.

Zajęczał rozrusznik, silnik prychnął i zapalił. Tym razem nastąpiła cała seria przeraźliwych detonacji, zupełnie jakby na Laurel Drive w Libertyville, USA, otwarto właśnie nowy sklep z bronią maszynową. Jęknąłem w duchu.

Lada chwila ktoś wezwie gliny i Arnie wyląduje w ciupie za jazdę nie zarejestrowanym, nie dopuszczonym do ruchu pojazdem, a być może także za zakłócenie porządku publicznego. Z pewnością nie przyczyni się to do rozładowania atmosfery w domu.

Rozległ się jeszcze jeden donośny wystrzał - przetoczył się nad okolicą jak huk eksplodującego granatu moździerzowego - po czym plymouth skręcił w lewo w Martin Street, którą po mniej więcej mili dojeżdżało się do Walnut Street. Zanim zniknął mi z oczu, promienie zachodzącego słońca padły na zniszczoną czerwoną karoserię, nadając jej przez chwilę złoty poblask. Zdażyłem jeszcze zauważyć, że Arnie prowadził z łokciem wystawionym przez okno.

Kipiąc wściekłością odwróciłem się do LeBaya, żeby opieprzyć go od góry do dołu. Mówię wam, że złości aż wszystko przewracało mi się w środku. Jednak to, co ujrzałem, sprawiło, że zamarłem w bezruchu.

Roland D. LeBay płakał.

Był to okropny, groteskowy, a przede wszystkim żalospny widok. Kiedy miałem dziewięć lat, trzymaliśmy w domu kota o imieniu Kapitan Beefheart. Pewnego dnia przejechała go

śmiecniarka. Zawieźliśmy go do weterynarza - mama jechała bardzo powoli, bo płakała i prawie nie widziała drogi - a ja siedziałem z nim na tylnej kanapie. Kapitan Beefheart leżał w pudełku, ja zaś cały czas powtarzałem, że weterynarz mu pomoże i wszystko będzie OK, ale nawet taki dziewięcioletni głupek, jakim wtedy byłem, nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że Kapitanowi Beefheartowi już nikt nie jest w stanie pomóc, gdyż z brzucha wypadła mu część wnętrzności, z odbytnicy sączyła się krew i kał, a on umierał. Chciałem go pogłaskać, lecz ugryzł mnie w czule miejsce między kciukiem a palcem wskazującym. Ból był bardzo silny, ale znacznie bardziej dawało mi się we znaki okropne uczucie żalu. Od tamtej pory nigdy nie doświadczyłem niczego podobnego i wcale nie mam o to pretensji; nie wydaje mi się, żeby ludzie powinni często doznawać takich uczuć. Podejrzewam, że gdyby tak było, wszyscy prędzej czy później wyładowałiby u czubków.

LeBay stał na swoim lysiejącym trawniku niedaleko miejsca, w którym w ziemię wsiąkła wielka kałuża oleju, wyciągnął ogromną chustkę, jakich zwykle używają starzy ludzie, opuścił głowę i ocierał nią oczy. Łzy błyszczały na jego policzkach jak plamy jakiejś tłustej mazi, a jabłko Adama wędrowało szybko w górę i w dół.

Odwrociłem głowę, żeby na to nie patrzeć, i przypadkowo spojrzałem prosto na szeroko otwarty garaż. Przedtem wydał mi się wypełniony po brzegi - między innymi rupieciami zgromadzonymi przy ścianach, ale przede wszystkim tym wielkim starym samochodem o podwójnych reflektorach, popękanej przedniej szybie i gigantycznej masce. Teraz narzędzia i inne przedmioty tylko podkreślały pustkę. Garaż przypominał rozdziawione bezzębne usta.

Ten widok był niemal tak okropny, jak poprzedni, lecz kiedy spojrzałem ponownie na LeBaya, stary drań prawie zdążył się już opanować. Przestał płakać i wepchnął chustkę do tylnej kieszeni spodni, ale jego twarz nadal była ponura. Bardzo ponura.

- No i tak to wygląda, synu - wychrypiał. - Pozbyłem się jej.

- Panie LeBay - odparłem - żałuję, że mój przyjaciel nie może powiedzieć tego samego. Gdyby pan wiedział, co się działo w jego domu z powodu tego przerdzewiałego wraka...

- Zjeżdżaj stąd - powiedział. - Beczysz jak cholerna owca. Tylko głupie bee-bee-bee, i nic więcej. Twój kumpel wie dużo więcej od ciebie. Jedź za nim i zobacz, czy nie trzeba mu pomóc.

Ruszyłem przez trawnik w kierunku samochodu. Nie miałem najmniejszej ochoty przebywać dłużej w towarzystwie LeBaya.

- Tylko bee-bee-bee! - krzyknął za mną jędzowatym tonem. Przypomniało mi to starą piosenkę Youngbloods: "Znam tylko jedną nutę i gram ją co minutę". - Nie jesteś nawet w połowie tak mądry, jak ci się wydaje!

Wsiadłem do samochodu i odjechałem. Obejrzałem się za siebie tylko raz, skręcając w

Martin Street, i zobaczyłem go stojącego w dalszym ciągu na trawniku z łysiejącą głową błyszczącą w promieniach słońca.

Jak się okazało, miał całkowitą rację.

Nie byłem nawet w połowie tak mądry, jak mi się wydawało.

## 5. Jak zajechaliśmy do Darnella

*Kupiłem stare kombi, klawę maszynę,  
Na pewno żadne cudo,  
Ale wygląda mi na sprytną, pojętną dziewczynę..*

Jan i Dean

Pojechałem Martin Street do Walnut Street i skręciłem w prawo, w kierunku Basin Drive. Dogonienie Arniego nie zajęło mi dużo czasu. Christine stała przy krawężniku z podniesioną maską, a o jej pogięty tylny zderzak opierał się podnośnik sprawiający wrażenie, jakby używano go do obsługi serwisowej pierwszych pionierskich wozów zmierzających na Zachód. W prawej tylnej oponie nie było powietrza.

Zdażyłem zatrzymać samochód i wysiąść, kiedy z najbliższego domu wyszła młoda kobieta i ruszyła w naszą stronę, lawirując wśród bogatej kolekcji szkaradzieństw ustawionych na trawniku. (Dwa różowe flamingi, cztery czy pięć kamiennych kaczuszek podążających rządkiem za wielką kamienną kaczką i plastikowa sadzawka obrośnięta plastikowymi kwiatami). Kobieta sprawiała wrażenie, jakby pilnie potrzebowała konsultacji z najbliższym Kółkiem Samoodchudzenia.

- Nie możecie tu stać tym rupieciem - powiedziała żując zawzięcie gumę. - Chyba rozumiecie, że coś takiego nie może stać mi przed domem?

- Proszę pani, po prostu złapałem gumę - odparł Arnie. - Odjadę natychmiast, jak tylko...

- Chyba rozumiecie, że coś takiego nie może stać mi przed domem - powtórzyła dokładnie tym samym tonem. - Mój mąż niedługo wróci z pracy. On też nie chce mieć żadnego złomu przed domem.

- To nie jest złom - powiedział Arnie takim tonem, że kobieta cofnęła się o krok.

- Nie powinieneś tak do mnie mówić, synu - oznajmiła wyniośle otyła królowa. - Mój stary łatwo się wścieka.

- Niech no pani posłucha... - zaczął Arnie tym samym groźnym, bezbarwnym głosem, jakim rozmawiał poprzedniego dnia z Michaeliem i Reginą. Położyłem mu rękę na ramieniu. Miał już wystarczająco dużo kłopotów.

- Oczywiście, proszę pani - powiedziałem. - Znikniemy stąd tak szybko, że będzie się to pani wydawało złudzeniem.

- I dobrze. - Wskazała kciukiem mojego duster. - A twój wóz stoi na moim podjeździe.

Przyglądała się, jak go cofam, po czym pożeglowała do domu, w którego drzwiach stało dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka. Oni również nie należeli do najszczuplejszych, a każde zajadało właśnie wysokokalorycznego batona.

- Co siem stało, musiu? - zapytał chłopczyk. - Co to za pana ten mochód?

- Zamknij się! - warknęła królowa tanecznego kroku i wepchnęła dzieciaki do środka.

Uwielbiam takich oświeconych rodziców; ich widok napawa mnie nadzieją na przyszłość.

Odwróciłem się do Arniego.

- Cóż, to przecież tylko zwykła guma, prawda? - zdobyłem się na jedyne pocieszenie, jakie przyszło mi do głowy.

Uśmiechnął się blade.

- Wiesz, Dennis... Mam pewien problem...

Od razu domyśliłem się, na czym polega jego problem: nie miał zapasu.

Arnie ponownie wyciągnął portfel - zabolalo mnie serce, kiedy to zobaczyłem - i zajrzał do niego.

- Muszę kupić oponę - powiedział.

- Chyba tak. Bieżnikowana powinna kosztować...

- Nie bieżnikowaną. Nie chcę zaczynać w ten sposób.

Nic na to nie odpowiedziałem, ale zerknąłem na swojego duster; miałem na nim dwie bieżnikowane opony i uważałem, że spisują się całkiem nieźle.

- Jak sądzisz, Dennis, ile powinien kosztować nowy goodyear albo firestone?

Wzruszyłem ramionami i zasięgnąłem porady urzędującego w mojej głowie maleńkiego rachmistrza, który doszedł do wniosku, że ten nabytek będzie kosztował Arniego około trzydziestu pięciu dolarów.

Wyjął z portfela dwie dwudziestki i wręczył mi je.

- Jeśli zapłacisz więcej - z podatkiem i ze wszystkim - zwrócę ci.

Przyjrzałem mu się ze smutkiem.

- Arnie, ile jeszcze zostało ci z wypłaty?

Zmrużył oczy i spojrzał gdzieś w bok.

- Sporo.

Postanowiłem spróbować jeszcze raz; musicie pamiętać, że miałem wtedy tylko siedemnaście lat i wciąż wydawało mi się, że człowiekowi można wytłumaczyć, co jest dla niego dobre, a co nie.

- Nie mógłbyś wejść do gry, nawet gdyby w puli były same dziesięciocentówki -

powiedziałem. - Wepchnąłeś w tego grata prawie całą pieprzoną wyplatę. Ostatnio nie robisz nic innego, tylko co chwila sięgasz do portfela. Arnie, proszę cię: zastanów się trochę.

Jego spojrzenie stało się twarde jak kamień. Nigdy przedtem nie widziałem u niego takiego wyrazu twarzy, a właściwie, choć może uznacie mnie za najbardziej naiwnego nastolatka w Ameryce, nigdy do tej pory nie widziałem, żeby ktokolwiek wyglądał w ten sposób. Ogarnęło mnie zdumienie połączone z odrazą; poczułem się tak, jakby człowiek, z którym miałem zamiar przeprowadzić racjonalną rozmowę, nagle okazał się wariatem. Od tamtej chwili wielokrotnie spotkałem się z takim wyrazem twarzy. Myślę, że wy też. Oznacza on całkowitą odporność na wszelkie argumenty. Właśnie taki wyraz twarzy przybiera mężczyzna, któremu tłumaczysz, że jego ukochana żona daje każdemu, kto ma na to ochotę.

- Nie mów do mnie w ten sposób, Dennis.

Uniosłem z rozdrażnieniem obie ręce.

- Już dobrze, dobrze!

- Jeśli nie chcesz, wcale nie musisz jechać po tę cholerną oponę. - Ten kamienny, nieubłagany, a także - słowo daję! - idiotycznie uparty grymas nie zniknął z jego twarzy. - Jakoś sobie poradzę.

Otworzyłem już usta, żeby coś odpowiedzieć, zapewne nic miłego, kiedy przypadkiem zerknąłem w lewo. Dwoje tłustych dzieciaków stało na brzegu trawnika ze swoimi rowerkami, z palcami wysmarowanymi czekoladą, i przyglądało nam się poważnie.

- Żaden problem, staruszkule - mruknąłem. - Przywiozę ci ją.

- Tylko jeśli chcesz, Dennis - odparł. - Robi się późno.

- Nie ma sprawy.

- Psze pana... - odezwał się chłopiec, zlizując z palców czekoladę.

- Czego chcesz? - zapytał Arnie.

- Mamusia mówi, że ten mochód jest be.

- Właśnie - zawtórowała mu dziewczynka. - Be i kaku.

- Be i kaku... - powtórzył Arnie. - To bardzo interesujące spostrzeżenie. Czy wasza mama jest może filozofem?

- Nie - odparł chłopiec. - Ona jest Koziorożec. Ja jestem Waga, a moja siostra...

- Wrócę najszybciej, jak będę mógł - powiedziałem niezręcznie.

- Jasne.

- Tylko się nie denerwuj.

- Bez obawy, nikogo nie pobiję.

Pobiegłem truchtem do samochodu. Wskakując za kierownicę usłyszałem jeszcze, jak

dziewczynka pyta głośno mojego przyjaciela:

- Psze pana, a dlaczego pan ma taką brzydką buzię?

Przejechałem półtorej mili do John Kennedy Drive, a więc znalazłem się w okolicy, która według mojej matki, urodzonej i wychowanej w Libertyville, znajdowała się w latach poprzedzających bezpośrednio śmierć Kennedy'ego w centrum najbardziej atrakcyjnych terenów mieszkalnych naszego miasta. Zdaje się, że nadanie temu odcinkowi szosy imienia zamordowanego prezydenta przyniosło okolicy pecha, gdyż poczynając od pierwszej połowy lat sześćdziesiątych następowała coraz szybsza degeneracja, aż wreszcie osiedle zamieniło się w mało interesujące przedmieście. Było tu kino dla zmotoryzowanych, bar McDonalda, Burger King, kawiarnia, dwudziestotorowa kręgielnia oraz osiem albo dziesięć stacji benzynowych, jako że John Kennedy Drive prowadzi do Autostrady Pensylwańskiej.

Kupno opony dla Arniego nie wydawało mi się niczym trudnym, lecz dwie pierwsze stacje, do których podjechałem, należały do tych w pełni zautomatyzowanych, na których nawet nie sprzedają oleju; jest tam tylko benzyna i średnio niedorozwinięta dziewczyna siedząca w budce z kuloodpornymi szybami przy komputerowym monitorze, czytająca "National Enquirer" i żująca gumę tak wielką, że udławiłby się nią każdy muł.

Trzecia należała do Texaco i sprzedawali w niej opony. Mogłem tam wreszcie zakupić gumę do plymoutha (wtedy jeszcze nie potrafiłem myśleć o tym samochodzie jako o Christine ani nawet nie zacząłem go traktować jako "ją") za jedyne dwadzieścia osiem pięćdziesiąt plus podatek, ale obsługę stanowił zaledwie jeden człowiek, który musiał założyć oponę na obręcz, jednocześnie obsługując przyjeżdżających po paliwo klientów. Operacja ta zajęła w sumie ponad czterdzieści pięć minut. Zaproponowałem mu, że zastąpię go na chwilę przy dystrybutorze, lecz on odparł, że szef zabiłby go, gdyby przypadkiem to zobaczył.

Kiedy wreszcie wrzuciłem koło do bagażnika i zapłaciłem facetowi dwa dolary za fatywę, wczesny wieczór zamienił się w późny, jasne światło zaś w gasnący purpurowy poblask. Cienie stały się długie i gęste, jadąc zaś powoli z powrotem widziałem ostatnie promienie słońca padające niemal poziomo na zaśmieconą przestrzeń między kawiarnią Arby'ego a kręgielnią. Ten blask w kolorze płynnego złota był piękny, a zarazem w jakiś dziwny sposób przerażający.

Niespodziewanie ogarnęła mnie potworna panika, podchodząc mi do gardła piekącą falą. Był to pierwszy raz w tym roku - w tym długim, niezwykłym roku - kiedy doznałem takiego uczucia, ale bynajmniej nie ostatni. Mimo to trudno mi je wyjaśnić, czy nawet zdefiniować. Na pewno miało jakiś związek ze świadomością, że jest 11 sierpnia 1978 i że już za miesiąc rozpocznie ostatni rok nauki w szkole, co oznaczało koniec długiego spokojnego okresu mego

życia. Dotarło do mnie, że muszę już zacząć się szykować na spotkanie z dorosłością; po raz pierwszy zrozumiałem to w pięknym, lecz sprawiającym wrażenie ogromnie starego, poblasku zachodzącego słońca zalewającym teren między kręgielnią a budynkiem kawiarni. Mam wrażenie, iż w tej samej chwili zrozumiałem, że najbardziej przerażające w procesie dorastania jest to, że przestaje się przymierzać coraz to nowe maski życia, a zaczyna wypróbować zupełnie inne. Jeśli będąc dziećmi uczymy się żyć, to będąc dorosłymi uczymy się umierać.

Niemile uczucie szybko minęło, pozostawiając mnie jednak roztrzęsionego i ogarniętego melancholią, a więc w stanie ducha w niczym przypominającym mojego zwykłego samopoczucia.

Skrecając ponownie w Basin Drive przestałem zajmować się problemami Arniego, usiłując stawić czoło własnym; rozmyślenia o dorosłości zaprowadziły mnie oczywiście nad brzeg gigantycznych i budzących niepokój (a przynajmniej sprawiających na mnie takie wrażenie) otchłani oznaczających studia, konieczność wyjazdu z domu i perspektywę walki o miejsce w drużynie nie z dziesięcioma lub dwunastoma, lecz z pięćdziesięcioma albo sześćdziesięcioma konkurentami. Powiecie może: wielka sprawa, Dennis, miliard czerwonych Chińczyków dokładnie gównem obchodzi, czy uda ci się zakwalifikować do drużyny uniwersyteckiej już na pierwszym roku. Zgoda. Chcę tylko powiedzieć, że te wszystkie sprawy właśnie wtedy po raz pierwszy nabrały dla mnie zupełnie realnych kształtów... i bardzo niepokojących. Umysł czasem zabiera człowieka na takie wycieczki, niezależnie od tego, czy ma się ochotę mu towarzyszyć, czy nie.

Humor wcale mi się nie poprawił, kiedy zobaczyłem, że mąż królowej tanecznego kroku wrócił do domu i że on i Arnie stoją niemal nos w nos, gotowi w każdej chwili puścić w ruch pięści.

Bachory w dalszym ciągu sterczały okrakiem nad swymi rowerkami przenosząc spojrzenia z Arniego na tatusia i z powrotem, niczym widzowie obserwujący jakiś apokaliptyczny mecz tenisowy, po którym sędzia główny radośnie zastrzeli pokonanego. Zdawały się czekać na tę wspaniałą chwilę, kiedy tatuś rozplaszczy mego chuderlawego przyjaciela na ziemi i zacznie metodycznie wdeptywać go w glebę. Zahamowałem raptownie, wyskoczyłem z samochodu i podbiegłem do nich.

- Dostyc mam już gadania! - ryczał tatuś. - Powtarzam ci, że masz to natychmiast zabrać, i koniec!

Miał wielki rozplaszczony nos pokryty siecią nabrzmiąłych żył, policzki koloru świeżo wypalanej cegły i gruby, nabiegły krwią kark wystający z rozpiętego kołnierzyka roboczej koszuli.

- Nie będę jechał na obręczy - odpowiedział Arnie. - Już to panu mówiłem. Pan też by tego nie zrobił, gdyby to był pański samochód.

- Zaraz sam się przejedziesz na obręczy, panie śliczny - warknął tatuś, zapewne pragnąc



zademonstrować dzieciom, w jaki sposób Mocni Ludzie rozwiązują swoje problemy w Prawdziwym Świecie. - Nie będziesz parkował tej kupy złomu przed moim domem. Nie wnerwiaj mnie, szczeniaku, bo zaraz ci się dostanie!

- Nikomu nic się nie dostanie - wtrąciłem się. - Niech pan da nam chwilę czasu.

Arnie skierował na mnie przepelnione wdzięcznością spojrzenie i dopiero wtedy zobaczyłem, jak bardzo był przerażony. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jest w nim coś - jeden Bóg raczy wiedzieć co - wywołującego w określonym typie facetów pragnienie stłuczenia go na kwaśne jabłko. Musiał być pewien, że czeka go to znowu, lecz tym razem nie cofnął się ani o krok.

Mężczyzna spojrział na mnie.

- Jeszcze jeden - stwierdził takim tonem, jakby dziwił się, że na świecie może być aż tylu kretynów. - Chcecie oberwać we dwóch? Chcecie obaj dostać? Możecie mi wierzyć, dam sobie radę.

Tak, znalazłem ten gatunek. Gdyby był o dziesięć lat młodszy, znajdowałby się z pewnością wśród chłopaków uważających za znakomity kawał wytrącenie Arniemu książek z rąk, kiedy śpieszył się do klasy, lub wrzucenie go w ubranie pod prysznic po lekcji wf. Oni nigdy się nie zmieniają, tylko starzeją i dostają raka płuc od palenia zbyt wielu papierosów albo umierają w wieku pięćdziesięciu trzech lat na zator mózgu.

- Nie, nie chcemy oberwać - powiedziałem. - Na litość boską, przecież on tylko złapał gumę! Panu nigdy się to nie zdarzyło?

- Ralph, niech oni się stąd natychmiast wynoszą!

Tłusta żona wyszła na ganek. Miała wysoki, podekscytowany głos. Oto działo się coś ciekawszego od programu Phila Donahue. Sąsiedzi wyszli przed domy, żeby zobaczyć, o co chodzi, a ja pomyślałem ze znużeniem, że nawet jeśli jeszcze nikt nie wezwał glin, to ktoś na pewno lada chwila to uczyni.

- Nie, nigdy nie złapałem gumy i nie trzymałem przez trzy godziny przed niczym domem takiej przerdzewiałej kupy złomu - odparł głośno Ralph, szczerząc groźnie zęby. W gasnących promieniach słońca widziałem na nich błyszczące kropelki śliny.

- Jeszcze nawet nie minęła godzina - zauważyłem spokojnie.

- Nie bądź taki mądry, chłoptasiu - warknął Ralph. - Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia. Nie lubię takich jak wy. Ciężko haruję, żeby zarobić na życie, wracam zmęczony do domu i nie mam czasu na dyskusje. Macie to stąd natychmiast zabrać, zrozumiano?

- Przywiozłem zapasowe koło - powiedziałem. - Gdyby pozwolił nam pan je założyć...

- I gdyby miał pan choć odrobinę zwykłej przyzwoitości... - wtrącił Arnie.

To prawie załatwiło sprawę. Jeśli istniała jakaś kwestia, której nasz rozmówca nie miał najmniejszej ochoty roztrząsać w obecności dzieci, to była nią jego zwykła przyzwoitość. Zamachnął się na Arniego. Nie wiem, czym by się to wszystko skończyło - być może Arnie wylądowałby w areszcie, a jego cenny pojazd na policyjnym parkingu - gdyby nie udało mi się wykonać błyskawicznego ruchu i chwycić Ralpha za przegub. W gęstniejącym mroku zabrzmiało to jak ciche klaśnięcie.

Tłusta dziewczynka wybuchła płaczem.

Tłusty chłopiec aż przysiadł na swoim rowerku z dolną szczęką zwisającą niemal do piersi.

Arnie, który przemykał niczym zjawa przez najbardziej niebezpieczne miejsca w szkole, tym razem nawet nie drgnął. Wyglądało na to, że wręcz chce zostać uderzony.

Ralph skierował na mnie wściekle spojrzenie wytrzeszczonych oczu.

- Dobra, gówniarzu! - wycharczał. - Ty pierwszy.

Wzmocniłem nacisk na jego rękę.

- Daj spokój, człowieku - powiedziałem półgłosem. - Mówię ci, w kufrze mam zapas. Potrzebujemy pięciu minut, żeby zmienić koło i zniknąć. Proszę...

Nacisk jego ręki stopniowo zelżał. Zerknął na swoje dzieci - dziewczynka nadal pochlipywała, a chłopiec wpatrywał się w nas z rozdziawionymi ustami - i podjął decyzję.

- Pięć minut - zgodził się. - Masz cholerne szczęście, że nie wezwałem policji - dodał, patrząc na Arniego. - Ten złom nie jest dopuszczony do ruchu, a w dodatku nie ma tablic rejestracyjnych.

Spodziewałem się, że Arnie odpowie coś, co jeszcze bardziej zaogni konflikt, ale okazało się, że jednak pozostała mu odrobina rozsądku.

- Dziękuję - bąknął. - Przepraszam, jeśli się uniosłem.

Ralph chrząknął coś niewyraźnie, kilkoma gwałtownymi ruchami wepchnął sobie koszulę w spodnie, po czym przeniósł spojrzenie na dzieci.

- Do domu! - ryknął. - Co tu robicie? Mam wam zaraz przyłupić?

Boże, co za onomatopeiczna rodzina! Może lepiej nie przyłupuj im, tatuśku, bo jeszcze zrobią w majtki be-kaku.

Dzieciaki uciekły do matki, zostawiając rowerki na trawniku.

- Pięć minut - powtórzył Ralph, patrząc na nas złowróbnym wzrokiem. Później wieczorem, kiedy chłopcy przyjdą do niego na piwo, opowie im, w jaki sposób przyczynił się do ochrony zdrowej części społeczeństwa przed pokoleniem seksu i narkotyków. "Tak jest, panowie, kazałem im zabrać sprzed chałupy tę kupę złomu, zanim im nie przyłupię, i mówię wam, ruszali

się tak, jakby zaczęło im się palić pod butami i przypiekać w tyłki”. A potem zapali lucky strike’a. Albo camela.

Wsadziłem podnośnik pod zderzak, lecz Arnie zdążył zaledwie trzy razy poruszyć lewarkiem, kiedy rozległ się suchy trzask i lewarek pękł na dwie części, rozsiewając na jezdni drobinki rdzy. Arnie spojrział na mnie smutnym, żalonym wzrokiem.

- Nie przejmuj się - powiedziałem. - Weźmiemy mój.

Robiło się coraz ciemniej. Po konfrontacji z Wielkim Cwaniakiem z Basin Drive 119 serce wciąż jeszcze biło mi szybciej niż zazwyczaj, w ustach zaś czułem kwaśny posmak.

- Przepraszam cię, Dennis - wyszeptał Arnie. - Więcej nie będę cię w to mieszał.

- Daj spokój. Lepiej bierzmy się za to koło.

Wsadziłem pod plymoutha mój podnośnik (przez kilka okropnych sekund miałem wrażenie, że tylny zderzak lada chwila oderwie się od karoserii z okropnym jękiem dartej metalu), zdjęliśmy koło, założyliśmy nowe, przykręciliśmy lekko śruby i opuściliśmy samochód. Widząc go stojącego z powrotem na jezdni odczułem wielką ulgę; sposób, w jaki wygiął się przerdzewiały zderzak, po prostu mnie przeraził.

- No dobra - powiedział Arnie, dokręcając śruby i nakładając na koło stary, pogięty kołpak.

Kiedy tak stałem, spoglądając na plymoutha, nagle ogarnęło mnie znowu to samo uczucie, którego doznałem w garażu LeBaya. Wytrzeszczyłem oczy na nową oponę, która była tego przyczyną. Wciąż jeszcze miała na sobie delikatne gumowe kolce i znaki wykonane żółtą kredą podczas pośpiesznego wyważania koła na stacji benzynowej.

Zadrzałem lekko... Nie, na pewno nie uda mi się przekazać tego dziwnego wrażenia. Wydawało mi się, że widzę węża gotowego w każdej chwili zrzucić starą skórę i że część tej skóry już odpadła, odsłaniając ukrytą pod spodem błyszczącą świeżość.

Ralph gapił się na nas z ganku. W jednej ręce trzymał ociekającego tłuszczem hamburgera, w drugiej zaś ścisnął puszkę piwa.

- Przystojniak z niego, co nie? - mruknąłem do Arniego, wrzucając do bagażnika plymoutha zepsuty podnośnik.

- Prawdziwy Robert Deadford - odparł Arnie i to załatwiło sprawę: obaj zaczęliśmy chichotać jak szaleni, tak jak to się często dzieje, kiedy opada z nas długotrwałe napięcie.

Arnie cisnął do kufra starą oponę, po czym zaczął dosłownie zwijać się ze śmiechu, przyciskając dłonie do twarzy. Wyglądał jak dzieciak przyłapany na podjadaniu konfitur, który usiłuje zasłonić wymazane usta. Kiedy o tym pomyślałem, nie wytrzymałem i parsknąłem na głos.

- Z czego się śmiejecie, szczeniaki?! - ryknął Ralph, ruszając w dół po schodkach. - Chciecie, żeby te wasze uśmiechy przeszły wam na tył głowy? Zaraz wam pokażę, jak to się robi!

- Zmywamy się stąd, szybko! - rzuciłem do Arniego i pomknąłem do swojego duster. Teraz nie było już mowy o powstrzymaniu śmiechu, który wylewał się ze mnie bez chwili przerwy. Wskoczyłem za kierownicę i wciąż rechocząc jak opętany uruchomiłem silnik. Stojący przede mną plymouth zapalił z ogłuszającym rykiem, posyłając w powietrze chmurę niebieskiego dymu. Nawet przez ten hałas docierał do mnie wysoki, przeraźliwy śmiech Arniego, zbliżający się niebezpiecznie do krawędzi hysterii.

Ralph pędził przez trawnik, wciąż ściskając w dłoniach tłustego hamburgera i puszkę piwa.

- Z czego się śmiejecie, palanty?!

- Z ciebie, matole! - wykrzyknął triumfalnie Arnie i ruszył przy wtórce ogłuszających detonacji. Wcisnąłem raptownie pedał gazu i szarpnąłem kierownicę, by ominąć Ralpha, gnającego ku mnie z żądzą mordy w oczach. Wciąż jeszcze się śmiałem, ale to nie był już zdrowy śmiech, o ile kiedykolwiek nim był, tylko chrapliwy, zadyszany odgłos bardzo podobny do krzyku.

- Zabiję was, palanty! - ryknął Ralph.

Ponownie wdepnąłem pedał gazu, tym razem o mało nie wjeżdżając Arniemu w bagażnik.

- Każ się wypchać! - wrzasnąłem w odpowiedzi i pokazałem Ralphowi wystawiony w górę palec.

Został za nami. Przez chwilę usiłował nas gonić, biegnąc po chodniku, a potem zatrzymał się, dysząc z trudem i miotając za nami obelgi.

- Co za cholerny dzień - powiedziałem na głos i aż się przestraszyłem roztrzęsionego, płaczliwego brzmienia mego głosu. Znowu miałem w ustach ten sam kwaśny posmak. - Co za cholerny pieprzony dzień.

Stojący przy Hampton Street Garaż Darnella był długą budowlą o zardzewiałych ścianach z blachy falistej i również zardzewiałym dachu wykonanym z tego samego materiału. Od frontu wisiał niechlujny szyld z napisem: ZAOSZCZĘDŹ TROCHĘ PIENIĘDZY! TWOJE UMIEJĘTNOŚCI, NASZE NARZĘDZIA! A niżej, nieco mniejszymi literami: **Wynajem miejsc parkingowych na tydzień, miesiąc lub rok.**

Za garażem rozciągało się złomowisko. Zajmowało cały kwartał i było otoczone półtorametrowej wysokości płotem z tej samej blachy falistej, co stanowiło apatyczny ukłon

Darnella w stronę Rady Planowania Przestrzennego Miasta. Nie znaczy to wcale, że istniały choćby najmniejsze szanse na to, żeby Rada dobrała się Darnellowi do skóry, i to nie tylko dlatego, że dwóch spośród jej trzech członków było jego przyjaciółmi. Will Darnell znał w Libertyville wszystkich, którzy się liczyli. Należał do ludzi poruszających się bezszelestnie za kulisami, jakich można spotkać niemal w każdym niewielkim miasteczku.

Słyszałem pogłoski, jakoby maczał palce w kwitnym w naszych szkołach średnich handlu narkotykami oraz że utrzymuje kontakty z ważnymi osobistościami świata przestępczego w Pittsburgu i Filadelfii. Nie wierzyłem w te plotki - w każdym razie wydawało mi się, że nie wierzę - ale wiedziałem, że jeśli potrzebowałeś na Czwartego Lipca petard, sztucznych ogni albo rakiet, mogłeś je kupić właśnie u Willa Darnella. Słyszałem także od ojca, że dwanaście lat temu, kiedy byłem zaledwie pięcioletnim brzdącem, Will stanął przed sądem jako jeden z głównych oskarżonych w procesie gangu kontrolującego handel skradzionymi samochodami na terenie rozciągającym się od Nowego Jorku po Bangor w stanie Maine. Ostatecznie zarzuty zostały oddalone, lecz mój tato był całkowicie pewien, że Darnell siedzi po uszy w wielu innych nielegalnych przedsięwzięciach, poczynając od porywania ciężarówek, na podrabianiu antyków kończąc.

“Najlepiej trzymać się od tego miejsca z daleka, Dennis” - powiedział mi ojciec rok temu, wkrótce po tym, jak kupiłem swojego pierwszego grata i zainwestowałem dwadzieścia dolarów w wynajęcie jednego ze stanowisk w Garażu Darnella, by samodzielnie wymienić gaźnik, co ostatecznie zakończyło się całkowitym niepowodzeniem.

“Najlepiej trzymać się od tego miejsca z daleka”... A mimo to jechałem tam o zmroku za moim przyjacielem Arniem, widząc na niebie wspomnienie minionego dnia w postaci ciemnokrwistego zabarwienia nad zachodnim horyzontem. W blasku reflektorów dostrzegłem wystarczająco dużo porzucanych części, wraków i przeróżnych śmieci, żeby poczuć się jeszcze bardziej przygnębionym i zmęczonym niż do tej pory. Uświadomiłem sobie, że nie zadzwoniłem do domu i że rodzice pewnie zachodzą w głowę, gdzie, do diabła, mogłem się podziać.

Arnie podjechał do wielkich drzwi z tabliczką “Proszę zatrzeć”. Przez znajdujące się obok, zarośnięte brudem okienko sączyło się przyćmione światło - ktoś jednak był wewnątrz; z najwyższym trudem powstrzymałem się, żeby wychylić się przez okno i powiedzieć Arniemu, by na tę noc zostawił samochód przed moim domem. Wyobraziłem sobie, jak wchodzimy do środka i zastajemy Willa Darnella i jego kompanów dokonujących przeglądu skradzionych telewizorów lub przemalowujących transport ukradzionych cadillaców. Twardzi Chłopcy przybyli do Libertyville.

Arnie siedział za kierownicą nie trąbiąc ani nie wykonując żadnego ruchu; miałem już

pójść i zapytać go, o co chodzi, kiedy nagle wysiadł z samochodu i podszedł do mnie. Nawet w gęstniejącej ciemności bez trudu dostrzegłem, jak bardzo jest zażenowany.

- Czy mógłbyś zatrąbić za mnie, Dennis? - zapytał pokornie. - Zdaje się, że klakson Christine nie działa.

- Jasne.

- Dzięki.

Trąbnałem dwa razy i po chwili wielkie drzwi powędrowały z klekotem w górę. Ujrzeliśmy Willa Darnella we własnej osobie, z brzuszyskiem przelewającym się nad paskiem spodni. Machnął niecierpliwie na Arniego, żeby wjechał do środka.

Wykręciłem, zaparkowałem samochód przodem do wyjazdu i również wszedłem do garażu.

Wnętrze było obszerne, przypominające ogromną kryptę, i niesamowicie ciche u schyłku dnia. Wzdłuż obu ścian ciągnęło się sześćdziesiąt stanowisk naprawczych, każde wyposażone w przynitowaną do podłogi skrzynię z narzędziami dla majsterkowiczów, którzy mieli rozpadające się samochody, natomiast nie mieli narzędzi. Pod wysokim sufitem krzyżowały się nagie, kojarzące się z rusztowaniem, pręty.

Wszędzie było mnóstwo napisów: PO SKOŃCZENIU PRACY ZGŁOŚ NARZĘDZIA DO PRZEGLĄDU, PODNOŚNIK TRZEBA ZAMAWIAĆ Z WYPRZEDZENIEM, SCHEMATY I PORADNIKI WYŁĄCZNIE DO WGLĄDU, ZABRANIA SIĘ KŁAĆ I BLUŻNIĆ. Wisiało ich tam jeszcze znacznie więcej; gdziekolwiek spojrzalesz, jeden z nich zawsze musiał rzucić ci się w oczy. Will Darnell uwielbiał napisy.

- Boks dwudziesty! - ryknął Darnell do Arniego swoim zirytowanym, astmatycznym głosem. - Zaprowadź go tam i wyłącz, zanim wszyscy się tu podusimy!

To "wszyscy" odnosiło się do grupy mężczyzn siedzących w odległym kącie przy potężnych rozmiarów stole zagraconym chipsami, kartami do gry i butelkami z piwem. Wszyscy przyglądali się nowemu nabytkowi Arniego z różnym natężeniem odrazy lub rozbawienia.

Arnie podjechał do stanowiska numer dwadzieścia, wprowadził tam Christine i wyłączył silnik. W obszernym, kojarzącym się z jaskinią wnętrzu unosiły się obłoki niebieskich spalin.

Darnell odwrócił się do mnie. Miał na sobie przypominającą żagiel białą koszulę i spodnie w kolorze khaki. Fałdy tłuszczu otaczały jego kark i wisiały mu pod brodą.

- Jeśli to ty sprzedałeś mu tę kupę gówna, to powinieneś się cholernie wstydzić - powiedział tym samym astmatycznym głosem.

- Nie sprzedałem mu tego. - Z jakiejś absurdalnej przyczyny zacząłem usprawiedliwiać się przed tym polciem tłuszczu tak, jakby był moim ojcem. - Próbowałem nawet wybić mu to z

głowy.

- Chyba za słabo się starałeś.

Ruszył w kierunku boksu numer dwadzieścia, gdzie Arnie właśnie wysiadł ze swego samochodu. Kiedy trzasnął drzwiami, na posadzkę posypał się deszcz rdzy.

Pomimo astmy Darnell poruszał się niemal jak kobieta, z wdziękiem kogoś, kto jest gruby już od bardzo dawna i widzi przed sobą jeszcze wiele lat otyłości. Zaczął drzeć się na Arniego, jeszcze zanim tamten zdążył na niego choćby spojrzeć. Przypuszczam, że Willa Darnella można było określić jako człowieka, który nie pozwolił się pokonać swoim słabościom.

Tak samo jak dzieciaki w szkolnej palarni, jak Ralph na Basin Drive, jak Buddy Repperton (obawiam się, że wkrótce dojdziemy także do niego), poczuł do Arniego natychmiastową niechęć, a raczej wręcz nienawiść.

- Słuchaj no, ostatni raz pozwoliłem ci wjechać tutaj tym zasranym gratem bez węża na rurze wydechowej! - ryknął. - Jak cię jeszcze raz na tym przyłapię, natychmiast stąd wylecisz, rozumiesz?

- Tak. - Arnie wyglądał na małego, zmęczonego i pokonanego. Resztki tajemniczej energii, która towarzyszyła mu do tej chwili, zniknęły bez śladu. Bolało mnie serce, kiedy widziałem go w takim stanie. - Ja...

Było to wszystko, co pozwolił mu powiedzieć Darnell.

- Jak chcesz go wypożyczyć, płacisz dwa pięćdziesiąt za godzinę, ale musisz wcześniej to zgłosić. Powiem ci coś jeszcze, młody przyjacielu, i mam nadzieję, że weźmiesz to sobie głęboko do serca: nie daję się nabierać takim szczeniakom jak wy. Ta buda jest dla ludzi, którzy muszą mieć wozy na chodzie, żeby zarobić na chleb dla rodziny, nie dla bogatych gówniarzy szpanujących przed dziewczynami. Poza tym tu się nie pali. Jak chcesz się sztachnąć, możesz wyjść na dwór.

- Ja nie pa...

- Nie przerywaj mi, synu. Nie przerywaj mi i nie staraj się być cwany.

Darnell stał teraz dokładnie naprzeciwko Arniego. Będąc zarówno wyższym, jak i szerszym, przesłaniał całkowicie mojego przyjaciela.

Znowu ogarnęła mnie złość. Niemal słyszałem, jak moje ciało jęczy żalośnie, rozkolysane na huśtawce emocji, które zaczęły się wtedy, kiedy zajechaliśmy pod dom LeBaya i zobaczyliśmy na trawniku puste miejsce po tym przeklętym samochodzie.

Dzieci i młodzież należą do klas uciskanych; po kilku latach każdy z nas potrafi wobec takich typów jak Will Darnell zastosować metodę polecaną w "Chacie wuja Toma": "Tak, proszę pana, nie, proszę pana, ma pan rację, proszę pana". Boże, ale tym razem ten typek trochę

przesadzał.

Nagle chwyciłem go za ramię.

- Proszę pana...

Odwrócił się do mnie gwałtownie. Przekonałem się po raz kolejny, że im bardziej nie lubię jakiegoś dorosłego, tym łatwiej mi zwracać się do niego "proszę pana".

- Czego?

- Tamci ludzie palą. Może powie im pan, żeby przestali?

Wskazałem siedzących w kącie mężczyzn. Przed chwilą skończyło się nowe rozdanie i nad stołem wisiała chmura papierosowego dymu.

Darnell spojrzał na nich, a potem znowu na mnie. Miał bardzo poważną twarz.

- Chcesz pomóc swojemu koleśowi, żeby stąd szybciej wyleciał?

- Nie, proszę pana.

- W takim razie zamknij jadaczkę.

Darnell położył mięsiste dłonie na szerokich, dobrze wypchanych biodrach i odwrócił się z powrotem do Arniego.

- Potrafię poznać pętaka, jak tylko go zobaczę, i wydaje mi się, że właśnie teraz na takiego patrzę - powiedział. - Jesteś tu na próbę, chłoptasiu. Podpadnij mi choć raz, to natychmiast wywalę cię na zbity łeb, bez względu na to, za jaki czas zapłaciłeś z góry.

Tępa wściekłość wypełzła mi z żołądka i dotarła do głowy, powodując pulsujący ból. W duchu błagałem Arniego, żeby powiedział temu grubemu fiutowi, co może sobie zrobić z tymi groźbami. Oczywiście zaraz potem do sporu włączyliby się koleśie Darnella i najprawdopodobniej obaj zakończylibyśmy ten uroczy wieczór w izbie przyjęć szpitala miejskiego, gdzie założono by nam na głowy niezbędną liczbę szwów... Mimo to uważałem, że gra byłaby warta świeczki.

Arnie, powiedz mu, żeby wsadził to sobie w dupę, i zmywajmy się stąd. Postaw mu się, Arnie. Nie pozwalaj mieszać się z błotem. Nie bądź ofiarą, Arnie - skoro potrafiłeś postawić się matce, potrafisz postawić się temu głupiemu durniowi. Tylko ten jeden raz.

Arnie przez długą chwilę stał w milczeniu z opuszczoną głową, po czym powiedział:

- Dobrze, proszę pana.

Słowa były tak ciche, że prawie niesłyszalne, on zaś sprawiał wrażenie, jakby o mało się nimi nie zakrztusił.

- Co powiedziałeś?

Arnie podniósł głowę. Jego twarz była śmiertelnie blada, a oczy pełne łez. Nie mogłem na to patrzeć. Ten widok sprawiał mi zbyt wielki ból, więc odwróciłem się. Pokerzyści przerwali



grę, by obserwować rozwój wydarzeń przy stanowisku numer dwadzieścia.

- Powiedziałem: "Dobrze, proszę pana" - powtórzył Arnie drżącym głosem. Wyglądało to tak, jakby właśnie podpisał jakieś okropne wyznanie. Spojrzałem jeszcze raz na plymoutha rocznik 58 stojącego tu, w garażu, choć jego właściwe miejsce było na złomowisku wraz z resztą przездzewiałych wraków Darnella, i zniechędziłem go do końca za to, co robił Arniemu.

- Dobra, zjeżdżajcie stąd - warknął Daraell. - Już zamknięte.

Arnie ruszył na oślep przed siebie i bez wątpienia wpadłby na stos starych opon, gdybym w ostatniej chwili nie złapał go za ramię. Darnell odszedł w drugą stronę, w kierunku stołu do gry w karty. Kiedy tam dotarł, powiedział coś do kumpli swoim astmatycznym głosem, a oni odpowiedzieli rykiem śmiechu.

- Nic mi nie jest, Dennis - powiedział Arnie, jakbym go o to pytał. Miał zaciśnięte zęby i łapał powietrze gwałtownymi, płytkimi łykami. - Nic mi nie jest, jedźmy już stąd. Nic mi nie jest.

Cofnąłem rękę. Kiedy byliśmy już przy drzwiach, Darnell wrzasnął za nami:

- Tylko nie przyprowadzaj tu swoich kumpli, bo wywalę cię na zbity pysk!

- I zostaw prochy w domu! - dodał jeden z karciarzy.

Arnie skurczył się jeszcze bardziej. Był moim przyjacielem, ale w takich chwilach po prostu go nienawidziłem.

Wyszliśmy w chłodną ciemność. Drzwi opadły za nami z klekotem. W taki właśnie sposób odstawiliśmy Christine do Garażu Darnella. Świetna zabawa, no nie?

## 6. NA ZEWNĄTRZ

*Kupiłem sobie wóz,  
Wlałem paliwo super  
I powiedziałem wszystkim  
Niech mnie całują w kufer...*

Glenn Frey

Wsiadliśmy do mojego samochodu i wyjechaliśmy na ulicę. Zrobiło się już po dziewiątej. Jak ten czas leci, kiedy człowiek dobrze się bawi! Na niebie wisiał księżyc w drugiej kwadrze, do spółki z pomarańczowymi latarniami na ogromnym parkingu przy Monroeville Mall przyćmiewając blask każdej gwiazdy, jaką można by zobaczyć tej nocy.

Minęliśmy w milczeniu pierwsze dwie lub trzy przecznice, a potem Arnie nagle wybuchnął płaczem. Przypuszczałem, że może do tego dojść, lecz przeraziła mnie gwałtowność, z jaką to nastąpiło. Natychmiast zatrzymałem wóz przy krawężniku.

- Arnie...

Na tym skończyłem. Zrozumiałem, że będzie płakał dopóty, dopóki sam nie przestanie. Łzy i szloch płynęły wartkim, gorzkim strumieniem, nie napotykając żadnego oporu, gdyż Arnie zużył tego wieczoru wszystkie zapasy powściągliwości. Początkowo wydawało mi się, że to zwykła reakcja - sam czułem się podobnie, z tą tylko różnicą, że moje doznania skoncentrowały się w głowie, w wyniku czego bolała mnie jak przegniły ząb, oraz w żołądku, który miałem ściśnięty jak pięść.

Tak, w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że to zwyczajne odreagowanie stresu, spontaniczne danie upustu uczuciom - i być może początkowo tak było w istocie. Jednak po minucie lub dwóch uświadomiłem sobie, że w grę wchodzi coś znacznie głębszego. Poza tym wśród dźwięków, jakie z siebie wydawał, zacząłem wychwytywać słowa - najpierw pojedyncze i oderwane, potem coraz więcej.

- Dorwę ich! - wykrzyknął przez łzy. - Dorwę ich, tych cholernych sukinsynów, dorwę ich, Dennis! Pożalują tego, gorzko pożalują, zeżrą wszystko do końca, zeżrą to, ZEŻRĄ...!

- Przestań! - wykrztusiłem, coraz bardziej przerażony. - Arnie, przestań!

Ale on nie chciał przestać. Zaczął uderzać pięścią w wyściółkę tablicy rozdzielczej, pozostawiając w niej wyraźne ślady.

- Dorwę ich, Dennis! Zobaczysz, że to zrobię!

W przyćmionym blasku księżycy i pobliskiej latarni jego twarz sprawiała wrażenie wyniszczonej i jędrzowatej. Wydał mi się wtedy zupełnie obcy. Przebywał w tych lodowatych miejscach wszechświata, które lubiący się dobrze zabawić Bóg rezerwuje dla takich jak on. Nie znałem go. Nie chciałem go znać. Mogłem tylko siedzieć bezsilnie i mieć nadzieję, że ten Arnie, którego dobrze znałem, jednak wróci. Po pewnym czasie tak się istotnie stało.

Historyczne słowa zamieniły się w łkanie. Nienawiść zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie płacz - głęboki i donośny.

Siedziałem za kierownicą mojego samochodu, nie bardzo wiedząc, co począć, żalując, że nie jestem gdzie indziej, gdziekolwiek indziej - na przykład u Toma McAna, przymierzając nowe buty albo wypełniając czek w supermarkecie, albo stojąc z biegunką przed płatną toaletą bez choćby centa w kieszeni. Boże, gdziekolwiek! Wcale nie musiałoby to być Monte Carlo. A przede wszystkim żalowałem, że nie jestem starszy. Ze obaj nie jesteśmy starsi.

Ale takie myślenie nie miało żadnego sensu. Wiedziałem, co muszę zrobić. Niechętnie, z oporami, przesunąłem się na siedzeniu, objąłem go ramieniem i przyciągnąłem do siebie. Czulem na piersi jego gorącą twarz. Siedzieliśmy tak chyba przez pięć minut, po czym odwiozłem go do domu i sam także wróciłem do siebie. Później żaden z nas nie wspomniał o tym epizodzie. Nikt nie szedł wtedy ulicą i nie zobaczył nas siedzących w zaparkowanym przy krawężniku samochodzie. Przypuszczam, że wyglądaliśmy jak para pedałów. Siedziałem bez ruchu, przyciskając go serdecznie do piersi i zastanawiając się, jak doszło do tego, że byłem jedynym przyjacielem Arniego Cunninghama. Możecie mi wierzyć, że akurat wtedy wcale nie chciałem być jego przyjacielem.

Jednak właśnie wtedy uświadomiłem sobie także - choć na pewno nie do końca - że od tej pory będzie miał jeszcze jednego przyjaciela - Christine. Nie mogę powiedzieć, żeby wzbudziło to mój zachwyt, choć przez cały ten długi dzień babraliśmy się razem w gównie właśnie z jej powodu.

- Nic ci nie jest, staruszkule? - zapytałem, zatrzymując dusterę przed domem Arniego.

Udało mu się uśmiechnąć.

- Wszystko w porządku. - Spojrzał na mnie ze smutkiem. - Wiesz, chyba powinieneś zająć się jakąś inną działalnością charytatywną. Fundusz Serca. Towarzystwo Przeciwrakowe. Cokolwiek.

- Daj spokój.

- Wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

- Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że jesteś mazgaj, to nie mówisz mi nic nowego.

Zapaliło się światło na ganku i z domu wybiegli Michael i Regina, prawdopodobnie po to, by przekonać się, czy to my, czy też policja, która przyjechała zawiadomić ich o tym, że ich jedyne dziecko zostało rozjechane na autostradzie.

- Arnold?! - zawołała Regina piskliwym głosem.

- Zmywaj się stąd, Dennis - mruknął Arnie ponownie się uśmiechając, tym razem nieco szczerzej. - Nic ci po tym gównie. - Wysiadł z samochodu. - Cześć, mamó. Cześć, tato - powiedział z należnym szacunkiem.

- Gdzie byłeś? - zapytał Michael. - Przestraszyłeś matkę, młody człowieku!

Arnie miał rację: mogłem się doskonale obejść bez sceny pojednania. Zerknąłem tylko raz we wsteczne lustro i zobaczyłem go stojącego na podjeździe, samotnego i wystawionego na wszelkie ciosy, a potem tamci dwoje wzięli go między siebie i poprowadzili do rodzinnego gniazda wartości sześćdziesięciu tysięcy dolarów, bez wątpienia starając się ze wszystkich sił wykorzystać umiejętności nabyte podczas Kursu Efektywnego Rodzicielstwa lub czegoś w tym rodzaju. Najgorsza w tym wszystkim była ta ich przekłeta racjonalność. To, kim był, zawdzięczał w znacznej mierze właśnie im, lecz oni z kolei byli zbyt skurwysyńsko racjonalni, żeby to zrozumieć.

Włączyłem radio na UKF-104, gdzie trwał Weekendowy Blok Muzyczny i złapałem Boba Segera i Silver Bullet Band śpiewających "Still the Same"<sup>2</sup>. Przypadkowe całkowite przeciwieństwo okazało się ponad moje siły, więc przełączyłem się na transmisję z meczu Kingsów.

Filadelfijczycy przegrywali. To było w porządku. Mieściło się w głównym nurcie wydarzeń.

---

<sup>2</sup> Still the same - wciąż taki sam (przyp. tłum.).

## 7. ZŁE SNY

*Prawdziwy ze mnie pędziwiatr, skarbie,  
Nie dogonisz mnie za nic w świecie.  
Tak, niezły ze mnie pędziwiatr, bracie,  
Nie złapiesz mnie nigdy w życiu.  
Chodź tu, pościgaj się ze mną,  
A przekonasz się, co to znaczy.  
Przygotuj się, skarbie! Cofnij się o krok!  
Zaraz strzelę ci w oczy fontanną piachu.*

### Bo Diddley

Kiedy dotarłem do domu, tata i siostra siedzieli w kuchni zajadając kanapki z syropem cukrowym. Natychmiast poczułem głód i uświadomiłem sobie, że nie jadłem kolacji.

- Gdzie byłeś, mistrzu? - zapytała Elaine nie odrywając wzroku od któregoś ze swoich pisemek. Zaczęła nazywać mnie mistrzem w ubiegłym roku, kiedy odkryłem Bruce'a Springsteena i stałem się jego fanatykiem. Chciała w ten sposób zaleźć mi za skórę.

W wieku czternastu lat Elaine zaczęła pozostawiać za sobą dzieciństwo, przeistaczając się stopniowo w dojrzałą amerykańską piękność, którą w końcu się stała - wysoką, ciemnowłosą i niebieskooką. Jednak wtedy, późnym latem 1978 roku, stanowiła typowy przykład nastoletniego stadnego zwierzątka. Zaczęła w wieku dziewięciu lat od Donny i Marie, dwa lata później zadurzyła się bez reszty w Johnie Travolcie (pewnego dnia popełniłem błąd nazywając go Johnem Revoltą, a ona podrapała mnie tak dotkliwie, że o mało nie miałem zszywanego policzka - myślę, że w pewnym sensie zasłużyłem sobie na to). Jako dwunastolatka przerzuciła się na Shauna. Potem był jeszcze Andy Gibb, a dopiero ostatnio zaczęła przejawiać groźniejsze gusta, uwielbiając heavymetalowców w rodzaju Deep Purple i nową grupę Styx.

- Pomagałem Arniemu pozalutować wszystko z jego samochodem - powiedziałem nie tyle do Ellie, co raczej do ojca.

- Temu wypierdkowi! - parsknęła, odwracając stronę.

Poczułem nagle, niesamowicie silne pragnienie, żeby wyrwać jej pismo z rąk, rozedrzeć na pół i cisnąć w twarz. Był to kolejny dowód na to, jak nieprawdopodobnie stresujący był dla mnie miniony dzień. Elaine wcale nie uważa Arniego za wypierdka, tylko stara się wykorzystać

każdą okazję, żeby wbić mi szpilę. Jednak zdaje się, że w ciągu ostatnich kilku godzin musiałem wysłuchać zbyt wielu obelg pod jego adresem. Na litość boską, przecież jego lzy jeszcze nie wyschły mi na koszuli, a poza tym chyba sam czułem się trochę jak wypierdek.

- Co porabiają chłopcy z Kiss, moja droga? - zapytałem słodkim głosem. - Pisałeś może ostatnio jakieś miłosne listy do Erika Estrady? "Och, Erik, jestem gotowa umrzeć dla ciebie! Dostaję rozległego zawału serca za każdym razem, kiedy wyobrażę sobie twoje grube, tłuste usta przysysające się do moich..."

- Jesteś zwierzę - oświadczyła lodowatym tonem. - Jesteś zwierzę, nic więcej.

- Nic na to nie poradzę.

- Zgadza się.

Wzięła w jedną rękę pismo, w drugą kanapkę z syropem i wymaszerowała do salonu.

- Tylko nie zachlap podłogi, Elaine! - ostrzegł ją tata, psując jej nieco efekt.

Poszedłem do lodówki i wygrzebałem z niej kanapkę z kielbasą bolońską oraz znalazłem pomidora, który nie wyglądał tak, jakby miał zamiar już dawno przejść na emeryturę. Było tam także napoczęte opakowanie topionych serków, lecz obrzydzenie, jakiego nabrałem do tego paskudztwa w szkole podstawowej, jeszcze mnie nie opuściło. Zdecydowałem się ponadto na szklankę mleka i zupę w puszcze.

- Kupił go? - zapytał tata.

Mój ojciec pracuje jako doradca podatkowy dla H & R Blocków, a także prowadzi niewielką działalność konsultacyjną na własną rękę. W dawnych czasach był radcą prawnym jednego z największych biur architektonicznych w Pittsburghu, ale dostał zawału serca i musiał zrezygnować. Dobry z niego człowiek.

- Tak, kupił.

- Nadal uważasz, że to grat?

- Jeszcze gorzej. Gdzie mama?

- Na swoich zajęciach.

Nasze oczy spotkały się na chwilę i obaj o mało nie parsknęliśmy śmiechem. Natychmiast spojrzeliśmy w przeciwnie strony, bardzo zawstydzeni, lecz nawet uczucie wstydu niewiele nam pomogło. Moja mama ma czterdzieści trzy lata i pracuje jako higienistka. Dość długo nie wykonywała swojego zawodu, lecz po chorobie taty wróciła do pracy.

Cztery lata temu doszła do wniosku, że ma talent pisarski. Zaczęła płodzić wiersze o kwiatach i opowiadania o uroczych ludziach w jesieni życia. Od czasu do czasu przerzucała się na drapieżny realizm i wtedy powstawała opowieść o młodej dziewczynie, która postanowiła "wykorzystać okazję", lecz w ostatniej chwili doszła do wniosku, że Lepiej Zachować To Dla Męża.

Tego lata zapisała się na warsztaty pisarskie na Uniwersytecie Horlicks - jak pamiętacie, tam właśnie uczyli Michael i Regina Cunninghamowie - i zaczęła gromadzić wszystkie notatki i utwory w zeszycie, który zatytułowała "Szkice o Pięknie i Miłości".

Powiecie może (zresztą zupełnie słusznie), że nie ma nic śmiesznego w kobiecie, która wychowała dzieci, zdobyła zawód, a następnie postanowiła robić coś, co pomoże jej nieco rozszerzyć horyzonty. Oczywiście, będziecie mieli całkowitą rację. Możecie również powiedzieć, że ojciec i ja powinniśmy się wstydzić, że jesteśmy tylko męskimi szowinistycznymi świniami chrząkającymi w kuchni, i też będziecie mieli całkowitą rację. Nie mam najmniejszego zamiaru twierdzić inaczej, choć pozwolę sobie tylko zauważyć, że gdybyście musieli równie często jak my - i czasem Elaine - wysłuchiwać czytanych na głos fragmentów "Szkiców o Pięknie i Miłości", z pewnością zrozumielibyście przyczynę naszego zachowania.

Cóż, zawsze była i nadal jest wspaniałą mamą, a przypuszczam, że dla mojego ojca także wspaniałą żoną - w każdym razie nigdy nie słyszałem, żeby narzekał, i nigdy nie znikał na całą noc z domu, żeby pić z kolegami; na nasze usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że ani razu nie roześmialiśmy się jej w twarz. Wiem, że to niewiele, ale na pewno więcej niż nic. Żaden z nas za nic w świecie nie sprawiłby jej takiego bólu.

Zasłoniłem sobie usta dłonią, usiłując powstrzymać wydobywający się przez nie chichot, natomiast tata sprawiał wrażenie, jakby zakrztusił się kanapką. Nie wiem, co mu akurat przyszło na myśl, ale ja miałem jeszcze świeżo w pamięci ostatni esej zatytułowany "Czy Jezus miał psa?"

Biorąc pod uwagę wszystko, co przydarzyło mi się tego dnia, było to już doprawdy za dużo. Wyjąłem z szafki przy zlewozmywaku szklanę na mleko, a kiedy odwróciłem się, ojciec zdołał już nad sobą zapanować. Dzięki temu mogłem uczynić to samo.

- Marnie wyglądałeś, kiedy tu wszedłeś - powiedział. - Czy z Arniem wszystko w porządku?

- Jasne - odparłem, wlewając zupę do rondelka i stawiając go na palniku. - Kupił sobie wóz, który jest kupą złomu, ale z nim wszystko w porządku.

Oczywiście była to nieprawda, lecz są pewne sprawy, o których po prostu nie można opowiedzieć swojemu ojcu, bez względu na to, jak znakomicie wypełnia wspaniałe amerykańskie powołanie do ojcostwa.

- Są tacy ludzie, którzy o wszystkim muszą przekonać się na własnej skórze - powiedział.

- Mam nadzieję, że on też szybko się przekona. Wynajął u Darnella stanowisko za dwadzieścia dolców tygodniowo, bo rodzice nie pozwolili mu trzymać wozu przed domem.

- Dwadzieścia tygodniowo? Za samo stanowisko, czy i za narzędzia?

- Samo stanowisko.

- To rozbój na prostej drodze!

- Zgadza się - potwierdziłem. Nie umknęło mojej uwagi, iż tata nie poparł swego stwierdzenia propozycją, by Arnie przyprowadził samochód do nas.

- Partyjkę remika?

- Może być.

- Uszy do góry, Dennis. Nie dasz rady ciągle naprawiać czyichś błędów.

- Tak... Chyba tak.

Rozegraliśmy aż cztery partie, wszystkie wygrane przez niego. Zawsze wygrywa, chyba że jest bardzo zmęczony albo wypił wcześniej parę drinków. Nie mam nic przeciwko temu, bo w ten sposób moje zwycięstwa nabierają większej wagi. Po pewnym czasie zjawila się mama; z przyciśniętym do piersi grubym zeszytem, zaróżowionymi policzkami i błyszczącymi oczami wyglądała zbyt młodo na to, żeby być moją mamą. Pocałowała ojca - nie tak jak zwykle, od niechcenia, ale naprawdę - a ja nagle poczułem się tak, jakbym powinien być zupełnie gdzie indziej.

Ona także zapytała o Arniego i jego samochód, co powoli stawało się najczęściej poruszonym tematem w naszym domu. Poprzednio miejsce to zajmował Sid, brat matki, który zbankrutował i poprosił ojca o pożyczkę. Powtórzyłem swoją historię, po czym poszedłem na górę do łóżka. Ledwo powlóczyłem nogami, a poza tym odniosłem wrażenie, że mama i tata mają do załatwienia coś tylko we dwoje... choć, jak z pewnością rozumiecie, były to sprawy, których nigdy zbyt dokładnie nie roztrząsałem.

Elaine leżała na łóżku słuchając najnowszej listy przebojów. Poprosiłem ją, żeby trochę ściszyła radio, bo idę spać. W odpowiedzi pokazała mi język. Nie mogłem puścić jej tego płazem, więc zacząłem ją laskotać i robiłem to tak długo, aż zagroziła, że za chwilę się porzyga. Odparłem na to, że proszę bardzo, może sobie rzygać, przecież to jej łóżko, i polaskotałem ją jeszcze trochę. W końcu przybrała wyraz twarzy mający oznaczać: "proszę cię, Dennis, nie żartuj sobie ze mnie, bo to naprawdę bardzo ważne" i zapytała, czy to prawda, że można zapalić pierdnięcie. Jedną z jej przyjaciółek, Carolyn Shambless, twierdziła, że można, ale Carolyn kłamie przy każdej okazji, więc...

Poradziłem jej, żeby zapytała o to Miliona Dodda, swojego zapasionego chłopaka. Wtedy wściekła się na serio, próbowała mnie uderzyć i zapytała: "dlaczego ty zawsze musisz być taki okropny, Dennis?" Odpowiedziałem jej więc, że owszem, można zapalić pierdnięcie, ale żeby raczej tego nie próbowała, po czym uściśnąłem ją (odkąd zaczęły jej rosnąć piersi, robiłem to coraz rzadziej, gdyż czułem się wtedy trochę nieswojo - podobnie miała się rzecz z laskotaniem, szczerze mówiąc) i poszedłem spać.



To nie był wcale taki najgorszy dzień - pomyślałem zdejmując ubranie. Otaczają mnie ludzie, którzy uważają mnie za ludzką istotę, podobnie jak Arniego. Zaproszę go na jutro albo na niedzielę i poleniuchujemy trochę, obejrzymy w telewizji mecz albo zagramy w jakąś idiotyczną grę planszową i w ten sposób otrząśniemy się z resztek niesamowitości. Znowu staniemy się normalni.

Tak więc kładąc się do łóżka miałem wszystko porządnie poukładane w głowie i powinienem był natychmiast zasnąć, ale tak się wcale nie stało. Dlatego, że to jednak nie było normalne, i ja doskonale o tym wiedziałem. Kiedy coś się zaczyna dziać, czasem nie masz najmniejszego pojęcia, co to właściwie jest.

Silniki. To jeszcze jeden charakterystyczny element związany z nastoletniością. Jest całe mnóstwo silników, a pewnego dnia do twojej dłoni trafiają kluczyki do jednego z nich i uruchamiasz go, choć nie masz chrzanionego pojęcia, czym właściwie są ani co robią. Otrzymujesz pewne wskazówki, ale to wszystko. Tak samo jest z prochami, alkoholem i seksem, a czasem również z innymi rzeczami - pracą wakacyjną, która budzi w tobie nowe zainteresowania, wycieczką, jednym z przedmiotów w szkole. Silniki. Dostajesz kluczyki i parę wskazówek i słyszysz: "Uruchom go i zobacz, co się będzie działo". Czasem to, co się dzieje, wciągnie cię w dobre i interesujące życie, a czasem wypchnie cię na autostradę, prowadzącą prosto do piekła, i zostawi cię zmalretowanego i zakrwawionego na poboczu drogi.

Silniki.

Duże silniki. Jak te 382, które montowano w starych samochodach. Takich jak Christine.

Leżałem w ciemności przewracając się z boku na bok, aż wreszcie ściągnąłem i zmiotoliłem całe prześcieradło, i myślałem o LeBayu mówiącym: "nazywa się Christine". W jakiś sposób Arnie dał się na to złapać. Kiedy byliśmy mali, mieliśmy najpierw trójkołowce, a potem normalne rowery ja zawsze nadawałem swoim jakieś imiona, lecz Arnie nigdy tego nie robił. Uważał, że imiona są dla psów, kotów i złotych rybek. To jednak było wtedy, a teraz było teraz. Teraz nazywał swojego plymoutha Christine, a co gorsza, nigdy nie mówił o nim "on" albo "to", tylko zawsze "ona".

Nie podobało mi się to, choć nie wiedziałem dlaczego.

Nawet mój własny ojciec podchodził do tego w taki sposób, jakby Arnie nie kupił jakiegoś zardzewiałego wraka, tylko się ożenił. Ale tak wcale nie było. Ani trochę. Naprawdę.

"Zatrzymaj samochód, Dennis. Cofnij... Chcę jej się przyjrzeć".

Po prostu.

Żadnego zastanowienia, co było zupełnie niepodobne do Arniego, który zawsze najpierw wszystko dokładnie rozważał - jego życie uświadomiło mu aż nazbyt boleśnie, co się dzieje z

facetami takimi jak on, jeśli biorą się za coś z marszu albo robią coś kierowani impulsem, tym razem jednak zachował się jak mężczyzna, który spotyka tancerkę kabaretu, daje się wciągnąć przez wir namiętności, a w poniedziałek rano budzi się z kacem i nową żoną u boku.

To była... cóż... miłość od pierwszego wejrzenia.

Nieważne, pomyślałem. Jutro zaczniemy wszystko od początku. Spojrzymy na to z nowej perspektywy.

Wreszcie zapadłem w sen. I śniłem.

Jęklive zawodzenie rozrusznika w ciemności.

Cisza.

Jeszcze raz.

Silnik zapalił, zgasł, znowu zapalił.

Silnik pracujący w ciemności.

Zapłonęły staromodne podwójne reflektory, przyszpilając mnie jak żuka na szklanej powierzchni stołu blaskiem drogowych świateł.

Stałem w otwartych drzwiach garażu Rolanda D. LeBaya, a w środku czaiła się Christine - zupełnie nowa Christine bez żadnego wgięcia ani najmniejszego śladu rdzy. Czysta, nie skalana przednia szyba miała na górze przyciemniony granatowy pas. Z radia dobiegały głośne rytmiczne dźwięki "Susie-Q" śpiewanej przez Dale'a Hawkinsa głosem z martwej epoki, lecz mimo to tryskającym zatrwajającą energią.

Silnik mruczał groźnie przez dwa wypełnione włóknem szklanym tłumiki. W jakiś sposób wiedziałem, że samochód ma skrzynię biegów Hursta i świeżo wymieniony olej Quaker State, krew życia koloru czystego bursztynu.

Nagle ożyły wycieraczki, co bardzo mnie zdziwiło, ponieważ za kierownicą nie było nikogo, samochód był pusty.

*Pojedźmy gdzieś, chłoptasiu. Pojedźmy gdzieś sobie.*

Potrząsam głową. Nie chcę wsiąść. Boję się tam wejść. Nie chcę nigdzie jechać. Niespodziewanie silnik wspina się na wysokie obroty i przycicha, wspina się i przycicha... Wydaje wygłodniały, przerażający odgłos, a za każdym razem, kiedy ryczy głośno, Christine szarpie się i przesuwa odrobinę do przodu, jak zły pies trzymany zbyt słabo na smyczy... a ja chcę się poruszyć... ale moje stopy wydają się przybite gwoździami do popękane go betonu.

*Ostatnia szansa, chłoptasiu.*

Nim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć - lub nawet pomyśleć o odpowiedzi - rozlega się okropny pisk opon ślizgających się na betonie i Christine rzuca się na mnie z wyszczerzoną atrapą

przypominającą paszczę pełną chromowanych zębów, z reflektorami świecącymi oślepiającym blaskiem...

Obudziłem się z krzykiem w martwej ciemności o drugiej nad ranem, przerażony brzmieniem własnego głosu i dobiegającym z holu tupotem bosych stóp. W dłoniach ścisnąłem kurczowo prześcieradło, które udało mi się niemal wyciągnąć spod siebie. Byłem śliski od potu.

- Co to było?! - zawołała z przestachem Ellie ze swojego pokoju.

Zapaliło się światło i w drzwiach stanęła mama w króciutkiej koszuli nocnej odsłaniającej znacznie więcej, niż pozwoliłaby jej właścicielka w każdej normalnej sytuacji, a tuż za nią mój tata w szlafroku i niczym więcej.

- Co się stało, skarbie? - zapytała mama. Miała wielkie przerażone oczy. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni nazwała mnie skarbem... Gdy miałem czternaście lat? Dwanaście? Może dziesięć? Nie wiem.

- Dennis? - odezwał się tata.

Zaraz potem wcisnęła się między nich drżąca Elaine.

- Kładźcie się spać - powiedziałem. - Miałem tylko zły sen, to wszystko.

- O rety! - wykrztusiła Elaine z czymś w rodzaju szacunku wywołanym zapewne niezwykłą porą i okolicznościami. - To musiał być prawdziwy horror. Co to było, Dennis?

- Przyśniło mi się, że wyszłaś za mąż za Milтона Dodda i sprowadziłaś się do mnie.

- Nie kpij ze swojej siostry, Dennis - skarciła mnie mama. - Co to był za sen?

- Nie pamiętam - skłamałem.

Nagle uświadomiłem sobie, że pościel jest rozbabrana i spod koldry wystaje kępka ciemnych włosów. Pośpiesznie doprowadziłem się do jakiegoś takiego porządku, podczas gdy przez moją głowę przelatywały nieprzyjemne myśli o nocnych polucjach i masturbacji. Byłem całkowicie zdezorientowany. Przez jedną okropną chwilę nie byłem nawet pewien, czy jestem duży czy mały - widziałem tylko ciemny, przerażający i zakrywający wszystko inne obraz samochodu przesuwającego się ku mnie za każdym warknięciem silnika, delikatnie drżącą maskę, atrapę przypominającą stalowe zęby...

*Ostatnia szansa, chłoptasiu.*

A potem poczułem na czole dotknięcie chłodnej i suchej dłoni matki, badającej, czy nie mam gorączki.

- Wszystko w porządku, mam - powiedziałem. - To nic takiego. Tylko zły sen.

- Ale nie pamiętasz co...

- Nie. Już zniknął.

- Przestraszyłam się - powiedziała i roześmiała się niepewnie. - Chyba nikt naprawdę nie wie, co to znaczy bać się, dopóki jego dziecko nie zacznie nagle krzyczeć w nocy.

- Gadka-szmatka - mruknęła Elaine.

- Zmykaj do łóżka, mądralo - pogonił ją tata i klepnął lekko w pośladek.

Wyszła, nie sprawiając wrażenia zbyt zachwyconej. Może, kiedy już otrząsnęła się z początkowego strachu, miała nadzieję, że dostanę ataku hysterii? Miałaby wtedy o czym opowiadać swoim koleżankom na lekcji wf.

- Naprawdę wszystko w porządku, Dennis? - zapytała mama. - Na pewno nic ci nie jest, skarbie?

Znowu to słowo, przywodzące na myśl wspomnienia o moich podrapanych kolanach po upadku z huśtawki. Jej twarz nachylająca się nad łóżkiem, kiedy leżałem w gorączce cierpiąc na przeróżne dziecięce choroby - świnkę, odrę, szkarlatynę. Poczulem absurdalną ochotę, żeby wybuchnąć płaczem, choć byłem od niej wyższy o dwadzieścia centymetrów i ważyłem o piętnaście kilogramów więcej.

- Jasne.

- To dobrze. Nie gaś światła, to czasem pomaga.

Wreszcie, rzuciwszy ojcu pełne powątpiewania spojrzenie, wyszła z pokoju. Miałem teraz nad czym się zastanawiać: czy moją matkę kiedykolwiek dręczyły senne koszmary? Jest to chyba jedna z tych myśli, jakie prawie nigdy nie przychodzą nam do głowy. Jeśli nawet odpowiedź miała brzmieć "tak", to żaden z tych koszmarów nie znalazł drogi na karty "Szkiców o Pięknie i Miłości".

Tata usiadł na krawędzi łóżka.

- Naprawdę nie pamiętasz, co to było?

Potrząsnąłem głową.

- Musiało być niezbyt przyjemne, skoro tak wrzeszczałeś.

Jego poważne spojrzenie było utkwione prosto w moich oczach, pytając, czy jest coś, o czym powinien wiedzieć.

Niewiele brakowało, bym mu powiedział, że to przez ten samochód, przeklęty samochód Arniego, Christine, Królową Rdzy, dwudziestoletnią, wstępną, pieprzoną landarę. Prawie mu to powiedziałem, ale słowa nagle uwięzły mi w gardle, jakbym wyrzucając je z siebie miał zdradzić przyjaciela. Starego poczciwego Arniego, którego Bóg-żartowniś walnął dla kawału w łeb magiczną paleczką brzydoty.

- W porządku - mruknął i pocałował mnie w policzek. Poczulem na skórze dotknięcie jego zarostu, tych drobnych sztywnych włosków, które pojawiają się tylko w nocy. Poczulem też

zapach jego potu i miłości. Uścisnąłem go mocno, a on oddał mi uścisk.

Potem zostałem sam. Leżałem przy włączonej nocnej lampce, bojąc się zasnąć. Wstałem, wziąłem książkę z półki i ponownie się położyłem, wiedząc doskonale o tym, że moi starszycy leżą nie śpiąc na dole w swojej sypialni i zastanawiają się, czy wpadłem w jakieś kłopoty, czy może wpędziłem w kłopoty kogoś innego - na przykład dziewczynę o fantastycznym ciele z zespołu dopingującego nas podczas meczów.

Doszedłem do wniosku, że o żadnym śnie nie ma nawet mowy. Postanowiłem czytać do samego rana i najwyżej zdrzemnąć się po południu w czasie transmisji. Powziąwszy to postanowienie natychmiast zasnąłem i obudziłem się dopiero rano z nie otwartą książką leżącą na podłodze obok łóżka.

## 8. PIERWSZE ZMIANY

*Powiem wam, co bym zrobił,  
gdybym miał mnóstwo mamony:  
Pojechałbym do miasta  
i kupiłbym wóz z salonu,  
a może nawet dwa.  
Kupiłbym nowy wóz  
i jeździłbym do utraty tchu.*

The Steve Miller Band

Mślałem, że Arnie wpadnie do mnie w sobotę, więc kręciłem się wokół domu - wystrzygłem trawnik, posprzątałem w garażu, a nawet umyłem wszystkie trzy samochody. Mama przyglądała się temu ze zdziwieniem i podczas lunchu złożonego z hot dogów i zielonej sałaty zauważyła, że być może powinienem częściej miewać senne koszmary.

Po wszystkich nieprzyjemnych rzeczach, jakich byłem świadkiem w domu Arniego, nie chciałem tam dzwonić, ale kiedy zaczął się już program rozrywkowy poprzedzający bezpośrednio transmisję z meczu, a jego wciąż nie było, zebrałem całą odwagę i wziąłem słuchawkę do ręki. Odebrała Regina; choć starała się udawać, że nic się nie zmieniło, odniosłem wrażenie, że słyszę w jej głosie wyraźny chłód. Bardzo mnie to zasmuciło. Jej jedyny syn został uwiedziony przez paskudną starą dziwkę imieniem Christine, więc jego stary kumpel Dennis na pewno ponosił za to część odpowiedzialności. Kto wie, może nawet sam zaaranżował spotkanie?

- Arniego nie ma w domu. Jest w Garażu Darnella. Siedzi tam od dziewiątej rano.

- Aha... - wykrztusiłem niezręcznie. - To znaczy... nie wiedziałem o tym.

Zabrzmiało to jak kłamstwo. Nawet więcej: ja sam odniosłem wrażenie, że to kłamstwo.

- Naprawdę? - zapytała Regina swoim nowym, chłodnym głosem. - Do widzenia, Dennis.

Zostałem z głuchą słuchawką w ręku. Popatrzyłem na nią przez chwilę, po czym odłożyłem ją na widelki.

Tata zaparkował już przed telewizorem w swoich niesamowitych fioletowych bermudach, skórzanych sandałach, z sześcioma puszkami piwa w pojemniku z lodem w zasięgu ręki. Phillies mieli dobry dzień i spuszczaali chłopcom z Atlanty niezłe lanie. Mama poszła z wizytą do jednej z koleżanek z kursu (przypuszczam, że czytały sobie nawzajem swoje szkice i wiersze i wspólnie się

nimi wzruszały). Elaine wyszła gdzieś z jedną ze swoich przyjaciółek. W domu zapanował całkowity spokój; na niebie słońce bawiło się w berka z nielicznymi białymi obłokami. Tata poczęstował mnie piwem, co zdarza mu się wyłącznie wtedy, kiedy jest w wyjątkowo dobrym nastroju.

Mimo to sobota nadal była byle jaka. Wciąż myślałem o Arniem, który nie oglądał meczu, nie opalał się ani nawet nie strzygł trawnika wokół domu, tylko siedział w oleistym cieniu Garażu Darnella bawiąc się z tą milczącą, zardzewiałą skorupą, podczas gdy dookoła rozlegały się okrzyki mężczyzn, przesywający uszy dźwięk metalowych narzędzi spadających na betonową posadzkę i terkot pneumatycznych kluczy odkręcających stare śruby. Od czasu do czasu włączał się w to wszystko astmatyczny kaszel Willa Darnella...

Do licha, czyżbym był zazdrosny? Czyżby właśnie o to chodziło?

Mniej więcej w połowie meczu podniosłem się z fotela i ruszyłem do drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytał tata.

Właśnie, dokąd właściwie szedłem? Do garażu, roztoczyć nad nim opiekuńcze skrzydła, chroniąc przed napastliwością Willa Darnella? Po następną dawkę cierpienia? Pieprz to! Arnie był już dużym chłopcem.

- Donikąd - odparłem. W najdalszym kącie pojemnika na pieczywo znalazłem starannie ukrytego wafla; wziąłem go myśląc ze złośliwą satysfakcją o tym, jak bardzo wkurzona będzie Elaine, kiedy wpadnie do kuchni podczas którejś z reklam w trakcie "Saturday Night Live" i przekona się, że go nie ma. - Zupełnie donikąd.

Wróciłem do pokoju, zająłem swoje miejsce, wziąłem od taty jeszcze jedno piwo i zeżarłem wafla Elaine. Obserwowaliśmy, jak Phillies kończą demolować Atlantę ("Dadzą im, Denny!" - usłyszałem starczy głos mego nieżyjącego od pięciu lat dziadka. "Powiadam ci, dadzą im nieźle w kość!") i wcale nie myślałem o Arniem Cunninghamie.

Prawie wcale.

Przyjechał na swoim rozklekotanym rowerze następnego dnia po południu, kiedy grałem z Elaine w krykieta na trawniku z tyłu domu. Moja siostra bez przerwy oskarżała mnie o to, że oszukuję. Elaine była "spruta". Zawsze była "spruta", kiedy "miała dostać okres". Elaine była bardzo dumna ze swego okresu. Miała go regularnie już od całych czternastu miesięcy.

- Cześć - powiedział Arnie wychodząc zza rogu domu. - Albo to potwór z Czarnej Laguny, albo narzeczona Frankensteina, albo Dennis i Ellie.

- A jak myślisz? - odparłem. - Lepiej nie gadaj, tylko łap za kij.

Elaine cisnęła swój na ziemię.

- Nie gram z wami! - oświadczyła. - On oszukuje jeszcze bardziej od ciebie. Mężczyźni!

Odmaszerowała energicznym krokiem, Arnie zaś wyjąkał drżącym z przejęcia głosem:

- Dennis, ona po raz pierwszy nazwała mnie mężczyzną!

Padł na kolana z wyrazem zachwyconego uniesienia na twarzy. Parsknąłem śmiechem. Potrafił nieźle się zgrywać, kiedy miał na to ochotę. Między innymi właśnie dlatego tak bardzo go lubilem. Tym bardziej że było to coś tylko między nami dwoma, bo chyba nikt inny nie potrafił tego naprawdę docenić. Słyszałem kiedyś o jakimś milionerze trzymającym w piwnicy skradziony obraz Rembrandta, którego nie mógł oglądać nikt poza nim. Byłem w stanie go zrozumieć. Nie chcę przez to powiedzieć, że Arnie był jak Rembrandt ani że miał wręcz niesamowite poczucie humoru, ale rozumiałem, na czym polega przyjemność obcowania z czymś dobrym, co jednak musi pozostać tajemnicą.

Pętaliśmy się przez jakiś czas z kijami do krykieta, bardziej wyglupiając się niż grając, aż wreszcie któryś z nas posłał pileczkę na drugą stronę żywopłotu, na podwórko Blackfordów; zanim przepelzłem i wróciłem, minęła nam ochota do gry, więc usiedliśmy na ogrodowych krzeselkach. Wkrótce spod werandy wylazł Wrzeszczący Jay Hawkins, następca Kapitana Beefhearta, prawdopodobnie mając nadzieję na złapanie jakiejś małej wiewiórki ziemnej, którą mógłby zamordować w okrutny i powolny sposób. Jego bursztynowozielone oczy błyszczwały w przyćmionym popołudniowym świetle.

- Myślałem wczoraj, że wpadniesz na mecz - powiedziałem. - Był całkiem niezły.

- Siedziałem u Darnella - odparł. - Słuchałem transmisji w radiu. - Podniósł głos o trzy oktawy i zawołał dokładnie tak samo, jak mój dziadek: - Dadzą im, Denny! Powiadam ci, dadzą im nieźle w kość!

Roześmiałem się i pokiwałem głową. Tego dnia było w nim coś - może za sprawą światła, dość jasnego, ale jednocześnie lekko przyćmionego i rozproszonego - co nadawało mu nieco odmienny wygląd. Sprawiał wrażenie zmęczonego (miał podkrążone oczy), lecz zarazem jego cera wydawała się odrobinę lepsza niż do tej pory. Często pijał coca-colę, oczywiście wiedząc, że nie powinien tego robić, ale nie mogąc oprzeć się pokusie. Jak u większości nastolatków, w jego problemach z cerą można było wychwycić pewną cykliczność, przy czym w przypadku Arniego polegała ona głównie na zmianach ze złego na gorsze i z powrotem.

A może istotnie to była tylko sprawa światła.

- Co zrobiłeś? - zapytałem.

- Niewiele. Wymieniłem olej i sprawdziłem blok silnika. Nie pękł, jestem tego pewien. LeBay albo ktoś inny nie wetknął kiedyś na miejsce przewodu olejowego, i to wszystko. Miałem dużo szczęścia, że w piątek nie zatarłem silnika.



- W jaki sposób udało ci się załatwić sobie podnośnik? Zdaje się, że trzeba zapisać się dużo wcześniej.

Uciekł ze spojrzeniem gdzieś w bok.

- Żaden problem - odparł głosem, w którym bez trudu dosłyszałem fałszywą nutę. - Po prostu załatwiłem parę spraw dla Darnella.

Otworzyłem już usta, by zapytać, jakie to sprawy, lecz niemal natychmiast doszedłem do wniosku, że wcale nie chcę się tego dowiedzieć. Prawdopodobnie “załatwienie paru spraw” sprowadziło się do biegania po kawę do Schirmer’s Luncheonette lub układania w magazynie elementów przeznaczonych do sprzedaży, ale ja nie miałem najmniejszego zamiaru mieszać się w tę część życia Arniego, która była związana z Christine, a w tym mieścił się także sposób, w jaki sobie radził (lub nie radził) w Garażu Darnella.

Wiązało się z tym jeszcze coś innego: uczucie porzucenia. Wtedy albo nie potrafiłem go jeszcze zdefiniować, albo nie chciałem. Teraz wydaje mi się, że tak właśnie musisz się czuć, kiedy twój przyjaciel dostaje bzika i żeni się z zarzucaną, farbowaną suką. Nie lubisz jej, a w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto ona nie lubi ciebie, więc po prostu zamykasz drzwi do tego pokoju waszej przyjaźni. Kiedy już ci się to uda, albo porzucasz ten temat... albo twój przyjaciel porzuca ciebie, najczęściej z entuzjastycznym poparciem suki.

- Chodźmy do kina - zaproponował niespodziewanie Arnie.

- A co grają?

- W State Twin idzie jeden z tych filmów kung-fu, co ty na to? Aaaaa-jjjah!

Zamarkował brutalny cios karate na kocie, który wystartował z miejsca niczym pocisk karabinowy.

- Nieźle. Bruce Lee?

- Nie, jakiś inny facet.

- Jaki to ma tytuł?

- Nie mam pojęcia. Pewnie “Pięści gniewu”, “Dłonie śmierci” albo może “Genitalia szalu”, nie wiem. I co ty na to? Jak wrócimy, opowiemy najlepsze sceny Ellie, to może puści pawia.

- W porządku - odparłem. - O ile uda nam się wejść za dolara.

- Uda się, pod warunkiem, że będziemy tam na trzecią.

- W takim razie jedziemy.

Pojechaliśmy. Okazało się, że to film z Chuckiem Norrisem, nawet całkiem niezły. A w poniedziałek stawiliśmy się znowu na budowie odgałęzienia autostrady międzystanowej. Zapomniałem o moim śnie. Dopiero później zacząłem sobie stopniowo zdawać sprawę, że

widuję Arniego rzadziej niż do tej pory. Dokładnie w taki sam sposób tracisz kontakt z facetami, którzy niedawno się ożenili. W dodatku moje sprawy sercowe zaczęły właśnie wtedy nieco się rozgrzewać, a już na pewno można to było powiedzieć o moim interesie - niejeden raz odwoziłem ją do domu po zawodach pływackich na basenie z tak obolałymi jądrami, że ledwo mogłem chodzić.

Tymczasem Arnie niemal każdy wieczór spędzał w Garażu Darnella.

## 9. BUDDY REPERTON

*Wstawię jej, bez względu na koszty,  
Tę podwójną rurę wydechową  
I silnik żółta na nowo;  
Moja najdroższa ma Chód Cadillacony.*

Moon Martin

Ostatni pełny tydzień w robocie podczas tych wakacji wypadł tuż przed Świętem Pracy<sup>3</sup>. Kiedy rano zajechałem przed dom Arniego, pojawił się z wielkim czarnogranatowym siniakiem pod okiem i paskudnym zadrapaniem na policzku.

- Co się stało?

- Nie chcę o tym mówić - odparł ponuro. - Musiałem gadać o tym z rodzicami tak długo, że o mało nie ochryplem.

Cisnął torebkę z drugim śniadaniem na tylne siedzenie i w samochodzie zapadła cisza trwająca przez całą drogę do pracy. Paru robotników zagadnęło go o jego oko, ale on zbył ich wzruszeniem ramion.

W drodze powrotnej nie odezwałem się ani słowem, słuchając radia i ograniczając się do własnych myśli. Prawdopodobnie nigdy nie usłyszałbym tej historii, gdybym tuż po zjechaniu z Main Street nie dał się skusić temu tłustemu irlandzkiemu makaroniarzowi imieniem Gino.

W tamtych czasach często mu się to udawało, nawet jeśli miałem zamkniętą szybę. Włoska pizzeria Gina mieści się na rogu Main Street i Basin Drive, i nawet do tej pory, kiedy widzę, jak zapala się neon (wszystkie kropki nad "i" są w kształcie białych koniczynek<sup>4</sup>) migoczący bez przerwy przez całą noc, znowu czuję rodzącą się pokusę. Tamtego popołudnia mama miała zajęcia na kursie, co oznaczało, że będziemy musieli sami przygotować sobie obiad. Ani tata, ani ja nie jesteśmy zbyt dobrymi kucharzami, Ellie zaś potrafiłaby przypalić nawet wodę.

- Wstąpmy na pizzę - zaproponowałem, wjeżdżając na parking przed knajpą. - Co ty na to? Na wielką tłustą pizzę pachnącą jak spocona pacha.

- Jezu, Dennis! To brzmi wspaniale!

- Jak czysta spocona pacha - uzupełniłem. - Chodźmy.

---

<sup>3</sup> Labor Day, święto państwowe obchodzone w USA i Kanadzie w pierwszy poniedziałek września (przyp. tłum.).

- Wiesz, marnie wyglądam z forszą - wymamrotał Arnie.
  - Ja stawiam. Możesz nawet zamówić sobie te cholerne anchovies. No, jak będzie?
  - Dennis, ja naprawdę...
  - I pepsi - dodałem.
  - Wiesz przecież, że pepsi szkodzi mi na cerę.
  - Wiem. Dużą pepsi, Arnie.
- Po raz pierwszy tego dnia zablęsnęły mu oczy.
- Dużą pepsi... - powtórzył. - Wiesz co, Dennis? Jesteś wstrętny. Naprawdę.
  - Dwie, jeśli chcesz.

Oczywiście, że to było wstrętne. Tak jakbym częstował czekoladkami najgrubszą kobietę świata.

- Dwie! - wykrzyknął, łapiąc mnie za ramię. - Dwie pepsi, Dennis! - Zaczął podskakiwać na fotelu ściskając się za gardło i wrzeszcząc: - Dwie pepsi, szybko! Dwie pepsi, szybko!

Tak mnie rozbawił, że o mało nie wjechałem w ścianę pizzerii. Właściwie dlaczego nie mielibyśmy napić się trochę pepsi? - pomyślałem wysiadając z samochodu. Ostatnio chyba bardzo jej unikał, bo nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, że niewielka poprawa, jaką dostrzegłem na jego twarzy w niedzielne popołudnie dwa tygodnie temu, była najzupełniej autentyczna. Nadal miał mnóstwo krost i pryszczki, ale nie wszystkie - przepraszam za określenie, lecz muszę go użyć - ciekły. Również pod innymi względami wyglądał znacznie korzystniej. Po całym lecie spędzonym na świeżym powietrzu był opalony i znajdował się w lepszej kondycji niż kiedykolwiek w życiu. Właśnie dlatego doszedłem do wniosku, że zasłużył sobie na pepsi. Łupy należą do zwycięzcy.

Pizzerię Gina prowadzi cudowny Włoch nazwiskiem Pat Donahue. Na kasie nakleił nalepkę z napisem: IRLANDZKA MAFIA, w Dzień Świętego Patryka podaje zielone piwo (17 marca nie sposób zaparkować w pobliżu pizzerii, a z szafy grającej dobiegają na okrągło dźwięki "When Irish Eyes Are Smiling" śpiewanej przez Rosemary Clooney) i występuje zawsze w czarnym meloniku, najczęściej zsuniętym daleko na tył głowy.

Szafa grająca to stary wurlitzer z końca lat czterdziestych, wszystkie płyty zaś - nie tylko ta z Rosemary Clooney - mają wartość zabytkową. Niewykluczone, że to ostatnia szafa w Ameryce, która gra trzy piosenki za ćwierć dolara. Przy tych nielicznych okazjach, kiedy zdarza mi się zapalić trawkę, moje fantazje najczęściej dotyczą włoskiej pizzerii Gina; wchodzę tam, zamawiam trzy duże pizze, butelkę pepsi i sześć albo siedem karmelków domowej roboty, a następnie siadam przy stoliku i wchłaniam wszystko, podczas gdy z szafy grającej wylewają się

---

<sup>4</sup> Biała koniczyna stanowi symbol Irlandii (przyp. tłum.).

nieprzerwanym strumieniem Beach Boys i Rolling Stones.

Weszliśmy do środka, złożyliśmy zamówienie i usiedliśmy obserwując trzech kucharzy podrzucających pizze na blachach i obracających je w powietrzu. Wymieniali między sobą zgrzybliwe, typowo włoskie uwagi w rodzaju: “Widziałem was wczoraj w dyskotecie. Słuchaj no, co to za cizia była z twoim bratem?” “Jak to, nie wiesz? Przecież to twoja siostra”.

Gdzie jeszcze można przeżyć coś takiego?

Ludzie wchodzili i wychodzili, wśród nich wiele dzieciaków ze szkoły. Już wkrótce miałem znowu spotykać się z nimi w korytarzach; poczułem nawrót nostalgii i niepokoju. W głowie zadźwięczał mi znajomy szkolny dzwonek, lecz nie wiedzieć czemu tym razem jego terkot zabrzmiał jak alarm. “Zaczynamy, Dennis, ostatni raz. Za rok będziesz musiał już wiedzieć, jak być dorosłym”. Słyszałem trzask zamykanych szafek, głuchy łoskot ciał zawodników zderzających się z treningowymi manekinami, donośny głos Marty’ego Bellermana. “Moja dupa i twoja gęba, Pedersen! Zapamiętaj to sobie! Moja dupa i twoja gęba! Łatwiej rozróżnić jednojajowe bliźniaki!” Suchy zapach kredy w pracowni matematycznej. Odgłos pracujących maszyn do pisania dobiegający z sekretariatu na pierwszym piętrze. Zręczliwy pan Meecham, dyrektor szkoły, podający na koniec dnia najważniejsze ogłoszenia. Drugie śniadanie pod gołym niebem przy dobrej pogodzie. Stado zagubionych, onieśmiałonych pierwszoklasistów. A potem tylko przemarsz wzdłuż szpaleru uczniów w drugim fioletowym szlafroku i koniec. Koniec szkoły. Możesz iść w nie spodziewający się niczego świat.

- Dennis, znasz Buddy’ego Reppertona? - zapytał Arnie przywołując mnie do rzeczywistości. Przyniesiono nam naszą pizzę.

- Buddy’ego co?

- Reppertona.

Nazwisko obilo mi się o uszy. Zabrałem się do pizzy z mojej strony, usiłując skojarzyć je z jakąś twarzą. Po chwili udało mi się. Miałem z nim nieporozumienie, kiedy jeszcze byłem w pierwszej klasie. Zdarzyło się to podczas zabawy. Zespół urządził sobie przerwę, a ja czekałem w kolejce do stołu z napojami, kiedy Repperton odepchnął mnie na bok i powiedział, że pierwszoklasiści muszą poczekać, aż zostaną obsłużeni starsi uczniowie. On sam chodził wtedy do drugiej klasy, był wielki, paskudny i złośliwy. Miał kanciastą szczękę, skołtunione, tłuste czarne włosy i małe oczy osadzone zbyt blisko siebie. Jednak te oczy nie były zupełnie głupie; czaiła się w nich niebezpieczna inteligencja. Należał do tych chłopaków, którzy przez cały okres nauki w szkole średniej brylują w palarni.

Odważyłem się dać wyraz heretyckiej opinii, że szkolny staż nie ma żadnego znaczenia w kolejce po napoje, Repperton zaś poprosił mnie, bym wyszedł w jego towarzystwie na zewnątrz.

Tymczasem kolejka przeistoczyła się w krąg ostrożnych, lecz bardzo zainteresowanych gapiów, jacy zwykle otaczają miejsce bójki. Któryś z nauczycieli wkroczył do akcji i rozproszył zgromadzenie, a Repperton zagroził mi na odchodnym, że jeszcze mnie dorwie, ale nigdy tego nie zrobił. Nigdy więcej nie miałem z nim nic do czynienia i tylko od czasu do czasu widywałem jego nazwisko na tablicy ogłoszeń wraz ze wzmianką o ukaraniu za takie lub inne wykroczenie. Wydawało mi się także, że kilka razy był zawieszany w prawach ucznia, co najlepiej świadczyło o tym, iż raczej nie należał do Stowarzyszenia Młodych Chrześcijan.

Opowiedziałem Arniemu o moich przejściach z Reppertonem, a on skinął ciężko głową. Dotknął siniaka pod okiem, który zdążył już przybrać kolor niedojrzałej cytryny.

- To on.

- Repperton dał ci po twarzy?

- Aha.

Arnie znalazł Reppertona z warsztatów samochodowych. Jednym z paradoksów zastraszonego i niezbyt szczęśliwego szkolnego życia Arniego było to, że jego zainteresowania i uzdolnienia wprowadziły go w towarzystwo osób, których głównym celem było prześladowanie i dręczenie takich jak on.

Kiedy Arnie zdał do drugiej klasy i zaczął chodzić na zajęcia zwane Podstawą Budowy Silników (zanim szkoła dostała jakąś ogromną dotację od rządu, był to po prostu pierwszy rok warsztatów samochodowych), niejaki Roger Gilman stłukł go na kwaśne jabłko. Wiem, że to dość potoczne i wyświechtane określenie, ale nie przychodzi mi do głowy żadne lepsze. Gilman po prostu stłukł go na kwaśne jabłko. Rezultat był taki, że Arnie przez kilka dni leżał w łóżku, Gilman zaś decyzją dyrektora został na tydzień zawieszony w prawach ucznia. Teraz siedział w więzieniu za napad z bronią w rękę. Buddy Repperton należał do kręgu jego najbliższych kumpli i w pewnym sensie odziedziczył po Gilmanie przywództwo grupy.

Dla Arniego zajęcia w warsztatach równały się odwiedzinom w strefie zdemilitaryzowanej. Potem, jeśli udało mu się przeżyć do siódmej lekcji, pędził jak szalony z szachownicą pod pachą na drugi koniec szkoły, na zajęcia kółka szachowego.

Pamiętam, jak pewnego dnia w zeszłym roku pojechałem na turniej do Squirrel Hill i zobaczyłem tam coś, co moim zdaniem w pełni oddawało schizofreniczną naturę szkolnego życia mego przyjaciela. Siedział zgarbiony nad szachownicą w ciężkiej ciszy, jaka zazwyczaj towarzyszy tego rodzaju imprezom, a następnie, po długim namyśle, przesunął piona ręką, na której smary i olej pozostawiły ślady niemożliwe do usunięcia.

Oczywiście nie wszyscy warsztatowicze próbowali go tępić; było wśród nich wielu porządnym chłopaków, którzy jednak albo mieli własny krąg znajomych, albo żyli w całkowitej

samotności. Ci ze znajomymi mieszkali z reguły w mało zamożnej części Libertyville (i niech nikt wam nigdy nie wmawia, że uczniowie szkoły średniej nie dzielą się na grupy w zależności od dzielnic, z jakiej pochodzą), byli bardzo poważni i tak spokojni, że łatwo było popełnić błąd i wziąć ich po prostu za głupich. Większość z nich ze swoimi długimi włosami związanymi w końskie ogony, dzinsami i farbowanymi podkoszulkami wyglądała jak niedobitki 1968 roku, ale w 1978 żaden z nich nie miał już ochoty obalać rządu. Chcieli po prostu dorosnąć i zostać porządnymi Panami Mechanikami.

Warsztaty stanowią także ostatnią przystań dla nieudaczników i pustogłowów, którzy nie tyle uczęszczają do szkoły, co są na nią skazywani. Teraz, kiedy Arnie wspomniał o Reppertonie, mogłem wymienić kilku facetów krążących wokół niego jak planety wokół Słońca. Większość z nich miała już po dwadzieścia lat i nadal walczyła, by ukończyć szkołę. Don Vandenberg, Sandy Galton, Moochie Welch. Moochie miał naprawdę na imię Peter, ale wszyscy nazywali go Moochie<sup>5</sup>, ponieważ najczęściej można go było spotkać przed salami w Pittsburghu, w których odbywały się właśnie koncerty rockowe, wyludzającego od ludzi parocentową resztę pozostałą po kupnie biletów.

Buddy Repperton zjawił się u Darnella wraz z dwuletnim błękitnym chevroletem camaro, który przezołkował kilka razy na poboczu szosy numer 46 w pobliżu Parku Stanowego Squantic Hills - Arnie twierdził, że Buddy kupił wóz od jednego z karcianych kumpli Darnella. Silnik był w porządku, ale nadwozie ucierpiało podczas koziolkowania. Repperton przyprowadził wóz do garażu mniej więcej w tydzień po tym, jak Arnie kupił Christine, choć kręcił się tam już wcześniej.

Przez pierwsze kilka dni Buddy zdawał się nie dostrzegać Arniego, ten zaś, co oczywiste, nie miał nic przeciwko temu. Repperton znajdował się natomiast w bardzo dobrych układach z Darnellem. Nie miał żadnych problemów z dostępem do najbardziej potrzebnych narzędzi, które zwykle trzeba było rezerwować na wiele dni naprzód.

Potem Repperton zaczął deptać Arniemu po odciskach. Na przykład wracając z łazienki lub od maszyny z coca-colą przewracał mu pudło z kluczami nasadkowymi i rozsypywał je po podłodze albo potraçał łokciem półkę, na której Arnie postawił swoją kawę, wylewając ją do ostatniej kropli. Zaraz potem krzychał: "O rety! Przepaaaaaszam!" - zupełnie jak Steve Martin, z szyderczym uśmiechem na twarzy - a Darnell wrzeszczał na Arniego, żeby prędko pozbierał narzędzia, zanim któreś wpadnie w dziurę w podłodze albo gdzieś się zapodzieje.

Wkrótce zachodził do boksu Arniego przy lada okazji, by klepnąć go z całej siły w plecy i ryknąć: "Jak się masz, picza mordo?"

---

<sup>5</sup> Mooch - próżniaczyć się, wałęsać (przyp. tłum.)

Arnie znosił te otwarte zaczepki ze stoicyzmem kogoś, kto już to wszystko widział i przeżył. Prawdopodobnie miał nadzieję, że zdarzy się jedna z dwóch rzeczy: albo upokorzenia osiągną pewien stały poziom, na którym się zatrzymają, albo Buddy Repperton znajdzie sobie jakąś inną ofiarę. Była również trzecia możliwość, niemal zbyt dobra, żeby o niej marzyć; zawsze istniała szansa, że Buddy zostanie za coś zapuszkowany i po prostu zniknie ze sceny jak jego koleś Roger Gilman.

Do starcia doszło w minioną sobotę po południu. Arnie zajmował się smarowaniem punktów podwozia, przede wszystkim dlatego, że nie zdołał jeszcze zgromadzić funduszy niezbędnych dla dokonania setki koniecznych napraw. Repperton przechodził obok Christine pogwizdując wesoło, z puszką coli i torebką orzeszków w jednej ręce i dużym kluczem w drugiej. W pewnej chwili machnął nim, rozbijając jeden z reflektorów plymoutha.

- Rozwalił go na kawalki - powiedział mi Arnie przy pizzy.

- Jezu, co ja narobilem! - wykrzyknął Buddy Repperton z wyrazem udawanego przerażenia na twarzy. - O rety, przepraaa...

Było to wszystko, co zdążył powiedzieć. Napaść na Christine dokonała tego, czego nie mogły dokonać wszystkie ataki wymierzone w Arniego - sprowokowała go do reakcji. Wypelzł spod samochodu, zacisnął pięści i zaatakował na oślep. Gdyby rzecz działa się w książce albo filmie, z pewnością znokautowałby Reppertona, posyłając go na dziesięć sekund na betonową posadzkę.

Jednak życie wygląda z reguły zupełnie inaczej. Arniemu nie udało się ulokować żadnego ciosu w okolicy szczęki Reppertona, natomiast zdołał trafić go w rękę, wytrącając mu z niej torebkę orzeszków i zachlapując całą jego koszulę.

- Dobra, ty pieprzony mały kutasie! - wrzasnął komicznie oszołomiony Buddy. - Doigrałeś się! - I ruszył na Arniego wymachując kluczem.

Natychmiast z innych boksów przybiegli mężczyźni. Jeden z nich kazał Reppertonowi odłożyć klucz i walczyć uczciwie. Buddy rzucił narzędzie na podłogę i nadal parł naprzód.

- Darnell nie interweniował? - zapytałem.

- Nie było go, Dennis. Wyszedł kwadrans albo pół godziny wcześniej, jakby wiedział, na co się zanosi.

Według słów Arniego większość zniszczeń, jakie teraz mogłem podziwiać na jego twarzy, powstają w pierwszej fazie walki. Zaczęło się od podbitego oka, a zaraz potem pojawiło się zadrapanie na policzku, wykonane szkolnym sygnetem zdobyтым przez Reppertona podczas któregoś z jego licznych pobytów w drugiej klasie.



- Plus kilka innych siniaków.

- Jakich siniaków?

Siedzieliśmy w jednej z bocznych alków. Arnie rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt na nas nie patrzy, po czym podniósł koszulę. Wciągnąłem powietrze przez zęby; pierś i brzuch Arniego zdobiła niewiarygodna kolekcja żółtych, czerwonych, fioletowych i brązowych siniaków. Niektóre zaczynały już blaknąć. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zdołał w ogóle przyjść do pracy.

- Jesteś pewien, że nie połamał ci żeber? - zapytałem. Byłem naprawdę przerażony. W porównaniu z tym, co zobaczyłem, podbite oko i szrama na policzku wyglądały jak dziecinna zabawa. Naturalnie widziałem już niejedną szkolną bójkę, a w paru nawet sam brałem udział, ale pierwszy raz w życiu miałem okazję oglądać następstwa ciężkiego pobicia.

- Całkowicie pewien - odparł spokojnie. - Miałem szczęście.

- Chyba tak.

Arnie nie powiedział mi dużo więcej, ale świadkiem zajścia był niejaki Randy Turner, który wkrótce po rozpoczęciu szkoły uzupełnił moją wiedzę na ten temat. Twierdził, że Arnie mógłby oberwać jeszcze bardziej, gdyby nie to, że natarł na Buddy'ego ze znacznie większą energią i zapalem, niż ten się spodziewał.

Właściwie, opowiadał Randy, Arnie rzucił się na Reppertona tak, jakby sam diabeł wtarł mu w tylek garść czerwonego pieprzu. Młócił pięściami jak wiatrak, ryczał, krzyczał, bryzgał śliną. Usiłowałem to sobie wyobrazić, ale nie mogłem; zamiast tego widziałem Arniego walącego pięścią w wyściółkę tablicy przyrządów w moim samochodzie i wrzeszczącego, że on jeszcze im wszystkim pokaże.

Przegonił Reppertona przez pół garażu, rozkwasił mu nos (bardziej dzięki przypadkowi niż celności ciosów), a wreszcie chwycił za gardło i ścisnął tak, że Buddy'emu zupełnie przestało zależeć na nakopaniu w dupę Arniego Cunninghama.

Zamiast tego odwrócił się, trzymając za gardło i próbując zwymiotować, a wtedy Arnie dał mu tęgiego kopa swoim roboczym butem o metalowym nosku, w wyniku czego Repperton rozciągnął się jak długi na posadzce, wciąż trzymając się jedną ręką za gardło i obficie krwawiąc z nosa. Według Randy'ego Turnera Arnie najwyraźniej miał ochotę skopać sukinsyna na śmierć, kiedy nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się Will Darnell, wrzeszcząc swoim astmatycznym głosem, żeby natychmiast przestali, do jasnej cholery.

- Arnie myślał, że będzie musiał walczyć do końca - powiedziałem Randy'emu. - Podejrzewał, że wszystko było ukartowane.

Randy wzruszył ramionami.

- Całkiem możliwe. To rzeczywiście zabawne, że Darnell zjawił się dopiero wtedy, kiedy

Buddy zaczął przegrywać.

Siedmiu mężczyzn musiało złapać Arniego i odciągnąć go od Reppertona. Początkowo szarpał się jak wariat, krzycząc, żeby go puścili, bo chce zabić tego gnoja własnymi rękami. Potem przycichł, oszołomiony i zdumiony tym, że Repperton leży na ziemi, a on nadal stoi na nogach.

Repperton wreszcie podniósł się z podłogi z krwawiącym nosem i białą koszulką wymazaną smarem i brudem. Natychmiast spróbował rzucić się na Arniego, lecz Randy uważał, że był to udawany zapal, jedynie dla zachowania pozorów. Paru ludzi złapało go i odprowadziło na bok, Darnell zaś podszedł do Arniego, kazał mu oddać klucz od skrzynki z narzędziami i wynosić się do stu diabłów.

- Boże, Arnie! Dlaczego od razu do mnie nie zadzwoniłeś?

Westchnął ciężko.

- Byłem za bardzo przygnębiony.

Dokończyliśmy pizzę i kupiłem Arniemu trzecią pepsi. Może źle robi na cerę, ale jest świetna na depresję.

- Nie wiem, czy wywalił mnie tylko do końca dnia, czy już na zawsze - odezwał się Arnie w drodze do domu. - Jak uważasz, Dennis? Myślisz, że wykopał mnie na dobre?

- Powiedziałeś, że kazał ci oddać klucz od skrzynki z narzędziami...

- Tak. Jeszcze nikt nigdy mnie znikąd nie wyrzucił.

Wyglądało na to, że zaraz zacznie płakać.

- To i tak paskudne miejsce, a Will Daraell to osioł.

- Zresztą to chyba nie miałoby większego sensu - przyznał. - Nawet gdyby Daraell przyjął mnie z powrotem, będzie tam Repperton. Musiałbym się znowu z nim bić...

Zanuciłem fragment muzyki z "Rocky'ego". Arnie uśmiechnął się lekko.

- Właśnie: pieprzę ciebie i powód, dla którego się tu zjawileś, Range Rider. Billbym się z nim, czemu nie. Ale on dobrałby się do niej z kluczem, kiedy mnie by nie było, a wątpię, czy Daraell starałby się go powstrzymać.

Nic na to nie odpowiedziałem i Arnie, być może, uznał, że przyznaję mu rację, ale tak wcale nie było. Nie wydawało mi się, żeby przerdzewiały plymouth fury stanowił główny obiekt ataku. A jeżeli Repperton doszedłby do wniosku, że nie może w pojedynkę osiągnąć celu, po prostu skorzystałby z pomocy swoich koleśków - Dona Vandenberg, Mochiego Welcha i innych. Załóżcie dobre buty, chłopcy, bo mamy dziś sporo fajnego deptania.

Przyszło mi do głowy, że nawet mogliby go zabić, całkiem na serio i do końca. Takim jak oni czasem zdarzało się coś takiego. Wystarczyło posunąć się odrobinę za daleko i jakiś szczeniak tracił życie. Nieraz można było o tym przeczytać w gazetach.

- ...ją trzymać?

- Proszę? - W ogóle go nie słuchałem. Zbliżaliśmy się już do domu Arniego.

- Zapytałem, czy przypadkiem nie przychodzi ci do głowy, gdzie mógłbym ją trzymać?

Potrafił mówić wyłącznie o tym samochodzie. Zaczynał mi przypominać zepsutą płytę. A co gorsza, zawsze to była ona, ona, ona. Dysponował wystarczającą inteligencją, żeby zdać sobie sprawę ze swojej narastającej obsesji, lecz mimo to nic nie robił, by się od niej uwolnić. Zupełnie nic.

- Arnie - powiedziałem. - Przyjacielu. Musisz teraz zatroszczyć się o dużo ważniejsze sprawy niż o to, gdzie postawić samochód. Szczerze mówiąc chciałbym wiedzieć, gdzie powinniśmy trzymać ciebie.

- Jak to? O czym ty mówisz?

- Pytam, co zamierzasz zrobić, jeśli Buddy i jego kumple uznają za stosowne wziąć cię w obroty?

Jego twarz przybrała nagle przebiegły wyraz - stało się to tak szybko, że aż poczułem ukłucie niepokoju. Była to przebiegłość wymieszana z bezradnością i uporem. Kiedy miałem osiem lub dziewięć lat, oglądałem takie twarze na ekranie telewizora; należały do żołnierzy w czarnych piżamach, którzy sprawiali łomot najlepiej wyposażonej i najnowocześniejszej armii świata.

- Zrobię, co będę mógł, Dennis.

## 10. LEBAY ODCHODZI

*Nie mam wozu, i żał mi okropnie,  
Ale mam szofera, bo tak mi wygodnie...*

Lennon i McCartney

Tego dnia wieczorem zabrałem moją dziewczynę na filmową wersję "Grease", która właśnie weszła na ekrany. Moim zdaniem film był głupi, jej zaś szalenie się podobał. Siedziałem, gapiąc się na tych śpiewających i tańczących, kompletnie nieprawdziwych nastolatków (jeżeli mam ochotę obejrzeć prawdziwych nastolatków, wtedy idę na "The Blackboard Jungle"), i pozwalałem swoim myślom na swobodną wędrówkę. Nagle doznałem olśnienia, jak to często się zdarza, kiedy nie myślimy o niczym szczególnym.

Przeprosilem moją towarzyszkę i wyszedłem do holu, gdzie wisiał automat telefoniczny. Pewnymi, szybkimi ruchami nakręciłem numer domu Arniego. Zapamiętałem ten numer, kiedy miałem osiem albo dziewięć lat. Właściwie mogłem poczekać do zakończenia seansu, ale pomysł wydawał mi się tak świetny, że natychmiast musiałem się nim podzielić.

Odebrał Arnie.

- Halo?

- To ja, Dennis.

- Aha. Cześć.

Jego głos brzmiał tak dziwnie i obojętnie, że aż się przestraszyłem.

- Wszystko w porządku, Arnie?

- Co? Jasne. Myślałem, że idziesz z Roseanne do kina.

- Właśnie stamtąd dzwonię.

- W takim razie film chyba nie jest najlepszy - zauważył. Jego głos był wciąż głuchy i przerażający.

- Roseanne uważa, że jest świetny.

Myślałem, że wywołam tym wybuch śmiechu, lecz odpowiedziała mi tylko cierpliwa, oczekująca cisza.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Znalazłem rozwiązanie.

- Rozwiązanie?

- Jasne. LeBay. LeBay jest naszym rozwiązaniem.

- Le... - wykrztusił nienaturalnym, wysokim głosem... po czym znowu zapadło milczenie. Bałem się coraz bardziej. Nigdy dotąd nie zachowywał się w taki sposób.

- Jasne - mówiłem coraz szybciej. - LeBay. LeBay ma garaż, a ja podejrzewam, że zjadłby nawet kanapkę ze zdechłym szczurem, gdyby tylko mógł na tym zarobić. Gdybyś zaproponował mi, powiedzmy, szesnaście albo siedemnaście dolców tygodniowo...

- Jesteś bardzo zabawny, Dennis - przerwał mi lodowatym tonem.

- Arnie, co...

Odłożył słuchawkę.

Stałem jak słup soli wpatrując się w automat i zastanawiając, co jest grane, do diabła. Znowu pokłócił się z rodzicami? A może pojechał do Darnella i przekonał się, że coś zniszczono w jego samochodzie?

Nagle tknęło mnie graniczące z pewnością przeczucie. Odwiesiłem słuchawkę, podszedłem do stoiska z przekąskami i zapytałem, czy przypadkiem mają dzisiejszą gazetę. Dziewczyna sprzedająca cukierki i prażoną kukurydzę podała mi ją i przyglądała się, żując gumę, jak pośpiesznie przewracam ostatnie strony, gdzie zwykle są drukowane nekrologi. Przypuszczam, że chciała się upewnić, czy nie dokonam żadnego perwersyjnego czynu ani nie zacznę polykać kartek.

Wydawało mi się, że nic nie ma, ale potem przewróciłem stronę i ujrzałem tytuł: "Weteran z Libertyville umiera w wieku 71 lat", a niżej zdjęcie Rolanda D. LeBaya w mundurze, młodszego o dwadzieścia lat i znacznie lepiej wyglądającego niż tego dnia, kiedy Arnie i ja go poznaliśmy. Informacja była zwięzła. LeBay zmarł nagle w sobotę po południu, pozostawiając brata George'a i siostrę Marcie. Uroczystości pogrzebowe zaplanowano na wtorek na godzinę czternastą.

Nagle.

W nekrologach zawsze widzi się "po długiej chorobie", "po krótkiej chorobie" albo "nagle". "Nagle" może oznaczać wszystko, poczynając od zatoru mózgu na porażeniu prądem w wannie kończąc. Przypomniałem sobie, co zrobiłem Ellie, kiedy miała zaledwie trzy lata: przestraszyłem ją śmiertelnie pudelkiem-niespodzianką. Duży brat Dennis trzyma w ręku pudelko, z którego wydobywa się muzyka. Niezłe. Nawet mile. A potem... lubudu! Z pudelka wyskakuje paskudny ludzik z uśmiechniętą gębą i haczykowatym nosem. Ellie uciekła do mamy zanosząc się płaczem, a ja zostałem gapiąc się ponuro na kołyszące się straszidło, zdając sobie sprawę, że za chwilę zostanę obsztorcowany i że na to zasłużyłem. Wiedziałem, że się przestraszy, jeśli z grającego pudelka wyskoczy paskudna morda.

Wyskoczy tak nagle.

Oddałem gazetę, ale nie ruszyłem się z miejsca, wpatrując się bezmyślnie w plakaty zapowiadające Następną Atrakcję i Wkrótce na Ekranach.

W sobotę po południu.

Nagle.

Zabawne, jak ułożyły się sprawy. Mój olśniewający pomysł polegał na tym, żeby Arnie odprowadził Christine tam, skąd ją wziął, płacąc LeBayowi za wynajęcie garażu. Okazało się jednak, że LeBay nie żyje. Umarł tego samego dnia, kiedy Arnie starł się z Buddym Reppertonem... Tego samego dnia, kiedy Buddy rozbił reflektor Christine.

Przed moimi oczami natychmiast pojawił się irracjonalny obraz Buddy'ego Reppertona uderzającego kluczem i LeBaya, który w tej samej chwili osuwa się na kolana i nagle, zupełnie nagle...

Przestań pieprzyć, Dennis, skarciłem się w myślach.

A wtedy gdzieś w głębi mego umysłu, blisko samego środka, rozległ się szept:

*Pojedźmy gdzieś, chłoptasiu...*

I umilkł.

- Nie zdąży pan na koniec filmu - powiedziała dziewczyna, nieprzerwanie żując gumę. - Zakończenie jest najlepsze ze wszystkiego.

- Tak, dziękuję.

Ruszyłem w kierunku drzwi prowadzących na salę, ale po drodze zboczyłem jeszcze do stoiska z napojami. Miałem zupełnie sucho w gardle.

Zanim zdążyłem wlać w siebie zawartość szklanki, drzwi otworzyły się i z sali zaczęli wychodzić ludzie. Nad ich podskakującymi głowami widziałem przesuwającą się przez ekran listę wykonawców. Zaraz potem pojawiła się Roseanne, rozglądając się za mną. Trafiło ją sporo łakomych spojrzeń, ale odparła wszystkie w swój lekko senny, opanowany sposób.

- Den-Den - powiedziała biorąc mnie za ramię. Być nazywanym Den-Den nie jest chyba najgorszą rzeczą na świecie - podejrzewam, że czułbym się znacznie gorzej, gdyby wypalono mi oczy gorącym żelazem albo amputowano nogę za pomocą piły mechanicznej - ale nigdy nie sprawiało mi to szczególnej przyjemności. - Gdzie się podziałeś? Nie widziałeś zakończenia. Zakończenie jest...

- ...najlepsze ze wszystkiego - dokończyłem. - Przepraszam, musiałem odpowiedzieć na niespodziewany zew natury.

- Opowiem ci, jeśli pojedziemy na chwilę na Skarpę - szepnęła przyciskając moje ramię do miękkiej wypukłości swojej piersi. - Oczywiście, jeśli masz ochotę.

- Czy to było szczęśliwe zakończenie?

Uśmiechnęła się do mnie. Jej oczy były jak zwykle wielkie, słodkie i odrobinę zamglone. Przycisnęła jeszcze mocniej moje ramię.

- Bardzo szczęśliwe. Lubię szczęśliwe zakończenia, a ty, Den-Den?

- Uwielbiam je - odparłem. Powinienem być chyba myśleć o tym, co obiecywało dotknięcie jej piersi, lecz myślałem wyłącznie o Arniem.

Tej nocy znowu miałem sen, ale tym razem Christine była stara; wręcz przeraźliwie stara, okropne truchło samochodu, coś, co można by zobaczyć w kartach Taroka; zamiast Wisielca - Samochód Śmierci. Coś dorównującego wiekiem piramidom. Silnik zapalił, zakrztusił się i wyrzucił kłęb niebieskiego dymu.

Samochód nie był pusty. Za kierownicą kiwał się Roland D. LeBay. Miał otwarte oczy, lecz były one szkliste i martwe. Za każdym razem, kiedy silnik zwiększał obroty wprawiając nadwozie w wibrację, podskakiwał niczym szmaciana lalka, kołysząc w przód i w tył lysiejącą czaszką.

A potem opony wrzasnęły potępieńczo i plymouth runął na mnie; w tej samej chwili rdza zniknęła, porysowane szkło stało się znowu idealnie przejrzyste, chromowane części rozblysły drapieżną nowością, stare gumy zaś zmieniły się w nowiutkie opony o bieżniku głębokim jak Wielki Kanion.

Samochód pędził ku mnie z nienawistnie świecącymi reflektorami, a mnie przemknęła tylko jedna myśl, kiedy uniosłem ręce w głupim, bezsensownym, obronnym geście: Boże, jego nieskończona wściekłość...

Obudziłem się.

Nie krzyknąłem. Tym razem udało mi się zdusić krzyk w sobie.

Z najwyższym trudem.

Usiadłem na łóżku w kałuży księżycowego światła. Zmarł nagle.

Tej nocy już nie udało mi się zasnąć tak szybko jak poprzedniej.

## 11. POGRZEB

*Wspaniałe tylne plekwy, gumy i chlapacze,  
Sunie jak kawał nieba ściągnięty na ziemię,  
Kiedy umrę, wrzucicie mnie na tylne siedzenie  
I odstawcie na złom w moim cadillacu.*

Bruce Springsteen

Brad Jeffries, nasz brygadzysta, miał czterdzieści kilka lat, był mocno zbudowany, lekko łysiejący i zawsze opalony. Uwielbiał na nas wrzeszczeć - szczególnie jeśli nie nadążaliśmy z planem - ale w gruncie rzeczy był porządnym człowiekiem. Poszedłem do niego w czasie przerwy na kawę, by zapytać, czy Arnie już poprosił o wolne na popołudnie.

- Gadał coś o dwóch godzinach, bo chce jechać na pogrzeb - powiedział Brad. Zdjął okulary w stalowych oprawkach i rozmasowywał czerwone ślady po obu stronach nosa. - Nie rób mi tego samego. I tak pracujecie tu ostatni tydzień, a potem zostanę z samymi obibokami.

- Brad, to dla mnie bardzo ważne.

- Dlaczego? Kim jest ten facet? Cunningham powiedział, że kupił od niego wóz, i to wszystko. Jezu, nie myślałem, że na pogrzeby handlarzy używanymi samochodami chodzi ktoś oprócz ich rodzin!

- To nie był handlarz, tylko zwykły człowiek. Arnie ma z tym jakieś problemy. Wydaje mi się, że powinienem z nim być.

Brad westchnął ciężko.

- Dobra. Dobra, dobra, dobra. Masz wolne od pierwszej do trzeciej, tak jak on. Pod warunkiem, że będziesz pracował w czasie przerwy, a w czwartek zostaniesz do szóstej wieczorem.

- Jasne. Dzięki, Brad.

- Nie rejestruję tego na waszych kartach - dodał. - Gdyby dowiedział się o tym ktoś z nadzoru pracy w Pittsburghu, zrobiliby mi z dupy sieczkę.

- Nikt się nie dowie.

- Szkoda, że odchodzicie, chłopaki - powiedział, biorąc do ręki gazetę i otwierając ją na wiadomościach sportowych. W ustach Brada był to największy komplement.

- Nam też dobrze się tu pracowało.



- To dobrze, Dennis. A teraz zmykaj stąd, bo chcę poczytać gazetę.

Zrobiłem to.

Punktualnie o pierwszej wskoczyłem na równiarzkę i podjechałem do szatni. Kiedy wszedłem do środka, Arnie właśnie odwiesił swój żółty kask i zakładał czystą koszulę. Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Dennis! Co tu robisz?

- Szykuję się na pogrzeb - odparłem. - Tak samo jak ty.

- Nie - powiedział natychmiast i chyba właśnie to jedno słowo bardziej niż cokolwiek innego - bardziej niż soboty, w które przestał mnie odwiedzać, niż dystans, z jakim rozmawiali ze mną przez telefon Regina i Michael, niż jego zachowanie, kiedy zadzwoniłem do niego z kina - pozwoliło mi zrozumieć, jak bardzo odsunął mnie od swojego życia i że stało się to dokładnie w taki sam sposób, w jaki umarł LeBay: nagle.

- Właśnie że tak. Arnie, ten facet wciąż mi się śni. Słyszysz, co do ciebie mówię? On mi się śni. Jadę tam. Możemy jechać razem albo osobno, ale muszę tam być.

- Nie żartowałeś wtedy, prawda?

- Kiedy?

- Kiedy zadzwoniłeś do mnie z kina. Naprawdę nie wiedziałeś, że umarł.

- Boże! Naprawdę myślisz, że robiłbym sobie żarty z czegoś takiego?

- Nie - przyznał po chwili. Powiedział "nie" dopiero wtedy, kiedy się dobrze zastanowił. Dopuszczał możliwość, że wszyscy zwrócili się przeciwko niemu. Zrobił to Will Darnell i Buddy Repperton, a także, jak mi się wydaje, matka i ojciec. Ale w gruncie rzeczy nie chodziło o nich, bo nie oni byli właściwą przyczyną. Prawdziwą przyczyną był ten samochód.

- Śni ci się?

- Tak.

Stał z czystą koszulą w rękach, myśląc nad tym intensywnie.

- W gazecie napisali, że będą go chować na Libertyville Heights Cemetery - odezwałem się wreszcie. - Jedziesz autobusem czy ze mną?

- Z tobą.

- Dobry pomysł.

Staliśmy na pagórku w pewnym oddaleniu od miejsca ceremonii, nie mając odwagi ani ochoty zejść w dół i dołączyć do garstki żałobników. Zgromadziło się ich w sumie niewiele ponad dziesięć osób, z czego połowę stanowili wiekowi mężczyźni w mundurach sprawiających

wrażenie bardzo starych i troskliwie przechowywanych - prawie można było wyczuć zapach galek przeciwmolowych. Przykryta flagą trumna LeBaya stała na rolkach nad grobem. Ciepły sierpniowy wiatr niósł ku nam słowa kapłana: człowiek jest jak trawa, która rośnie, a potem jest ścinana, człowiek jest jak kwiat, który rozkwita na wiosnę i więdnie jesienią, człowiek jest jak miłość, która przemija.

Kiedy ceremonia dobiegła końca, zwinięto flagę, a sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna rzucił na trumnę garść ziemi. Małe grudki potoczyły się po drewnianej powierzchni i wpadły do wykopanego dołu. W nekrologu wspomniano, że LeBay pozostawił brata i siostrę. To musiał być jego brat; podobieństwo nie było uderzające, ale dawało się bez trudu dostrzec. Siostra najwyraźniej nie dotarła na pogrzeb, gdyż nad dołem zgromadzili się sami mężczyźni.

Dwóch osobników z Legionu Amerykańskiego złożyło flagę w kształt spiczastego kapelusza, a jeden z nich wręczył ją bratu LeBaya. Kapłan zwrócił się do Boga z prośbą, by zechciał ich pobłogosławić i zachować, by spojrzął na nich łaskawie, pocieszył ich w bólu i zesłał na nich spokój. Zaraz potem wszyscy zaczęli się rozchodzić. Odwróciłem się, by spojrzeć na Arniego, i przekonałem się, że nie ma go już przy mnie. Stał nieco dalej, pod drzewem, i płakał.

- Wszystko w porządku, Arnie? - zapytałem. Nagle uświadomiłem sobie, że nikt z biorących udział w uroczystości nie uronił żadnej łzy i że gdyby Roland D. LeBay przypuszczał, iż jedyną osobą, która okaże jakieś uczucia podczas jego skromnego pogrzebu na jednym z nędzniejszych cmentarzy w zachodniej Pensylwanii, będzie właśnie Arnie Cunningham, to chyba opuściłby z pięćdziesiąt dolarów z ceny tego swojego zakichanego samochodu. Tym bardziej że nawet wtedy żądałby za niego o sto pięćdziesiąt więcej, niż był wart.

Arnie otarł twarz gwałtownym gestem.

- W porządku - wychrypiał. - Chodźmy.

- Jasne.

Myślałem, że chce już wracać, lecz on nie ruszył w kierunku mego dusteru, tylko w dół wzgórza. Otworzyłem już usta, by go zapytać, dokąd idzie, ale natychmiast je zamknąłem. Wiedziałem, dokąd idzie: porozmawiać z bratem LeBaya.

Stał z flagą wetkniętą pod pachę, pogrążony w cichej rozmowie z dwoma członkami Legionu Amerykańskiego. Był ubrany jak człowiek zbliżający się właśnie do bardzo skromnej emerytury - w prążkowany garnitur o wyświechtanym siedzeniu. Krawat był cokolwiek wymięty, a biała koszula miała żółtą otoczkę na kołnierzyku.

Obejrzał się na nas.

- Przepraszam, ale pan jest chyba bratem pana LeBaya, prawda? - zapytał Arnie.

- Zgadza się - odparł, obrzucając go pytającym i, jak mi się wydawało, lekko

zaniepokojonym spojrzeniem.

Arnie wyciągnął rękę.

- Nazywam się Arnold Cunningham. Znałem trochę pańskiego brata. Niedawno kupiłem od niego samochód.

Kiedy Arnie podał mu rękę, LeBay odruchowo wyciągnął swoją - u nas, Amerykanów, jest to najgłębiej zakodowany w podświadomości gest, jeśli nie liczyć sprawdzania, czy po wyjściu z toalety nie zapomnieliśmy zapiąć rozporka. Jednak gdy Arnie wspomniał o samochodzie, ręka wyraźnie się zawahała. Przez chwilę odniosłem nawet wrażenie, że mężczyzna cofnie ją, pozostawiając dłoń Arniego zawieszoną w powietrzu.

Jednak nie zrobił tego... a przynajmniej nie do końca. Ucisnął mu krótko rękę i natychmiast ją puścił.

- Christine - powiedział skrzypiącym głosem. Tak, rodzinne podobieństwo nie ulegało najmniejszej wątpliwości: wygięcie brwi, kształt szczęki, jasnobłękitne oczy. Ale twarz tego człowieka była łagodniejsza, niemal przyjazna. Nie wydawało mi się prawdopodobne, żeby kiedykolwiek nabrała sępich cech jego brata. - W ostatniej kartce Rollie wspomniał coś o tym, że ją sprzedał.

Dobry Boże, on też używał tego przekłętą żeńskiego zaimka! Poza tym, Rollie! Doprawdy trudno było sobie wyobrazić LeBaya, z jego lysiejącą czaszką i brudnym pasem ortopedycznym, jako czyjegokolwiek Rolliego. Ale jego brat powiedział to zdrobnienie takim samym suchym tonem. W jego głosie nie było ani odrobiny miłości, a w każdym razie ja nie potrafiłem tego dosłyszeć.

- Mój brat rzadko do mnie pisywał, panie Cunningham - ciągnął LeBay - ale wiem, że uwielbiał gnoić ludzi. Chciałbym znać na to jakieś łagodniejsze określenie, lecz takie chyba nie istnieje. Określił pana jako "palanta" i chwalił się, że "nieźle pana wyruchał".

Opadła mi szczęka. Odwróciłem się do Arniego, oczekując podświadomie kolejnego wybuchu wściekłości, ale jego twarz nie zmieniła wyrazu.

- W ten sposób myśli prawie każdy sprzedający - zauważył spokojnie. - Nie uważa pan, panie LeBay?

LeBay roześmiał się z przymusem.

- To mój przyjaciel - dodał Arnie. - Był ze mną, kiedy kupowałem samochód.

Zostałem przedstawiony i ucisnąłem rękę George'a LeBaya.

Byli żołnierze odeszli. Zostaliśmy tylko my trzej, spoglądając na siebie nieufnie. LeBay przełożył do drugiej ręki flagę zdjętą z trumny brata.

- Mogę coś dla pana zrobić, panie Cunningham? - zapytał wreszcie.

Arnie odchrząknął.

- Myślałem o garażu. Widzi pan, ja pracuję przy tym samochodzie. Staram się go naprawić, żeby dopuścili go do ruchu. Moi rodzice nie pozwolili mi trzymać go przy domu, więc pomyślałem sobie...

- Nie.

- ...czy nie mógłbym wynająć tego garażu...

- Nie. To absolutnie niemożliwe.

- Zapłaciłbym panu dwadzieścia dolarów tygodniowo. Dwadzieścia pięć, jeśli pan chce.

Skrzywiłem się. Arnie przypominał mi dziecko, które weszło w lotne piaski i postanowiło dla dodania sobie animuszu zjeść kilka cukierków nafaszerowanych arsenikiem.

- To naprawdę nie wchodzi w grę.

LeBay sprawiał wrażenie coraz bardziej zdenerwowanego.

- Tylko sam garaż - upierał się Arnie, z trudem zachowując spokój. - Ten sam garaż, w którym stała do tej pory.

- Nic z tego - powtórzył LeBay. - Dziś rano zgłosiłem pośrednikowi dom do sprzedaży. Będzie go pokazywał klientom...

- Jasne, ale na razie...

- ...więc nie powinien pan się tam kręcić. Chyba pan to rozumie, prawda? - Nachylił się do Arniego. - Proszę mnie źle nie zrozumieć: nie mam nic przeciwko młodzieży. Gdybym miał, pewnie wylądowałbym już u czubków, bo przez prawie czterdzieści lat uczyłem w szkole średniej w Paradise Falls w Ohio. Pan wydaje się bardzo inteligentnym, czytany młodzieńcem, ale mnie chodzi tylko o to, żeby jak najszybciej sprzedać ten dom i oddać połowę pieniędzy siostrze, która mieszka w Denver. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego, panie Cunningham, podobnie jak nie chcę mieć nic wspólnego z życiem mojego brata.

- Rozumiem - powiedział Arnie. - Czy sprawiłoby panu jakąś różnicę, gdybym obiecał, że będę się opiekował domem? Mógłbym skosić trawę, pomalować ściany, naprawić to i owo... Potrafię robić takie rzeczy.

- On naprawdę to potrafi - wtrąciłem się. Nie zaszkodzi, by Arnie zapamiętał, że byłem po jego stronie... nawet jeśli prawda wyglądała zupełnie inaczej.

- Wynająłem już kogoś, żeby się tym zajął - odparł LeBay. Zabrzmiało to nawet prawdopodobnie, lecz ja wiedziałem z całą pewnością, że to kłamstwo. Przypuszczam, iż Arnie także to wiedział.

- W porządku. Przykro mi z powodu pańskiego brata. Wydawał się człowiekiem... o bardzo silnej woli.

Kiedy to powiedział, przypomniałem sobie LeBaya ze ściekającymi po policzkach wielkimi, tłustymi łzami. "No i tak. Pozbyłem się jej, chłopcze".

- O silnej woli? - LeBay uśmiechnął się cynicznie. - Och, bez wątpienia. Był sukinsynem o wyjątkowo silnej woli. - Chyba nie zauważył zdumionej miny Arniego. - Wybaczenie mi, panowie, ale obawiam się, że to słońce trochę źle podziało mi na żołądek.

Zrobił ruch, jakby zbierał się do odejścia. Przyglądaliśmy mu się, stojąc niedaleko grobu. Nagle zatrzymał się i przez twarz Arniego przemknął błysk nadziei; myślał, że LeBay zmienił zdanie. On jednak przez chwilę stał z pochyloną głową w pozie człowieka pograżonego głęboko w myślach, po czym odwrócił się do nas.

- Radzę panu zapomnieć o tym samochodzie - zwrócił się do Arniego. - Niech pan ją sprzeda. Jeśli nie znajdzie pan nikogo, kto kupiłby ją w całości, niech pan ją sprzeda na części. Jeśli nikt jej nie kupi na części, niech pan ją odda na złom. Proszę to zrobić możliwie szybko i ostatecznie, tak jakby porzucal pan niedobry nałóg. Myślę, że będzie pan znacznie szczęśliwszy.

Stał tam patrząc na Arniego i czekając na jakąś odpowiedź, lecz Arnie nie zareagował, wpatrując się tylko bez zmruczenia powiek w oczy LeBaya. Jego własne oczy przybrały tę szczególną ciemnoszarą barwę świadczącą o tym, że ich właściciel postanowił trwać przy czymś z niewzruszonym uporem. LeBay zrozumiał to i skinął głową. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego i niezbyt zdrowego.

- Do widzenia, panowie.

- Cóż, to chyba wyjaśnia sprawę - westchnął Arnie, spoglądając niechętnie za oddalającymi się plecami LeBaya.

- Chyba tak - zgodziłem się, mając nadzieję, że sprawiam wrażenie bardziej zawiedzionego, niż byłem w istocie. To przez mój sen. Wcale nie podobał mi się pomysł, żeby wstawiać Christine z powrotem do tego garażu. Wtedy wszystko byłoby jak w moim śnie.

Ruszyliśmy w milczeniu do samochodu. LeBay nie dawał mi spokoju. Obaj LeBayowie nie dawali mi spokoju. Wiedziony nagłym impulsem podjąłem raptowną decyzję - jeden Bóg wie, jak potoczyłyby się sprawy, gdybym tego wtedy nie uczynił.

- Muszę się odpryskać - powiedziałem do Arniego. - Zaczekaj dwie minutki, dobra?

- Jasne - odparł nawet nie podnosząc wzroku. Szedł przed siebie z rękami wbitymi w kieszenie i opuszczoną głową.

Skreśliłem w lewo, w kierunku wskazywanym przez dyskretny znaczek i jeszcze mniejszą strzałkę. Jednak kiedy tylko skryłem się za pierwszym pagórkiem, zawróciłem w prawo i popędziłem w stronę parkingu. Dopadłem George'a LeBaya w chwili, kiedy powoli sadowił się za kierownicą maleńkiego vauxhalla chevette z naklejką Hertza na przedniej szybie.

- Panie LeBay! - wysapalem. - Panie LeBay... - Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. -  
Przepraszam, że jeszcze zawracam panu głowę...

- Nie szkodzi - odparł. - Niestety obawiam się, że nie zmieniłem zdania. Nie mogę  
wynająć garażu pańskiemu przyjacielowi.

- To dobrze - powiedziałem.

Uniósł krzaczaste brwi.

- Chodzi o ten samochód - wyjaśniłem. - Nie lubię go.

Wpatrywał się we mnie bez słowa.

- Nie wydaje mi się, żeby dobrze wpływał na Arniego. Jest w nim coś... bo ja wiem...

- Zazdrość? - zapytał spokojnie. - Czas, który kiedyś spędzał z panem, teraz poświęca  
wyłącznie jej?

- Chyba tak - przyznałem. - Przyjaźnimy się od wielu lat. Ale... Nie wydaje mi się, żeby to  
było wszystko.

- Nie?

- Nie. - Obejrzałem się, by sprawdzić, czy Arnio nie pojawił się w zasięgu wzroku. Nie  
patrzając na LeBaya zdołałem to wreszcie z siebie wyrzucić: - Dlaczego kazał mu pan odprowadzić  
go na złomowisko i zapomnieć o nim? Dlaczego powiedział pan, że to jest jak niedobry nałóg?

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił i zacząłem się już bać, że po prostu nie ma nic do  
powiedzenia - a w każdym razie nic, co chciałby, żebym ja usłyszał. Potem, tak cicho, że z trudem  
go usłyszałem, zapytał:

- Synu, czy jesteś pewien, że to twój interes?

- Nie wiem. - Nagle poczułem, że koniecznie muszę spojrzeć mu prosto w oczy. - Ale  
bardzo martwię się o Arniego. Nie chcę, żeby stało mu się coś złego. Ten samochód już napisał  
mu sporo biedy. Boję się, że będzie jeszcze gorzej.

- Niech pan przyjedzie wieczorem do mnie do motelu. Przy Western Avenue, niedaleko  
zjazdu z 376. Wie pan, gdzie to jest?

- Spawałem tam barierę ochronną. - Pokazałem mu ręce. - Do dziś zostały mi blizny.

Uśmiechnąłem się, ale on nie odpowiedział uśmiechem.

- Rainbow Motel. Są tam dwa. Mój jest ten tańszy.

- Dziękuję panu - mruknąłem niezręcznie. - Ja naprawdę...

- Możliwe, że to nie jest ani pański interes, ani mój, ani czyjkolwiek - przerwał mi  
spokojnym głosem nauczyciela, tak różnym (choć jednocześnie w dziwny sposób podobnym) od  
ochryplego krakania swojego zmarłego brata.

*(to najspanialszy zapach na świecie... może z wyjątkiem cipki)*

- Ale jedno mogę panu powiedzieć już teraz: mój brat nie był dobrym człowiekiem. Przypuszczam, że jedyną rzeczą, jaką naprawdę kochał w całym swoim życiu, był ten plymouth fury, którego właśnie kupił pański przyjaciel. Niewykluczone, że to sprawa wyłącznie między nimi dwoma, bez względu na to, co pan mi powie albo co ja powiem panu. - Uśmiechnął się. Nie był to przyjemny uśmiech. Przez ułamek sekundy odniosłem wrażenie, że uśmiecha się do mnie Roland D. LeBay. Zadrżałem. - Synu, jesteś chyba jeszcze za młody, by poszukiwać mądrości w słowach innych ludzi, lecz mimo to coś ci powiem: naszym największym wrogiem jest miłość. - Skinął poważnie głową. - Tak. Poeci kłamią, czasem nieświadomie, a czasem z pełną premedytacją. Miłość jest jak morderca. Wcale nie jest ślepa. To kanibal o wyjątkowo ostrym wzroku. Przypomina wiecznie głodnego owada.

- A co jada? - zapytałem niespodziewanie dla samego siebie. Uważałem, że ta rozmowa nie ma najmniejszego sensu; tylko moje usta miały na ten temat odmienne zdanie.

- Przyjaźń - oświadczył LeBay. - Pożera przyjaźń. Na twoim miejscu, Dennis, przygotowałbym się na najgorsze.

Zatrzasnął drzwiczki swojego chevette, uruchomił jego silnik kosiarki i odjechał, pozostawiając mnie stojącego na skraju asfaltowego parkingu. Przypomniałem sobie, że Arnie powinien zobaczyć mnie nadchodzącego od strony toalet, więc puściłem się biegiem w tamtym kierunku.

Po drodze przyszło mi do głowy, że grabarze, pracownicy komunalni, inżynierowie wieczności, czy jak tam oni się nazywają, opuszczają teraz trumnę LeBaya do dołu. Garść ziemi rzucona pod koniec uroczystości przez George'a LeBaya leży na jej wierzchu niczym odcisk dłoni zwycięzcy. Usiłowałem odpędzić od siebie ten obraz, lecz zamiast niego pojawił się inny, jeszcze gorszy: Roland D. LeBay we wnętrzu swojej wyścielanej jedwabiem trumny, ubrany w najlepszy garnitur i najlepszą białą bieliznę, lecz już bez swego aromatycznego, pośliskiego pasa ortopedycznego, ma się rozumieć.

LeBay w ziemi, LeBay w trumnie z rękami złożonymi na piersi... Skąd wzięła się u mnie ta pewność, że twarz miał wykrzywioną w szerokim, paskudnym uśmiechu?

## 12. NIEZŁA HISTORIA RODZINNA

*Nie słyszycie tego u siebie tam, w Needham?*

*Przy szosie numer 128, tuż obok linii elektrycznej...*

*Jak zimno tu w ciemności,*

*Jak wspaniale tu w ciemności...*

## Jonathan Richman i Modern Lovers

Istotnie, Rainbow Motel nie należał do najlepszych - jednopiętrowy, o parkingu pokrytym splekaną kostką i z częściowo zepsutym neonem. Dokładnie takie miejsce, w jakim można spotkać podstarzałego nauczyciela języka angielskiego. Wiem, że to brzmi bardzo przygnębiająco, ale taka jest prawda. Nazajutrz miał oddać na lotnisku swój wynajęty u Hertza samochód i polecieć do Paradise Falls w stanie Ohio.

Rainbow Motel przypominał oddział geriatryczny. Starzy ludzie siedzieli przed swoimi pokojami w ogrodowych fotelach, dostarczonych specjalnie w tym celu przez właściciela, ze skrzyżowanymi kościstymi nogami i białymi skarpetkami podciągniętymi wysoko na owłosionych piszczelach. Wszyscy mężczyźni wyglądali jak emerytowani alpinści, chudzi i silni, natomiast większość kobiet rozkwitała miękkim tłuszczem świadczącym o przekroczonej pięćdziesiątce i braku nadziei. Od tamtej pory często widywałem motele wypełnione wyłącznie ludźmi w tym wieku; zupełnie jakby przekazywali sobie wiadomości o nich jakąś Gorącą Linią Retro. Przywieźcie swoje Mięśniaki i Powiększoną Prostatę do naszego Niezbyt Malowniczego Motelu. Nie mamy Telewizji Kablowej, ale mamy Magiczne Paluszki, tylko po Ćwierć Dolara za sztukę. Nigdzie nie mogłem dostrzec choćby jednego młodego człowieka; na placu zabaw stały zardzewiałe huśtawki rzucając na ziemię długie nieruchome cienie. W górze, bzyząc jak rój much złapany w butelkę, neonowa tęcza wznosiła się półkolem nad napisem, w którym brakowało dwóch liter.

LeBay siedział ze szklanką w dłoni przed pokojem numer 14. Podeszedłem do niego i podałem mu rękę.

- Napijesz się lemoniady? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

Przyniosłem sobie ogrodowe krzeselko sprzed sąsiedniego pustego pokoju i usiadłem obok LeBaya.

- W takim razie pozwól, że opowiem ci wszystko, co wiem - rzekł swoim łagodnym, kulturalnym głosem. - Jestem jedenaście lat młodszy od Rolliego i wciąż jeszcze uczę się, jak być starym.

Poruszyłem się niezgrabnie na krześle i nic nie powiedziałem.

- Było nas czworo - ciągnął. - Rollie najstarszy, ja najmłodszy. Nasz brat Drew zginął we Francji w 1944 roku. On i Rollie służyli zawodowo w wojsku. Wychowywaliśmy się tutaj, w Libertyville, tylko że Libertyville było dużo mniejsze niż teraz. Na tyle małe, że miało obywateli



pierwszej i drugiej kategorii. My należeliśmy do drugiej. Biedacy. Niezaradni. Pechowcy. Wybierz taki stereotyp, jaki chcesz. - Zachichotał cicho w zapadającym mroku i dołał sobie do szklanki 7-Up. - Tak naprawdę to zapamiętałem tylko jedno zdarzenie z dzieciństwa Rolliego - bądź co bądź chodził już do piątej klasy, kiedy się urodziłem - ale zapamiętałem je bardzo dobrze.

- Co to było? - zapytałem.

- Jego wściekłość - odparł LeBay. - Rollie bardzo często był wściekły. Był wściekły dlatego, że musiał chodzić do szkoły w zniszczonych ubraniach, dlatego że mieliśmy ojca pijaka, który nie potrafił utrzymać się na dłużej w pracy w żadnej z czterech okolicznych hut, dlatego że matka nie umiała zmusić ojca, by przestał pić. Był także wściekły na trójkę młodszego rodzeństwa - na Drewa, Marcie i mnie - które czyniło biedę wręcz niemożliwą do zniesienia.

LeBay wyciągnął rękę i podwinął rękaw koszuli, odsłaniając stare poskręcane ścięgna osłonięte cienką warstwą lśniącej, napiętej skóry. Blizna, która zaczynała się przy łokciu, sięgała niemal aż do przegubu.

- To prezent od Rolliego - wyjaśnił. - Otrzymałem go, kiedy miałem trzy lata, a on czternaście. Bawiłem się na chodniku przed domem kilkoma drewnianymi klockami mającymi wyobrażać samochody osobowe i ciężarówki, kiedy pojawił się rozwścieczony Rollie wracający ze szkoły. Mam wrażenie, że znalazłem się akurat na jego drodze. Odepchnął mnie, poszedł dalej, po czym wrócił, podniósł mnie i rzucił. Wylądowałem z ręką wbitą na metalową, ostro zakończoną sztachtę ogrodzenia otaczającego kępę chwastów i słoneczników nazywaną przez matkę z uporem "ogródkiem". Krwawiłem tak bardzo, że wszyscy płakali z przerażenia - wszyscy z wyjątkiem Rolliego, który cały czas wrzeszczał: "Nie włącz mi w drogę, smarkaczu, rozumiesz? Nie włącz mi w drogę!"

Wpatrywałem się zafascynowany w starą bliznę, uświadamiając sobie, iż jest taka długa dlatego, że małe ramię trzylatka zamieniło się z biegiem lat w duże, żyłaste ramię mężczyzny, które teraz widziałem.. Brocząca krwią rana z roku 1921 przeistoczyła się w srebrzystą, rozczłonkowaną szramę przypominającą nieco szczeble drabiny. Rana zniknęła, natomiast blizna... urosła.

Wstrząsnął mną okropny, beznadziejny dreszcz. Pomyślałem o Arniem walącym pięścią w obicie tablicy wskaźników, o Arniem wrzeszczącym wściekle, że on im jeszcze pokaże, pokaże, pokaże...

George LeBay wpatrywał się we mnie. Nie wiem, co dostrzegł na mojej twarzy, ale w każdym razie opuścił powoli rękaw i zapiął starannie guzik przy mankietcie, jakby zaciągał zasłonę nad przeszłością zbyt okropną, żeby można było stanąć z nią oko w oko.

Pociągnął ze szklanki.

- Kiedy wieczorem do domu wrócił ojciec - był na jednej z pijackich wypraw, które nazywał "szukaniem pracy" - i dowiedział się, co zrobił Rollie, zerznął mu tylek do żywej skóry. Mimo to Rollie nie uznał swojej winy. Plakał, ale nie chciał przeprosić. - LeBay uśmiechnął się lekko. - Wreszcie wtrąciła się matka, krzycząc na ojca, żeby przestał go bić, bo zatłucze go na śmierć. Łzy ciekły mu po twarzy, lecz mimo to powtarzał: "Włazł mi w drogę. Jak wlezie mi jeszcze raz, zrobię to samo i ty nic na to nie poradzisz, stary moczymordo". Wtedy ojciec uderzył go w twarz, a on upadł na podłogę, krwawiąc obficie z nosa. Mama krzyczała, Marcia płakała, Drew kulił się w kącie, ja wrzeszczałem co sił w płucach, trzymając się za zabandażowaną rękę, a Rollie powtarzał: "Zrobię to, ty przekłety, cholerny moczymordo! Zrobię to, rozumiesz?"

Nad nami pojawiły się pierwsze gwiazdy. Jakaś stara kobieta kilka pokoi dalej wstała z krzesła, poszła do swojego forda, wyjęła z niego podniszczoną walizkę i wróciła z nią do pokoju. Gdzieś grało radio, nastawione bynajmniej nie na rockowe dźwięki UKF-104.

- Najlepiej pamiętam tę jego nieskończoną wściekłość - powtórzył cicho LeBay. - W szkole bił się z każdym, kto stroił sobie żarty z jego ubrania albo fryzury. Gotów był bić się z każdym, kogo choćby podejrzewał o to, że nabija się z niego. Wciąż zawieszano go w prawach ucznia, aż wreszcie zrezygnował z nauki i wstąpił do armii.

Lata dwudzieste nie były najlepszym momentem, żeby to uczynić. W tamtych czasach ze służbą w wojsku nie wiązały się żadne zaszczyty ani awanse, nie było łopoczących sztandarów i flag, a co najważniejsze, nie było godności. Przenosili go z bazy do bazy, najpierw na południu, a potem na południowym zachodzie. Mniej więcej co trzy miesiące dostawaliśmy od niego list. Wciąż był wściekły. Najbardziej wściekał się na tych, których nazywał "zasrańcami". Oni byli odpowiedzialni za wszystko. To zasrańcy nie dali mu awansu, na który zasługiwał, zasrańcy odwołali mu urlop, zasrańcy nie potrafiliby znaleźć własnego tyłka nawet za pomocą obu rąk i latarki. Co najmniej dwa razy zasrańcy wsadzili go do aresztu.

Armia nie rezygnowała z niego, ponieważ był znakomitym mechanikiem. Potrafił utrzymać mniej więcej na chodzie wszystkie te archaiczne pojazdy, które wojsko posiadało za łaskawym zezwoleniem Kongresu.

Pomyślałem z niepokojem o Arniem, obdarzonym dokładnie takimi samymi zdolnościami.

LeBay pochylił się do przodu.

- Ale ten talent stanowił tylko jeszcze jedno ujście dla jego wściekłości, młody człowieku. Wściekłości, która znalazła swój kres dopiero wtedy, kiedy kupił ten samochód, będący teraz własnością twojego przyjaciela.

- Co pan ma na myśli?

LeBay roześmiał się sucho.

- Naprawiał wojskowe ciężarówki, wojskowe samochody osobowe i wojskowe transportery amunicji. Reperował buldożery i latał za pomocą śliny i drutu wszystko, co miało jeździć. Kiedyś, gdy do Fortu Arnold w zachodnim Teksasie przyjechał z odwiedzinami pewien kongresman, dowódca Rolliego, który postanowił za wszelką cenę wyrzucić na polityku jak najlepsze wrażenie, polecił mu doprowadzić do porządku cennego bentleya kongresmana. Napisał do nas o tym "zasrańcu" cztery bite strony - cztery strony wściekłości i jadu. Aż dziwne, że papier się nie zapalił, kiedy to pisał.

Tyle różnych pojazdów... A mimo to Rollie aż do końca wojny nie miał własnego samochodu. Nawet wtedy mógł sobie pozwolić jedynie na starego chevroleta o zużyтым silniku i przerdzewiałym nadwoziu. W latach dwudziestych i trzydziestych zawsze brakowało mu pieniędzy, podczas wojny zaś zbyt wiele energii pochłaniało samo utrzymanie się przy życiu.

Przez te wszystkie lata pracował w kolumnie transportowej, naprawiał tysiące samochodów należących do różnych zasrańców, lecz nigdy nie miał żadnego na własność. Wszystko było tak, jak w Libertyville. Nie mógł tego zmienić ani ten stary chevrolet, ani stary hudson hornet, którego kupił w rok po tym, jak się ożenił.

- Ożenił?

- Nie powiedział wam o tym, prawda? Najchętniej gadałby w kółko o swoich przeżyciach w wojsku - przede wszystkim o wojnie i wiecznych utarczkach z zasrańcami - dopóki byście nie zasnęli... z jego ręką w kieszeni szukającą waszych portfeli. Ale na pewno nie wspomniałby ani słowem o Weronice ani Ricie.

- Kto to był?

- Weronika była jego żoną. Pobrali się w 1951, wkrótce przed tym, jak Rolliego przeniesiono do Korei. Mógłby zostać w Stanach - miał rodzinę, żona była w ciąży, a on sam nie należał do najmłodszych - ale mimo to zdecydował się pojechać. - LeBay obrzucił zamyślnym spojrzeniem martwy plac zabaw. - Popelnił bigamię. W 1951 miał czterdzieści cztery lata i był już żonaty. Przede wszystkim z armią, a także z zasrańcami.

Ponownie umilkł. Tym razem w jego milczeniu było coś niepokojącego.

- Dobrze pan się czuje? - zapytałem wreszcie.

- Tak - odparł. - Po prostu myślę. Myślę źle o zmarłych. - Spojrzał na mnie; twarz miał spokojną, z wyjątkiem oczu, które były mroczne i cierpiące. - Musisz wiedzieć, młody człowieku, że to wszystko sprawia mi ogromny ból... Zapomniałem, jak się nazywaś. Nie chcę opowiadać tych starych dziejów komuś, do kogo nie mogę zwrócić się po imieniu. Donald...?

- Dennis. Panie LeBay, właściwie...

- Ból jest większy, niż mógłbym podejrzewać - ciągnął. - Ale skoro już zaczęliśmy, powinniśmy skończyć, prawda? Widziałem Weronikę tylko dwa razy. Pochodziła z Zachodniej Wirginii, z okolic Wheeling. Takie jak ona nazywaliśmy wtedy "gąskami z Południa", a ona bynajmniej nie należała do najbystrzejszych. Rollie bez trudności zdominował ją i narzucił swoją wolę, tym bardziej że chyba mu na tym zależało. Mimo to wydaje mi się, że go kochała... przynajmniej do tej paskudnej historii z Ritą. Co do Rolliego, to moim zdaniem nie uważał, że ożenił się z kobietą, tylko z czymś w rodzaju ściany płaczu.

Listy, które nam przysyłał... Cóż, musisz pamiętać, że wcześniej zakończył naukę. Choć były nieporadne, to w napisanie każdego z nich musiał włożyć ogromny wysiłek. Stanowiły jego podporę, powieść, symfonię, dzieło życia. Wątpię, czy pisał je po to, żeby pozbyć się trucizny z serca; wydaje mi się, że zależało mu na tym, aby ją jak najszerzej rozpowszechnić.

Od chwili, kiedy poślubił Weronikę, przestaliśmy je otrzymywać. Miał teraz na miejscu parę uszu zawsze gotowych go wysłuchać, więc zupełnie przestał się nami interesować. Przypuszczam, że podczas dwuletniego pobytu w Korei pisywał do niej dość często, ale ja dostałem w tym czasie tylko jeden list, a Marcia najwyżej dwa. Narodziny córki na początku 1952 nie wywołały u niego radości, tylko dały pretekst do gorzkiej uwagi, że teraz w domu będzie jedna gęba więcej do wyżywienia, a zasańcy będą go skubać jeszcze bardziej niż do tej pory.

- Czy on w ogóle nie awansował? - zapytałem. Rok temu widziałem w telewizji fragment serialu "Byłem kiedyś orłem", a potem kupiłem książkową wersję scenariusza, mając nadzieję, że będzie to jakaś ciekawa historia o wojnie. Okazało się, że dotyczyła zarówno wojny, jak pokoju, i dostarczyła mi sporo zupełnie świeżych informacji na temat służby w siłach zbrojnych. Jedna z nich dotyczyła tego, że prawdziwy sezon na promocje zaczyna się w chwili wybuchu wojny. Trudno mi było pojąć, w jaki sposób LeBay mógł wstąpić do armii w latach dwudziestych, przeżyć dwie wojny i wciąż naprawiać jeżdżące złomy, kiedy Eisenhower zostawał prezydentem.

LeBay roześmiał się.

- Był jak Prewitt w "Stąd do wieczności". Awansował, po czym natychmiast był za coś degradowany - na przykład za niesubordynację, brak szacunku dla przełożonych albo pijaństwo. Wspominałem ci już, że parę razy lądował w areszcie? Między innymi dlatego, że kiedyś w klubie oficerskim w Forcie Dix nasikał przed przyjęciem do wazy z ponczem. Odsiedział za to tylko dziesięć dni, bo pewnie sędziowie posłuchali swoich sumień i uznali, że był to tylko pijacki żart, jeden z tych, jakie platali sobie nawzajem sami oficerowie. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, bo i nie mógł, z nienawiści i pogardy, jakie kryły się za tym gestem. Ja jednak przypuszczam, że już wtedy Weronika mogłaby powiedzieć im, o co chodzi.

Zerknąłem na zegarek: piętnaście po dziewiątej. LeBay mówił już prawie od godziny.

- Mój brat wrócił z Korei w 1953, by po raz pierwszy zobaczyć swoją córkę. Przypuszczam, że przyglądał się jej przez minutę lub dwie, po czym oddał ją żonie, a sam poszedł do garażu, żeby przez resztę dnia grzebać przy swym starym chevroletcie... Nie nudzę cię, Dennis?

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą.

- Jedyną rzeczą, jakiej Rollie pragnął przez te wszystkie lata, był nowy samochód. Nie cadillac ani lincoln - nie miał zamiaru dołączyć do klasy wyższej, do oficerów i zasrańców. Chciał mieć nowego plymoutha, może forda albo dodge'a.

Weronika pisywała do nas co jakiś czas. W swoich listach często wspominała, że wszystkie niedziele spędzają w taki sam sposób, to znaczy w salonach sprzedaży samochodów w miejscowościach, w których akurat stacjonował Rollie. Zostawała z córeczką w ich starym hornecie, czytając jej książeczki, podczas gdy Rollie chodził po placu ze sprzedawcą, rozmawiając o kompresji, mocy silników, cylindrach i przełożeniach skrzyni biegów... Czasem myślę o małej dziewczynce wychowującej się przy łopocie plastikowych proporczyków poruszanych podmuchami gorącego wiatru w przeróżnych miastach i miasteczkach i nie wiem, czy powinienem się śmiać, czy płakać.

Moje myśli ponownie wróciły do Arniego.

- Chce pan powiedzieć, że pański brat miał obsesję?

- Tak, to właśnie chcę powiedzieć. Zaczął oddawać pieniądze Weronice, żeby odkładała je na samochód. Oprócz tego, że ani razu podczas swojej kariery w wojsku nie udało mu się awansować powyżej starszego sierżanta, mój brat miał także problemy z pićm. Nie był alkoholikiem, lecz co sześć lub osiem miesięcy wyruszał na pijackie eskapady i wracał z nich bez pieniędzy, nie mając nawet pewności, gdzie je wydał.

Weronika miała położyć temu kres. Była to jedna z przyczyn, dla których się z nią ożenił. Przed każdą eskapadą Rollie przychodził do niej po pieniądze. Kiedyś nawet przyłożył jej nóż do gardła. Dowiedziałem się o tym od mojej siostry, która czasem rozmawiała z Weroniką przez telefon. Ona jednak odmawiała wydania mu oszczędności, które wówczas, w roku 1955, wynosiły około ośmiuset dolarów. "Pamiętaj o samochodzie, kochanie - powiedziała mu, czując na gardle czubek noża. - Nigdy go nie kupisz, jeśli przepuścisz wszystkie pieniądze".

- Musiała go bardzo kochać - zauważyłem.

- Być może. Ale nie czyni romantycznego założenia, że jej miłość w jakikolwiek sposób zmieniła Rolliego. Owszem, woda draży kamień, lecz potrzebuje na to setek lat, a ludzie są śmiertelni.

Umilkł i zamyślił się, jakby chcąc jeszcze coś dodać na ten temat, ale zrezygnował. Zwróciło to jednak moją uwagę.

- Mimo to nigdy nie tknął żadnej z nich - powiedział. - A musisz pamiętać, że wtedy, kiedy przyłożył żonie nóż do gardła, był potężnie pijany. Teraz czyni się wiele hałasu z powodu coraz częstszego używania narkotyków przez uczniów i ja nie mam nic przeciwko temu, bo uważam, że widok naćpanych piętnasto- i szesnastolatków jest rzeczą straszną, lecz jednocześnie sądzę, że najokrutniejszym i najbardziej niebezpiecznym narkotykiem, jaki został kiedykolwiek wynaleziony, jest alkohol, który można spożywać zupełnie legalnie.

Do czasu, kiedy wreszcie mój brat rozstał się z armią, a było to w roku 1957, Weronice udało się odłożyć nieco ponad tysiąc dwieście dolarów. Należało jeszcze dodać do tego całkiem sporą rentę w związku z chorobą kręgosłupa - jak sam powiedział, walczył o to z zasrańcami i wygrał.

Tak więc nareszcie mieli pieniądze. Przeprowadzili się do domu, który widzieliście, ale najpierw, ma się rozumieć, przysła kolej na samochód. Zawsze stanowił główny cel. Wizyty w salonach sprzedaży stały się jeszcze częstsze, aż wreszcie Rollie zdecydował się na Christine. Dostałem o niej długi list. Była plymouthem fury model 1958 sport coupe, a w liście były zawarte wszystkie dane techniczne. Nie pamiętam ich już, lecz założę się, że twój przyjaciel mógłby wyrecytować je od początku do końca.

- Jej wymiary... - mruknąłem.

LeBay uśmiechnął się bez śladu wesołości.

- Tak, jej wymiary. Pamiętam, że chwalił się, iż cena wynosiła niespełna trzy tysiące dolarów, ale on "przycisnął ich", jak się wyraził, i ostatecznie miał do zapłacenia tylko dwa tysiące sto. Zamówił ją, wpłacił dziesięć procent zaliczki, a kiedy przywieźli ją z fabryki, dopłacił resztę - gotówką, w banknotach dziesięcio- i dwudziestodolarowych.

W rok później Rita, która miała wtedy sześć lat, udławiła się na śmierć.

Podskoczyłem na krześle, o mało z niego nie spadając. Spokojny głos LeBaya prawie mnie uspił, tym bardziej że byłem zmęczony. Ostatnie zdanie podziałało jak strumień zimnej wody.

- Tak, to prawda - odparł na moje pytające, zdumione spojrzenie. - Tego dnia pojechali się "samochodować". To zastąpiło wyprawy do salonów sprzedaży. "Samochodowanie", tak się nazywało. Wziął to słowo z jednej z rockandrollowych piosenek, których ciągle słuchał. Co niedziela we trójkę jeździli się "samochodować". Na przednich i tylnych siedzeniach leżały specjalne torebki na odpadki. Dziewczynka miała stanowczo zabronione, by rzucać cokolwiek na podłogę. Nie wojno jej było robić jakiegokolwiek nieporządku. Dobrze o tym wiedziała, bo...

Ponownie nastąpiła chwila dziwnej, pełnej zastanowienia ciszy, po czym LeBay zaczął zupełnie nowy wątek.

- Rollie zawsze utrzymywał popielniczki w czystości. Zawsze. Sam dużo palił, lecz strząsał popiół za okno i w taki sam sposób pozbywał się niedopalka. Kiedy jechał z nim ktoś, kto korzystał z popielniczki, natychmiast po przyjeździe do domu mył ją i wycierał papierowym ręcznikiem. Dwa razy w tygodniu mył cały samochód, a dwa razy do roku zabezpieczał go przed korozją. Wszystko robił sam, wynajmując na godziny stanowisko w pobliskim warsztacie.

Przemknęło mi przez myśl, czy przypadkiem nie był to Garaż Darnella.

- Tamtej niedzieli w drodze powrotnej do domu zatrzymali się przy budce z hamburgerami. Wtedy nie było jeszcze wielkich restauracji McDonalda, tylko małe przydrożne budki. To, co się stało, nie było niczym niezwykłym... jak mi się wydaje.

Znowu chwila ciszy, jakby zastanawiał się, co może mi powiedzieć albo w jaki sposób oddzielić fakty od domysłów.

- Udlawiła się kawałkiem mięsa - przemówił wreszcie. - Kiedy zakrztusiła się i złapała za gardło, Rollie natychmiast zjechał na pobocze, wyciągnął ją z samochodu i zaczął walić w plecy. Oczywiście teraz jest już metoda - zabieg Heimlicha - która znakomicie skutkuje w takich sytuacjach. Nie dalej niż w ubiegłym roku jedna z praktykantek uratowała w ten sposób chłopca, który zakrztusił się w szkolnej stolówce. Ale w tamtych czasach...

Moja bratanica umarła na poboczu drogi. Wydaje mi się, że to musi być przerażająca, brudna śmierć.

Znowu mówił sennym głosem nauczyciela wyjaśniającego nowy temat, ale mnie już odechciało się spać.

- Wierzę w to, że próbował ją uratować. I staram się uwierzyć, że umarła jedynie w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Rollie przez wiele lat obracał się w dość bezlitosnym środowisku i mocno wątpię, czy kochał swoją córkę jakąś szczególnie gorącą miłością, jeżeli w ogóle ją kochał. Czasem jednak, zwłaszcza w sprawach ostatecznych, brak miłości może okazać się błogosławieństwem. Czasem potrzeba właśnie bezwzględności.

- Ale nie tym razem - zauważyłem.

- W końcu złapał ją za kolana i zaczął potrząsać, a potem uderzył w żołądek w nadziei, że w ten sposób wywoła wymioty. Podejrzewam, że byłby gotów nawet wykonać tracheotomię za pomocą swojego scyzoryka, gdyby miał choć najmniejsze pojęcie, jak to się robi. Ale oczywiście nie miał i dziewczynka umarła.

Na pogrzebie oprócz mnie zjawili się także Marcia z mężem i rodziną. Było to nasze ostatnie takie spotkanie. Pamiętam, jak myślałem: teraz na pewno sprzeda ten samochód. W pewien sposób byłem nieco zawiedziony. Zajmował tyle miejsca w listach Weroniki i w tych nielicznych, jakie otrzymałem od Rolliego, że prawie zacząłem go uważać za członka ich rodziny.

Ale pomyliłem się. Zajechali pod kościół czerwonym plymouthem... czystym... wypucowanym... i wstrętnym. Był po prostu wstrętny. - Spojrzał na mnie. - Wierzysz mi, Dennis?

Przelknąłem z trudem ślinę.

- Tak - odparłem. - Wierzę panu.

LeBay skinął ponuro głową.

- Weronika siedziała na miejscu obok kierowcy i wyglądała jak woskowa lalka. Wszystko, czym była - wszystko, co miała w sobie - zniknęło. Rollie miał samochód, a ona miała córeczkę. Nie rozpaczala, tylko po prostu umarła.

Siedziałem na krześle obok niego i usiłowałem sobie wyobrazić, co bym zrobił, gdyby mnie spotkało coś takiego. Moja córka zaczyna krztusić się i dławić na tylnym siedzeniu samochodu, a potem umiera na poboczu drogi. Czy pozbyłbym się wozu? A jeśli tak, to dlaczego? Przecież nie on ją zabił, tylko kawałek hamburgera, który utkwil jej w tchawicy. Dlaczego więc miałbym sprzedawać samochód? Oczywiście nie biorąc pod uwagę faktu, że nie mógłbym na niego patrzeć ani myśleć o nim nie czując straszego bólu i rozpacz. Sprzedałbym go? Boże, a czy pasterz zabija swoje owce?

- Zapytał go pan o to?

- Zapytałem, a jakże. Zaraz po pogrzebie. Była przy tym Marcia. Z Zachodniej Wirginii przyjechał brat Weroniki i zabrał ją do domu - zachowywała się jak lunatyczka.

Zostaliśmy tylko we trójkę - Marcia, ja i on. Ponowne zjednoczenie rodziny. Zapytałem go, czy ma zamiar sprzedać samochód. Stał zaparkowany zaraz za karawanem, który przywiózł na cmentarz trumnę - na ten sam cmentarz, gdzie dzisiaj pochowano Rolliego. Był czerwono-biały. Chrysler nie produkował tego modelu w takich kolorach; przelakierowali go na zamówienie klienta. Staliśmy jakieś piętnaście metrów od niego, a ja miałem dziwne wrażenie... to znaczy coś szeptało mi, żeby odsunąć się jeszcze dalej, tak by nas nie slyszal.

- Co pan mu powiedział?

- Zapytałem, czy sprzeda wóz. Na jego twarzy natychmiast pojawił się ten sam odpychający, uparty wyraz, jaki zapamiętałem z dzieciństwa. Taki sam jak wtedy, kiedy cisnął mnie na metalowe ogrodzenie i kiedy wyzywał ojca od moczymordów, choć ojciec wcześniej rozkwasił mu nos. Oto, co mi odparł: "Musiałbym być wariatem, żeby ją sprzedawać, George. Ma dopiero rok i zrobiłem na niej zaledwie jedenaście tysięcy mil. Przecież wiesz, że możesz wyjść na swoje dopiero wtedy, jak pojeździsz wozem co najmniej trzy lata".

"Jeżeli to dla ciebie tylko kwestia pieniędzy, to znaczy, że ktoś ukradł ci tę resztkę serca i wsadził w to miejsce kamień - powiedziałem mu na to. - Chcesz, żeby twoja żona codziennie na niego patrzyła? Żeby nim jeździła? Dobry Boże, człowieku!"



Jego twarz nawet nie drgnęła... dopóki nie spojrział na samochód stojący w pełnym blasku słońca tuż za karawanem. Dopiero wtedy rysy trochę mu złagodniały. Pamiętam, że zastanawiałem się, czy kiedykolwiek patrzył w ten sposób na Ritę. Nie wydaje mi się. Wątpię, czy odczuwał taką potrzebę.

Umilkł na chwilę, po czym mówił dalej:

- Marcia powiedziała mu to samo. Zawsze bała się o niego, lecz tego dnia górę wzięła złość - pamiętaj, że często otrzymywała listy od Weroniki i wiedziała, jak bardzo jego żona kochała swoją córeczkę. Powiedziała mu, że kiedy ktoś umiera, trzeba spalić materac, na którym spał, dać ubrania Armii Zbawienia lub komukolwiek, jednym słowem zrobić wszystko, żeby ci, którzy zostali, mogli normalnie żyć dalej. Powiedziała mu, że jego żona nigdy nie będzie mogła żyć normalnie, dopóki samochód, w którym zginęła jej córka, będzie stał w garażu.

Wtedy Rollie zapytał ją w swój paskudny sarkastyczny sposób, czy w takim razie powinien oblać samochód benzyną i podpalić tylko dlatego, że jego córka udławiła się na śmierć. Siostra wybuchnęła płaczem i powiedziała, że to dobry pomysł. Wreszcie wziąłem ją pod rękę i odprowadziłem stamtąd. Do Rolliego nic nie docierało ani wtedy, ani później. Samochód był jego, a on mógł bez końca powtarzać, że nie wyjdzie się na swoje sprzedając wóz, który nie ma przynajmniej trzech lat i że zrobił dopiero jedenaście tysięcy mil, ale prawda wyglądała w ten sposób, że miał zamiar ją zatrzymać wyłącznie dlatego, bo tego chciał.

Marcia wróciła z rodziną do Denver autobusem i z tego, co wiem, nigdy więcej nie widziała się z Rolliem ani nie napisała do niego listu. Nie zjawiała się także na pogrzebie Weroniki.

Jego żona. Najpierw dziecko, a potem żona. Przeczuałem, że zdarzyło się właśnie coś takiego. Bum-bum. Dziwne odrętwienie popęzło w górę po moich nogach i zagnieździło się w żołądku.

- Umarła pół roku później, w styczniu 1959.

- Ale to nie miało nic wspólnego z samochodem - powiedziałem. - To nie miało zupełnie nic wspólnego z samochodem, prawda?

- Miało mnóstwo wspólnego z samochodem - odrzekł łagodnie.

Nie chcę tego słyszeć - przemknęło mi przez myśl, ale wiedziałem, że i tak wszystkiego wysłucham. Dlatego że teraz ten samochód należał do mojego przyjaciela i dlatego, że stał się w jego życiu czymś zdecydowanie zbyt ważnym.

- Po śmierci Rity Weronika pograżyła się w depresji i nigdy z niej nie wyszła. Miała w Libertyville kilkoro przyjaciół, którzy próbowali jej pomóc znaleźć nowe miejsce w życiu, lecz ona już nie była do tego zdolna. Ani trochę.

Poza tym wszystko układało się znakomicie. Po raz pierwszy w życiu mój brat miał dużo

pieniędzy. Otrzymał emeryturę z wojska, rentę inwalidzką, a w dodatku udało mu się dostać posadę nocnego stróża w fabryce opon po drugiej stronie miasta. Pojechałem tam wczoraj zaraz po pogrzebie, ale już jej nie ma.

- Zbankrutowała dwanaście lat temu - powiedziałem. - Byłem wtedy mały. Teraz jest tam chińska restauracja.

- Splacali dom w ratach co pół miesiąca, a w dodatku, rzecz jasna, nie mieli już dziecka, o które musieliby się troszczyć. Jednak Weronika nie miała ani chęci, ani możliwości powrotu do normalnego życia.

Z tego co wiem, przygotowała swoje samobójstwo z zimną krwią. Gdyby istniały jakieś podręczniki dla samobójców, jej przypadek trafiłby do nich jako wzór godny naśladowania. Pojechała do sklepu motoryzacyjnego w mieście - tego samego, gdzie wiele lat temu kupiłem swój pierwszy rower - i zażyczyła sobie sześć metrów gumowego węża. Po powrocie do domu wsadziła jeden koniec na rurę wydechową, drugi zaś wetknęła do środka przez uchyloną szybę. Co prawda nie miała prawa jazdy, ale wiedziała, jak uruchomić samochód. Nie potrzebowała nic więcej.

Zacisnąłem usta, potem zwilżyłem je językiem, by wreszcie usłyszeć swój zachrypnięty głos:

- Chyba napiję się tej lemoniady.

- Bądź tak dobry i weź jedną dla mnie - poprosił. - Dzięki niej nie zasypiam tak szybko, choć przypuszczam, że dzisiaj i tak będę miał kłopoty z zaśnięciem.

Podejrzewałem, że to samo będzie ze mną. Poszedłem po napoje do recepcji, a w drodze powrotnej przystanąłem na chwilę pośrodku parkingu. Widziałem stąd LeBayę tylko jako nieco głębszy cień przed motelowym pokojem; jego białe skarpetki majaczyły w ciemności niczym małe duchy. Może ten samochód jest przeklęty - pomyślałem. Może o to właśnie chodzi. Na razie wszystko jest jak w jakimś horrorze. Uwaga, szanowni państwo! Naszym następnym przystankiem jest Strefa Mroku!

Żalosne, prawda?

Oczywiście, że tak. Ponownie ruszyłem przed siebie. Nie ma przeklętych samochodów tak samo, jak nie ma przeklętych ludzi. To tylko wymysły z filmów grozy, zabawne i zajmujące w kinie, lecz nie mające nic wspólnego z faktami tworzącymi codzienną rzeczywistość.

Podąłem LeBayowi puszkę z napojem i wysłuchałem do końca jego opowieści, którą można streścić w jednym zdaniu: żył długo i nieszczęśliwie. Roland. D. LeBay zatrzymał swój mały domek i zatrzymał swojego plymoutha 1958. W roku 1965 zrezygnował z nocnego stróżowania w fabryce i mniej więcej w tym samym okresie przestał dbać o Christine; pozwolił jej

się rozregulować tak, jak czasem ludzie pozwalają rozregulować się zegarkom.

- Chce pan powiedzieć, że stała tam przed jego domem? Od 1965? Przez trzynaście lat?

- Oczywiście, że nie. Wstawił ją do garażu. Sąsiedzi nie znieśliby rdzewiejącego wraku na trawniku przy ich ulicy. Gdzieś na wsi, owszem, ale nie na przedmieściach.

- Ale była tam, kiedy...

- Tak, wiem. Wystawił ją na trawnik z kartką DO SPRZEDANIA za szybą. Zapytałem o to. Byłem ciekaw, więc zapytałem tych z Legionu. Większość z nich w ogóle nie widywała się z Rolliem, ale jeden z nich powiedział, że zobaczył ją po raz pierwszy przed jego domem na początku maja.

Chciałem już coś powiedzieć, ale zrezygnowałem, gdyż zaświtała mi okropna myśl: to wszystko było zbyt proste. Stanowczo zbyt proste. Christine wiele lat stała w garażu - cztery, osiem, a może dziesięć lub więcej - a potem, zaledwie kilka miesięcy przed tym, jak przejeżdżałem tamtędy z Arniem, Roland LeBay ni z tego, ni z owego wyciągnął ją na trawnik i wsadził za szybę kartkę z napisem DO SPRZEDANIA.

Później - dużo później - przejrzałem stare numery gazet z Pittsburgha i "Keystone", jedynej gazety ukazującej się w Libertyville. Nie zamieścił ani jednego ogłoszenia o swoim plymoucie, choć przecież jest to pierwsza rzecz, jaką się robi, kiedy chce się sprzedać samochód. Po prostu postawił go przy ulicy - i to nawet nie głównej, tylko jednej z najmniej uczęszczanych - i czekał, aż pojawi się kupiec.

Wtedy nie uświadomiłem sobie do końca wszystkich implikacji tej myśli - a w każdym razie nie w logiczny, intelektualny sposób - lecz wyczułem je na tyle, że znowu ogarnął mnie lodowaty, przejmujący strach. Zupełnie jakby LeBay wiedział, że kupiec na pewno się pojawi. Jeśli nie w maju, to w czerwcu. Lub lipcu. Albo sierpniu. W każdym razie niedługo.

Nie, to nie była świadoma myśl. Zamiast tego wyobraziłem sobie owadożerną roślinę rosnącą na skraju bagien z szeroko otwartą zieloną paszczą, czekającą na przylot owada.

Właściwego owada.

- Pomyślałem sobie, że zdecydował się ją sprzedać, bo bał się, że nie zaliczy badań i cofną mu prawo jazdy - powiedziałem wreszcie. - W tym wieku trzeba co rok albo dwa zgłaszać się na badania.

George LeBay skinął głową.

- To nawet prawdopodobne - przyznał - ale...

- Ale co?

- Pamiętam, że gdzieś wyczytałem - choć nie mogę sobie przypomnieć, kto ani gdzie to napisał - że w historii ludzkości można zaobserwować pewne "czasy". Kiedy nadszedł "czas

maszyny parowej”, kilkunastu ludzi wynalazło ją niemal jednocześnie. Co prawda tylko jeden uzyskał patent i trafił do podręczników, ale było ich bardzo wielu, pracujących nad tym samym pomysłem. W jaki sposób możesz to wyjaśnić? Tylko w taki, że akurat wtedy przyszedł na to właściwy czas. - LeBay pociągnął łyk napoju i spojrzał w niebo. - Kiedy wybucha wojna, nagle zaczyna się “czas pancerników”. Potem jest “czas karabinów maszynowych”, następnie “czas elektryczności”, później “czas telegrafu bez drutu”, a wreszcie “czas bomby atomowej”. Zupełnie jakby te pomysły nie rodziły się w głowach jednostek, lecz przyływały wraz z ogromną falą intelektu, której początki nie mają nic wspólnego z ludzkością. - Utkwił wzrok we mnie. - Ta myśl przeraża mnie, Dennis. Wydaje mi się, że jest w niej coś... niechrześcijańskiego.

- A dla pańskiego brata nadszedł “czas sprzedaży Christine”?

- Być może. Eklezjastes twierdzi, iż na wszystko jest odpowiednia pora - pora siania i zbierania, pora wojny i pokoju, pora na odłożenie procy i pora gromadzenia kamieni. Negatyw i pozytyw. Jeśli więc w życiu Rolliego była “pora Christine”, to mogła nadejść również pora na to, by się jej pozbyć.

Z pewnością potrafilby to wyczuć. Był zwierzęciem, a zwierzęta zawsze postępują zgodnie z instynktem.

A mogło być i tak, że po prostu znudziła mu się - zakończył LeBay.

Skinąłem głową głównie dlatego, że zapragnąłem już pojechać do domu, nie dlatego, żebym się z nim zgadzał. George LeBay nie widział Christine tego dnia, kiedy Arnie kazał mi zatrzymać się i cofnąć. Ja natomiast ją widziałem. Czerwony plymouth nie wyglądał jak samochód, który przez wiele lat stał spokojnie w garażu. Był brudny i poobijany, miał popękana przednią szybę i niemal całkowicie oderwany zderzak. Przypominał zwłoki wygrzebane z ziemi i pozostawione, by zgniły w promieniach słońca.

Pomyślałem o Weronice LeBay i zadrzałem.

LeBay jakby wyczuł moje myśli, a przynajmniej część z nich.

- Niewiele wiem o tym, jak mój brat żył i co czuł przez ostatnie lata życia, ale jednej rzeczy jestem całkowicie pewien, Dennis: kiedy w 1965, czy kiedy to było, poczuł, że musi odstawić samochód, na pewno to zrobił. A potem, kiedy poczuł, że musi go sprzedać, wystawił go przed dom. - Umilkł na chwilę. - To chyba wszystko, co miałem ci do powiedzenia... Może jeszcze tylko to, że naprawdę jestem przekonany, iż twój przyjaciel byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby pozbył się tego wozu. Przyjrzałem mu się dokładnie. Nie wygląda na radosnego młodego człowieka. Czy mam rację?

Zastanowiłem się poważnie. Nie, szczęście nigdy nie uśmiechało się zbyt szeroko do Arniego. Ale dopóki nie zaczęło się szaleństwo z tym plymouthem, sprawiał wrażenie

przynajmniej zadowolonego... jakby udało mu się znaleźć w miarę satysfakcjonujący *modus vivendi*. Może nie najwspanialszy, ale możliwy do przyjęcia.

- Tak - potwierdziłem. - Ma pan rację.

- Nie wierzę w to, że samochód mojego brata uczyni go szczęśliwszym. Jeśli już, to wręcz przeciwnie. - Po czym dodał, jakby kilka chwil temu dokładnie usłyszał moje myśli: - Natomiast wierzę w przekleństwa. Nie w duchy ani w nic jednoznacznie nadnaturalnego, tylko w to, że uczucia i wydarzenia pozostawiają po sobie coś w rodzaju... przedłużonego rezonansu, a czasem ujawniają się - pod warunkiem, że zaistnieją odpowiednie okoliczności. Tak jak mleko pozostawione w lodówce w otwartym pudełku nabierze smaku i zapachu ostro przyprawionych potraw, jeżeli takie znajdują się w pobliżu. A może to tylko moje nieszkodliwe dziwactwo? Może po prostu czułbym się lepiej wiedząc, że samochód, w którym udławiła się na śmierć moja bratanica i popełniła samobójstwo moja szwagierka, został sprasowany w bezkształtną bryłę metalu? Być może jedyne, co naprawdę odczuwam, to naruszone poczucie sprawiedliwości?

- Panie LeBay, powiedział pan, że wynajął kogoś, kto ma się opiekować domem pańskiego brata, dopóki nie uda się go sprzedać. Czy to prawda?

Poruszył się na krześle.

- Nie. Odruchowo skłamałem. Nie podobała mi się myśl, że ten samochód mógłby znowu stanąć w garażu... jakby odnalazł drogę do domu. Jeżeli istnieją długotrwałe emocje i uczucia, wróciłyby tam z nią. To znaczy z nim - poprawił się szybko.

Wkrótce potem pożegnałem się z nim i pozwoliłem poprowadzić się do domu rozcinającym ciemność snopom światła z reflektorów mojego samochodu, rozmyślając nad tym, co usłyszałem od LeBaya. Zastanawiałem się, czy na Arniem wywarłaby jakieś wrażenie wiadomość, że w jego samochodzie jedna osoba miała śmiertelny wypadek, a druga popełniła samobójstwo. Byłem przekonany, że żadnego. Na swój sposób Arnie potrafił być równie uparty jak Roland LeBay. Uroczą scenką, jakiej byłem świadkiem w jego domu, dowodziła tego ponad wszelką wątpliwość. Fakt, że mimo spotykających go upokorzeń w dalszym ciągu uczęszczał na zajęcia w szkolnych warsztatach, potwierdzał to jeszcze dobitniej.

Przypomniałem sobie, co powiedział LeBay: "Nie podobała mi się myśl, że ten samochód mógłby znowu stanąć w garażu... jakby odnalazł drogę do domu".

Wspomniał również, że jego brat sam pracował przy swoim samochodzie, jedynym zaś miejscem w Libertyville, gdzie można było to robić, był Garaż Darnella. Naturalnie w latach pięćdziesiątych mogło ich być więcej, ale jakoś nie mogłem w to uwierzyć. Nabrałem przekonania, że Arnie pracował przy Christine w tym samym miejscu, co jej poprzedni właściciel.

Należało dodać: przynajmniej do tej pory. Po utarczce z Buddym Reppertonem Arnie bał się ją tam dłużej trzymać, dzięki czemu zaistniała szansa na przecięcie tej nici łączącej ją z przeszłością.

Coś takiego jak przekleństwa po prostu nie istniało. Nawet teoria LeBaya na temat “rezonujących uczuć” była mocno naciągana. Wątpię, czy on sam naprawdę w nią wierzył. Pokazał mi starą bliznę i użył słowa zemsta, i chyba to właśnie było znacznie bliższe prawdy niż jakieś nadnaturalne chrzanienia. Nawet na pewno.

Nic z tego; miałem siedemnaście lat, za rok wybierałem się na studia i nie wierzyłem w żadne bzdury w rodzaju przekleństw i paskudnych uczuć żyjących po śmierci człowieka. Nie wierzyłem w to, że przeszłość potrafi wyciągnąć martwe ręce i dosięgnąć nimi w teraźniejszości żywych ludzi.

Ale teraz jestem już trochę starszy.

### 13. PÓŹNIEJ TEGO WIECZORU

*Kiedy samochodowałem się w dół wzgórzem,  
Ujrzałem slicznotkę w nowym coupé deVille.  
Pędziła przed siebie jak urocza burza,  
Ale mój ford miał znacznie więcej sił.*

Chuck Berry

Matka i Elaine poszły już spać, tata natomiast oglądał w telewizji wieczorne wiadomości.

- Gdzie byłeś, Dennis? - zapytał.

- Grałem w kręgle - skłamałem odruchowo. Nie chciałem, żeby ojciec wiedział o czymkolwiek. Na pewno było to dość niezwykle, ale nie na tyle, żeby wzbudzić czyjeś zainteresowanie. W każdym razie tak właśnie próbowałem sobie wytłumaczyć.

- Dzwonił Arnie - powiedział. - Prosił, żebyś do niego przekreślił, jeśli wrócisz przed wpół do dwunastej.

Zerknąłem na zegarek: było dopiero dwadzieścia po jedenastej. Czy jednak jak na jeden dzień nie miałem już dość Arniego i jego problemów?

- No więc?

- Co "no więc"?

- Zadzwonisz do niego?

- Chyba tak - odparłem z westchnieniem.

Poszedłem do kuchni, wziąłem sobie kanapkę z kurczakiem, naląłem czegoś do picia i wykręciłem numer Arniego. Odebrał po drugim sygnale. Sprawiał wrażenie podekscytowanego i zadowolonego.

- Dennis! Gdzie się podziewałeś?

- Grałem w kręgle.

- Posłuchaj: zajrzałem po południu do Darnella, i wiesz co? Wspaniała sprawa, Dennis! Wywalił Reppertona na zbity pysk. Buddy wyleciał, a ja zostałem!

Znowu poczułem w żołądku groźny ciężar. Odłożyłem kanapkę. Nagle odechciało mi się jeść.

- Arnie, naprawdę myślisz, że to dobrze?

- O co ci chodzi? Przecież Reppertona już tam nie ma. A czy dla ciebie to nie brzmi

wspaniale?

Przypomniałem sobie Darnella wrzeszczącego na Arniego, żeby wyłączył silnik, zanim zaczadzi wszystkich w garażu, i że nie daje się robić w konia takim gówniarzom jak on. Przypomniałem sobie, z jakim wstydem Arnie uciekł ze spojrzeniem, kiedy powiedział mi, że uzyskał dostęp do podnośnika dzięki temu, że “załatwił parę spraw dla Darnella”. Uznałem za całkiem prawdopodobne, iż Will Darnell mógł wpaść na pomysł, by uczynić z Arniego swoje popychadło. W ten sposób zapewniał rozrywkę wszystkim korzystającym z garażu i swoim koleśiom od pokera. Arnie biegnie po kawę, Arnie biegnie po pączki, Arnie zakłada w kiblu papier toaletowy i uzupełnia papierowe ręczniki. “Hej, Will, co to za czworooki sprząta w sraczu...? Ten? To Cunningham. Jego starzy wykładają na uniwersytecie, a on ma u mnie zajęcia z konserwacji urządzeń sanitarnych”. Odpowiedzią byłby ryk śmiechu, Arnie zaś stałby się lokalnym pośmiewiskiem.

Te wszystkie myśli przemknęły mi błyskawicznie przez głowę, ale nic nie powiedziałem. Doszedłem do wniosku, że Arnie sam musi zdecydować, czy wszedł w wodę, czy w gówno. To nie mogło trwać wiecznie, bo był na to za mądry - w każdym razie miałem taką nadzieję. Był brzydki, lecz na pewno nie głupi.

- To rzeczywiście niezła wiadomość - odparłem. - Po prostu myślałem, że traktujesz Garaż Darnella jako coś tymczasowego. Dwadzieścia dolców za tydzień plus opłaty za narzędzia to całkiem sporo.

- Właśnie dlatego chciałem wynająć garaż LeBaya. Nawet gdyby zgodził się na dwadzieścia pięć tygodniowo i tak wyszedłbym na swoje.

- No właśnie. Gdybyś zamieścił ogłoszenie w gazecie, jestem pewien, że...

- Nie, nie! Pozwól mi dokończyć. - Nadal był dziwnie podekscytowany. - Kiedy zjawilem się tam po południu, Darnell od razu wziął mnie na stronę. Powiedział, że przeprasza za to, co zrobił Repperton, i za to, że mnie nie docenił.

- Co takiego? - Chyba mu wierzyłem, ale nie do końca.

- To, co słyszysz. Potem zapytał, czy nie chciałbym pracować dla niego. Dziesięć, może dwadzieścia godzin tygodniowo podczas roku szkolnego. Chodziłoby o sprzątanie, smarowanie podnośników i takie rzeczy. Gdybym się zgodził, miałbym miejsce za dziesięć tygodniowo, a narzędzia za pół ceny. I co ty na to?

Pomyślałem, że to stanowczo zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

- Uważaj na tylek, Arnie.

- Jak to?

- Mój tata mówi, że to pedał.



- Nic takiego nie zauważyłem. Myślę, że to tylko plotki, Dennis. Straszny z niego cham, ale nic ponadto.

- Po prostu radzę ci, żebyś uważał, to wszystko. - Przełożyłem słuchawkę do drugiej ręki i napiłem się trochę. - Miej oczy szeroko otwarte i bądź gotów szybko się zmyć, gdybyś coś zwąchał.

- Mówisz o czymś konkretnym?

Do moich uszu docierały niejasne pogłoski o narkotykach i znacznie bardziej konkretne o kradzionych samochodach.

- Nie - odparłem. - Po prostu mu nie ufam.

- Bo ja wiem... - mruknął z powątpiewaniem, by natychmiast wrócić do głównego tematu: Christine. Ostatnio prawie każda rozmowa z Arniem prędzej czy później schodziła na jej temat. - Jeśli to wypali, Dennis, będę naprawdę do przodu. Ona... ona jest w fatalnym stanie. Udało mi się już trochę zrobić, ale kiedy tylko naprawię jedną rzecz, zaraz znajduję cztery następne, których do tej pory nie widziałem. Nie mam pojęcia, jak się zabrać do niektórych spraw, ale na pewno się nauczę.

- Jasne - powiedziałem i ugryzłem kanapkę. Po rozmowie z George'em LeBayem mój entuzjazm dla nowej przyjaciółki Arniego spadł poniżej zera i opadał coraz bardziej.

- Muszę naprawić cały przód... Do diabła, właściwie powinienem go wymienić! Cała instalacja hamulcowa... pierścienie... Może spróbowałbym przeszlifować cylindry, ale przecież nie zrobię tego narzędziami do majsterkowania! Chyba wiesz, o czym mówię, Dennis?

Zabrzmiało to tak, jakby błagał mnie, bym przyznał mu rację. Odczuwając znowu przeraźliwe ssanie w żołądku, przypomniałem sobie nagle pewnego chłopaka, z którym chodziliśmy do szkoły. Nazywał się Freddy Darlington. Freddy pod żadnym względem nie należał do orłów, ale był całkiem w porządku i miał niezłe poczucie humoru. Aż do chwili, kiedy poznał jakąś zdzirę z Penn Hills - prawdziwą zdzirę, taką co to zawsze chętnie daje i tylko patrzy, który ma większego. Miała złośliwą, głupią twarz kojarzącą mi się z tyłem ciężarówki i ani na moment nie przestawała żuć gumy. Bez przerwy otaczał ją obłok zapachu "Juicy Fruit". Zaszła w ciążę mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przyczepił się do niej Freddy. Zawsze podejrzewałem, że wpadł tak beznadziejnie dlatego, że była pierwszą dziewczyną, która pozwoliła mu pójść na całość. Zrezygnował ze szkoły, zaczął pracować w domu towarowym, jego księżniczka urodziła dziecko, a on zjawił się z nią w grudniu na balu semestralnym pragnąc, żeby wszystko było jak dawniej, podczas gdy wszystko porobiło się dokładnie na odwrót: gapiała się na nas pogardliwie swymi martwymi oczami, ruszając szczęką jak krowa, której trafiła się wyjątkowo soczysta kępa trawy, a my doskonale wiedzieliśmy, że już dawno wróciła do roboty,

szlają się, z kim popadnie, kiedy Freddy jest w pracy, daje każdemu i tylko patrzy, który ma większego. Znam to powiedzenie, że sztywny kutas nie ma sumienia, lecz powiadam wam, że są za to takie cipy, które mają zęby, a kiedy patrzyłem na Freddy'ego, wyglądającego dziesięć lat starzej niż każdy z nas, chciało mi się płakać. Kiedy o niej rozmawialiśmy, mówił tym samym błagalnym tonem, co teraz Arnie: "Prawda, że wam się podoba, chłopaki? Jest niezła, co nie? Nie trafiłem najgorzej, co?" A miało to znaczyć: "To tylko zły sen, z którego wkrótce się obudzę, prawda?"

- Pewnie - powiedziałem do telefonu. Cała ta głupia, paskudna sprawa z Freddyem Darlingtonem przemknęła mi przez głowę w czasie najwyżej dwóch sekund. - Wiem, o czym mówisz, Arnie.

- To dobrze - odparł z ulgą.

- Tylko powtarzam ci: uważaj na tylek. A jak się zaczniesz szkoła, musisz uważać podwójnie. Trzymaj się z daleka od Buddy'ego Reppertona.

- Jasne. Możesz być tego pewien.

- Arnie...

- Tak?

Umilkłem. Chciałem go zapytać, czy Darnell rozpoznał Christine i czy wspomniał coś o tym, że była już kiedyś w jego garażu. Chciałem także powiedzieć mu, co się stało z Weroniką LeBay i jej córeczką Ritą, ale nie mogłem. Natychmiast domyśliłby się, skąd zdobyłem te informacje, a teraz, kiedy był tak bardzo przewrażliwiony na punkcie tego samochodu, z pewnością doszedłby do wniosku, że działałem za jego plecami - i w pewnym sensie miałby rację. Gdybym mu wszystko powiedział, mogłoby to oznaczać koniec naszej przyjaźni.

Miałem już dosyć Christine, lecz w dalszym ciągu zależało mi na Arniem. Znaczyło to, że musiałem na dobre zatrzaskać te drzwi. Koniec z węszeniem, zadawaniem pytań i z prawieniem morałów.

- Nic takiego - mruknąłem. - Chciałem tylko powiedzieć, że wygląda na to, że wreszcie znalazłeś miejsce dla tego przerdzewiałego wiadra. Gratuluję.

- Dennis, czy ty coś jesz?

- Tak, kanapkę z kurczakiem. A bo co?

- Bo mlaskasz mi tuż przy uchu. To naprawdę świetny efekt.

Zacząłem mlaskać najgłośniej, jak potrafiłem, a Arnie udawał, że wymiotuje. Obaj parsknęliśmy śmiechem i przez chwilę znów było dobrze, jak w dawnych czasach, jeszcze zanim ożenił się z tym durnym, pieprzonym gratem.

- Kawał kutasa z ciebie, Dennis.

- Jasne. Nauczyłem się tego od ciebie.
- Odwal się - powiedział i odłożył słuchawkę.

Dokończyłem kanapkę i puszkę hawajskiego ponczu, oplukałem talerz i szklankę, po czym przeszedłem do salonu, mając zamiar natychmiast wskoczyć pod prysznic, a potem do łóżka. Byłem wykończony.

Podczas rozmowy z Arniem usłyszałem odgłos wyłączanego telewizora, więc przypuszczałem, że ojciec poszedł już na górę. Okazało się jednak, że tego nie uczynił. Siedział z szeroko rozpiętą koszulą w fotelu. Zauważyłem z pewnym niepokojem, że bardzo posiwił na piersi i że mocno przerzedziły mu się włosy na głowie; światło stojącej lampy docierało aż do różowej skóry na czaszce. Mój ojciec nie był już młodzieniaszkiem. Nagle uświadomiłem sobie, że za pięć lat, kiedy teoretycznie powinienem kończyć studia, będzie miał pięćdziesiątkę i sporą łysinę, upodabniając się w ten sposób do stereotypu księgowego. To znaczy będzie miał pięćdziesiątkę pod warunkiem, że nie umrze na kolejny zawał. Pierwszy nie był najgorszy, gdyż nie pozostawił po sobie żadnych blizn. Sam mi to powiedział, kiedy go o to pewnego razu zapytałem. Jednak nie próbował mi wmawiać, że drugi zawał raczej nie jest prawdopodobny. Był, o czym doskonale wiedziałem, o czym wiedziała mama i o czym wiedział także on. Tylko Ellie w dalszym ciągu wierzyła, że jest niezniszczalny... choć czy dwa albo trzy razy nie widziałem w jej oczach niemego pytania? Jestem prawie pewien, że tak było.

Umarł nagle.

Poczułem, jak jeżą mi się włosy na głowie. Nagle. Prostuje się raptownie przy biurku, przyciskając ręce do piersi. Nagle. Wypuszcza raketę podczas meczu tenisa. Nikt nie chce myśleć w ten sposób o swoim ojcu, ale czasem nic nie można na to poradzić. Zupełnie nic.

- Niechcący usłyszałem waszą rozmowę - powiedział.
- Tak? - odparłem ostrożnie.
- Dennis, czy Arnie Cunningham wlaź w coś ciepłego, brązowego i cuchnącego?
- Ja... To znaczy, nie wiem na pewno. - Bo tak naprawdę czym dysponowałem? Ulotnymi podejrzeniami, niczym więcej.
- Chcesz o tym porozmawiać?
- Jeszcze nie teraz, tato. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Nie mam - odrzekł. - Ale... gdybyś coś zwąchał, jak powiedziałeś przez telefon, czy powiesz mi, co się dzieje?
- Tak.
- W porządku.

Ruszyłem w kierunku schodów i prawie udało mi się do nich dotrzeć, kiedy zatrzymał mnie jego głos:

- Przez prawie piętnaście lat prowadziłem rachunki Willa Darnella i zajmowałem się jego podatkami.

Odwróciłem się do niego, autentycznie zaskoczony.

- Nie wiedziałem o tym.

Ojciec uśmiechnął się. Nigdy do tej pory nie widziałem u niego takiego uśmiechu; myślę, że mama widziała go zaledwie kilka razy, a moja siostra wcale. W pierwszej chwili można było odnieść wrażenie, że jest to senny uśmiech, ale potem stawało się jasne, że w rzeczywistości jest cyniczny, twardy i bardzo poważny.

- Czy potrafisz dochować tajemnicy, Dennis?

- Wydaje mi się, że tak.

- Więc niech ci się nie wydaje.

- Tak, potrafię - odparłem.

- To już lepiej. Pracowałem dla niego do 1975, a potem Darnell zatrudnił Billa Upshaw z Monroeville. - Ojciec spojrział na mnie uważnie. - Nie twierdzę, że Bili Upshaw jest oszustem, ale wiem, że ma na tyle mało skrupułów, by spokojnie przeczytać gazetę od deski do deski. W ubiegłym roku kupił w Sewickley za trzysta tysięcy dolarów posiadłość w stylu angielskim, nie przejmując się odsetkami od kredytu ani niczym w tym rodzaju.

Uniósłszy rękę zatoczył nią mały łuk, wskazując nasz dom, po czym położył ją z powrotem na kolanach. Mama i tata kupili ten dom w roku, w którym się urodziłem, za sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów - teraz był wart około stu pięćdziesięciu - ale dopiero niedawno udało im się go do końca spłacić. Zeszłego lata urządzili z tej okazji małe przyjęcie; tata piekł szaszłyki, a potem nadział na pret zawiadomienie z banku i wspólnie spaliliśmy je nad rożnem.

- To nie jest rezydencja w stylu angielskim, prawda, Dennis?

- Mnie wystarczy - powiedziałem. Wróciłem od schodów i usiadłem na kanapie.

- Rozstaliśmy się z Darnellem bez żadnych pretensji - ciągnął ojciec. - Co wcale nie znaczy, że jakoś specjalnie mi na nim zależało. Zawsze uważałem go za kanalię.

Skinąłem lekko głową, gdyż to słowo oddawało mój stosunek do Willa Darnella lepiej niż jakikolwiek wulgarny wyraz.

- Lecz między stosunkami osobistymi a zawodowymi istnieje ogromna różnica. W tym zawodzie albo musisz się tego szybko nauczyć, albo wypadasz z gry i możesz podjąć pracę jako komiwojażer sprzedając szczoteczki do zębów. Nasze stosunki zawodowe układały się dość dobrze... do pewnego miejsca. Ponieważ nie mogły posunąć się dalej, zrezygnowałem.

- Nie rozumiem.

- Zaczęły pojawiać się pieniądze - wyjaśnił. - Duże sumy w gotówce, niewiadomego pochodzenia. Zgodnie z życzeniem Darnella inwestowałem je w dwie korporacje - Słoneczna Energia dla Pensylwanii i Bilety Komunikacyjne Nowego Jorku - które od początku wydały mi się najbardziej "lewe" ze wszystkich "lewych" firm, jakie istnieją na świecie. Wreszcie nie wytrzymałem i poszedłem do niego, żeby wyłożyć karty na stół. Powiedziałem mu, że według mojej profesjonalnej oceny, gdyby został wezwany przez Federalny albo Stanowy Urząd Podatkowy, musiałby wyjaśnić bardzo wiele dziwnych rzeczy i że już wkrótce ja sam będę wiedział zbyt wiele, aby służyć mu pomocą.

- Jak zareagował?

- Zaczął tańczyć - odparł ojciec, wciąż z tym samym cynicznym uśmiechem na twarzy. - W moim zawodzie każdy zna na pamięć wszystkie kroki tego tańca, zanim skończy trzydzieści osiem lat - jeśli jest w tym dobry, ma się rozumieć. A ja nie należę do najgorszych. Taniec zaczyna się od tego, że delikwent pyta cię, czy jesteś zadowolony ze swojej pracy. Jeśli odpowiesz, że tak, ale nie wie cię się najlepiej, delikwent zachęca cię, żebyś opowiedział mu o tym, co cię gnębi - o spłacie domu, nowym samochodzie, studiach dzieci... a może o tym, że twoja żona gustuje w strojach trochę droższych niż te, na jakie może sobie pozwolić. Rozumiesz?

- Sonduje cię, tak?

Roześmiał się.

- Powiedziałbym raczej, że stara się wyczuć. Ale tak, można to określić również w ten sposób. Taniec jest równie skomplikowany, jak menuet. Ma całą masę kroczków, zawahań i podskoków. Kiedy facet już wie, jakich kłopotów pragnąłbyś się pozbyć, zaczyna cię wypytywać o to, co chciałbyś mieć: cadillaca, letni dom w górach Pocono, może łódź.

Drgnąłem, kiedy to usłyszałem, gdyż wiedziałem doskonale, że łódź stanowiła największe marzenie mojego taty. Wiele razy jeździliśmy w słoneczne letnie popołudnia do przystani nad King George Lake i Lake Pässeonkee. Mówił mi, ile kosztuje każdy jacht, a ja widziałem tęskny błysk w jego oczach. Teraz zrozumiałem, co było tego przyczyną. Wiedział, że nigdy nie będzie mógł sobie pozwolić na żadną z tych łodzi. Może gdyby życie ułożyło mu się w odmienny sposób - na przykład gdyby nie miał dzieci, które będzie musiał posłać na studia - wtedy być może sprawy wyglądałyby inaczej.

- A ty powiedziałeś "nie"? - zapytałem.

Wzruszył ramionami.

- Dałem mu jasno do zrozumienia, że nie mam ochoty tańczyć. Po pierwsze dlatego, że oznaczałoby to konieczność zbliżenia na płaszczyźnie osobistej, a jak już powiedziałem,

uważałem go za kanalię. Po drugie, faceci tacy jak on z zasady nic nie wiedzą o liczbach - dlatego wielu z nich dostaje potem tak wysokie wyroki za oszustwa podatkowe. Myślą, że uda się ukryć nielegalne dochody. Ba, są tego pewni. - Prychnął śmiechem. - Wszyscy wierzą święcie, że pieniądze dadzą się uprać jak brudna bielizna, podczas gdy w rzeczywistości można nimi tylko zonglować tak długo, aż wreszcie pomylisz się i wszystko spadnie ci na głowę.

- To były powody, dla których się nie zgodziłeś?

- Dwa z trzech. - Spojrzał mi w oczy. - Nie jestem jakimś pieprzonym krętaczem, Dennis.

W ułamku sekundy nastąpiło między nami niesamowite, jakby elektryczne porozumienie - nawet teraz, w cztery lata później, na samą myśl o tym dostaję gęsiej skórki, ale nie wydaje mi się, żebym potrafił przekazać wam, o co właściwie chodziło. Na pewno nie o to, że po raz pierwszy potraktował mnie jak dorosłego. Chyba nawet nie o to, że ujawnił mi rozterki dręczące człowieka walczącego o przetrwanie w brudnym, nieuczciwym świecie. Myślę, że wyczułem w nim wtedy niesamowitą rzeczywistość kogoś, kto istniał dużo wcześniej, zanim ja pojawiłem się na scenie, i kto zdążył już nalykać się sporo mętnej wody. W tej krótkiej chwili byłem nawet zdolny wyobrazić go sobie kochającego się z moją matką, spoconego i dyszącego jak ona, i nie odczuwać z tego powodu żadnego zażenowania.

Zaraz potem opuścił wzrok, uśmiechnął się nieśmiało i wychrypiał niskim głosem Nixona, który zawsze tak dobrze naśladował:

- Wy wszyscy macie prawo wiedzieć, czy wasz ojciec jest oszustem. Otóż informuję was, że nim nie jestem. Mógłbym wziąć te pieniądze, ale to... ehm... nie byłoby właściwe.

Parsknąłem odrobinę zbyt głośnym śmiechem, uwalniając zgromadzone we mnie napięcie. Jednocześnie poczułem, że niezwykła chwila mija; żalowałem tego i zarazem odczuwałem zadowolenie, gdyż napięcie było zbyt wielkie. Myślę, że on czuł to samo.

- Ciii...! Obudzisz matkę i obaj dostaniemy po uszach, że jeszcze nie śpimy.

- Przepraszam. Tato, czy wiesz, czym on się właściwie zajmuje?

- Wtedy nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć, bo w ten sposób stałbym się jego współnikiem. Miałem jednak pewne podejrzenia i sporo słyszałem. Najwięcej o kradzionych samochodach - nie, nie rozprawadzał ich przez ten swój garaż przy Hampton Street. Nie jest przecież kompletnym idiotą, a tylko tacy srają w tym samym miejscu, gdzie jedzą. Do tego dochodził jeszcze chyba przemyt.

- Broń i narkotyki? - zapytałem, czując nagłą suchość w gardle.

- Nie, nic tak romantycznego. Już prędzej papierosy i alkohol. Oprócz tego sztuczne ognie, a od czasu do czasu kuchenki mikrofalowe i telewizory, jeśli akurat to się opłacało, a ryzyko nie było zbyt wielkie. W każdym razie dość, żeby miał co robić przez te wszystkie lata. -

Spojrzał na mnie poważnie. - Zawsze był ostrożny, ale miał też dużo szczęścia. Tutaj, w mieście, chyba nawet nie było mu potrzebne - w końcu to tylko Libertyville, i pewnie mógłby tu działać wiecznie, pod warunkiem, że nie dostałby zawału serca - ale chłopcy od podatków z Urzędu Stanowego przypominają rekiny piaskowe, a ci z Federalnego są jak białe ludojady. Do tej pory sprzyjało mu szczęście, lecz prędzej czy później zwałą się na niego jak Wielki Mur Chiński.

- Czy... Czy coś słyszałeś?

- Nic. Zresztą wcale mnie to nie interesuje, ale bardzo lubię Arniego Cunninghama i wiem, że ostatnio martwisz się sprawą z tym jego nowym samochodem.

- Tak. On... on nie zachowuje się normalnie, tato. Wciąż myśli tylko o tym przeklętym wozie.

- Czasem zdarza się to ludziom, którzy nigdy nie mieli niczego zbyt wiele - odparł. - Może chodzić o samochód, dziewczynę, nieraz o karierę, instrument muzyczny albo niezdrową fascynację jakąś znaną osobą. Studiowałem z dryblasowatym, brzydkim chłopakiem, na którego wszyscy mówili Bocian. W przypadku Bociana były to kolejki elektryczne. Oszalał na tym punkcie chyba w trzeciej klasie szkoły podstawowej i tak rozbudował swoją kolekcję, że była chyba ósmym cudem świata. Wyleciał ze studiów w trakcie drugiego semestru. Dostawał coraz słabsze oceny, aż w końcu musiał wybierać: studia albo elektryczne pociągi. Wybrał pociągi.

- Co się z nim później stało?

- W 1961 popełnił samobójstwo - powiedział ojciec i wstał z miejsca. - Chodzi mi o to, że dobrzy ludzie mogą czasem ulec zaślepieniu i nie zawsze jest to ich wina. Prawdopodobnie Darnell zapomni o nim - będzie po prostu jednym z facetów grzebiących przy swoich wozach. Ale gdyby próbował go wykorzystać, bądź jego oczami, Dennis. Nie pozwól, by dał się wciągnąć do tańca.

- Spróbuję. Ale wcale nie jestem pewien, czy mi się uda.

- Tak, znam to uczucie. Idziesz już na górę?

- Jasne.

Poszliśmy na górę, lecz pomimo ogromnego zmęczenia długo nie mogłem zasnąć. Miniony dzień obfitował w wydarzenia. Na zewnątrz wiatr poruszał gałęzią, która stuknęła delikatnie w ścianę domu, a w pewnej chwili gdzieś z daleka, od strony centrum, dobiegł przeraźliwy pisk opon, kiedy jakiś szczeniak ruszył gwałtownie spod świateł. W ciemności przypominał desperacki śmiech ogarniętej histerią kobiety.

## 14. CHRISTINE I DARNELL

*Powiedział, że słyszał o parze z Ameryki,  
Co zamieniła dziecko na chevroleta.  
Pogadajmy teraz o przyszłości,  
Bo przeszłość już dawno odeszła...*

Elvis Costello

Pracując w dzień przy budowie drogi, a w nocy nad Christine, Arnie nie widywał się zbyt często z rodzicami. Atmosfera w rodzinie stała się napięta i nieprzyjemna. Dom Cunninghamów, w przeszłości zawsze sympatyczny i całkowicie na luzie, przypominał teraz warowny obóz. Przypuszczam, że wielu ludzi pamięta taki stan rzeczy ze swojej młodości; chyba nawet zbyt wielu. Dziecko jest na tyle egoistyczne, by uważać, że jako pierwsze odkrywa pewne oczywiste fakty (zwykle dotyczy to dziewcząt, ale nie tylko), rodzice zaś są zbyt przerażeni, głupi i zaborczy, by spuścić je ze smyczy. Wina leży po obu stronach. Czasem dochodzi do bolesnych, przerażających wydarzeń - ze wszystkich wojen najbardziej brudna i gorzka jest wojna domowa. W przypadku Arniego ból był szczególnie dotkliwy, gdyż rozdarcie pojawiło się bardzo późno, kiedy jego rodzice zdążyli się już przyzwyczaić, że wszystko dzieje się według ich woli. Można chyba powiedzieć, że z góry zaplanowali ze szczegółami całe jego życie.

Tak więc kiedy Michael i Regina tuż przed początkiem roku szkolnego zaproponowali wspólny weekend w ich domku nad jeziorem, Arnie zgodził się, choć wcześniej miał nadzieję, że uda mu się wykorzystać te dni na dlubanie przy Christine. W pracy coraz częściej powtarzał mi, że "pokaże im wszystkim"; postanowił zrobić z Christine prawdziwe cacko i "pokazać im wszystkim". Po zakończeniu robót blacharskich chciał przywrócić jej oryginalny, czerwono-biały kolor.

Mimo to pojechał z nimi, zdecydowany siedzieć przez cztery dni cicho i rozkoszować się weekendem na łonie rodziny - albo przynajmniej udawać, że się rozkoszuje. Wpadłem do nich wieczorem na dzień przed wyjazdem i stwierdziłem z ulgą, że oboje oczyścili mnie z odpowiedzialności w sprawie samochodu ich syna (samochodu, którego jeszcze nie widzieli na oczy). Widocznie uznali, że to coś w rodzaju obsesji. Nie miałem nic przeciwko temu.

Regina była zajęta pakowaniem, natomiast Arnie, Michael i ja wsadziliśmy ich canoe na dach samochodu i przywiązaliśmy je. Kiedy już uporaliśmy się z tym zadaniem, Michael



zapropował swemu synowi - tonem potężnego władcy obdarowującego nieprawdopodobną łaską swoich dwóch ulubionych poddanych - żeby poszedł do kuchni i przyniósł kilka piw.

Arnie odparł, udając ogromne zdumienie i cielecy zachwyty, że to wspaniały pomysł, a mijając mnie mrugnął z rozbawieniem.

Michael oparł się o samochód i zapalił papierosa.

- Myślisz, że to mu się kiedyś znudzi, Dennis?

- Nie wiem.

- Chciałbyś wyświadczyć mi przysługę?

- Jasne, jeśli tylko będę mógł - odparłem ostrożnie. Byłem pewien, że poprosi, bym postarał się odegrać rolę dobrego wujka i "przemówić Arniemu do rozsądku". On jednak powiedział:

- Jeśli miałbyś chwilę czasu, zajrzyj do Garażu Darnella i zobacz, jak sobie radzi. Jestem tego ciekaw.

- Dlaczego? - zapytałem i natychmiast ugryzłem się w język, bo było to bardzo mało eleganckie pytanie. Nic już jednak nie mogłem poradzić.

- Dlatego że chcę, by mu się udało - odparł po prostu, patrząc mi w oczy. - Och, Regina nadal jest zdecydowanie przeciwko temu. Skoro jej syn ma samochód, to znaczy, że zaczyna dorosnąć. A skoro zaczyna dorosnąć, to znaczy... mnóstwo rzeczy - dokończył niezręcznie. - Ale ja nie jestem taki zawzięty. Od początku byłem nastawiony znacznie łagodniej niż ona. No, w pierwszej chwili po prostu mnie zaskoczył. Wyobrażałem sobie jakiegoś gruchota tkwiącego przed domem aż do chwili, kiedy Arnie pójdzie na studia, albo jego samego duszącego się na śmierć w spalinach...

Natychmiast pomyślałem o Weronice LeBay.

- Ale teraz... - Wzruszył ramionami, zerknął na drzwi domu, rzucił papierosa i zdeptał go. - Widzę, że podchodzi do tego z prawdziwą pasją i szacunkiem dla samego siebie. Chciałbym, żeby chociaż udało mu się go uruchomić.

Być może dostrzegł coś w mojej twarzy, bo kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie pojawił się ton usprawiedliwienia.

- Jeszcze nie zapomniałem zupełnie, jak to jest, gdy jest się młodym. Wiem, że w tym wieku chłopcy zaczynają marzyć o samochodach. Regina tego nie rozumie, bo ją zawsze podwożono. Nigdy nie miała okazji zapoznać się z problemami tego, kto podwozi. Wiem, że samochód jest bardzo ważny... jeśli chłopak w ogóle ma zamiar spotykać się z dziewczętami.

A więc o to mu chodziło. Widział w Christine nie tyle ostateczny cel, co raczej środek do jego osiągnięcia. Zastanawiałem się, jak by zareagował, gdybym powiedział mu, że wątpię, czy

Arnie marzy o czymkolwiek bardziej niż o tym, żeby ją wyremontować i ponownie zarejestrować. Byłem ciekaw, czy poczulby się lepiej, czy gorzej.

Trzasnęły kuchenne drzwi.

- Zajrzysz tam?

- Chyba tak - odparłem. - Skoro tego chcesz.

- Dziękuję.

Wrócił Arnie z piwem.

- Za co te podziękowania? - zapytał Michaela od niechcienia, ale jego poważne spojrzenie przenosiło się szybko ze mnie na ojca. Zauważyłem ponownie, iż wyraźnie poprawiła mu się cera i zmęźniały rysy twarzy. Po raz pierwszy musiałem przyznać, że dwa słowa: "Arnie" i "randka", wcale nie wykluczały się nawzajem. Doszedłem do wniosku, że jego twarz jest prawie przystojna - oczywiście w niczym nie przypominała twarzy bohaterских umięśnionych ratowników o potężnych szczękach, ale była interesująca i myśląca. Dziewczyna w rodzaju Roseanne nigdy nie zwróciłaby na niego uwagi, lecz...

- Za pomoc przy załadowaniu canoe - odparł gładko Michael.

- Aha.

Wypiliśmy piwo i pojechałem do domu. Następnego dnia szczęśliwa trójka wyruszyła do stanu Nowy Jork prawdopodobnie po to, by odbudować jedność rodziny utraconą pod koniec mijającego lata.

Na dzień przed ich powrotem pojechałem do Garażu Darnella, częściowo wiedziony własną ciekawością, a częściowo po to, by spełnić prośbę Michaela Cunninghama.

Stojący przy zajmującym cały kwartał złomowisku samochodów garaż wyglądał w dzień równie atrakcyjnie jak tamtego wieczoru, kiedy przyprowadziliśmy tu Christine - miał osobisty urok zdechłego susła.

Zostawiłem wóz na pustym parkingu przed prowadzonym także przez Darnella sklepem z artykułami motoryzacyjnymi, zaopatrzonym obficie w specjalne głowice, wyścigowe skrzynie biegów i turboladowarki (bez wątplenia przeznaczone dla tych wszystkich ciężko harujących ludzi, którzy muszą utrzymywać na chodzie swoje stare samochody, żeby zarobić na chleb dla rodziny), nie wspominając już o szerokich oponach i bajeranckich kołpakach na koła. Zagląając przez okno do sklepu z artykułami motoryzacyjnymi Darnella, można było odnieść wrażenie, że jest się w jakimś zwariowanym samochodowym Disneylandzie.

Ruszyłem przez asfaltowy parking w kierunku garażu i dobiegającego z jego wnętrza dzwonienia kluczy, gwaru głosów i terkotu pneumatycznych narzędzi. Na jednym ze stanowisk

jakiś chuderlawy chłopak w popękanej skórzanej kurtce majstrował koło starego motocykla BSA - albo zdejmował rurę wydechową, albo ją właśnie zakładał. Na lewym policzku miał paskudną wysypkę, na plecach kurtki zaś rysunek przedstawiający ludzką czaszkę w zielonym berecie komandosa i urocze motto: ZABIJ ICH, A BÓG NIECH ICH OSĄDZI.

Spojrzał na mnie nabiegłymi krwią, szalonymi oczami Rasputina, po czym wrócił do swojej roboty. Na posadzce obok niego leżał niemal chirurgiczny zestaw narzędzi; każde zdobił wyraźny napis GARAŻ DARNELLA.

Obszerne wnętrze rozbrzmiewało echem metalicznych loskotów oraz głosów mężczyzn pracujących przy swoich samochodach i klnących je na czym świat stoi. Same przekleństwa, a wszystkie rodzaju żeńskiego: dalej, suko, rusz się wreszcie; puszczaj, cipo; chodź tu, Rick, i pomóż mi odkręcić tę kurwę.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu Darnella, lecz nigdzie nie mogłem go dostrzec. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, więc ruszyłem w kierunku stanowiska numer dwadzieścia, gdzie stała zaparkowana tyłem Christine, jakby było zupełnie oczywiste, że mam prawo być w tym miejscu. W boksie po lewej stronie dwaj grubi faceci w koszulkach drużyny kręglarskiej montowali budę campingową na starej półciężarówce, która swoje najlepsze lata miała już zdecydowanie za sobą. Stanowisko po prawej było puste.

W miarę jak zbliżałem się do Christine, czułem powracający strach. Działo się to zupełnie bez powodu, lecz nie byłem w stanie temu przeciwdziałać - nie myśląc o tym zatrzymałem się trochę z boku, od strony pustego boksu. Nie chciałem stać bezpośrednio przed nią.

Pierwsza myśl, jaka przemknęła mi przez głowę, była taka, że wygląd Christine poprawił się co najmniej w takim samym stopniu, jak wygląd Arniego. W chwilę potem doszedłem do wniosku, że przeprowadzał remont w dziwnie nie skoordynowany sposób, mimo że zwykle był bardzo systematyczny.

Starą pociętą antenę zastąpiła nowa, błyszcząca w świetle jarzeniówek. Połowa osłony wlotu powietrza do chłodnicy została wymieniona, natomiast druga połowa została taka jak dawniej - pocięta i gęsto usiana plamami rdzy. Poza tym...

Marszcząc brwi przeszedłem wzdłuż jej prawego boku aż do tylnego zderzaka.

Cóż, widocznie to było po drugiej stronie - pomyślałem.

Obejrzałem więc ją z drugiej strony, ale tam także nic nie znalazłem.

Stałem przy ścianie w dalszym ciągu marszcząc brwi i wyteżając pamięć. Byłem pewien, że kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ją na trawniku przed domem LeBaya z napisem DO SPRZEDANIA za przednią szybą, w którymś z boków, bliżej tyłu, miała głębokie zardzewiałe wgłębienie - z tych, jakie mój dziadek nazywał "końskim kopnięciem". Kiedy jechaliśmy

autostradą i mijaliśmy wóz właśnie z takim wgłębieniem w karoserii, dziadek zawsze mawiał: “Spójrz no, Denny! Chyba koń go kopnął!” Mój dziadek należał do ludzi, którzy na każdą okazję mają jakieś ulubione powiedzonko.

Byłem już gotów uwierzyć, że coś mi się przywidziało, ale doszedłem do wniosku, że to jednak niemożliwe; było tam, mógłbym przysiąc, że było. Fakt, że teraz nigdzie nie mogłem go znaleźć, wcale nie oznaczał, że się myliłem. Widocznie Arnie znakomicie wyklepał i polakierował to miejsce.

Tylko że...

Tylko że nie został żaden ślad. Nigdzie nie było ani odrobiny farby podkładowej, szpachlówki czy choćby różnicy w lakierze. Tylko głęboka czerwień i kremowa biel.

Ale przecież to wgłębienie było, do cholery! Głębokie, przerdzewiałe, po którejś ze stron. Teraz jednak zniknęło.

Stojąc tam w hałasie powodowanym przez narzędzia i maszyny poczułem się nagle bardzo samotny i przerażony. Wszystko było nie tak, wszystko stało na głowie. Arnie wymienił antenę, choć przerdzewiała rura wydechowa leżała właściwie na ziemi. Wymienił tylko połowę atrapy zamiast całej. Mówił mi o konieczności dokonania poważnych napraw w przedniej części samochodu, a tymczasem zastąpił zniszczoną tapicerkę tylnego siedzenia nową, jaskrawoczerwoną. Przednie fotele w dalszym ciągu były całe popękane, a z prawego wystawała nawet sprężyna.

Zupełnie mi się to nie podobało. Wariactwo, zupełnie niepodobne do Arniego.

Nagle coś mnie olśniło, jakiś fragment wspomnienia, i zupełnie nie zastanawiając się nad tym, co robię, odsunąłem się o kilka kroków i objąłem spojrzeniem cały samochód - nie szczegół po szczególe, lecz cały, taki jaki przede mną stał. I wtedy zrozumiałem; wszystko znalazło się na swoim miejscu, a ja znowu poczułem lodowaty chłód.

Ten wieczór, kiedy ją tu przyprowadziliśmy. Dziurawa opona. Koło zapasowe. Spojrzałem wtedy na nowe koło zamontowane w starym samochodzie i odniosłem wrażenie, jakby nagle odmłodził, jakby spod warstwy zużycia i starości wyrzwał na ułamek sekundy zupełnie nowy wóz, który zszedł z taśmy w roku, kiedy prezydentem był Eisenhower, a na Kubie rządził jeszcze Batista.

Teraz stało się podobnie, tyle tylko, że oprócz nowego koła było sporo innych rzeczy: antena, lśniący chrom atrapy, jedna tylna lampa, nowe obicie tylnego siedzenia.

Przed moimi oczami pojawiło się jeszcze jedno wspomnienie, tym razem z dzieciństwa. Każdego lata przez dwa tygodnie uczęszczaliśmy z Arniem do Wakacyjnej Szkoły Biblijnej; codziennie nauczyciel opowiadał nam jedną historię z Pisma Świętego, lecz nie kończył jej, tylko

wręczał każdemu dziecku kartkę “magicznego papieru”. Należało pocierać ją krawędzią monety albo odwrotnym końcem ołówka, a wtedy pojawiał się na niej obrazek: gołębica niosąca Noemu gałązkę oliwną, walące się mury Jerycha i temu podobne. Byliśmy obaj zafascynowani wyłaniającymi się znikąd rysunkami. Zaczynało się od oderwanych linii... które stopniowo wydłużały się i łączyły ze sobą... nabierały sensu, a wreszcie znaczenia.

Wpatrywałem się w Christine z narastającym przerażeniem, usiłując otrząsnąć się z wrażenia, iż mam do czynienia z czymś bardzo podobnym do tamtych czarodziejskich obrazków.

Musiałem zajrzeć jej pod maskę. Nagle wydało mi się to najważniejszą rzeczą na świecie.

Podszedłem do niej od przodu (wcale nie byłem zachwycony tym, że muszę stanąć przed nią; nie wiem czemu, ale tak właśnie było) i zacząłem szukać ciąгла zwalniającego zamek klapy. Nie mogłem go nigdzie znaleźć. Dopiero po chwili domyśliłem się, że zapewne jest wewnątrz.

Ruszyłem w stronę drzwi... i wtedy zobaczyłem coś jeszcze, co przeraziło mnie tak, jak jeszcze nic do tej pory. Zgoda, mogłem mylić się co do wgłębienia w bok; było to diabelnie mało prawdopodobne, ale przynajmniej teoretycznie...

Tym razem sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

Siatka pęknięć w przedniej szybie zmniejszyła się.

Byłem tego całkowicie pewien.

Wróciłem pamięcią do dnia, kiedy wszedłem do garażu LeBaya, aby jeszcze raz zerknąć na samochód, podczas gdy Arnie i stary człowiek zniknęli w domu, żeby dobić targu. Cała lewa strona przedniej szyby była pokryta pajęczyną pęknięć rozchodzących się we wszystkie strony od biegnącej zygzakiem rysy, najprawdopodobniej spowodowanej uderzeniem kamienia.

Teraz pajęczyna wydawała się rzadsza i mniej skomplikowana - mogłem nawet dostrzec przez nią wnętrze samochodu, co wcześniej było niemożliwe. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. (To tylko kwestia odpowiedniego oświetlenia - podpowiadał mi mój umysł).

Jednak musiałem się mylić, bo to było po prostu niemożliwe. Całkowicie niemożliwe. Owszem, można wymienić szybę - to żaden problem, pod warunkiem, że ma się pieniądze. Ale żeby pęknięcia same z siebie zniknęły...

Roześmiałem się niepewnie. Jeden z grubasów pracujących przy campingowej półciężarówce spojrział na mnie podejrzliwie i powiedział coś do swojego koleśka. Mój śmiech był drżący i niepewny, ale dobrze, że w ogóle zdołałem wydobyć z siebie jakiś odgłos. Oczywiście, że w grę wchodziły tylko sztuczki płatane przez światło. Kiedy widziałem samochód po raz pierwszy, promienie wiszące nad zachodnim horyzontem słońca padały prosto na przednią szybę, za drugim razem zaś stał w mrocznym wnętrzu garażu LeBaya. Teraz oglądałem go w jaskrawym blasku jarzeniówek. Trzy zupełnie różne rodzaje oświetlenia, nic więc dziwnego, że

uległem złudzeniu optycznemu.

Mimo to w dalszym ciągu chciałem zajrzeć pod maskę. Może nawet bardziej niż do tej pory.

Podszedłem do drzwi od strony kierowcy i szarpnąłem za klamkę. Nie otworzyły się. Były zamknięte. Oczywiście: wszystkie cztery blokady były wciśnięte. Arnie z pewnością nie zostawiłby jej otwartej, żeby każdy, kto tylko miał na to ochotę, mógł wejść do środka. Co prawda Repperton zniknął, lecz rodzaj *kanalie* był równie rozpowszechniony jak chwasty. Roześmiałem się ponownie - głupi stary Dennis - ale tym razem mój śmiech zabrzmiał jeszcze mniej pewnie. Zacząłem doświadczać uczucia dziwnego wyobcowania, tak jak czasem następnego dnia po zaciągnięciu się trawką o kilka razy za dużo.

Zamknięcie wszystkich czterech drzwi plymoutha było sprawą zupełnie naturalną, tyle tylko, że kiedy obchodziłem samochód dookoła po raz pierwszy, odniosłem wrażenie, iż blokady są podniesione.

Znowu cofnąłem się o krok spoglądając na samochód. Stał przede mną, wciąż niewiele różniąc się od zardzewiałego wraka. Jestem całkowicie pewien, że nie myślałem wtedy o niczym konkretnym - co najwyżej o tym, że wiedział, iż chcę się dostać do środka i otworzyć klapę.

A ponieważ nie chciał do tego dopuścić, zamknął od środka drzwi?

Zabawny pomysł. Tak zabawny, że roześmiałem się po raz kolejny (teraz już kilku ludzi przyglądało mi się tak, jak zwykle przyglądamy się komuś, kto śmieje się na głos do siebie bez żadnego widocznego powodu).

Wielka dłoń opadła mi na ramię i odwróciła mnie w przeciwną stronę. Ujrzałem Darnella z niedopalkiem cygara tkwiącym w kąciку ust. Niedopalek był wilgotny i wyglądał niezwykle apetycznie. Darnell miał na nosie małe okulary "połówki"; spoglądał zza nich zimnym, przenikliwym wzrokiem.

- Co tu robisz, chłoptasiu? - zapytał. - To nie twój wóz.

Tłuściochy pracujące przy półciężarówce przypatrywały się nam z napięciem. Jeden z nich szturchnął drugiego w bok i coś szepnął.

- Należy do mojego przyjaciela - powiedziałem. - Przeprowadziliśmy go tutaj razem. Może pan mnie pamięta. Miałem wtedy rakowy ropień na czubku nosa i...

- Gównu mnie obchodzi, co miałeś - warknął. - To nie twój wóz. Zmywaj się stąd razem ze swoimi marnymi dowcipami.

Mój ojciec miał rację - to była kanalia. Zmyłbym się stąd z przyjemnością; potrafiłbym bez trudu wymienić co najmniej sześć tysięcy miejsc, gdzie wołałbym być tego przedostatniego dnia wakacji. Nawet Czarna Dziura w Kalkucie stanowiłaby krok naprzód - może niezbyt wielki,

ale zawsze. Jednak ten samochód niepokoił mnie. Widziałem tu masę drobnych rzeczy, które w sumie tworzyły jedną, niemilosiernie śwędzącą. “Bądź jego oczami” - powiedział tata i brzmiało to całkiem niezłe. Problem polegał tylko na tym, że nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem.

- Nazywam się Dennis Guilder - powiedziałem. - Mój tata prowadził panu kiedyś rachunki, zgadza się?

Przez dłuższą chwilę mierzył mnie pozbawionym wyrazu spojrzeniem małych świńskich oczu; nagle nabrałem graniczącego z pewnością przekonania, iż zaraz powie mi, że gównu go obchodzi, kim jest mój ojciec, i żebym lepiej spieprzał stąd i pozwolił tym ciężko pracującym ludziom spokojnie naprawiać ich stare samochody, dzięki którym zarabiają na chleb dla rodziny, i tak dalej.

Potem niespodziewanie uśmiechnął się, lecz uśmiech nie objął jego oczu.

- Jesteś chłopakiem Kenny’ego Guildera?

- Tak.

Poklepał maskę samochodu Arniego białą, tłustą dłonią; miał na niej dwa sygnety, z których jeden wyglądał tak, jakby był wysadzany prawdziwymi diamentami. Ale co o tym może wiedzieć taki dzieciak jak ja?

- W takim razie jesteś w porządku, jeśli naprawdę jesteś chłopakiem Kenny’ego.

Przez sekundę wydawało mi się, że zażąda okazania jakiegoś dokumentu.

Dwaj faceci w sąsiednim boksie zajęli się znowu swoją półciężarówką, bez wątpienia doszedłszy do wniosku, że nie wydarzy się już nic ciekawego.

- Chodź do biura, to pogadamy - powiedział, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie, uznając za oczywiste, że postąpię zgodnie z jego życzeniem. Sunął niczym statek pod pełnymi żaglami, z rozdetą białą koszulą, potężnymi biodrami i wręcz nieprawdopodobnie szerokim zadem. Widok tak bardzo otyłych ludzi zawsze wywołuje u mnie uczucie nierzeczywistości, jakbym doświadczał niezwykle realistycznego złudzenia optycznego - być może dlatego, że pochodzę z długiej linii chudzielców. W swojej rodzinie zaliczam się do kategorii ciężkiej.

W drodze do biura, odgrodzonego od reszty garażu szklaną ścianą, przystawał tu i tam. Darnell przypominał mi trochę Molocha - boga, o którym uczymy się na zajęciach z literatury antycznej - który podobno widział wszystko swoim pojedynczym czerwonym okiem. Warknął na jakiegoś faceta, żeby założył gumowy wąż na rurę wydechową, bo jak nie, to zaraz stąd wyleci; wrzasnął do drugiego o jakimś Nickym, który “znowu próbuje podskakiwać” (wywołało to u nich obu wybuch hałaśliwego śmiechu); ryknął na trzeciego, żeby pozbierał te pieprzone puszki po pepsi, a w ogóle to co, urodził się na śmietniku? Najwidoczniej Will Darnell nic nie wiedział o tym, co moja matka nazywała “normalnym tonem”.

Po chwili wahania poszedłem za nim. Obawiam się, że potwierdziłem w ten sposób słuszność tezy, iż ciekawość stanowi pierwszy stopień do piekła.

Biuro miało urządzone w stylu wczesnoamerykańsko-gaźnikowym - wyglądało tak samo, jak wszystkie obskurne biura w warsztatach samochodowych w tym kraju. Był tam wyplamiony kalendarz ze zdjęciem przedstawiającym jasnowłosą boginię w króciutkich szortach i rozpiętej bluzce przelazącą przez jakiś płot na wsi. Były też nieczytelne nalepki z nazwami licznych firm handlujących częściami samochodowymi. Stosy ksiąg rachunkowych. Zabytkowa maszynka licząca. Fotografia - Boże, miej nas w swojej opiece - Willa Darnella w fezie, siedzącego na miniaturowym motocyklu sprawiającym wrażenie, jakby lada moment miał rozpaść się pod jego ciężarem. Woń dawno wypalonych cygar i potu.

Darnell usiadł w obrotowym fotelu z drewnianymi podłokietnikami. Poduszka sapnęła z rezygnacją pod jego ciężarem. Oparł się wygodnie. Wyjął zapalną ze stojącej na biurku pustej, ceramicznej głowy Murzyna. Potarł ją o pas papieru ściernego przymocowany do krawędzi biurka i zapalił wilgotny niedopalek cygara. Jego wielką, otluszczoną pierś wstrząsnął głęboki kaszel. Na ścianie tuż za nim wisiał rysunek przedstawiający Kota Garfielda. "Macie ochotę na wycieczkę do Miasta, W Którym Wybijają Zęby?" - pytał Garfield, dyskretnie zasłaniając pyszczek łapą. Obrazek znakomicie pasował do Willa Darnella, Głównego Drania w okolicy.

- Napijesz się pepsi, chłopcze?

- Nie, dziękuję - odparłem, zajmując miejsce na stojącym *vis-à-vis* niemu prostym krześle.

Ponownie obrzucił mnie taksującym spojrzeniem, po czym skinął głową.

- Jak tam ojciec, Dennis? Pikawka w porządku?

- Tak, wszystko OK. Kiedy powiedziałem mu, że Arnie trzyma tu swój samochód, od razu sobie pana przypomniał. Podobno teraz pańskimi rachunkami zajmuje się Bill Upshaw.

- Zgadza się. Nieźle sobie radzi, naprawdę nieźle. Choć nie tak dobrze, jak twój ojciec.

Kiwnąłem głową. Zapadło milczenie. Czulem się coraz bardziej nieswojo. Will Darnell nie sprawiał wrażenia kogoś, kto czuje się nieswojo. Cały czas mierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- Twój kumpel kazał ci sprawdzić, czy naprawdę wyrzucilem Reppertona? - zapytał tak nagle, że aż podskoczyłem.

- Nie - odparłem. - Wcale nie.

- No to powiedz mi, że naprawdę - ciągnął Darnell, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na moje słowa. - Gówniany mądrała. Powtarzam to każdemu, kto przyjeżdża tu swoim złodem: albo będziesz robił, co ci każę, albo stąd wylecisz. Pracował trochę dla mnie, od czasu do czasu



załatwiał mi różne rzeczy i chyba zaczął sobie wyobrażać, że wszystko mu wolno. Mały przemądrzały punk.

Dopał go kolejny atak kaszlu, znacznie dłuższy od poprzedniego. Był to okropny odgłos. Mimo przeszklonej ściany odczuwałem narastającą klaustrofobię.

- Arnie to dobry chłopak - oświadczył Darnell po pewnym czasie, wciąż mierząc mnie spojrzeniem. Nie spuścił ze mnie wzroku nawet w trakcie ataku kaszlu. - Szybko wciągnął się do roboty.

Do jakiej roboty? - chciałem zapytać, ale nie miałem odwagi.

Darnell sam mi to powiedział. Pomimo lodowatego spojrzenia najwyraźniej miał ochotę z kimś pogadać.

- Zamiata podłogę, sprząta w boksach i porządkuje narzędzia razem z Jimmym Sykesem. Powiadam ci, Dennis, trzeba cholernie uważać na narzędzia. Wystarczy, że się odwrócisz, a dostają nóg i wychodzą. - Parsknął śmiechem, który zamienił się w chrapliwy oddech. - Rozmontowuje też wozy na części. Ma dobre ręce. Dobre ręce i zły gust, jeśli chodzi o samochody. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem coś takiego jak ten jego plymouth.

- Zdaje się, że on to traktuje jako hobby - zauważyłem.

- Jasne - potwierdził ochotczo Darnell. - Pewnie, że to hobby. Pod warunkiem, że nie będzie później rozbijał się po ulicach jak ten punk, Repperton. Ale na razie ma na to marne szanse, nie uważasz?

- Chyba tak. Wóz nie jest w najlepszym stanie.

- Co on z nim wyrabia, do kurwy nędzy? - zapytał Darnell. Pochylił się nagle w fotelu, uniósł ramiona, tak że zrównały się niemal z linią włosów, i zmarszczył brwi; o tym, że jego małe oczka nie zniknęły zupełnie, świadczyły jedynie dwa błyszczące punkciki. - Co on wyrabia, do cholery? Siedzę w tym interesie całe życie, ale nigdy nie widziałem, żeby ktoś naprawiał gablotę w taki wariacki sposób! To jakiś żart? A może zakład?

- Nie rozumiem - powiedziałem, choć w rzeczywistości doskonale go rozumiałem.

- W takim razie słuchaj. Zaraz po tym, jak go przyprowadził, robił wszystko tak, jak należy. Chyba nie sra pieniędzmi, no nie? Gdyby srał, nie byłoby go tutaj. Wymienił olej. Wymienił filtr. Przesmarował, co było do przesmarowania. Złożył na przód dwie nowe firestone, takie same, jakie miał z tyłu.

Dwie z tyłu? Widocznie dokupił trzy, żeby stanowiły komplet z tą, którą przywiozłem mu tamtego wieczoru.

- Potem przychodzę pewnego dnia i widzę, że zamontował nowe wycieraczki - ciągnął Darnell. - Nic dziwnego, tyle tylko, że ten wóz jeszcze długo nigdzie nie pojedzie, wszystko

jedno, w deszcz czy słońce. Potem widzę nową antenę i myślę sobie: pewnie będzie słuchał przy robocie radia i rozładuje sobie akumulator. Teraz znowu wymienił tapicerkę na tylnym siedzeniu i wstawił połowę atrapy. Co to jest, jakaś gra?

- Nie wiem - odparłem. - Czy kupował części od pana?

- Nie - warknął Darnell. - I nie mam pojęcia, gdzie je zdobywa. Ta atrapa... Nie ma na niej nawet plamki rdzy. Pewnie ją gdzieś zamówił, może w dziale obsługi klientów Chryslera w New Jersey. Ale co zrobił z drugą połową? Wsadził sobie w dupę? W życiu nie słyszałem o atrapie, którą montowałyby się w dwóch częściach!

- Nie wiem. Daję słowo.

Wściekłym ruchem zdusił cygaro.

- Ale nie mów mi, że nie jesteś ciekaw. Widziałem, jak gapileś się na ten wóz.

Wzruszyłem ramionami.

- Arnie niewiele o nim opowiada.

- Tak myślę. Cholernie skryty z niego sukinsyn. Ale umie się bić. Ten Repperton zdrowo się pomylił, kiedy z nim zaczął. Jak jesienią będzie sobie dawał dobrze radę, może już w zimie znajdę dla niego jakąś stałą robotę. Jimmy Sykes to dobry chłopak, ale nie ma zbyt wiele rozumu we łbie. - Utkwił we mnie badawcze spojrzenie. - Myślisz, że będzie dobrze pracował, Dennis?

- Jest w porządku.

- Prowadzę mnóstwo interesów. Mnóstwo. Wypożyczam platformy gościom, którzy wożą swoje maszyny na zawody do Filadelfii. Po wyścigach ściągam tutaj wraki. Przyda mi się każda pomoc. Dobra, uczciwa pomoc.

Zacząłem z przerażeniem podejrzewać, że właśnie otrzymałem zaproszenie do tańca. Zerwałem się pośpiesznie na nogi, przy okazji o mało nie wywracając krzesła.

- Muszę już iść - powiedziałem. - Aha, panie Darnell... Bylbym bardzo wdzięczny, gdyby nic pan nie mówił Arniemu, że tu byłem. On jest trochę przewrażliwiony na punkcie tego samochodu. Szczerzę mówiąc, to jego ojciec chciał wiedzieć, jak daje sobie radę.

- Trochę napaskudził przed wejściem do domu, co? – Darnell przymknął oko w czymś, co miało chyba być porozumiewawczym mrugnięciem. - Staruszkowie nażarli się grochówki i wypięli na niego tyłki, tak?

- Wie pan, jak to jest...

- Jasne, że wiem. - Jednym płynnym ruchem podniósł się z fotela i klepnął mnie w ramię tak, że aż się zatoczyłem. Astma nie astma, kaszel nie kaszel - był bardzo silny. - Nie bój się, nic mu nie wspomnę - dodał, odprowadzając mnie do drzwi. Jego dłoń nadal spoczywała na moim ramieniu, co napawało mnie lękiem... i chyba odraża.

- Powiem ci, co jeszcze nie daje mi spokoju - kontynuował. - Widuję tu co roku chyba ze sto tysięcy wozów - no, może nie tak dużo, ale wiesz, o co mi chodzi - i mam do nich oko. Mógłbym przysiąc, że kiedyś już widziałem tego rzecha, kiedy jeszcze nie był taki do niczego. Od kogo on go kupił?

- Od człowieka nazwiskiem Roland LeBay - odparłem mając świeżo w pamięci słowa George'a LeBaya o tym, że jego brat wykonywał samodzielnie wszystkie naprawy w jakimś warsztacie dla majsterkowiczów. - Już nie żyje.

Darnell zatrzymał się jak wryty.

- LeBay? Rollie LeBay?

- Tak jest.

- Emerytowany żołnierz?

- Tak.

- Święty Jezu, jasne! Przyprawiał go regularnie jak w zegarku przez sześć, może osiem lat, a potem przestał. To było cholernie dawno temu. Niezły był z niego sukinsyn. Gdyby wlać mu do gardła wrzątku, wysikałby kostki lodu. W ogóle nie potrafił rozmawiać z ludźmi. - Ścisnął mocniej moje ramię. - Czy twój kumpel Cunningham wie, że żona LeBaya popełniła samobójstwo w tym wozie?

- Co takiego? - zapytałem udając zdziwienie. Nie chciałem ujawnić, iż zainteresowałem się sprawą Christine do tego stopnia, że rozmawiałem po pogrzebie z bratem LeBaya. Bałem się, że Darnell mógłby przekazać tę informację Arniemu.

Opowiedział mi całą historię - najpierw o córce, potem o matce. Kiedy skończył, pokręciłem głową.

- Nie. Jestem pewien, że Arnie nic o tym nie wie. Powie mu pan?

Znowu to badawcze spojrzenie.

- A ty?

- Nie - odparłem. - Nie widzę żadnego powodu.

- W takim razie ja też tego nie zrobię. - Otworzył drzwi: w porównaniu ze smrodem tytoniowego dymu utrzymującym się w biurze, przesycone wonią smarów powietrze garażu pachniało niemal cudownie. - Ten sukinsyn LeBay, niech mnie piorun trzaśnie! Mam nadzieję, że tam w piekle dadzą mu niezły wycisk, jak na najgorszej musztrze. - Przez chwilę na jego twarzy pojawił się mściwy grymas, a potem spojrzął w kierunku Christine stojącej w boksie numer dwadzieścia z przerdzewiałą karoserią, nową anteną i połową osłony wlotu powietrza do chłodnicy. - Znowu ta suka... - mruknął i zerknął na mnie. - Jak to mówią, gówno zawsze wypłynie na wierzch, nie?

- Chyba tak - odparłem. - Chyba rzeczywiście tak mówią.

- No, to na razie, chłopcze - powiedział wkładając do ust nowe cygaro. - Pozdrów ode mnie ojca.

- Dziękuję.

- I powiedz Cunninghamowi, żeby uważał na tego punka Reppertona. Wygląda mi na pamiętliwego faceta.

- Też tak myślę.

Wychodząc z garażu przystanąłem i obejrzałem się za siebie, ale z tej odległości Christine była tylko jednym z niewyraźnych cieni. "Gówno zawsze wypłynie na wierzch" - powiedział Darnell. Jego słowa towarzyszyły mi do samego domu.

## 15. SPORTOWE NIEDOLE

*Naucz się grać na saksofonie -  
Ja gram te nuty, co do mnie przylecą -  
Pij szkocką whisky  
Od zmroku do świtu  
I umrzyj za kierownicą...*

Steely Dan

Zaczęła się szkoła i przez pierwszy tydzień czy dwa nic się nie wydarzyło. Arnie nie dowiedział się, że byłem w garażu, z czego bardzo się cieszyłem. Podejrzewam, iż nie wzbudziłoby to jego zachwytu. Zgodnie z obietnicą Darnell trzymał gębę na kłódkę (prawdopodobnie z jakichś własnych powodów). Któregoś dnia po południu, kiedy wiedziałem, że Arnie na pewno siedzi w garażu, zadzwoniłem do Michaela. Powiedziałem mu, że jego syn sporo już zrobił, ale samochód jeszcze długo nie będzie się nadawał do tego, by wyjechać nim na ulicę. Podzieliłem się z nim opinią, iż moim zdaniem Arnie nie traktuje tej pracy zbyt serio. Michael przyjął wiadomość z mieszaniną ulgi i zaskoczenia, lecz w ten sposób udało mi się zakończyć sprawę... na jakiś czas.

Sam Arnie to pojawiał się, to znów znikał mi z pola widzenia, jak coś, co można czasem dostrzec tylko kątem oka. Chodziliśmy razem na trzy przedmioty, a od czasu do czasu wpadał do mnie po szkole lub w weekendy. Chwilami mogłem nawet odnieść wrażenie, że nic się nie zmieniło. Jednak znacznie częściej niż w moim domu przebywał w Garażu Darnella, w piątkowe popołudnia zaś jeździł z Jimmym Sykesem, niezbyt rozgarniętym pomocnikiem Darnella, na Philly Plains, gdzie znajdował się tor wyścigowy. Ścigano się tam głównie chevroletami i fordami z usuniętymi szybami i wmontowanymi klatkami z grubych rur. Zawozili je tam na specjalnej platformie, po czym wracali z transportem świeżego towaru na złomowisko.

Mniej więcej właśnie wtedy Arnie naciągnął sobie grzbiet. Nie było to nic poważnego - a w każdym razie on tak twierdził - lecz moja matka niemal od razu zauważyła, że coś jest nie tak. Którejś niedzieli wpadł do nas na mecz i podczas transmisji w pewnej chwili podniósł się, by nalać wszystkim po szklance soku pomarańczowego. Mama siedziała z ojcem na kanapie, czytając książkę. Kiedy Arnie wstał, zerknęła na niego i powiedziała:

- Ty utykasz, Arnie.

Odniosłem wrażenie, że na jego twarzy przez sekundę lub dwie gościł niespodziewany, zdumiewający grymas - jakby czuł się czemuś winny i chciał, żeby pozostało to w ukryciu. Możliwe jednak, iż tylko mi się zdawało. A nawet jeśli ten wyraz tam był, to szybko zniknął.

- Widocznie naciągnąłem sobie grzbiet wczoraj na torze - odparł, podając mi szklankę z sokiem. - Jimmy'emu zgasł silnik w ostatnim gruchocie, jakiego ładowaliśmy. Bałem się, że zjedzie z platformy i będziemy cudować do późnej nocy, żeby go znowu uruchomić, więc doskoczyłem i pchnąłem. Zdaje się, że nie powinienem był tego robić.

Pomyślałem sobie, że to diabelnie skomplikowane wytłumaczenie jak na taką blahostkę, ale być może nie miałem racji.

- Musisz uważać na kręgosłup, Arnie - pouczyła go moja matka. - Pan Bóg...

- Mamo, czy moglibyśmy obejrzeć mecz? - wtrąciłem.

- ...dał ci tylko jeden - dokończyła.

- Oczywiście, pani Guilder - zgodził się pokornie Arnie.

Do pokoju weszła Elaine.

- Zostało jeszcze trochę soku, czy te dwa opoje wydudliły go do końca?

- Cicho bądź! - wrzasnąłem. Właśnie wynikły kontrowersje wokół jakiejś spornej piłki, a ja nie zauważyłem, jak do tego doszło.

- Nie krzycz na swoją siostrę, Dennis - mruknął tata zza zasłony magazynu hobbystycznego, w którego lekturze był pogrążony.

- Zostało mnóstwo soku, Ellie - powiedział Arnie.

- Wiesz co, Arnie? - odparła. - Czasem wydaje mi się, że jesteś prawie człowiekiem.

I wymknęła się do kuchni.

- Dennis, jestem prawie człowiekiem! - szepnął do mnie Arnie, najwyraźniej z trudem powstrzymując lzy wzruszenia. - Słyszałeś? Prawie człowiekiem!

Być może również za sprawą wyobraźni wydaje mi się, że jego dobry humor był sztuczny, fałszywy i powierzchowny. Bez względu na to, jak sprawy miały się naprawdę, Arnie utykał przez całą jesień.

Ja również byłem wtedy bardzo zajęty. Co prawda rozstałem się z Roseanne, ale zwykle nie miałem kłopotu ze znalezieniem kogoś, z kim mógłbym wyjść w sobotni wieczór... pod warunkiem, że nie byłem za bardzo wykończony po treningu.

Trener Puffer nie był takim draniem jak Will Darnell, lecz z pewnością nikt nie mógłby nazwać go różyczką. Jak większość trenerów szkolnych drużyn futbolowych w Ameryce, wzorował się w swojej pracy na niezjąłym Vince'em Lombardim, którego naczelną zasadą było,

że zwycięstwo nie jest główną rzeczą, do której należy dążyć, lecz jedyną. Zdziwilibyście się, jak wielu pozornie rozsądnych ludzi wierzy w tę bzdurę.

Po wakacjach przepracowanych u Braci Carson znajdowałem się w niezłej formie i przypuszczam, że jakoś wystarczyloby mi to na cały sezon - gdyby był to zwycięski sezon. Niestety; w chwili kiedy między mną i Arniem a Buddym Reppertonem doszło do paskudnej konfrontacji na zapleczu warsztatów, w pobliżu szkolnej palarni - a zdaje się, że stało się to nieco ponad dwa tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego - było już jasne, że to nie będzie zwycięski sezon. W związku z tym trener Puffer stał się bardzo nieprzyjemnym człowiekiem, gdyż takie upokorzenie spotkało go po raz pierwszy w ciągu dziesięciu lat pracy w naszej szkole. Musiał nauczyć się pokory, a była to dla niego bardzo gorzka i trudna lekcja... i dla nas też, przy okazji.

Pierwszy mecz - na wyjeździe, z Tygrysami Luneburga - graliśmy dziewiątego września. Luneburg to mała, zabita deskami dziura przy samej granicy naszego okręgu. Do tej pory w czasie meczów z nimi najczęściej słyszonym okrzykiem na trybunach - zwykle wybuchał wtedy, kiedy ich dziurawa obrona pozwoliła na kolejne przyłożenie - było: POWIEDZCIE-NAM-JAK-SIĘ-BIEGA-Z-KROWIM-ŁAJNEM-W-PEPEGACH! A zaraz potem następował szyderczy ryk: HEEEEEEJ, LUNEBURG!

Od ostatniego zwycięstwa Luneburga nad Libertyville minęło ponad dwadzieścia lat, lecz tym razem wzniesli się na wyżyny swoich możliwości i sprawili nam tęgie lanie. Grałem na pozycji lewego łącznika. W połowie meczu byłem przekonany, że do końca życia będę nosił na plecach ślady ich butów. Na tablicy wisiał wtedy wynik 17:3, skończyło się zaś na 30:10. Kibice Luneburga oszaleli z radości; rozwalili w drzazgi obie bramki, jakby był to mecz decydujący co najmniej o mistrzostwie okręgu, i obnosili swoich graczy na ramionach.

Nasi kibice, którzy przyjechali z nami specjalnymi autobusami, siedzieli przygnębieni w milczeniu na ławkach, prażąc się w gorącym wrześniowym słońcu. Oszolomiony i błądy trener Puffer zaproponował nam w szatni, żebyśmy padli na kolana i modlili się o opiekę boską, bo przez najbliższe kilka tygodni będziemy jej pilnie potrzebować. Zrozumiałem wtedy, że nadchodzą ciężkie czasy.

Uklękliśmy więc, obolali i posiniaczeni, marząc tylko o tym, żeby jak najprędzej wskoczyć pod prysznic i zmyć z siebie smród porażki, i wysłuchaliśmy dziesięciminutowej przemowy trenera Puffera, w której wyjaśnił Panu Bogu złożoność sytuacji. Zakończył obietnicą, że podejmuje się wykonać za nas naszą część roboty pod warunkiem, że On wykona swoją.

W następnym tygodniu trenowaliśmy trzy godziny dziennie (zamiast półtorej do dwóch, jak zwykle) w lejącym się z nieba żarze. Wieczorem waliłem się do łóżka jak kłoda i zasypiając słyszałem jeszcze jego głos: “Dołóż bydlakowi! Dołóż mu! DOŁÓŻ!”

Ćwiczyłem raptowne przyśpieszenia tak długo, aż wydawało mi się, że lada chwila moje nogi ulegną spontanicznemu rozkładowi, płuca zaś wybuchną żywym ogniem. Lenny Barongg, jeden z najlepszych w drużynie, miał szczęście: doznał udaru słonecznego i został zwolniony z treningów do końca tygodnia.

Arniego widywałem od czasu do czasu w czwartki lub piątki, kiedy wpadał do nas na kolację, lub w niedziele po południu, gdy zdarzało nam się pójść na kręgielnię, ale poza tym zupełnie straciłem go z oczu. Byłem zbyt pochłonięty tym, żeby jakoś zawlec moje obolałe ciało do szkoły, potem na trening, a wreszcie z powrotem do domu, by odrobić lekcje.

Wracając do sportowych niedoli: chyba najgorsze ze wszystkiego było to, w jaki sposób patrzono w korytarzach na mnie, Lenny'ego i resztę drużyny. Co prawda szkolny patriotyzm jest w większości stekiem bzdur wymyślanych przez kadre nauczycielską, która pamięta świetną zabawę podczas swoich klasowych potańcówek, ale przezornie zapomniała, że działo się tak głównie za przyczyną alkoholu lub trawki albo obu tych rzeczy naraz. Czegoś w rodzaju szkolnego patriotyzmu można by doświadczyć wówczas, gdyby rozpocząć kampanię na rzecz zalegalizowania marihuany, lecz jeśli chodzi o futbol, koszykówkę i lekkoatletykę, to zdecydowana większość uczniów ma te sprawy głęboko w nosie. Zbyt wiele uwagi poświęcają temu, jak dostać się na studia, pod czyjeś majtki lub napytać sobie biedy. Takie jest życie.

Mimo to każdy lubi czuć się zwycięzcą, po pewnym czasie zaś po prostu wchodzi to w krew. Libertyville z dawien dawna szczyliło się znakomitymi drużynami futbolowymi; ujemny bilans punktowy na zakończenie sezonu ostatni raz mieliśmy dwanaście lat temu, to znaczy w 1966 roku. Tak więc po przegranej z Luneburgiem, choć obyło się bez płaczu i zgrzytania zębów, łatwo dało się zauważyć zdziwione, niedowierzające spojrzenia, a podczas tradycyjnego piątkowego treningu rozległo się nawet trochę gwizdów. Trener Puffer poczerwieniał jak burak i zaprosił "tych wszystkich małostkowych kibiców i nieszczerých przyjaciół" na sobotnie popołudnie, by na własne oczy ujrzeli come-back stulecia.

Nie wiem, czy przyszli, ale ja tam byłem. Graliśmy u siebie, a naszym przeciwnikiem były Niedźwiedzie z Ridge Rock. Ridge Rock to małe miasteczko górnicze, lecz choć dzieciaki chodzące do tamtejszej szkoły to ćwoki, z całą pewnością nie można ich nazwać miękkimi ćwokami. To wstrętne, złośliwe, mocne ćwoki. Rok wcześniej udało się nam ich wyeliminować jedynie z najwyższym trudem, a jeden z miejscowych komentatorów napisał, iż dokonaliśmy tego nie dlatego, że byliśmy lepsi, ale dzięki temu, że posadziliśmy na trybunach więcej pańienek, które rozpraszały uwagę przeciwników. Trener Puffer z wściekłości o mało nie dostał wtedy zawału.

Jednak ten sezon należał do Niedźwiedzi. Zmiażdżyli nas. W pierwszej części straciliśmy kontuzjowanego Freda Danna. W drugiej Norman Aleppo został odwieziony do szpitala ze



złamaną ręką, w trzeciej zaś Niedźwiedzie uzyskały trzy przyłożenia z rzędu, co dało w sumie wynik 40:6. Odrzucając na bok fałszywą skromność powiem wam, że te sześć punktów było moim dziełem, lecz zachowując poczucie realizmu jestem zmuszony przyznać, że po prostu miałem szczęście.

A potem... Potem nadszedł kolejny tydzień morderczych treningów i wrzasków trenera: "Dołóż temu bydlakowi!" Któregoś dnia ćwiczyliśmy przez prawie cztery godziny, a kiedy Lenny zasugerował trenerowi, że byłoby nieźle, gdyby udało nam się jeszcze przed północą odrobić lekcje, odniosłem przez chwilę wrażenie, że Puffer zaraz da mu w zęby. Nabral zwyczaju bezustannego przekładania z ręki do ręki pęku kluczy, upodabniając się w ten sposób do kapitana Queega z "The Caine Mutiny". Zdaje się, że człowieka można znacznie lepiej poznać obserwując jego reakcje wtedy, kiedy przegrywa, niż wówczas, gdy wygrywa. Puffer, który jeszcze nigdy w swojej trenerskiej karierze nie poniósł dwóch porażek z rzędu, zareagował zdumioną, bezsensowną wściekłością niczym zamknięty w klatce tygrys drażniony przez okrutne dzieci.

W następny piątek po południu - czyli dwudziestego drugiego września - zrezygnowano z oficjalnego przedstawienia składu drużyny przed zbliżającym się meczem. Wątpię, czy ktokolwiek z graczy był z tego powodu niezadowolony; stać na boisku i czekać, aż wyczytają twoje nazwisko, a potem wysłuchać po raz n-ty jakby nieco mniej entuzjastycznych owacji dwunastoosobowego zespołu dziewcząt, z całą pewnością nie należało do specjalnych atrakcji. Był to jednak złowieszczy znak. Po południu trener zaprezentował nam dwa seanse filmowe, podczas których mogliśmy podziwiać nasze porażki z Tygrysmi i Niedźwiedziami. Być może miało to natchnąć nas sportową złością, ale na mnie podziałało przygnębiająco.

Tej nocy, przed drugim meczem w sezonie na własnym boisku, miałem dziwny sen. Na pewno nie mógłbym nazwać go koszmarem, gdyż w niczym nie przypominał tego, z którego obudziłem się z przeraźliwym krzykiem, ale na pewno był... niemiły. Graliśmy przy silnym wietrze z Filadelfijskimi Smokami. W jednostajnym, świszczącym szumie rozplywały się okrzyki kibiców, dźwięki trąbek, wzmacniane przez głośniki zapowiedzi Chubby'ego McCarthy'ego, a nawet odgłosy wydawane przez zderzające się ciała zawodników.

Twarze ludzi zgromadzonych na trybunach wydawały się dziwnie żółte i zniekształcone jak chińskie maski. Dziewczęta tańczyły i podskakiwały jak zepsute automaty. Niebo było szare, zasnuwane chmurami. Dostawaliśmy mocno w skórę. Trener Puffer wrzeszczał coś do nas ze swojej ławki, ale nikt go nie słyszał. Smoki były poza naszym zasięgiem. Piłka znajdowała się niemal wyłącznie w ich posiadaniu. Lenny Barongg wyglądał tak, jakby grał pokonując jakiś okropny ból; jego twarz wykrzywił grymas godny starogreckiej tragedii.

Zostałem uderzony, przewrócony i zdeptyany. Leżałem na boisku daleko od linii

przyłożeń, widać się rozpaczliwie i usiłując odzyskać oddech. Nagle spojrzałem w bok; w prześwicie między trybunami ujrzałem zaparkowaną obok stadionu Christine. Była znowu lśniąca i nowa, jakby zjechała z taśmy najwyższej godzinę temu.

Arnie siedział na dachu z nogami skrzyżowanymi jak Budda i przyglądał mi się wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu. Krzyknął coś do mnie, lecz jego słowa porwał wiejący bez ustanku wiatr. Odniosłem wrażenie, że było to coś w rodzaju: "Nie martw się, Dennis. Zajmiemy się wszystkim. Nie martw się. Wszystko jest w porządku".

Czym się zajmiemy? - zdziwiłem się leżąc na boisku ze snu (które moja wyobraźnia z niewiadomych przyczyn pokryła nawierzchnią Astro-Turf), łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami i czując, jak ochraniacz wbija mi się boleśnie w krocze tuż poniżej jąder. Czym się zajmiemy?

Czym?

Nie uzyskałem odpowiedzi. Widziałem tylko złowróżbny błysk żółtych reflektorów Christine i Arniego siedzącego bez ruchu na jej dachu w mocnym, wiejącym bez przerwy wietrze.

Nazajutrz wybiegliśmy na boisko i ponownie stoczyliśmy walkę w obronie honoru naszej dobrej starej budy. Nie było tak źle, jak mi się śniło - nikt nie doznał kontuzji, a przez krótki okres w trzeciej części wyglądało na to, że mamy nawet jakieś szanse - ale wtedy chłopcom z Filadelfii udało się kilka długich podań - kiedy już coś zaczyna się walić, to od razu wali się wszystko - i znowu przegraliśmy.

Po meczu trener Puffer siedział bez słowa na ławce. Nawet na nas nie spojrzał. Zostało nam jeszcze do rozegrania jedenaście spotkań, lecz on był już przegranym człowiekiem.

## 16. POJAWIA SIĘ LEIGH, ZNIKA BUDDY

*Nie zalewam, maleńka, więc nie patrz na mnie tak,  
Mam najszybszą gablotę w tym mieście wszędy i wszak.  
Więc niech nikomu się nie śni, że może prześcignąć ją,  
Bo gdyby miała skrzydła, poleciałbym wraz z nią.  
Moje maleńkie słodkie coupé,  
Nie masz pojęcia, co drzemie w nim...*

### The Beach Boys

Jestem pewien, że sprawy zaczęły znowu toczyć się naprzód we wtorek po naszej przegranej z Filadelfijskimi Smokami, czyli dwudziestego szóstego września.

Chodziłem z Arniem na trzy przedmioty. Jednym z nich był zarys historii Ameryki - całoroczny kurs, zawsze na trzeciej lekcji. Przez pierwsze dziewięć tygodni zajęcia prowadził pan Thompson, szef katedry, ich tematem zaś było "Dwieście lat przyśpieszenia i rozwoju". Arnie nazywał tę lekcję "godziną burczenia", gdyż zaraz po niej była przerwa śniadaniowa i wszystkie żołądki wyczyniały interesujące rzeczy w oczekiwaniu na upragniony dzwonek.

Tego dnia, tuż po tym właśnie dzwonku, do Arniego podeszła dziewczyna i zapytała go, czy zapisał pracę domową z angielskiego. Zapisał. Zaczął przeszukiwać torbę w poszukiwaniu zeszytu, a w tym czasie dziewczyna przyglądała mu się uważnie, nie spuszczając z jego twarzy spojrzenia swoich błękitnych oczu. Włosy miała ciemnoblonde, koloru świeżego miodu - nie tego sprzedawanego w słoikach, ale takiego, jaki odwirowuje się z plastra - zebrane do tyłu i związane szeroką błękitną wstążką dopasowaną do barwy oczu. Patrząc na nią czułem, jak mój żołądek wyczynia radosne podskoki. Arnie spojrzał na nią dopiero wtedy, kiedy podał jej zeszyt, a ona zajęła się przepisywaniem.

Oczywiście nie był to pierwszy raz, kiedy widziałem Leigh Cabot; przeprowadziła się do Libertyville z jakiejś miejsciny w Massachusetts trzy tygodnie temu, więc zdążyła się już pokazać tu i ówdzie. Ktoś mi powiedział, że jej ojciec pracuje dla 3M - firmy, która produkuje taśmę samoprzylepną.

Nie był to również pierwszy raz, kiedy zwróciłem na nią uwagę, gdyż Leigh Cabot była (ujmując to najprościej jak tylko można) piękną dziewczyną. Zauważyłem, że autorzy powieści zawsze wynajdują u swoich bohaterów jakieś skazy lub niedociągnięcia; być może uważają

prawdziwe piękno za wyświechtany stereotyp albo sądzą, że takie niedoskonałości czynią kobietę bardziej prawdziwą. Dlatego właśnie piszą, że była piękna pomimo zbyt długiej dolnej wargi albo pomimo nieco zbyt ostro zarysowanego nosa, lub pomimo małego biustu. Zawsze jest jakieś “pomimo”.

Leigh Cabot była natomiast po prostu piękna, bez żadnych dodatkowych określeń. Miała doskonale gładką skórę, zwykle odrobinę zarumienioną, około metra sześćdziesięciu ośmiu centymetrów wzrostu - sporo jak na dziewczynę, ale nie za dużo - i cudowną figurę: jędrne, wysokie piersi, talię tak szczupłą, iż byłbyś gotów przysiąc, że udałoby ci się objąć ją dłońmi (w każdym razie odczuwałbyś wielką ochotę, żeby tego spróbować), wspaniałe biodra i rewelacyjne nogi. Śliczna twarz, mnóstwo seksu, dobra figura - przypuszczam, że z artystycznego punktu widzenia była do niczego, bez długiej dolnej wargi, ostro zarysowanego nosa, garbu albo jakiegóż innej ułomności (nawet zęby miała idealnie równe i proste - gratulacje dla ortodonty), ale na pewno nie była do niczego, kiedy się na nią patrzyło.

Kilku chłopaków próbowało umówić się z nią i zostało uprzejmie splawionych. Powszechnie przypuszczano, że ma kogoś w Andover, Braintree, czy jak tam nazywała się ta dziura, z której przyjechała, ale że z czasem oswoi się i stanie bardziej przystępna. Na dwa spośród trzech przedmiotów, na jakie chodziłem wspólnie z Arniem, chodziłem także z Leigh i powoli szykowałem się do podjęcia odpowiednich działań.

Teraz, obserwując ich, jak rzucają na siebie ukradkowe spojrzenia, zacząłem się zastanawiać, czy będę miał na to szansę, lecz natychmiast uśmiechnąłem się w duchu. Arnie Cunningham, Stary Brzydal, i Leigh Cabot! To było nie tylko śmieszne, ale wręcz...

Jednak mój wewnętrzny uśmiech natychmiast przygasł. Po raz trzeci - teraz już na pewno się nie myliłem - zwróciłem uwagę na fakt, iż wygląd Arniego poprawiał się w oszałamiającym tempie. Pryszczki i wykwity zniknęły bez śladu; co prawda niektóre z nich pozostawiły na policzkach małe blizny, ale przecież mężczyzna powinien mieć silną twarz, a takie ślady nie mają wielkiego znaczenia - możliwe nawet, iż w jakiś zwariowany sposób dodają charakteru.

Leigh i Arnie przyglądali się sobie ukradkiem, a ja w tym czasie w taki sam sposób przypatrywałem się Arniemu, usiłując dociec, kiedy i w jaki sposób doszło do tego cudu. Przez okna klasy wpadały ukośnie silne promienie słońca podkreślając rysy twarzy mego przyjaciela. Wydawał się... starszy. Zupełnie jakby pokonał pryszczki i trądzik nie dzięki częstemu myciu lub stosowaniu specjalnych kremów, lecz przesuwając wskazówki zegara o trzy lata naprzód. Zaczął się również inaczej czesać - ściał krócej włosy i zlikwidował baczki, które nosił od chwili, kiedy wreszcie udało mu się je wyhodować (czyli mniej więcej od półtora roku).

Wróciłem myślami do owego pochmurnego popołudnia, kiedy pojechaliśmy na film

kung-fu z Chuckiem Norrisem i doszedłem do wniosku, że właśnie wtedy po raz pierwszy dostrzegłem wyraźną poprawę. Czyli mniej więcej wtedy, kiedy kupił samochód. Może właśnie o to chodziło. Nastolatki świata, radujcie się. Odkryto sposób na rozwiązanie waszych kłopotów z trądzikiem. Otóż wystarczy kupić stary samochód, który...

Skryty uśmiech, na który pozwoliłem sobie po raz drugi, nagle zamienił się w kwaśny grymas.

Wystarczy kupić stary samochód, który... co? Poprzestawia ci wszystko w głowie, zmieniając sposób myślenia, a tym samym twój metabolizm? Wyzwoli twoje prawdziwe ja? Zdawało mi się, że słyszę Sturkeya Jamesa, naszego starego nauczyciela matematyki, szepczącego mi do ucha swoje ulubione powiedzonko: "Jeżeli podążymy tą linią rozumowania, panie i panowie, to dokąd nas ona doprowadzi?"

Właśnie: dokąd?

- Dziękuję, Arnie - powiedziała Leigh swoim łagodnym, czystym głosem, zamykając zeszyt.

- Nie ma za co - odparł.

W tej chwili ich oczy spotkały się po raz pierwszy - wreszcie po prostu patrzyli na siebie, zamiast zerkać ukradkiem - i nawet ja poczułem ładunek przeskakującej iskry.

- Do zobaczenia na szóstej lekcji - powiedziała i odeszła, poruszając delikatnie biodrami pod zieloną spódniczką.

- Co masz z nią na szóstej lekcji? - zapytałem. Ja miałem wtedy historię sztuki z odrażającą panną Raypach, którą wszyscy nazywali panną Rach-ciach - wyłącznie za jej plecami, ma się rozumieć.

- Rachunek różniczkowy... - odparł rozmarzonym głosem, tak niepodobnym do tego, jakim zawsze mówił, że aż parsknąłem śmiechem. Spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi. - Z czego się śmiejesz, Dennis?

- Raaachunek róóóóźniczkowy... - Przewróciłem oczami, po czym klasnąłem w dłonie i roześmiałem się jeszcze głośniej.

Zamachnął się udając, że chce mnie uderzyć.

- Uważaj, co mówisz, Guilder!

- Zejdź ze mnie, ziemniaczana gębo!

- Zaczekaj, aż cię wezmą na uniwersytet. Zobaczysz, co wtedy zostanie z waszej pieprzonej drużyny.

Akurat w tej chwili mijal nas pan Holder, który wpaja pierwszoklasistom subtelne zasady gramatyki (a także podstawy onanizmu, jak twierdzą niektórzy).

- Nie wyrażajcie się, chłopcy - zgromił Arniego zmarszczywszy brwi i poszedł dalej, niosąc w jednej ręce teczkę, a w drugiej wielkiego hamburgera.

Arnie spiekl raka; zawsze mu się to zdarza, kiedy zwraca się do niego nauczyciel. W szkole podstawowej z tego właśnie powodu był często karany za przewinienia, których nie popełnił, bo wyglądał na najbardziej winnego ze wszystkich. To chyba świadczy w jakiś sposób o tym, jak wychowali go Regina i Michael: ja jestem w porządku, ty jesteś w porządku, ja jestem człowiekiem, ty jesteś człowiekiem, wszyscy szanujemy się nawzajem, a jeśli ktoś coś przeskrobie, masz reagować alergicznym odruchem winy. Zdaje się, że to wszystko miało stanowić część liberalnego amerykańskiego wychowania.

- Uważaj, co mówisz, Cunningham - ostrzegłem go. - Możesz mieć poważne kłopoty.

Tym razem obaj parsknęliśmy śmiechem i ramię w ramię ruszyliśmy przed siebie gwarnym korytarzem. Uczniowie pędzili w tę lub z powrotem albo jedli lunch oparci o szafki. Oficjalnie jedzenie w korytarzach było zabronione, ale wielu nie zwracało na ten zakaz uwagi.

- Masz ze sobą lunch? - zapytałem.

- Tak, w szafce.

- To weź go i chodźmy na ławki przy boisku.

- Nie masz go jeszcze dosyć? Gdybyś w ubiegłą sobotę dłużej przeleżał tam na brzuchu, któryś z dozorców podlałby cię jak jakiś krzak.

- Nie miałbym nic przeciwko temu. Poza tym, w tym tygodniu gramy na wyjeździe. Po prostu chcę stąd wyjść, to wszystko.

- W porządku, zaraz przyjdę.

Poszedł do swojej szafki, a ja do swojej, żeby zabrać lunch. Na początek miałem kanapki. Odkąd trener Puffer zaczął nam aplikować zwiększoną dawkę treningów, wydawało mi się, że ciągle jestem głodny.

Idąc korytarzem myślałem o Leigh Cabot i o tym, jak wszyscy będą chodzić na uszach, kiedy ona i Arnie zaczną pokazywać się razem. Musicie wiedzieć, że szkolne społeczeństwo jest szalenie konserwatywne. Dziewczeta noszą najbardziej zwariowane ciuchy, chłopcy czasem mają włosy aż do tyłka, wszyscy palą i wachają, ale to tylko zewnętrzna tarcza, za którą musisz się schronić, by zorientować się, o co właściwie chodzi w twoim życiu. Coś w rodzaju lustra - puszczasz nim zajączki prosto w oczy nauczycieli i rodziców, mając nadzieję, że zdążysz zdezorientować ich na tyle, by oni nie zdezorientowali cię jeszcze bardziej, niż już im to się udało. W głębi duszy większość szczeniaków ze szkół średnich jest równie rewolucyjna jak gromada republikańskich bankierów zgromadzona na przyjęciu u pastora. Są takie dziewczyny, które mają w domu wszystkie płyty Black Sabbath, ale gdyby Ozzy Osbourne chciał umówić się z którąś z

nich na randkę, rozbawiloby je to tak, że chyba wykrwawilyby się na śmierć.

Bez trądziku i pryszczycy Arnie wyglądał całkiem w porządku - szczerze mówiąc wyglądał nawet całkiem nieźle. Mimo to podejrzewałem, że nie umówilaby się z nim żadna dziewczyna, która znała go jako pryszczatego brzydala. Nie widziały go takim, jaki był teraz, tylko takim, jaki był przedtem. Z Leigh natomiast sprawa miała się zupełnie inaczej. Będąc tu nową nie miała najmniejszego pojęcia, jak wspaniale wyglądał Arnie podczas pierwszych trzech lat nauki w naszej budzie. Oczywiście mogła się tego dowiedzieć, choćby biorąc do ręki zeszloroczne zdjęcie przedstawiające członków kółka szachowego, ale ta sama republikańska cecha, o której wspomniałem wcześniej, kazałaby jej nie przywiązywać do tego żadnego znaczenia. *Co jest teraz, jest na zawsze* - zapytajcie jakiegokolwiek republikańskiego bankiera, a powie wam, że właśnie ta zasada powinna rządzić światem.

Uczniowie szkoły średniej i republikańscy bankierzy... Kiedy jesteś dzieckiem, wierzysz bez zastrzeżeń, że wszystko się ustawicznie zmienia. Z kolei kiedy jesteś dorosły, wierzysz bez zastrzeżeń, że wszystko i tak się zmieni, bez względu na to, jak bardzo będziesz się starał, by utrzymać *status quo* (wiedzą o tym nawet republikańscy bankierzy; może im się to nie podobać, ale wiedzą o tym). Tylko będąc nastolatkiem możesz mówić o ciągłych zmianach i wierzyć w głębi serca, że to całkowita nieprawda.

Wyszedłem na zewnątrz z gigantyczną torbą z lunchem w ręce i skierowałem się na ukos przez parking w stronę budynku mieszczącego warsztaty. Jest to długa, przypominająca stodołę budowla o pomalowanych na niebiesko ścianach z blachy falistej, bardzo podobna do Garażu Darnella, ale w znacznie lepszym stanie. Mieszczą się w niej stolarnia, warsztaty samochodowe i pracownia graficzna. Teoretycznie palarnia mieści się na zapleczu, lecz przy ładnej pogodzie warsztatowicze gromadzą się wzdłuż obu ścian budynku, opierając o nie swoje nogi obute w wysokie motocyklowe trzewiki i rozmawiając z dziewczynami - albo je obmacując.

Tego dnia prawa strona była zupełnie pusta i już to powinno mi zasygnalizować, że coś się dzieje, ale nie zasygnalizowało. Byłem pogrążony w myślach dotyczących Arniego, Leigh i psychologii uczniów amerykańskich szkół średnich.

Właściwa palarnia została usytuowana w niewielkim zakątku przylegającym od tyłu do budynku warsztatów. Nieco dalej, w odległości jakichś pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu metrów, znajduje się boisko z górującą nad nim tablicą świetlną ozdobioną na samej górze napisem: **POKAŻCIE IM, TERIERY!**

W połowie drogi między palarnią a boiskiem zgromadziło się dwadzieścia lub trzydzieści osób, tworząc ciasny krąg. Taki widok oznacza zwykle jakąś bijatykę lub, jak mawia Arnie, przepychankę - kiedy dwaj faceci nie chcą lub boją się bić naprawdę i tylko trącają jeden drugiego,

obrzucając się nawzajem obelgami i starając się zachować swą samczą reputację.

Spojrzałem w tamtą stronę bez większego zainteresowania. Nie chciałem oglądać bójki, tylko zjeść lunch i dowiedzieć się, czy coś zaczęło się między Arniem i Leigh Cabot. Gdyby była to prawda, może przestałby poświęcać tyle czasu Christine. Jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości: Leigh Cabot miała nadwozie bez najmniejszego śladu rdzy.

Jednak właśnie w tej chwili rozległ się dziewczęcy pisk, a ktoś zawołał:

- Hej, nie! Odlóż to, człowieku!

Zabrzmiało to bardzo niedobrze. Zmieniłem kierunek, by sprawdzić, co się dzieje.

Przepchnąwszy się przez zbiegowisko ujrzałem Arniego stojącego w kręgu gapiów z rękoma wysuniętymi nieco do przodu i trzymanymi na wysokości piersi. Był blady i wystraszony, ale bynajmniej nie ogarnięty paniką. Obok na ziemi leżała rozplaszczona torebka z jego lunchem; sądząc po wyraźnym odcisku, jaki na niej pozostał, ktoś po prostu rozdeptał ją z rozmachem. Naprzeciwko Arniego, w dzinsach i obcisłym białym podkoszulku, podkreślającym szeroką pierś i każdy węzeł mięśni, stał Buddy Repperton. W prawej dłoni ścisnął nóż sprężynowy, którym poruszał powoli przed twarzą jak czarownik odczyniający jakieś zaklęcia.

Był wysoki i barczysty, o długich czarnych włosach związanych kawałkiem rzemienia w koński ogon. Miał twarz o grubych rysach, głupią i okrutną. Uśmiechał się lekko. Uczucie, jakie mnie ogarnęło, stanowiło obezwładniającą mieszaninę odrazy i lodowatego strachu. Buddy nie wyglądał tylko na okrutnika i głupca; on wyglądał na szaleńca.

- Mówiłem ci, że jeszcze cię dorwę - powiedział cicho do Arniego i wykonał w jego stronę lekki ruch nożem. Arnie cofnął się nieco. Nóż miał rękojeść z kości słoniowej i chromowany przycisk, którym uruchamiano się mechanizm chowający i wysuwający ostrze. Samo ostrze liczyło sobie co najmniej dwadzieścia centymetrów długości. To w ogóle nie był nóż, tylko jakiś pieprzony bagnet.

- Dziabnij go, Buddy! - wrzasnął radośnie Don Vandenberg, a ja poczułem, że robi mi się sucho w ustach.

Spojrzałem na stojącego obok mnie chłopaka; był to jakiś nie znany mi osobiście tępawy pierwszoklasista. Miał wybaluszone oczy i wpatrywał się jak zahipnotyzowany w rozgrywającą się przed nim scenę.

- Hej - powiedziałem do niego, a kiedy nie zareagował, wymierzyłem mu tęgiego kuksańca w bok. - Hej!

Podskoczył i spojrzał na mnie z przerażeniem.

- Leć po pana Caseya. Je teraz lunch w kantorku przy stolarni. Przyrowadź go tutaj.

Repperton zerknął na mnie, a potem znowu na Arniego.



- No i jak, Cunningham? Spróbujesz się ze mną?

- Odlóż ten nóż, a przekonasz się, ty zasrańcu - odparł Arnie zupełnie spokojnym głosem. "Zasraniec"... Gdzie ja już słyszałem to słowo? Chyba od George'a LeBaya. Jasne, tego słowa używał jego brat.

Reppertonowi najwyraźniej nie spodobało się zbytnio, gdyż zaczerwienił się i zrobił krok naprzód. Arnie tym razem przesunął się nieco w bok. Pomyślałem, że za chwilę coś się wydarzy - być może coś, po czym jest się odwożonym do szpitala i do końca życia nosi się blizny.

- Goń po pana Caseya, szybko! - warknąłem do tępawego pierwszoklasisty. Pobiegł. Podejrzewałem jednak, iż wszystko rozstrzygnie się przed przybyciem nauczyciela... chyba że uda mi się nieco spowolnić bieg wydarzeń.

- Odlóż nóż, Repperton - powiedziałem.

Ponownie zerknął w moją stronę.

- Proszę, co my tu mamy - mruknął. - Przyjaciela Ciporyjca. Co, zmusisz mnie do tego?

- Ty masz nóż, a on nie - odparłem. - Według mnie wygląda na to, że jesteś pieprzonym tchórzem.

Rumieniec przybrał na intensywności, Repperton zaś nie mógł się zdecydować, na kim powinien skoncentrować uwagę. Spoglądał to na mnie, to na swoją ofiarę. Arnie rzucił mi spojrzenie pełne wdzięczności... i zbliżył się o krok do niego. Zupełnie mi się to nie spodobało.

- Odlóż to! - krzyknął ktoś z tłumu. - Odlóż to! - powtórzył ktoś inny. - Od-lóź! Od-lóź! Od-lóź!

Repperton był wściekły. Nie miał nic przeciwko temu, żeby znajdować się w centrum zainteresowania, ale nie o takie zainteresowanie mu chodziło. Rozglądał się nerwowo dookoła, spoglądając już nie tylko na Arniego i na mnie, lecz także na pozostałych. Kosmyk włosów opadł mu na czoło; odrzucił go gwałtownym ruchem.

Kiedy jego wzrok padł ponownie na mnie, zrobiłem ruch, jakbym chciał się na niego rzucić. Nóż skierował się w moją stronę... i w tej samej chwili Arnie zaatakował szybciej, niż kiedykolwiek byłbym gotów przypuszczać. Uderzył z góry ręką w nieudolnej, ale efektywnej imitacji ciosu karate, wytrącając Reppertonowi nóż z dłoni. Sprężynowiec upadł na zasłany niedopalkami asfalt. Buddy schylił się po niego, lecz Arnie z niesamowitą dokładnością nastąpił mu z całej siły na rękę w chwili, kiedy ta już prawie dotykała rękoności. Repperton wrzasnął.

Don Vandenberg doskoczył błyskawicznie do Arniego i rzucił go na ziemię. Zareagowałem odruchowo, prawie bez udziału świadomości: wstąpiłem na ring i najmocniej, jak potrafiłem, kopnąłem Vandenbergę w dupę, starając się trafić czubkiem buta od spodu w górę, tak jakbym wybijał piłkę.

Vandenberg - wysoki, szczupły chłopak, który wówczas miał dziewiętnaście albo osiemnaście lat - zaczął przeraźliwie krzyczeć i podskakiwać, trzymając się obiema rękami za tyłek. Zupełnie zapomniał o tym, że powinien pomóc swemu kołesowi. Po prostu przestał się liczyć. To zdumiewające, że nie dostał jakiegoś paraliżu. Jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się nikogo ani niczego kopnąć mocniej niż wtedy, i powiem wam, przyjaciele, że to było naprawdę wspaniałe uczucie.

W sekundę potem czyjeś ramię zacisnęło się na mojej szyi, a jakaś ręka wepchnęła mi się między nogi. Zorientowałem się, na co się zanosi, odrobinę za późno, by temu przeciwdziałać. Moje jądra zostały ściśnięte jak w imadle, a promieniujący z nich ból sięgnął do żołądka i spłynął w nogi paraliżując je do tego stopnia, że kiedy cofnęło się ramię opasujące mi szyję, po prostu osunąłem się na nagrzaną asfalt.

- Jak ci się to podobało, kutasie? - zapytał otyły chłopak z zepsutymi zębami. Na nosie miał małe okulary w delikatnej drucianej oprawie, zupełnie nie pasujące do jego szerokiej, topornej twarzy. Był to Moochie Welch, jeszcze jeden kumpel Buddy'ego.

Nagle krąg widzów zaczął błyskawicznie topnieć, a zaraz potem usłyszałem zbliżający się głos:

- Spokój! Natychmiast ma być spokój! Na spacer, szczeniaki! Na spacer, do cholery!

To był pan Casey. Nareszcie.

Buddy Repperton błyskawicznym ruchem poniósł nóż, schował ostrze i wepchnął go do tylnej kieszeni spodni. Miał podrapaną, zakrwawioną dłoń, która wyglądała tak, jakby wkrótce miała zamiar bardzo spuchnąć. Żaloszny sukinsyn. Życzyłem mu, żeby urosła do rozmiarów tych wielgachnych rękawic, jakie nosi Kaczor Donald.

Moochie Welch cofnął się o krok, zerknął w kierunku, z którego dochodził głos pana Caseya, i delikatnie dotknął kciukiem kącika ust.

- Później, kutasie - mruknął.

Don Vandenberg nie podskakiwał już tak energicznie, ale w dalszym ciągu trzymał się za obolałą część ciała. Po twarzy płynęły mu łzy bólu.

Potem znalazł się koło mnie Arnie, obejmując mnie i próbując pomóc mi się podnieść. Miał brudną koszulę i niedopalki papierosów wciśnięte w załamania spodni.

- Nic ci nie jest, Dennis? Co on ci zrobił?

- Ścisnął mi jaja. Nic mi nie będzie.

W każdym razie miałem taką nadzieję. Ci z was, którzy są mężczyznami i kiedyś dostali kopa w jaja (a jaki mężczyzna nie dostał?), wiedzą, co mam na myśli. Kobiety nie wiedzą, bo nie mogą tego wiedzieć. Okropny ból stanowi tylko początek; wkrótce znika, na jego miejscu zaś

pojawia się tępy, pulsujący ucisk, umiejscowiony gdzieś w samym dole żołądka. Mówi ci mniej więcej coś w tym rodzaju: *Cześć! Strasznie fajnie tu tak siedzieć wiedząc, że dzięki mnie czujesz się tak, jakbyś za chwilę miał wyrzucić lunch i zesrać się w portki! Myślę, że zostanie jeszcze trochę, dobra? Co powiesz na jakieś pół godzinki? Znakomicie!* Zostać złapanym za jaja nie należy do największych przyjemności, jakie znam w życiu.

Pan Casey przepchnął się przez teraz już znacznie mniej zwarty krąg widzów i oszacował sytuację jednym spojrzeniem. Nie był taki wielki jak trener Puffer ani nawet specjalnie umięśniony - średniego wzrostu, w średnim wieku, nieco lysiejący, z dużymi okularami w rogowych oprawkach na nosie. Lubił chodzić w zwykłych białych koszulach, bez krawata, i teraz również był ubrany w ten sposób. Choć nie należał do olbrzymów, cieszył się znacznym poważaniem. Nikt nie próbował robić z niego balona, bo w przeciwieństwie do wielu nauczycieli nie miał zakodowanego w podświadomości strachu przed uczniami, a oni o tym wiedzieli. Wiedzieli o tym także Buddy, Don i Moochie. Można to było poznać po tym, jak pokornie opuścili oczy i niepewnie przestępowali z nogi na nogę.

- Zmykajcie - warknął pan Casey do nielicznych gapiów. Natychmiast zaczęli się rozchodzić. Moochie Welch próbował uczynić to razem z nimi. - Ty zostaniesz, Peter - zatrzymał go pan Casey.

- Przecież ja nic nie zrobiłem! - zaprotestował Moochie.

- Ani ja - zawtórował mu Don. - Czemu pan się zawsze nas czepia?

Pan Casey podszedł do mnie. Arnie wciąż podtrzymywał mnie, bym nie upadł.

- Wszystko w porządku, Dennis?

Wreszcie zacząłem powoli wracać do siebie; mogłem to zawdzięczać tylko temu, że w ostatniej chwili udało mi się częściowo zablokować udem rękę Moochiego. Skinąłem głową.

Pan Casey wrócił do Buddy'ego Reppertona, Moochiego Welcha i Dona Vandenbergę przestępujących z nogi na nogę z gniewnymi minami. Don nie żartował; powiedział to, co myślał każdy z nich. Naprawdę uważali, że nic nie zrobili.

- Całkiem niezłe - wycedził pan Casey. - Trzech na dwóch. Zawsze tak załatwiasz swoje porachunki, Buddy? Wydaje mi się, że dla ciebie taka przewaga to jeszcze za mało.

Buddy podniósł głowę, posłał Caseyowi miażdżące, nienawistne spojrzenie, po czym znowu opuścił wzrok.

- Oni zaczęli.

- To nieprawda... - zaczął Arnie.

- Stul dziób, pasztecie! - warknął Buddy. Chciał jeszcze coś dodać, ale pan Casey złapał go za poły i pchnął na tylną ścianę budynku. Wisiała tam metalowa tabliczka z napisem

PALENIE DOZWOLONE WYŁĄCZNIE W TYM MIEJSCU. Casey uderzał Reppertonem w ścianę, a za każdym razem tabliczka podskakiwała, wybijając dramatyczny rytm. Potraktował Buddy'ego tak, jak wy albo ja moglibyśmy potraktować wielką szmacianą lalkę. Wyglądało na to, że jednak ma sporo siły.

- Natychmiast zamkniesz pysk! - warknął do Reppertona, waląc nim w ścianę. - Zamkniesz pysk albo ja ci go zamknę, bo nie mam najmniejszej ochoty słuchać tego, co masz do powiedzenia!

Puścił go. Koszula Reppertona wylazła ze spodni, odsłaniając biały, nie opalony brzuch. Pan Casey odwrócił się do Arniego.

- Co mówileś?

- Szedłem tędy na boisko, żeby zjeść lunch - powiedział Arnie. - Repperton stał ze swoimi przyjaciółmi i palił papierosa. Podeszedł do mnie, wytrącił mi z ręki torebkę z lunchem, a potem na nią nadepnął. Zupełnie ją rozpląszczył. - Chyba chciał jeszcze coś dodać, zawahał się i w końcu zrezygnował. - To oni zaczęli - zakończył wreszcie.

Ja jednak nie miałem zamiaru tego tak zostawić. W normalnych okolicznościach nie jestem donosicielem ani skarżypytą, lecz Repperton najwyraźniej doszedł do wniosku, że Arniemu należy się coś więcej niż tylko zwykłe bicie - oczywiście za to, że Darnell wywalil Buddy'ego ze swojego garażu. Zdaje się, że miał ochotę zrobić mu dziurę w brzuchu, a może nawet zabić.

- Panie Casey... - odezwałem się.

Odwrócił się do mnie. Ponad jego ramieniem Buddy Repperton posłał mi ostrzegawcze spojrzenie: "Trzymaj gębę na kłódkę. To sprawa tylko między nami". Jeszcze rok temu jakieś zboczone poczucie honoru kazałoby mi ustąpić i przyłączyć się do jego gry. Ale nie teraz.

- O co chodzi, Dennis?

- Buddy prześladowuje Arniego od wakacji. Groził mu nożem i wyglądało na to, że miał zamiar go użyć.

Arnie wpatrywał się we mnie szarymi matowymi oczami, z których nic nie potrafiłem wyczytać. Przypomniałem sobie, jak nazwał Reppertona zasrańcem - tak, jak mawiał LeBay - i poczułem na grzbiecie gęsią skórę.

- Ty pierdolony kłamco! - wrzasnął Repperton. - To nieprawda! Nie mam żadnego noża!

Casey w milczeniu mierzył go wzrokiem. Vandenberg i Welch sprawiali wrażenie nieźle przestraszonych. Zbierająca się nad ich głowami kara przewyższyła już to, do czego zdążyli się przyzwyczaić - to znaczy zawieszenie w prawach ucznia - zbliżając się niebezpiecznie do zewnętrznego limitu, to znaczy natychmiastowego usunięcia ze szkoły.

Wystarczyło, żebym powiedział jeszcze tylko jedno słowo. Zawahałem się. Niewiele brakowało, żebym tego nie zrobił, ale tu przecież chodziło o Arniego, który był moim przyjacielem. Poza tym nie miałem żadnych wątpliwości, iż nie tylko wyglądało na to, że Repperton użyje noża; byłem pewien, że miał zamiar to zrobić. Powiedziałem to słowo.

- To sprężynowiec.

Oczy Reppertona rozbłysły wściekłością obiecując mi piekielny ogień, wieczne potępienie i najgorsze męczarnie.

- To kłamstwo, panie Casey - wychrypiął. - On kłamie. Przysięgam na Boga.

Pan Casey w dalszym ciągu milczał. Powoli przeniósł spojrzenie na Arniego.

- Cunningham - powiedział. - Czy Repperton groził ci nożem?

Arnie długo nie odpowiadał, po czym wyszeptał tak cicho, jakby tylko westchnął:

- Tak...

Teraz piekielny ogień buzujący we wzroku Buddy'ego był przeznaczony dla nas obu.

Casey odwrócił się do Moochiego Welcha i Dona Vandenberg. Nagle zorientowałem się, że zaczął podchodzić do sprawy w całkowicie odmienny sposób: teraz poruszał się powoli i ostrożnie, przed postawieniem kolejnego kroku badając ostrożnie grunt pod stopą. On również zdawał sobie sprawę z konsekwencji.

- Widzieliście ten nóż? - zapytał.

Moochie i Vandenberg milczeli ze wzrokiem wbitym w ziemię. Było to równie dobre jak odpowiedź.

- Pokaż, co masz w kieszeniach, Buddy - polecił pan Casey.

- A gówno! - odparł Repperton piskliwym głosem. - Nie może mnie pan do tego zmusić!

- Jeśli chodzi ci o to, że nie mam odpowiednich uprawnień, to się mylisz. Jeżeli uważasz, że nie dam rady sam tego sprawdzić, to również się mylisz. Ale...

- Dobra, spróbuj! - wrzasnął Buddy. - Przeleczysz na wylot przez tę ścianę, ty łysy kutasie!

Mój żołądek miał się w rozpaczliwych skurczach. Nienawidziłem takich brutalnych konfrontacji, a ta była najgorsza ze wszystkich, w jakich zdarzyło mi się brać udział.

Jednak pan Casey nie tracił kontroli nad sytuacją i twardo parł do celu.

- Ale tego nie zrobię - dokończył. - Sam pokażesz, co masz w kieszeniach.

- O, takiego! - odparł Buddy.

Stał oparty plecami o ścianę budynku, żeby ukryć wybrzuszenie w tylnej kieszeni dżinsów. Poły rozpiętej koszuli wisiały mu z przodu poniżej pasa, a rozbiegane oczy przypominały ślepią zwierzęcia schwytanego w pułapkę.

Pan Casey spojrział na Moochiego i Vandenberg.

- Wy dwaj idźcie do biura i zaczekajcie tam na mnie - powiedział. - Tylko nie skręćcie nigdzie po drodze. I bez tego macie dość kłopotów.

Odeszli wolnym krokiem trzymając się blisko siebie, jakby w poszukiwaniu ochrony. W głównym budynku rozległ się dzwonek. Uczniowie ruszyli gromadnie w kierunku drzwi, rzucając na nas zdziwione spojrzenia. Nie zdążyliśmy zjeść lunchu, ale to nie miało żadnego znaczenia. Wcale nie czułem już głodu.

Pan Casey ponownie skoncentrował uwagę na Buddym.

- Jesteś na terenie szkoły - poinformował go. - Powinieneś dziękować za to Bogu, bo gdybyś zaatakował kogoś nożem gdzie indziej, zakwalifikowano by to jako napaść przy użyciu śmiercionośnego narzędzia. Za to idzie się do więzienia.

- Udowodnij to! - krzyknął Buddy. Miał wypieki na twarzy i łapał powietrze nerwowymi płytkimi łykami.

- Jeżeli natychmiast nie opróżnisz kieszeni, napiszę wniosek o wyrzucenie cię ze szkoły, a potem wezwę gliny. Zwiną cię natychmiast, jak tylko wyjdiesz przez bramę. Nie rozumiesz, że znalazłeś się w ślepej uliczce? Możemy załatwić wszystko we własnym gronie, ale jeśli wywalę cię z budy, zajmie się tobą policja. Oczywiście jeśli nie masz noża, nic ci nie grozi, ale jeśli masz i oni go znajdą..

Zapadło milczenie. Staliśmy we czwórkę bez najmniejszego ruchu. Nie myślałem, że to zrobi. Podejrzywałem, że zdecyduje się dać wyrzucić z budy i spróbuje niepostrzeżenie upchnąć gdzieś nóż. Widocznie jednak doszedł do wniosku, że gliny przeczesałyby dokładnie cały teren, bo wyciągnął sprężynowiec z kieszeni i rzucił go na asfalt. Nóż otworzył się; dwadzieścia centymetrów chromowanej stali błysnęło złowróźnie w blasku popołudniowego słońca.

Arnie spojrział w dół i otarł usta wierzchem dłoni.

- Idź do biura, Buddy - powiedział spokojnie pan Casey. - Idź tam i zaczekaj na mnie.

- Pieprz się ze swoim biurem! - wrzasnął Buddy piskliwym, histerycznym głosem. Kosmyk włosów znowu opadł mu na czoło; odgarnął go gniewnym ruchem. - Spieprzam z tego przekłętego chlewu!

- Bardzo dobrze - odparł pan Casey takim tonem, jakby Buddy poinformował go, że ma zamiar wypić filiżankę kawy. Zrozumiałem wtedy, że Repperton nie ma już czego szukać w naszej szkole. Tym razem nie skończy się na trzydniowym zawieszeniu; rodzice dostaną pocztą oficjalne zawiadomienie o usunięciu syna ze szkoły i pouczenie o przysługującym im prawie odwołania się od tej decyzji do władz oświatowych wyższego szczebla.

Buddy spojrział na Arniego i na mnie... po czym uśmiechnął się.

- Załatwię was - powiedział. - Wyrównam rachunki. Pożalujecie, żeście w ogóle się

urodzili.

Kopnął nóż, który potoczył się po asfalcie migocząc w promieniach słońca, by wreszcie znieruchomieć na skraju trawnika, i odszedł, stukając i zgrzytając podkutymi obcasami motocyklowych butów.

Pan Casey odwrócił się do nas ze smutną, postarzałą twarzą.

- Przykro mi.

- Nie ma sprawy - odparł Arnie.

- Chcecie zwolnienie z pozostałych zajęć? Dam je wam, gdybyście woleli pójść do domu.

Zerknąłem na Arniego, zajętego doprowadzaniem do porządku swojej koszuli. Potrząsnął głową.

- Dziękujemy, ale nie trzeba - powiedziałem.

- W porządku. W takim razie napiszę tylko usprawiedliwienia, bo chyba trochę się spóźnicie.

Poszliśmy z nim do biura, gdzie wręczył nam po małej karteczce. Tak się akurat złożyło, że następną lekcję - fizykę - mieliśmy razem. Kiedy wchodziliśmy do pracowni, skierowały się na nas zaciekawione spojrzenia i rozległy stłumione szepty.

Lista popołudniowych nieobecności była wywieszana po szóstej lekcji. Widniały na niej nazwiska Reppertona, Vandenberg a i Welcha, każde opatrzone dopiskiem "us. ze szk". Myślałem, że zostaniemy z Arniem wezwani do panny Lothrop, odpowiedzialnej za dyscyplinę w szkole, ale nic takiego nie nastąpiło.

Po zajęciach rozglądałem się w poszukiwaniu Arniego. Sądziłem, że wrócimy razem do domu, by pogadać o wszystkim na spokojnie, lecz i tym razem się pomyliłem. Pojechał już do Garażu Darnella, żeby pracować przy Christine.

## 17. CHRISTINE ZNOWU NA ULICY

*Mam czerwonego mustanga rocznik sześćdziesiąt sześć,  
Trzysta osiemdziesiąt koni, turbo, no i część!  
Powiadam wam, tej mocy tak wiele ma,  
Że drogi za wąskie są, kiedy przed siebie gna!*

Chuck Berry

Pierwsza okazja, żeby porozmawiać dłużej z Arniem, nadarzyła mi się dopiero w następną sobotę po meczu. Był to także pierwszy dzień, kiedy ponownie wyprowadził ją na ulicę.

Jechaliśmy na mecz do Hidden Hills, miejscowości położonej około kilkunastu mil od Libertyville, chyba najspokojniejszym szkolnym autobusem, jaki widziałem w życiu. Zupełnie jakby u kresu podróży wszystkich czekało ścięcie. Nie był nas w stanie podnieść na duchu nawet fakt, że dotychczasowy dorobek punktowy naszych przeciwników (1-2) był zaledwie nieznacznie lepszy od naszego. Trener Puffer siedział na miejscu za kierowcą błądzący i milczący, jakby cierpiał na tegoż kaca.

Zazwyczaj podróż na mecz wyjazdowy przypomina połączenie karawany z cyrkiem. Za autobusem wiozącym graczy jedzie drugi, napchany dziewczętami mającymi za zadanie dopingować nas do gry oraz tymi uczniami naszej szkoły, którzy zarejestrowali się jako fani drużyny. (Fani, dobry Boże! Dobrze, że wszyscy chodziliśmy do szkoły średniej, bo inaczej kto by w to uwierzył?). Za autobusami sunęło piętnaście lub dwadzieścia wypełnionych nastolatkami aut, z nalepkami na zderzakach "Dołączcie im, Teriery!", wściekle trąbiących i mrugających światłami... Zapewne pamiętacie to także ze swoich szkolnych lat.

Jednak w tej podróży towarzyszył nam tylko autobus z kibicami, a i to wypełniony zaledwie w połowie (kiedy wiodło nam się w rozgrywkach, trzeba było rezerwować sobie miejsce najpóźniej we wtorek) i trzy albo cztery samochody. Siedziałem obok Lenny'ego Barongga, zastanawiając się ponuro, czy sprawdzi się mój niedobry sen, zupełnie nieświadom faktu, iż jednym z tych samochodów jest Christine.

Zobaczyłem ją dopiero wtedy, kiedy wysiedliśmy z autobusu na parking przy stadionie w Hidden Hills. Ich zespół muzyczny maszerował już po murawie; dobiegało stamtąd dudnienie ogromnego bębna, wzmocnione w niezwykle sposób, jakby poprzez odbicie od nisko wiszących chmur. Zanosilo się na to, że po raz pierwszy będziemy grać przy prawdziwie piłkarskiej



pogodzie - było chłodno, pochmurno i jesiennie.

Widok Christine stojącej przy drugim autobusie stanowił sam w sobie wystarczające zaskoczenie, ale prawdziwego oszołomienia doznałem dopiero wtedy, gdy ujrzałem wysiadających z niej Arniego i Leigh. Oszołomieniu towarzyszyło także niewyraźne uczucie zazdrości. Leigh miała na sobie obcisłe welniane spodnie i biały, robiony na drutach sweterek. Jej jasne włosy spływały na ramiona wspaniałą kaskadą.

- Hej, Arnie! - zawołałem.

- Cześć, Dennis - odparł trochę nieśmiało.

Zdawałem sobie sprawę, że niektórzy gracze wysiadając z autobusu rzucają w naszą stronę zdumione spojrzenia; oto Naleśnik Cunningham z tą wspaniałą nową dziewczyną z Massachusetts. Jak to możliwe, na litość boską?

- Jak się masz?

- Świetnie - odpowiedział. - Znasz Leigh Cabot?

- Z lekcji. Cześć, Leigh.

- Cześć, Dennis. Wygracie dzisiaj?

Zniżyłem głos do konspiracyjnego szeptu.

- Wszystko zostało już ustalone. Możesz na to postawić swój tyłeczek.

Arnie nieco się zarumienił, lecz Leigh zachichotała, zasłaniając usta dłonią.

- Będziemy się starać, ale nie wiem, co z tego wyjdzie - dodałem poważnie.

- Przy naszym dopingu na pewno wam się uda - oświadczył Arnie. - Już widzę ten tytuł w jutrzejszej gazecie: "Latający Guilder najlepszym zawodnikiem na boisku".

- "Guilder odwieziony do szpitala ze złamaniem podstawy czaszki", to już bardziej prawdopodobne. Ilu ludzi przyjechało na mecz? Dziesięciu? Piętnastu?

- Przynajmniej nie będzie tłoku na trybunie - odparła Leigh i ujęła Arniego za ramię; odniosłem wrażenie, iż sprawiła mu tym gestem przyjemną niespodziankę. Od razu ją polubiłem. Mogła przecież okazać się suką albo ociężałą umysłowo, jak większość pięknych dziewcząt, ale nie była ani jednym, ani drugim.

- Jak tam twoje żelastwo? - zapytałem podchodząc do samochodu.

- Nie najgorzej. - Poszedł za mną, starając się ukryć dumny uśmiech.

Zrobił już sporo, a w każdym razie wystarczająco dużo, tak że jego plymouth nie wyglądał już jak jakiś koszmarny dziwoląg. Atrapa lśniła czystym chromem, a z przedniej szyby zniknęły paskudne rysy pęknięć.

- Wymieniłeś szybę - zauważyłem.

Skinął głową.

- I maskę - dodałem.

Maska była idealnie czysta, błyszcząca i nowiutka, kontrastując wyraźnie z pozostałą częścią nadwozia. Miała kolor wozu strażackiego. Arnie dotknął jej z dumą, a jego dotknięcie zamieniło się w pieszczotę.

- Tak. Sam to zrobiłem.

W tym momencie coś mnie tknęło; przecież zdaje się, że wszystko robił sam, prawda?

- Odgrażałeś się, że z tego wozu będzie jeszcze prawdziwe чудо. Chyba zaczynam ci wierzyć.

Zbliżyłem się do samochodu od strony kierowcy. Wewnętrzne obicia drzwi były jeszcze stare i popękane, ale przednie siedzenia pyszniły się tą samą czerwienią nowej tapicerki, co tylne.

- Tak, na pewno będzie bardzo piękny - zawtórowała mi Leigh, lecz odniosłem wrażenie, że jej głos jest zupełnie pozbawiony entuzjazmu. Różnił się znacznie od tego, jakim jeszcze przed chwilą mówiła o czekającym nas meczu. Spojrzałem na nią... i to mi wystarczyło. Leigh nie lubiła Christine. Zrozumiałem to natychmiast, jednoznacznie i ze stuprocentową pewnością, jakbym przechwycił z powietrza jej fale mózgowe. Starła się polubić samochód dlatego, że lubiła Arniego, lecz nigdy nie miało jej to się udać.

- A więc jednak dopuścili ją do ruchu - zauważyłem.

Arnie zmieszał się.

- To znaczy... niezupełnie.

- Nie rozumiem.

- Nie działa klakson i czasem wysiadają światła stopu. Gdzieś musi być jakieś zwarcie, ale na razie nie udało mi się go znaleźć.

Zerknąłem na szybę i na przyklejoną do niej nalepkę stwierdzającą, że pojazd przeszedł pomyślnie wszystkie badania techniczne. Arnie zauważył moje spojrzenie.

- Will dał mi tę nalepkę - powiedział z mieszaniną zażenowania i wojowniczości. - Wie o tym, że dziewięćdziesiąt procent działa, jak należy.

A ty koniecznie chciałeś pojechać na randkę, zgadza się? - dodałem w myślach.

- To chyba nie jest niebezpieczne, prawda? - zapytała Leigh kierując pytanie gdzieś w środek między mnie i Arniego. Uniosła przy tym lekko brwi; być może wyczuła nagły powiew chłodu, jaki przemknął między nami dwoma.

- Nie - odparłem. - Nie wydaje mi się. I tak wątpię, czy udałoby się wam prześcignąć kulawego piechura.

Nieco rozluźniło to napiętą atmosferę, jaka zaczęła się powoli tworzyć. Z boiska dobiegł fałszywy skrzek puzonu albo trąby, a w chwilę potem głos instruktora, cichy, lecz mimo to

doskonale słyszalny: "Proszę jeszcze raz! To Rodgers i Hammerstein, a nie jakiś rock and roll. Powtarzamy!"

Popatrzyliśmy na siebie. Arnie i ja pierwsi parsknęliśmy śmiechem, a po sekundzie przyłączyła się do nas Leigh. Spoglądając na nią poczułem kolejny przypływ zazdrości. Życzyłem memu przyjacielowi jak najlepiej, lecz ona była czymś wręcz wspaniałym: siedemnasto-, a może nawet już osiemnastoletnia, śliczna, doskonała, zdrowa, nastawiona aktywnie do życia. Roseanne na swój sposób też była śliczna, ale przy niej wyglądała jak pogrążony w drzemce leniwiec.

Czy wtedy zacząłem jej pożądać? Czy właśnie wtedy zapragnąłem dziewczyny mojego najlepszego przyjaciela? Przypuszczam, że tak. Ale przysięgam wam: gdyby sprawy potoczyły się inaczej, nigdy nawet nie kiwnąłbym palcem w jej stronę. Tyle tylko, że one nie mogły potoczyć się inaczej. Albo może jedynie usiłuję sobie to wmówić.

- Lepiej już chodźmy, Arnie, bo zajmą nam najlepsze miejsca - powiedziała Leigh z sarkazmem godnym wielkiej damy.

Arnie uśmiechnął się. Leigh wciąż trzymała go delikatnie za ramię, a on wydawał się tym wszystkim nieco oszołomiony. Czemu nie? Gdybym to ja znalazł się na jego miejscu i pierwszy raz w życiu umówił się na randkę z prawdziwą dziewczyną, w dodatku tak ładną, jak ona, też znajdowałbym się na najlepszej drodze do tego, żeby się w niej zakochać. Z całego serca życzyłem mu powodzenia. Zależy mi na tym, byście w to uwierzyli, nawet jeżeli nie uwierzycie już w ani jedno moje słowo. Jeśli ktokolwiek na tym świecie zasługiwał na odrobinę szczęścia, to był nim właśnie Arnie.

Cała drużyna zdążyła tymczasem zniknąć w przeznaczonych dla nas szatni. Trener Puffer wystawił głowę przez drzwi.

- Panie Guilder, czy zechciałby pan zaszczyścić nas swoją obecnością?! - zawołał. - Wiem, że wymagam od pana zbyt wiele i mam nadzieję, iż wybaczy mi pan, że przeszkadzam mu w ważniejszych sprawach, ale nawet jeśli nie, to bierz w tej chwili dupę w troki i gazuj tu, ale biegiem!

- To Rodgers i Hammerstein, a nie jakiś rock and roll - mruknąłem do Arniego i Leigh i ruszyłem truchtem w stronę budynku.

Arnie i Leigh poszli w kierunku boiska. W połowie drogi zatrzymałem się i szerokim łukiem wróciłem do Christine. Bez względu na spóźnienie wciąż bałem się zbliżyć do niej od przodu.

Pod tylnym zderzakiem wisiała przytwierdzona drutem tablica rejestracyjna z Pensylwanii. Podniósłszy ją do góry zobaczyłem przyklejony kawałek taśmy z napisem: WŁASNOŚĆ GARAZU DARNELLA, LIBERTYVILLE, PENSYLVANIA.

Opuściłem tablicę i wyprostowałem się, marszcząc brwi. Darnell dał Arniemu nalepkę inspekcji drogowej, mimo iż wiedział, że samochód nie jest jeszcze w pełni sprawny. Pożyczył mu tablice rejestracyjne, żeby Arnie mógł zabrać Leigh na mecz. Przestał również być dla niego “Darnellem”, a został “Willem”. Interesujące, choć niezbyt pocieszające.

Zastanawiałem się, czy Arnie był aż tak naiwny, by przypuszczać, że ludzie tacy jak Will Darnell czynią komukolwiek przysługę powodowani wyłącznie dobrocią serca. Miałem nadzieję, że nie, ale ostatnio przestałem być pewny czegokolwiek, co miało związek z Arniem. Bardzo się zmienił przez ostatnie kilka tygodni.

Zrobiliśmy samym sobie cholerną niespodziankę i wygramyśmy mecz - jak się później okazało jedyny, jaki udało nam się rozstrzygnąć na naszą korzyść w ciągu tego sezonu. Tyle tylko, że pod jego koniec nie występowałem już w drużynie.

Nie mieliśmy prawa zwyciężyć; wyszliśmy na boisko czując się jak już pokonani i przegraliśmy rzut sędziowski. Górale (głupia nazwa dla drużyny, choć jak się nad tym zastanowić, to co mądrego jest w nazwie Teriery?) na samym początku dwa razy przeszli przez naszą obronę jak nóż przez kostkę zjełczalego masła. Za trzecim razem ich rozgrywający zgubił piłkę jak dziecko, dopadł jej Gary Tardiff i z radosnym uśmiechem na gębie wykonał sześćdziesięciometrowy sprint po punkty.

Górale i ich trener protestowali jak szaleńcy twierdząc, że piłka wyszła wcześniej na aut, ale sędziowie nie zgodzili się z nimi i prowadziliśmy 6:0. Z mojego miejsca na ławce widziałem trybunę zajmowaną przez nielicznych kibiców z Libertyville; mało nie zwariowali ze szczęścia. Mieli ku temu powód, gdyż po raz pierwszy od początku sezonu objęliśmy prowadzenie. Arnie i Leigh wymachiwali flagą Terierów. Pomachałem im ręką; Leigh zauważyła mnie, pokiwała mi, trąciła łokciem Arniego i on też mi pokiwał. Odniosłem wrażenie, że jest im tam ze sobą bardzo dobrze. Uśmiechnąłem się na tę myśl.

Co do meczu, to po zdobyciu pierwszych punktów dostaliśmy wiatru w żagle. Jedyny raz w tym roku mieliśmy po swojej stronie mistycznego sojusznika: szczęście. Wbrew przewidywaniom Arniego nie byłem najlepszym zawodnikiem meczu, ale trzykrotnie udało mi się zdobyć punkty, w tym raz po dziewięćdziesięciometrowym biegu, najdłuższym w mojej dotychczasowej karierze. Po pierwszej części było 17:0, trener zaś wyglądał jak nowo narodzony. Widział już przed nami pasmo wspaniałych zwycięstw, a w konsekwencji najszybszy awans z ostatniego miejsca na pierwsze w całej historii ligi. Oczywiście okazało się, że to tylko mrzonki, ale wtedy był naprawdę podekscytowany, a ja cieszyłem się z tego, podobnie jak z faktu, że Leigh i Arnie tak łatwo i bezproblemowo stają się sobie coraz bliżsi.

Druga połowa nie była już tak dobra. Obrona zaczęła znowu grać podobnie jak w czasie trzech pierwszych spotkań, ale nasze prowadzenie ani przez chwilę nie było poważnie zagrożone. Ostatecznie zwyciężyliśmy 27:18.

Trener zdjął mnie w połowie czwartego kwadransu i wpuścił na boisko Briana McNally'ego, który w przyszłym roku miał zająć moje miejsce w drużynie - jak się już wkrótce okazało, musiał uczynić to nieco wcześniej. Wziąłem prysznic, przebrałem się i wyszedłem z szatni w chwili, kiedy rozległ się sygnał oznaczający początek ostatnich dwóch minut meczu.

Na parkingu było mnóstwo samochodów, lecz ani jednego człowieka. Od strony boiska dobiegały dzikie wrzaski miejscowych kibiców żądających od swojej drużyny, by w końcowych stu dwudziestu sekundach dokonała niemożliwego. Z tej odległości wydawało się to kompletnie nieistotne, czyli takie, jakie naprawdę było.

Podszedłem do Christine.

Stała z przeżartymi rdzą bokami nadwozia, nowiutką maską i tylnymi pletwami sprawiającymi wrażenie długich na tysiąc mil. Dinozaur z mrocznych lat pięćdziesiątych, kiedy wszyscy naftowi milionerzy pochodzili z Teksasu, amerykański dolar zaś kopał w dupę japońskiego jena, a nie na odwrót. Z czasów kiedy Carl Perkins śpiewał o różowych poduszeczkach, Johnny Horton o całonocnych tańcach na drewnianym parkiecie, a największym idolem nastolatków w całym kraju był Edd "Kookie" Byrnes.

Dotknąłem Christine. Próbowałem popieścić ją tak, jak to robił Arnie, i polubić ją tak, jak zrobiła Leigh, by sprawić mu przyjemność. Jeżeli ktokolwiek byłby zdolny zmusić się do tego, żeby ją polubić, to powinienem to być właśnie ja. Leigh знаła Arniego zaledwie miesiąc, ja natomiast niemal całe życie.

Przesuwając dłonią po chropawej powierzchni myślałem o George'u LeBayu, Weronice i Ricie LeBay, i jakoś tak się stało, że dłoń, która miała nieść pieszczotę, zacisnęła się w pięść, a ja rąbnąłem nią z całej siły w bok Christine - tak mocno, że aż mnie zabolalo. Roześmiałem się niepewnie usiłując zrozumieć, co właściwie robię.

Delikatny szmer rdzawego pyłu opadającego na nawierzchnię parkingu.

Dobiegający z boiska odgłos uderzeń wielkiego bębna przypominający bicie serca.

Łomot mojego własnego serca.

Pociągnąłem za klamkę przednich drzwi.

Były zamknięte.

Zwilżyłem językiem wargi i uświadomiłem sobie, że się boję.

Zupełnie jakby - choć było to śmieszne, a nawet żalosne - ten samochód też mnie nie lubił, jakby podejrzewał mnie, że chcę wejść między niego i Arniego, i jakby prawdziwym

powodem, dla którego nigdy nie chciałem podejść do niego od przodu, było...

Roześmiałem się ponownie, ale zaraz przypomniałem sobie swój sen i umilkłem. Za bardzo przypominał rzeczywistość, żeby go całkowicie zlekceważyć. Oczywiście tutaj, w Hidden Hills, nie groziło mi spotkanie z Chubbym McCarthym, ale cała reszta wywoływała nieprzyjemne, koszmarne wrażenie *déjà vu* - okrzyki widzów, odgłosy uderzeń ciała o ciało, wiatr szumiący w gałęziach drzew wyglądających jak wycinanki na tle pochmurnego nieba.

Silnik nagle ożyje i samochód szarpnie się do przodu, cofnie, znowu szarpnie. A potem opony zabuksują z przeraźliwym piskiem i Christine runie na mnie...

Otrząsałem się z tych myśli. Najwyższa pora przestać zawracać sobie głowę takim zwariowanym gównem. Nadszedł czas, bym wreszcie założył solidne wodze swojej wyobraźni. Miałem do czynienia z samochodem, nie z żadną "nią", tylko z "tym", nie z Christine, tylko z plymouthem fury z 1958 roku, który zjechał z taśmy montażowej w Detroit jako jeden z czterystu tysięcy identycznych egzemplarzy.

Pomogło... przynajmniej przez chwilę. Ukląknęłam i zajrzałam pod spód, choćby po to, by zademonstrować, że wcale się nie boję. Widok, jaki ujrzałam, był jeszcze bardziej zwariowany niż bezsensowny sposób, w jaki samochód był remontowany z zewnątrz. Zobaczyłem trzy nowe amortyzatory Pleasurizer, czwarty natomiast stanowił przerdzewiałą, ociekającą olejem ruinę sprawiającą wrażenie, jakby tkwiła tam od początku świata. Rura wydechowa była jeszcze lśniąca od nowości, lecz nie można było tego już powiedzieć o tłumiku, a część układu wydechowego znajdująca się przy silniku była w oplakany stanie. Natychmiast pomyślałem o spalinach, które będą się wydobywać przez liczne nieszczelności, to zaś od razu zaowocowało skojarzeniem z Weroniką LeBay. Spaliny potrafią zabijać. Mogą...

- Co robisz, Dennis?

Byłem chyba bardziej zdenerwowany, niż mi się wydawało, gdyż poderwałem się błyskawicznie na nogi, czując, jak serce podchodzi mi do gardła. Obok mnie stał Arnie mierząc mnie lodowatym, wściekłym spojrzeniem.

Tylko dlatego, że przyglądałem się jego samochodowi? Dlaczego miałby się tym zdenerwować? Było to dobre pytanie, które jednak w niczym nie mogło zmienić faktów.

- Oglądałem twojego paskudnego grata - odparłem starając się, by zabrzmiało to możliwie swobodnie. - Gdzie jest Leigh?

- Poszła do toalety - powiedział, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy. - Dennis, jesteś moim najlepszym przyjacielem, jedynym, jakiego kiedykolwiek miałem. Wtedy, kiedy Repperton zaatakował mnie nożem, uchroniłeś mnie przed wizytą w szpitalu. Pamiętam o tym, ale proszę cię, nie rób niczego poza moimi plecami. Nigdy tego nie rób, Dennis.

Z boiska doleciał radosny wrzask; na pół minuty przed końcem meczu Górale zdobyli kolejne punkty.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - odparłem, w głębi duszy czując się jednak odrobinę winnym. Moje poczucie winy dotyczyło zainteresowania, jakie wzbudziła we mnie dziewczyna, na której wyraźnie bardzo mu zależało... ale czy robiłem cokolwiek za jego plecami?

Przypuszczam, że chyba rzeczywiście mógł to odebrać w ten sposób. Wiedziałem, że irracjonalne - co? zainteresowanie? fascynacja? miłość? - uczucie, jakie żywił wobec tego samochodu, stanowiło obszar niedostępny dla naszej przyjaźni, na który nie mogłem wkroczyć nie wywołując poważnych reperkusji. Co prawda nie przyłapał mnie na wyważaniu drzwi, ale zjawił się dokładnie wtedy, kiedy zaglądałem przez dziurkę od klucza.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi - odrzekł, a ja zorientowałem się, że był nie tylko zdenerwowany, ale wręcz wściekły. - Chodzi o to, że ty, mój ojciec i moja matka szpiegujecie mnie "dla mojego własnego dobra", zgadza się? Przysłali cię do Garażu Darnella, żebyś wywąchał, ile się da, prawda?

- Arnie, zaczekaj chwili...

- Naprawdę przypuszczalesz, że się o tym nie dowiem? Nic ci wtedy nie powiedziałem, bo uważałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Teraz nie jestem już tego taki pewien. Musi być jakaś granica i właśnie teraz ją wyznaczam. Zostaw w spokoju mój samochód i przestań wtykać nos w nie swoje sprawy, zgoda?

- Po pierwsze, to nie byli twój ojciec i matka - odparłem. - Michael wziął mnie na stronę i zapytał, czy nie zechciałbym rzucić okiem, ile udało ci się zrobić przy samochodzie. Zgodziłem się, bo sam byłem bardzo ciekaw. Twój tata zawsze był wobec mnie w porządku. A twoim zdaniem, co powinienem mu powiedzieć?

- Powinieneś być powiedzieć "nie".

- Nic nie rozumiesz. On jest po twojej stronie. Twoja matka w dalszym ciągu ma nadzieję, że nic z tego nie wyjdzie - w każdym razie takie odniosłem wrażenie - ale Michael wierzy, że ci się uda. Sam mi to powiedział.

- Jasne, żeby cię podejść. - Arnie skrzywił się szyderczo. - A naprawdę zależy mu tylko na tym, żebym zbytnio się nie rozbrykał. Im obojgu o to właśnie chodzi. Nie chcą, bym wydorósł, bo wtedy będą musieli pogodzić się z myślą, że coraz bardziej się starzeją.

- Chyba zbyt surowo ich oceniasz.

- To ty tak uważasz. Może pochodzisz z rodziny o dziedzicznym niedorozwoju umysłowym, tylko nic o tym nie wiesz. Zaproponowali, że kupią mi na koniec roku zupełnie nowy samochód, pod warunkiem że będę miał same piątki na świadectwie, zrezygnuję z Christine

i zgodzę się pójść do Horlicks, gdzie będą mogli mieć mnie na oku przez następne cztery lata.

Nie wiedziałem, jak zareagować. To rzeczywiście było nie fair.

- Więc lepiej po prostu odchrząć się od tego, Dennis. To wszystko, co mam ci do powiedzenia. Na pewno obaj na tym dobrze wyjdziemy.

- I tak niczego się ode mnie nie dowiedział - odparłem. - Tylko tego, że robisz to i owo. Zdaje się, że był zadowolony.

- Ja myślę.

- Nie miałem pojęcia, że zdążyłeś naprawić już tak dużo. Ale jeszcze sporo ci zostało. Zajrzałem pod spód i muszę ci powiedzieć, że przedni odcinek rury wydechowej wygląda paskudnie. Mam nadzieję, że jeździsz z otwartymi oknami.

- Tylko nie pouczaj mnie, jak mam nią jeździć! Wiem o samochodach więcej, niż ty dowiesz się przez całe życie!

Wtedy wpieniłem się na niego. Wcale tego nie chciałem - nie zależało mi na sprzeczce z Arniem, szczególnie w sytuacji, kiedy lada chwila miała do nas dołączyć Leigh - ale poczułem, jak w moim mózgu kolejno zapalają się czerwone światełka.

- Być może masz rację - odparłem starając się zapanować nad głosem. - Ale nie jestem pewien, czy wiesz cokolwiek o ludziach. Will Darnell dał ci fałszywą nalepkę; gdyby cię przyłapano, straciłby licencję. Dał ci też tablice rejestracyjne. Dlaczego to zrobił?

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Arnie przeszedł do defensywy.

- Już ci powiedziałem. Spodobało mu się, ile przy niej zrobiłem.

- Nie bądź idiotą. Taki facet nie dalby nawet laski kulawemu krabowi, gdyby nie czuł w tym jakiegoś interesu dla siebie, i ty o tym dobrze wiesz.

Spojrzał na mnie niepewnie.

- A tak właściwie, to dlaczego na siebie wrzeszczymy? Dlatego że zajrzałem pod twój wóz, żeby obejrzyć rurę wydechową?

To nie była prawda. Częściowo, ale nie do końca. Myślę, że obaj zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Na boisku rozległ się gwizdek oznaczający koniec meczu. Zaczął siąpić drobny deszcz i wyraźnie się ochłodziło. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Leigh idącą w naszą stronę z flagą Terierów. Pomachała nam, a my jej.

- Potrafię sam zatroszczyć się o siebie, Dennis.

- Dobra - odparłem. - Mam nadzieję, że to prawda.

Nagle ogarnęła mnie chęć, by zapytać go, jak głęboko wlaź w gówno z Darnellem, ale nie mogłem tego zrobić, bo wywołałbym jeszcze ostrzejszą sprzeczkę. Mogłyby paść w niej



słowa, których już nie daloby się odwołać.

- Na pewno dam sobie radę - powtórzył. Oparł dłoń na karoserii i jego wzrok natychmiast zlagodniał.

Poczułem ulgę wymieszaną z niepokojem. Ulga wzięła się stąd, że dalsza kłótnia została zażegnana, dzięki czemu nie powiedzieliśmy nic, czego później moglibyśmy żałować. Jednak równocześnie odniosłem wrażenie, iż zasięg naszej przyjaźni skurczył się nie o jeden ograniczony obszar, lecz o olbrzymie rozległe przestrzenie. Arnie odrzucił stanowczo wszystko, co miałem mu do powiedzenia, i wyraźnie określił warunki dalszego trwania przyjaźni: wszystko będzie w porządku pod warunkiem, że będziesz postępował tak, jak ja tego chcę.

Dokładnie takie samo nastawienie prezentowali jego rodzice, lecz on tego nie dostrzegał. W końcu przecież musiał się tego od kogoś nauczyć...

Podeszła do nas Leigh. W jej włosach błyszczały krople deszczu, miała zaróżowione policzki oraz oczy lśniące energią i zdrowym podnieceniem. Roztaczała wokół siebie aurę naiwnej, naturalnej plciowości, wywołującej u mnie zawroty głowy. Nawet mimo to, że główny obiekt zainteresowania stanowiąc nie ja, lecz Arnie.

- Jak się skończyło? - zapytał.

- Dwadzieścia siedem do osiemnastu - odparła, po czym dodała radośnie: - Zniszczyliśmy ich! A gdzie wy się podziewaliście?

- Rozmawialiśmy o samochodach - odparłem.

Arnie rzucił mi rozbawione spojrzenie - przynajmniej jego poczucie humoru nie zniknęło wraz ze zdrowym rozsądkiem. Widząc, jak na nią patrzy, pomyślałem, że jednak jest jeszcze jakaś nadzieja. Poleciał na łeb na szyję, a jeżeli wszystko toczyć się będzie właściwym trybem, na pewno nabierze jeszcze szybkości. Byłem autentycznie ciekaw, jak doszło do tego, że tych dwoje spotkało się ze sobą. Cera Arniego poprawiła się i teraz wyglądał nawet całkiem nieźle, ale raczej na uczniowski, okularniczy sposób. Na pewno nie prezentował sobą typu faceta, jakiego każdy spodziewałby się ujrzeć u boku Leigh Cabot. Do niej pasowałaby raczej jakaś amerykańska wersja nastoletniego Apolla.

Parking zaludnił się zawodnikami obu drużyn i ich kibicami.

- "Rozmawialiśmy o samochodach"... - powtórzyła Leigh, przedrzeźniając mnie lekko, po czym spojrziała na Arniego i uśmiechnęła się. Odpowiedział jej szerokim, nieprzytomnym uśmiechem, od którego od razu zrobiło mi się lżej na sercu. Patrząc na niego miałem całkowitą pewność, że kiedy Leigh obdarzała go swym uśmiechem, Christine natychmiast zniknęła z jego umysłu, wracając na swoje właściwe miejsce - przedmiotu służącego przemieszczaniu się z miejsca na miejsce.

Nie miałem nic przeciwko temu.

## 18. NA TRYBUNACH

*Mój Boże, czemu nie kupisz mi mercedesa?  
Każdy z przyjaciół ma przynajmniej porsche,  
A mnie to strasznie podnieca...*

Janis Joplin

Podczas dwóch pierwszych tygodni października często widywałem Arniego i Leigh na korytarzu. Najpierw stali przy jego lub jej szafce, rozmawiając długo przed pójściem do domu; potem trzymali się za ręce; potem zaczęli wychodzić razem ze szkoły mocno przytuleni do siebie. Stało się. W szkolnym języku określa się to w ten sposób, że zaczęli “chodzić ze sobą”. Moim zdaniem byli po prostu w sobie zakochani.

Od dnia naszego zwycięstwa nad Hidden Hills nie widziałem Christine ani razu. Widocznie wróciła do garażu na dalszy ciąg remontu - być może na tym polegała umowa, jaką zawarł Darnell z Arniem wypożyczając mu tablice rejestracyjne i nalepkę kontroli technicznej. Tak więc nie widywałem plymoutha, natomiast widywałem Arniego i Leigh... i sporo o nich słyszałem. Stanowili główny temat szkolnych plotek. Dziewczeta pragnęły wiedzieć, co ona, na litość boską, w nim widziała; chłopcy, jak zwykle bardziej praktyczni i prozaiczni, zastanawiali się tylko nad tym, czy mojemu niewysokiemu przyjacielowi udało już się dostać jej do majątków. Nie interesowało mnie ani jedno, ani drugie, lecz czasem byłem ciekaw, co też Regina i Michael myśleli o tym ostrym przypadku pierwszej miłości, na jaki zapadł ich syn.

Któregoś poniedziałku w połowie października jedliśmy z Arniem lunch na trybunie przy boisku, tak jak mieliśmy zamiar zrobić tego dnia, kiedy Buddy Repperton wyciągnął nóż (Buddy rzeczywiście został za to usunięty za szkoły, natomiast Moochie i Don dostali trzydniowe wakacje; teraz zachowywali się bez zarzutu). W tym czasie nasza drużyna zdążyła przegrać jeszcze dwa razy, tak że obecnie mogliśmy poszczycić się dorobkiem 1-5, trener Puffer zaś prawie zupełnie przestał się odzywać.

Moja torebka z lunchem nie była tak wypełniona jak wtedy; jedyną dobrą stroną beznadziejnej postawy w rozgrywkach było to, że obecnie znajdowaliśmy się tak daleko za Niedźwiedziami z Ridge Rock (mogli poszczycić się wynikiem 5-0-1), iż nasza sytuacja poprawiłaby się tylko wówczas, gdyby ich autobus runął w przepaść.

Siedzieliśmy w niezbyt ciepłych promieniach październikowego słońca - coraz bardziej

zbliżał się czas gonitw w prześcieradłach, gumowych maskach na twarzy i kostiumach Dartha Vadera - przeżuwając i prawie nic nie mówiąc. Arnie dał mi jajko w zamian za kanapkę z pieczenią na zimno. Wydaje mi się, że rodzice bardzo niewiele wiedzą o osobistym życiu swoich dzieci. Od pierwszej klasy co poniedziałek Regina wkładała Arniemu do torby jajko na twardo, ja natomiast dostawałem kanapki z pieczenią na zimno. Sprawa wygląda w ten sposób, że zawsze nienawidziłem pieczeni na zimno, Arnie zaś nie znosił jajek na twardo. Często zastanawiałem się, jak zareagowałyby nasze matki, gdyby dowiedziały się, jak niewiele jajek na twardo i kanapek z pieczenią na zimno zostało przez te lata zjedzone przez tych, dla których były przeznaczone.

Następnie zająłem się kruchymi ciasteczkami, Arnie zaś figami w czekoladzie. Zerknął na mnie, by upewnić się, że patrzę, po czym wepchnął sobie do ust wszystkie sześć fig naraz i począł je żuć, wydymając groteskowo policzki.

- Boże, co za żarłok! - wykrzyknąłem.

- Uhm-gghhhrr-mmmm - odparł Arnie.

Zacząłem laskotać go pod pachami, czyli w jego najbardziej wrażliwe miejsce, a on naturalnie parsknął śmiechem, wypływając kawałki fig i czekolady. Wiem, że to brzmi wstrętnie, ale wtedy było naprawdę zabawne.

- Przeehań, Dennih! - wycharczał Arnie z ustami pełnymi na wpół przeżutych fig.

- Co mówisz? W ogóle cię nie rozumiem, ty pieprzony dzikusie.

Łaskotałem go w dalszym ciągu, tak jak robiłem to wtedy, kiedy obaj mieliśmy po kilka lat, a on podskakiwał, wił się i zanosił śmiechem.

Wreszcie przelknął to, co miał w ustach, i czknął.

- Jesteś wspaniały, Cunningham - poinformowałem go.

- Wiem o tym.

Wydawał się autentycznie zadowolony ze swojego osiągnięcia. Miał prawo, bo według tego, co wiedziałem, jeszcze nigdy nie udało mu się zjeść przy kimś sześciu fig naraz. Gdyby spróbował zrobić to w obecności swoich rodziców, Regina prawdopodobnie dostałaby pomieszania zmysłów, a Michael wylewu krwi do mózgu.

- Jaki jest twój rekord? - zapytałem.

- Dwanaście. Ale o mało się wtedy nie udławilem.

Prychnąłem śmiechem.

- Pokazałeś to już Leigh?

- Czekam na bal maturalny. Myślę, że nie obejdzie się wtedy bez paru laskotek.

Tym razem obaj się roześmialiśmy, a ja uświadomiłem sobie, jak bardzo brakowało mi czasem Arniego; co prawda miałem futbol, radę uczniowską, a także nową dziewczynę, która

(przynajmniej żywiłem taką nadzieję) powinna ulec moim naleganiom i zrobić mi to ręką jeszcze przed końcem sezonu wypraw do kina dla zmotoryzowanych. Nie liczyłem na nic więcej, bo wiedziałem, że szanse są równe zeru. Mimo to zabawa była niezła.

A jednak brakowało mi go. Najpierw była Christine, teraz zaś Leigh i Christine. Mogłem tylko mieć nadzieję, że właśnie w tej kolejności.

- Gdzie jest dzisiaj? - zapytałem.

- Chora, w domu. Ma okres, a zdaje się, że to ją bardzo boli.

Uniosłem w duchu brwi. Jeżeli już rozmawiał z nią o jej kobiecych problemach, to znaczy, że byli ze sobą naprawdę blisko.

- Jak to się stało, że zaprosiłeś ją wtedy na mecz?

Uśmiechnął się.

- Pierwszy mecz, na którym byłem od drugiej klasy. Przynieśliśmy wam szczęście, Dennis.

- Po prostu zadzwoniłeś do niej i zapytałeś, czy nie chciałaby pojechać?

- Z trudem się na to zdobyłem. To była moja pierwsza randka w życiu. - Zerknął na mnie nieśmiało. - Wątpię, czy spałem w nocy dłużej niż dwie godziny. Kiedy zgodziła się pojechać ze mną, przestraszyłem się, że zrobię z siebie durnia albo że zjawi się Buddy Repperton i będzie chciał się ze mną bić lub zdarzy się coś innego.

- Wyglądałeś na faceta, który całkowicie panuje nad sytuacją.

Sprawilem mu tym przyjemność.

- Naprawdę? To dobrze. Ale mimo to cholernie się bałem. Gadaliśmy często podczas przerw. Pytała mnie o prace domowe i różne inne rzeczy. Nawet zapisała się do kółka szachowego, choć nie jest zbyt dobra... ale się uczy. To znaczy, ja ją uczę.

Już widzę, jak wygląda ta wasza nauka - pomyślałem, ale nie odważyłem się powiedzieć tego na głos, mając wciąż w pamięci jego gwałtowny wybuch w Hidden Hills. Poza tym chciałem dowiedzieć się czegoś więcej. Usidlenie tak wspaniałej dziewczyny jak Leigh Cabot stanowiło nie lada osiągnięcie.

- Po jakimś czasie pomyślałem sobie, że może jest mną zainteresowana - ciągnął Arnie. - Ktoś inny na pewno zorientowałby się dużo wcześniej - na przykład ty, Dennis.

Skinąłem głową.

- Jasne, jestem w tym najlepszy. Jak to mawiał James Brown: prawdziwa maszyna seksualna.

- Nie jesteś maszyną seksualną, ale wiesz o dziewczynach dużo więcej ode mnie - odparł poważnie. - Rozumiesz je, a ja zawsze się ich bałem. Nigdy nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Chyba wciąż nie wiem. Leigh jest zupełnie inna. Bałem się ją poprosić. - Umilkł na chwilę, jakby

zastanawiając się nad tym, co powiedział. - Chodzi mi o to, że ona jest tak niesamowicie piękna. Nie uważasz, Dennis?

- Masz rację. Według mnie jest najładniejszą dziewczyną w szkole.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Ja też tak myślę. Ale obawiałem się, że to może być nieprawda, a wydaje mi się tak tylko dlatego, że ją kocham.

Spojrzałem uważnie na mego przyjaciela mając nadzieję, że nie napyta sobie więcej kłopotów, niż będzie w stanie samodzielnie rozwiązać. Oczywiście wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, co to są prawdziwe kłopoty.

- W każdym razie któregoś dnia podsłuchałem w pracowni chemicznej dwóch chłopaków - Lenny'ego Barongga i Neda Stroughmana. Ned powiedział Lenny'emu, że chciał umówić się z Leigh, ale odmówiła mu, choć w bardzo grzeczny sposób... więc może spróbuje ponowić zaproszenie, bo wyglądało na to, że jednak może się zgodzić. Wyobraziłem sobie, że na wiosnę będą już chodzić ze sobą i poczułem okropną zazdrość, choć wiedziałem, że to śmieszne, bo przecież odmówiła mu, więc niby dlaczego miałbym być zazdrosny? Rozumiesz, co mam na myśli?

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową. Na boisku zespół dziewcząt ćwiczył nowe układy. Wątpiłem, czy pomoże to cokolwiek naszej drużynie, ale przyjemnie było na nie popatrzeć. Cienie podskakiwały im pod nogami w jasnym blasku południowego słońca.

- Poza tym uderzyło mnie, że Ned nie wydawał się zawstydzony, odrzucony ani wściekły. Po prostu zaproponował dziewczynie spotkanie, a ona mu odmówiła, i to wszystko. Doszedłem do wniosku, że ja też mógłbym spróbować. Jednak kiedy do niej zadzwoniłem, spocilem się jak ruda mysz. Człowieku, to było straszne! Cały czas wyobrażałem sobie, że parsknie śmiechem i powie coś w rodzaju: Miałabym umówić się z tobą, cherlaczku? Chyba coś ci się przyśniło! Jeszcze nie jestem aż tak zdesperowana.

- Właśnie - mruknąłem. - Nie mam pojęcia, czemu tego nie zrobiła.

Stuknął mnie pięścią w żołądek.

- Uważaj, bo zaraz wyrzygasz lunch!

- Lepiej opowiedz mi resztę.

Wzruszył ramionami.

- Nie ma wiele do opowiadania. Telefon odebrała jej matka i powiedziała, że zaraz ją poprosi. Kiedy usłyszałem, jak odkłada słuchawkę na stół, o mało się nie rozłączyłem. - Pokazał mi palcami, jak niewiele brakowało, by to uczynił. - Słowo daję.

- Znam to uczucie - odparłem.

Rzeczywiście znalazem. Obawiasz się, że zostaniesz wyśmiany i spotkasz się z pogardą, bez względu na to, czy jesteś graczem drużyny futbolowej czy chudym, przyszczatym okularnikiem... ale nie miałem najmniejszego pojęcia o tym, jak bardzo on musiał to odczuwać. Czyn, na jaki się zdecydował, wymagał wręcz niesamowitej odwagi. Randka wydaje się mało istotną rzeczą, lecz w naszym społeczeństwie za tym niewinnym słowem kryje się wiele skłębionych emocji. Chodzi mi o to, że są ludzie, którym przez cały czas nauki w szkole średniej ani razu nie udało się zebrać na taką odwagę, by umówić się z dziewczyną. Ani razu przez pełne cztery lata. W dodatku sprawa nie dotyczy jednostek, tylko naprawdę wielu chłopaków. Oprócz tego są także smutne dziewczyny, z którymi nikt nigdy nie chciał się umówić. To naprawdę paskudna historia, jeśli się nad tym głębiej zastanowić. Masa ludzi bardzo cierpi z tego powodu. Byłem w stanie tylko częściowo wyobrazić sobie potworne przerażenie, jakie musiał odczuwać Arnie czekając, aż Leigh podejdzie do telefonu, i osłupiałe zdumienie, jakie bez wątpienia opanowywało go za każdym razem, kiedy przypominał sobie, że oto chce umówić się nie z jakąś tam dziewczyną, ale z najładniejszą w całej szkole!

- Wreszcie podeszła - ciągnął Arnie. - Powiedziała "halo?", a ja po prostu nie byłem w stanie nic wykrztusić. Próbowałem, ale nic mi nie wyszło. Wtedy ona zapytała: "Halo, kto mówi?", jakby podejrzewała, że to jakiś żart albo coś w tym rodzaju, a ja pomyślałem: to śmieszne. Jeżeli mogę rozmawiać z nią na korytarzu, to mogę również rozmawiać z nią przez ten cholerny telefon. Najwyżej się nie zgodzi, ale przecież nie zastrzeli mnie za to, że chciałem umówić się z nią na randkę. Powiedziałem więc: cześć, tu Arnie Cunningham, a ona na to "cześć", i bla-bla-bla, paplanie o niczym, a potem nagle uświadomiłem sobie, że nawet nie wiem, dokąd mógłbym ją zaprosić, a kończą nam się tematy do rozmowy i ona lada chwila odłoży słuchawkę. Zapytałem więc o pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy, to znaczy, czy nie chciałaby pojechać ze mną na sobotni mecz. Powiedziała, że z przyjemnością, tak zupełnie po prostu i naturalnie, jakby cały czas czekała, kiedy wreszcie jej to zaproponuje, wiesz?

- Chyba rzeczywiście tak było.

- Całkiem możliwe - przyznał Arnie po chwili zastanowienia.

Zabrzączał dzwonek oznajmiając, że do początku piątej lekcji zostało jeszcze pięć minut. Wstaliśmy z ławki. Ćwiczące dziewczęta zbiegły z boiska; spódniczki apetycznie podskakiwały im nad udami.

Zeszliśmy z trybuny, wyrzuciliśmy puste torebki do jednego z pojemników na śmieci pomalowanych na pomarańczowo i czarno - barwy naszej szkoły - i ruszyliśmy z powrotem do budynku.

Arnie wciąż się uśmiechał przypominając sobie, jak to było za pierwszym razem z Leigh.

- Ten pomysł z meczem to była czysta desperacja z mojej strony.

- Piękne dzięki - odparłem. - Więc po to w każdą sobotę mało nie wypływam płuc?

- Wiesz, co mam na myśli. Potem, kiedy się zgodziła, przyszła mi do głowy straszna myśl i zaraz zadzwoniłem do ciebie. Pamiętasz?

Pamiętałem. Zadzwonił z pytaniem, czy najbliższy mecz gramy na własnym boisku, i był wręcz zdruzgotany, kiedy dowiedział się, że wyjeżdżamy do Hidden Hills.

- Tak więc zadurzyłem się w najładniejszej dziewczynie w szkole, umówiłem się z nią na randkę, a potem okazało się, że mecz jest na wyjeździe, a mój wóz stoi rozbabrany w garażu Willa.

- Mogliście pojechać autobusem.

- Wtedy o tym nie wiedziałem. Zwykle wszystkie miejsca były zarezerwowane już tydzień wcześniej. Nie przypuszczałem, że jak tylko zaczniecie przegrywać, tylu ludzi zrezygnuje z wyjazdów na mecze.

- Nie przypominaj mi o tym - poprosiłem.

- Poszedłem więc do Willa. Wiedziałem, że Christine da sobie radę, choć nie została oficjalnie dopuszczona do ruchu. Ale ja byłem naprawdę zdesperowany.

Jak bardzo? - zapytałem bezgłośnie, czując, że ogarnia mnie nagły chłód.

- Potraktował mnie bardzo dobrze. Powiedział, że doskonale rozumie moją sytuację i że jeśli... - Umilkł i zastanawiał się przez chwilę, po czym dokończył niezręcznie: - I tak właśnie wygląda historia tej wspaniałej randki.

“I że jeśli”...

Ale to nie była moja sprawa.

“Bądź jego oczami” - poprosił mnie ojciec.

Ale to naprawdę nie była moja sprawa.

Szliśmy teraz przez teren palarni, całkowicie opustoszały, jeśli nie liczyć trzech chłopców i dwóch dziewcząt kończących pośpiesznie skręta. Do moich nozdrzy doleciał magiczny zapach marihuany, przypominający nieco woń tłących się powoli jesiennych liści.

- Widziałeś gdzieś Buddy’ego Reppertona? - zapytałem.

- Nie, i wcale tego nie żałuję. A ty?

Mignął mi kiedyś na stacji benzynowej Vandenberg’a przy szosie numer 22 w Monroeville. Stacja należała do ojca Dona Vandenberg’a i od arabskiego embarga z roku 1973 wciąż balansowała na krawędzi bankructwa. Buddy nie zauważył mnie, bo tylko tamtędy przejeżdżałem.

- Tak, ale z nim nie rozmawiałem.

- Myślisz, że on w ogóle umie mówić? - zapytał Arnie z niezwykłą dla niego pogardą. -



Cholerny zasraniec.

Aż drgnąłem; znowu to słowo. Zawahałem się przez chwilę, ale potem machnąłem ręką i zapytałem go wprost, skąd się u niego wzięło.

Spojrzał na mnie z namysłem, Rozległ się drugi dzwonek. Wszystko wskazywało na to, że spóźnimy się na lekcję, ale w tej chwili nic mnie to nie obchodziło.

- Pamiętasz dzień, kiedy kupiłem samochód? Nie ten, w którym zostawiłem zadatek, ale ten, kiedy go kupiłem?

- Jasne.

- Ty zostałeś na zewnątrz, a ja wszedłem z LeBayem do domu. Zaprowadził mnie do maleńkiej kuchni i usiedliśmy przy stole nakrytym serwetą w czerwono-białą kratę. zaproponował mi piwo, a ja pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli je przyjmę. Naprawdę zależało mi na samochodzie i nie chciałem go urazić. Wypiliśmy więc po piwie, a on wygłosił długą, gniewną... jak to się nazywa? Aha, tyradę. O tym, jak to wszyscy zasrańcy spiskują przeciwko niemu. To jego słowo, Dennis. Zasrańcy. Powiedział, że właśnie przez nich musi sprzedać swój samochód.

- Jak to?

- Myślałem, że chodzi mu o to, że jest już za stary, by prowadzić, ale on tak tego nie widział. Wszystkiemu byli winni oni, zasrańcy. To zasrańcy kazali mu co dwa lata zdawać egzamin i co rok zgłaszać się na badanie oczu. Najbardziej bał się właśnie badania wzroku. Skarżył się, że nie chcą, by jeździł swoim wozem, i dlatego rzucili w niego kamieniem.

Rozumiałem to wszystko, ale nie byłem w stanie zrozumieć dlaczego... - Arnie zatrzymał się w drzwiach, nie przejmując się zupełnie tym, że spóźnimy się na lekcję. Wbił dłoń w tylne kieszenie spodni i zmarszczył brwi. - Nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego pozwolił Christine popaść w taką ruinę. Cały czas mówił o niej tak, jakby ją naprawdę kochał - wiem, twoim zdaniem robił to po to, żeby zachęcić mnie do kupna, ale to nieprawda - jednak pod sam koniec, kiedy już liczył pieniądze, warknął: "Pieprzony wóz! Nie mam pojęcia, dlaczego tak ci na nim zależy, chłopcze. To trefna karta". Powiedziałem coś w tym sensie, że chyba uda mi się go wyremontować, a on na to: "Jasne, jeśli ci pozwolą zasrańcy".

Weszliśmy do budynku. Minał nas śpieszący się dokądś pan Leheureux, nauczyciel francuskiego.

- Spóźniliście się, chłopcy - powiedział skrzypiącym głosem, który zawsze kojarzył mi się z Królikiem z "Alicji w krainie czarów". Ruszyliśmy zwawszym krokiem, lecz zwolniliśmy natychmiast, jak tylko zniknął nam z oczu.

- Kiedy dobrał się do mnie Buddy Repperton, cholernie się przestraszyłem - kontynuował

Arnie. - Szczerze mówiąc, o mało nie zlałem się w gacie. Użyłem tego słowa zupełnie odruchowo, nie myśląc o tym. Akurat w przypadku Reppertona wydaje się zupełnie na miejscu, nie uważasz?

- Tak.

- Muszę już iść - oświadczył Arnie. - Najpierw rachunek różniczkowy, potem warsztaty, choć wydaje mi się, że przez te ostatnie dwa miesiące przy Christine przerobiłem już cały program szkoły średniej.

Popędził przed siebie, ja zaś stałem nieruchomo jeszcze przez co najmniej minutę, spoglądając w ślad za nim. Przypuszczałem, że uda mi się wśliznąć niepostrzeżenie na zajęcia z panną Rach-ciach, jak to robiłem wielokrotnie wcześniej. Poza tym zdążyłem już się zorientować, że uczniom ostatnich klas uchodzi płazem wiele przewinień.

Stałem więc, usiłując pozbyć się uczucia strachu, które chyba po raz ostatni było takie niekonkretne i nie sprecyzowane. Coś działo się nie tak, jak powinno, coś było nie na swoim miejscu. Zrobiło mi się zimno i nie mogły temu zaradzić ciepłe promienie październikowego słońca wpadające przez okna do wnętrza budynku. Na razie jeszcze wszystko wyglądało normalnie, ale czulem, że lada chwila może się zmienić.

Usiłowałem wziąć się w garść, starałem się wmówić sobie, że źródłem tego chłodu są jedynie obawy dotyczące mojej przyszłości i że z nią właśnie są związane zmiany, których nadejście wyczuwałem. Być może miałem częściowo rację, ale nie do końca. "Pieprzony wóz! Nie mam pojęcia, dlaczego tak ci na nim zależy, chłopcze. To trefna karta". Zobaczyłem pana Leheureux wracającego z sekretariatu i ruszyłem do klasy.

Uważam, że każdy ma w głowie coś w rodzaju spychacza, który można uruchomić w chwilach wielkiego stresu i zepchnąć do głębokich rowów wykopanych na dnie świadomości wszystko, co jest jego przyczyną. Pozbyć się tego. Zakopać. Tyle tylko, że te rowy sięgają do podświadomości i czasem, w snach, pogrzebane koszmary ozywają i zaczynają się poruszać. Tej nocy znowu śniła mi się Christine. Tym razem za kierownicą siedział Arnie, obok niego zaś kiwało się dotknięte zaawansowanym rozkładem ciało LeBaya. Samochód wystrzelił z rykiem silnika z garażu, świdrując mnie okrutnym spojrzeniem zapalonych reflektorów.

Obudziłem się z poduszką przyciśniętą do ust, starając się stłumić przeraźliwy krzyk.

## 19. WYPADEK

*Dawaj, chłopie, jeszcze raz!*

*Uważaj, koleś, bo cię przymkna.*

The Beach Boys

To był ostatni raz przed Świętem Dziękczynienia, kiedy rozmawiałem z Arniem - to znaczy, kiedy naprawdę z nim rozmawiałem, gdyż w następną sobotę uległem wypadkowi. Graliśmy wtedy ponownie z Niedźwiedziami z Ridge Rock i tym razem doznaliśmy porażki w nieprawdopodobnie wysokim stosunku 3:46. Nie dane mi było jednak wziąć udziału w końcowej części meczu. Mniej więcej w połowie trzeciego kwadransu dostałem podanie na wolne pole i właśnie nabierałem prędkości, kiedy wpadło na mnie jednocześnie trzech obrońców Niedźwiedzi. Poczułem paskudny ból, przed oczami błysnęło mi oślepiające światło, jakbym znalazł się w centrum atomowego wybuchu, a potem nastąpiła całkowita ciemność.

Trwała dość długo, choć ja wcale tego tak nie odczuwałem. Byłem nieprzytomny około pięćdziesięciu godzin, a kiedy ocknąłem się późnym popołudniem w poniedziałek dwudziestego trzeciego października, znajdowałem się w Szpitalu Miejskim w Libertyville. Byli przy mnie mama i tata, a także Elaine, blada i zmęczona. Miała podkrążone oczy, co w jakiś absurdalny sposób ogromnie mnie wzruszyło; więc jednak płakała z mego powodu pomimo wszystkich świństw, jakie jej robiłem, mimo laskotek i złośliwości, mimo że gdy miała dwanaście lat, podarowałem jej dwie torebki wypełnione silikonem, widząc, jak od paru dni ubiera się w najbardziej obcisłe bluzki i stoi godzinami przed lustrem, przyglądając się swoim zarysowującym się właśnie piersiom. Okropnie się wtedy rozplakała, a mama była na mnie wściekła przez prawie dwa tygodnie.

Kiedy odzyskałem przytomność, Arniego nie było przy mnie, lecz wkrótce się pojawił; wraz z Leigh siedzieli w poczekalni. Wieczorem przyjechali wujostwo z Alabany, przez pozostałą zaś część tygodnia przyjmowałem nie kończącą się paradę rodziny i przyjaciół - zjawiała się nawet cała drużyna z trenerem Pufferem, który wyglądał tak, jakby nagle postarzał się o dwadzieścia lat. Przypuszczam, iż przekonał się, że zdarzają się gorsze rzeczy niż zły sezon. Właśnie on przekazał mi wiadomość, że już nigdy nie będę mógł grać w futbol. Sądząc z wyrazu ponurego napięcia, jaki malował się na jego twarzy, nie wiem, czego się spodziewał - że może wybuchnę płaczem albo dostanę ataku hysterii. Nic takiego jednak nie nastąpiło; byłem zadowolony, że żyję i że być może

kiedyś znowu będę mógł chodzić.

Gdybym zderzył się z jednym zawodnikiem, najprawdopodobniej odbiłbym się i wrócił po więcej, ale ludzkie ciało nie zostało skonstruowane z myślą o tym, że będzie musiało znosić potężne uderzenia z trzech stron naraz. Miałem złamane obie nogi, w tym lewą w dwóch miejscach, wywichniętą prawą rękę i paskudną szarpaną ranę przedramienia, ale to wszystko była bulka z masłem, gdyż doznałem także uszkodzeń czaszki i czegoś, co zajmujący się mną lekarz określił jako “poważne obrażenia dolnego odcinka kręgosłupa”, a co chyba oznaczało, że zaledwie kilka milimetrów dzieliło mnie od tego, by zostać sparaliżowanym od pasa w dół na resztę życia.

Przyjmowałem mnóstwo gości, dostawałem masę kwiatów i wiele kartek z życzeniami powrotu do zdrowia. Było to nawet dość przyjemne - zupełnie jakbym zmartwychwstał i brał udział w przyjęciu na swoją cześć.

Oznaczało to jednak również mnóstwo bólu i wiele nie przespanych nocy. Miałem na wyciągu rękę i obie nogi - wszystko swędziało mnie jak diabli, ale nie było jak podrapać się pod gipsem - oraz ciasny bandaż wokół dolnej części tułowia. W najbliższej przyszłości czekał mnie długi pobyt w szpitalu i niezliczone podróże na wózku do komnaty tortur znanej pod niewinną nazwą sali rehabilitacyjnej.

Aha, i jeszcze jedno: miałem mnóstwo czasu.

Czytałem gazety, wypytywałem o wszystko odwiedzających, a w miarę rozwoju wydarzeń, kiedy coraz częściej traciłem kontrolę nad moimi podejrzeniami, zadawałem sobie pytanie o stan mego umysłu.

Przeleżałem w szpitalu aż do Bożego Narodzenia; kiedy wróciłem do domu, moje podejrzenia przybrały już konkretną formę. Coraz trudniej przychodziło mi je ignorować, tym bardziej iż miałem całkowitą pewność, że jestem przy zdrowych zmysłach. Byłoby mi chyba lżej, gdybym nie miał tej pewności, ale i tak nie zmieniłoby to w niczym faktu, że potwornie się bałem i byłem prawie zakochany w dziewczynie mego najlepszego przyjaciela.

Miałem wiele czasu na myślenie... zbyt wiele.

Dość czasu, by obrzucać się niezliczonymi wyzwiskami za to, co czułem do Leigh. Dość czasu, by wpatrywać się w sufit i żalować, że kiedykolwiek usłyszałem o Arniem Cunninghamie... o Leigh Cabot i o Christine.

**CZĘŚĆ II**  
**ARNIE – PIOSENKI O MIŁOŚCI**

## 20. DRUGIE NIEPOROZUMIENIE

*Podszedł do mnie handlarz i rzekł:  
„Zostaw mi swojego forda,  
A ja dam ci w zamian gablotę -  
Prawdziwego pożeracza szos!  
Powiedz mi tylko, co dokładnie chcesz,  
I podpisz się o, tu,  
A ja przyprowadzę ci wóz  
Najdalej za godzinę”.  
Będę miał nową maszynę  
I ruszę przed siebie prostą drogą,  
Nie troszcząc się o starego,  
Rozklekotanego forda.*

Chuck Berry

Należący do Arniego Cunninghama plymouth rocznik 58 został dopuszczony do ruchu po południu pierwszego listopada 1978 roku. Arnie zwieńczył dzieło - rozpoczęte właściwie już tego pierwszego wieczoru, kiedy wraz z Dennisem Guilderem wymienił przedziurawioną oponę - uiszczając opłatę manipulacyjną w wysokości 8,50 \$, podatek drogowy w wysokości 2,00 \$ (uprawniający go między innymi do bezpłatnego parkowania w centrum Libertyville) oraz opłatę rejestracyjną w wysokości 15,00 \$. W Biurze Ruchu Drogowego w Monroeville otrzymał tablice rejestracyjne stanu Pensylwania HY-6241-J.

Wrócił z biura do garażu samochodem pożyczonym od Willa Darnella, przesiadł się za kierownicę Christine i pojechał do domu.

Mniej więcej godzinę później jego rodzice wrócili razem z Uniwersytetu Horlicks. Klótnia wybuchła niemal natychmiast.

- Widzieliście? - Arnie skierował pytanie do nich obojga, ale chyba odrobinę bardziej do ojca. - Zarejestrowałem go dziś po południu.

Był dumny i miał ku temu wszelkie powody. Christine, świeżo umyta i nawoskowana, lśniła w promieniach popołudniowego jesiennego słońca. Na karoserii wciąż można było dostrzec wiele śladów rdzy, ale i tak wyglądała tysiąc razy lepiej niż w dniu, kiedy Arnie ją kupił.

Maska, błotniki i tylne siedzenie były zupełnie nowe, wewnątrz czyste i wypucowane, szkło i chromowane części błyszczące.

- Tak, nawet... - zaczął Michael.

- Oczywiście, że go widzieliśmy! - parsknęła Regina. Przyrządziła sobie drinka, poruszając wściekle mieszadłem. - Mało w niego nie wjechaliśmy. Nie chcę, żeby tutaj stał. Podjazd wygląda jak skład starych samochodów.

- Ależ, mamgo! - wykrzyknął ze zdumieniem i oburzeniem Arnie. Spojrzał na Michaela, lecz ten także zajął się przyrządzaniem drinka; widocznie doszedł do wniosku, że będzie go potrzebował.

- Właśnie że tak - oświadczyła Regina Cunningham. Była nieco bledsza niż zazwyczaj, a róż, którym przypudrowała sobie policzki, wyglądał niemal jak makijaż clowna. Wypiła jednym haustem połowę zawartości szklanki i skrzywiła się jak po przełknięciu gorzkiego lekarstwa. - Odprowadź go tam, gdzie był. Nie chcę, żeby stał przed naszym domem i nie pozwolę na to. To moja ostateczna decyzja, Arnie

- Odprowadzić go?! - wykrzyknął już nie tylko dotknięty, ale i zagniewany Arnie. - Dobre sobie! To mnie kosztuje dwadzieścia baksów tygodniowo!

- To cię kosztuje znacznie więcej - poprawiła go Regina. Dokończyła drinka, odstawiła szklankę i spojrzała na niego. - Kilka dni temu sprawdziłam stan twojego konta...

Arnie wybaluszył na nią oczy.

- Co takiego?

Jego matka zarumieniła się nieco, ale nie odwróciła wzroku. Michael stał w drzwiach salonu, przenosząc nieszczęśliwe spojrzenie z żony na syna.

- Chciałam wiedzieć, ile pieniędzy wydajesz na ten przeklęty samochód. Czy to takie dziwne? W przyszłym roku masz iść na studia, a z tego, co wiem, w Pensylwanii trzeba za to płacić.

- W związku z tym po prostu poszłaś do mojego pokoju i szperałaś tam tak długo, aż znalazłaś książeczkę czekową, tak? - Jego szare oczy płonęły gniewem. - Może przy okazji szukałaś też marihuany. Albo świerszczyków. Albo zaschniętej spermy na prześcieradle.

Regina otworzyła usta. Być może spodziewała się wyrzutów i wybuchu gniewu, ale nie takiej totalnej, szaleńczej wściekłości.

- Arnie! - ryknął Michael.

- A czemu nie?! - odkrzyknął. - Myślałem, że to moja prawa. Bóg świadkiem, że cały czas oboje mi to powtarzaliście!

- Jestem bardzo zawiedziona, że odbierasz to w taki sposób, Arnoldzie - oświadczyła

Regina. - Zawiedziona i rozczarowana. Zachowujesz się jak...

- Tylko mi nie mów, jak się zachowuję! A jak myślisz, co teraz czuję? Przez dwa i pół miesiąca urabiam ręce po łokcie, żeby tylko mój wóz przeszedł badanie techniczne, a kiedy wreszcie przyjeżdżam nim do domu, pierwsze, co słyszę, to żebym zabrał go z podjazdu! Uważasz, że powinienem być szczęśliwy?

- Na pewno nie powinieneś mówić do matki takim tonem - odezwał się Michael. Mimo to można było odnieść wrażenie, że niezdarnie stara się go pocieszyć. - Ani używać takich słów.

Regina podała mężowi swoją szklankę.

- Zrób mi jeszcze jednego drinka. W spiźarni jest cała butelka ginu.

- Tato, zostań tutaj - poprosił Arnie. - Skończmy z tą sprawą.

Michael Cunningham spojrział na żonę, potem na syna, wreszcie z powrotem na żonę. I tu, i tam napotkał kamienne ściany. Ściskając w rękę szklankę chyłkiem umknął do kuchni.

Regina utkwiała ciężki wzrok w swoim synu. Wrzód rósł od wakacji; chyba zorientowała się, że to jej ostatnia szansa, aby go ostatecznie usunąć.

- Jeszcze w lipcu miałeś na koncie prawie cztery tysiące dolarów. Mniej więcej trzy czwarte tej sumy zarobiłeś sam, a reszta...

- Widzę, że naprawdę trzymałaś rękę na pulsie - przerwał jej Arnie. Usiadł, wpatrując się cały czas w matkę. Kiedy ponownie się odezwał, jego głos świadczył o pełnym odraży zdziwieniu. - Mamo, dlaczego po prostu nie zabierzesz tej przeklętej forsy i nie wpłacisz jej na swoje konto?

- Dlatego że, przynajmniej do niedawna, zdawałeś się rozumieć, na co są przeznaczone te pieniądze. Jednak przez kilka ostatnich miesięcy wszystko było podporządkowane samochodowi, a teraz dziewczynie. Zupełnie jakbyś oszalał na punkcie jednego i drugiego.

- Piękne dzięki. Zawsze miło jest usłyszeć obiektywną, życzliwą opinię o swoim życiu.

- Jeszcze w lipcu miałeś prawie cztery tysiące dolarów. Na swoją edukację, Arnie. Na edukację. Teraz masz niewiele ponad dwa tysiące osiemset. Możesz mówić, co chcesz, o węszeniu i szpiegowaniu - choć przyznam, że przykro mi tego słuchać - ale to prawda. W ciągu dwóch miesięcy wydałeś tysiąc dwieście dolarów. Może właśnie dlatego nie chcę oglądać twojego samochodu. Chyba powinieneś to zrozumieć. Dla mnie on wygląda jak...

- Posłuchaj...

- ...wielki dolarowy banknot odlatujący gdzieś daleko.

- Mogę ci coś powiedzieć?

- Nie, nie wydaje mi się - odparła stanowczo. - Naprawdę nie wydaje mi się.

Michael wrócił ze szklanką napelnioną do połowy ginem. Podszedł do barku, dolał



toniku i podał drinka żonie. Regina napiła się z tym samym cierpkim wyrazem twarzy co poprzednio. Arnie nadal siedział w fotelu przy telewizorze, przyglądając się jej z namysłem.

- Uczysz na uniwersytecie? - zapytał. - Uczysz na uniwersytecie i postępujesz właśnie w taki sposób? "Powiedziałam wam wszystko, więc teraz zamknijcie gęby na kłódki". Świetnie. Współczuję twoim studentom.

- Uważaj, co mówisz, Arnie - ostrzegła go, mierząc w niego palcem. - Uważaj, co mówisz.

- Więc mogę ci coś powiedzieć czy nie?

- Mów, ale to i tak niczego nie zmieni.

Michael chrząknął nieśmiało.

- Reg, wydaje mi się, że Arnie ma rację. To nie jest konstruktywne podejście...

Odwróciła się błyskawicznie do niego.

- Ani słowa! - prychnęła jak kotka.

Michael drgnął nerwowo i umilkł.

- Po pierwsze - zaczął Arnie - jeśli poświęcilibyście trochę uwagi i przyjrzeni się dokładniej mojej książeczce czekowej, zauważylibyście, że najniższy stan konta, to znaczy dwa tysiące dwieście dolarów, osiągnąłem na początku września. Musiałem wtedy kupić dla Christine całe przednie zawieszenie.

- Mówisz o tym tak, jakbyś był z tego dumny! - powiedziała gniewnie Regina.

Wytrzymał bez drgnięcia powieki jej spojrzenie.

- Bo jestem. Wymieniłem je zupełnie sam, bez niczyjej pomocy. I dobrze mi to wyszło. Na pewno nie potrafilibyście... - jego głos dziwnie zadrzał, lecz zaraz odzyskał normalne brzmienie - nie potrafilibyście odróżnić go od oryginalnego. Chodzi mi jednak o to, że od tamtej chwili stan oszczędności wzrósł o sześćset dolarów. Dlatego, że Willowi Darnellowi spodobało się to, jak pracuję, i przyjął mnie do siebie. Jeżeli co dwa miesiące będę odkładał sześćset dolarów - a może uda mi się zaoszczędzić trochę więcej, jeśli zaczniesz wysyłać mnie do Albany po używane samochody - pod koniec roku szkolnego będę miał na koncie cztery tysiące sześćset dolarów. A jeśli w następne wakacje zgodzę się na pracę w pełnym wymiarze godzin, zacznę studia z siedmioma tysiącami dolarów. Wszystko dzięki samochodowi, którego tak bardzo nienawidzicie.

- Niewiele ci to pomoże, jeśli nie uda ci się dostać na dobrą uczelnię - odparła Regina zmieniając zrećznie temat rozmowy, jak to czyniła w trakcie posiedzeń rady wydziału zawsze, kiedy ktoś ośmielił się zakwestionować jej opinie... co jednak nie zdarzało się zbyt często. Nigdy nie ustępowała w spornych kwestiach, tylko przechodziła do innego zagadnienia. - Masz coraz gorsze oceny.

- Nie o tyle gorsze, żeby to miało jakieś znaczenie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Ostatnio dostałeś dwóję z rachunku różniczkowego! Tydzień temu przysłano nam ze szkoły czerwoną kartkę.

Czerwone kartki, zwane przez młodzież "ostrzegawkami", otrzymywali w połowie semestru rodzice tych uczniów, których średnia ocen z danego przedmiotu spadła poniżej 75 procent średniej dla całej szkoły.

- To przez jeden jedyny sprawdzian - wyjaśnił spokojnie Arnie. - Pan Fenderson robi w czasie semestru tak mało sprawdzianów, że w połowie można mieć czerwoną kartkę, bo nie zrozumiało się jednego tematu, a na koniec i tak dostać piątkę. Powiedziałbym wam o tym wcześniej, gdybyście tylko mnie zapytali, ale nie zrobiliście tego. Poza tym to dopiero moja trzecia czerwona kartka od początku szkoły średniej. Średnią mam w dalszym ciągu około 93 procent, a sami wiecie, że to bardzo dobry wynik...

- Obniż się! - wykrzyknęła piskliwym głosem Regina i postąpiła krok w jego stronę. - Masz obsesję na punkcie tego przeklętego samochodu! Zacząłeś spotykać się z dziewczyną - znakomicie, bardzo się cieszę! Ale jeśli chodzi o samochód, to masz kompletnego bzika! Nawet Dennis mówi, że...

Arnie poderwał się z fotela tak gwałtownie, że cofnęła się odruchowo, oszolomiona, przynajmniej chwilowo, jego gniewem.

- Nie mieszajcie do tego Dennisa - wycedził lodowatym tonem. - To sprawa wyłącznie między nami.

- W porządku - zgodziła się, ponownie zmieniając temat. - Prawda wygląda w ten sposób, że będziesz miał coraz gorsze oceny. Ja wiem o tym, twój ojciec wie o tym, a ta czerwona kartka od matematyka stanowi najlepsze potwierdzenie.

Arnie uśmiechnął się lekceważąco.

- Zaproponuję wam coś - powiedział. - Pozwólcie mi zatrzymać samochód do końca semestru. Jeśli dostanę choć jedną tróję, sprzedam go Darnellowi. Na pewno go kupi. Wie, że teraz, kiedy go wyremontowałem, będzie mógł wziąć za niego sporo forsy. Takie rzeczy rosną w cenie. - Zastanowił się przez chwilę. - Pójdę wam jeszcze bardziej na rękę: jeśli nie znajdę się na liście wyróżnionych, też się go pozbędę. To znaczy, że z rachunku różniczkowego muszę mieć na koniec semestru piątkę. Co wy na to?

- Nie! - odparła natychmiast Regina, rzucając ostrzegawcze spojrzenie mężowi: "Nie wtrącaj się"! Michael, który już otwierał usta, by coś powiedzieć, zamknął je raptownie.

- Czemu nie? - zapytał Arnie ze zwodniczym spokojem.

- Dlatego że to zwykła sztuczka i ty doskonale o tym wiesz! - wrzasnęła Regina przestając panować nad wściekłością. - Nie mam zamiaru stać tutaj dłużej i wysłuchiwać od ciebie tych

bezczelności! Ja... Ja zmieniałam ci brudne pieluchy! Powiedziałam ci już i powtarzam jeszcze raz: zabierz go stąd, pojedź nim, dokądkolwiek chcesz, ale nie zmuszaj nas, żebyśmy na niego patrzyli! To wszystko!

- A co ty o tym myślisz, tato? - zapytał Arnie przenosząc spojrzenie na Michaela.

Jego ojciec otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążył.

- On myśli to samo co ja! - warknęła Regina.

Arnie obejrzał się na nią. Dwie pary oczu o tym samym odcieniu szarości spoglądały przez chwilę na siebie.

- Nic, co mówię, nie ma żadnego znaczenia, prawda?

- Myślę, że powiedziałeś już wystarczająco...

Chciała się odwrócić, lecz Arnie chwycił ją mocno za rękę powyżej łokcia.

- Najmniejszego znaczenia, zgadza się? Dlatego że jak już coś sobie wbijesz do głowy, to przestajesz cokolwiek widzieć, przestajesz słyszeć, przestajesz nawet myśleć!

- Arnie, przestań! - krzyknął Michael.

Regina i Arnie mierzyli się lodowatymi spojrzeniami.

- Powiem ci, dlaczego nie chcesz na niego patrzeć - odezwał się po chwili tym samym pozornie spokojnym głosem. - Nie chodzi o pieniądze, bo dzięki temu samochodowi zetknąłem się z pracą, w której w przyszłości będę mógł dobrze zarabiać. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Nie chodzi też o moje oceny, bo nie są wcale gorsze niż do tej pory. Z tego również zdajesz sobie sprawę. Chodzi o to, że nie możesz znieść myśli o tym, że wyśliznę się spod twojej kurateli i nie będziesz już trzymała mnie w garści, tak jak trzymasz swój wydział i jak trzymasz jego! - Wskazał kciukiem Michaela, sprawiającego równocześnie wrażenie rozgniewanego, zdumionego i zdesperowanego.

Arnie mówił dalej z wypiekami na twarzy i zaciśniętymi pięściami.

- Cały czas pieprzyłaś o liberalizmie, o wspólnym podejmowaniu przez rodzinę wszystkich decyzji, o dyskusowaniu problemów i wybieraniu najlepszych rozwiązań, ale w rzeczywistości to ty zawsze mówiłaś mi, w co mam się ubrać, to ty dobierałaś mi kolegów, ty wysyłałaś mnie na wakacje tam, gdzie akurat uznawałaś za stosowne, ty mówiłaś ojcu, kiedy ma sprzedać samochód i kupić następny. Tym razem trafiłaś na coś, na co nie masz żadnego wpływu i cholernie ci się to nie podoba, zgadza się?

Zdzieliła go w twarz. Odgłos uderzenia rozległ się w salonie niczym huk pistoletowego wystrzału. Na zewnątrz zapadł już zmrok i obok domu przemykały niewyraźnie widoczne samochody z zapalonymi reflektorami. Christine stała na asfaltowym podjeździe przed domem Cunninghamów tak samo, jak kiedyś na trawniku przed domem LeBaya, tyle tylko, że teraz

wyglądała bez porównania lepiej - sprawiała wrażenie chłodnej i wyniosłej, nie mającej nic wspólnego z tą żalosaną rodzinną klótnią. Możliwe, iż dojrzała w zetknięciu ze światem.

Nagle, całkowicie niespodziewanie, Regina Cunningham wybuchnęła płaczem. Było to zjawisko równie niespotykane jak deszcz na pustyni. Arnie widział łzy w oczach matki cztery lub pięć razy w życiu, lecz nigdy nie był ich przyczyną.

Powiedział później Dennisowi, że jej łzy samą swoją obecnością sprawiały przerażające wrażenie. Poza tym w grę wchodziło coś jeszcze: okropnie ją postarzyły, jakby w ciągu zaledwie kilku sekund zamieniła się z kobiety czterdziestopięcioletniej w sześćdziesięcioletnią. Ostry szary poblask w jej oczach zmętniał i osłabł, a toczące się po policzkach łzy żłobiły głębokie bruzdy w makijażu.

Sięgnęła drżącą ręką po stojącą na obramowaniu kominka szklankę; potrafiła ją czubkami palców i szklanka spadła na podłogę, roztrzaskując się na kawałki. W pokoju zapadła cisza wypełniona zdumieniem i niedowierzaniem, że sprawy zaszły aż tak daleko.

- Nie chcę, żeby ten samochód stał w naszym garażu ani przed domem, Arnoldzie - powiedziała pokonując łzy i słabość.

- I tak bym go tu nie trzymał, mamó - odparł lodowatym tonem. Podeszedł do drzwi, zatrzymał się i spojrział na nich oboje. - Dziękuję wam, że okazaliście mi tyle zrozumienia. Bardzo wam dziękuję.

Wyszedł.

## 21. ARNIE I MICHAEL

*Odkąd odeszłaś ode mnie, dziewczyno,  
Włóczę się wszędzie z ponurą miną,  
Ale to wszystko szybko mi minie,  
Jak tylko usiądę w swojej maszynie.*

Moon Martin

Michael dogonił Arniego w drzwiach domu, zmierzającego wprost ku Christine. Położył mu dłoń na ramieniu, lecz Arnie strząsnął ją, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kluczyków.

- Arnie. Proszę.

Arnie odwrócił się raptownie. Przez chwilę wydawało się, że uderzy ojca, czyniąc ten wieczór jeszcze bardziej okropnym, lecz zaraz potem odprężył się nieco i oparł o samochód, głaszcząc go lewą ręką i zdając się czerpać dzięki temu dodatkową energię.

- W porządku - powiedział. - Czego chcesz?

Ojciec otworzył usta, ale nie bardzo wiedział, jak powinien zacząć. Na jego twarzy pojawił się wyraz całkowitej bezradności - byłby na pewno śmieszny, gdyby nie to, że był taki okropny. Michael również jakby nagle się postarzał; jego włosy wydawały się przyprószone siwizną, wokół ust i oczu zaś pokazały się liczne zmarszczki.

- Arnie... - wykrztusił wreszcie z ogromnym trudem, jakby musiał pokonać jakiś ogromny bezwładny ciężar. - Tak mi przykro...

- Jasne - odparł Arnie. Odwrócił się i otworzył drzwi od strony kierowcy. Z wnętrza wydobył się przyjemny zapach starannie utrzymanego samochodu. - Od razu domyśliłem się tego po sposobie, w jaki stanąłeś po mojej stronie.

- Proszę cię - powtórzył Michael. - Jest mi bardzo ciężko. Dużo ciężiej, niż myślisz.

Coś w jego głosie sprawiło, że Arnie ponownie spojrzał na niego. Ujrzał wpatrzone w siebie zdesperowane, zrozpaczone oczy.

- Nie powiedziałem, że chciałem stanąć po twojej stronie - ciągnął Michael. - Rozumiem również jej argumenty. Widzę, jak doprowadziłeś ją do ostateczności, usiłując za wszelką cenę postawić na swoim...

Arnie roześmiał się chrapliwie.

- Inaczej mówiąc, postąpiłem dokładnie tak jak ona.

- Twoja matka przechodzi przez punkt zwrotny w swoim życiu - odparł spokojnym tonem Michael. - To dla niej bardzo trudny okres.

Arnie zamrugał szybko powiekami, w pierwszej chwili nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co usłyszał. Zupełnie jakby ojciec powiedział coś do niego w narzeczu Papuasów; miało to taki sam związek z tematem ich rozmowy jak ostatnie wyniki ligi baseballa.

- C-co?

- Punkt zwrotny. Boi się tego, w związku z czym chętnie sięga po kieliszek, a czasem nawet cierpi. Nie, nie często - dodał szybko, widząc przerażenie malujące się na twarzy Arniego. - Była u lekarza i na pewno nic jej nie grozi, ale znajduje się w stanie wzburzenia emocjonalnego. Jesteś jej jedynym dzieckiem, a ona wie tylko tyle, że stara się robić wszystko dla twego dobra, bez względu na cenę.

- Chce zawsze postawić na swoim. Zawsze chciała. To nic nowego.

- Nie ma najmniejszej wątpliwości co do tego, że dobre dla ciebie jest tylko to, co ona uważa za stosowne - odparł Michael. - Ale na jakiej podstawie przypuszczasz, że ty jesteś inny? Albo lepszy? Przed chwilą chciałeś jej się dobrać do skóry i ona o tym doskonale wiedziała, zresztą podobnie jak ja.

- Ona zaczęła...

- Nie, Arnie! Ty to zacząłeś w chwili, kiedy przyprowadziłeś do domu ten samochód. Przecież wiedziałeś, co ona o nim myśli. Poza tym ma rację przynajmniej w jednej sprawie: zmieniłeś się. Zacząłeś zmieniać się tego dnia, kiedy przyszedłeś do domu z Dennisem i oświadczyłeś, że właśnie kupiłeś samochód. Czy uważasz, że to nie wywarło na niej żadnego wrażenia? Albo na mnie? Jak ty byś się czuł, gdybyś dostrzegł u swojego dziecka cechy charakteru, których istnienia do tej pory nawet nie podejrzewałeś?

- Hej, tato! Chyba trochę przesa...

- Prawie przestaliśmy cię widywać! Albo pracujesz przy swoim samochodzie, albo wychodzisz gdzieś z Leigh.

- Zaczynasz mówić tak samo jak mama.

Michael niespodziewanie uśmiechnął się, ale był to smutny uśmiech.

- Mylisz się. Mylisz się, jak chyba nigdy w życiu. To ona mówi tak jak ona i ty mówisz jak ona, ja natomiast mówię jak facet dowodzący jakimś złożonym z całkowitych kretyńców oddziałem pokojowych sił ONZ, który za chwilę zostanie rozwalony na kawałki.

Arnie jakby odrobinę oklapł; wyciągnął rękę i znowu pieszczotliwie dotknął karoserii samochodu.

- W porządku - mruknął. - Chyba wiem, o co ci chodzi. Nie rozumiem, dlaczego

pozwalasz jej na to wszystko, ale niech ci będzie.

Smutny uśmiech pozostał na ustach Michaela. Przypominał trochę uśmiech psa, który w gorący letni dzień przez długi czas bez powodzenia gonił natrętnego dzieciola.

- Może człowiek przyzwyczaja się do pewnych rzeczy. A może otrzymuje za to nagrodę, której ty byś nie zrozumiał, a ja nie potrafiłbym wyjaśnić? Na przykład... Na przykład to, że ją kocham.

Arnie wzruszył ramionami.

- Dobra. I co teraz?

- Wziałbyś mnie na przejażdżkę?

Spojrzał na ojca najpierw ze zdumieniem, a potem z zadowoleniem.

- Jasne, wskakuj. Gdzie chcesz jechać?

- Na lotnisko.

Arnie uniósł brwi.

- Na lotnisko? Po co?

- Powiem ci po drodze.

- A co z Regina?

- Twoja matka poszła już do łóżka - odparł Michael, a Arnie znalazł w sobie jeszcze tyle przyzwoitości, żeby się trochę zaczerwienić.

Arnie prowadził dobrze i pewnie. Strumienie światła rzucane przez nowe reflektory Christine wrzynały się głęboko w gęstniejący mrok. Minęli dom Guilderów, przy znaku stop skręcili w lewo w Elm Street, pojechali w kierunku John Kennedy Drive, a następnie I-376 do I-278, by wreszcie skierować się prosto w stronę dworca lotniczego. Ruch był niewielki. Silnik mruczał cicho przez nową rurę wydechową. Tablica przyrządów jarzyła się niesamowitą zielenią.

Arnie włączył radio i złapał nadającą na długich falach stację z Pittsburgha prezentującą wyłącznie stare przeboje. Gene Chandler śpiewał "The Duke of Earl".

- Jedzie jak marzenie - stwierdził wyraźnie oszołomiony Michael Cunningham.

- Dzięki - odparł Arnie z uśmiechem.

Michael wciągnął głęboko powietrze.

- Pachnie zupełnie jak nowy.

- Bo ma mnóstwo nowych części. Obicia siedzeń kosztowały mnie osiemdziesiąt baksów. To część tych pieniędzy, o które wściekała się Regina. Poszedłem do biblioteki, wziąłem mnóstwo książek i starałem się skopiować wszystko najdokładniej, jak się dało, ale to nie było takie łatwe, jak to się niektórym wydaje.

- Dlaczego?

- Choćby dlatego, że nikt nie uważał plymoutha fury rocznik 1958 za klasyczny wóz, więc mało kto o nim pisał, nawet w najbardziej specjalistycznych książkach. Zupełnie inna sprawa była z pontiakem z tego roku albo z thunderbirdem, z tym, który miał tylne pletwy w kształcie króliczych uszu. To był ostatni naprawdę dobry thunderbird, bo potem...

- Nie miałem pojęcia, że wiesz aż tyle o starych samochodach - przerwał mu Michael. - Od jak dawna interesowałaś się tymi sprawami, Arnie?

Wzruszył lekko ramionami, ignorując pytanie.

- Druga sprawa to zmiany, jakie LeBay kazał wprowadzić w seryjnym samochodzie - wtedy nie robiono tego modelu w takich kolorach. Staralem się zrekonstruować go raczej w takiej postaci, jaką on mu nadał, niż tak, jak zaprojektowali go chłopcy z Detroit. Musiałem mocno główkować, żeby to mi się udało.

- Dlaczego zależało ci na tym, żeby wóz wyglądał tak jak wtedy, kiedy był u LeBaya?

Ponowne wzruszenie ramion.

- Nie wiem. Po prostu wydawało mi się, że tak będzie lepiej.

- Cóż, w każdym razie odwalileś kawał dobrej roboty.

- Dziękuję.

Michael przechylił się na stronę kierowcy, spoglądając na tablicę przyrządów.

- Na co patrzysz? - zapytał odrobinę zbyt ostro Arnie.

- Niech mnie szlag trafi! - wykrzyknął jego ojciec. - W życiu nie widziałem czegoś podobnego.

- O czym mówisz? - Arnie spojrział na przyrządy. - Aha, o liczniku mil.

- Przesuwa się do tyłu, prawda?

Istotnie, licznik mil przesunął się do tyłu; wtedy, wieczorem 1 listopada, pokazywał 79 500 z niewielkim hakiem. Michael zobaczył, jak cyfry w ostatnim okienku oznaczającym dziesiątą części mili zmieniają się z 2 na 1, a potem na 0. Kiedy zamiast 0 pojawiło się 9, stan licznika zmniejszył się o jedną milę.

Michael roześmiał się.

- Przeoczyłeś to, synu.

Arnie uniósł nieco kąciki ust.

- Zgadza się. Will twierdzi, że gdzieś skrzyżowały się linki, ale chyba nie będę w tym grzebał. To nawet przyjemne widzieć, jak samochód młodnieje z dnia na dzień.

- Czy choć dobrze pokazuje?

- Hę?



- Gdybyś na przykład pojechał z domu na stację kolejową, czy licznik cofnąłby się dokładnie o pięć mil?

- Aha, rozumiem. Nie, nic z tych rzeczy. Z każdą przejechaną milą cofa się o dwie albo trzy, czasem nawet o więcej. Prędeż czy później linka pęknie i wtedy założę nową tak, jak trzeba.

Michael, który podczas swojej kariery kierowcy przeżył dwa lub trzy pęknięcia linki prędkościomierza, spojrzal na strzałkę w przekonaniu, że ujrzy charakterystyczne drżenie świadczące o zbliżającej się awarii. Jednak strzałka trwała w doskonałym bezruchu pokazując nieco ponad czterdzieści mil na godzinę. Wyglądało na to, że prędkościomierz jest w porządku i że kłopoty dotyczą wyłącznie licznika mil. Zresztą, czy Arnie naprawdę przypuszczał, że ta sama linka obsługuje oba urządzenia? Na pewno nie.

Michael roześmiał się i powiedział:

- Niezwykła sprawa, synu.

- Dlaczego jedziemy na lotnisko? - zapytał Arnie.

- Zafunduję ci na trzydzieści dni miejsce na parking. Pięć dolarów. Taniej niż u Darnella. Będziesz mógł korzystać z samochodu, kiedy zechcesz, bo na lotnisko dojeżdża autobus. Jest tam nawet pętla, jeśli się nie mylę.

- To najbardziej zwariowany pomysł, o jakim w życiu słyszałem! - wykrzyknął Arnie, skręcając gwałtownie w opustoszały podjazd przed pralnią chemiczną i zatrzymując samochód. - Mam tłuc się dwadzieścia mil autobusem, kiedy przyjdzie mi ochota pojechać gdzieś moim wozem? Przecież to coś jak z "Paragrafu 22"! Nie ma mowy!

Otwierał już usta, by powiedzieć coś jeszcze, kiedy nagle poczuł na karku ciężką dłoń.

- Posłuchaj mnie - warknął Michael. - Jestem twoim ojcem, więc lepiej mnie posłuchaj. Matka miała rację, Arnie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy stałeś się zupełnie nierozsądny, a nawet bardziej niż nierozsądny. Po prostu zdziwaczałeś, i tyle.

- Puść mnie! - stęknął Arnie, usiłując uwolnić się z uchwytu.

Michael nie cofnął ręki, ale nieco zmniejszył nacisk.

- Wyjaśnię ci to dokładniej - powiedział. - Rzeczywiście, lotnisko jest daleko od domu, ale dojedziesz tam za te same dwadzieścia pięć centów, które kosztuje cię podróż do Darnella. Jasne, że mógłbyś znaleźć bliżej jakiś płatny parking, ale w mieście zdarza się więcej włamań do samochodów i kradzieży niż na peryferiach. W porównaniu z tym lotnisko wydaje się zupełnie bezpieczne.

- Żaden płatny parking nie jest bezpieczny.

- Ale ten akurat jest tańszy od śródmiejskich i znacznie tańszy od Garażu Darnella.

- To nie jest istotne i doskonale o tym wiesz!

- Być może masz rację - odparł Michael. - Ale to wcale nie oznacza, że ty wiesz, co naprawdę jest istotne.

- W takim razie może mi powiesz?

- Dobrze, powiem. - Michael umilkł na chwilę, wpatrując się w syna nieruchomym spojrzeniem. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos był cichy i melodyjny, przypominający dźwięki muzyki dobiegającej z magnetofonu. - Oprócz tego, że najwyraźniej straciłeś poczucie rzeczywistości, utraciłeś także umiejętność perspektywicznego myślenia. Masz prawie osiemnaście lat i chodzisz do ostatniej klasy szkoły średniej. Odnoszę wrażenie, iż zrezygnowałeś ze studiów w Horlicks. Przeglądałem ankiety uniwersyteckie, które przyniosłeś do domu, ale...

- Nie, nie będę studiował w Horlicks - przerwał mu Arnie. Był teraz znacznie bardziej opanowany. - Nie po tym wszystkim. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chcę się stąd wyrwać. A może jednak?

- Owszem, wyobrażam sobie. Niewykluczone, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Na pewno lepsze niż ciągle utarczki między tobą i matką. Proszę cię tylko o to, żebyś na razie jej o tym nie mówił. Zaczekaj do czasu, kiedy będziesz składał dokumenty.

Arnie wzruszył niezobowiązująco ramionami.

- Zabierzesz ze sobą samochód, oczywiście o ile będzie jeszcze wtedy działał...

- Na pewno będzie.

- ...i o ile trafisz na uczelnię, gdzie studenci pierwszego roku mogą trzymać na terenie miasteczka akademickiego swoje prywatne samochody.

Arnie spojrział ze zdumieniem na ojca. Gniew zniknął bez śladu, jego miejsce zaś zajęła niepewność. Tej ewentualności nie brał do tej pory pod uwagę.

- Na pewno nie pójdę tam, gdzie nie wolno mi będzie mieć własnego wozu - odparł tonem łagodnej perswazji, charakterystycznym dla nauczycieli uczących w szkołach dla dzieci niedorozwiniętych umysłowo.

- Widzisz? - zapytał Michael. - Matka ma rację. Dokonywanie wyboru uczelni według kryterium polityki jej władz w odniesieniu do samochodów studentów jest całkowicie irracjonalne. Ten wóz stał się twoją obsesją.

- I tak nie oczekiwałem, że mnie zrozumiesz.

Michael na sekundę zacisnął mocno usta.

- Tak czy inaczej, co znaczy mała przejażdżka autobusem na lotnisko po samochód, jeżeli chcesz pojechać gdzieś z Leigh? Oczywiście, że jest to pewna niedogodność, ale w gruncie rzeczy niezbyt wielka. Po pierwsze oznacza to, że będziesz korzystał z wozu tylko wtedy, kiedy naprawdę uznasz to za nieodzowne, dzięki czemu zaoszczędzisz sporo pieniędzy na paliwie. Po

drugie twoja matka uzna zniknięcie samochodu sprzed domu za swoje małe zwycięstwo. - Na twarzy Michaela znowu pojawił się ten sam smutny uśmiech. - Obaj wiemy, że w gruncie rzeczy nie chodzi jej o pieniądze. Dla niej to twój pierwszy świadomy krok wiodący o d niej... od nas. Wydaje mi się, że... cholera, sam nie wiem.

Przez chwilę przyglądał się w zamyśleniu synowi, Arnie zaś odpowiedział mu takim samym spojrzeniem.

- Weź go ze sobą na uczelnię. Nawet jeśli nie pozwolą ci trzymać go przy akademiku, są sposoby, żeby ominąć takie zarządzenie...

- Na przykład parking na lotnisku?

- Na przykład. Kiedy zjawisz się w domu na weekend, Regina będzie tak zachwycona twoim widokiem, że na pewno nawet słowem nie wspomni o samochodzie. Mało tego: załóżę się, że nawet pomoże ci go umyć i własnoręcznie wywoskuje nadwozie, jeżeli w zamian będzie mogła cały czas mieć cię na oku. To jeszcze tylko dziesięć miesięcy, Arnie. W naszej rodzinie znowu może zapanować pokój. Jedźmy.

Arnie wrzucił bieg, wyjechał z podjazdu i włączył się do ruchu.

- Ubezpieczyłeś go? - zapytał nagle Michael.

Arnie parsknął śmiechem.

- Chyba żartujesz? Jeżeli w tym stanie nie jesteś ubezpieczony od odpowiedzialności cywilnej i masz wypadek, to gliny rozszarpia cię żywcem na strzępy. Uznaliby, że to twoja wina nawet wtedy, gdyby tamten wóz spadł z nieba i wylądował ci na dachu. To jedna z metod, dzięki którym ci zasrańcy nie dopuszczają za kierownicę młodych ludzi, takich jak ja.

Michael otwierał już usta, by powiedzieć Arniemu, że znaczna część wypadków w Pensylwanii - 41 procent - jest powodowana przez małoletnich kierowców (dowiedział się tego od Reginy, która niedługo po tym, jak Arnie kupił samochód, przeczytała mu na głos artykuł zawierający tę informację), lecz doszedł do wniosku, że jego syn raczej nie byłby tym zainteresowany... a już na pewno nie w nastroju, w jakim się w tej chwili znajdował.

- Tylko od odpowiedzialności cywilnej?

Przejechali pod oświetloną tablicą z napisem LOTNISKO - LEWY PAS. Arnie włączył kierunkowskaz i zjechał na lewo. Michael wyraźnie się odprężył.

- Od następstw nieszczęśliwych wypadków możesz się ubezpieczyć dopiero wtedy, kiedy masz dwadzieścia jeden lat. Te zaszrane firmy ubezpieczeniowe są nieprawdopodobnie bogate, ale robią wszystko, żeby jak najbardziej zmniejszyć swoje ryzyko.

W głosie Arniego pojawiła się gorzka, zrzedliwa nuta, której Michael za nic nie mógł sobie przypomnieć z wcześniejszych rozmów z synem. Co prawda powstrzymał się od dania

głośno wyrazu swoim uczuciom, ale był zaskoczony i nawet trochę zdegustowany doborem słów, które usłyszał. Przypuszczał, iż Arnie w taki właśnie sposób rozmawiał ze swymi kumplami (tak przynajmniej powiedział Dennisowi Guilderowi, nie zdając sobie sprawy z faktu, że aż do ostatniej klasy szkoły średniej jedynym kumplem Arniego był właśnie Dennis), ale nigdy do tej pory nie wyrażał się w ten sposób w obecności któregoś z rodziców.

- W ogóle nie zwracają uwagi na to, jakim jesteś kierowcą i czy miałeś już jakieś wypadki - ciągnął Arnie. - Patrzą tylko w te swoje pieprzone tabele i wykresy. A nawet wtedy, kiedy już skończysz dwadzieścia jeden lat, ubezpieczenie kosztuje cię fortunę - jeśli nie jesteś żonaty, w ciągu pierwszych dwóch lat musisz im zapłacić więcej, niż wart jest cały samochód. Tak, zaszrańcy dobrze to sobie obmyślili. Nie ma co gadać, dobrze wiedzą, jak wyciągnąć ci forszę z kieszeni.

Przed nimi pojawiły się światła dworca lotniczego i spowite niebieskawą poświatą pasy startowe.

- Gdyby ktoś zapytał mnie, co stanowi najniższą rozwiniętą formę życia na ziemi, odpowiedziałbym, że agenci ubezpieczeniowi.

- Wygląda na to, że poświęciłeś temu problemowi sporo czasu - zauważył Michael. Nie odważył się powiedzieć nic więcej, gdyż Arnie zdawał się tylko czekać na sposobność, by ponownie dać upust swemu gniewowi.

- Byłem w pięciu firmach ubezpieczeniowych. Pomimo tego, co mówi mama, nie lubię wyrzucać pieniędzy w błoto.

- I zgodzili się tylko na odpowiedzialność cywilną?

- Tak jest. Za sześćset pięćdziesiąt dolarów rocznie.

Michael gwizdnął przeciągle.

- Właśnie - potwierdził Arnie.

Kolejna tablica poinformowała ich, że dwa lewe pasy prowadzą na parking, dwa prawe zaś przed halę odlotów. Przed wjazdem na parking jezdnia ponownie się rozwidlała; po prawej stronie znajdował się teren przeznaczony dla klientów zostawiających swoje samochody najwyżej na kilka godzin, po lewej natomiast parking długoterminowy, strzeżony przez dozorcę urzędującego w przeszklonej budce stojącej przy wjeździe i zajętego głównie oglądaniem programu w małym czarno-białym telewizorze oraz paleniem papierosów.

Arnie westchnął.

- Może masz rację. Może to rzeczywiście jest najlepsze rozwiązanie.

- Jestem tego pewien - odparł z ulgą Michael. Arnie znowu był sobą, a z jego oczu wreszcie znikł niepokojący ostry błysk. - Dziesięć miesięcy, to wszystko.

- Jasne.

Arnie zatrzymał samochód przy budce. Strażnik, młody chłopak w czarnopomarańczowym swetrze z emblematami szkoły średniej z Libertyville, odsunął szybę i wychylił się na zewnątrz.

- Słucham?

- Chciałbym zostawić wóz na miesiąc - powiedział Arnie, sięgając po portfel.

Michael przytrzymał go za rękę.

- Ja funduję, chłopcze.

Arnie delikatnie, lecz stanowczo odsunął jego dłoń i wyjął portfel.

- To mój samochód, więc ja będę za niego płacił.

- Ja tylko chciałem...

- Wiem. Ale mówię zupełnie serio.

Michael westchnął głośno.

- Domyślam się tego. Jesteście tacy sami, ty i matka. "Wszystko będzie w porządku, pod warunkiem, że zrobimy to tak, jak ja chcę!"

Arnie zacisnął na chwilę usta, ale zaraz się rozpogodził.

- Chyba masz rację - przyznał.

Spojrzeni na siebie, po czym obaj wybuchnęli śmiechem.

W tej samej chwili silnik Christine zgasł. Do tej pory pracował bez zarzutu, a teraz po prostu zgasł. Natychmiast zapaliły się lampki ciśnienia oleju i ładowania akumulatora.

Michael uniósł brwi.

- Co to takiego?

- Nie mam pojęcia - odparł z niepokojem Arnie. - Jeszcze nigdy nic takiego mi się nie zdarzyło.

Przekręcił kluczyk i silnik natychmiast zaczął działać.

- Chyba nic wielkiego - zauważył Michael.

- Będę musiał sprawdzić zapłon - mruknął Arnie. Dodał nieco gazu, wsłuchując się w warkot silnika; w tym momencie Michaelowi przemknęła myśl, że Arnie wcale nie wygląda jak jego syn, tylko jak ktoś zupełnie inny, starszy i znacznie bardziej twardy. Poczul w piersi krótkie, ale nadzwyczaj wstrętne ukłucie bólu.

- Hej, bierze pan bilet, czy będzie pan tak siedział całą noc i gadał o swoim zapłonie? - zapytał strażnik. Arniemu wydawało się, że skądś go zna, tak jak zna się przelotnie ludzi, z którymi przez jakiś czas chodzi się do tej samej szkoły, mijając na boisku i w korytarzach, ale poza tym nie ma się z nimi nic do czynienia.

- Tak, oczywiście. Przepraszam.

Podał pięciodolarowy banknot, strażnik zaś wręczył mu bilet Uprawniający do miesięcznego parkowania.

- Na końcu placu - poinformował chłopak w czarno-pomarańczowym swetrze. - Jeżeli chce pan mieć później to samo miejsce, trzeba przedłużyć rezerwację najpóźniej na pięć dni przed końcem miesiąca.

- W porządku.

Arnie pojechał na koniec parkingu. Cień Christine kurczył się i wydłużał, w miarę jak mijali kolejne sodowe światła. Znalazszy wolne miejsce wjechał w nie tyłem. Kiedy przekręcił kluczyk, wyłączając silnik, nagle skrzywił się i sięgnął ręką do pleców.

- Wciąż cię boli? - zapytał Michael.

- Tylko trochę - odparł Arnie. - Już prawie minęło, ale wczoraj znowu to poczułem. Chyba coś dźwignąłem nie tak jak trzeba. Nie zapomnij zamknąć od środka drzwi.

Kiedy wysiedli z samochodu, Michael od razu poczuł się lepiej. Odniósł wrażenie, że znajduje się teraz bliżej syna, a także, co nie było bez znaczenia, oddalił się od wspomnienia o roli blazna w czapeczce z dzwoneczkami, jaką odegrał w czasie niedawnej kłótni. Nagle nabral przeświadczenia, iż mimo wszystko ten wieczór nie zakończy się całkowitą klęską.

- Zobaczmy, jak szybko jedzie ten autobus - powiedział Arnie. Trzymając się blisko siebie ruszyli przez parking w kierunku krańcowego przystanku.

W drodze na lotnisko Michael zdążył wyrobić sobie zdanie na temat Christine. Ogrom pracy, jaki włożył Arnie w doprowadzenie jej do porządku, wywarł na nim wielkie wrażenie, lecz sam samochód wzbudził w nim autentyczną niechęć. Zdawał sobie sprawę, że żywiąc takie uczucia wobec nieożywionego przedmiotu zachowuje się co najmniej idiotycznie, lecz mimo to niechęć pozostała, wielka i wyraźna, niczym tkwiący w gardle, niemożliwy do przelknięcia kłęb obrzydzenia.

Nie potrafił określić jej przyczyny. Przypuszczał, iż jednym z powodów były wyniki w związku z Christine poważne nieporozumienia rodzinne, ale to z pewnością nie wszystko. Michaelowi nie podobał się wygląd Arniego siedzącego za kierownicą; sprawiał wtedy wrażenie kogoś zarazem aroganckiego i przewrażliwionego, upodabniając się do nieudolnego i słabego króla. Bezsilne narzekania na firmy ubezpieczeniowe... używanie szokujących i wstrętnych słów, takich jak "zasrańcy"... nagle zgaśnięcie silnika, kiedy wspólnie wybuchnęli śmiechem...

Oraz zapach. W pierwszej chwili można było nie zwrócić na niego uwagi, ale potem dawał się wyczuć. Nie zapach nowej tapicerki, bo ten nie miał w sobie nic nieprzyjemnego, ale cierpki, zagadkowy zapaszek starości. Cóż, przecież ten samochód jest stary, więc czego się spodziewałeś, na litość boską? - zadał sobie pytanie Michael. Tak, to miało sens. Nawet ogrom

pracy włożonej przez Arniego nie mógł zmienić faktu, że plymouth liczył sobie dwadzieścia lat. Ten gorzki, mulisty zapach mógł pochodzić ze starej wyściółki w bagażniku, spod nowych dywaników leżących na podłodze albo z wnętrza starych siedzeń obciągniętych nowymi obiciami. Był to po prostu zapach starości.

Mimo to ta niepokojąca, trudno uchwytna woń nie dawała mu spokoju. Chwilami przybierała na sile, tak że nie sposób było nie zwrócić na nią uwagi, by zaraz potem zupełnie zniknąć. Zdawała się nie mieć żadnego konkretnego źródła. W szczytowym nasileniu przypominała odór gnijącego ciała jakiegoś małego zwierzęcia - na przykład kota albo wiewiórki - które dostało się do bagażnika lub nawet do wnętrza ramy podwozia i zdechło.

Michael był dumny z tego, czego udało się dokonać synowi., i bardzo zadowolony, że wreszcie może wysiąść z jego samochodu.

## 22. SANDY

*Najpierw przeszedłem przed sklepem „Wpadnij i kup”.*

*Potem przejechałem przed sklepem „Wpadnij i kup”.*

*Wolałem jechać, niż iść,*

*Bo radio w woźie grało łup, łup!*

Jonathan Richman i Modern Lovers

Tego wieczoru - jak zresztą codziennie od osiemnastej do dwudziestej drugiej - dyżur na parkingu pełnił młody człowiek nazwiskiem Sandy Galton, jedyny z kręgu bliskich kumpli Buddy’ego Reppertona, który nie był naocznym świadkiem wydarzeń na zapleczu warsztatów, w wyniku których Repperton został wyrzucony ze szkoły. Arnie nie rozpoznał Galtona, ale Galton rozpoznał Arniego.

Buddy Repperton, usunięty ze szkoły i nawet w najmniejszym stopniu nie zainteresowany podjęciem działań mogących doprowadzić do jego ponownego przyjęcia na początku zimowego semestru, podjął pracę na stacji benzynowej należącej do ojca Dona Vandenberg. W ciągu kilku tygodni opanował do perfekcji wszystkie typowe metody oszustw - wydawanie za mało reszty śpieszącym się klientom, grę “w bieźnikowane” (polega ona na tym, że przyjmuje się od klienta zapłatę za nową oponę, zakłada mu się natomiast bieźnikowaną, chowając do kieszeni różnicę wynoszącą od piętnastu do sześćdziesięciu dolarów), opartą na podobnych zasadach grę “w używane części zamienne”, a także sprzedawanie fałszywych nalepek kontroli technicznej zdesperowanym szczeniakom ze szkoły średniej i pobliskiego Uniwersytetu Horlicks, pragnącym za wszelką cenę nie dopuścić do wycofania z ruchu ich przerdzewiałych rupieci.

Stacja była czynna dwadzieścia cztery godziny na dobę, Buddy zaś pracował na nocnej zmianie, od dziewiątej wieczorem do piątej rano. Zwykle około jedenastej poobijanym mustangiem Sandy’ego przyjeżdżali Moochie Welch i Sandy Galton, swoim firebirdem zjawiał się Richie Trelawney, Don natomiast przesiadywał na stacji niemal bez przerwy - oczywiście z wyjątkiem chwili, kiedy dla zachowania pozorów przyzwoitości wpadał na trochę do szkoły. W każdy weekend o północy na stacji zbierało się sześciu lub ośmiu chłopaków; siedzieli w kantorku, pili piwo z brudnych kubków i tanie wino “Texas Driver” prosto z butelki, palili skręty, pierdzieli, opowiadali świńskie dowcipy, bajdurzyli o ściupcianyach panienkach, a czasem nawet



pomagali Buddy'emu, jeżeli akurat na podnośniku stał jakiś samochód wymagający naprawy.

Podczas jednego z tych nocnych spotkań na początku listopada Sandy wspomniał mimochodem, że Arnie Cunningham trzyma swój wóz na długoterminowym parkingu przy dworcu lotniczym i nawet wykupił abonament na cały miesiąc.

Buddy, który zwykle znajdował się w stanie ponurego zamyślenia, odsunął raptownie tandetne plastikowe krzesło, na którym siedział, i postawił z rozmachem butelkę na również plastikowej szafce z wycieraczkami.

- Co powiedzialesz? - zapytał. - Cunningham? Stary Cunningham?

- Aha - odparł lekko zaniepokojony Sandy. - Właśnie on.

- Jesteś pewien? Ten chłoptaş, który wywalił mnie ze szkoły?

Sandy spojrział na niego z rosnącym przerażeniem w oczach.

- Tak. A bo co?

- Ma abonament na miesiąc i trzyma wóz na długoterminowym parkingu?

- Aha. Może jego starzy nie chcieli, żeby...

Sandy umilkł, gdyż na twarzy Buddy'ego Reppertona pojawił się uśmiech. Nie był to przyjemny widok, i to bynajmniej nie tylko z powodu mocno nadpsutych zębów, jakie wyloniły się spod uniesionych warg. Wyglądało to tak, jakby nagle ożyła jakaś stara, przerdzewiała maszyna i z mrozącym krew w żyłach zgrzytaniem zaczęła nabierać prędkości.

Buddy przeniósł spojrzenie z Sandy'ego na Dona, a następnie na Moochiego Welcha i Richiego Trelawneya. Oni także wpatrywali się niego, zainteresowani i odrobinę przestraszeni.

- Ciporyjec... - mruknął Repperton z łagodnym zdziwieniem. - Ciporyjec wyreperował swojego grata, a jego cudacznici staruszkowie kazali mu trzymać go na lotnisku...

Parsknął śmiechem.

Moochie i Don wymienili niepewne, choć zarazem gorliwe spojrzenia.

Buddy oparł łokcie na kolanach i nachylił się ku nim.

- Słuchajcie... - zaczął.

### 23. ARNIE I LEIGH

*Jadąc przed siebie moim wożem,  
Z dziewczyną przytuloną do boku,  
Skradłem jej całusa z doskoku,  
I czekałem, co zrobi potem.  
Radio brzęczało, a myśmy jechali  
Nie wiadomo dokąd i po co.*

Chuck Berry

Radio było włączone i z głośnika dobiegał chrapliwy głos Diona śpiewającego “Runaround Sue”, ale żadne z nich go nie słuchało.

Wsunąwszy dłoń pod jej obcisłą bawełnianą bluzeczkę natknął się na miękką cudowność piersi zwieńczonych twardymi z podniecenia sutkami. Oddychała płytko i szybko. Po raz pierwszy jej ręka sięgnęła tam, gdzie powinna, gdzie jej potrzebował, naciskając, głaszcząc i miętosząc, co prawda bez doświadczenia, ale z wystarczającym zapalem, by nadrobić ten brak.

Pocałował ją, a ona otworzyła szeroko usta wysuwając lekko język; pocałunek smakował jak głęboki oddech w odświeżonym deszczem lesie. Wyraźnie czuł promieniujące od niej podniecenie.

Nachylił się ku niej, podał się jej, i przez chwilę rozkoszował się odpowiedzią składającą się z czystej, niczym nie skażonej namiętności.

W chwilę potem został sam.

Arnie siedział na miejscu kierowcy oszołomiony i dezorientowany; w samochodzie na sekundę zapaliło się światło, po czym drzwi od strony pasażera zamknęły się z donośnym trzaskiem i światło zgasło.

Przez jakiś czas nie był w stanie się poruszyć, nie bardzo zdając sobie sprawę ani z tego, co się stało, ani nawet z tego, gdzie właściwie jest. W jego ciele zapanował całkowity chaos, na który składały się sprzeczne uczucia i fizyczne doznania w połowie cudowne, a w połowie wręcz przerażające. Bolały go gruczoły; penisa miał jak z kawałka żelaza; w jądrach czuł tępe pulsowanie, w krwiobiegu zaś uderzenia kolejnych fal adrenaliny.

Zacisnął pięść, rąbnął nią z całej siły w nogę, po czym otworzył drzwi, wyskoczył z samochodu i pobiegł za nią.

Leigh stała na samej krawędzi Skarpy, spoglądając w ciemność. Na jasnym prostokącie pośrodku tej ciemności szedł przed siebie Sylvester Stallone w stroju młodego przywódcy związkowego z lat trzydziestych. Arnie ponownie odniósł wrażenie, że żyje w cudownym śnie, który lada chwila może przerodzić się w koszmar... lub nawet już zaczął się w niego przeradzać.

Stała zbyt blisko krawędzi. Ujął ją za ramię i delikatnie odciągnął do tyłu. Grunt był suchy i spękany, nikt nie zatroszczył się o postawienie jakiegokolwiek barierki; gdyby nagle obsunęła się ziemia, byłoby po Leigh. Zatrzymałaby się dopiero gdzieś w podmiejskim osiedlu rozrzuconym w dole wokół kina dla zmotoryzowanych.

Od niepamiętnych czasów Skarpa stanowiła miejsce spotkań zakochanych. Znajdowała się na końcu Stanson Road - długiej krętej dwupasmówki, która po opuszczeniu granic miasta zawracała ku niemu, by zakończyć się ślepo w położonych niedaleko Libertyville wzgórzach, gdzie kiedyś istniała duża farma.

Był 4 listopada; deszcz, który zaczął padać tego sobotniego popołudnia, wieczorem zamienił się w deszcz ze śniegiem. Mieli tylko dla siebie całą Skarpę i darmowy (choć pozbawiony dźwięku) widok na położone w dole kino. Zaprowadził ją z powrotem do samochodu - nie stawiała żadnego oporu - myśląc, że jej policzki są mokre od deszczu. Dopiero w środku, w upiornym zielonkawym blasku tablicy przyrządów, zorientował się, że Leigh płacze.

- O co chodzi? - zapytał. - Co się stało?

Potrząsnęła głową i rozplakała się jeszcze bardziej.

- Czy ja... Czy zrobiłem coś, na co nie miałaś ochoty? - Przez chwilę pokonywał opór zaciśniętego gardła, by wreszcie wykrztusić: - Może nie chciałaś mnie tam dotknąć...?

Ponownie potrząsnęła głową, lecz Arnie nie miał pojęcia, co ten gest ma właściwie oznaczać. Przytulił ją niezgrabnie, mocno zaniepokojony. Gdzieś na granicy świadomości kolatała mu się myśl, że pada deszcz ze śniegiem, że czeka ich stromy zjazd do miasta, a on nie założył Christine zimowych opon.

- Jeszcze nigdy nie robiłam tego z żadnym chłopcem - wychlipała mu w ramię. - Pierwszy raz w życiu dotknęłam... wiesz, czego. Zrobiłam to dlatego, że chciałam. Dlatego, że miałam na to ochotę, to wszystko.

- W takim razie o co chodzi?

- Nie mogę... tutaj. - Słowa wydobywały się z jej ust powoli i opornie, jakby wypowiedzenie każdego z nich wiązało się dla niej z ogromnym bólem.

- Na Skarpie? - zapytał Arnie rozglądając się dookoła i myśląc nieprzytomnie, że być może Leigh myślała, iż przyjechali tu tylko po to, żeby obejrzeć za darmo "F. I. S. T".

- W tym samochodzie! - krzyknęła niespodziewanie. - Nie mogę kochać się z tobą w tym

samochodzie!

- Co...? - Wybaluszył na nią oczy. - O czym ty mówisz? Dlaczego?

- Dlatego że... Dlatego... Nie wiem! - Chciała powiedzieć coś jeszcze, nie dała rady i znowu wybuchnęła płaczem. Arnie przytulił ją i poczekał, aż się trochę uspokoiła.

- Po prostu nie wiem, którą z nas bardziej kochasz - wyszeptała Leigh, kiedy wreszcie odzyskała zdolność mówienia.

- Przecież to... - Umilkł na chwilę, uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Leigh, to szaleństwo!

- Czyżby? - zapytała, wpatrując się badawczo w jego twarz. - Z którą z nas spędzasz więcej czasu? Ze mną... czy z nią?

- Masz na myśli Christine?

Rozejrzał się dokoła z tym swoim zdziwionym uśmiechem na ustach, który czasem wydawał jej się uroczy, czasem przerażający... a czasem taki i taki zarazem.

- Tak - odparła bezbarwnym głosem. - Mam na myśli właśnie ją. - Opuściła wzrok na swoje dłonie leżące bezwładnie na błękitnych wełnianych spodniach. - Zdaje się, że to bardzo głupie.

- Z tobą spędzam znacznie więcej czasu - powiedział Arnie, potrząsając głową. - To szaleństwo... albo coś zupełnie normalnego, o czym ja nie wiem, bo nigdy przedtem nie miałem dziewczyny.

Wyciągnął rękę i dotknął pasma jej włosów spływających na ramię. Pod rozpiętą kurtką miała cienką, opiętą bawełnianą bluzeczkę z napisem: LIBERTYVILLE ALBO ŚMIERĆ; nabrzmiałe sutki odznaczały się pod nią tak wyraźnie, że Arniemu aż zakręciło się w głowie.

- Myślałem, że dziewczyny bywają zazdrosne o inne dziewczyny, nie o samochody.

Leigh roześmiała się cicho.

- Masz rację. To na pewno dlatego, że nigdy przedtem z żadną nie chodziłeś. Samochody są dziewczynami, nie wiedziałeś o tym?

- Och, daj spokój...

- W takim razie dlaczego nie nazywasz jej Christopherem?

Nagle z całej siły uderzyła otwartą dłonią w fotel. Arnie skrzywił się.

- Nie rób tego, Leigh.

- A co? Nie lubisz, jak się bije twoją dziewczynę? - zapytała z nieoczekiwaną zjadliwością.

- Bardzo mi przykro, Arnie - powiedziała szybko, kiedy dostrzegła bolesny grymas na jego twarzy.

- Naprawdę? - zapytał, taksując ją pozbawionym wyrazu spojrzeniem. - Wygląda na to, że

ostatnio nikt nie lubi mojego samochodu - ani ty, ani moi rodzice, ani nawet Dennis. Urobilem sobie przy nim ręce po lokcie, ale to dla nikogo nie ma żadnego znaczenia.

- Dla mnie ma - zapewniła go przyciszonym głosem. - Wiem, ile cię to kosztowało wysiłku.

- Taaak... - mruknął. Całe podniecenie i egzaltacja zniknęły bez śladu. Było mu zimno i odczuwał lekkie mdłości. - Wiesz, chyba powinniśmy już jechać. Nie mam zimowych opon. Twoi starzy mogliby nabrać podejrzeń, gdybyśmy pojechali na kręgielnię, a rozwalili się o drzewo na Stanson Road.

Leigh zachichotała.

- Oni nie wiedzą, dokąd prowadzi Stanson Road.

Uniósł brew i zerknął na nią spod oka.

- To ty tak myślisz - powiedział ze śladem niedawnego dobrego humoru w głosie.

Z powrotem jechał bardzo powoli, dzięki czemu Christine bez problemu radziła sobie z krętą, prowadzącą stromo w dół drogą. Rozrzucone na ziemi konstelacje światel Libertyville i Monroeville rosły coraz bardziej, by wreszcie stracić kształt i rozpaść się na poszczególne punkty świetlne. Leigh przyglądała się temu z odrobiną smutku, czując jak bezpowrotnie umyka najprzyjemniejsza część zapowiadającego się wspaniale wieczoru. Była zirytowana, rozdrażniona i nie mogła dojść ze sobą do ładu - przypuszczała, że ma to jakiś związek z rozbudzonym, a nie zaspokojonym pożądaniami. Bolały ją piersi. Nie wiedziała, czy pozwoliłaby Arniemu "pójść na całość", ale i tak od pewnego momentu wszystko potoczyło się nie tak, jakby chciała... oczywiście dlatego, że musiała zacząć kłapać jadaczką.

Jej ciało było zupełnie rozregulowane i to samo stało się z myślami. Podczas upływającej przeważnie w milczeniu jazdy otwierała kilka razy usta, by powiedzieć mu o tym, jak się czuła, lecz natychmiast je zamykała, bojąc się, iż nie zostanie zrozumiana - choćby dlatego, że nawet ona sama nie mogła siebie do końca zrozumieć.

Nie była zazdrosna o Christine... a jednocześnie była. Arnie nie powiedział jej prawdy. Doskonale wiedziała, jak wiele czasu spędzał majsterkując przy swoim samochodzie, ale czy mogła mieć mu to za złe? Miał zdolne ręce, lubił to robić, a samochód działał jak zegarek... nie licząc tej zabawnej historii z licznikiem mil kręcącym się do tyłu.

Samochody są dziewczynami - tak mu powiedziała. Nie zastanawiała się nad tym wcześniej; stwierdzenie po prostu samo wyskoczyło jej z ust. Z pewnością nie było stuprocentowo prawdziwe; nigdy nie przyszło jej do głowy, że samochód rodziców może mieć jakąś określoną płeć. Był to po prostu ford, i już.

Ale...

Zapomnij o tym, przestań zawracać sobie głowę takimi bzdurami. Przecież prawda jest o wiele bardziej zwariowana i brutalna, czyż nie tak? Tak długo, jak długo byli w samochodzie, nie mogła się z nim kochać, nie mogła go dotykać, a już zupełnie nie wchodziło w grę doprowadzenie go w ten sposób do orgazmu (ani w inny, naturalny, choć rozmyślała o tym często przed zaśnięciem, czując, jak ogarnia ją nowe i zupełnie do tej pory nie znane podniecenie).

Nie w samochodzie.

Najbardziej szalone w tym wszystkim było to, iż Leigh czuła, że Christine przygląda im się. Z zazdrością, niechęcią, być może nienawiścią. Szalone było również to, że czasem (na przykład teraz, gdy Arnie delikatnie i z wyczuciem prowadził plymoutha po coraz bardziej oblodzonej jezdni) odnosiła wrażenie, że ich dwoje - Arnie i Christine - jest ze sobą złączonych w niepokojącej parodii miłosnego aktu. Leigh nie czuła, że jedzie w Christine; wsiadając do niej odnosiła wrażenie, iż jest przez nią polykana. Pocałunki i fizyczna miłość stawały się w takich warunkach zboczeniem gorszym niż podglądactwo czy ekshibicjonizm, zamieniając się w spółkowanie we wnętrzu ciała rywalki.

A tak naprawdę chodziło po prostu o to, że nienawidziła Christine.

Nienawidziła i bała się jej. Z największą niechęcią podchodziła do niej od przodu lub od tyłu; tłukły się jej po głowie jakieś nie do końca uświadomione myśli o ogromnym czerwono-białym samochodzie ruszającym niespodziewanie z miejsca z powodu awarii ręcznego hamulca lub dlatego, że Arnie pozostawił ją omyłkowo na luzie. Nigdy nie miała takich myśli w kontekście samochodu rodziców.

Najczęściej jednak po prostu nie miała ochoty nic robić w samochodzie Arniego ani nawet nigdzie nim jechać. W chwili kiedy Arnie siadał za kierownicą, stawał się innym człowiekiem, którego właściwie prawie wcale nie znała. Uwielbiała czuć jego ręce na swoim ciele - na piersiach, udach i brzuchu, bo jeszcze nie pozwoliła dotknąć się tam, choć bardzo tego pragnęła. Miała wrażenie, że w chwili, gdy do tego dopuści, po prostu roztopi się z rozkoszy. Pod wpływem jego dotyku czuła w ustach miedziany smak podniecenia oraz odnosiła bardzo przyjemne wrażenie, że wszystkie jej zmysły znajdują się w pełnej gotowości do odbierania wszelkich możliwych doznań. Jednak w samochodzie uczucie to nie było tak wyraźne, jak gdzie indziej... być może dlatego, że Arnie stawał się tam mniej namiętny, a odrobinę bardziej wyuzdany.

Kiedy skręcili w jej ulicę, otworzyła ponownie usta, by opowiedzieć mu o swoich doznaniach, lecz także i tym razem nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Cóż w tym dziwnego?

W gruncie rzeczy nie miała o czym mówić - wszystko to były jedynie niejasne podejrzenia i nie do końca sprecyzowane domysły. To znaczy... Była jedna konkretna rzecz. Jednak nie mogła o tym powiedzieć, gdyż z pewnością sprawiłaby mu ogromną przykrość, a nie chciała tego uczynić, bo zdawała sobie sprawę, że powoli zaczynała go kochać.

Ale to był fakt.

Zapach. Ciężki, zgnily zapach przebijający się przez woń nowej tapicerki i płynu do mycia szyb. Trudno uchwytne, lecz okropnie nieprzyjemny, niemal wywołujący mdłości.

Zupełnie jakby coś wpełzło do samochodu i zdechło w jakimś kącie.

Arnie odprowadził ją do schodków wiodących na werandę i pocałował na dobranoc. Płatki śniegu i krople deszczu lśniły w żółtym blasku lampy. Te, które opadły na jej włosy, błyszczały niczym drogie kamienie. Chętnie pocałowałby ją na serio, ale fakt, że jej rodzice mogli obserwować ich przez okno salonu - i zapewne to robili - zmusił go do złożenia formalnego pocałunku, takiego jakim można pożegnać na przykład drogą kuzynkę.

- Przepraszam - szepnęła. - To było bardzo głupie.

- Wcale nie - odparł Arnie takim tonem, jakby chciał powiedzieć "oczywiście, że tak".

- Chodziło mi o to, że... - W ostatniej chwili na usta spłynęła jej przedziwna mieszanka prawdy i kłamstwa - ...że chyba nie powinniśmy robić tego w samochodzie. W żadnym samochodzie. Chcę, żebyśmy byli razem, ale nie gdzieś na poboczu jakieś ciemnej drogi. Rozumiesz mnie?

Skinął głową.

- Tak. - Na Skarpie, w samochodzie, trochę się na nią zezłościł... Szczerze mówiąc, po prostu się wściekł. Jednak teraz, stojąc na schodach jej domu, doszedł do wniosku, że jest w stanie ją zrozumieć i nawet zdumiał się, jak mógł mu w ogóle przyjść do głowy pomysł, żeby zrobić cokolwiek wbrew jej woli lub zmuszać ją do czegoś, na co nie miała ochoty. - Doskonale cię rozumiem.

Objęła go za szyję i przytuliła się do niego mocno. Nie zapięła kurtki, więc poczuł miękkie, oszalamiające dotyk jej piersi.

- Kocham cię - powiedziała po raz pierwszy, po czym uciekła do domu, pozostawiając go stojącego z obwisłą szczęką na werandzie, nie odczuwającego ani chłodu, ani zimnych ukąszeń zacinającego śniegu z deszczem.

Po pewnym czasie w jego osłupiałym umyśle zakiełkowała myśl, iż państwo Cabotowie mogą nieco się zdziwić, jeśli zobaczą go stojącego bez ruchu na werandzie ich domu. Uśmiechnął się, odwrócił na pięcie i pstrykając radośnie palcami ruszył betonową ścieżką. Jechał teraz górską kolejką w wesołym miasteczku, tą najwspanialszą ze wspaniałych, do której można wsiąść tylko

jeden jedyny raz w życiu.

Kiedy dotarł do miejsca, w którym ścieżka łączyła się z chodnikiem, przystanął i uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. Christine stała przy krawężniku; krople wody lśniły na jej masce i spływały po szybach, rozmazując widoczną niewyraźnie we wnętrzu czerwoną poświatę. Zostawił ją z pracującym silnikiem, który jednak zgasł. Już drugi raz.

- Mokre przewody, i to wszystko... - mruknął pod nosem. Na pewno nie była to wina świec, gdyż zaledwie dwa dni temu wkręcił w garażu Willa osiem nowiutkich championów, więc...

“Z którą z nas spędzasz więcej czasu? Ze mną... czy z nią?”

Uśmiech powrócił, lecz teraz był znacznie mniej pewny. Cóż, Ogólnie rzecz biorąc na pewno więcej czasu poświęcał samochodom, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Przecież pracował dla Willa. Ale myśleć, że...

Oklamałeś ją, prawda? Oklamałeś ją.

Nie - próbował usprawiedliwić się przed samym sobą. Nie wydaje mi się, żeby to można było tak nazwać...

Czyżby? W takim razie jak byś to nazwał?

Oklamał ją po raz pierwszy i jedyny od chwili, kiedy pojechali razem na mecz do Hidden Hills. Prawda wyglądała w ten sposób, że znacznie więcej czasu niż z nią spędzał z Christine i był wściekły, że musi trzymać ją na długoterminowym parkingu przy dworcu lotniczym, wystawioną na działanie wiatru i deszczu, a już niedługo śniegu...

Oklamał ją.

Więcej czasu poświęcał Christine.

A to było...

To było...

- Niewłaściwe - wyskrzecztał, lecz jego głos ugrzązł w niezwykle, tajemniczym szeleście padającego deszczu i śniegu.

Stał nieruchomo na chodniku wpatrując się w swój samochód, w tego wskrzeszonego cudownym sposobem podróżnika w czasie z ery Buddy Holly'ego, Chruszczowa i kosmicznego psa Łajki, i nagle zaczął go nienawidzić. Ten samochód coś mu zrobił. Nie wiedział dokładnie co, ale coś na pewno.

Dwie lampki płonące na tablicy przyrządów, zamazane za pokrytą wilgocią szybą i przypominające czerwone ślepie w kształcie pilek futbolowych, zdawały się spoglądać na niego kpiąco i zarazem z wyrzutem.

Arnie otworzył drzwi, wśliznął się za kierownicę i zatrzasnął je za sobą. Zamknął oczy. Natychmiast spłynął na niego błogi spokój; wszystko zdawało się wracać na swoje miejsce.



Rzeczywiście, okłamał ją, ale przecież było to niewielkie kłamstwo. Jedno z tych najmniej istotnych, a nawet w ogóle nieistotne.

Nie otwierając oczu wyciągnął rękę i dotknął małego skórzanego trójkąta, do którego były przyłączone kluczyki - stary i wymięty, miał wytłoczone litery R. D. L. Arnie nie widział najmniejszego powodu, dla którego miałby zmienić breloczek na nowy, ze swoimi inicjałami.

Jednak w tej skórzanym przywieszce było coś niezwykłego, prawda? Tak. Nawet bardzo niezwykłego.

Kiedy położył odliczoną gotówkę na stole w kuchni LeBaya, starzec zaś rzucił na kraciastą ceratę kluczyki, skórzaną trójkąt był poczerniałą ze starości, litery zaś prawie nieczytelne, wytarte od częstego dotykania i kontaktów z przedmiotami noszonymi w kieszeniach przez starego człowieka.

Teraz inicjały lśniły nowością, choć sam breloczek w dalszym ciągu wyglądał na swoje lata.

Jednak to także, podobnie jak kłamstwo, było mało istotne. Siedząc we wnętrzu metalowego ciała Christine miał pewność, że tak jest naprawdę.

Wiedział to. Wszystko nie miało żadnego znaczenia.

Przekręcił kluczyk. Zawył rozrusznik, lecz silnik nie chciał zapalić. Wilgotne przewody. Oczywiście.

- Proszę... - szepnął. - Nie bój się, wszystko jest po staremu, nic się nie zmieniło.

Silnik zakrzuszył się, ale nie zapalił. Rozrusznik wyl opętańczo. Marznąca mżawka wymieszana ze śniegiem uderzała w szyby. W środku było bezpiecznie i ciepło. Gdyby tylko jeszcze silnik zaczął pracować...

- No, dawaj! - wyszeptał Arnie. - Dawaj, Christine! Ruszaj, maleńka...

Silnik ożył. Czerwone lampki zamigotały i zgasły. Po chwili kontrolka ładowania akumulatora zażarzyła się stłumioną czerwienią, kiedy na krótko spadły obroty, lecz zaraz potem zgasła na dobre, gdy osiem tłoków zaczęło pracować w równym, jednostajnym rytmie.

Dmuchała owiewała mu stopy łagodnym strumieniem ciepłego powietrza, pomagając zapomnieć o panującym na zewnątrz chłdzie.

Arnie doszedł do wniosku, że wielu spraw Leigh nie była w stanie zrozumieć i zapewne nigdy jej się to nie uda. Dlatego, że nie widziała i nie słyszała tego, co działo się przedtem. Pryszczce. Okrzyki: "Ej, naleśnik!" Pragnienie nawiązania kontaktu z ludźmi i całkowita niemożność dokonania tego. Niezdolność. Nie rozumiała, że gdyby nie Christine nigdy w życiu nie zdobyłby się na to, by do niej zadzwonić, nawet gdyby wytatuowała sobie na czole CHCE CHODZIĆ Z ARNIEM CUNNINGHAMEM. Nie rozumiała, że chwilami czuł się starszy o

trzydzieści lat, niż był w istocie, a może nawet o pięćdziesiąt - zdawało mu się, iż nie jest młodym chłopakiem, lecz okrutnie steranym weteranem jakiejś nigdy nie wypowiedzianej wojny.

Poglaskał kierownicę, a zielone kocie oczy tablicy przyrządów spjrzały na niego uspokajająco.

- W porządku - powiedział. Omal nie westchnął.

Wrzucił bieg i włączył radio. Dee Dee Sharp śpiewała "Mashed Potato Time"; mistyczny nonsens płynący z ciemności na falach eteru.

Nacisnął pedał gazu i ruszył z miejsca mając zamiar pojechać na lotnisko, zostawić tam samochód i wrócić do domu autobusem odjeżdżającym o każdej pełnej godzinie w kierunku miasta. Zrobił to, lecz nie zdążył na autobus o jedenastej; wrócił następnym, o północy, i dopiero kiedy leżał już w łóżku myśląc nie o kłopotach z uruchomieniem silnika Christine, lecz o gorących pocałunkach Leigh, uświadomił sobie, że gdzieś między domem Cabotów a parkingiem przy dworcu lotniczym zgubił całą godzinę. Było to tak oczywiste, że poczuł się jak człowiek, który przetrząsnął dom do góry nogami w poszukiwaniu niezmiernie ważnego listu, by wreszcie przekonać się, że cały czas ścisną go w ręce. Oczywiście... i odrobinę przerażające.

Gdzie wtedy był?

Pozostało mu niewyraźne wspomnienie chwili, kiedy ruszył sprzed domu Leigh, a potem po prostu...

...po prostu jeździł.

Właśnie: jeździł, i to wszystko. Nic wielkiego.

Jeździł w gęstniejącym śniegu z deszczem po opustoszałych, coraz bardziej śliskich ulicach, bez zimowych opon (a mimo to Christine jakimś cudem nie wpadła nawet w najmniejszy poślizg, jakby sama wybierała najpewniejszą drogę i jakby sunęła na szerokich, błotno-śniegowych gumach), z włączonym radiem zalewającym go niewyczerpanym strumieniem starych przebojów, których tytuły składały się niemal wyłącznie z dziewczęcych imion: Peggy Sue, Carol, Barbara-Ann, Susie Darling.

Miał niejasne wrażenie, że w pewnej chwili trochę się przestraszył i wcisnął jeden z chromowanych przycisków w konwerterze, który zainstalował obok oryginalnego radia, lecz zamiast UKF-104 i Bloku Weekendowego wciąż odbierał tę samą stację z Pittsburgha, tyle tylko że disc jockey nie wiadomo czemu zaczął nagle mówić jak Alan Freed, a głos, który odezwał się w chwilę potem, był ochrypłym miauczeniem Wrzeszczącego Jaya Hawkinsa: "Rzuciłem na ciebie czaaaaar... Bo jesteś moja na wieceeki..."

A potem wreszcie ujrzał przed sobą lotnisko z przeciwniegielnymi światłami pulsującymi w rytmie bicia niewidzialnego serca. Cokolwiek docierało do niego przez radio, zamieniło się w

bezsensowny szum, więc wyłączył je. Wysiadając z samochodu poczuł ogromną, trudną do wytłumaczenia ulgę.

A teraz leżał w łóżku, potrzebując snu, lecz nie mogąc zasnąć. Za oknem padał gęsty, mokry śnieg.

To nie jest w porządku - pomyślał.

Coś się zaczęło, coś się działo. Nawet nie próbował okłamywać się, że nic o tym nie wie. To coś miało związek z jego samochodem - Christine. Wiele osób chwaliło go za to, jak wspaniale udało mu się ją odrestaurować. Kiedy przyjechał nią do szkoły, chłopcy z warsztatu obiegli ją niczym stado szarańczy, zaglądając pod podwozie, gdzie błyszcziała nowa rura wydechowa i elementy zawieszenia, oraz do silnika, podziwiając lśniącą chłodnicę, sprawdzając działanie prądnicy i zachwycając się idealnie dopasowanymi tłokami. Nawet filtr powietrza był zupełnie nowy, z wielką liczbą 318 wypisaną na pokrywie przechylonymi do tyłu cyframi.

Tak, ponad wszelką wątpliwość stał się dla nich kimś w rodzaju bohatera; przyjmował należne komplementy i zachwyty z odpowiednim pobłażliwym uśmiechem, ale czy nawet wtedy nie czuł gdzieś głęboko ledwo uchwytnego niepokoju? Oczywiście, że czuł.

Dlatego że nie pamiętał, co właściwie zrobił sam przy Christine, a czego nie zrobił.

Dni spędzone przy niej w Garażu Darnella skryły się za nieprzeniknioną, mglistą zasłoną, tak samo jak stało się z tą godziną przed dotarciem na lotnisko. Pamiętał, jak zaczynał klepać wgięty tylny błotnik, ale nie mógł sobie przypomnieć, kiedy go skończył. Pamiętał, jak lakierował maskę - najpierw musiał okleić szybę i wszystkie chromowane części taśmą ochronną - ale już nie mógł sobie przypomnieć, kiedy właściwie wymienił sprężyny w zawieszeniu ani gdzie je zdobył. Jedno, co pamiętał z najdrobniejszymi szczegółami, to długie godziny, jakie spędził siedząc bez ruchu za kierownicą samochodu, całkowicie oglupiały ze szczęścia... tak samo jak wtedy, kiedy Leigh szepnęła mu "Kocham cię", zanim uciekła do domu. Siedział tam nawet wtedy, kiedy większość mężczyzn pracujących przy swoich samochodach, a także sam Darnell, poszła już dawno na kolację. Siedział, włączał radio i słuchał starych przebojów nadawanych przez stację z Pittsburgha.

Chyba najgorsza była przednia szyba.

Był całkowicie pewien, że nie kupował nowej przedniej szyby. Gdyby to uczynił, spustoszenia na jego koncie byłyby znacznie większe od tych, które i tak tam stwierdził. Poza tym przecież miałby rachunek. Któregoś dnia zaczął go nawet szukać, ale nie znalazł; zresztą szczerze mówiąc, robił to bez większego przekonania.

Najpierw Dennis wspomniał coś o tym, że siatka pęknięć jest jakby mniejsza niż na

początku, a potem, w dniu meczu w Hidden Hills... po prostu zniknęła. Na szybie nie pozostała nawet najmniejsza rysa.

Ale kiedy to się stało? Jak to się stało?

Nie miał pojęcia.

Wreszcie zapadł w niespokojny sen. Chmury rozsunęły się, odsłaniając świecące zimnym blaskiem gwiazdy, a on przewracał się z boku na bok, miętosząc pościel i zwijając ją w przeupoconą kulę.

## 24. WIDZIANE W NOCY

*Wzmem cię na przejażdżkę moim wozem,  
Wzmem cię na przejażdżkę moim wozem,  
Wzmem cię na przejażdżkę,  
Wzmem cię na przejażdżkę,  
Wzmem cię na przejażdżkę moim wozem.*

Woody Guthrie

To był tylko sen. Niemal do samego końca była pewna, że to tylko sen.

Obudziła się w nim ze snu, w którym śniła o tym, że kocha się z Arniem, ale nie w samochodzie, tylko w jakimś bardzo zimnym błękitnym pokoju pozbawionym zupełnie mebli, za to wyłożonym miękkim puszystym dywanem i zarzuconym poduszkami powleczonymi jasnoblękitnym atlasem. Obudziła się z tego śnionego snu w swoim własnym pokoju, w niedzielę tuż przed świtem.

Usłyszała dobiegający z zewnątrz warkot. Podeszła do okna i spojrzała przez nie.

Christine stała przy krawężniku. Miała włączony silnik - Leigh widziała niebieski dym wydobywający się z rury wydechowej - lecz była pusta. W swoim śnie Leigh pomyślała, że pewnie Arnie stoi już przy drzwiach, choć jeszcze nie zapukał. Powinna szybko zejść na dół. Ojciec wściekłby się, gdyby wstał z łóżka o czwartej rano i zastał go przed swoim domem.

Mimo to nie poruszyła się. Spoglądała w dół na samochód myśląc o tym, jak bardzo go nienawidzi... i boi się go.

On także jej nienawidził.

Jesteśmy rywalkami - przemknęła jej myśl, lecz ta myśl - we śnie - nie była wcale ponura i zazdrosna, tylko raczej zrozpaczona i przerażona. Ona stała tam, przy krawężniku, przed jej domem, w martwych okopach przedświt, czekając na nią. Czekając na Leigh. *Zejdź do mnie, kochanie. Chodź do mnie. Pojedziemy gdzieś sobie i porozmawiamy o tym, która z nas bardziej go potrzebuje, która z nas bardziej się o niego troszczy i która okaże się dla niego lepsza. Chodź tutaj... Czyba się mnie nie boisz, prawda?*

Była przerażona.

To nie fair, ona jest starsza, zna różne sztuczki, oszuka go...

- Odejdź! - szepnęła Leigh we śnie i lekko zapukała w szybę. Szkło było zimne w dotyku,

jej palce zaś zostawiły wyraźne wilgotne ślady. Zdumiewające, jak bardzo szczegółowe potrafią być czasem sny.

To jednak musiał być sen. Musiał, gdyż samochód usłyszał ją. Ledwie stłumiony szept zdążył opuścić jej usta, kiedy wycieraczki ożyły, zmiatając śnieg z szyby pogardliwymi machnięciami, a w chwilę potem Christine ruszyła łagodnie z miejsca i odjechała...

Choć nikt nie siedział za kierownicą.

Leigh była tego całkowicie pewna. Tak pewna, jak tylko człowiek może być pewien czegoś, co wydarzyło się we śnie. Okno po stronie pasażera było przyprószone śniegiem, lecz mimo to widziała wyraźnie całe wnętrze samochodu; miejsce kierowcy było puste. A więc to musiał być sen.

Leigh wróciła do łóżka (w którym nie spał jeszcze nikt oprócz niej: podobnie jak Arnie, ona także nie miała do tej pory kochanka) myśląc o Bożym Narodzeniu sprzed wielu lat - dwunastu, a może nawet czternastu. W każdym razie z pewnością nie miała wtedy więcej niż cztery lata. Matka zabrała ją do jednego z wielkich domów towarowych w Bostonie, chyba do Filene...

Położyła głowę na poduszce i zasnęła (we śnie) z otwartymi oczami, patrząc w okno wypełniające się stopniowo nieśmiałym brzaskiem. Wkrótce - w snach wszystko może się zdarzyć - po drugiej stronie okna ujrziała dział z zabawkami: błyskotki, maskotki, światła.

Szukały czegoś dla Bruce'a, jedyne go siostrzeńca mamy. Sklepowy święty Mikołaj ryczał do mikrofonu - jego wzmocniony głos sprawiał złowieszcze wrażenie, kojarząc się nie z dobrodusznym staruszkiem obładowanym prezentami, lecz z szaleńcem ściskającym w dłoni zakrwawiony rzeźnicki topór.

Leigh wyciągnęła rękę ku jednej z wystaw i oświadczyła, że święty Mikołaj ma jej przynieść to.

*Nie, kochanie. Święty Mikołaj nie może ci tego dać. To zabawka dla chłopców.*

*Ale ja to chcę!*

*Święty Mikołaj przyniesie ci ładną lalczkę, może nawet Barbie...*

*Ja chcę to!*

*Tym bawią się tylko chłopcy, moja maleńka. Wszystkie grzeczne dziewczynki bawią się lalkami i...*

*Nie chcę LALKI! Nie chcę BARBIE! Ja... chcę... TO!*

*Jeżeli będziesz się tak zachowywać, mama zaraz zabierze cię do domu.*

Nie miała wyboru: musiała ustąpić. Pod choinkę dostała nie tylko Barbie, ale także jej przyjaciela Kena. Bardzo jej się podobali (tak jej się przynajmniej wydawało), lecz przed oczami wciąż miała czerwony samochód wyścigowy pędzący po miniaturowej szosie odtworzonej tak

pieczołowicie, że znajdowały się na niej nawet maleńkie słupki i bariery ochronne. Stanowiącą podstawę jej istnienia iluzję zdradzał dopiero fakt, że nigdzie nie można było nią dojechać, gdyż tworzyła koło. Ależ szybko jechał ten samochód, pozostawiając w jej oczach i umyśle czerwony magiczny ślad. Kryjące się za nim złudzenie również miało magiczną naturę, a było przy tym tak pociągające, że oddała mu się całym sercem. Polegało ono na tym, jakoby samochód jechał zupełnie sam. Leigh wiedziała jednak, że w rzeczywistości steruje nim człowiek siedzący w oszklonej budce, naciskając guziki na prostokątnym pulpicie. Matka powiedziała, że tak właśnie jest, więc na pewno tak było, choć jej oczy nie pozwalały w to uwierzyć.

Podobnie jak serce.

Stała zafascynowana, zacisnąwszy małe dłonie w rękawiczkach na poręczy otaczającej teren ekspozycji, gapiąc się na krążący bez końca samochód, aż wreszcie matka musiała ją stamtąd delikatnie odciągnąć.

A nad wszystkim unosił się złowieszczy, donośny śmiech sklepowego świętego Mikołaja.

Potem Leigh zapadła w głębszy sen, pozbawiony wspomnień i marzeń, na zewnątrz zaś światło dnia rozlało się jak zimne mleko, wydobywając z ciemności niedzielnie pustą i niedzielnie cichą ulicę. Cienka warstwa świeżego śniegu była nie naruszona, z wyjątkiem wyraźnych śladów opon skręcających do krawężnika przed domem Cabotów, a następnie prowadzących dalej, do skrzyżowania z najbliższą przecznicą.

Leigh wstała dopiero o dziesiątej (matka, która nie znosiła wylegiwania się w łóżku, zawołała ją, by wreszcie zeszła na dół i zjadła śniadanie przed obiadem), kiedy na dworze zrobiło się znacznie cieplej - w zachodniej Pensylwanii wczesny listopad bywa nieraz równie kapryśny jak wczesny kwiecień. Śnieg zdążył się już dawno stopić i ślady opon zniknęły.

## 25. BUDDY ODWIEDZA DWORZEC LOTNICZY

*Przyłóż mu rękę, ale dobrane.*

Bruce Springsteen

Pewnej nocy jakieś dziesięć dni później, kiedy w oknach szkół podstawowych zaczęły już pojawiać się wycięte z kartonu indyki i papierowe rogi obfitości, w drogę dojazdową wiodącą do długoterminowego parkingu przy dworcu lotniczym skręciło błękitne camaro o tak drastycznie podniesionym tylnym zawieszaniu, że wydawało się niemal trzeć nosem o jezdnię.

Sandy Galton wyrzwał z niepokojem ze swojej budki. Zza kierownicy spojrzała na niego szeroko uśmiechnięta, pokryta tygodniowym zarostem twarz Buddy'ego Reppertona. Szaleńczy błysk w jego oczach wywołany był nie tyle przedświątecznym nastrojem, co nadmiarem kokainy - razem z chłopcami zaaplikował sobie tego wieczoru potężną dawkę. W sumie Buddy Repperton przypominał nieco zdeprawowanego Clinta Eastwooda.

- Jak tam jajeczka, Sandy? - zapytał.

Nagrodził go posłuszny rechot z wnętrza samochodu. Siedzieli tam Don Vandenberg, Moochie Welch i Richie Trelawney. Dzięki solidnej porcji kokainy i sześciu butelkom taniego wina, które wychylili z tej okazji, czuli się dziarsko i pewnie. Przyjechali, żeby zabawić się z plymouthem Arniego Cunninghama.

- Jeżeli was złapią, wywalą mnie z roboty - powiedział nerwowo Sandy. Tylko on był zupełnie trzeźwy i żałował teraz gorzko, iż kiedykolwiek wspomniał, że Cunningham trzyma tutaj swojego grata. Na szczęście nie przyszło mu do głowy, że równie dobrze mógłby trafić do więzienia.

- Jeżeli wy albo któryś z waszych pieprzonych komandosów dostaniecie się do niewoli, sekretarz stanu zaprzeczy, że kiedykolwiek widział was na swoje pieprzone oczy - odezwał się z tylnego siedzenia Moochie Welch, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

Sandy rozejrzał się w poszukiwaniu ewentualnych świadków, lecz w ciągu najbliższej godziny nie odlatywały żadne samoloty i parking był równie opustoszały jak góry na Księżycu. Zrobiło się bardzo zimno; lodowaty wiatr hulał po pasach startowych i zawodził żałośnie między rzędami pustych samochodów. Wiszący nad budką szyld Apco kołysał się monotonicznie w lewo i prawo.

- Możecie się śmiać, barany - odparł Sandy. - Jak mnie ktoś zapyta, to nigdy was nie



widziałem. Jeśli was złapią, powiem, że akurat poszedłem się odesrać.

- Jezu, co za dzieciak! - jęknął boleśnie Buddy. - Nigdy nie myślałem, że taki z ciebie mazgaj, Sandy. Słowo daję.

- Hau, hau! - zaszczekał Richie. Zawtórował mu ryk śmiechu. - Lepiej połóż się na ziemi i udawaj trupa!

Sandy zarumienił się.

- Nic mnie nie obchodzi, co robicie - bąknął. - Tylko bądźcie ostrożni.

- Będziemy - odparł poważnie Buddy. Zachował jedną nie naruszoną butelkę wina i sporą dawkę koki. Teraz wręczył je Sandy'emu. - Masz, zabaw się trochę.

Sandy mimo woli uśmiechnął się.

- Dobra - mruknął, po czym dodał, żeby nie pomyśleli, że naprawdę jest mięczakiem: - Przyłóżcie się do roboty, chłopcy.

Uśmiech na twarzy Buddy'ego zamienił się w stalową maskę, z oczu zaś zniknął błysk, w wyniku czego stały się mętne, martwe i przerażające.

- Przyłożymy się - powiedział. - Możesz być tego pewien.

Camaro wjechał na parking. Przez chwilę Sandy mógł śledzić przesuające się powoli tylne światła, ale Buddy zaraz je wyłączył. Z pogrążonego w ciemności placu dobiegał jeszcze przez jakiś czas stłumiony pomruk silnika, lecz wkrótce i on zniknął w szumie wiejącego bez przerwy wiatru.

Sandy wysypał kokainę na ladę przy swoim przenośnym telewizorze i wessał ją do nosa przez rurkę zwiniętą z jednodolarowego banknotu, po czym zajął się butelką wina. Wiedział, że gdyby przyłapano go na picie w pracy, mógłby trafić do pudła, ale zupełnie się tym nie przejmował. Lepiej być pijanym niż spłoszonym jak zając i bez przerwy rozglądać się w poszukiwaniu szarej sylwetki samochodu Lotniskowej Służby Porządkowej.

Wiatr zmienił kierunek i teraz wiał w jego stronę, dzięki czemu Sandy słyszał... stanowczo więcej, niż miałby ochotę słyszeć.

Brzęk roztrzaskiwanego szkła, stłumiony śmiech, metaliczne uderzenie.

Ponownie brzęk szkła.

Cisza.

Głosy niesione podmuchami lodowatego wiatru, na tyle zniekształcone, że nie mógł odróżnić słów.

A potem istna lawina uderzeń. Sandy skrzywił się. Brzęk tłuczonego szkła, loskot metalu spadającego na beton - chyba jakaś chromowana część, pomyślał. Nagle zaczął żałować, że Buddy nie przywiózł mu więcej koki. Kokaina wprawiała człowieka w dobry nastrój, a to bardzo

by mu się teraz przydało. Wyglądało na to, że tam, w najbardziej odległej części parkingu, działo się coś bardzo niedobrego.

Nagle do jego uszu dotarł donośny, rozkazujący głos Buddy'ego:

- Zrób to!

Pomruk protestu.

Znowu Buddy:

- Nieważne! Na tablicę, jak ci powiedziałem!

Jeszcze jeden pomruk.

Buddy:

- Gówno mnie to obchodzi!

Z jakiegoś powodu wywołało to salwę śmiechu.

Sandy, mimo ksząjącego zimna złą obficie potem, zatrzasnął nagle okienko i włączył telewizor. Pociągnął tęgiego łyka z butelki; skrzywił się, poczuwszy smak soku owocowego zmieszanego z podłym alkoholem. Nie znosił tego, ale co miał począć, skoro oni wszyscy pili albo "Texas Driver", albo piwo "Iron City"? Gdyby zaczął strugać waśniaka albo kogoś lepszego od innych, Buddy na pewno wywaliliby go z paczki. Nie lubił maminsynków.

Napił się jeszcze trochę i poczuł się odrobinę lepiej - a w każdym razie odrobinę bardziej pijany. Kiedy w pewnej chwili obok budki przejechał jeden z wozów Lotniskowej Służby Porządkowej, nawet nie mrugnął okiem; kierowca pozdrowił go uniesioną dłonią, a Sandy odpowiedział takim samym, doskonale opanowanym gestem.

Po mniej więcej piętnastu minutach camaro zjawiło się ponownie, tym razem sunąc alejką wyjazdową. Odprężony i spokojny Buddy siedział za kierownicą trzymając między nogami opróżnioną w trzech czwartych butelkę wina. Uśmiechał się, Sandy zaś zauważył z niepokojem, że miał nabiegłe krwią, dzikie oczy. Nie działo się tak tylko za sprawą wina ani kokainy; Buddy Repperton nie był facetem, którego można robić w konia, i Arnie Cunningham już wkrótce powinien się o tym naocznie przekonać.

- Wszystko załatwione, przyjacielu - powiedział Buddy.

- To dobrze - odparł Sandy, usiłując się uśmiechnąć. Było mu odrobinę niedobrze. Ten cały Cunningham właściwie nic go nie obchodził, w dodatku zaś nie dysponował zbyt bujną wyobraźnią, ale mógł się mniej więcej domyślić, co poczuje tamten facet, kiedy zobaczy, co zostało z wielu godzin żmudnej pracy spędzonych przy remontowaniu czerwono-białego plymoutha. Ale to już sprawa Buddy'ego.

- To dobrze - powtórzył Sandy.

- Fiuta do góry, staruszku - powiedział Buddy i zachichotał.

- Jasne.

Był zadowolony, że już sobie jadą. Przemknęła mu myśl, że chyba powinien przestać się z nimi tak często spotykać. W gruncie rzeczy wcale mu się to nie podobało. To była już poważna sprawa. Może nawet zbyt poważna. Gdyby się uparł, mógłby pójść do szkoły wieczorowej. Co prawda musiałby zrezygnować wtedy z pracy, ale wcale by z tego powodu nie rozpaczał; to i tak była pieprzona, nudna robota.

Buddy wciąż przyglądał mu się z twardym, paskudnym uśmiechem na twarzy, więc Sandy przyłożył do ust butelkę i pociągnął tęgiego łyka. O mało się nie zakrztusił. Przez ułamek sekundy wyobraził sobie, że rzyga owocowym winem wprost na uniesioną twarz Buddy'ego i jego niepokój zamienił się w czyste przerażenie.

- Gdyby gliny pytały cię o coś, to nic nie widziałeś ani nie słyszałeś - pouczył go Repperton. - Tak jak powiedziałeś: gdzieś wpół do dziesiątej złapała cię sraka i musiałeś pójść do klopa.

- Jasne, Buddy.

- Wszyscy mieliśmy rękawiczki. Nie zostawiliśmy żadnych śladów.

- Jasne.

- Trzymaj się, Sandy - rzucił łagodnie Buddy.

- Dobra, dobra.

Camaro ruszyło powoli i Sandy nacisnął guzik podnoszący szlaban. Samochód potoczył się niespiesznie w kierunku drogi wyjazdowej z lotniska.

- Hau, hau! - zaszczekał ktoś z jego wnętrza. Głos dotarł do uszu Sandy'ego, mimo że musiał pokonać opór przeciwnego wiatru.

Walcząc z trapiącym go niepokojem usiadł na krześle i wpatrzył się w ekran telewizora.

Wkrótce przed wieczorną falą klientów, którzy codziennie przylatywali o dziesiątej czterdzieści z Cleveland, wylał przez okno resztkę wina. Nie miał już na nie najmniejszej ochoty.

## 26. CHRISTINE UPOKORZONA

*Transfuzja za transfuzją,*

*Och, już nigdy nie popędzę przed siebie,*

*Daj mi trochę krwi, bracie.*

“Nervous” Norvus

Nazajutrz po szkole Arnie i Leigh pojechali wspólnie na lotnisko, by zabrać Christine z parkingu. Mieli zamiar skoczyć do Pittsburgha po wczesne bożonarodzeniowe zakupy i cieszyli się, że mogą zrobić to razem, gdyż dzięki temu wydawali się sobie niezmiernie dorośli.

Arnie znajdował się w znakomitym nastroju. Podczas jazdy autobusem wymyślał różne zabawne historyjki o współpasażerach; śmiała się, mimo że miała okres, co zwykle wprawiało ją w ponury nastrój, a niemal zawsze wiązało się z dokuczliwym bólem. Według Arniego otyła kobieta w męskich butach była upadłą zakonnica, chłopak w kowbojskim kapeluszu drobnym krętaczem, i tak dalej, i tak dalej. Leigh przyłączyła się do zabawy, choć nie potrafiła mu dorównać. Zdumiewające, jak daleko wyszedł ze swojej skorupy, jak rozkwitł. Tak, to było najlepsze słowo. Czula radosną satysfakcję poszukiwacza złota, który domyślał się obecności drogiego kruszcu na podstawie wielu oznak i wreszcie przekonał się, że miał rację. Kochała Arniego, teraz zaś okazało się, iż miała ku temu wszelkie podstawy.

Wysiedli na krańcowym przystanku i trzymając się za ręce ruszyli ścieżką prowadzącą do parkingu.

- Całkiem niezłe - zauważyła Leigh. Pierwszy raz przyjechała z nim po Christine. - Dwadzieścia pięć minut od szkoły.

- Tak, nie najgorzej - przyznał Arnie. - Dzięki temu mam spokój w rodzinie, a to też się liczy. Mówię ci, kiedy mama wróciła wtedy do domu i zobaczyła Christine na podjeździe, mało nie oszalała z wściekłości.

Leigh roześmiała się, a mocniejszy podmuch wiatru rozwiał jej włosy. W porównaniu z nocą ociepliło się nieco, ale w dalszym ciągu panował przenikliwy chłód. Była z tego powodu bardzo zadowolona; podczas bożonarodzeniowych zakupów musi być choć trochę zimno. Tylko szkoda, że sklepy nie będą jeszcze odpowiednio udekorowane. Ale trudno, nie ma co narzekać. Nagle poczuła, że wszystko się jej podoba, a najbardziej to, że żyje i że jest zakochana.

Dość długo się nad tym zastanawiała. Wcześniej była już kilkakrotnie zadurzona, a raz,

jeszcze w Massachusetts, myślała nawet, że się zakochała, lecz w przypadku Arniego nie miała żadnych wątpliwości. Chwilami niepokoił ją - na przykład jego zainteresowanie samochodem przypominało czasem zwykłą obsesję - ale nawet takie niedobre momenty odgrywały w jej uczuciach znaczącą rolę - w uczuciach bogatszych niż wszystko, co przeżywała do tej pory. Część z nich, musiała to przyznać przed sobą, była egoistycznej natury: w ciągu ostatnich tygodni zaczęła nad nim pracować, aby uczynić go całkowitym.

Szli między samochodami w kierunku długoterminowego parkingu. Nad ich głowami samolot USAir podchodził właśnie do lądowania, pozostawiając za sobą ogromne fale huków. Arnie mówił coś do niej, ale grzmot silników zagłuszył jego słowa - chyba coś o obiedzie w Święto Dziękczynienia. Odwróciła się i spojrzała mu w twarz, śmiejąc się w duchu z jego poruszających się bezgłośnie ust.

W pewnej chwili, zupełnie niespodziewanie, usta przestały się poruszać. Arnie otworzył szeroko oczy... wybaluszył je... twarz wykrzywił mu paskudny grymas... ręka zacisnęła się, gniotąc boleśnie jej palce...

- Arnie...

Huk odrzutowych silników osłabł, lecz on zdawał się jej nie słyszeć. Zacisnął wargi w ohydny grymasie zdumienia i przerażenia. On ma chyba atak serca albo coś w tym rodzaju - przemknęło jej przez myśl.

- Arnie, co się stało?! - wykrzyknęła. - Arnie... auuuuu, to boli!

Na trudny do zniesienia ułamek sekundy dłoń, która jeszcze przed chwilą dotykała ją tak delikatnie i pieczotliwie, zacisnęła się z potworną siłą, miażdżąc jej palce jak w żelaznym imadle. Policzki Arniego pobladły, przybierając ołowianą barwę marmurowego nagrobka.

- Christine! - wykrztusił przez ściśnięte gardło i zerwał się do biegu. Leigh popędziła za nim, zawadziła nogą o wystający zderzak jakiegoś cadillaca, potknęła się, straciła równowagę, odzyskała ją i znowu pobiegła.

Uświadomiła sobie, że to musi mieć związek z samochodem - samochód, zawsze ten przeklęty samochód! - i ogarnął ją gorzki gniew, ogromny i pełen rozpacz. Po raz pierwszy pojawiła się myśl, czy Arniego w ogóle można kochać, czy on na to pozwoli.

Jednak gniew zniknął bez śladu w chwili, kiedy spojrzała... i zobaczyła.

Arnie podbiegł z wyciągniętymi przed siebie rękami do tego, co pozostało z jego samochodu, zatrzymał się przed nim tak raptownie, jakby próbował go odepchnąć i zamarł w klasycznej filmowej pozycji człowieka, który za moment zostanie uderzony przez pędzący pojazd. Stał tak przez jakiś czas, usiłując zatrzymać samochód i cały świat, a potem opuścił ręce. Jabłko Adama podskoczyło mu konwulsyjnie do góry, kiedy starał się coś przelknąć - jęk? krzyk? - po

czym jego szyja nabrzmiała jak u człowieka podnoszącego fortepian; widać było nie tylko wszystkie żyły i mięśnie, ale nawet poszczególne naczynia krwionośne.

Leigh podeszła powoli do niego. Wciąż bolała ją ręka, która następnego dnia miała opuchnąć i stać się właściwie zupełnie bezużyteczna, ale teraz o tym zapomniała. Otworzyła dla niego swoje serce i czuła wraz z nim jego ból i rozpacz, a przynajmniej wydawało jej się, że czuje. Dopiero później przekonała się, jak bardzo Arnie odgradził się od niej tego dnia, jak wielką część swojego cierpienia postanowił przeżyć zupełnie sam i jak ogromną porcję nienawiści udało mu się przed nią ukryć.

- Arnie, kto to zrobił? - zapytała łamiącym się głosem. Nigdy nie lubiła tego samochodu, lecz widząc, co teraz z niego zostało, zrozumiała, na czym polegało przywiązanie Arniego. Nie mogła już nienawidzić Christine - a w każdym razie tak jej się zdawało.

Nie odpowiedział. Stał bez ruchu z lekko pochyloną głową, wpatrując się w Christine płonącymi oczami.

Przednia szyba została rozbita w dwóch miejscach; garście odłamków klejonego szkła leżały na pociętych fotelach niczym drogocenne kamienie. Na betonie przed samochodem, obok czarnej ośmiornicy przewodów elektrycznych, leżała odłamana połowa zderzaka. Wybite zostały także trzy lub cztery boczne szyby. Całe nadwozie pokryte było otworami wykonanymi ostrym końcem jakiegoś metalowego narzędzia, najprawdopodobniej łyżki do opon. Przez otwór po wyłamanych drzwiach po stronie pasażera Leigh dostrzegła zdemolowaną tablicę przyrządów, oblepioną kłakami watoliny z pociętych siedzeń. Na podłodze pod kierownicą leżała ulamana wskazówka prędkościomierza.

Arnie okrążał powoli samochód, chłonąc ogrom zniszczeń. Leigh odezwała się do niego dwa razy, lecz on nie zareagował. Na jego ołowianych policzkach wystąpiły teraz dwie krwistoczerwone plamy, sięgające wysoko ponad kości policzkowe. Podniósł z betonu przypominającą ośmiornicę wiązkę kabli i Leigh zobaczyła, że była to pokrywa rozdzielacza wraz z wychodzącymi z niej przewodami. Ojciec powiedział jej, że tak to się nazywa, kiedy pewnego dnia przyglądała mu się, jak grzebie w silniku.

Przez chwilę przyglądał się zniszczonemu urządzeniu, jakby był to jakiś ciekawy okaz egzotycznego zwierzęcia, po czym cisnął je z powrotem na ziemię. Pod ich stopami trzeszczało rozbite szkło. Leigh przemówiła do niego po raz kolejny; kiedy znowu nie zareagował, oprócz wszechogarniającego żalu poczuła również strach. Później powiedziała Dennisowi, że wyglądało to tak - przynajmniej wtedy - jakby Arnie postradał zmysły.

Kopnął leżący mu na drodze fragment jakiejś chromowanej części. Metalowy strzęp uderzył z cichym brzękiem w ogrodzenie parkingu. Tylne światła były rozbite; dwie garście

drogich kamieni - tym razem rubinów - leżały na betonowej nawierzchni.

- Arnie... - spróbowała jeszcze raz.

Zatrzymał się i zajrzał do środka przez dziurę w bocznej szybie po stronie kierowcy. Z jego piersi wydobywał się dziki, niesamowity odgłos. Spojrzała mu nad ramieniem i nagle poczuła szaleńczą potrzebę, by jednocześnie śmiać się, wrzeszczeć i zemdleć. Na obudowie tablicy przyrządów... W pierwszej chwili nie zwróciła na to uwagi, oszołomiona rozmiarami nieszczęścia. Teraz zastanawiała się na pół świadomie, czując podchodzące do gardła nudności, kto mógł upaść tak nisko, tak nieprawdopodobnie nisko, żeby...

- Zasańcy! - ryknął Arnie nie swoim głosem - wysokim, piskliwym i naładowanym nienawiścią.

Leigh odwróciła się raptownie, chwyciła się zaparkowanego obok Christine samochodu i zwymiotowała, nie widząc nic oprócz rojowiska małych białych kropek, puchnących błyskawicznie niczym dmuchany ryż. Przemknęła jej niewyraźna myśl o wiejskim festynie, w którym kiedyś brała udział. Ustawiano wtedy na platformie wrak jakiegoś przywleczonego ze złomowiska pojazdu i za dwadzieścia pięć centów każdy, kto miał ochotę, mógł uderzyć trzy razy kowalskim młotem. W zabawie chodziło o to, żeby zdemolować samochód, ale nie... nie...

- Cholerni zasańcy! - ryknął Arnie. - Załatwię was! Załatwię was, choćby nie wiem co! Załatwię was, nawet gdyby to miała być ostatnia pieprzona rzecz, jaką zrobię w życiu!

Leigh poczuła kolejną falę mdłości i przez krótką, okropną chwilę zaczęła żałować, że kiedykolwiek spotkała Arniego Cunninghama.

## 27. ARNIE I REGINA

*Chciałbys przejechać się*

*Moim buickiem rocznik pięćdziesiąt dziewięć?*

*Czy chciałbys przejechać się*

*Moim buickiem rocznik pięćdziesiąt dziewięć?*

*Ma dwa gaźniki*

*I mogę włączyć turbo, gdy tylko przyjdzie mi chęć.*

### The Medallions

Wrócił do domu kwadrans po północy. Ubranie, które założył z myślą o wycieczce po zakupy do Pittsburgha, było wyplamione olejem i smarami. Ręce miał wręcz czarne, na grzbiecie lewej zaś widniało płytkie skaleczenie spowodowane omsknięciem się śrubokrętu. Na twarzy zamarł mu wyraz oszłomienia i bólu, oczy miał sine i podkrążone.

Matka siedziała przy stole nad rozłożoną planszą "samotnika". Czekala na jego powrót do domu, odczuwając głęboki niepokój. Leigh zadzwoniła do niej i opowiedziała, co się stało. Dziewczyna, która wywarła na niej całkiem niezłe wrażenie (choć oczywiście nie była wystarczająco dobra dla jej syna), miała taki głos, jakby cały czas płakała.

Zaniepokojona Regina zakończyła rozmowę najszybciej, jak tylko było można, i natychmiast zadzwoniła do Garażu Darnella. Leigh powiedziała, że Arnie wezwał stamtąd pomoc drogową i pojechał razem z kierowcą; wcześniej, nie zważając na jej protesty, wsadził ją do taksówki. Po drugim sygnale odezwał się astmatyczny, lecz mimo to głęboki głos:

- Garaż Darnella.

Odłożyła słuchawkę uświadomiwszy sobie, że popełniłaby poważny błąd, gdyby poprosiła go do telefonu. Wyglądało na to, że ona i Mike popełnili już wystarczająco dużo pomyłek, jeśli chodziło o Arniego i jego samochód. Zaczeka na jego powrót do domu i powie to, co ma do powiedzenia, patrząc mu prosto w twarz.

Powiedziała to teraz.

- Przykro mi, Arnie.

Byłoby lepiej, gdyby ta rozmowa mogła odbyć się w obecności Mike'a, ale Mike był w Kansas City, biorąc udział w symposium na temat początków wolnego handlu w średniowieczu. Wróci do domu dopiero w niedzielę, jeżeli ostatnie wydarzenia nie skłonią go do wcześniejszego



przyjazdu. Regina uważała to za całkiem możliwe. Uświadomiła sobie - nie bez skruchy - iż chyba dopiero teraz zaczęła sobie zdawać sprawę z powagi sytuacji.

- Przykro - powtórzył Arnie głuchym, bezbarwnym głosem.

- Tak. Ja... to znaczy my...

Umilkła, nie mogąc wykrztusić ani słowa więcej. W wyrazie jego nieruchomej twarzy było coś przerażającego. Miał zupełnie puste spojrzenie. Wszystko, na co potrafiła się zdobyć, to patrzeć na niego potrząsając głową, czując w nosie i gardle ohydny smak łez. Nienawidziła płaczu. Obdarzona silną wolą, jedna z dwóch córek w katolickiej rodzinie składającej się oprócz nich z ojca - wykwalifikowanego robotnika, matki i siedmiu braci, postanowiła za wszelką cenę dostać się na studia, choć ojciec uważał, że jedyne, czego uczą się tam porządne dziewczęta, to jak stracić dziewictwo i w jaki sposób oderwać się od Kościoła, zdążyła się nie raz i nie dwa przekonać co to znaczy płacz. Jeżeli jej własna rodzina uważała ją czasem za twardą i niewzruszoną, to tylko dlatego, że nie rozumieli, iż po przejściu przez piekło było się zahartowanym przez płonący tam ogień, oraz że jeśli trzeba było pokonać tak wielkie przeciwności, by postawić na swoim, to w człowieku rodziło się pragnienie, żeby od tej pory wszystko działo się już według jego woli.

- Wiesz, co ci powiem? - zapytał Arnie.

Pokręciła głową, wciąż czując pod powiekami pieczenie gorących łez.

- Rozśmieszasz mnie. Gdybym nie był tak zmęczony, ryczałbym ze śmiechu. Równie dobrze mogłaś być z tymi facetami, którzy to zrobili. Na pewno sprawiłoby ci to więcej przyjemności niż im.

- Arnie, to nieuczciwe!

- Właśnie, że to jest uczciwe! - ryknął na nią. Nagle jego oczy rozbłysły niesamowitym ogniem. Po raz pierwszy w życiu Regina poczuła strach przed swoim synem. - Twój pomysł, żeby zabrać go sprzed domu! Jego pomysł, żeby postawić go na parkingu przy lotnisku! Jak myślisz, kogo powinienem winić? No, jak myślisz? A może uważasz, że stałoby się to samo, gdybym trzymał go tutaj, co?

Zacisnąwszy pięści postąpił krok w jej kierunku; z najwyższym trudem opanowała się, by nie cofnąć się przed nim.

- Czy nie moglibyśmy o tym porozmawiać jak dwie rozumne ludzkie istoty? - zapytała.

- Jeden z nich zesrał się na tablicę przyrządów - poinformował ją lodowatym tonem. - To tyle na temat rozumu, mamo.

Wydawało jej się, że zdołała już zapanować nad łzami, ale ta wiadomość o potwornie głupiej, irracjonalnej nienawiści sprowadziła je ponownie. Zapłakała. Płakała rozpaczając nad

tym, co przeżył jej syn. Opuściła głowę i płakała ze zdumienia, bólu i strachu.

Odkąd została matką, zawsze w głębi duszy uważała się za lepszą od innych kobiet, które miały dzieci starsze od Arniego. Kiedy miał roczek, tamte matki trzęsły żałośnie głowami i mówiły jej, żeby poczekała, aż jej syn skończy pięć lat, bo dopiero wtedy zaczną się z nim prawdziwe kłopoty - będzie już umiał powiedzieć "gówno" na rodzinnej uroczystości z udziałem babci i dziadków oraz podejmie pierwsze próby bawienia się zapalkami. Jednak Arnold, w wieku dwunastu miesięcy nie przysparzający najmniejszych problemów, nie przysparzał ich również wtedy, kiedy miał pięć lat. Wówczas inne matki spoglądały z westchnieniem w niebo i ostrzegały ją, że najgorsze zacznie się w wieku dziesięciu lat. Potem z dziesięciu zrobiło się piętnaście - wówczas problemy miały już być bardzo poważnej natury, z rockowymi koncertami, narkotykami, dziewczętami, kradzeniem kolpaków z kół i różnymi... no... chorobami włącznie.

A ona cały czas uśmiechała się skrycie, gdyż wszystko toczyło się zgodnie z planem; dzieciństwo jej syna wyglądało tak, jak powinno było wyglądać jej dzieciństwo: miał troskliwych rodziców gotowych dać mu wszystko, czego tylko zapragnął (w granicach zdrowego rozsądku, ma się rozumieć), i którzy chcieli w przyszłości posłać go na taki uniwersytet, jaki sobie wybierze (oczywiście pod warunkiem, że będzie to dobry wybór), wieńcząc tym samym olśniewającym sukcesem grę/zawód/powołanie zwane Rodzicielstwem. Gdyby ktoś zwrócił jej uwagę, że Arnie ma niewielu przyjaciół i często dostaje cięgi od rówieśników, odparłaby oschle, iż ona chodziła do małomiasteczkowej szkoły w bardzo złej dzielnicy, gdzie chłopcy często darli dziewczętom bawelniane majtki, a następnie podpalali je zapalniczkami ozdobionymi wygrawerowanym wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa. A gdyby ktoś ośmielił się zasugerować, że jej metody wychowawcze różniły się jedynie pod względem materialnych celów od metod stosowanych przez tak bardzo przez nią znienawidzonego ojca, wpadłaby natychmiast we wściekłość i wskazała na swego idealnego syna jako na żywe zaprzeczenie takich insynuacji.

Teraz jednak jej idealny syn stał przed nią blady, wyczerpany, z rękami wymazanymi po łokcie w smarach, kipiąc takim samym, z najwyższym trudem tłumionym gniewem jak jego dziadek, wręcz upodabniając się do niego pod względem fizycznym. Wszystko rozsypało się na kawałki.

- Arnie, rano porozmawiamy o tym, co teraz powinniśmy zrobić - powiedziała, usiłując opanować się i powstrzymać płynące wciąż z jej oczu łzy. - Rano o wszystkim porozmawiamy.

- Chyba że wstaniesz bardzo wcześnie - odparł bez większego zainteresowania. - Zdrzemnę się jakieś cztery godziny, a potem znowu jadę do garażu.

- Po co?

Parsknął dzikim śmiechem i zamachał raptownie ramionami, jakby próbował zerwać się

do lotu.

- A jak myślisz? Mam mnóstwo pracy! Więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić!

- Przecież jutro musisz iść do szkoły! Nie, Arnie, ja... ja ci zakazuję! Kategorycznie zakazuję!

Utkwił w niej ciężkie spojrzenie, a ona znowu o mało nie cofnęła się o krok. To wszystko zaczynało przypominać jakiś potworny, nie mający końca koszmar.

- Nie bój się, pójdę do szkoły - powiedział. - Wezmę ze sobą ubranie na zmianę i nawet wykąpię się po pracy, żeby nikomu nie wykręciło nosa. Po lekcjach pojedę znowu do Darnella. Czeka mnie dużo pracy... bardzo dużo... ale wiem, że dam sobie radę. Tyle tylko, że pochłonie to sporo moich oszczędności i będę musiał trochę bardziej przyłożyć się do tego, co robię dla Willa.

- Twoja nauka... Twoje studia!

- Ach, to... - Uśmiechnął się jak nakręcana lalka. - Oczywiście, że na tym ucierpią. Nie będę cię oszukiwał. Nie mogę też obiecać, że zmieszczę się w górnych dziesięciu procentach wyników. Myślę, że dojadę jakoś do końca roku na trójkach, a może od czasu do czasu trafi się jakaś czwórka.

- Nie! Zapominasz o studiach!

Wyraźnie utykając zbliżył się do stołu, oparł na nim obie ręce i nachylił się ku niej. Obcy... Mój syn jest dla mnie zupełnie obcy... - pomyślała. Czy to naprawdę moja wina? Czy to naprawdę dlatego, że chciałam dla niego jak najlepiej? Czy to możliwe? Boże, błagam Cię, spraw, żeby to był tylko okropny sen, z którego obudzę się ze łzami w oczach...!

- W tej chwili zależy mi tylko na trzech rzeczach - wycedził, wpatrując się w nią nieruchomym spojrzeniem. - Na Christine, Leigh i na tym, żeby utrzymywać jak najlepsze stosunki z Willem Darnellem, bo wtedy mam szansę wyremontować ją tak, że będzie wyglądała jak nowa. Gównu mnie obchodzą studia. A jeśli nie odczepisz się ode mnie, w ogóle zrezygnuję ze szkoły. To chyba powinno poskutkować, skoro nic innego do ciebie nie dociera.

- Nie możesz tego zrobić... - wyszeptala. - Zrozum, Arnoldzie. Być może zasłużyłam sobie na twoją... na twoje okrucieństwo, ale będę walczyć ze wszystkich sił z tym, co zmusza cię do niszczenia samego siebie. Dlatego nie mów mi, że zrezygnujesz ze szkoły.

- Na pewno to zrobię - odparł. - Chcę, żebyś nie miała co do tego żadnych złudzeń. W lutym skończę osiemnaście lat i jeżeli do tego czasu nie odczepisz się ode mnie, nic nie zdoła mnie przed tym powstrzymać. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Idź spać - wykrztusiła przez łzy. - Idź już spać, bo łamiesz mi serce.

Ku jej przerażonemu zdumieniu roześmiał się.

- Czyżby? To boli, prawda? Wiem coś o tym.

Odwrócił się i odszedł powoli, wyraźnie utykając na lewą nogę. Wkrótce potem usłyszała na schodach jego ciężkie, zmęczone kroki. Ten odgłos przywiódł jej na myśl okropne wspomnienie z dzieciństwa, kiedy myślała, leżąc w łóżku: Potwór wreszcie idzie spać.

Wybuchnęła spazmatycznym łkaniem, wstała niezgrabnie z krzesła i wyszła tylnymi drzwiami z domu, by wypłakać się w samotności. Objęła się mocno ramionami - niewielka pociecha, ale lepsza niż żadna - i spojrzała przez lzy na zamazany, poczwórny sierp księżyca. Wszystko się zmieniło, a stało się to z szybkością cyklonu. Syn nienawidził jej, widziała to w jego twarzy. Nie był to napad złego humoru, chwilowy żal ani przejściowy wybryk niedojrzałej dorosłości. On po prostu jej nienawidził, a przecież nie tak miało być między nią a jej ukochanym chłopcem.

Zupełnie nie tak.

Stała na progu i płakała tak długo, że lzy zdążyły uterować sobie na jej policzkach ścieżki i płynęły szybko jedna za drugą, pochlipywania zaś zamieniły się w okazjonalne, urwane westchnienia. Nocny chłód kąsał jej gołe nogi i przedzierał się bez trudu przez cienką podomkę. Wróciła do domu i weszła na górę. Prawie minutę stała niezdecydowanie przed drzwiami pokoju Arniego, zanim nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Zasnął w spodniach na nie zasłanym łóżku. Wyglądał nie tyle na pogrążonego we śnie, co raczej na nieprzytomnego, jego twarz zaś wydawała się nieprawdopodobnie stara. Obserwując go w przyćmionym świetle wpadającym z korytarza przez uchylone drzwi, odniosła przez chwilę wrażenie, iż ma mocno przerzedzone włosy, uchylone usta zaś są zupełnie pozbawione zębów. Z jej gardła wydobył się rozpaczliwy skrzek i nie zastanawiając się pobiegła do niego.

Z bliska przekonała się jednak, że to on, Arnie, i że złudzenie wywołane było przez słabe oświetlenie i jej pobudzoną ostatnimi przeżyciami wyobraźnię.

Zauważyła, że nastawił budzenie na 4.30; przemknęła jej myśl, czy nie powinna wyłączyć brzęczyka i nawet wyciągnęła już rękę, ale okazało się, że nie jest w stanie tego zrobić.

Poszła do swojej sypialni, usiadła przy stoliku i wzięła do ręki słuchawkę. Trzymała ją przez dłuższy czas, zastanawiając się głęboko. Jeżeli zadzwoni do Mike'a w środku nocy, gotów jeszcze pomyśleć, że...

Że stało się coś okropnego?

Zachichotała mimowolnie. Przecież się stało, prawda? I działo się w dalszym ciągu.

Wykręciła numer Ramada Inn w Kansas City, gdzie zatrzymał się jej mąż, zdając sobie niejasno sprawę z tego, że po raz pierwszy od chwili, kiedy przed dwudziestu siedmiu laty opuściła na zawsze ponury dwupiętrowy dom w Rocksburgu, wzywa kogoś na pomoc.

## 28. LEIGH SKŁADA WIZYTĘ

*Nie chciałbym robić zbytniego rejwachu,  
Ale czy opchniesz mi swój magiczny autobus, brachu?  
Zwisa mi, ile za niego zabule,  
Ale koniecznie muszę odwiedzić moją brzydulę.  
Muszę go mieć... Muszę go mieć... Muszę go mieć...  
(Nic z tego, koleś... Cześć).*

The Who

Przez większą część opowieści udało jej się przebrnąć bez problemów. Siedziała ze ściśniętymi mocno kolanami na jednym z dwóch krzeseł przeznaczonych dla gości, ubrana w ładny różnokolorowy wełniany sweter i brązową sztruksową spódniczkę. Rozpląkała się dopiero pod sam koniec i nie mogła znaleźć chusteczki. Dennis Guilder wręczył jej pudełko jednorazówek stojące na szafce przy łóżku.

- Uspokój się, Leigh - powiedział.

- Ja... uuu-uuu... Nie mogę! Od tamtej pory ani razu mnie nie odwiedził... W szkole wygląda na okropnie zmęczonego... A ty powiedziałaś, że tutaj też nie był...

- Przyjdzie, jak będzie mnie potrzebował - odparł Dennis.

- Idiotyczne, zarozumiałe samcze pieprzenie! - prychnęła, po czym raptownie umilkła, w komiczny sposób zdumiona tym, co powiedziała. Łzy wyżłobiły sobie kręte ścieżki w jej dyskretnym makijażu. Leigh i Dennis przez chwilę spoglądali na siebie bez słowa, po czym parsknęli śmiechem. Był to jednak bardzo krótki śmiech, a w dodatku niezupełnie szczery.

- Rozmawiał z nim Motopaszczka? - zapytał Dennis.

- Kto?

- Motopaszczka. Tak Lenny Barongg nazwał pana Vickersa, tego od poradnictwa.

- Aha. Tak, chyba tak. W każdym razie przedwczoraj wezwali go tam, ale nic mi potem nie powiedział, a ja nie miałam odwagi, żeby go zapytać. W ogóle nic nie mówi. Zrobił się bardzo dziwny.

Dennis skinął głową. Wątpił, czy Leigh zdawała sobie z tego sprawę - chyba nie, gdyż była zbyt głęboko pogrążona we własnych zmartwieniach i niepewności - ale myśląc o Arniem doznawał coraz wyraźniejszego uczucia bezsilności i nasilającego się strachu. Sądząc z wieści,

jakie w ciągu ostatnich dni dotarły do niego, Arnie znajdował się na krawędzi nerwowego załamania. Relacja Leigh stanowiła najświeższy i najbardziej oczywisty dowód. Jeszcze nigdy do tej pory Dennis nie chciał tak bardzo wyjść ze szpitala. Oczywiście mógł zadzwonić do Vickersa i zaoferować swoją pomoc, a także mógł zadzwonić do Arniego... tyle tylko, że według słów Leigh Arnie był teraz zawsze albo w szkole, albo w Garażu Darnella, albo spał. Powiedziała mu, że jego ojciec wrócił wcześniej z jakiegoś sympozjum i u Cunninghamsów doszło do kolejnej kłótni. Choć Arnie nie przyznał się przed nią do tego, to Leigh podejrzewała, iż niewiele brakowało, by po prostu wyprowadził się z domu.

Z kolei Dennis nie miał najmniejszej ochoty dzwonić do Garażu Darnella.

- Co mam począć? - zapytała Leigh. - Co ty byś zrobił na moim miejscu?

- Zaczekaj - odparł Dennis. - Zdaje się, że to jedyne, co ci pozostało.

- I jednocześnie najtrudniejsze... - szepnęła tak cicho, że ledwo usłyszał. Bezwiednie miała i szarpała jednorazową chusteczkę, Obsypując brązową spódniczkę białymi strzępkami. - Rodzice chcą, żebym przestała się z nim spotykać. Boją się... Boją się, że Repperton i reszta spróbują czegoś innego.

- A więc jesteś pewna, że to sprawka Buddy'ego i jego koleśków?

- Tak. Wszyscy tak uważają. Pan Cunningham zawiadomił nawet policję, choć Arnie prosił, żeby tego nie robił. Powiedział, że sam wyrówna rachunki i zdaje się, że to najbardziej ich przeraziło. Mnie zresztą też. Policja zatrzymała Buddy'ego i jednego z jego przyjaciół, tego, którego nazywają Moochie... Wiesz, o kim mówię?

- Tak.

- I tego chłopca, który pracuje na parkingu przy lotnisku. Zdaje się, że nazywa się Galton...

- Sandy Galton.

- Widocznie podejrzewają, że był z nimi albo przynajmniej wpuścił ich na parking...

- Owszem, trzyma się z nimi, ale nie jest tak zdegenerowany jak reszta. Skoro to wszystko wiesz, musiałaś jednak z kimś rozmawiać.

- Najpierw z panią Cunningham, a potem z jej mężem. Chyba żadne z nich nie wie, że rozmawiałam z nimi obojgiem. Są strasznie...

- Przygnębieni - odpowiedział Dennis.

Potrząsnęła głową.

- Więcej. Oboje wyglądają, jakby... jakby byli półprzytomni czy coś w tym rodzaju. Jej wcale mi nie żal, bo cały czas sprawia wrażenie, jakby zależało jej tylko na tym, żeby postawić na swoim, ale strasznie mi przykro z powodu pana Cunninghama. Jest taki... taki... - Umilkła na

chwile, po czym ciągnęła: - Kiedy pojechałam tam wczoraj zaraz po szkole, pani Cunningham kazała mi mówić do siebie po imieniu, ale jakoś nie moge się przemóc...

Dennis uśmiechnął się.

- A ty możesz? - zapytała Leigh.

- Tak, ale miałem znacznie więcej czasu, żeby się przyzwycząić.

Po raz pierwszy podczas tej wizyty na jej twarzy pojawił się szczerzy uśmiech.

- Chyba właśnie na tym polega różnica. W każdym razie, kiedy tam przyjechałam, ona była w domu, ale pan Cunningham nie wrócił jeszcze ze szkoły... to znaczy z uniwersytetu...

- Aha.

- Wzięła zwolnienie do końca tygodnia. Powiedziała mi, że nie czuła się na siłach, żeby iść do pracy, mimo że do Święta Dziękczynienia zostały tylko trzy dni.

- Jak wyglądała?

- Okropnie - odparła Leigh i sięgnęła po kolejną chusteczkę, po czym natychmiast zaczęła szarpać jej brzegi. - Pierwszy raz widziałam ją miesiąc temu, a teraz sprawia wrażenie, jakby przez ten czas postarzała się o dziesięć lat.

- A on? Michael?

- Też wydaje się starszy, ale i twardszy. - Zawahała się. - Jakby... jakby nagle zaczął działać na wyższych obrotach.

Dennis nic nie odpowiedział. Znał Michaela Cunninghama od trzynastu lat, lecz jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się widzieć go działającego na wysokich obrotach, więc nie mógł wypowiadać się w tej kwestii. W domu Cunninghamów na obrotach była zawsze Regina; Michael podążał jej śladem, zajmował się przyrządzaniem drinków podczas kolacji, na których zjawiali się najczęściej inni wykładowcy z uniwersytetu, słuchał muzyki z magnetofonu, robił melancholijne miny... Nie, nawet starając się ze wszystkich sił Dennis nie potrafił wyobrazić go sobie na wysokich obrotach.

“Ostateczne zwycięstwo” - powiedział kiedyś ojciec Dennisa stojąc przy oknie i obserwując Reginę prowadzącą Arniego za rękę do samochodu, za którego kierownicą siedział Michael. Arnie i Dennis mieli wtedy mniej więcej po siedem lat. “Tryumf absolutny. Ciekawe, czy każe temu nieszczęsnemu kolkowi zaczekać w samochodzie nawet wtedy, kiedy Arnie będzie brał ślub. A może...”

Nie dokończył zdania, gdyż matka przywołała go do porządku, wskazując wzrokiem syna i przykładając ostrzegawczym gestem palec do ust. Dennis nigdy nie zapomniał ani tego gestu, ani słów ojca. Co prawda mając siedem lat nie rozumiał zbyt wiele, ale nawet w tym wieku wiedział doskonale, co oznacza określenie “nieszczęsny kolek”. Nawet jako siedmioletni chłopak

domyślał się niejasno, dlaczego ojciec nazwał w ten sposób Michaela Cunninghama. Zrobiło mu się żal tego człowieka... i od tej pory było mu go żal zawsze, aż do chwili obecnej.

- Przyjechał wtedy, kiedy ona kończyła opowiadać mi swoją wersję wydarzeń - ciągnęła Leigh. - Chcieli, żebym została na obiedzie - Arnie jada posiłki u Darnella - ale powiedziałam im, że muszę wracać do domu. Pan Cunningham zaproponował, że mnie odwiedzie i po drodze opowiedział mi swoją wersję.

- Czyżby znajdowali się po przeciwnych stronach?

- Niezupełnie, ale... To pan Cunningham zawiadomił policję. Arnie nie chciał o tym nawet słyszeć, a pani Cunningham... to znaczy Regina... nie potrafiła się na to zdobyć.

- Wygląda na to, że Arnie postanowił wszystko załatwić zupełnie sam, prawda? - zapytał ostrożnie Dennis.

- Chyba tak... - szepnęła Leigh, po czym nagle wybuchnęła: - Ale to nie wszystko! On wszedł w jakieś ciemne interesy z tym Darnellem, jestem tego pewna! Wczoraj w szkole powiedział mi, że po południu i wieczorem skończy zakładać nowe przednie zawieszenie, a kiedy zapytałam go, czy to jest bardzo drogie, uśmiechnął się i mruknął, żebym się nie martwiła, bo ma otwarty duży kredyt...

- Zwolnij trochę.

Po jej policzkach znowu płynęły łzy.

- Ma otwarty duży kredyt, bo razem z kimś, kto nazywa się Jimmy Sykes, będą w piątek i sobotę załatwiać różne sprawy dla Willa Darnella. Tak mi powiedział, a ja... a ja myślę, że to na pewno jest coś nielegalnego!

- Co powiedział policjantom, kiedy pytali go o Christine?

- Że znalazł ją... w takim stanie. Chcieli wiedzieć, czy podejrzewa, kto mógł to zrobić, a on powiedział, że nie. Wtedy zapytali go, czy to prawda, że został zaatakowany przez Buddy'ego Reppertona, który wyciągnął nóż i został za to wyrzucony ze szkoły. Arnie wyjaśnił, że Buddy wytrącił mu z ręki torebkę z drugim śniadaniem i rozdeptał ją, a wtedy nadszedł pan Casey, który rozdmuchał całą sprawę. Oni na to, czy to prawda, że Buddy odgrażał się, że się z nim porachuje, ale Arnie wzruszył tylko ramionami i powiedział, że może coś takiego było, ale samo gadanie nic nie znaczy.

Dennis patrzył w milczeniu przez okno na pochmurne listopadowe niebo, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Wydało mu się to co najmniej złowieszcze. Jeżeli Arnie rzeczywiście rozmawiał z policją tak, jak wynikało z relacji Leigh, to nie powiedział ani jednego kłamstwa, lecz przedstawił wszystko w takim świetle, iż wydarzenia na zapleczu warsztatów wyglądały na niewinną przepychankę.



Dennis uznał to za bardzo niepokojące.

- Nie wiesz, co Arnie może robić dla tego Darnella? - zapytała Leigh.

- Nie - odparł, choć miał pewne podejrzenia. Ruszył mały magnetofon ukryty w jego pamięci i Dennis usłyszał głos ojca: "Słyszałem to i owo... kradzione samochody... papierosy i alkohol... przemysł... Do tej pory miał dużo szczęścia..."

Spojrzał na twarz Leigh; była blada, z makijażem pooranym kanalikami wyżłobionymi przez łzy. Trzymała się Arniego z całych sił. Być może przy okazji dowiedziała się o świecie czegoś, o czym w normalnych warunkach nie wiedziałaby jeszcze przez co najmniej dziesięć lat, ale to wcale jej nie pomagało i na pewno nie było słuszne. Nagle zaświtała mu nie związana zupełnie z tematem rozmowy myśl, że pierwsze symptomy poprawy wyglądu Arniego dostrzegł na jakiś miesiąc przed początkiem jego fascynacji Leigh... ale na pewno po tym, jak w jego życiu pojawiła się Christine.

- Porozmawiam z nim - obiecał.

- To dobrze - powiedziała i podniosła się z miejsca. - Wiesz, Dennis... Nie chcę, żeby wszystko było jak przedtem, i wiem, że już nigdy nie będzie, ale nadal go Kocham... i chcę, żebyś mu to powtórzył.

- W porządku.

Oboje byli zażenowani i przez dłuższą chwilę żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Dennis pomyślał, że gdyby to wszystko działo się nie naprawdę, lecz na przykład w piosence country, właśnie w tej chwili wkroczyłby do akcji Najlepszy Przyjaciel. Nieuczciwa, paskudna (i lubieżna) część jego duszy nie miałaby nic przeciwko temu. Nic a nic. Leigh wciąż bardzo go pociągała, bardziej niż jakakolwiek dziewczyna od dłuższego czasu. Może nawet bardziej niż jakakolwiek w ogóle. Niech Arnie wozi sobie do Burlington fajerwerki i whisky i grzebie przy tym swoim gracie. W tym czasie on i Leigh zdążą się lepiej poznać. Odrobina współczucia i pociechy. Wicie, jak to jest.

Przez krótką, ledwo uchwytną chwilę, tuż przed tym, jak wyznała swoją miłość do Arniego, wydawało mu się, że potrafiłby to zrobić. Była przecież tak bardzo wrażliwa. Co prawda uczyła się, jak być twardą, ale na te lekcje nikt nie uczęszcza z ochotą. Mógłby coś powiedzieć... coś, co się zwykle mówi w takich sytuacjach... na przykład: "Chodź tutaj". Przyszłaby, usiadła na skraju łóżka, porozmawialiby jeszcze trochę na jakiś przyjemniejszy temat, a potem może by ją pocałował. Miała cudowne, zmysłowe usta, stworzone wyłącznie do pocałunków. Pierwszy pocałunek byłby na pocieszenie. Drugi z przyjaźni. A trzeci załatwiłby sprawę. Instynkt, który do tej pory raczej go nie zawodził, podszeptował mu, że coś takiego było zupełnie możliwe.

Mimo to nie powiedział nic, co mogłoby zaowocować takim rozwojem sytuacji; nie

uczyniła tego również Leigh. Między nimi tkwił Arnie i nic nie wskazywało na to, żeby kiedykolwiek miało to ulec zmianie. Arnie i jego dama. Roześmiałby się, gdyby sytuacja nie była tak niedorzeczna i upiorna.

- Kiedy cię stąd wypuszczą? - zapytała.

- W niczego nie spodziewający się świat? - dokończył i zachichotał. Po chwili przyłączyła się do jego śmiechu.

- Coś w tym rodzaju - potwierdziła i ponownie się roześmiała. - Przepraszam.

- Nie ma za co - odparł. - Zdążyłem już przywyknąć, że wszyscy nabijają się ze mnie. Twierdzą, że muszę tu zostać do stycznia, ale postanowiłem zrobić ich w balona. Wracam do domu na Gwiazdkę. W komnacie tortur wypacam codziennie wiadro wody.

- W komnacie tortur?

- To oddział rehabilitacji. Kręgosłup mam już w porządku, a inne kości zrastają się tak szybko, że czasem nie mogę wytrzymać, tak mnie swędzą. Żrę całymi kubłami owoce dzikiej róży. Doktor Arroway uważa to za zwykły przesąd, ale trener Puffer przysięga, że to prawda, i truje mi o tym za każdym razem, kiedy przychodzi.

- Często cię odwiedza?

- Owszem. Już prawie udało mu się mnie przekonać, że jedzenie owoców dzikiej róży pomoże mi szybciej wyzdrowieć. - Dennis umilkł na chwilę, po czym dodał: - Oczywiście już nigdy nie zagram w drużynie. Przez jakiś czas będę chodził o kulach, a potem, jeśli dopisze mi szczęście, o lasce. Ostatnio doktor Arroway poinformował mnie radośnie, że mogę dość długo utykać. Kto wie, czy nie do końca życia.

- Okropnie mi przykro... - szepnęła. - Przykro mi, że to się przydarzyło takiemu miłemu chłopakowi, jak ty, ale także z innego powodu, bardziej egoistycznego. Nieraz zastanawiam się, czy wszystko wyglądałoby tak jak teraz, gdybyś był zdrowy i częściej widywał się z Arniem.

- Masz rację - przyznał ze skrucą Dennis. - To wszystko moja wina.

Jednak Leigh nie uśmiechnęła się.

- Wiesz, że zaczęłam się obawiać, czy przypadkiem nie postradał zmysłów? Nie powiedziałam o tym ani jego rodzicom, ani moim, ale wydaje mi się, że jego matka... Nie wiem, co jej nagadał tego dnia, kiedy znaleźliśmy na parkingu rozbity samochód, ale... Podejrzewam, że mocno się wtedy posprzecwali.

Dennis skinął w milczeniu głową.

- To wszystko jest takie... takie szalone! Rodzice zaproponowali, że kupią mu jakiś inny używany wóz zamiast Christine, ale on nie zgodził się na to. Kiedy pan Cunningham odwoził mnie do domu, powiedział mi, że chciał mu nawet kupić zupełnie nowy samochód, lecz Arnie

odparł, że nie może przyjąć takiego prezentu. Wtedy ojciec zaczął go przekonywać, że to wcale nie musi być prezent, bo Arnie będzie mógł zwrócić mu pieniądze, jak tylko zacznie zarabiać... Czy wiesz, o czym myślę?

- Tak - odparł Dennis. - To nie może być jakiś samochód, tylko właśnie ten. Christine.

- Ja to uważam za zwykłą obsesję. Cały czas myśli i mówi tylko o niej. Czy nie na tym właśnie polega obsesja? Boję się, a chwilami nienawidzę, ale nie jego się boję i nie jego nienawidzę. To ten choler... Nie, to ten pieprzony samochód. Ta suka Christine.

Leigh zarumieniła się, zmrużyła oczy i wykrzywiła usta. Jej twarz nie była już ani piękna, ani nawet ładna, choć malująca się na niej nienawiść czyniła ją w jakiś przedziwny sposób interesującą, a nawet atrakcyjną. Po raz pierwszy w życiu Dennis zrozumiał, dlaczego to uczucie nazywano czasem zielonookim potworem.

- Powiem ci, czego bym sobie najbardziej życzyła - mówiła dalej Leigh. Jej oczy miały błyskawice. - Otóż życzyłabym sobie, żeby którejś nocy ktoś zabrał przez pomyłkę tę jego bezcenną, przeklętą Christine i zawiózł ją na złomowisko, tam gdzie ściągają wraki z toru wyścigowego. A następnego dnia rano podjechałby ten dźwig z ogromnym magnesem, podniósł ją i wrzucił do zgniatarki, a ktoś nacisnąłby guzik i po chwili zostałyby z niej tylko kostka metalu. Wtedy chyba wreszcie by się to skończyło, nie uważasz?

Dennis nie odpowiedział; po chwili dostrzegł, jak potwór podwija pod siebie ogon i umyka z jej twarzy. Leigh wyglądała tak, jakby nagle uszło z niej powietrze.

- Chyba okropnie to brzmi, prawda? Zupełnie jakbym żalowała, że te lobuzy nie dokończyły dzieła.

- Rozumiem, co czujesz.

- Naprawdę?

Dennis przypomniał sobie Arniego walącego wściekle pięścią w obudowę tablicy wskaźników. Szalony błysk pojawiający się w jego oczach, kiedy był blisko Christine. Przypomniał sobie, jak usiadł za jej kierownicą w garażu LeBaya i co wtedy zobaczył.

Na końcu zaś przypomniał sobie swój sen: pędzące ku niemu oślepiające kręgi reflektorów i przeraźliwy kobiecy krzyk ślizgających się opon.

- Tak - powiedział. - Tak mi się wydaje.

Popatrzyli na siebie bez słowa.

## 29. ŚWIĘTO DZIĘKCZYNIENIA

*Minęły dwie albo trzy godziny,  
Wysokość spadła na pięćset sześć,  
Paliwa nie zostało ani odrobiny,  
Wracajmy do domu, dopóki szansa jest.  
Nie dogonisz mnie -  
O nie, mój drogi, nie dogonisz nigdy mnie -  
Bo jeśli zbliżysz się do mnie bardziej, niż ja tego chcę.  
To zniknę jak zimowy wiatr.*

Chuck Berry

W szpitalu świąteczny obiad zaczęto podawać o jedenastej, skończono zaś o pierwszej. Dennis otrzymał swoją porcję kwadrans po dwunastej; trzy cienkie plastry pieczonej indyczej piersi, łyżka sosu, porcja tłuczonych ziemniaków rozmiaru i kształtu piłki baseballowej (brakuje tylko czerwonych szwów, pomyślał z kwaśnym rozbawieniem), taka sama porcja mrożonej dyni w jaskrawym pomarańczowym kolorze, oraz plastikowy pojemniczek z żurawinami. Na deser były lody. W rogu tacy leżała mała niebieska kartka.

Wiedząc już sporo o szpitalnych obyczajach - przekonał się, iż wiedza ta pogłębia się wraz z każdą kuracją kolejnych odleżyn na tyłku - zapytał posługacza, który po pewnym czasie przyszedł zabrać tacę, co dostali na obiad żółto- i czerwonekartkowcy. Okazało się, że ci z żółtymi kartkami musieli zadowolić się dwoma kawalkami indyka bez żadnych dodatków i galaretką na deser, natomiast ci z czerwonymi otrzymali jedną porcję mielonego mięsa i tłuczone ziemniaki. W większości przypadków nie byli nawet w stanie sami tego zjeść i musiano ich karmić.

Na Dennisa to wszystko podziało bardzo przygnębiająco. Bez najmniejszego trudu mógł sobie wyobrazić matkę stawiającą na stole w dużym pokoju wielkiego dymiącego indyka, ojca ostrzającego zakrzywiony nóż, zaczerwienioną z dumy i poczucia odpowiedzialności siostrę, z czerwoną aksamitną wstążką we włosach, nalewającą każdemu kieliszek dobrego czerwonego wina. Mógł sobie również wyobrazić smakowite zapachy i radosną atmosferę, w jakiej siadano do stołu.

Mógł sobie to wszystko wyobrazić... ale chyba nie powinien tego czynić.

W rzeczywistości było to najbardziej ponure Święto Dziękczynienia w jego życiu. Wbrew swoim zwyczajom po obiedzie zapadł w płytką drzemkę (w dni świąteczne nie miał zajęć rehabilitacyjnych) i śnił niespokojny sen, w którym gromada posługaczy szła przez oddział intensywnej terapii wrzucając kawałki pieczonego indyka do kroplówek i urządzeń wspomagających oddychanie.

Rano z godziną wizytą zjawili się matka, ojciec i siostra; po raz pierwszy wyczuł, że Ellie chce jak najszybciej wrócić do domu. Callisonowie zaprosili ich do siebie na lekką przedpołudniową przekąskę, a Lou Callison, jeden z trzech braci, miał czternaście lat i był "fajny". Unieruchomiony w łóżku Dennis przestał być atrakcją dla swojej siostry. W jego szpiku kostnym nie stwierdzono żadnej nowej, śmiertelnie niebezpiecznej odmiany raka ani nie zanosilo się na to, że będzie sparaliżowany do końca życia, więc w gruncie rzeczy nie warto było się nim zajmować.

Kiedy o wpół do pierwszej zadzwonili do niego od Callisonów, Dennis odniósł wrażenie, że jego ojciec jest odrobinę pijany - domyślał się, że tata właśnie sący swoją drugą Krwawą Mary, mama zaś coraz częściej zerka na niego z niezadowoleniem. W tym czasie Dennis kończył zaakceptowany przez dietetyka błękitnokartkowy świąteczny obiad - jedyny taki obiad w jego życiu, z którym uporał się w piętnaście minut - i chyba udało mu się rozmawiać przez telefon w bez troski, pogodny sposób, gdyż nie chciał psuć ich radosnego nastroju. Ellie zamieniła z nim tylko kilka słów, bez przerwy chichocząc i wygadując jakieś głupoty. Chyba właśnie rozmowa z nią tak go zmęczyła, że zapadł w drzemkę.

Zasnął (i śnił ten niepokojący sen) około drugiej. Szpital, w którym pozostał jedynie dyżurny personel, był pogrążony w nienaturalnej ciszy. Dobiegający z sąsiednich pokoiów belkot radioodbiorników i telewizorów docierał do uszu Dennisa jakby przez grubą warstwę waty. Posługacz, który zabrał tacę, uśmiechnął się szeroko i powiedział, że ma nadzieję, iż smakował mu ten "specjalny obiad". Dennis zapewnił go, że tak. Bądź co bądź w Święto Dziękczynienia należało być miłym dla wszystkich.

Potem zasnął, a kiedy się obudził, była już prawie piąta i na twardym plastikowym krześle, na którym wczoraj siedziała Leigh, siedział Arnie Cunningham.

Dennis wcale nie zdziwił się na jego widok; po prostu uznał, że to kolejny sen.

- Cześć, Arnie - powiedział. - Jak leci?

- Nieźle, ale ty wyglądasz tak, jakbyś jeszcze spał, Dennis. Połaskotać cię? Może to by cię obudziło.

Na kolanach trzymał dużą brązową torbę. A więc jednak ma swoje drugie śniadanie - przemknęło przez zaspany umysł Dennisa. Widocznie Repperton nie rozkwasił go na dobre.

Spróbował podnieść się na łóżku, skrzywił się, poczuwszy ból w plecach i nacisnął guzik, by ustawić oparcie niemal w pozycji siedzącej. Zajęczał elektryczny silnik.

- Jezu, to naprawdę ty!

- A co, spodziewałeś się jakiegoś trójgłowego potwora? - zapytał uprzejmie Arnie.

- Po prostu spałem i chyba nie zauważyłem, kiedy się obudziłem. - Dennis raptownym ruchem potarł czoło, jakby chciał usunąć z twarzy resztki snu. - Wszystkiego najlepszego, Arnie.

- Nawzajem. Dali ci indyka z nadzieniem?

Dennis parsknął śmiechem.

- Dostałem coś, co przypominało potrawy, które przygotowywała Ellie, kiedy miała siedem lat i bawiła się w kucharkę. Pamiętasz?

Arnie przyłożył dłoń do ust i wydał policzki.

- Pamiętam. Moje kondolencje.

- Naprawdę cieszę się, że przyszedłeś - powiedział Dennis, po czym umilkł na chwilę, by powstrzymać łzy, które zdradziecko napłynęły mu do oczu. Chyba po prostu do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był przygnębiony. Po raz kolejny przysięgł sobie, że na Boże Narodzenie na pewno pójdzie już do domu. Chyba popełniłby samobójstwo, gdyby miał spędzić Wigilię w tym samym pokoju.

- Rodzinka nie wpadła do ciebie?

- Jasne, że wpadła - odparł Dennis. - Przyjdą jeszcze wieczorem - to znaczy, przynajmniej mama i tata - ale to nie to samo. Sam rozumiesz.

- Pewnie. Wiesz, przyniosłem ci parę rzeczy. Paniencie na dole powiedziałem, że to przybory kąpielowe.

Arnie zachichotał cicho.

- A co to jest? - zapytał Dennis, spoglądając na torbę. Dopiero teraz zauważył, że nie była to torebka śniadaniowa, lecz taka, w której przynosiło się zakupy ze sklepu.

- Jak tylko zjedliśmy ptaszka, dokonałem napadu na lodówkę - poinformował go Arnie. - Rodzice pojechali w odwiedzinę do przyjaciół z uniwersytetu. Robią to w każde Święto Dziękczynienia zaraz po obiedzie. Wątpię, żeby wrócili wcześniej niż o ósmej.

Nie przestając mówić zaczął opróżniać torbę. Dennis przyglądał się ze zdumieniem. Dwa cynowe lichtarze. Dwie świece. Arnie ustawił świece w lichtarzach, zapalił je zapalkami reklamującymi Garaż Darnella, po czym wyłączył górne światło i wydobyl z torby cztery kanapki zapakowane niezdarne w pergamin.

- Z tego co pamiętam, zawsze mówiłeś, że parę kanapek z indykiem na zimno wtrząśniętych późnym wieczorem smakuje dużo lepiej od samego obiadu. Podobno dlatego, że z

człowieka opadło już całe napięcie.

- To prawda - potwierdził Dennis. - Kanapki, w telewizji jakiś film z Carsonem... Ale, Arnie, naprawdę nie musiałeś...

- Przestań pieprzyć. Nie byłem u ciebie prawie trzy tygodnie. Dobrze, że spałeś, kiedy wszedłem, bo pewnie byś mnie zastrzelił. - Postukał palcem w dwie kanapki przeznaczone dla Dennisa. - Twoje ulubione. Pieczony indyk z sosem mayo na Cudownym Chleбку.

Dennis zachichotał, potem roześmiał się, a wreszcie ryknął na całe gardło. Arnie widział, że niepohamowany śmiech sprawia przyjacielowi ból, ale sam także nie mógł się opanować. Cudowny Chlebek stanowił jeden z ich największych sekretów wieku dziecięcego. Obie matki traktowały sprawę pieczywa z niezwykłą powagą; Regina kupowała dietetyczny chrupki chlebek, czasem zbaczając w stronę pełnoziarnistego, matka Dennisa natomiast większym zaufaniem darzyła pumpernikiel. Obaj synowie zjadali wszystko, co dostali, lecz potajemnie uwielbiali Cudowny Chlebek; często rezygnowali z zakupu słodczy i całe kieszonkowe wydawali na bochenek Cudownego Chlebaka i słoik francuskiej musztardy, po czym zaszywali się w garażu ojca Arniego (albo w nadrzewnym domku Dennisa, poważnie uszkodzonym przez szalejącą kilka lat temu burzę) i do spółki pożerali cały bochenek, smarując grubo każdą kromkę musztardą.

Ten wspólny szaleńczy śmiech stanowił dla Dennisa najprzyjemniejszą część Święta Dziękczynienia.

Dennis od prawie dziesięciu dni był sam w przeznaczonym dla dwóch osób pokoju, więc Arnie zamknął drzwi i wyjął z torby sześć butelek piwa.

- A więc jednak cuda się zdarzają... - zauważył Dennis, co stało się przyczyną kolejnego ataku wesołości.

- I to jak - powiedział Arnie, kiedy wreszcie się opanowali, i podniósł butelkę. - *Prosit*.

- Na zdrowie - odparł Dennis. Pociągnęli po solidnym łyku.

Kiedy uporali się z kanapkami, Arnie wydobyl ze swojej nie mającej chyba dna torby dwa plastikowe pojemniki; po otwarciu okazało się, że zawierają po potężnym kawalku domowej szarlotki.

- Człowieku, już nie mogę! - jęknął Dennis. - Zaraz pękne.

Jednak Arnie był bezlitosny.

- Jedz!

- Naprawdę nie mogę. - Mimo to wziął jeden pojemnik i nowy widelczyk. Po czterech wielkich kęsach ciasto zniknęło. Dennis beknął, otworzył drugie piwo, beknął ponownie. - W Portugalii oznacza to komplement dla kucharza - oświadczył, czując przyjemne zawroty głowy.

- Wierzę ci na słowo - odparł z uśmiechem Arnie.

Wstał, włączył górne światło i zgasił świece. O szyby uderzał deszcz; wyglądało na to, że na zewnątrz jest bardzo zimno. Dennis odniósł wrażenie, jakby wraz ze zgaśnięciem świec ulotniła się część świątecznego nastroju ciepła i przyjaźni.

- Jutro będę cię przeklinał - powiedział oskarżycielskim tonem. - Pewnie utknę w szraczu co najmniej na godzinę, a od tego bolą mnie plecy.

- Pamiętasz, jak kiedyś Elaine miała wzdęcie i puszczała bąki? - zapytał Arnie i obaj parsknęli śmiechem. - Tak się z niej nabijaliśmy, że twoja matka wreszcie wyrzuciła nas z domu.

- Co prawda nie były śmierdzące, ale za to bardzo głośne.

- Jak strzały z pistoletu - zgodził się Arnie.

Ponownie roześmiali się, ale tym razem był to smutny śmiech, o ile coś takiego w ogóle istnieje. Od tamtego czasu upłynęło wiele wody w rzece. Myśl o tym, że zdarzenie, o którym sobie przypomnieli, wydarzyło się aż siedem lat temu, była znacznie bardziej niepokojąca niż zabawna. Kiedy człowiek zastanawia się, w jaki sposób siedem lat może minąć tak szybko i właściwie niepostrzeżenie, zaczyna zdawać sobie sprawę ze swojej śmiertelności.

Umilkli, pograżeni każdy w swoich myślach. Milczenie przerwał Dennis.

- Wczoraj była u mnie Leigh. Opowiedziała mi o Christine. Okropnie mi przykro, chłopie. Słowo daję.

Arnie spojrzał na niego; malujący się na jego twarzy wyraz zadumanej melancholii ustąpił miejsca radosnemu uśmiechowi, w którego szczerość Dennis nie mógł jakoś uwierzyć.

- Tak, to było dość paskudne - przyznał. - Jak to zobaczyłem, zupełnie straciłem głowę.

- Nic dziwnego - odparł Dennis, zdając sobie sprawę, że zaczyna mieć się na baczności. Był z tego powodu wściekły na siebie, lecz nic nie mógł na to poradzić. Przyjaźń zniknęła; przez jakiś czas była w pokoju, ogrzewając go swoim ciepłem, a potem po prostu wymknęła się nie wiadomo którędy, jak to jest w zwyczaju takich ulotnych, nieuchwytnych zjawisk. Teraz przyszła kolej na podchody. Roześmiane oczy Arniego były nieprzeniknione i - mógłby przysiąc, że to prawda - czujne.

- Jasne. Potraktowałem matkę w okropny sposób. Leigh zresztą też, jak mi się zdaje. Wszystko po tym, jak zobaczyłem, ile pracy poszło na marne. - Potrząsnął głową. - Powiadam ci, paskudna sprawa.

- Dasz radę jeszcze coś z nią zrobić?

Arnie momentalnie rozpogodził się, tym razem naprawdę.

- Pewnie! Nawet już zrobiłem. Nie uwierzyłbyś, gdybyś zobaczył ją wtedy na parkingu. W tamtych czasach robili solidne wozy, nie to co teraz, kiedy te wszystkie błyskotki wyglądające jak metal są w rzeczywistości z cienkiego plastiku. Ten samochód to prawdziwy czołg. Kłopoty mam



tylko z szybami, no i oczywiście z oponami. Pocięli wszystkie.

- A silnik?

- Nawet go nie tknęli - odparł szybko Arnie.

Było to pierwsze kłamstwo. Tknęli go, i to całkiem nieźle. Kiedy tamtego popołudnia Leigh i Arnie dotarli do Christine, na betonowej nawierzchni parkingu leżała pokrywa rozdzielacza. Leigh poznała tę część i powiedziała o tym Dennisowi. Co jeszcze zniszczyli w silniku? przemknęło mu przez myśl. Chłodnicę? Czy ktoś, kto zrobił ostrym narzędziem kilkanaście dziur w nadwoziu, nie wpadłby na pomysł, żeby dziabnąć tu i ówdzie chłodnicę? A co z przewodami? Całą instalacją elektryczną? Gaźnikiem?

*Arnie, dlaczego mnie okłamujesz?*

- W takim razie, co teraz robisz?

- Wydaję na nią pieniądze, a cóż by innego? - odpowiedział Arnie i wybuchnął niemal autentycznym śmiechem. Dennis może nawet uznałby go za autentyczny, gdyby nie to, że słyszał prawdziwy śmiech przyjaciela podczas pałaszowania świątecznego obiadu przyniesionego przez Arniego. - Nowe opony, nowe szyby, trochę pracy nad blacharką i będzie jak nowa.

Będzie jak nowa. Ale przecież według słów Leigh to, co znaleźli na parkingu, nie przypominało wcale samochodu, tylko zniszczony, zdewastowany, nie nadający się do niczego wrak.

*Dlaczego mnie okłamujesz?*

Przez króciutką chwilę Dennisowi przeniknęła mrożąca krew w żyłach myśl, czy przypadkiem Arnie nie oszalał... Ale nie, nie sprawiał takiego wrażenia. Zachowywał się jak człowiek próbujący coś ukryć i przechytryć wszystkich dookoła, ale nie jak wariat. Dennisowi przyszło wówczas do głowy, że być może Arnie kłamie tylko częściowo, usiłując stworzyć racjonalne podstawy i uwiarygodnić... co? Spontaniczną samoregenerację samochodu? Kompletnie wariactwo.

Czyżby?

Wariactwo dla każdego, kto nie widział na własne oczy, jak pokrywająca przednią szybę siatka pęknięć maleje z tygodnia na tydzień, by wreszcie zupełnie zniknąć.

*Zwykle złudzenie optyczne. Tak wtedy pomyślałeś i miałeś rację.*

Ale nie można było wytłumaczyć złudzeniem optycznym idiotycznego sposobu, w jaki Arnie zabrał się do remontu Christine, tworząc bez żadnego sensownego planu zlepek starych i nowych części. Nie można było również tym wytłumaczyć dziwnego uczucia, jakiego doznał Dennis siedząc za kierownicą samochodu w garażu LeBaya, ani wrażenia po założeniu nowej opony w drodze do Darnella, że patrzy na zdjęcie starego samochodu, spod którego prześwituje

inne, przedstawiające ten sam wóz, tyle że zupełnie nowy.

Nic nie wyjaśniało także łgarstw Arniego... ani jego zmrużonych oczu, którymi przyglądał się uważnie Dennisowi pragnąc przekonać się, czy kłamstwa zostaną przyjęte za dobrą monetę. W związku z tym Dennis uznał, że najlepiej będzie uśmiechnąć się szeroko i z wyraźną ulgą.

- To wspaniale - powiedział.

Jeszcze przez chwilę Arnie przypatrywał mu się podejrzliwie, po czym również uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Miałem sporo szczęścia, to wszystko - wyjaśnił. - Jak sobie pomyślę, co jeszcze mogli zrobić - wsypać cukier do benzyny, nalać melasy do gaźnika... Spieprzyli robotę. I bardzo dobrze.

- Repperton i jego wesola paczka? - zapytał spokojnie Dennis.

Podejrzliwy wyraz twarzy, ponury i w niczym nie przypominający Arniego, pojawił się znowu, lecz zaraz zniknął, ustępując miejsca zawziętej nienawiści.

- No pewnie - odparł. - A któż by inny?

- Ale nie zgłosiłeś tego policji.

- Zrobił to ojciec.

- Tak mi właśnie powiedziała Leigh.

- Co jeszcze ci powiedziała? - zapytał ostro Arnie.

- Nic, a ja nie pytałem. - Dennis uniósł rękę w pokojowym geście. - To twoja sprawa, chłopie.

- Pewnie, że tak. - Arnie roześmiał się krótko i przesunął dłonią po twarzy. - Wciąż jeszcze nie doszedłem zupełnie do siebie. Cholera, wątpię, czy kiedykolwiek dojdę! Mówię ci, Dennis, szedłem wtedy z Leigh, czułem się tak, jakbym miał cały świat u swoich stóp, a potem...

- Czy nie zrobią tego znowu, jeżeli ją naprawisz?

Twarz Arniego przypominała martwą, nieruchomą maskę.

- Już nigdy tego nie zrobią - powiedział. Jego szare oczy miały temperaturę marcowego lodu. W tej chwili Dennis był bardzo rad, że nie jest Buddym Reppertonem.

- Co masz na myśli?

- To, że będę parkował przed domem - odparł, wykrzywając twarz w szerokim, nienaturalnym uśmiechu. - A co myślałeś?

- Nic - mruknął Dennis. Oczy Arniego w dalszym ciągu kojarzyły mu się z lodem, ale tym razem z bardzo cienkim lodem, niebezpiecznie trzeszczącym pod stopami. Pod spodem była czarna, zimna woda. - Bo ja wiem, Arnie... Wydajesz się bardzo pewny, że Buddy da już sobie z tobą spokój.

- Mam nadzieję, że uzna rachunki za wyrównane - powiedział cicho Arnie. - My

wywaliliśmy go ze szkoły...

- On sam wywalil się ze szkoły! - przerwał mu Dennis. - Wyciągnął nóż, a właściwie nie nóż, tylko jakiś cholerny sztylet do szlachtowania świń!

- Po prostu staram się spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia - odparł Arnie i roześmiał się. - Nie ma się o co denerwować.

- W porządku.

- No więc, wywaliliśmy go ze szkoły - a raczej to ja go wywalilem - a on i jego kumple rozbili mi Christine. Remis. Koniec.

- Owszem, pod warunkiem, że on rzeczywiście tak na to patrzy.

- Tak mi się wydaje. Przecież przesłuchiwała ich policja. Jego, Moochiego Welcha, Richiego Trelawneya i Sandy'ego Galtona. Nieźle ich nastraszyli. Podobno Sandy o mało im wszystkiego nie wyśpiewał. - Wydął pogardliwie usta. - Pieprzony mazgaj.

Było to tak niepodobne do Arniego - starego Arniego - że Dennis odruchowo usiadł wyprostowany na łóżku; natychmiast skrzywił się, poczuwszy paskudny ból w krzyżu, i położył się z powrotem.

- Jezu, człowieku! Mówisz tak, jakbyś wolał, żeby codziennie obrzucał ci wóz kamieniami!

- Nie obchodzi mnie, co zrobi on ani którykolwiek z tych zasańców - powiedział Arnie, a następnie dodał dziwnie obojętnym tonem: - Zresztą to i tak nie ma już żadnego znaczenia.

- Czy ty na pewno dobrze się czujesz? - zapytał Dennis.

Przez chwilę na twarzy Arniego pojawił się wyraz rozpaczliwego smutku... a nawet więcej niż smutku. Sprawiał wrażenie zastraszonego i osaczonego. Później Dennis doszedł do wniosku (jakże łatwiej jest po jakimś czasie dostrzegać rzeczy, których nie widziało się od razu!), iż był to wyraz twarzy człowieka, który jest tak zdumiony, oszołomiony i wyczerpany walką, że właściwie przestaje już kontrolować swoje czyny.

Jednak ten wyraz szybko zniknął, podobnie jak poprzedni, wyrażający nieufność i podejrzliwość.

- Jasne - odparł. - Czuję się wspaniale. Tyle tylko, że nie ty jeden masz kłopoty z kręgosłupem. Pamiętasz, jak naciągnąłem sobie grzbiet ładując wraki na torze wyścigowym?

Dennis skinął głową.

- No to popatrz sobie.

Arnie wstał i podciągnął koszulę. W jego spojrzeniu zdawało się coś poruszać. Coś nieuchwytnego, tańczącego w przepastnych głębinach.

Pas nie był tak staromodny, jak ten, który nosił LeBay. Nie był też nawet w połowie tak brudny - po prostu schludna taśma z grubego sztucznego materiału mniej więcej

dwudziestopięciocentymetrowej szerokości. Ale pas ortopedyczny pozostaje pasem, pomyślał Dennis. Za bardzo przypominało to LeBayę, żeby móc przejść nad tym do porządku dziennego.

- Znowu coś mi się stało, kiedy wieźliśmy Christine do Willa - wyjaśnił Arnie. - Byłem tak zdenerwowany, że nawet nie pamiętam, jak do tego doszło. Przypuszczam, że przy wpychaniu jej na naczepę, ale nie jestem pewien. Początkowo mogłem jakoś wytrzymać, ale potem zaczęło boleć coraz bardziej, więc doktor Mascia przepisał mi... Dennis, nic ci nie jest?

Dzięki wręcz nieprawdopodobnemu wysiłkowi Dennisowi udało się opanować na tyle, że kiedy przemówił, jego głos miał prawie naturalne brzmienie. Zdołał również zmusić mięśnie twarzy, by ułożyły się w wyraz świadczący (taką miał przynajmniej nadzieję) o uprzejmym zainteresowaniu. W spojrzeniu Arniego cały czas coś tańczyło... tańczyło... i tańczyło...

- Na pewno dojdiesz do siebie.

- Mam nadzieję. - Arnie wetknął koszulę w spodnie. - Kazał mi uważać z dźwiganiem ciężarów, żeby znowu nie zrobiło się to samo. - Uśmiechnął się. - Gdyby wprowadzili obowiązkową służbę wojskową, nie musiałbym iść do woja.

Również i tym razem Dennis zdołał powstrzymać się przed wykonaniem jakiegoś gwałtownego gestu, ale powolnym ruchem wsunął ręce pod koldrę. Kiedy zobaczył ten pas, tak bardzo kojarzący się z LeBayem, natychmiast pokryły się gęsią skórka.

Oczy Arniego wciąż przypominały czarną wodę ukrytą pod cienką warstwą szarego marcowego lodu. I ten niepokojący ruch, przywodzący na myśl bezwładne podrygi rozkładającego się ciała topielca.

- Muszę już iść - przemówił Arnie energicznym tonem. - Chyba nie myślisz, że mam zamiar spędzić cały wieczór w takim wszawym miejscu.

- Jak zwykle onieśmiasz mnie swoimi dobrymi manierami - odparł Dennis. - A tak zupełnie serio, to bardzo ci dziękuję. Od razu zrobiło mi się różniej.

Przez krótką chwilę odniósł wrażenie, że Arnie zaraz wybuchnie płaczem. Z jego oczu zniknęła ta niepokojąca, tańcząca rzecz i Arnie znowu był tutaj - naprawdę. Zaraz potem uśmiechnął się i powiedział:

- Pamiętaj o jednym, Dennis: nikt za tobą nie tęskni. Nikt a nikt.

- Wetknij sobie słomkę i nadmuchaj się do rozpuku - odparł poważnie Dennis.

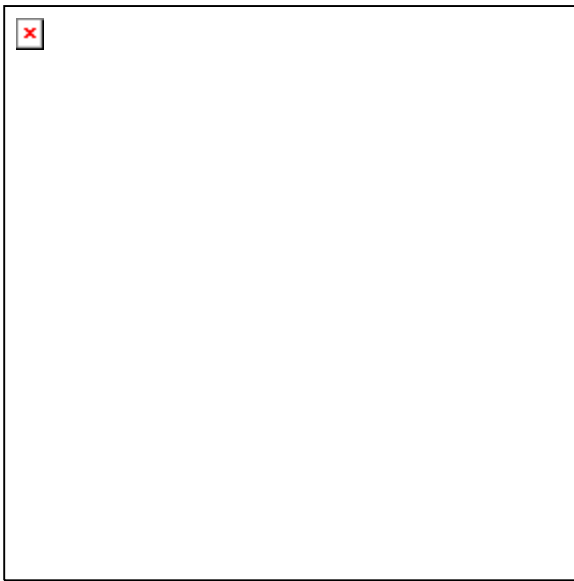
Arnie pokazał mu wystawiony w górę środkowy palec.

Formalnościom stało się zadość i Arnie mógł już iść do domu. Podniósł z podłogi mocno odchudzoną brązową torbę, zawierającą teraz tylko lichtarze i pobrzękujące puste butelki po piwie.

Nagle Dennisowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Zastukał palcami w gips.

- Podpisz mi się, dobrze? - poprosił.
  - Przecież już się podpisywałem?
  - Tak, ale wszystko zbladło. Zrobisz to jeszcze raz?
- Arnie wzruszył ramionami.
- Jeśli dasz mi długopis.

Kiedy Dennis wyjął długopis z szuflady szafki i podał mu go, Arnie nachylił się z uśmiechem nad zamkniętą w gipsowym panczerzu nogą, unieruchomioną nad łóżkiem dzięki skomplikowanemu systemowi dźwigni i ciężarków, znalazł wolne miejsce wśród gąszczy podpisów i dedykacji, po czym nagryzmołił:



Poklepał gips i oddał długopis Dennisowi.

- W porządku?
- Jasne. Dzięki, Arnie. I trzymaj się.
- Ma się rozumieć. Wesolych Świąt.
- Nawzajem.

Arnie wyszedł. Nieco później zjawili się ojciec i matka Dennisa; Ellie, najwyraźniej wyczerpana świątecznymi wyglupami, poszła wcześniej spać. W drodze do domu Guilderowie rozmawiali o tym, w jak ponurym nastroju znajdował się ich syn.

- Wcale mu się nie dziwię - powiedział pan Guilder. - Świeta w szpitalu nie są niczym przyjemnym.

Co do Dennisa, to spędził pozostałą część wieczoru przyglądając się uważnie dwóm podpisom. Arnie rzeczywiście złożył wcześniej autograf na gipsie, ale uczynił to wtedy, kiedy obie nogi Dennisa znajdowały się w opatrunku i wisiały na wyciągu; wtedy podpisał się na prawej nodze, teraz zaś na lewej.

Dennis nacisnął przycisk wzywający pielęgniarkę i użył całego swego wdzięku, żeby nakłonić ją, by opuściła na chwilę jego lewą nogę, dzięki czemu oba podpisy znalazły się tuż koło siebie. Opatrunek na prawej nodze został już rozcięty i powinien zostać zdjęty najdalej za tydzień lub dziesięć dni; autograf Arniego bynajmniej nie wyblakł - to było jedno z kłamstw Dennisa - ale niewiele brakowało, by został przecięty na pół.

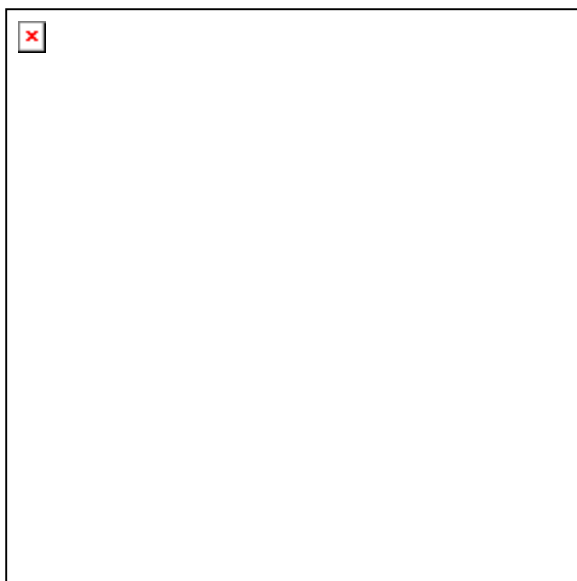
Na prawej nodze nie było żadnej dedykacji, tylko sam podpis. Dennisowi (przy pomocy pielęgniarki i kosztem sporego bólu) udało się ułożyć nogi w takiej pozycji, że oba autografy niemal się ze sobą stykały.

- Czy według pani wyglądają tak samo? - zapytał skrzeczącym głosem, w najmniejszym stopniu nie przypominającym tego, którym posługiwał się na co dzień.

- Nie - odparła pielęgniarka. - Słyszałam o falszowaniu podpisów na czekach, ale nigdy na gipsie. Czy to jakiś żart?

- Tak - odparł Dennis, czując, jak strach wypływa lodowatą falą z jego żołądka i podchodzi mu do gardła. - To tylko żart.

Patrząc na oba podpisy miał wrażenie, że raptownie spada temperatura jego ciała, a drobne włoski na karku zamieniają się w drucianą szczecinę.



Były całkowicie różne.

W nocy zerwał się zimny wiatr; zaczął od raptownych podmuchów, by potem wiać już bez przerwy. Czyste oko księżycy spoglądało w dół z czarnego nieba. Ostatnie brązowe poskręcane jesienne liście zostały zerwane z drzew i rozmięcione po chodnikach. Wydawały przy tym odgłos przypominający chrzęst toczących się kości.

Do Libertyville przyszła zima.

### 30. MOOCHIE WELCH

*Noc była mroczna, niebo całkiem ciemne,  
Ulicą przemknął szybko jakiś wóz,  
Wtem coś łupnęło,  
Ktoś wrzasnął głośno coś...  
Trzeba wam było słyszeć to co ja.*

Bo Diddley

Pierwszy czwartek po Święcie Dziękczynienia był jednocześnie ostatnim dniem listopada. Wieczorem w wypełnionym do ostatniego miejsca Pittsburgh Civic Centre odbywał się koncert Jacksona Browne'a. Moochie Welch zjawił się tam wraz z Richiem Trelawneyem i Nickym Billinghamem, ale tłum rozdzielił ich na długo przed rozpoczęciem koncertu. Moochie wyludzał drobne pozostałe słuchaczom po kupieniu biletu. Szło mu nadzwyczaj dobrze - być może dlatego, że muzyka wprawiała ludzi w dobrotliwy nastrój, a może dlatego, że on sam roztałcał nieodparty urok (jako romantyk wolał wierzyć w tę drugą ewentualność). Po kieszeniach miał już poupychane prawie trzydzieści dolarów, w związku z czym brzęczał jak gigantycznych rozmiarów skarbonka. Złapanie okazji do domu również nie nastęrczało żadnych problemów. Koncert skończył się wpół do dwunastej w nocy, Moochie zaś znalazł się z powrotem w Libertyville zaledwie kwadrans po pierwszej.

Podrzucił go młody chłopak jadący szosą numer 63 do Prestonville. Moochie wysiadł na John Kennedy Drive przy zjeździe na drogę numer 376 i postanowił przejść się do stacji benzynowej Vandenberg, gdzie powinien zastać Buddy'ego. Buddy miał samochód, co oznaczało, że Moochie, który mieszkał dość daleko, bo aż na Kingsfield Pike, nie będzie musiał iść do domu na piechotę. Na bocznych drogach nie było co marzyć o złapaniu okazji, a to z kolei oznaczało, że Moochie dotarłby do domu dopiero o świcie; w tych warunkach perspektywa podwiezienia przez Buddy'ego stawała się podwójnie zachęcająca. Poza tym Buddy pewnie będzie miał jakąś butelkę.

Przeszedł już mniej więcej ćwierć mili od zjazdu z John Kennedy Drive, stukając podkutymi obcasami po opustoszałym chodniku i ciągnąc za sobą swój cień, to kurczący się, to znów wydłużający w niesamowitym pomarańczowym blasku ulicznych latarni, kiedy ujrzał przed sobą stojący przy krawężniku samochód. Wydobywający się z podwójnej rury wydechowej dym

wisiał w doskonale nieruchomym powietrzu, spowijając wóz gęstymi kłębam, by dopiero po dłuższej chwili odpelznąć niespiesznie na boki. Lśniaca chromem osłona wlotu powietrza do chłodnicy uśmiechała się ogromnym kretyńskim uśmiechem. Moochie rozpoznał samochód. Był to dwutonowy plymouth. W jaskrawopomarańczowym blasku ulicznych lamp te dwie tony zdawały się składać z kości słoniowej i skrzepniętej krwi. To była Christine.

Moochie zatrzymał się, a przez jego głowę przemknęła ogłupiała, zdumiona myśl - nie był to strach, przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. To nie mogła być Christine - przecież w wozie Cunninghama zrobili kilkanaście dziur, wiali do gaźnika prawie całą butelkę wina, Buddy zaś przytaszczył pięcioletnią torbę cukru, który wsypali do baku. A to wszystko tylko na początek. Kiedy przystąpili do prawdziwego demolowania samochodu, Buddy wspiął się na szczyty niszczycielskiej pomysłowości. Obserwując go Moochie odczuwał dziwną mieszaninę podziwu i niepokoju. W każdym razie nie było najmniejszych szans, żeby plymouth ruszył o własnych siłach wcześniej niż za pół roku, a nawet to wydawało się mało prawdopodobne. Wobec tego to nie mogła być Christine, tylko jakiś inny fury model 58.

Tyle tylko, że to była Christine i on o tym doskonale wiedział.

Moochie stał nieruchomo na opustoszałym chodniku; spomiędzy długich włosów wystawały mu zmarznięte uszy, a za każdym oddechem z jego ust wydobywały się kłęby pary.

Samochód tkwił naprzeciw niego przy krawężniku. Silnik mrucał cicho na jałowym biegu. Nie sposób było stwierdzić, kto siedzi za kierownicą, o ile ktokolwiek tam siedział; pomarańczowa lampa latarni odbijała się w przedniej szybie, przypominając wodoszczelną latarkę widzianą przez warstwę ciemnej wody.

Moochie zaczął się bać.

Przesunął językiem po wyschniętych wargach i rozejrzał się dookoła. Po lewej stronie miał John Kennedy Drive - sześć asfaltowych pasów przypominających o tej porze wyschłe koryto rzeki - po prawej zaś sklep fotograficzny z obwiedzionymi czerwoną obwódką pomarańczowymi literami układającymi się w słowo Kodak.

Ponownie spojrzął na samochód. W dalszym ciągu stał naprzeciw niego, mrużąc cicho.

Otworzył usta, lecz nie zdołał wykrztusić ani słowa. Ponowiwszy próbę wyskrzeczwał z najwyższym trudem:

- Cześć, Cunningham...

Nieruchomy samochód zdawał się nad czymś zastanawiać. Dym z rury wydechowej wznosił się powoli w górę. Silnik mrucał cicho, trawiając wysokooktanowe paliwo.

- To ty, Cunningham?

Moochie postąpił krok naprzód. Metalowe okucie zgrzytnęło na betonie. Wałące jak



szalone serce podchodziło mu do gardła. Jeszcze raz rozejrzal się po ulicy; z pewnością lada chwila nadjedzie jakiś samochód. Przecież o pierwszej dwadzieścia pięć w nocy nie może być zupełnie pusto, prawda? Nie dostrzegł jednak nic oprócz pomarańczowego blasku latarni.

Odchrząknął.

- Chyba nie jesteś na mnie zły, co?

Nagle zapłonęły poczwórne reflektory Christine, przygważdżając go jaskrawym białym światłem. Plymouth ruszył z potwornym piskiem opon, pozostawiając na jezdni smugi spalonej gumy. Rozpędzał się tak raptownie, że aż przysiadł na tylnej osi, tak jak przysiada pies spinający się do skoku - pies albo wilczyca. Wjechał lewymi kołami na chodnik i nabierając szybkości gnał ku Moochiemu rozkraczony nad krawężnikiem, trąc podwoziem o beton, sypiąc na boki i do tyłu snopami iskier.

Moochie wrzasnął i spróbował się odsunąć. Christine zawadziła bokiem zderzaka o jego lydkę, wrywając kawalek ciała. Ciepła wilgoć rozlała mu się po nodze i ściekła do buta. Dopiero czując ciepło własnej krwi uświadomił sobie niewyraźnie, jak zimna była ta noc.

Zatoczył się i rąbnął w drzwi sklepu; kilkanaście centymetrów w bok, a wpadłby do środka przez szybę wystawową, lądując w stercie nikonów i polaroidów.

Usłyszał ryk silnika wchodzącego ponownie na wysokie obroty i ten sam przeraźliwy, niesamowity zgrzyt podwozia trącego o beton. Odwrócił się, ciężko dysząc. Christine cofała się na miejsce, w którym ujrzał ją tej nocy po raz pierwszy, a kiedy mijala go, zobaczył. Zobaczył.

Za kierownicą nie było nikogo.

Ogarnięty paniką Moochie rzucił się do ucieczki. Wybiegł na John Kennedy Drive i skierował się na drugą stronę ulicy. Między supermarketem a pralnią znajdowała się tam wąska alejka, zbyt wąska, by mógł wjechać w nią samochód. Gdyby udało mu się tam dotrzeć...

Monety brzęczały wściekle w kieszeniach jego spodni i ocieplanej kurtki z demobilu. Pięcio-, dziesięcio- i dwudziestopięciocentówki. Dźwięczący, srebrny kurant. Biegając unosił kolana niemal do brody. Podkute buty łomotały na betonie. Jego własny cień gonił go, ale nie mógł dogonić.

Gdzieś z tyłu silnik ryknął, przycichł, ryknął znowu, opony wrzasnęły przeraźliwie i Christine wystrzeliła w ślad za Moochiem Welchem, przecinając w poprzek jezdnię. Moochie krzyknął, ale nie usłyszał własnego krzyku, gdyż samochód cały czas buksował tylnymi kołami na betonie, wrzeszcząc niczym szalona, ogarnięta żądzą mordy kobieta, i ten wrzask wypełniał cały świat.

Cień już nie gonił Moochiego; wyprzedzał go, stając się coraz dłuższy. W oknie pralni dostrzegł dwa żółte, rosnące szybko ślepie.

Do alejki było jeszcze bardzo daleko.

W ostatniej chwili Moochie spróbował skrócić w lewo, ale Christine skróciła wraz z nim, jakby odczytała jego nie dokończoną, desperacką myśl. Wciąż jeszcze nabierający prędkości plymouth uderzył go w bok, łamiąc mu kręgosłup i wyszarpując go z podkutych butów. Przeleciał w powietrzu dziesięć metrów i rąbnął w ceglane obmurowanie wejścia do sklepu, ponownie omijając zaledwie o kilkanaście centymetrów wielką wystawową szybę.

Siła uderzenia była tak duża, że odbił się i potoczył z powrotem na jezdnię, zostawiając na ścianie rozbryźnięty krwawy ślad przypominający atramentowego kleksa. Zdjęcie tego śladu miało się pojawić nazajutrz na pierwszej stronie lokalnej gazety.

Christine cofnęła się, zatrzymała z poślizgiem i ponownie wystrzeliła do przodu. Moochie leżał przy krawężniku. Usiłował się podnieść, ale nie mógł. Nic nie działało. Sygnały wysyłane przez mózg nie docierały do miejsc przeznaczenia.

Zalało go jaskrawe białe światło.

- Nie - wyszeptał ustami pełnymi połamanymi zębów. - Nie...

Samochód uderzył go po raz drugi. Na jezdnię posypały się drobne monety. Moochie przetoczył się bezwładnie najpierw w jedną stronę, a potem w drugą, kiedy Christine cofnęła się z piskiem opon. Stała nieruchomo, jakby nad czymś się zastanawiała; silnik pracował na wolnych obrotach, ale od czasu do czasu gniewnie porykiwał.

A potem znowu ruszyła. Przejechała przez ciało Moochiego, wpadła na chodnik, zahamowała, cofnęła się, przejechała go jeszcze raz.

Ponownie wystrzeliła do przodu.

I do tyłu.

I do przodu.

Reflektory wyrzucały snopy oślepiającego światła. Z rur wydechowych wystrzeliwały kłęby gorącego niebieskiego dymu. To, co leżało na jezdni, nie przypominało już ludzkiego ciała, tylko rzuconą niedbale stertę łachmanów.

Samochód cofnął się po raz ostatni, zatoczył półkole, z rykiem silnika przetoczył się przez zakrwawioną kupę szmat i pomknął w kierunku autostrady, pozostawiając za sobą echo odbijające się od ścian pogrążonych we śnie budynków. Teraz jednak nie były już pogrążone we śnie. Tu i tam zaczęły zapalać się światła; ludzie mieszkający nad swymi sklepami wyglądali przez okna, by sprawdzić, co było przyczyną niesamowitego hałasu i czy aby nie wydarzył się jakiś wypadek.

Jeden z reflektorów Christine był rozbity, drugi zaś, zbryzgany krwią, mrugał niepewnie, to zapalając się, to znów gasnąc. W chromowanej atrapie widniało wgłębienie, z ponurą

dokładnością pośmiertnej maski odpowiadające kształtem tułowiowi Moochiego Welcha. W miarę nabierania prędkości bryzgi krwi na masce rozszerzały się, pelznąc w kierunku przedniej szyby. Silnik pracował z głuchym rykiem; jeden z dwóch tłumików został całkowicie zniszczony.

Wewnątrz, na tablicy przyrządów, licznik mil przesuwiał się szybko do tyłu, jakby Christine cofała się w czasie, pozostawiając za sobą nie tylko miejsce zbrodni, ale także sam fakt jej dokonania.

Zaczęło się od tłumika.

Niespodziewanie basowy ryk przycichł, by po chwili ustąpić miejsca normalnemu, przytłumionemu odgłosowi działającego bez zarzutu silnika.

Potem rozwleczone na masce wstęgi krwi zaczęły na przekór pędowi powietrza biec ku przedniemu zderzakowi, jak na puszczone w odwrotną stronę filmie.

Migający niepewnie reflektor zaświecił pełnym blaskiem, a jakieś sto metrów dalej ożył także jego martwy sąsiad. Znikąd nadleciały drobinki szkła i połączyły się z cichym, nie zwracającym na siebie uwagi odgłosem, przypominającym chrzęst, jaki wydaje cienka warstwa lodu kruszona butem małego chłopca.

W chwilę potem rozległy się metaliczne dźwięki, które zwykle można usłyszeć wtedy, gdy ściśnie się mocno pustą puszkę po piwie. Jednak atrapa Christine nie była tym razem wgniatana, lecz wręcz przeciwnie - prostowała się. Nawet doświadczony blacharz o pięćdziesięcioletniej praktyce nie potrafiłby zrobić tego lepiej.

Christine skręciła w Hampton Street, jeszcze zanim pierwsi mieszkańcy obudzeni wrzaskiem jej opon znaleźli się przy szczątkach Moochiego Welcha. Krew znikła z karoserii; dotarwszy do przedniego zderzaka po prostu zniknęła, jakby jej nigdy tam nie było. To samo stało się z zadrapaniami i wgłębieniami. Kiedy zbliżała się do szerokich drzwi Garażu Darnella opatrzonej tabliczką "Proszę zatrzeć", rozległo się jeszcze jedno metaliczne puknięcie i zniknęło ostatnie wgniecenie po lewej stronie zderzaka, tam gdzie zawadziła o lydkę Moochiego.

Christine wyglądała jak nowa.

Zatrzymała się przed wielkimi drzwiami usytuowanymi pośrodku długiego, pograżonego w ciemności budynku. Do przeciwsłonecznej osłony po stronie kierowcy było przymocowane małe plastikowe pudeleczek - emiter podczerwieni ofiarowany Arniemu przez Darnella wtedy, kiedy chłopak zaczął pracować dla niego przemycając do stanu Nowy Jork alkohol i papierosy. W pewnym sensie był to jakby złoty klucz do szkatuły z kosztownościami dany żebrakowi.

W nocnej ciszy zamruczał elektryczny silnik i metalowe drzwi klekocąc posłusznie powędrowały w górę, zamykając przy okazji jeszcze jeden elektryczny obwód, dzięki czemu w środku zapaliło się kilka jarzeniówek.

Przycisk na tablicy przyrządów wyskoczył z głośnym pyknięciem i reflektory Christine zgasły. Wjechała do wnętrza garażu i sunąc cicho skierowała się ku stanowisku numer dwadzieścia. Po trzydziestu sekundach drzwi automatycznie zamknęły się za nią, jarzeniówki zgasły i obszerny budynek pogrążył się w ciemności.

Tkwiący w stacyjce Christine kluczyk przekręcił się nagle w lewo. Silnik zamilkł. Skórzana przywieszka z inicjałami R. D. L. kołysała się jeszcze przez chwilę, by wreszcie znieruchomieć.

Christine stała w mroku, a jedynym odgłosem rozlegającym się w Garażu Darnella było powolne cykanie jej stygnącego silnika.

### 31. NAZAJUTRZ

*Mam chevroleta model 69,  
Z ogromnym silnikiem i turbodoładowaniem,  
Czeka na mnie dziś wieczorem  
Na parkingu przy sklepie całodobowym...*

Bruce Springsteen

Następnego dnia Arnie Cunningham nie poszedł do szkoły. Powiedział rodzicom, że czuje się tak jak przy początkach grypy, ale już wieczorem poinformował ich, że polepszyło mu się na tyle, iż będzie mógł pójść do Darnella i trochę popracować przy Christine.

Regina zaprotestowała. Choć nie powiedziała tego głośno, uważała, że Arnie wygląda jak lekko odgrzana śmierć. Co prawda z jego twarzy znikły bez śladu wszystkie krosty i pryszcze, ale jednocześnie pojawiła się na niej niesamowita bladość i ciemne sińce pod oczami. Oprócz tego Arnie wciąż utykał. Regina nieraz zastanawiała się z niepokojem, czy jej syn nie zaczął zażywać jakiegoś narkotyku; być może ból kręgosłupa dokuczał mu bardziej, niż się do tego przyznawał, więc łykał jakieś świństwo, żeby tylko móc pracować przy tym przeklętym samochodzie. Jednak zawsze odrzucała od siebie z niesmakiem tę myśl. Choć opanowany obsesją, Arnie z pewnością nie był aż tak głupi.

- Naprawdę dobrze się czuję, mamo.

- Ale nie wyglądasz dobrze. Poza tym nawet nie tknąłeś kolacji.

- Zjem coś później.

- A co z twoim grzbietem? Chyba nie dźwigasz niczego ciężkiego, prawda?

- Nie, mamo.

Było to kłamstwo. Grzbiet bolał go potwornie przez cały dzień. Chyba najbardziej od chwili, kiedy naciągnął go sobie po raz pierwszy na Philly Plains (*och, więc to tam się zaczęło? naprawdę? jesteś tego pewien?*). Zdjął na trochę pas ortopedyczny i kręgosłup zaczął pulsować tak okropnym bólem, jakby chciał go zabić. Po kwadransie założył pas z powrotem, zapinając go ciasniej niż do tej pory. Teraz ból nieco zelżał. Arnie doskonale wiedział dlaczego. Wybierał się do niej. Właśnie dlatego.

Regina obrzuciła go zagubionym, zmartwionym spojrzeniem. Po raz pierwszy w życiu po prostu nie wiedziała, jak powinna postąpić. Arnie całkowicie wymknął się jej spod kontroli.

Zdawala sobie z tego sprawe i doznawala w związku z tym okropnego uczucia rozpacz, które czasem znienacka przybieralo na sile, wypelniając jej mózg wstrętnym, pustym, zgnilym zimnem. Wpadala wtedy w potworną depresję i zastanawiala się, po co właściwie żyje; czy po to, by jej syn w tym samym czasie zakochał się bez pamięci w dziewczynie i w samochodzie? Czy właśnie po to? Żeby spoglądając w jego szare oczy widziala ogrom nienawiści, jaką do niej żywił? Czy po to? A w dodatku to wszystko nie miało nic wspólnego z dziewczyną. Ani trochę. Kiedy myślała nad tym, zawsze dochodziła do wniosku, że całe nieszczęście zaczęło się od samochodu. Zaczęła mieć kłopoty ze snem i po raz pierwszy od chwili, kiedy dwadzieścia lat temu poroniła pierwszą ciążę, przyszło jej na myśl, czy nie powinna pójść do doktora Mascii, żeby przepisał jej jakieś pastylki na nerwy, przygnębienie i bezsenność. Podczas długich nocy rozmyślała o Arniem i o błędach, których już nigdy nie będzie mogła naprawić, o tym jak czas wprowadza cykliczne wahania w układzie sił i że starość potrafi nieraz wyrzeć nagle z drugiej strony lustra niczym dłoń nieboszczyka stercząca z rozkopanej ziemi.

- Wrócisz w miarę wcześniej? - zapytała, zdając sobie doskonale sprawę, iż jest to ostatnia próba matki nie mającej już żadnego wpływu na swoje dziecko. Była z tego powodu wściekła i zrozpaczona, lecz nic nie mogła na to poradzić.

- Jasne - odparł tonem, który nie pozwalał jej zbyt mocno wierzyć w jego słowa.

- Arnie, naprawdę wolałabym, żebyś został w domu. Nie wyglądasz najlepiej.

- Nic mi nie będzie. Jutro muszę zawieźć Willowi do Jamesburga jakieś części samochodowe.

- Nie zrobisz tego, jeśli będziesz chory. Przecież to prawie sto pięćdziesiąt mil!

- Nie martw się.

Pocałował ją w policzek. Był to pozbawiony jakichkolwiek uczuć pocałunek dwojga ledwo znających się ludzi.

Otworzył już kuchenne drzwi, kiedy Regina zapytała:

- Znałeś tego chłopca, który został przejechany wczoraj w nocy da Kennedy Drive?

Odwrócił do niej pozbawioną wyrazu twarz.

- Proszę?

- W gazecie napisali, że chodził do twojej szkoły.

- Aha, mówisz o tym wypadku...

- Tak.

- Zdaje się, że miałem z nim jakieś wspólne zajęcia w pierwszej klasie - odparł Arnie. -

Właściwie wcale go nie znałem, mamó.

Skinęła z zadowoleniem głową.

- To dobrze. W artykule była wzmianka o tym, że w jego krwi odkryto ślady narkotyków. Ty chyba nie bierzesz narkotyków, prawda?

- Nie, mam - powiedział Arnie, uśmiechając się łagodnie.

- A gdyby grzbiet zaczął cię boleć... to znaczy, gdyby zaczął cię naprawdę boleć, poszedłbyś do doktora Mascii, prawda? Nie kupowałbyś niczego od... od jakiegoś handlarza?

- Nie, mam - powtórzył i wyszedł z domu.

Znowu spadło trochę śniegu. Kolejne ocieplenie ponownie roztopiło go, ale tym razem niezupełnie; cofnął się do cienia, gdzie utworzył białe obramowania wokół żywoplotów, pni drzew i ścian garaży. Jednak pomimo śnieżnej obwódki - lub właśnie dzięki niej - trawnik sprawiał wrażenie dziwnie zielonego, natomiast ojciec grabiący ostatnie jesienne liście wyglądał jak niezwykle przeżytek dawno minionego lata.

Arnie uniósł rękę w zdawkowym geście i ruszył dalej bez słowa, ale Michael zawołał go do siebie. Skierował się niechętnie w jego stronę, gdyż bał się, że nie zdąży na autobus.

Ojciec również postarzał się w zawierusze, jaka rozpętała się wokół Christine, choć w jego przypadku bez wątpienia ważną rolę odegrały także inne sprawy. Pod koniec lata zgłosił chęć objęcia kierownictwa Wydziału Historycznego Uniwersytetu Horlicks i spotkał się z jednoznaczną odmową, w październiku zaś, po corocznym badaniu, jego lekarz poinformował go o tym, że w najbliższym czasie może się spodziewać poważnych kłopotów z żyłakami - z żyłakami, które o mało nie zabiły Nixona i które powszechnie uważało się za chorobę starszych ludzi! Nic więc dziwnego, że kiedy późna jesień zaczęła ustępować miejsca kolejnej szarej pensylwańskiej zimie, Michael Cunningham był jeszcze bardziej ponury niż zwykle.

- Cześć, tato. Posłuchaj, muszę się pośpieszyć, jeśli chcę zdążyć na...

Michael oderwał wzrok od niewielkiej sterty zmarzniętych brązowych liści, jaką udało mu się zebrać, i spojrzał na syna. Czerwone promienie zachodzącego słońca padły na jego poważną twarz; wyglądała tak, jakby cała ociekała krwią. Wstrząśnięty Arnie mimowolnie cofnął się o krok.

- Arnoldzie, gdzie byłeś ostatniej nocy?

- Co?... - wykrztusił Arnie, po czym na dłuższą chwilę zamarł z rozchyłonymi ustami. - Tutaj, tato. W domu. Przecież wiesz.

- Całą noc?

- Oczywiście. Położyłem się o dziesiątej. Byłem kompletnie wykończony. Dlaczego pytasz?

- Dlatego że dzwonił dzisiaj do mnie z policji - odparł Michael. - W sprawie tego chłopca, którego wczoraj wieczorem ktoś przejechał na Kennedy Drive.

- Moochie Welch - powiedział Arnie. Spoglądał na ojca spokojnymi oczami, mocno podkrążonymi i obwiedzionymi ciemnymi sińcami. Jeżeli synem wstrząsnął wygląd ojca, to ojcem wstrząsnął także wygląd syna; w przyćmionym świetle Michael odniósł wrażenie, jakby Arnie patrzył na niego pustymi, czarnymi oczodołami.

- Tak, chyba tak właśnie się nazywał.

- Myślę, że będą jeszcze dzwonić. Mama chyba nie wie o tym, że prawdopodobnie miał coś wspólnego z tymi facetami, którzy napadli na Christine?

- Ja jej tego nie powiedziałem.

- Ani ja. I wolalbym, żeby tak zostało.

- Kiedyś na pewno się tego dowie - odparł Michael. - Może tego nie zauważyłeś, ale jest bardzo inteligentną kobietą. W każdym razie ja na pewno jej o tym nie poinformuję.

Arnie skinął głową, po czym uśmiechnął się bez odrobiny wesołości.

- "Gdzie byłeś ostatniej nocy?..." Jestem zbudowany twoim zaufaniem, tato.

Michael zarumienił się, ale nie spuścił wzroku.

- Może zrozumiałbyś, dlaczego cię o to zapytałem, gdybyś przez ostatnie miesiące mógł choć raz spojrzeć na siebie z zewnątrz.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Doskonale wiesz, co to ma znaczyć, i nie ma najmniejszego sensu o tym dyskutować. Wciąż kręcimy się w kółko, a to nie może przynieść żadnych efektów. Twoje życie rozpada się na kawałki, a ty stoisz i pytasz mnie, o czym mówię!

Arnie parsknął śmiechem. Był to ostry, pogardliwy śmiech. Ciałem Michaela wstrząsnął ledwo dostrzegalny dreszcz.

- Mama chciała wiedzieć, czy biorę narkotyki. Może i ty miałbyś ochotę to sprawdzić? - Zrobił gest, jakby chciał podwinąć rękaw kurtki. - Sprawdzisz, czy nie mam śladów po igle?

- Nie muszę pytać, czy bierzesz narkotyki - odparł Michael. - Wiem o jednym, który wciąż na ciebie działa, i to w zupełności wystarczy. To ten przeklęty samochód.

Arnie odwrócił się, żeby odejść, lecz Michael chwycił go za ramię.

- Nie dotykaj mnie!

Ojciec cofnął rękę.

- Chcę cię ostrzec - powiedział. - Nie wierzę w to, że mógłbyś kogoś zabić, tak samo jak nie wierzę w to, że potrafiłbyś przejść po wodzie w basenie Symondsów. Ale policja na pewno będzie cię wypytywać, a ludzie często wygadują różne głupoty, kiedy niespodziewanie trafiają na przesłuchanie. Dla policji to prawie to samo, co przyznanie się do winy.

- Wszystko dlatego, że jakiś pijaczyna potrafił tego zasańca Welcha?



- Niezupełnie - odparł Michael. - Przynajmniej tyle udało mi się wyciągnąć od tego Junkinsa, który do mnie dzwonił. Ktokolwiek zabił Welcha, zatrzymał samochód, cofnął, ruszył do przodu, zatrzymał, znowu cofnął...

- Przestań - wykrztusił Arnie. Na jego twarzy pojawił się nagle wyraz odrazy i niepokoju i Michael odniósł to samo wrażenie co Dennis wieczorem w Święto Dziękczynienia: że prawdziwy, nieszczęśliwy i znękaný Arnie pojawił się bardzo blisko, może nawet w zasięgu ręki.

- T0 było... niesłychanie brutalne - ciągnął Michael. - Tak powiedział Junkins. I wcale nie wygląda na wypadek, tylko na morderstwo.

- Morderstwo... - powtórzył oszołomiony Arnie. - Boże, nigdy bym...

- Co takiego? - zapytał ostro Michael i ponownie chwycił go za ramię. - Co powiedziałaś?

Arnie spojrział na ojca. Jego twarz znowu przypominała nieprzeniknioną maskę.

- Nigdy bym nie pomyślał, że to może być coś takiego - dokończył. - Tylko to chciałem powiedzieć.

- Woląłem, żebyś o tym wiedział. Będą szukać kogoś z motywem, choćby nie wiadomo jak blahym. Wiedzą, co stało się z twoim samochodem i że ten Welch chyba miał z tym coś wspólnego, albo że ty myślisz, że on miał z tym coś wspólnego. Junkins pewnie zjawi się tutaj, żeby z tobą porozmawiać.

- Nie mam nic do ukrycia.

- Oczywiście, że nie - odparł Michael. - Spóźnisz się na autobus.

- Taaak... - mruknął Arnie. - Muszę już iść.

Mimo to stał nieruchomo jeszcze przez kilka chwil, wpatrując się w ojca.

Michael nagle przypomniał sobie dziewiąte urodziny Arniego. Zabrał wtedy syna do małego zoo w Filadelfii, gdzie zjedli lunch, a po powrocie rozegrali partię minigolfa w hali przy Basin Drive, która spłonęła w roku 1975. Regina nie mogła z nimi pojechać, gdyż leżała w łóżku z zapaleniem oskrzeli. Byli tylko we dwóch i znakomicie się bawili. Dla Michaela właśnie te urodziny syna stanowiły uosobienie słodkiego i beztroskiego amerykańskiego dzieciństwa. Pojechali do zoo i wrócili, i właściwie nic się nie zdarzyło oprócz tego, że bardzo mile spędzili czas - oni dwaj, Michael i syn, drogi mu zarówno wtedy, jak i teraz.

- Sprzedaj ją, Arnie - powiedział, zwilżywszy wargi. - Sprzedaj ją, jak tylko skończysz remont. Na pewno dostaniesz za nią masę pieniędzy. Dwa, może nawet trzy tysiące dolarów.

Odniósł wrażenie, że na twarzy Arniego znowu pojawił się wyraz lęku i zagubienia, ale tym razem nie był tego całkowicie pewien. Zachodzące słońce stopniało do rozmiarów wąskiej pomarańczowej kreski nad horyzontem i na podwórku zapanowała ciemność. Zaraz potem ulotny wyraz zniknął - jeżeli w ogóle tam był.

- Nie zrobię tego, tato - powiedział łagodnie Arnie, jakby mówił do dziecka. - Nie mogę tego zrobić. Za dużo jej poświęciłem. O wiele za dużo.

Odszedł, kierując się na ukos w stronę chodnika, po czym zniknął wśród pogłębiających się cieni, pozostawiając za sobą jedynie cichnący odgłos kroków.

Za dużo jej poświęciłeś? Naprawdę? Co konkretnie, Arnie? Co jej poświęciłeś?

Michael opuścił spojrzenie na stertę liści, a następnie rozejrzał się dookoła. Zimny śnieg lśnił wzdłuż krawędzi żywopłotu i pod okapem garażu, uparcie oczekując na przybycie posiłków. Czekał na zimę.

## 32. REGINA I MICHAEL

*To prawdziwe чудо ten mój wóz,  
Czterobiegony, dwugaźnikowy, wspaniały wóz.*

The Beach Boys

Regina była zmęczona - ostatnio męczyła się coraz łatwiej i szybciej - więc położyli się do łóżka około dziewiątej, na długo przed powrotem Arniego do domu. Kochali się z poczucia obowiązku i bez radości (robili to coraz częściej, w związku z czym Michael nabrał niepokojących podejrzeń, że żona używa jego penisa jako pigułki nasennej), a kiedy potem leżeli bez ruchu w swoim małżeńskim łóżu, Michael zapytał od niechcienia:

- Jak ci się spało ostatniej nocy?

- Nieźle - odpowiedziała Regina, a on natychmiast domyślił się, że kłamie. To dobrze.

- Kiedy wstałem około jedenastej, Arnie trochę rzucił się w łóżku - ciągnął Michael, starając się utrzymać możliwie obojętny ton.

Dreńczył go głęboki niepokój. W twarzy Arniego dostrzegł dzisiaj coś, czego nie zdołał odczytać przez te przekłete cienie. Prawdopodobnie nie było to nic ważnego, lecz wspomnienie o tym tkwiło w jego pamięci jak złowieszczy neon, którego w żaden sposób nie można wyłączyć. Czy jego syn wyglądał na winnego i przerażonego? A może za wszystko należało winić jedynie oświetlenie? Dopóki nie uda mu się rozwikłać tego problemu, z całą pewnością nie zaśnie... o ile w ogóle tej nocy mógł marzyć o czymś takim jak sen.

- Ja wstałam o pierwszej - odparła Regina, po czym szybko dodała: - Musiałam pójść do łazienki. Zajrzałam do jego pokoju. - Uśmiechnęła się smutno. - Trudno odzwyczaić się od starych nawyków, prawda?

- Tak - powiedział Michael. - Chyba tak.

- Spał zupełnie spokojnie. Wolalabym, żeby przy chłodniejszej pogodzie zakładał na noc piżamę.

- Był tylko w slipach?

- Tak.

Michael poczuł ogromną ulgę i zarazem coś w rodzaju wstydu. Jednak lepiej było wiedzieć... na pewno. Bardzo łatwo było mu powiedzieć Arniemu, iż nie wierzy w to, że jego syn mógłby popełnić morderstwo, ale podświadomość, ta perwersyjna małpa, potrafi podsuwać

najróżniejsze pomysły i czerpać z tego jakąś zбочoną przyjemność. Może właśnie na tym polega szczególne przekleństwo życia - pomyślał Michael podkładając ręce pod głowę i wpatrując się w mroczny sufit. Bez żadnego kłopotu potrafisz sobie wyobrazić żonę kochającą się z twoim najlepszym przyjacielem, przyjaciela knującego przeciwko tobie niecne intrygi i syna popełniającego morderstwo za pomocą samochodu.

Lepiej zawstydzić się i położyć małą spać.

O pierwszej w nocy Arnie był w domu. Regina z pewnością nie pomyliła się co do godziny, gdyż na nocnej szafce w sypialni stało radio z podświetlonym zegarem, pokazującym godziny dużymi, niebieskimi, nieomylnymi cyframi. O pierwszej w nocy Arnie był w domu, tamtego chłopaka zaś przejechano dwadzieścia pięć minut później jakieś trzy mile stąd. Niemożliwe, żeby Arnie zdążył się ubrać, wyjść (nie zwracając uwagi Reginy, która z całą pewnością jeszcze wtedy nie spała), pojechać do Garażu Darnella, wziąć Christine i dojechać do miejsca, gdzie zginął Moochie Welch. Absolutnie niemożliwe.

Przed wszystkim Michael nigdy w to tak naprawdę nie wierzył.

Czająca się w podświadomości mała została usatysfakcjonowana. Michael przekręcił się na prawy bok, zasnął i śnił o tym, że wraz ze swym dziewięcioletnim synem rozgrywa nie kończąca się partię miniaturowego golfa na trasie wyłożonej sztuczną nawierzchnią, z obracającymi się wiatrakami i czyhającymi przeszkodami wodnymi... Śniło mu się, że są sami, zupełnie sami na świecie, ponieważ matka jego syna umarła podczas porodu - bardzo smutna historia; ludzie do dzisiaj wspominali, jak bardzo Michael rozpaczal po stracie żony - ale kiedy wróca do domu, ojciec i syn, cały dom będzie tylko ich, będą jeść spaghetti prosto z garnka jak dwóch starych kawalerów, a po zmywaniu naczyń usiądą przy kuchennym stole nakrytym rozłożoną gazetą i będą kleić modele samochodów z nieszkodliwymi plastikowymi silnikami.

Michael Cunningham uśmiechnął się przez sen. Leżąca obok niego Regina nie uczyniła tego. Leżała z szeroko otwartymi oczami i czekała na trzaśnięcie drzwi, które poinformuje ją, że jej syn wrócił do domu z rozciągającego się na zewnątrz świata.

Kiedy usłyszy odgłos zamykanych i otwieranych drzwi... kiedy usłyszy kroki na schodach... dopiero wtedy będzie mogła zasnąć.

Być może.

### 33. JUNKINS

*Chyba lepiej zwołnij i jedź ze mną, złotko...*  
*Że co?*  
*Mam się zamknąć i pilnować swoich spraw?*  
*Złotko, ty jesteś moją sprawą!*  
*Jesteś dla mnie ważną sprawą, złotko,*  
*A ja uwielbiam ważne sprawy!*  
*Jaki mam wóz?*  
*Cadillaca z czterdziestego ósmego,*  
*Z szerokimi skrzydłami.*  
*Powiadam ci, dziecino, to wspaniała maszyna.*  
*Gnaj, Josephine, gnaj...*

Ellas McDaniel

Junkins zjawił się w Garażu Darnella za kwadrans dziewiąta wieczorem. Arnie właśnie skończył pracę przy Christine. Wymienił antenę złamaną przez bandę Reppertona i przez co najmniej piętnaście minut siedział za kierownicą słuchając nadawanej przez stację WDIL Piątkowej Listy Złotych Przebojów.

Właściwie chciał tylko włączyć na chwilę radio, by sprawdzić, czy dobrze wetknął przewód i czy nie ma żadnych zakłóceń, lecz kiedy rozległy się mocne i czyste dźwięki muzyki, znieruchomiał na fotelu kierowcy wpatrując się przed siebie nie widzącym spojrzeniem, podczas gdy Bobby Fuller śpiewał "I Fought the Law", Frankie Lymon i Teenagers wykonywali "Why Do Fools Fall in Love?", Eddie Cochran śpiewał "C'mon, Everybody", Buddy Holly zaś "Rave On". W piątkowe wieczory WDIL nie nadawała żadnych reklam ani zapowiedzi, tylko piosenki, które co prawda zniknęły z list aktualnych przebojów, ale nie z ludzkich serc. Co jakiś czas odzywał się łagodny kobiecy głos informujący Arniego o tym, o czym i tak doskonale wiedział - że słucha nadającej z Pittsburga rozgłośni WDIL.

Siedział rozmarzony za kierownicą, wystukując lekko rytm palcami. Antena była w porządku. Tak. Odwalił kawał dobrej roboty. Dokładnie tak, jak powiedział Will: miał smykałkę. Wystarczyło spojrzeć na Christine, ona stanowiła tego najlepszy dowód. Jeszcze niedawno była tylko stertą złomu stojącą na trawniku przed domem LeBaya, a on przywrócił jej dawną

światność. Potem była tylko stertą złomu stojącą na długoterminowym parkingu przy dworcu lotniczym, a on znowu przywrócił jej dawną światność. Zrobił...

*Krzyknij... i powiedz mi...*

*Powiedz mi... bym samotny nie był nigdy już...*

Co zrobił?

Wymienił antenę, zgadza się. Pamiętał też, że wyklepał kilka wkłęśnięć, ale nie zamawiał żadnych szyb (choć wszystkie były teraz zupełnie nowe), nie zamawiał tapicerki (choć także była zupełnie nowa) i tylko raz zajrzał pod maskę, po czym zatrzasnął ją z hukiem, przerażony rozmiarami zniszczeń, jakie tam ujrzał.

Teraz jednak chłodnica była znowu cała, blok silnika czysty i lśniący, tłoki poruszały się lekko i swobodnie. A silnik mruczał jak kot.

Oprócz tego były jeszcze sny.

W snach widział LeBaya siedzącego za kierownicą Christine, ubranego w mundur oznaczony niebieskoszarymi plamami cementarnego błota. Ciało LeBaya gniło i rozpadało się. Tu i ówdzie wystawały białe, lśniące kości. Oczodoły były puste i ciemne (choć coś w nich się poruszało, tak, to nie ulegało żadnej wątpliwości). A potem reflektory Christine rozbłyskiwały światłem i przed samochodem pojawiała się sylwetka kogoś przyszpilonego blaskiem niczym żuk do kartonu, kogoś znajomego.

Moochie Welch?

Możliwe. Ale kiedy Christine nagle ruszała do przodu z piskiem opon, Arnie odnosił wrażenie, że przerażone rysy stają się płynne i zmieniają się do ostatniej chwili, przypominając to twarz Reppertona, to Sandy'ego Galtona, to znowu Willa Darnella.

Ktokolwiek to był, zdążył odskoczyć w bok, lecz LeBay wrzucił wsteczny bieg, przesuwając dźwignię rozkładającymi się palcami - na jednym z nich wisiała obrączka, luźna niczym pętla przerzucona przez gałąź uschniętego drzewa - a potem znowu ruszył naprzód, ścigając postać biegnącą ku przeciwnej stronie ulicy. Kiedy Christine znalazła się tuż za nią, postać odwróciła głowę, rzucając przez ramię przerażone spojrzenie, i Arnie ujrzał twarz matki... Dennisa Guildera... twarz Leigh, składającą się właściwie wyłącznie z oczu pod rozfalowanym oblókem włosów... a wreszcie swoją własną, z wykrzywionymi ustami wywrzaskującymi tylko jedno słowo: Nie! Nie! Nie!

Nad wszystkim jednak, zagłuszając nawet basowe dudnienie tłumika (coś tam musiało ulec uszkodzeniu), unosił się chrapliwy, tryumfujący głos LeBaya, wydobywający się z gnijącej krtani i przeciskający przez usta, które zdążyły już cofnąć się, obnażając zęby, i pokryć delikatnym tatuażem zielonkawej pleśni. Tryumfalny, skrzeczący głos LeBaya:

“Masz za swoje, zasrańcu! I co, podoba ci się?”

Zderzak Christine rąbnął z hukiem w ciało, w powietrze wyleciały okulary, wirujące i obracające się bezwładnie, a zaraz potem Arnie obudził się w swoim pokoju, zwinięty w drżącą kulkę, przyciskając kurczowo do piersi poduszkę. Dochodziło piętnaście po pierwszej w nocy; ogarnęło go uczucie ogromnej, niezmierzonej ulgi - dlatego że żył, że LeBay był martwy, a Christine bezpieczna w Garażu Darnella. Liczyły się tylko te trzy rzeczy.

Chwileczkę, Arnie! Opowiedz, w jaki sposób naciągnąłeś sobie grzbiet?

Jakiś głos głęboko z wnętrza, złośliwy i domyślny, zadający pytanie, na które wolalby nie odpowiadać.

Naciągnąłem go sobie na torze wyścigowym Philly Plains, tak mówił wszystkim. Jeden z wraków zaczął zsuwać się z platformy, więc go podepchnąłem. Nie zastanawiałem się, tylko po prostu to zrobiłem. Zdaje się, że trochę przesadziłem. Tak właśnie mówił. Rzeczywiście, jeden z wraków naprawdę zaczął się zsuwać z platformy, a on naprawdę go podepchnął, ale przecież nie wtedy naciągnął sobie grzbiet, prawda? Prawda.

Wieczorem tego dnia, kiedy razem z Leigh znaleźli zdemolowaną Christine stojącą na czterech sflaczałych oponach na lotniskowym parkingu... wieczorem u Darnella, kiedy już wszyscy poszli do domu... nastawił radio w biurze Willa na nadającą stare przeboje stację WDIL... Will darzył go teraz pełnym zaufaniem, i nic dziwnego. Przecież Arnie szmugłował papierosy do stanu Nowy Jork, przewoził fajerwerki do Burlington, a dwa razy wiozł jakiś pakuneczek zawinięty w brązowy papier aż do Wheeling, gdzie w zamian otrzymał od chłopaka czekającego na niego w starym dodge’u challengerze inny, znacznie większy. Podejrzewał, że być może w małych paczuszkach znajdowała się kokaina, w dużej zaś pieniądze, ale nie wiedział tego na pewno i wcale nie chciał wiedzieć.

Na te wyprawy jeździł prywatnym samochodem Willa, imperialem z 1966 roku, czarnym jak bezgwiezdne nocne niebo w Persji. Sunął nieprawdopodobnie cicho i miał podwójne dno w bagażniku. Jeżeli nie przekraczałeś dozwolonej prędkości, nie groziły ci żadne kłopoty. Bo i czemu miałyby ci grozić? Najważniejsze, że miał teraz klucze do garażu i mógł przychodzić wtedy, kiedy nikogo już tam nie było. Tak jak tamtego wieczoru. Nastawił wtedy WDIL... a potem... potem w jakiś sposób naciągnął sobie grzbiet.

Naciągnął sobie grzbiet.

Co takiego mógł robić?

Zamiast odpowiedzi jego podświadomość wypchnęła na powierzchnię dziwnie brzmiące zdanie: “To taki mały feler”.

Czy naprawdę chciał się dowiedzieć? Nie. W rzeczywistości były nawet takie chwile, kiedy

w ogóle nie chciał mieć nic wspólnego z tym samochodem. Były chwile, kiedy wydawało mu się, że powinien po prostu oddać go na złom. Oczywiście nie zrobiłby tego, ale czasem (na przykład kiedy budził się, roztrzęsiony i przerażony, z koszmarne go snu) czuł, że gdyby się go pozbył, byłby... szczęśliwszy.

Nagle radio parsknęło jak kot i z głośnika wydobył się gniewny szum.

- Nie bój się - szepnął Arnie. Przesunął dłonią po tablicy wskaźników, rozkoszując się tym, co czuł pod palcami. Tak, ten samochód chwilami przerażał go. Ojciec chyba miał rację: Christine na pewno w znacznym stopniu odmieniła jego życie, ale nie mógłby oddać jej na złom, tak samo jak nie mógłby popełnić samobójstwa.

Szum ucichł. Marvelettes śpiewali "Please Mr Postman".

A potem tuż przy jego uchu odezwał się głos:

- Arnold Cunningham?

Podskoczył na fotelu, wyłączył radio i odwrócił się. O drzwi Christine opierał się nieduży, kościsty mężczyzna. Miał ciemnobrązowe oczy i zaróżowione policzki - Arnie domyślił się, że zapewne z powodu panującego na zewnątrz zimna.

- Słucham?

- Jestem Rudolph Junkins z Wydziału Śledczego Policji Stanowej - przedstawił się mężczyzna i wetknął rękę do środka samochodu.

Arnie przez chwilę przyglądał się jej bez słowa. A więc ojciec miał rację.

Przywołał na twarz swój najbardziej ujmujący uśmiech, uściśnął mocno podaną rękę i odparł:

- Tylko niech pan nie strzela. Zostawiłem gnata w domu.

Junkins również się uśmiechnął, lecz Arnie zauważył, że uśmiechnęły się tylko usta mężczyzny, oczy zaś przesuwały się szybko z miejsca na miejsce, przyglądając się samochodowi w sposób, który zupełnie mu się nie spodobał. Ani trochę.

- Chłopcy z miejscowej policji powiedzieli mi, że faceci, którzy wzięli się za twoją gablote, dali jej niezły wycisk, ale wcale mi na to nie wygląda.

Arnie wzruszył ramionami i wysiadł z samochodu. W piątkowe wieczory w Garażu Darnella panowała senna atmosfera. Sam Darnell rzadko się wtedy pojawiał, a dzisiaj także go nie było. Pod przeciwległą ścianą, w boksie numer dziesięć, facet nazwiskiem Gabbs montował nowy tłumik w swoim starym valliancie, z końca pomieszczenia zaś dobiegał od czasu do czasu warkot pneumatycznego śrubokrętu, za pomocą którego jakiś inny majsterkowicz zakładał koła z zimowymi oponami. Poza tym w całym garażu byli tylko Arnie i Junkins.

- Okazało się, że nie jest tak źle, jak na to wyglądało - powiedział Arnie. Przemknęła mu



myśl, że ten nieduży, poruszający się szybko mężczyzna musi być cholernie bystry. Odruchowo dotknął dłonią dachu Christine i natychmiast poczuł się lepiej. Poradzi sobie z tym facetem, bez względu na to, jak bardzo tamten okaże się bystry. Poza tym czego właściwie ma się obawiać? - Zniszczenia nie były zbyt poważne.

- Doprawdy? Podobno zrobili masę dziur jakimś ostrym narzędziem. - Junkins przyjrzał się dokładnie bokowi Christine. - Niech mnie szlag trafi, jeśli widzę, gdzie to było. Jesteś geniuszem wśród blacharzy, Arnie. Chyba zgłoszę się do ciebie, jak moja żona jeszcze raz wjedzie komuś w kufer.

Uśmiechnął się rozbrajająco, ale jego wzrok bez przerwy przesuwiał się po samochodzie, na chwilę przeskoczył na twarz Arniego, by natychmiast wznowić wędrówkę po nadwoziu Christine. Arniemu zaczynało się to coraz mniej podobać.

- Jestem niezły, ale nie jestem Bogiem - odparł. - Na pewno zobaczy pan te miejsca, jeśli tylko uważnie się pan przyjrzy. - Wskazał mikroskopijny ślad na tylnym błotniku. - Na przykład tutaj. I tutaj. Miałem szczęście, że udało mi się znaleźć w Ruggles trochę oryginalnych części do plymoutha. Z tej strony wymieniałem całe tylne drzwi. Widzi pan, że odcień lakieru jest trochę inny?

Zastukał w blachę.

- Nic nie widzę - odrzekł Junkins. - Może zobaczyłbym, gdybym miał mikroskop, ale moim zdaniem wszystko pasuje wręcz idealnie.

On również zastukał w drzwi. Arnie zachmurzył się.

- Znakomita robota - ciągnął Junkins, przesuwając się powoli ku przodowi samochodu. - Wyśmienita robota. Muszę ci pogratulować, Arnie.

- Dziękuję.

Przypatrywał się, jak Junkins, udając zachwyconego miłośnika samochodów, poszukuje swymi bystrymi brązowymi oczami podejrzanych wgłęć, odprysków lakieru, może nawet kropli zaschniętej krwi lub kosmyka wyrwanych włosów. Śladów Moochiego Welcha. Arnie nabral nagle graniczącego z pewnością przekonania, że ten zasraniec właśnie tego szuka.

- Czym właściwie mogę panu służyć, detektywie Junkins?

Policjant roześmiał się.

- Człowieku, coś ty taki sztywny? Nie lubię tego. Mów mi Rudy, dobrze?

- Jasne - zgodził się z uśmiechem Arnie. - A więc, czym mogę ci służyć, Rudy?

- Wiesz, to zabawna historia... - mruknął Junkins; przykucnął, przyglądając się uważnie reflektorom po lewej stronie samochodu. Pozornie zamyślony zastukał w jeden z nich palcem, a następnie przesunął dłonią po metalowym obramowaniu. Jego płaszcz przez chwilę dotykał

powalanej olejem i smarami posadzki. Zaraz potem detektyw wyprostował się. - Zwykle właściciele zawiadamiają nas, kiedy ich samochody zostają zdemastowane tak jak twój...

- Och, oni wcale go nie zdemastowali - przerwał mu Arnie, Nagle poczuł się tak, jakby szedł po rozpiętej gdzieś wysoko linie i ponownie dotknął Christine. Jej solidność, jej realność jeszcze raz przywróciły mu siły. - Starali się, ale w gruncie rzeczy nie bardzo im to wyszło.

Junkins roześmiał się.

- W porządku. Wygląda na to, że nie jestem na bieżąco z obowiązującą terminologią. W każdym razie, kiedy usłyszałem o tej sprawie, wiesz, o co przede wszystkim zapytałem? Gdzie są zdjęcia, o to właśnie zapytałem. Pomyślałem sobie, że może zapomnieli je nam przysłać, ale kiedy zadzwoniłem do Libertyville, okazało się, że nie było żadnych zdjęć.

- To prawda - potwierdził Arnie. - Chyba wie pan o tym, że w moim wieku można ubezpieczyć się tylko od odpowiedzialności cywilnej, a i to kosztuje aż siedemset dolarów rocznie. Gdybym miał autocasco, kazalbym jej zrobić mnóstwo zdjęć, ale że nie mam, to na co mi one? Na pewno nie wkleiłbym ich do albumu rodzinnego.

- Chyba nie - zgodził się Junkins i niespiesznym krokiem skierował się ku tylnej części samochodu, wciąż szukając bystrym wzrokiem rys na lakierze, pęknięć na szkle, jakichkolwiek podejrzanych śladów. - Ale wiesz, co jeszcze zwróciło moją uwagę? W ogóle nie zawiadomiłeś policji o przestępstwie! - Utkwił pytające spojrzenie w twarzy Arniego, zatrzymał je przez dłuższą chwilę... a potem uśmiechnął się fałszywie, z lekkim zdziwieniem. - Nie zgłosiłeś przestępstwa! Cholera, pomyślałem sobie, a to sukiny! Kto więc je zgłosił? Jego ojciec, mówią mi. - Junkins potrząsnął głową. - Nie rozumiem tego, Arnie, i mówię ci o tym zupełnie szczerze. Facet urabia sobie ręce po łokcie remontując stary samochód, który w końcu jest wart dwa albo i pięć tysięcy dolarów, a potem, kiedy jacyś faceci rozwalają mu go na kawałki...

- Przecież powiedziałem panu...

Rudy Junkins uniósł rękę i uśmiechnął się rozbijająco. Arnie odniósł niesamowite wrażenie, że za chwilę powie "pokój", tak jak czasem robił to Dennis, kiedy temperatura dyskusji przekraczała dopuszczalną normę.

- Przepraszam. Psują go.

- Właśnie.

- Jednak według tego, co mówiła twoja dziewczyna, jeden z nich... no, wypróżnił się na tablicę wskaźników. Wyobrażam sobie, że każdy na twoim miejscu wściekłby się i zawiadomił policję.

Uśmiech zniknął bez śladu. Junkins wpatrywał się w Arniego poważnym, wręcz natarczywym wzrokiem.

Arnie odpowiedział chłodnym spojrzeniem swoich szarych oczu.

- Gówno można posprzątać - powiedział wreszcie. - Wie pan... Wiesz co, Rudy? Powiedzieć ci coś?

- Jasne, synu.

- Kiedy miałem półtora roku, porysowałem widelcem zabytkowe biurko, na które moja matka oszczędzała przez co najmniej pięć lat. Odejmowała sobie od ust, żeby je kupić, tak powiedziała. Przypuszczam, że zniszczenie go nie zajęło mi zbyt dużo czasu. Oczywiście nie pamiętam tego, ale kiedy zobaczyła, co zrobiłem, podobno po prostu usiadła i zaczęła krzyżeć. - Uśmiechnął się lekko. - Do tej pory nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, ale teraz już chyba potrafię. Może po prostu wydorosłałem, nie sądzisz?

Junkins zapalił papierosa.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz, Arnie.

- Powiedziała, że gdyby wiedziała, co zrobię, trzymałaby mnie w beciku do trzeciego roku życia. Dlatego że gówno można posprzątać. Bierze się ścierkę i trochę wody, i już go nie ma.

- Tak jak teraz nie ma Moochiego Welcha?

- Nic o tym nie wiem.

- Nic?

- Nic.

- Słowo harcerza? - zapytał Junkins. Pytanie zostało zadane żartobliwym tonem, ale oczy detektywa były zupełnie poważne. Wwiercały się w twarz Arniego poszukując choćby najmniejszej szczeliny, najdrobniejszego pęknięcia.

W boksie na końcu budynku facet zakładający koła z zimowymi oponami upuścił pneumatyczny śrubokręt. Rozległ się donośny metaliczny szczęk, a zaraz potem przekleństwo.

- Niech cię szlag trafi, ty zaszrana dziwko!

Junkins i Arnie zerknęli w tamtą stronę; nastrój prysł.

- Jasne - odparł Arnie. - Słowo harcerza. Posłuchaj, ja wiem, że musisz to robić, bo to twój zawód, ale...

- Oczywiście, że to mój zawód - zgodził się Junkins. - Chłopak został przejechany w sumie sześć razy. Został z niego surowy befsztyk. Zbierali go szufelką.

- Daj spokój - poprosił Arnie, czując, jak jego żołądek wywraca powolnego koziołka.

- Dlaczego? Przecież tak właśnie postępuje się z gównem. Zbiera się je szufelką, prawda?

- Nie mam z tym nic wspólnego! - wrzasnął nagle Arnie. Grzebiący przy tłumiku człowiek z boku naprzeciwko spojrział ze zdziwieniem w jego kierunku.

Arnie ściszył głos.

- Przepraszam. Po prostu chciałbym, żebyście zostawili mnie w spokoju. Doskonale wiesz, że nie maczałem w tym palców. Przed chwilą obejrzałeś cały samochód. Gdyby to Christine rozjechała tyle razy tego Welcha, byłaby cała podrapana i powgniatana. Wiem o tym choćby z telewizji. A na warsztatach dwa lata temu pan Smolnack powiedział, że dwa najlepsze sposoby na zniszczenie przodu samochodu to uderzyć w losia albo człowieka. Mówił to trochę żartem, ale na pewno zupełnie serio... jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

Arnie przelknął ślinę i usłyszał głośnie pyknięcie w swoim gardle, które było zupełnie suche.

- Jasne - powiedział Junkins. - Twój wóz wygląda bez zarzutu. Ale ty nie, chłopcze. Zachowujesz się jak lunatyk. Wybacz mi moje słownictwo, ale wyglądasz na kompletnie zjebanego. - Rzucił niedopalek papierosa. - Wiesz co, Arnie?

- Co?

- Myślę, że łziesz jak galopujący koń. - Puknął dłonią w maskę Christine. - A raczej jak pędzący plymouth.

Arnie wpatrywał się w niego w milczeniu, dotykając ręką zewnętrznego lusterka po stronie pasażera.

- Nie wydaje mi się, żebyś kłamał na temat tego chłopaka, ale na pewno kłamiesz, jeśli chodzi o to, co ci faceci zrobili z twoim wozem. Twoja dziewczyna twierdzi, że rozwalili go na strzępy, i chyba można jej wierzyć. Plakała, kiedy mi o tym opowiadała. Mówiła, że wszędzie leżały kawałki potłuczonego szkła... Aha, przy okazji: gdzie dostałeś nowe szyby?

- U McConnella w Pittsburghu - odparł szybko Arnie.

- Masz rachunek?

- Wyrzuciłem.

- Ale powinni cię tam pamiętać. Chyba nie co dzień zdarzają im się takie zamówienia.

- Mogą, ale na twoim miejscu nie liczyłbym za bardzo na to, Rudy. To największa firma zajmująca się samochodowymi szybami na zachód od Nowego Jorku i na wschód od Chicago. Mają mnóstwo interesantów, a większość z nich zamawia szyby do starych samochodów.

- Ale chyba prowadzą jakąś księgowość?

- Płaciłem gotówką.

- Więc na rachunku powinno być twoje nazwisko.

Arnie uśmiechnął się chłodno.

- Wcale nie. Wszystkie części kupowałem dla Garażu Darnella. Dzięki temu miałem dziesięcioprocentowy rabat.

- Zabezpieczyłeś się ze wszystkich stron, prawda?

- Poruczniku Junkins...

- Łzesz też, jeśli chodzi o te szyby, choć za cholere nie mogę się domyślić dlaczego.

- Coś mi się wydaje, że podejrzewałbyś nawet Chrystusa o to, że kłamał na Golgocie! - wybuchnął Arnie. - Od kiedy kupowanie nowych szyb do samochodu uważane jest za przestępstwo? Albo płacenie gotówką i korzystanie z rabatu?

- Od nigdy.

- W takim razie zostaw mnie w spokoju.

- Poza tym wydaje mi się, że kłamiesz też twierdząc, iż nie masz pojęcia, co się stało z Welchem. Moim zdaniem jednak coś wiesz, a ja chcę wiedzieć co.

- Nic nie wiem.

- A co na przykład...

- Przykro mi, ale nie mam nic więcej do powiedzenia - stwierdził Arnie.

- W porządku.

Fakt, że Junkins zrezygnował tak łatwo, natychmiast wzbudził podejrzliwość Arniego. Detektyw sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął portfel. Przy okazji Arnie zauważył tkwiący w kaburze pod pachą pistolet - przypuszczał, iż policjant chciał, żeby to zauważył. Junkins podał mu wizytówkę.

- Można mnie zastać pod jednym z tych dwóch numerów. Zadzwon do mnie, gdybyś chciał o czymś porozmawiać. O czymkolwiek.

Arnie schował wizytówkę do kieszonki na piersi. Junkins jeszcze raz przeszedł się niespiesznie dookoła Christine.

- Wspaniała robota - powtórzył, po czym zerknął z ukosa na Arniego. - Dlaczego nas nie zawiadomiłeś?

Arnie westchnął głęboko i wzruszył ramionami.

- Dlatego że myślałem, że to już będzie koniec. Że wreszcie dadzą mi spokój.

- Taaak... - mruknął Junkins. - Właśnie coś takiego podejrzewałem. Dobranoc, synu.

- Dobranoc.

Ruszył w kierunku wyjścia, lecz nagle przystanął i odwrócił się.

- Przemyśl to sobie - powiedział. - Naprawdę paskudnie wyglądasz, wiesz o tym? Masz bardzo miłą dziewczynę, która martwi się o ciebie i wciąż przeżywa to, co się stało z twoim samochodem. Twój ojciec też się o ciebie niepokoi. Słyszałem to nawet przez telefon. Przemyśl sobie wszystko i zadzwon do mnie, synu. Od razu będziesz miał lepsze sny.

Arnie poczuł, jak na usta cisnie mu się coś małego i drżącego, przerażonego, nabrzmiałego łzami i sprawiającego ogromny ból. Junkins wpatrywał się w niego łagodnymi

brązowymi oczami. Otworzył już usta - jeden Bóg wie, co mogłoby się z nich wymusnąć - i nagle wyprostował się raptownie, dźgnięty w grzbiet eksplozją potwornego, trudnego do zniesienia bólu. Poczul się jak histeryk przywrócony do przytomności uderzeniem w twarz. Był znacznie spokojniejszy i znów mógł logicznie myśleć.

- Dobranoc - powtórzył. - Dobranoc, Rudy.

Junkins przyglądał mu się jeszcze przez chwilę ze zmartwioną miną, po czym odszedł.

Arnie zaczął się trząść. Drżenie pojawiło się najpierw w rękach, stamtąd rozlało się na przedramiona, łokcie, a potem było już wszędzie. Sięgnął na oślep do klamki, znalazł ją, otworzył drzwi i wśliznął się do wnętrza Christine wypełnionego uspokajającymi zapachami samochodu i nowej tapicerki. Przekręcił kluczyk, włączając zasilanie z akumulatora, po czym wyciągnął rękę ku pokrętni strojenia radia.

W chwili kiedy to uczynił, jego spojrzenie padło na kołyszącą się skórzaną przywieszkę z wytłoczonymi literami R. D. L., i z ogromną siłą powrócił koszmarny sen: gnijące ciało siedzące na jego miejscu; puste oczodoły wpatrujące się w przednią szybę; oblażące z ciała palce zaciśnięte na kierownicy; wyszczerzony uśmiech na trupiej twarzy, kiedy Christine miażdżyła kołami Moochiego Welcha, podczas gdy z głośnika radia nastawionego na WDIL dobiegały dźwięki "Last Kiss" w wykonaniu J. Franka Wilsona i Cavaliers.

Nagle poczul w żołądku wzbierające mdłości, które błyskawicznie podpełzły mu do gardła. Otworzył drzwi, wyskoczył z samochodu i popędził do toalety, mając uszy wypełnione trzaskającym echem swoich łomocących kroków. Ledwo zdążył. Wymiotował raz za razem, aż wreszcie została mu w ustach tylko kwaśna flegma. Przed oczami tańczyły mu rozmazane światła, huczało mu w uszach, a mięśnie żołądka wciąż zaciskały się w spazmatycznych skurczach.

Spojrzał na swoją bladą twarz w poplamionym lustrze, na podkrążone oczy i przyklejony do czoła kosmyk matowych włosów. Junkins miał rację: wyglądał okropnie.

Ale po pryszczach i krostach nie zostało nawet śladu.

Parsknął szaleńczym śmiechem. Bez względu na to, co się będzie działo, nie zrezygnuje z Christine. Nigdy tego nie zrobi. Już...

Ponownie wstrząsnęły nim torsje, ale teraz wymiotował już tylko kwaśną śliną, przyciskając dłonie do wyczyniającego nieprawdopodobne podskoki żołądka.

Musiał porozmawiać z Leigh. Nagle poczul, że koniecznie musi porozmawiać z Leigh.

Wszedł do biura Willa, gdzie słyhać było tylko cykanie dużego zegara przymocowanego do ściany, odmierzającego niestrudzenie kolejne minuty. Wykręcił numer Cabotów z pamięci, ale tak bardzo drżały mu palce, że dwa razy mylił się i musiał zaczynać od początku.

Odebrała Leigh.

- To ty, Arnie? - zapytała zasnętym głosem.

- Leigh, muszę z tobą porozmawiać. Muszę się z tobą zobaczyć.

- Arnie, jest prawie dziesiąta wieczorem. Właśnie wyszłam spod prysznic i położyłam się do łóżka. Już prawie zasypiałam...

- Proszę! - powiedział, zaciskając powieki.

- Jutro. Dziś już nic z tego nie wyjdzie. Moi rodzice nie wypuszczą mnie tak późno z domu...

- Jest dopiero dziesiąta. I piątek.

- Szczerze mówiąc, nie są zbyt zachwyceni, że nadal się z tobą spotykam. Początkowo bardzo cię polubili, i mój tata nadal cię lubi... ale teraz oboje uważają, że trochę zdziwaczałeś. - Zapadło długie milczenie. - Ja też tak uważam - dodała wreszcie.

- Czy to znaczy, że nie chcesz już mnie widzieć? - zapytał glucho. Bolał go żołądek, grzbiet, wszystko.

- Nie. - W jej głosie pojawiła się ledwo wyczuwalna nuta pretensji. - Wydawało mi się, że to ty nie chcesz się ze mną widywać... Ani w szkole, ani wieczorami, bo wszystkie spędzałeś w garażu, pracując przy swoim samochodzie.

- To już skończone - oświadczył. A potem, z ogromnym wysiłkiem: - Chcę z tobą porozmawiać właśnie o... auuuuu, cholera! - Chwycił się za krzyż, w którym poczuł kolejną eksplozję obezwładniającego bólu.

- Arnie! - wykrzyknęła z niepokojem. - Nic ci się nie stało?

- Nic. Zabolęło mnie w krzyżu.

- Zdaje się, że coś mówiłeś?...

- Jutro - odparł. - Pojedziemy do cukierni Robbinsa, kupimy lody, może zrobimy trochę przedświątecznych zakupów, zjemy obiad i na siódmą odstawię cię do domu. I obiecuję, że nie będę dziwny.

Leigh roześmiała się cicho i Arnie poczuł ogromną, cudowną ulgę. Podziałała jak balsam.

- Ty głuptasie!

- Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Tak, to znaczy, że się zgadzam. - Umilkła na chwilę, po czym dodała nieco ciszej. - Powiedziałam, że moi rodzice nie chcą, żebym się z tobą spotykała, ale to wcale nie znaczy, że ja też tego nie chcę.

- Dziękuję - odparł, starając się, by jego głos brzmiał możliwie normalnie. - Bardzo ci dziękuję.

- O czym chcesz ze mną porozmawiać?

*O Christine. Chcę porozmawiać o niej i o moich snach. O tym, dlaczego wyglądam jak upiór, dlaczego wciąż słucham WDIL i co robiłem w garażu tego wieczoru, kiedy wszyscy poszli już do domu... kiedy naciągnąłem sobie grzbiet. Och, Leigh, chcę...*

Kolejne uderzenie bólu, wrzynającego się w ciało niczym pazury kota.

- Zdaje się, że właśnie o tym rozmawialiśmy.

- Och. - Chwila ciepłego milczenia. - To dobrze.

- Leigh...

- Tak?

- Będę miał teraz dla ciebie więcej czasu. Obiecuję. Tyle czasu, ile tylko zechcesz.

I myśl: Dlatego że teraz, kiedy Dennis leży w szpitalu, zostałaś tylko ty, tylko ty jesteś między mną... między mną a...

- To dobrze - powiedziała Leigh.

- Kocham cię.

- Dobranoc, Arnie.

Powiedz, że ty też mnie kochasz! - ryknął bezgłośnie. Powiedz to! Muszę to usłyszeć!

Zamiast tego usłyszał tylko stuknięcie odkładanej słuchawki.

Przez długi czas siedział z opuszczoną głową przy biurku Willa Darnella, starając się wziąć w garść. Przecież nie musi mówić, że go kocha, za każdym razem, kiedy on jej to mówi, prawda? Chyba nie jest mu to potrzebne aż tak bardzo, prawda? Prawda?

Wreszcie wstał i skierował się do drzwi. Umówiła się z nim na jutro, to było w tej chwili najważniejsze. Pojadą po przedświąteczne zakupy, tak jak planowali tego dnia, kiedy ci zasnęcy zniszczyli Christine; będą spacerować, rozmawiać i świetnie się bawić. Wtedy Leigh na pewno powie, że go kocha.

- Powie to - szepnął, zatrzymując się w drzwiach, ale kiedy zerknął w lewo, mniej więcej w połowie budynku dostrzegł Christine Stojącą niczym nieme, bezrozumne zaprzeczenie, z chromowaną atrapą wyszczerzoną jak gotowa do zadania ciosu paszcza.

W tej samej chwili z mrocznych głębin jego podświadomości rozległ się ponury, natarczywy głos: W jaki sposób naciągnąłeś sobie grzbiet? W jaki sposób naciągnąłeś sobie grzbiet? W jaki sposób naciągnąłeś sobie grzbiet, Arnie?

Obawiał się tego pytania, gdyż bał się, że mógłby usłyszeć na nie odpowiedź.



### 34. LEIGH I CHRISTINE

*Moja mała nadjechała nowiutkim cadillakiem*

*I powiedziała: "Hej, staruszeku,*

*Nigdy już mnie nie zobaczysz!"*

*Małenka, czy nie wysłuchasz mego błagania?*

*Najstodszą, wróć do swego ojca!*

*A ona na to: "Wypchaj się, staruszeku!*

*Już nigdy mnie nie zobaczysz!"*

#### The Clash

Był to ponury dzień i w każdej chwili mógł zacząć padać śnieg, lecz Arnie miał rację w obu sprawach: świetnie się bawili, a on nie był ani odrobinę dziwaczny. Kiedy przyjechał po Leigh do domu, zastał tam panią Cabot, która przyjęła go co najmniej chłodno, ale upłynęło sporo czasu - być może nawet dwadzieścia minut - zanim Leigh zeszła na dół ubrana w karmelkowy sweterek opięty w cudowny sposób na piersiach i parę nowych spodni koloru żurawinowego, opiętych w nie mniej cudowny sposób na biodrach. To trudne do wytłumaczenia spóźnienie dziewczyny, która niemal nigdy się nie spóźniała, mogło mieć jakiś cel. Arnie zapytał ją o to, ona zaś zaprzeczyła z odrobinę zbyt przesadnym zdziwieniem i oburzeniem; bez względu na to, jak sprawy miały się naprawdę, Leigh udało się osiągnąć zamierzony skutek.

Kiedy Arnie chciał, potrafił być nadzwyczaj czarujący, do pani Cabot zabrał się zaś z ogromnym ładunkiem dobrej woli. Kiedy Leigh wreszcie zbiegła w podskokach na dół z włosami związanymi w koński ogon, jej matka była już całkowicie oblaskawiona. Poczęstowała Arniego pepsi-colą i słuchała chciwie jego opowieści o zajęciach w kółku szachowym.

- To pierwszy cywilizowany sposób spędzania wolnego czasu po lekcjach, o jakim slysze - oznajmiła córce, uśmiechając się z aprobatą do Arniego.

- Straaaasne nudy! - wykrzyknęła Leigh, po czym objęła Arniego w pasie i cmoknęła głośno w policzek.

- Leigh!

- Przepraszam, mamusku, ale on bardzo śmiesznie wygląda ze linką na policzku, prawda? Zaczekaj, Arnie, dam ci chusteczkę. Nie zdrapuj tego paznokciami!

Sięgnęła do torebki po kleenexa. Arnie spojrzał na panią Cabot wzniosł oczy ku niebu;

Natalie Cabot zasłoniła usta dłonią i zachichotała. Między nią i Arniem nawiązała się nic całkowitego zrozumienia.

Pojechali do cukierni Robbinsa, gdzie wreszcie udało im się pozbyć pewnej sztuczności stanowiącej pozostałość wieczornej rozmowy telefonicznej. Arnie żywił niejasne obawy, że Christine przydarzy się jakaś awaria albo że Leigh powie coś nieprzyjemnego na jej temat, bo przecież nigdy nie lubiła jeździć jego samochodem. Okazało się, że martwił się zupełnie niepotrzebnie. Silnik Christine pracował jak szwajcarski zegarek, wszystko zaś, co Leigh miała do powiedzenia na jej temat, było przepojone podziwem i zdumieniem.

- Doprawdy trudno mi w to uwierzyć - oznajmiła, kiedy wyjechali z małego parkingu przy cukierni i ruszyli w stronę Monroeville Mall. - Musiałeś harować przy niej jak wół.

- Nie było z nią aż tak źle, jak ci się wydawało - odparł Arnie. - Masz ochotę posłuchać trochę muzyki?

- Z przyjemnością.

Arnie włączył radio - Silhouettes przebijali się przez "Get a Job". Leigh skrzywiła się.

- WDIL, do kitu. Mogę zmienić?

- Proszę bardzo.

Leigh znalazła stację rockową z Pittsburgha nadającą Billy'ego Joela. „Może masz rację”, wyznał szczerze Billy. „Być może jestem świrnięty”. Zaraz potem oświadczył swojej przyjaciółce Wirginii, że jego zdaniem katolickie dziewczęta zaczynają stanowczo zbyt późno - był to Weekendowy Blok Muzyczny. Teraz - pomyślał Arnie. Teraz zacznij przerywać... dławić się... coś w tym rodzaju. Ale Christine sunęła gładko przed siebie.

Na promenadzie roilo się od zabieganych, ale roześmianych kupujących; szaleńczy szczyt przedświątecznych zakupów miał nadejść dopiero za jakieś dwa tygodnie. Bożonarodzeniowy nastrój urzekal jeszcze swą nowością i ludzie spoglądali na gwiazdkowe dekoracje bez obrzydzenia i zniecierpliwienia. Bezustanne brzęczenie dzwoneczków świętych Mikołajów z Armii Zbawienia nie wywoływało przykrych wyrzutów sumienia; zresztą na razie głównie wyśpiewywali kolędy i składali wszystkim najlepsze życzenia, zamiast wykrzykiwać bez końca: „Biedni nie mają nic pod choinką, biedni nie mają nic pod choinką, biedni nie mają nic pod choinką”, co robili zawsze tuż przed Wigilią, wpatrując się w przechodniów natarczywym spojrzeniem pustych oczu.

Arnie i Leigh trzymali się za ręce, aż wreszcie stało się to niemożliwe z powodu ogromnego tłoku, a potem on zaczął się żartobliwie uskarżać, że dziewczyna traktuje go jak juczne zwierzę. Kiedy schodzili na najniższe piętro domu towarowego Daltona, gdzie Arnie chciał znaleźć jakąś dobrą książkę o majsterkowaniu dla ojca Dennisa, Leigh zauważyła, że zaczął

padać śnieg. Przez chwilę stali na przeszklonej klatce schodowej, przyklepni nosami do szyby jak małe dzieci. Arnie wziął ją za rękę, a Leigh spojrziała na niego z uśmiechem. Czuł woń jej skóry, czystej i pachnącej mydłem, a także aromatyczny zapach włosów. Nachylił do niej głowę, a ona zbliżyła swoją; kiedy pocałowali się lekko, ścisnęła jego rękę. Później, po wyjściu z księgarni, zatrzymali się na jakiś czas przy ślizgawce, obserwując łyżwiarzy kręcących piruety i przewracających się przy dźwiękach kołęd.

Był to bardzo miły dzień aż do chwili, kiedy Leigh Cabot o mało nie umarła.

Umarłaby na pewno, gdyby nie autostopowicz. Wracali już wtedy do domu, a wczesnogrudniowy zmierzch dawno zdążył zamienić się w śnieżną ciemność. Christine, sunąca jak zwykle z niezachwianą pewnością, torowała sobie bez trudu drogę przez dziesięciocentymetrową warstwę świeżego puchu.

Arnie zarezerwował stół w British Lion Steak House, jedynej naprawdę dobrej restauracji w Libertyville, ale okazało się, że zmitrężyli zbyt dużo czasu na zakupach, więc uznali, że przekąszą coś szybkiego u McDonalda przy John Kennedy Drive. Leigh obiecała matce, że wróci do domu przed ósmą trzydzieści, ponieważ państwo Cabot „spodziewali się gości”. Kiedy wyruszyli w drogę powrotną, była za piętnaście ósma.

- W sumie to nawet dobrze - stwierdził Arnie. - Jestem już prawie bez centa przy duszy.

Reflektory Christine wyłowiły z mroku autostopowicza stojącego na rozgałęzieniu szosy numer 17 i John Kennedy Drive, dobre pięć mil przed Libertyville. Miał opadające na ramiona ciemne włosy posypane obficie śniegiem i drelichową torbę.

Kiedy się do niego zbliżyli, wystawił tabliczkę z wymalowaną odblaskowym flamastrem nazwą LIBERTYVILLE, po czym odwrócił na drugą stronę, gdzie widniał napis: NIE JESTEM PSYCHOPATĄ, TYLKO SPOKOJNYM STUDENTEM.

Leigh parsknęła śmiechem.

- Podwieźmy go, Arnie - poprosiła.

- Jeżeli ktoś wychodzi na drogę i reklamuje się, że nie jest psychopatą, trzeba na niego podwójnie uważać. Ale dobrze, skoro chcesz.

Zjechał na pobocze. Tego wieczoru znajdował się w takim nastroju, że byłby gotów nawet łapać księżyc w torbę na zakupy, gdyby Leigh go o to poprosiła.

Christine zwolniła i zatrzymała się łagodnie, ani przez chwilę nie tracąc przyczepności, lecz kiedy znieruchomiała, z głośnika wydobył się przeraźliwy szum; po chwili umilkł, teraz jednak we wnętrzu samochodu zamiast jakiejś rockowej piosenki rozbrzmiewały dźwięki „Chantilly Lace” śpiewanej przez Big Boppera.

- Co się stało z Weekendowym Blokiem Muzycznym? - zapytała Leigh.

- Nie wiem - odparł Arnie, choć w rzeczywistości wiedział. Zdarzało mu się to już wiele razy. Czasem radio Christine odbierało jedynie WDIL. Bez względu na to, jakie się przyciskało guziki i co wyczyniało się z konwerterem UKF ukrytym pod deską rozdzielczą, miało się do wyboru albo WDIL, albo nic.

Nagle ogarnęło go przeczucie, że zabierając autostopowicza popełnił wielki błąd.

Teraz jednak było już za późno, gdyż mężczyzna otworzył tylne drzwi, wrzucił do środka torbę i wśliznął się w ślad za nią. Wraz z nim do wnętrza samochodu wdarł się podmuch mroźnego powietrza i wirujący kłęb płatków śniegu.

- Wielkie dzięki! - wysapał. - Moje palce u nóg i rąk jakieś dwadzieścia minut temu pojechały chyba na Florydę. W każdym razie na pewno nie zostały ze mną, bo w ogóle ich nie czuję.

- Niech pan podziękuje mojej towarzysze - odparł sucho Arnie.

- Dziękuję pani - powiedział autostopowicz, uchylając z gracją nie istniejący kapelusz.

- Nie ma za co - odparła z uśmiechem Leigh. - Wesółych Świąt.

- Nawzajem, choć stojąc na mrozie i usiłując kogoś zatrzymać można zupełnie zapomnieć, że istnieje coś takiego jak święta. Samochody tylko śmigają przed nosem i już ich nie ma. - Rozejrzał się z uznaniem po wnętrzu. - Ładny wóz. Cholernie ładny wóz!

- Dziękuję - mruknął Arnie.

- Sam go pan odremontował?

- Tak.

Leigh przyglądała się Arniemu ze zdziwieniem. Jego niedawny dobry humor ustąpił miejsca niezwyklej oschłości. Big Bopper zakończył swój utwór. Zastąpił go Richie Valens z "La Bamba".

Autostopowicz potrząsnął głową i roześmiał się.

- Najpierw Big Bopper, teraz Richie Valens. Chyba w radiu dopiero teraz obchodzą Wszystkich Świętych. Dobra, stara WDIL!

- Co pan ma na myśli? - zapytała Leigh.

Arnie gwałtownym ruchem wyłączył radio.

- Obaj zginęli w katastrofie lotniczej. Razem z Buddym Hollym.

- Och... - szepnęła Leigh.

Być może autostopowicz także wyczuł zmianę w nastroju Arniego, gdyż umilkł i zamyslił się na tylnym siedzeniu. Śnieg padał coraz gęściej. Nadeszła pierwsza duża zamieć tej zimy.

Po pewnym czasie z białej kurzawy wyłoniły się dwa oświetlone, wygięte w górę luki.

- Iść z tobą, Arnie? - zapytała Leigh. Arnie stał się milczący jak kamień, zbywając jej próby nawiązania rozmowy ponurymi chrząknięciami.

- Nie trzeba. Co chcesz?

- Zwykłego hamburgera z frytkami.

Jeszcze niedawno szykowała się na Big Maca, koktajl i ciasteczka, ale teraz prawie zupełnie straciła apetyt.

Arnie zatrzymał samochód. W żółtym świetle lamp zainstalowanych wokół podstawy ceglanoego budynku jego twarz sprawiała wrażenie wyniszczonej i chorej.

- Przynieść coś panu? - zapytał, odwracając się w fotelu.

- Nie, dziękuję. Staruszkowie czekają na mnie z kolacją. Nie mogę sprawić mamie przykrości. Zawsze kiedy wracam do domu, zabija tłustego cielaka i...

Przerwało mu trzaśnięcie zamykanych drzwi. Arnie szedł szybkim krokiem w kierunku wejścia, wzbijając w powietrze fontanny świeżego śniegu.

- Czy on zawsze jest taki radosny? - zapytał autostopowicz. – Czy może to tylko okresowe napady?

- Jest bardzo miły - oświadczyła stanowczo Leigh. Nagle ogarnął ją niepokój. Arnie wyłączył silnik i zabrał kluczyki, pozostawiając ją w samochodzie sam na sam z zupełnie obcym mężczyzną. Widziała go we wstecznym lusterku; w pewnej chwili jego długie, potargane przez wiatr włosy, zmierzwiona broda i ciemne oczy wydały jej się bardzo dzikie i przywiodły na myśl postać Mansona.

- Gdzie pan studiuje? - zapytała, z trudem nakazując palcom, przestały skubać szwy w spodniach.

- W Pittsburghu - poinformował ją lakonicznie nieznajomy. Jego wzrok napotkał odbite w lusterku spojrzenie Leigh i dziewczyna szybko odwróciła oczy. Spodnie w kolorze żurawiny. Założyła je, bo Arnie powiedział jej kiedyś, że bardzo mu się podobają - być może dlatego, że były najbardziej obcisłe ze wszystkich, jakie nosiła, nawet bardziej od lewisów. Nagle zaczęła żałować, że nie ubrała się w coś innego, czego nawet przy maksymalnym natężeniu wyobraźni nie można było uznać za prowokujący strój; na przykład w worek po kartoflach. Spróbowała się uśmiechnąć - w końcu pomysł był dość zabawny, worek po kartoflach, cha, cha! ale by w tym wyglądała! - lecz nic jej z tego nie wyszło. Choćby nie wiadomo jak się starała, nie mogła uciec przed prawdą: Arnie zostawił ją samą z obcym człowiekiem (za karę? to ona wpadła na pomysł, żeby go zabrać), i teraz bardzo się bała.

- Niedobre promieniowanie - odezwał się niespodziewanie autostopowicz. Leigh o mało nie krzyknęła. Jego głos był głuchy i ponury. Widziała Arniego przez pełniącą funkcję ściany

ogromną szybkość; stał jako piąty lub szósty w kolejce. Minie jeszcze trochę czasu, zanim dojdzie do kasy. Wyobraziła sobie, że autostopowicz wyciągnie nagle ręce w rękawiczkach i zaciśnie je na jej gardle... Oczywiście mogłaby nacisnąć klakson... ale czy zadziałałby? Nie wiadomo czemu nabrała pewności, że nie. Mogłaby naciskać go dziewięćdziesiąt dziewięć razy i zawsze działałby jak należy, ale za setnym, kiedy czułaby na gardle duszący uścisk dłoni autostopowicza, którego Arnie zabrał na jej własną prośbę, klakson na pewno by umilkł. Dlatego... dlatego że Christine jej nie lubiła. W gruncie rzeczy Leigh była przekonana o tym, że Christine jej nienawidzi. Prosta sprawa. Zwariowana, ale prosta.

- P-proszę?

Zerknęła ponownie w lusterko i z ulgą spostrzegła, że autostopowicz wcale nie patrzy na nią, tylko rozgląda się po wnętrzu samochodu. Dotknął dłonią tapicerki okrywającej tylne siedzenie, a następnie musnął czubkami palców podsufitkę.

- Niedobre promieniowanie - powtórzył, po czym potrząsnął głową. - Nie wiem czemu, ale wyczuwam w tym samochodzie coś niedobrego.

- Naprawdę? - zapytała, mając nadzieję, że jej głos brzmi w miarę naturalnie.

- Tak. Kiedyś, jeszcze jako mały chłopak, zostałem uwięziony w windzie. Od tego czasu miewam czasem ataki klaustrofobii. W samochodzie jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło, aż do tej chwili. Uch, to okropne! Tak mi wyszło w ustach, że mogłaby pani zapalić zapalną pocierając ją o mój język. - Roześmiał się z zażenowaniem. - Gdyby nie było tak późno, chyba poszedłbym dalej na piechotę. Ma się rozumieć, nie chciałem obrazić ani pani chłopaka, ani jego samochodu... - dodał pośpiesznie.

Leigh zobaczyła w lusterku, że jego oczy wcale nie są dzikie, tylko po prostu przerażone. Widocznie mówił prawdę o swojej klaustrofobii. Teraz wcale nie przypominał jej Charliego Mansona. Nie potrafiła pojąć, jak mogła być aż tak głupia... choć jednocześnie wiedziała, dlaczego tak się stało. Doskonale wiedziała.

To była wina tego samochodu. Przez cały dzień jeździła Christine i czuła się doskonale, lecz teraz odraza i zdenerwowanie powróciły ze zdwojoną siłą. Przeniosła swoje uczucia na nieznanego mężczyznę, ponieważ... ponieważ można bać się obcego człowieka spotkanego przypadkowo na drodze, ale nie można bać się samochodu, nieożywionego obiektu wykonanego ze stali, szkła, plastiku i chromu. To nie świadczyłoby nawet o ekscentryczności, tylko o zwyczajnym szaleństwie.

- Czuje pani? - zapytał nagle autostopowicz.

- Co czuję?

- Nieprzyjemny zapach.

- Nie. - Jej palce szarpały teraz dół swetra, wyrywając klaki puszystej wełny. Serce łomotało jej w nieprzyjemnym, przyśpieszonym rytmie. - To pewnie ma związek z pańską klaustrofobią.

- Chyba tak.

Jednak w rzeczywistości czuła. Pod przyjemnym zapachem świeżej skóry i tapicerki czuł się inny, przypominający odór zepsutych jaj. Ledwo uchwytny... ale obecny.

- Mogę trochę uchylić okno?

- Oczywiście, jeśli to panu pomoże.

Zachowanie zewnętrznego spokoju kosztowało ją sporo wysiłku. Niespodziewanie przypomniła sobie zdjęcie, które widziała we wczorajszej gazecie; pochodziło prawdopodobnie z klasowego albumu i przedstawiało Moochiego Welcha. Podpis głosił: *Peter Welch, ofiara okropnego wypadku spowodowanego przez nieznanego sprawcę. Policja podejrzewa morderstwo.*

Autostopowicz opuścił szybę o kilka centymetrów i do środka wdarło się mroźne powietrze, zabierając ze sobą przykry zapach. W budynku McDonalda Arnie dotarł wreszcie do kasy i właśnie składał zamówienie. Patrząc na niego Leigh poczuła, jak ogarnia ją wywołująca zawroty głowy mieszanka miłości i strachu; nie po raz pierwszy zaświtało jej, że uczyniłaby lepiej kierując swoje zainteresowanie w stronę Dennisa, który sprawiał wrażenie tak rozsądnego i dającego poczucie bezpieczeństwa...

Odegnęła od siebie te myśli.

- Proszę mi powiedzieć, gdyby zrobiło się pani zimno - odezwał się przeproszającym tonem autostopowicz. - Dziwak ze mnie, wiem o tym. - Westchnął. - Czasem wydaje mi się, że popełniłem błąd odstawiając prochy.

Leigh uśmiechnęła się.

Arnie wrócił niosąc białą torbę, pośliznął się na śniegu, po czym wskoczył za kierownicę.

- Zimno tu jak w lodówce - bąknął.

- Przepraszam.

Autostopowicz podkręcił szybę. Leigh czekała w napięciu na ponowne pojawienie się niemiłej woni, ale nie czuła nic oprócz zapachu skóry, tapicerki i wody po goleniu Arniego.

- Proszę.

Podał jej hamburgera, frytki i małą colę. Sobie wziął Dużego Maca.

- Jeszcze raz piękne dzięki za podwiezienie - odezwał się z tylnego siedzenia nieznajomy. - Mogę wyskoczyć na rogu Kennedy Drive i Center Avenue, jeśli nie sprawi wam to różnicy.

- W porządku - odparł krótko Arnie i ruszył z miejsca. Śnieg sypał jeszcze obficie niż do tej pory, a wiatr także wyraźnie przybrał na sile. Po raz pierwszy Leigh wyczuła, że Christine

wpadła w niewielki poślizg szukając najpewniejszego toru jazdy na szerokiej, teraz niemal zupełnie pustej ulicy. Znajdowali się mniej niż kwadrans jazdy od domu.

Kiedy zapach znikł, Leigh poczuła, że natychmiast wrócił jej apetyt. Kilkoma kęsami zniszczyła pół hamburgera, popiła lykiem coli i czknęła cicho, zakrywając usta wierzchem dłoni. Po lewej stronie pojawił się pomnik ofiar wojny stojący na rogu John Kennedy Drive i Center Avenue; Arnie zjechał na bok naciskając pulsacyjnie pedał hamulca, by nie dopuścić do zablokowania kół.

- Życzę miłego weekendu - powiedział. Znowu zachowywał się niemal normalnie. Może po prostu był głodny, pomyślała z rozbawieniem Leigh.

- Nawzajem - odparł autostopowicz. - I Wesółych Świąt.

- Wesółych Świąt - powiedziała Leigh. Odgryzła kolejny kęs hamburgera, przeżuła, polknęła... i poczuła, jak zatrzymuje się jej w gardle. Nagle przekonała się, że nie może oddychać.

Autostopowicz właśnie wysiadał z samochodu. Odgłos otwieranych drzwi był bardzo donośny, a trzask, z jakim się zamknęły, przypominał loskot zasuw w bankowym skarbcu. Wiatr świszczal jak fabryczny gwizdek.

*(wiem że to głupie Arnie ale ja nie mogę nie mogę oddychać)*

Usiłowała krzyknąć, że się dusi, lecz z jej gardła wydobył się jedynie słaby świszczący odgłos, który z całą pewnością nie przebił się przez zawrodożenie wiatru. Sięgnęła ręką do szyi, nabrzmiałej i pulsującej. Jeszcze raz spróbowała krzyknąć. Nie miała czym, nie mogła

*(Arnie nie mogę)*

nabrać powietrza. Czula w gardle ciepły knebel z mięsa i bulki. Chciała go wypluć, ale nie potrafiła tego zrobić. Światelka na tablicy przyrządów, jaskrawozielone, okrągłe,

*(kot jak oczy kota dobry Boże nie mogę ODDYCHAĆ)*

wpatrujące się w nią...

*(Boże nie mogę ODDYCHAĆ nie mogę ODDYCHAĆ nie mogę)*

Jej pierś zaczęła gwałtownie unosić się i opadać, usiłując zaczerpnąć powietrza. Knebel z mięsa i na pół przeżutej bulki nie chciał wyskoczyć z gardła. Wycie wiatru wypełniało cały świat, było głośniejsze niż wszystkie odgłosy, jakie słyszała do tej pory, Arnie zaś wreszcie odwracał się od autostopowicza, by na nią spojrzeć; odwracał się w zwolnionym tempie, oczy rozszerzały mu się w niemal komiczny sposób i nawet jego głos wydawał się zbyt donośny, jak grom, jak głos Zeusa przemawiającego do jakiegoś biednego śmiertelnika zza zasłony chmur:

- LEIGH... CO TY?... CO SIĘ STAŁO, DO DIABŁA?... ONA SIĘ DUSI!... BOŻE, ONA SIĘ DUSI!

Wyciągnął do niej rękę, nadal w zwolnionym tempie, a potem cofnął, sparaliżowany



paniką,

*(pomóż mi na litość boską zrób coś umieram o Boże duszę się zaraz umrę z hamburgerem McDonalda w gardle Arnie dlaczego nie chcesz mi POMÓC?)*

ona zaś doskonale wiedziała, dlaczego cofnął ręce, ponieważ Christine nie życzyła sobie, żeby jej pomógł, postanowiła pozbyć się jej w ten sposób, pozbyć się drugiej kobiety, rywalki, a teraz światła na tablicy przyrządów naprawdę zamieniły się w oczy, wielkie, okrągłe i pozbawione uczuć oczy, obserwujące, jak dławi się na śmierć, oczy, które widziała przez coraz gęściejszą zasłonę czarnych punktów, wirujących i powiększających się, podczas kiedy

*(mamo moja kochana mamo umieram a ONA PATRZY NA MNIE ONA ŻYJE ŻYJE ŻYJE OCH MAMO DOBRY BOŻE CHRISTINE ŻYJE)*

Arnie znowu wyciągnął ręce. Leigh zaczęła miotać się na fotelu rozpaczliwie próbując nabrać w płuca powietrza, z dłońmi sięgającymi do gardła. Miała wybaluszone oczy i siniejące z każdą chwilą usta. (Arnie walił ją bezproduktywnie po plecach i krzyczał coś niezrozumiale. Chwyił ją za ramiona, chyba po to, by wyciągnąć ją z samochodu, lecz nagle skrzywił się i odruchowo sięgnął rękami do krzyża.

Leigh skręcała się w agonii. W gardle czuła ogromny, gorący, pulsujący kłęb. Znowu spróbowała go wykrztusić, tym razem znacznie słabiej niż poprzednio. Kłęb nie ustąpił. Wycie wiatru przycichło, wszystko przycichło, nie odczuwała już tak strasznie braku powietrza. Może właśnie umierała, ale nagle przestało się to jej wydawać takie okropne. Nic nie było okropne, z wyjątkiem tych zielonych oczu wpatrujących się w nią z tablicy przyrządów. Nie były już pozbawione uczuć. Teraz lśniły nienawiścią i tryumfem.

*(o mój Boże wybacz jeśli Cię obraziłam wybacz to jest akt to jest akt mojej mojej)*

Arnie sięgał do niej od strony kierowcy, lecz nagle otworzyły się jej drzwi i Leigh wypadła w ostre, kásające zimno. Mroźne powietrze ocuciło ją częściowo i zachęciło do wznowienia walki o oddech, ale tkwiący w przelyku kłęb nie chciał ustąpić... po prostu nie chciał.

Gdzieś bardzo daleko zadudnił zeusowski głos Arniego:

- CO JEJ ROBISZ? ODPIEPRZ SIĘ OD NIEJ!

Objęły ją ramiona. Silne ramiona. Powiew wiatru na twarzy. Śnieg zasypujący oczy.

*(o mój Boże wysłuchaj mnie grzesznej to jest akt mojej skruchy szczerze żałuję że kiedykolwiek Cię obraziłam OCH! AUUU! co ty ROBISZ moje żebra bolą co co ty robisz)*

Nagle te ramiona były wszędzie dookoła niej, objęły ją z miażdżącą siłą, a dwie zaciśnięte dłonie uderzyły ją w splot słoneczny, zaraz potem dźgnął ją tam kciuk, kciuk autostopowicza czekającego na podwiezienie, wbijając się boleśnie pod mostek. W tej samej chwili uścisk jeszcze bardziej przybrał na sile. Miała wrażenie, że znalazła się

*(uuuuuuu łamiesz mi ŻEBRA)*

w objęciach ogromnego niedźwiedzia. Jej przepona zafalowała raptownie, z ust wyskoczyło coś z siłą karabinowego pocisku i wylądowało na śniegu: wilgotny kęs mięsa i bułki.

- Puść ją! - wrzasnął Arnie. Ślizgając się i brnąc w śniegu usiłował przedostać się jak najprędzej na drugą stronę Christine, gdzie autostopowicz trzymał bezwładne ciało Leigh niczym naturalnej wielkości marionetkę. - Puszczaj ją!

Leigh łapała powietrze wielkimi, łapczywymi haustami. Wydawało się jej, że każdy łyk cudownie lodowatego powietrza gasi pożar szalejący w jej gardle i płucach. Niejasno zdawała sobie sprawę z tego, że szłocha.

Brutalny uścisk zelżał; ramiona zniknęły.

- Nic ci nie jest, dziewczyno? Nic ci...

Arnie złapał autostopowicza za kurtkę i uderzył z rozmachem prosto w usta. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, pośliznął i upadł na plecy, wzbijając w powietrze kłęby świeżego, puszystego śniegu.

Arnie zmrużył oczy i ruszył ku niemu z zaciśniętymi pięściami.

Leigh złapała jeszcze jeden łyk powietrza - och, jak to okropnie bolało, jakby kluto ją niezliczonymi nożami - i krzyknęła:

- Co robisz, Arnie? Przestań!

Odwrócił się i spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Co? Leigh...

- Za co go bijesz? Przecież uratował mi życie!

Wysiłek był zbyt wielki; przed oczami znowu zatańczyły jej czarne plamy. Oparłaby się o samochód, gdyby nie to, że nie chciała się do niego zbliżyć, nie chciała go nawet dotknąć. Światła na tablicy przyrządów. Coś stało się ze światłami na tablicy przyrządów. Coś,

*(oczy one zamieniły się w oczy)*

o czym wolą nie myśleć.

Zatoczyła się w kierunku pobliskiej latarni i dysząc ciężko przywarła do niej z pochyloną głową jak pijak. Objęło ją delikatne, troskliwe ramię.

- Leigh, najdroższa... nic ci nie jest?

Podniosła wzrok i ujrzała jego mizerną, przerażoną twarz. Wybuchnęła płaczem.

Autostopowicz zbliżył się do nich ostrożnie, ocierając rękawem kurtki krwawiące usta.

- Dziękuję panu - powiedziała Leigh w przerwach między chrapliwymi, gwałtownymi oddechami. Ból odrobinę zelżał, a mocny zimny wiatr chłodził jej rozpaloną twarz. - Zakrztusiłam się. Myśle... że umarłabym... gdyby nie pan...

Za dużo. Znowu czarne plamy, wszystkie dźwięki cichnące jak w długim krętym tunelu. Pochyliła głowę czekając, aż to minie.

- To zabieg Heimlicha - wyjaśnił autostopowicz. - Uczą go każdego, kto pracuje w restauracji albo kawiarni. Ćwiczy się to na specjalnej gumowej lalce - nazywają ją Daisy Mae - ale nigdy nie wiadomo, czy to na pewno podziała na prawdziwego człowieka. - Mówił drżącym głosem, chwilami piskliwym, a chwilami nienaturalnie grubym, jakby dopiero teraz przechodził mutację. Leigh odniosła wrażenie, jakby mężczyzna chciał jednocześnie śmiać się i płakać, i nawet w przyćmionym blasku ulicznych latarni dostrzegła bez trudu, że jego twarz jest śmiertelnie blada. - Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś będę musiał go wykorzystać. Działa całkiem niezłe. Widzieliście, jak daleko poleciał ten cholerny kawalek mięsa?

Otarł usta i zapatrzył się bezmyślnie w rozmazaną na dłoni smugę krwi.

- Przepraszam, że pana uderzyłem - powiedział płaczącym głosem Arnie. - Myślałem... Wydawało mi się, że...

- Nie ma sprawy. - Autostopowicz klepnął go w ramię. - Nic się nie stało. Wszystko w porządku? - zwrócił się do Leigh.

- Tak.

Oddychała już prawie normalnie, a serce przestało walić jak oszalałe. Tylko nogi były do niczego, jakby ktoś ulepił je z ciepłej plasteliny. Mój Boże - pomyślała. Mogłam już nie żyć. Gdybyśmy nie zabrali tego człowieka, a niewiele brakowało, żebyśmy go nie zabrali...

Przyszło jej do głowy, iż ma wiele szczęścia, że jeszcze żyje. Ta wyświechtana myśl uderzyła ją z taką siłą, że o mało nie zemdląca. Rozpląkała się jeszcze bardziej. Oparwszy głowę na piersi Arniego pozwoliła zaprowadzić się do samochodu.

- To ja już chyba pójdę... - powiedział niepewnie autostopowicz.

- Proszę zaczekać. Jak się pan nazywa? Przecież ocalił mi pan życie. Muszę wiedzieć, jak się pan nazywa.

- Barry Gottfried, do pani usług. - Ponownie uchylił przed nią nie istniejącego kapelusza.

- Ja jestem Leigh Cabot - przedstawiła się. - A to Arnie Cunningham. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

- Ja też - dodał Arnie, ale Leigh nie usłyszała w jego głosie wdzięczności, tylko zdenerwowanie. Kiedy pomógł jej wsiąść do samochodu, w jej nozdrza uderzył ten sam nieprzyjemny zapach; tym razem jednak był wyraźny i okropny, atakujący zmysł powonienia z potworną siłą. Był to wyraźny, niemożliwy do pomylenia z niczym innym smród zgnilizny i rozkładu. Umysł Leigh załapała lodowata fala paniki i niczym błyskawica przemknęła jej myśl: to zapach jej wściekłości...

Świat nagle zakolysał się w posadach. Leigh wychyliła się na zewnątrz i zwymiotowała. Zaraz potem na jakiś czas wszystko ogarnęła szarość.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - zapytał Arnie chyba po raz setny. I zapewne po raz ostatni, pomyślała Leigh z pewną ulgą. Była bardzo zmęczona. W piersi pulsowało jej ognisko tępego bólu, a drugie takie samo ulokowało się w skroniach.

- Tak.

- To dobrze.

Przestąpił niepewnie z nogi na nogę, jakby chciał odejść, ale nie był pewien, czy już może to uczynić. Być może uznał za stosowne zadać to nieśmiertelne pytanie po raz sto pierwszy. Stali przed domem Cabotów. Żółte światło sączyło się przez okna i kładło równymi smugami na nie naruszonej powierzchni świeżego śniegu. Christine stała przy krawężniku z zapalonymi światłami pozycyjnymi i silnikiem pracującym na wolnych obrotach.

- Przestraszyłem się, kiedy zemdląłeś.

- Nie zemdląłem... tylko przez chwilę wszystko widziałam jak przez mgłę.

- W każdym razie przestraszyłaś mnie. Bardzo cię kocham.

Obrzuciła go ciężkim spojrzeniem.

- Naprawdę?

- Oczywiście! Przecież wiesz o tym!

Nabrała w płuca powietrza. Była bardzo zmęczona, ale musiała mu to powiedzieć, i to zaraz. Jeżeli tego teraz nie powie, rano wszystkie przeżycia wydadzą się jej zupełnie absurdalne, a może nawet szalone. Zapach, który pojawił się i znikł jak „gnilny odór” w powieści gotyckiej? Światelka na tablicy przyrządów, które zamieniły się w oczy? Idiotyczne przekonanie, że samochód Arniego usiłował ją zabić?

Jutro nawet fakt, że o mało nie udławiła się na śmierć, ustąpi miejsca niewyraźnemu bólowi w piersi i przekonaniu, że tak naprawdę to nie było nic poważnego.

Tyle tylko, że to wszystko była prawda i Arnie doskonale o tym wiedział - a w każdym razie wiedziała o tym jakaś jego część.

- Owszem, wydaje mi się, że mnie kochasz - powiedziała wolno, wpatrując się w niego nieruchomym spojrzeniem. - Ale już nigdy nigdzie nie pojedę z tobą tym samochodem. Jeżeli naprawdę mnie kochasz, pozbędziesz się go.

Na jego twarzy pojawił się wyraz tak wielkiego zdumienia i niedowierzania, jakby właśnie uderzyła go w policzek.

- Co... O czym ty mówisz, Leigh?

Czy to był tylko szok, czy także poczucie winy?

- Dobrze słyszysz, o czym mówię. Nie sądzę, żebyś się go pozbył - wątpię, czy mógłbyś się na to zdobyć - ale jeśli będziesz chciał się gdzieś ze mną wybrać, pojedziemy autobusem. Albo autostopem. Albo polecimy samolotem. Już nigdy nie wsiądę do twojego samochodu. To śmiertelna pułapka.

Wreszcie udało jej się to powiedzieć.

Wyraz oszołomienia malujący się na jego twarzy zaczął ustępować miejsca gniewowi - temu samemu ślepemu, nieubłaganemu gniewowi, który tak często widywała ostatnimi czasy. Potrafiły go wywołać nie tylko poważne sprawy, lecz także zupełnie głupstwa - kobieta przechodząca przez jezdnię przy żółtym świetle, policjant wstrzymujący ruch właśnie wtedy, kiedy mieli już wjechać na skrzyżowanie - ale dopiero teraz do Leigh dotarło z oszalamiającą siłą objawienie, że ów gniew, tak bardzo nie pasujący do osobowości Arniego, zawsze był w jakiś sposób związany z samochodem. Z Christine.

- „Jeżeli naprawdę mnie kochasz, pozbędziesz się go” - powtórzył. - Wiesz, kogo mi przypominasz?

- Nie, Arnie.

- Moją matkę, oto, kogo mi przypominasz!

- Przykro mi.

Nie pozwoli wciągnąć się w kłótnię; nie będzie się przed nim usprawiedliwiać ani nie zakończy rozmowy odwracając się i wchodząc do domu. Zrobiłaby to tylko wtedy, gdyby nic do niego nie czuła. Pierwsze wrażenie, jakie odniosła (że pod skorupą pokornej nieśmiałości kryje się dobry, przyzwoity i łagodny, a być może także pociągający seksualnie Arnie Cunningham), prawie się nie zmieniło. Chodziło tylko o samochód, o nic więcej. Na tym polegała zmiana. Było to tak, jakby obserwowała silny umysł ulegający stopniowo niszczycielskiemu wpływowi jakiegoś paskudnego, uzależniającego narkotyku.

Arnie zmierzwił sobie przyprószone śniegiem włosy w charakterystycznym geście zdziwienia i gniewu.

- Paskudnie zakrztusiłaś się w moim wozie - w porządku, jestem w stanie zrozumieć, że nie czujesz się najlepiej z tego powodu. Ale to był tylko hamburger, nic więcej! A może nawet nie to. Może chciałaś coś powiedzieć z pełnymi ustami albo nabrałaś powietrza w niewłaściwym momencie, czy coś w tym rodzaju. Równie dobrze mogłabyś zwalić winę na Ronalda McDonalda. Ludziom od czasu do czasu zdarza się zakrztusić jedzeniem. Nieraz nawet umierają z tego powodu. Ty nie umarłaś, i Bogu dzięki, ale żeby winić za to samochód...!

Tak, to brzmiało całkiem prawdopodobnie. I nawet było prawdopodobne. Z wyjątkiem

tego, co czaiło się w szarych oczach Arniego.

Czegoś niepewnego, co właściwie nie było kłamstwem, tylko... próbą znalezienia racjonalnego wyjaśnienia? Chęcią odwrócenia się od prawdy?

- Posłuchaj, Arnie - powiedziała Leigh. - Jestem zmęczona, bolą mnie zębra i głowa, więc wątpię, czy dam radę powtórzyć to jeszcze raz. Wysłuchasz mnie?

- Jeżeli to ma być coś na temat Christine, to oszczędź sobie fadygi - odparł, a na jego twarzy znowu pojawił się wyraz tępego uporu. - To szaleństwo obarczać ją winą i ty dobrze o tym wiesz.

- Owszem, wiem, i wiem o tym, że tracę czas - odparła. - Jednak mimo to proszę cię, żebyś mnie wysłuchał.

- W porządku.

Leigh odetchnęła głęboko, starając się nie zwracać uwagi na tkwiące w jej piersi ognisko bólu. Spojrzała na Christine stojącą przy krawężniku z pracującym silnikiem i szybko odwróciła wzrok. Postojowe światła wyglądały jak oczy; jak żółte oczy rysia.

- Kiedy się zakrztusiłam... kiedy hamburger uwiązał mi w gardle... światła na tablicy przyrządów... zmieniły się. Zmieniły. Przeistoczyły się... nie, nie posunę się tak daleko, ale na pewno wyglądały jak oczy.

Arnie parsknął krótkim, głośnym śmiechem. Zaslona w jednym z okien odchyliła się na bok, ktoś wyjrzał na zewnątrz, po czym zaslona opadła z powrotem.

- Gdyby nie ten autostopowicz... ten Gottfried... gdyby go nie było z nami, po prostu umarłabym. Umarłabym, Arnie. - Utkwiła spojrzenie w jego oczach i parła naprzód. Tylko raz - pomyślała. Muszę to powiedzieć tylko jeden jedyny raz. - Opowiadałeś mi, że przez pierwsze trzy lata pracowałeś w szkolnej kafeterii. Na drzwiach kuchni widziałam plakat informujący o sposobie stosowania zabiegu Heimlicha. Ty też na pewno go widziałeś, lecz mimo to nie zrobiłeś użytku ze swojej wiedzy. Próbowaleś klepać mnie po plecach, a to zupełnie nie pomaga. W któreś wakacje, jeszcze w Massachusetts, pracowałam jako kelnerka w małej restauracji. Pierwszą rzeczą, jaką mówią każdemu, kto zaczyna pracę, jest to, że kiedy ktoś się zakrztusi, klepanie po plecach nic mu nie pomoże.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał nienaturalnym, piskliwym głosem.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Wytrzymał jej spojrzenie tylko przez chwilę, po czym jego oczy - złe, zmieszane, niemal zaszczute - uciekły gdzieś w bok.

- Leigh, ludziom zdarza się zapominać różne rzeczy. Masz rację, powinienem był zastosować ten zabieg, ale jeżeli ty też przeszłaś taki kurs, to wiesz, że możesz zastosować go sama na sobie. - Złączył mocno obie dłonie i uderzył się sterczącym kciukiem w przeponę, by

dowieść prawdziwości swoich słów. - Tyle tylko, że czasem, w podbramkowych sytuacjach, to czy tamto wylatuje z głowy i...

- Owszem, to prawda. A tobie w tym samochodzie wylatuje z głowy całe mnóstwo rzeczy. Na przykład to, jak być Arniem Cunninghamem.

Potrząsnął głową.

- Potrzebujesz czasu, żeby sobie to wszystko przemyśleć. Potrzebujesz...

- Właśnie tego na pewno nie potrzebuję! - odparła z siłą, o jaką się nawet nie podejrzewała. - Jeszcze nigdy nie miałam żadnych nadnaturalnych przeżyć i nawet nie wierzyłam w tego rodzaju historie, ale teraz zastanawiam się, co właściwie się dzieje i co się dzieje z tobą. Te światełka wyglądały jak oczy, Arnie... a potem... potem pojawił się zapach. Okropny zapach zgnilizny.

Drgnął raptownie.

- Chyba wiesz, o czym mówię.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Podskoczyłeś, jakby sam diabeł nastąpił ci na ucho.

- Zdaje ci się. Zdaje ci się mnóstwo rzeczy.

- Ten zapach tam był. I nie tylko on. Czasem twoje radio nie odbiera nic innego tylko tę stację nadającą stare przeboje...

W oczach Arniego znowu pojawił się dziwny błysk, a w lewym kącie ust wyraźne drżenie.

- A czasem, kiedy całujemy się w samochodzie, silnik nagle gaśnie, jakby jej to się nie podobało. Zupełnie jakby jej to się nie podobało, Arnie!

- Jesteś przygnębiona - stwierdził ze złowieszczą obojętnością.

- Oczywiście, że jestem! - odparła ze łzami w oczach. - A ty nie? - Łzy pociekły jej po policzkach. Myślę, że to koniec z nami, Arnie. Kochałam cię, ale wydaje mi się, że to już koniec. Naprawdę tak myślę i strasznie mi przykro z tego powodu. - Twój dom zamienił się w... pole bitwy, wozisz Bóg wie co do Vermontu i Nowego Jorku dla tej świni Darnella, a twój samochód... samochód...

Nie mogła wykrztusić ani słowa więcej. Głos uwiązł jej w gardle. Wypuściła z rąk sprawunki i nachyliła się, by je podnieść, ale, wycieńczona i rozszlochana, zdołała tylko rozrzucić je jeszcze bardziej. Kiedy Arnie nachylił się, by jej pomóc, odepchnęła go gniewnie.

- Zostaw to! Sama dam sobie radę!

Wyprostował się z pobladłą twarzą, wykrzywioną grymasem szalonej wściekłości, ale jego oczy... Leigh odniosła wrażenie, że są zagubione i niepewne.

- W porządku - powiedział chrapliwym głosem, powstrzymując łzy. - Bardzo dobrze. Dołącz do reszty, jeśli tego chcesz. Przyłącz się do tamtych zasrańców. Kogo to obchodzi?

Nabrał w płuca potężny haust powietrza; z ust wyrwało mu się coś w rodzaju krótkiego, rozpaczliwego łkania, które jednak stłumił szybko dłonią ukrytą w rękawiczce.

Zaczął się cofać na oślep w kierunku samochodu. Kiedy znalazł się przy krawężniku, wyciągnął za siebie rękę i napotkał karoserię Christine.

- To najlepszy dowód na to, że zwariowałaś! Brak ci piątej kleпки! Proszę bardzo, rób, co ci się podoba! Nie potrzebuję cię! Nie potrzebuję nikogo z was!

Jego głos zamienił się w cienki pisk, współbrzmiały w szatańskiej harmonii z wiatrem:

- Nie potrzebuję cię, więc się ode mnie odpieprz!

Odwrócił się, ruszył biegiem dookoła samochodu, poślizgnął się, ale nie upadł, gdyż oparł się o Christine. W chwilę potem wskoczył do środka, silnik ryknął, reflektory zapłonęły jaskrawym blaskiem i plymouth ruszył raptownie do przodu, wyrzucając spod tylnych kół fontanny śniegu.

Łzy popłynęły obfitym strumieniem. Leigh stała wśród rozrzuconych sprawunków i patrzyła, jak tylne światła zmniejszają się do rozmiarów czerwonych kropek, po czym znikają, kiedy Christine skręciła w przecznicę.

A potem koło niej znalazła się matka, ubrana w rozpięty płaszcz przeciwdeszczowy, zielone gumowce i błękitną flanelową koszulę nocną.

- Co się stało, kochanie?

- Nic - wychlipała Leigh.

*O mało nie uduławiłam się na śmierć, czułam coś, co śmierdziało jak rozkopany grób, i myśle... tak, myśle, że jego samochód żyje, z każdym dniem coraz bardziej i wyraźniej. To coś w rodzaju okropnego wampira, który żywi się umysłem Arniego. Umysłem i duszą.*

- Nic się nie stało. Po prostu posprzeczałam się z Arniem, to wszystko. Pomożesz mi to pozbiierać?

Podniosły zakupy Leigh i weszły do domu. Zamknęły za sobą drzwi, pozostawiając noc we władaniu wiatru i sypiącego obficie śniegu. Do rana powinno spaść co najmniej dwadzieścia centymetrów.

Arnie jeździł po okolicy jeszcze dość długo po północy, lecz później zupełnie nie mógł sobie tego przypomnieć. Opustoszałe ulice pokrywała gruba warstwa śniegu. Z pewnością nie była to wymarzona noc dla samochodów, ale mimo to pozbawiona zimowego ogumienia Christine przedzierała się z łatwością przez gęstniejącą zamieć, ani na chwilę nie tracąc



przyczepności. Od czasu do czasu pojawiała się prehistoryczna sylwetka plugu śnieżnego, by zaraz zniknąć w kurzawie.

Radio grało bez chwili przerwy. Jedyną stacją, jaką odbierało, była WDIL. Nadawano wiadomości. Na zjeździe centrali związkowej AFL-CIO Eisenhower zapowiedział nadejście przyszłości, w którą pracownicy i pracodawcy wmaszerują zgodnie ramię w ramię. Dave Beck zaprzeczył, jakoby związek zawodowy kierowców ciężarówek udzielał poparcia wybuchającym tu i ówdzie zamieszkom ulicznym. W drodze na londyńskie lotnisko Heathrow zginął w wypadku samochodowym piosenkarz Eddie Cochran; mimo trwającej trzy godziny operacji lekarzom nie udało się uratować mu życia. Rosjanie potrząsali groźnie swoimi rakietami balistycznymi. Ci z WDIL przez cały tydzień nadawali wyłącznie starocie, ale w weekendy rzeczywiście przejmowali się swoją robotą. Wiadomości z lat pięćdziesiątych, no, no. To

*(nigdy nie słyszałem o czymś takim)*

zupełnie nowy pomysł. Naprawdę

*(zupełne szaleństwo)*

bardzo dobry pomysł.

Prognoza pogody przewidywała jeszcze bardziej intensywne opady śniegu.

Potem znowu rozległa się muzyka: Bobby Darin śpiewał „SplishSplash”, Ernie K-Doe „Mother-in-Law”, bliźniaczki Kalin „When”. Wycieraczki odmierzały rytm.

Arnie zerknął w prawo i ujrzał Rolanda D. LeBaya siedzącego na miejscu pasażera.

Miał na sobie zielone spodnie, spraną wojskową koszulę i patrzył na Arniego pustymi, czarnymi oczodołami. W jednym z nich siedział karaluch i poruszał czułkami.

*Muszą za to zapłacić, powiedział Roland D. LeBay. Ci zasrańcy muszą za to zapłacić, Cunningham. Wszyscy, co do jednego.*

- Tak... - szepnął Arnie. Christine sunęła przez noc, pozostawiając za sobą w śniegu świeże, proste ślady. - Tak, koniecznie.

Wycieraczki przytakiwały mu, przesuając się w lewo i prawo.

### 35. KRÓTKIE INTERLUDIUM

*Chłopcze, pojedź tym starym chryslerem  
do Meksyku.*

Z. Z. Top

W szkole średniej w Libertyville na miejscu trenera Puffera pojawił się trener Jones, futbol zaś ustąpił miejsca koszykówce. Jednak w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło, gdyż koszykarze wcale nie grali dużo lepiej od futbolistów - jedynym jaśniejszym punktem w drużynie był Lenny Barongg, radzący sobie świetnie w trzech dyscyplinach, a najlepiej właśnie w koszykówce. Uparcie dążył do celu, który sobie wyznaczył, to znaczy do uzyskania sportowego stypendium, które umożliwiłoby mu studia w Marquette.

Sandy Galton niespodziewanie wyjechał z miasta. Zniknął z dnia na dzień, bez żadnego uprzedzenia. Jego matka, czterdziestopięcioletnia alkoholiczka wyglądająca co najmniej na sześćdziesiąt lat, nie przejęła się zbyt tym faktem, podobnie jak młodszy brat, największy ćpun w całej szkole podstawowej Gornicka. Wśród uczniów pojawiły się romantyczne pogłoski, według których Sandy wyjechał do Meksyku, autorzy innych zaś, znacznie mniej romantycznych, twierdzili, iż Galton podpadł w jakiś sposób Buddy'emu Reppertonowi i uznał, że będzie dla niego bezpieczniej, jeśli na jakiś czas zmieni klimat.

Zbliżały się ferie świąteczne. Atmosfera w szkole stała się niespokojna i napięta, jak zawsze przed dłuższą przerwą w nauce. Uczniowie pośpiesznie kończyli prace semestralne, które często nasuwały podejrzenia, iż zostały napisane wyłącznie na podstawie reklamowych informacji zamieszczonych na okładce omawianej książki (bo tak na zdrowy rozum, ilu drugoklasistów mogłoby samodzielnie dojść do odkrywczego wniosku, że „Buszujący w zbożu” stanowi „klasyczne dokonanie autora przeżywającego wiek młodzieńczy w gorącym powojennym okresie”?). Tematy zlecane do opracowania całym klasom lub grupom porzucano wykonane zaledwie w połowie albo nawet w ogóle nie zaczęte, procent spóźnień lub nieobecności wykorzystywanych na całowanie lub obmacywanie się w korytarzach wzrósł o kilkaset procent, podobnie jak zapotrzebowanie na marihuanę; uczniowie szkoły średniej w Libertyville świętowali zbliżającą się Gwiazdkę. W korytarzach i salach lekcyjnych pojawiły się świąteczne dekoracje, nauczyciele częściej opuszczali zajęcia, ogólne zaś nastroje poszły zdecydowanie w górę.

Nie odnosiło się to do Leigh Cabot. Po raz pierwszy w życiu nie zdała egzaminu, dostała

także dwóje ze sprawdzianu z maszynopisania. Nie mogła skupić się na nauce. Wciąż wracała myślami do Christine - do zielonych lampek na tablicy wskaźników, które zamieniły się w błyszczące nienawiścią oczy, obserwujące, jak ona dławi się na śmierć.

Przed wszystkim jednak ostatni tydzień nauki przed Bożym Narodzeniem stanowił przyjemny okres, kiedy to uczniom wybaczano wykroczenia, za które w innych okolicznościach mogliby nawet zostać wyrzuceni ze szkoły, kiedy najsurowsi nauczyciele zaliczali wszystkim test, którego nikomu nie udało się napisać choćby w miarę poprawnie, kiedy nieprzystępne dziewczęta spoglądały łaskawszym okiem na adoratorów, a chłopcy rozpamiętujący doznane od nich rzeczywiste i wymyślone urazy stawali się nagle wielkodusznymi dżentelmenami. O niezwykłym nastroju charakteryzującym te przedświąteczne dni świadczy najlepiej fakt, że byli świadkowie gotowi przysiąc, iż na własne oczy widzieli uśmiechniętą pannę Rach-ciach, gorgonę stanowiącą postrach pracowni numer dwadzieścia trzy.

Przebywający w szpitalu Dennis Guilder był w umiarkowanie dobrym humorze. Pozwolono mu wstawać z łóżka i chodzić o kulach. Rehabilitacja nie stanowiła już takiej tortury jak do tej pory. Kuśtykał korytarzami przystrojonymi kolorowymi wstążkami i mniej lub bardziej kiczowatymi obrazkami, stukając kulami, czasem w takt kolęd sączących się radośnie z zainstalowanych pod sufitem głośników.

Była to *caesura*, przerwa, interludium, okres spokoju. Podczas trwających, wydawałoby się, bez końca spacerów, Dennisa odwiedzały często niewesołe przecucia, że już wkrótce sprawy przybiorą znacznie gorszy obrót.

Tak też się stało.

### 36. BUDDY I CHRISTINE

*Na razie to jeszcze jest gdzieś hen, w oddali,  
Ale podkrada się coraz bliżej.  
Nic na to nie poradzę, serce mi wali,  
Strach pełznie coraz wyżej.  
Nawet ślepiec dostrzegłby bez trudu żadnego,  
Że zaraz przydarzy mi się coś bardzo, bardzo złego...*

#### The Inmates

We wtorek 12 grudnia, w sali gimnastycznej szkoły średniej w Libertyville, Teriery przegrały z Buccanerami w stosunku 48:54. Większość kibiców, którzy wyszli po meczu w zimną, czarną noc, nie była zbyt rozczarowana; wszyscy dziennikarze sportowi w okolicach Pittsburga przepowiadali kolejną porażkę Terierów. Jej rozmiary nikomu nie przynosiły hańby, powód do dumy stanowiła natomiast postawa Lenny'ego Barongga, który rzucił 34 punkty, ustanawiając nowy szkolny rekord.

Mimo to Buddy Repperton był rozczarowany.

W związku z tym Richie Trelawney także usilnie starał się okazać swoje niezadowolenie, podobnie jak siedzący z tyłu Bobby Stanton.

W ciągu kilku miesięcy, jakie minęły od wyrzucenia go ze szkoły, Buddy jakby się postarzał. Częściowo stało się tak za przyczyną brody. Wyglądał teraz mniej jak Clint Eastwood, a bardziej jak kapitan Ahab grany przez jakiegoś młodego, dużo pijącego aktora. Szczególnie w ostatnich tygodniach Buddy pił jeszcze więcej niż zwykle. Nocami dręczyły go tak okropne koszmary, że nie był w stanie ich zapamiętać. Budził się spocony i roztrzęsiony, z niewyraźnym uczuciem, że przed chwilą z najwyższym trudem wymknął się jakiemuś ponuremu, mrocznemu przeznaczeniu.

Alkohol niszczył koszmary. Nie zostawiał z nich nawet najmniejszego pieprzonego kawaleczka. I bardzo dobrze. W nocy praca, w dzień sen, tak trzeba było to robić.

Opuścił szybę w swoim obdrapanym i pogiętym camaro, zaczerpnął głęboko lodowatego powietrza, po czym wyrzucił na zewnątrz pustą butelkę. Następnie wyciągnął rękę za siebie i powiedział:

- Jeszcze jeden koktajl Mołotowa, panie kelner.

- Już się robi, Buddy - odparł z szacunkiem Bobby Stanton i wepchnął mu w rękę następną butelkę owocowego wina. Po meczu Buddy zaprosił ich na degustację pełnej skrzynki "Texas Driver"; jest tego tyle, powiedział, że można by ululać całą egipską Marynarkę Wojenną.

Otworzył butelkę, przez chwilę trzymając kierownicę łokciami, po czym przyłożył ją do ust i jednym haustem przelknął niemal połowę jej zawartości. Zaraz potem podał ją Richiemu, sam zaś beknął głośno. Światła camaro cięły szosę numer 46, biegnącą prosto jak strzała na północny wschód przez wiejskie tereny Pensylwanii. Po obu stronach drogi rozpościerały się śpiące pod śniegową pierzyną pola, migoczące niezliczonymi punkcikami naśladowującymi gwiazdy lśniące na czarnym, zimowym niebie. Buddy jechał - od niechcienia, na pół pijany - w kierunku Wzgórz Squantic. W każdej chwili mógł mu przyjść do głowy jakiś inny pomysł, lecz na razie Wzgórz wydawały mu się najlepszym miejscem na to, żeby się tam spokojnie uchlać.

Richie przekazał butelkę Bobby'emu, który pociągnął sporego łyka, mimo że nie znosił smaku owocowego wina. Przypuszczał jednak, że jeśli uda mu się upić jeszcze bardziej, to smak przestanie mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Być może jutro będzie miał kaca i porzyga się jak kot, ale jutro miało nadejść dopiero za tysiące lat. Na razie był ogromnie podniecony samym faktem przebywania w towarzystwie Buddy'ego; chodził dopiero do pierwszej klasy, Repperton zaś, otoczony mitem zła i siły, wywoływał w nim mieszane uczucia strachu i uwielbienia.

- Pieprzone klauny! - warknął ponuro Buddy. - Banda pieprzonych klaunów. Oni to nazywają koszykówką?

- Stado kretynów - zgodził się Richie. - Może z wyjątkiem Barongga. Trzydzieści cztery punkty to nie w kij dmuchał.

- Nie znoszę tego cholernego czarnucha. - Buddy zmierzył Richiego przeciągłym, pijackim spojrzeniem. - Trzymasz z tą małpą z dżungli?

- Skądże znowu - odparł szybko Richie.

- Dam mu kiedyś takiego Barongga, że się nie pozbiera.

- Co wolicie najpierw? - wtrącił się Bobby z tylnego siedzenia. - Dobrą czy złą wiadomość?

- Dawaj złą - zażądał Buddy. Była to jego trzecia butelka, w związku z czym nie czuł już bólu, tylko pelen żalu gniew. Zapomniał - przynajmniej na chwilę - że wyrzucono go ze szkoły. Skoncentrował się wyłącznie na fakcie, że szkolna drużyna, ta banda pieprzonych, niedorozwiniętych matolów, sprawiła mu zawód. - Zawsze mów najpierw złą wiadomość.

Camaro sunęło na północny wschód z prędkością sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę po dwupasmowej wstędze asfaltu przypominającej prostą kreskę maźniętą czarną farbą na pofałdowanej białej podłodze. Zbliżając się do Wzgórz Squantic wjeżdżali w coraz bardziej

urozmaicony teren.

- No więc, zła wiadomość jest taka, że w Nowym Jorku właśnie wylądowało milion Marsjan - powiedział Bobby. - A teraz chcecie usłyszeć tę dobrą?

- Nie ma żadnych dobrych wiadomości - wycedził ponuro Buddy. Richie pomyślał, że powinien był uprzedzić szczeniaka, iż -Buddy'ego nigdy nie należało rozbawiać na siłę, kiedy znajdował się w takim nastroju, bo prowadziło to tylko do pogorszenia sytuacji. Należało siedzieć z gębą na klódkę i czekać, aż samo mu minie.

Buddy zachowywał się w ten sposób od chwili, kiedy jakiś wariat rozjechał na John Kennedy Drive tego tłustego okularnika Moochiego Welcha.

- Dobra wiadomość jest taka, że jedzą czarnuchów i szczają benzyną! - dokończył Bobby i natychmiast ryknął śmiechem. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że nikt mu nie wtóruje, i natychmiast się zamknął. Zerknąwszy przed siebie dostrzegł we wstecznym lusterku wpatrzone w niego, nabiegłe krwią oczy Reppertona i to czerwone, fanatyczne spojrzenie wywołało u niego nieprzyjemny dreszcz strachu. Przemknęła mu niewyraźna myśl, że kto wie, czy nie umilkł o dwie lub trzy minuty za późno.

Daleko za nimi, trzy mile albo nawet więcej, w nocnym mroku niczym dwie maleńkie iskierki błysnęły reflektory jakiegoś samochodu.

- Myślisz, że to śmieszne? - zapytał Buddy. - Opowiadasz jakiś pieprzony rasistowski kawał i myślisz, że to śmieszne? Jesteś cholernym bigotem, wiesz o tym?

Bobby rozdziawił usta.

- Przecież sam powiedziałeś...

- Powiedziałem, że nie lubię Barongga. Generalnie uważam, że czarnuchy są równie dobrzy, jak biali. - Zastanowił się przez chwilę. - No, prawie równie dobrzy.

- Ale...

- Lepiej uważaj, co gadasz, bo jak nie, to wrócisz do domu na piechotę! - parsknął Buddy. - Z rozwalonym łbem. Potem będziesz mógł sobie pisać **PRECZ Z CZARNUCHAMI**, gdzie tylko zechcesz.

- Och... - pisnął cicho Bobby. Czuł się tak, jakby wyciągnął rękę, żeby włączyć światło, i został niespodziewanie porażony prądem. - Przepraszam.

- Daj mi tę butelkę i stul pysk.

Bobby pośpiesznie wręczył Reppertonowi butelkę z "Texas Driver". Ręka trzęsła mu się jak w febrze.

Buddy opróżnił butelkę do końca. Minęli znak informujący o tym, że do Parku Stanowego na Wzgórzach Squantic zostały jeszcze trzy mile. Jezioro położone w centralnej części

parku stanowiło latem popularne miejsce weekendowego wypoczynku, ale od listopada do kwietnia cały teren był zamknięty dla turystów. Droga prowadząca do jeziora Squantic była jednak zawsze odsnieżana ze względu na odbywające się często w tym rejonie ćwiczenia Gwardii Narodowej i zimowe wyprawy skautów, Buddy zaś odkrył kiedyś wjazd usytuowany obok głównej bramy, którym można było do niej dotrzeć. Często odwiedzał pograżony w ciszy, skutym mrozem park, przemierzał go samochodem i upijał się niemal do nieprzytomności.

Za nimi dwie iskierki zdecydowanie urosły, zamieniając się w poczwórne reflektory jadącego w odległości mniej więcej mili samochodu.

- Daj mi jeszcze jeden koktajl Mołotowa, ty pierdolona rasistowska świni.

Bobby wręczył mu kolejną butelkę wina, tym razem zachowując roztropne milczenie.

Buddy pociągnął tęgiego łyka, beknął, po czym wręczył butelkę Richiemu.

- Nie, dzięki.

- Pij, bo jak nie, to zrobię ci z tego lewatywę!

- Już dobrze, dobrze - odparł Richie. Nagle zaczął żalować, że nie został w domu.

Przyłożył butelkę do ust.

Camaro pędziło przed siebie, tnąc ciemność snopami światła tryskającymi z reflektorów.

Buddy zerknął we wsteczne lusterko i dostrzegł tamten samochód. Zbliżał się do nich bardzo szybko. Przeniósłszy wzrok na szybkościomierz stwierdził, że jedzie z prędkością sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę, co oznaczało, że tamten pędzi co najmniej siedemdziesiątką. Buddy odniósł wrażenie, że znowu zaczyna śnić jeden ze swoich snów, których potem nie mógł sobie przypomnieć, i poczuł na sercu dotknięcie lodowato zimnego palca.

Zbliżali się do rozwidlenia dróg; szosa numer 46 skręcała na wschód do New Stanton, jej odgałęzienie zaś na północ, w kierunku Parku Stanowego Squantic. Obok stosownego drogowskazu widniała wielka pomarańczowa tablica z napisem: ZIMĄ NIECZYNNY.

Prawie nie zwalniając Buddy skierował samochód w lewo i pod górę. Droga dojazdowa do parku nie została zbyt dobrze uprzątnięta, rosnące zaś po obu stronach drzewa osłaniały ją w dzień przed promieniami słońca, w związku z czym była wciąż pokryta warstwą śniegu. Camaro wpadło w lekki poślizg, po czym koła odzyskały przyczepność. Siedzący z tyłu Bobby Stanton wydał cichy, żalony odgłos.

Buddy zerknął we wsteczne lusterko, spodziewając się ujrzeć, jak jadący z tyłu samochód skręca w prawo i jedzie dalej szosą numer 46 - bądź co bądź większość kierowców była przekonana o tym, iż prowadzące w lewo odgałęzienie kończy się zamkniętą na glucho bramą parku. Tymczasem jednak tajemniczy pojazd skręcił w lewo na jeszcze większej prędkości niż Buddy i popędził za nimi, zbliżając się na odległość niespełna jednej czwartej mili. Blask bijący z

czterech reflektorów docierał aż do wnętrza camaro.

Bobby i Richie odwrócili się i spojrzeli za siebie.

- Co jest, do kurwy nędzy? - mruknął Richie.

Ale Buddy już wiedział. Nagle wszystko zrozumiał. To był ten wóz, który rozjechał Moochiego. Tak, to na pewno był on. Za kierownicą siedział wariat, który przerobił Moochiego na befsztyk, a teraz postanowił to samo zrobić z Buddym.

Wcisnął mocniej pedał gazu i camaro wyrwało się do przodu. Wskazówka prędkościomierza podpełzła do siedemdziesiątki, minęła ją, po czym zaczęła stopniowo zbliżać się do osiemdziesięciu mil na godzinę. Rozmazane kontury drzew umykały błyskawicznie do tyłu. Jednak światła tamtego samochodu nie zniknęły. Wręcz przeciwnie, zbliżały się coraz bardziej. Dwie pary reflektorów połączyły się w dwoje wielkich białych oczu.

- Słuchaj no, może trochę zwolnij - wyjąkał Richie sięgając do pasa bezpieczeństwa. - Jeżeli przy tej szybkości wylecimy z drogi...

Buddy nie odpowiedział. Skulony za kierownicą na przemian rzucał spojrzenia to na drogę, to w lusterko wsteczne, gdzie bezustannie rosło dwoje rozżarzonych ślepi.

- Przed nami jest zakręt - powiedział ochryplym głosem Bobby. W chwilę potem, kiedy światła odbłaskowe umieszczone na wygiętej szerokim hakiem barierze ochronnej zaślniły zimnym blaskiem, krzyknął: - Buddy! Zakręt!

Buddy wrzucił raptownie drugi bieg i silnik camaro zawył z oburzeniem. Strzałka obrotomierza podskoczyła do 6000 obrotów na minutę, przez chwilę zatańczyła koło zaznaczonych na czerwono 7000, a następnie opadła do normalnych wartości. Tłumik strzelił kilkakrotnie, Repperton zaś szarpnął gwałtownie kierownicą, wprowadzając samochód w poślizg. Tylne koła uciekły w bok na ubitym śniegu. Buddy w ostatniej chwili skontrolował, wdusił w podłogę pedał gazu i skulił się jeszcze bardziej, kiedy camaro rąbnęło tyłem w usypaną wzdłuż drogi wysoką białą pryzmę, wyrabując w niej wnękę rozmiarów trumny. Samochód odbił się, on zaś natychmiast zmniejszył obroty silnika. Przez ułamek sekundy wydawało się, że nic to nie da i że będą odbijać się od śnieżnych zasp dopóty, dopóki nie przebiją jednej z nich i wylądują w lesie.

Jednak zaraz potem camaro wróciło na środek drogi.

- Na litość boską, Buddy, zwolnij! - zalkał Richie.

Buddy jednak ścisnął kurczowo kierownicę, odsłaniając w uśmiechu zęby i wpatrując się w lusterko wybaluszonymi, nabiegłymi krwią oczami. Między udami cały czas ścisnął butelkę wina. *No, dalej! Proszę bardzo, pieprzony sukinyńcu! Pokaż, czy potrafisz zrobić to samo nie lądując się między drzewa!*

Zaraz potem uśmiech znikł z jego twarzy, gdyż światła pojawiły się znowu, nawet jeszcze



bliżej niż do tej pory. Po raz pierwszy Buddy poczuł, jak po nogach pełźnie mu w stronę krocza zupełnie niemęskie, obrzydliwe mrowienie. Strach, prawdziwy strach zakradł się do jego serca.

Bobby patrzył cały czas do tyłu, a teraz odwrócił się i obrzucił ich przerażonym spojrzeniem.

- W ogóle nie wpadł w poślizg! - wykrzyknął. - Ale przecież to niemożliwe! To...

- Kto to jest, Buddy? - zapytał Richie.

Wyciągnął rękę, by dotknąć łokcia Reppertona, lecz został odepchnięty z taką siłą, że aż rąbnął kostkami palców w szybę.

- Nie dotykaj mnie! - szepnął Buddy. Droga prowadziła prosto jak strzełił, już nie czarny asfalt, lecz ubity śnieg, śliski i zdradliwy. Camaro gnało nią z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Nad sięgającymi do wysokości piersi zaspami widać było tylko jego przemykający dach i pomarańczową pingpongową pileczkę nasadzoną na czubek anteny. - Nie dotykaj mnie, Richie. Nie wtedy, kiedy jadę tak szybko.

- Czy to... - zaczął Richie i umilkł, nie mogąc wykrztusić ani słowa więcej.

Buddy rzucił na niego ukradkowe spojrzenie. Ujrzawszy strach czający się w małych, czerwonych oczach Reppertona, Richie poczuł, jak jego własne przerażenie podchodzi mu do gardła ohydłą oleistą falą.

- Tak - odparł Buddy. - Myślę, że to właśnie to.

Nie było tu już żadnych domów, tylko wysokie śnieżne bandy i mroczna płatanina uciekających błyskawicznie do tyłu drzew.

- Rąbnie w nas! - zaskrzeczał Bobby z tylnego siedzenia głosem przypominającym głos starej kobiety. Pod jego stopami pozostałe butelki wina zabrzęczały donośnie w tekturowym pudle. - Buddy, on zaraz w nas rąbnie!

Ścigający samochód zbliżył się na odległość półtora metra od tylnego zderzaka camaro; jego długie światła zalaly wnętrze blaskiem tak jaskrawym, że dałoby się przeczytać przy nim nawet najdrobniejszy druk w gazecie. Przysunął się jeszcze trochę... a potem rozległ się głuchy łomot.

Camaro szarpnęło się do przodu, goniący je wóz został na moment z tyłu, Buddy zaś odniósł wrażenie, jakby leciał w przepaść. Wiedział, że tylko o włos uniknęli nie kontrolowanego, szaleńczego poślizgu, podczas którego kręciliby się jak bąk po drodze, by wreszcie roztrzaskać się o drzewa.

Do oka wtoczyła mu się kropla potu, ciepła i piekąca jak lza.

Camaro stopniowo przestawało tańczyć na śliskiej nawierzchni.

Kiedy Buddy poczuł, że znowu panuje nad samochodem, łagodnym ruchem prawej stopy

wcisnął do oporu pedał gazu. Jeżeli to był Cunningham w tym swoim złomie z 1958 - a czy nie to właśnie śniło mu się w koszmarach, których potem nie mógł sobie przypomnieć? - camaro powinno łatwo zostawić go z tyłu.

Silnik był przeraźliwie. Strzałka obrotomierza ponownie dotknęła zaznaczonej na czerwono liczby 7000. Prędkościomierz pokazywał już ponad sto mil na godzinę i śnieżne nasypy przemykały po obu stronach w upiornym milczeniu. Droga pędziła im na spotkanie z szybkością obrazu w filmie puszczonego w zupełnie nieprzytomnym tempie.

- Boże, dobry Boże... - bełkotał Bobby - dobry Boże, nie pozwól, żebym zginął, o Boże, kurwa mać...

Przecież jego nie było z nami wtedy, kiedy obtańcowaliśmy grata Ciporyjca - pomyślał Repperton. Nie ma zielonego pojęcia, co tu się dzieje. Biedny, pechowy sukinsyn.

W rzeczywistości wcale nie było mu żal Bobby'ego, ale gdyby miało mu być kogokolwiek żal, to na pewno właśnie tego małego, przyglupiego pierwszoklasisty. Richie Trelawney siedział na miejscu obok kierowcy sztywny jakby kij polknął i pożerał wzrokiem twarz Buddy'ego. Richie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Prześladowca zbliżał się coraz bardziej. Jego poczwórne reflektory rosły szybko we wstecznym lusterku camaro.

To niemożliwe! - ryknął bezgłośnie Buddy. To niemożliwe! Jednak tamten wóz naprawdę był coraz bliżej i Buddy wyczuł, że już wkrótce nastąpi śmiertelny atak. Jego umysł miotał się jak szczur w klatce, szukając drogi ucieczki, ale nie mógł jej znaleźć. Przed chwilą minęli przerwę w śnieżnej bandzie po lewej stronie, przez którą Repperton zwykle wjeżdżał w boczną drogę omijającą główną bramę rezerwatu. Pozostawało mu coraz mniej miejsca, czasu i możliwości wyboru.

Rozległo się kolejne głuche uderzenie i camaro znowu zatoczyło się jak pijane, tym razem przy szybkości ponad stu dziesięciu mil na godzinę. Jesteś bez szans, staruszkule - pomyślał z rezygnacją Buddy. Puścił kierownicę, chwycił za pas bezpieczeństwa i zapiął go po raz pierwszy od chwili, kiedy nauczył się prowadzić samochód.

Jednocześnie siedzący z tyłu Bobby Stanton wrzasnął z panicznym przerażeniem:

- Brama! Boże, Buddy, uważaj na bramę!!!

Camaro dotarło do ostatniego stromeego podjazdu. Po drugiej stronie wzniesienia droga prowadziła w dół aż do miejsca, gdzie rozdzielała się na dwie nitki stanowiące wjazd i wyjazd z parku stanowego. Miedzy nimi tkwiła niewielka budka strażnicza ustawiona na wysokiej betonowej wysepce; latem siedziała w niej na turystycznym krzeselku kobieta i pobierała dolara od każdego samochodu wjeżdżającego do parku.

Kiedy dwa samochody runęły w dół wzgórza ku bramie, budka została zalana upiornym, białym światłem.

- Pieprzę cię, Ciporyjcu! - ryknął Buddy. - Pieprzę cię i tego twojego grata!

Zakręcił kierownicą do oporu.

Bobby ponownie wrzasnął, Richie Trelawney zaś zasłonił twarz dłońmi. Jego ostatnia myśl składała się z powtarzanej w kółko frazy: *Uważaj na potłuczone szkło uważaj na potłuczone szkło uważaj na potłuczone szkło...*

Camaro obróciło się o 180 stopni. Reflektory ścigającego ich samochodu zaświeciły im prosto w twarze i Buddy zaczął przeraźliwie krzyczeć, bo to rzeczywiście był samochód Ciporyjca, co do tego nie było żadnych wątpliwości, tej szerokiej chyba na milę atrapy nie sposób było pomylić z żadną inną, tylko że za kierownicą nikt nie siedział! Samochód był zupełnie pusty.

Na dwie sekundy przed katastrofą reflektory Christine skierowały się nieco w lewo i plymouth wpadł w alejkę wjazdową tak nieomylnie i dokładnie, jak karabinowy pocisk przelatujący przez lufę. Uderzywszy w drewniany szlaban rozbił go w drzazgi, posyłając roztrzaskane odłamki daleko w ciemność.

Camaro Buddy'ego Reppertona rąbnęło tyłem w betonową wysepkę. Najpierw dwudziestocentymetrowej wysokości krawężnik skasował podwozie; zmięte szczątki rury wydechowej i tłumika poleciały w głęboki śnieg i znieruchomiały tam niczym jakaś przedziwna rzeźba. Następnie zgnieceniu uległa tylna część samochodu, a wraz z nią Bobby Stanton. Buddy odniósł wrażenie, jakby ktoś wylał mu na tył głowy i plecy wiadro ciepłej wody; była to krew Bobby'ego.

Camaro wystrzeliło w powietrze, z trzaskiem dartej metalu i pryskającego szkła wykonało pełen obrót, runęło z loskotem na ziemię, by natychmiast przetoczyć się na dach. Silnik przebił ściankę dzielącą go od kabiny, przygniatając Richiego Trelawneya i miażdżąc jego ciało od pasa w dół. Następnie rozległa się głucha eksplozja, rozszarpany zbiornik paliwa stanął w płomieniach i samochód wreszcie znieruchomiał.

Buddy Repperton żył. Odłamki szkła pokaleczyły go w wielu miejscach - jedno ucho zostało odcięte z chirurgiczną precyzją, pozostawiając czerwoną dziurę po lewej stronie głowy - i miał złamaną nogę, ale żył. Ocalił go zapięty pas. Nacisnął przycisk i pas puścił. Trzask płomieni przypominał szelest miętego papieru. Czuł buchający z ognia żar.

Spróbował otworzyć drzwi, ale okazało się, że zostały zablokowane.

Dysząc ochryple przeczołgał się przez wąską przestrzeń, którą kiedyś wypełniała przednia szyba...

...i ujrzał Christine.

Stała przodem do niego w odległości czterdziestu metrów na końcu długiego, wyraźnego śladu po poślizgu. Pomruk jej silnika przypominał powolne sapanie jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia.

Buddy oblizal wargi. Za każdym oddechem coś poruszało się i bolało go w lewym boku. Coś polamanego. Żebra.

Silnik Christine ryknął i przycichł; ryknął i przycichł. Do uszu Buddy'ego docierał niewyraźnie, jakby z koszmaru jakiegoś wariata, głos Elvise Presleya śpiewającego „Jailhouse Rock”.

Pomarańczoworóżowe plamy światła na śniegu. Huczące płomienie. Zaraz eksploduje paliwo. Zaraz...

Eksplodowało. Zbiornik camaro wybuchł z głośnym, głuchym łoskotem. Buddy odniósł wrażenie, jakby czyjaś brutalna dłoń rąbnęła go z całej siły w plecy, po czym przeleciał kilka metrów w powietrzu i wylądował w śniegu na bolącym boku. Jego kurtka zajęła się ogniem. Jęcząc rozpaczliwie zaczął tarzać się w śniegu, by ugasić płomienie, a kiedy mu się to udało, spróbował podnieść się na kolana. Za jego plecami camaro zamieniło się w płonący stos pogiętego żelastwa.

Słyszał pomruk silnika Christine, przybierający na sile i cichnący, przybierający na sile i cichnący. Coraz szybciej, coraz bardziej niecierpliwie.

Buddy'emu wreszcie udało się stanąć na czworakach i spojrzeć na samochód Cunninghama przez zaslonę spoconych, pozlepianych włosów. W masce plymoutha widniało wgniecenie po uderzeniu w drewniany szlaban, a z uszkodzonej chłodnicy kapiała mieszanka wody i płynu nie zamarzającego, parująca po zetknięciu ze śniegiem jak świeży zwierzęcy pot.

Buddy ponownie oblizal wargi. Były suche niczym skóra jaszczurki. W boku czuł ciepło jak po łagodnym oparzeniu słonecznym; do jego nozdrzy docierał zapach spalenizny, lecz znajdując się w szoku nie zdawał sobie sprawy, że zarówno kurtka, jak i dwie koszule uległy niemal całkowitemu spaleni.

- Posłuchaj - wychrypiał prawie nie zdając sobie sprawy z tego, że w ogóle mówi. - Posłuchaj no...

Christine runęła na niego z potwornym rykiem silnika, buksując kołami w sypkim śniegu i zamiatając lekko tyłem w lewo i prawo. Wygięta maska przypominała usta wykrzywione w złowieszczym uśmiechu.

Buddy czekał na czworakach, z najwyższym trudem opanowując chęć, by rzucić się natychmiast w bok i odpełznąć jak najdalej, walcząc na ile mógł z szarpiącą go od środka paniką. W samochodzie nikogo nie było. Ktoś obdarzony większą wyobraźnią przypuszczalnie oszalałby

na miejscu.

W ostatnim ułamku sekundy przetoczył się w lewą stronę, krzycząc przeraźliwie, kiedy odłamki złamanej kości zahaczyły o siebie. Kilka centymetrów obok niego coś przemknęło z prędkością pocisku, przez chwilę poczuł ohydny smród spalin, a potem śnieg zalała intensywna czerwień świateł stopu Christine.

Zakręciła poślizgiem i ponownie ruszyła na niego.

- Nie! - zawył Buddy. Pierś rozsadzał mu nieznośny ból. - Nie! Nie! Nieeeeeee...!

Skoczył, ulegając ślepemu odruchowi; tym razem pocisk przemknął jeszcze bliżej, zdzierając mu lewy but. Natychmiast stracił czucie w stopie. Buddy kręcił się rozpaczliwie na kolanach i rękach jak dziecko bawiące się na dywanie podczas urodzinowego przyjęcia. Płynąca z ust krew mieszała się z kapiącymi z nosa smarkami. Jedno ze złamanych żeber przebiło płuco. Lewą stronę twarzy zalewała mu krew sącząca się z miejsca po odciętym uchu. Oddychał szybkimi, płytkimi łykami, łapiąc ze świstem powietrze; przy każdym wydechu z jego ust i nosa buchały kłęby pary.

Christine czekała.

Z rury wydechowej wydobywała się strużka białego dymu. Silnik mruczał i posapywał. Przednia szyba była zupełnie czarna i nieprzezroczysta. Za plecami Reppertona resztki camaro skwierczały w strzelających wysoko płomieniach. Ostry jak brzytwa wiatr rozwiewał buchający z nich dym. Bobby Stanton siedział w samym środku gorejącego piekła z przechyloną głową i upiornym uśmiechem pojawiającym się z wolna na jego czerniejącej twarzy.

Bawi się ze mną - pomyślał Buddy. Bawi się ze mną jak kot z myszą.

- Proszę... - wycharczał. Reflektory Christine świeciły oślepiającym blaskiem, nadając krwi spływającej po policzku i z kącików ust barwę czarnej smoły. - Proszę... Ja... powiem mu, że mi przykro... będę się przed nim czuł, jeśli tego chcesz... tylko proszę... pro...

Silnik ryknął i Christine ruszyła na niego niczym jakiś upiór przywołany z zamierzchłych czasów. Buddy ponownie wrzasnął i spróbował odskoczyć w bok, lecz tym razem zderzak plymoutha rąbnął go w goleń, łamiąc kość niczym zapalkę, i cisnął nim na śnieżną bandę okalającą drogę. Buddy upadł jak niezbyt dokładnie wypełniony worek ziarna.

Christine natychmiast skoczyła ku niemu, lecz Repperton dostrzegł dla siebie cień szansy. Zaczął co sił pięć się w górę po śnieżnej skarpie, wbijając w nią nagie dłonie, w których zdążył już stracić wszelkie czucie, i stopy, nie zwracając uwagi na potworny ból promieniujący z połamanych nóg. Każdy oddech był rozpaczliwym krzykiem, coraz głośniejszym, w miarę jak słyszał narastający ryk silnika i widział przybierający na sile blask reflektorów. Każda grudka śniegu rzucała własny czarny, poszarpany cień, on zaś czuł za plecami straszliwego tygrysa

ludożercę, pędzącego ku zdobyczy, pędzącego coraz szybciej...

Rozległ się donośny chrzęst, zgrzyt metalu i Buddy wrzasnął rozpaczliwie, kiedy zderzak Christine wgniótł w twardey śnieg jego stopę. Wyszarpnął ją natychmiast, pozostawiając w zaspie drugi but.

Czołgając się i lkając rozpaczliwie Repperton dotarł wreszcie na szczyt przyzmy usypanej kilka dni wcześniej przez jeden z pługów śnieżnych Gwardii Narodowej, zachwiał się, szukając ramionami oparcia i o mało nie stoczył się z powrotem.

Odwrócił się, by spojrzeć na Christine. Plymouth cofnął się na przeciwną stronę drogi, po czym natychmiast ruszył do przodu, buksując wściekle tylnymi kołami. Rąbnął w śnieżną skarpe trzydzieści centymetrów poniżej miejsca, gdzie przywarł Buddy, posyłając w dół małą lawinę śniegu. Pod wpływem uderzenia maska wgięła się jeszcze bardziej, ale Buddy'emu nic się nie stało. Christine wycofała się powoli, a jej silnik zdawał się wydawać gniewne, zdesperowane pomruki.

Repperton wrzasnął tryumfalnie i pokazał jej wyprostowany środkowy palec.

- Pieprzę cię! Pieprzę cię!

Z ust trysnęły mu kropelki krwi i śliny. Wraz z każdym oddechem paraliżujący ból w lewym boku nasilał się coraz bardziej.

Christine skoczyła naprzód i ponownie uderzyła w śnieżną bandę.

Tym razem obsunęła się znaczna część skarpy, grzebiąc jej wyszczerzony pysk, Buddy zaś o mało co nie zsunął się wraz z nią. Uratował się cofając raptownie tyłem i wbijając w śnieg ręce zakrzywione niczym krwawiące haki. Jego nogi stanowiły teraz jedno wielkie ognisko bólu; przetoczył się na bok, dysząc ciężko jak wyrzucona na brzeg ryba.

Christine zaatakowała po raz kolejny.

- Odpieprz się! - ryknął Buddy. - Odpieprz się ode mnie, ty cholerna dziwko!

Uderzyła znowu; śnieg zasypał jej maskę aż po przednią szybę. Ożyły wycieraczki, odgarniając go wściekle na boki.

Cofnęła się, Buddy zaś zrozumiał, że po następnym ataku spadnie na jej maskę wraz z kaskadą śniegu. Odepchnął się rozpaczliwie i stoczył na drugą stronę zasy, krzycząc głośno, kiedy połamane żebra przesuwwały się trąc jedno o drugie. Znieruchomiał w sypkim śniegu. Leżał na plecach i wpatrując się w wygwieżdżone niebo szczekał bezsilnie zębami. Jego ciałem zaczęły wstrząsać nie kontrolowane dreszcze.

Christine nie ponowiła ataku, lecz Repperton wyraźnie słyszał cichy pomruk jej silnika. Czekala.

Zerknął na szczyt śnieżnej zasy przesłaniający część nieba. Wydobywający się z za niej

blask bijący od płonącego camaro zaczął nieco przygasać. Ile czasu minęło od chwili katastrofy? Nie miał pojęcia. Czy ktoś zauważył ogień i przybędzie mu na ratunek? O tym także nie miał pojęcia.

Niemal jednocześnie zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: że z ust w zastraszającej ilości płynie mu krew oraz że jest mu bardzo zimno. Jeżeli nikt się nie zjawi, z pewnością zamarźnie na śmierć.

Ogarnięty przerażeniem dźwignął się z ziemi i usiadł. Zastanawiał się właśnie, czy nie powinien wczłgać się z powrotem na skarpe, by obserwować Christine - teraz, gdy jej nie widział, czuł jeszcze większy niepokój; kiedy przypadkiem zerknął jeszcze raz w górę, oddech uwiązł mu w gardle.

Na szczycie zasy stał jakiś człowiek.

Tyle tylko, że to nie był człowiek, lecz trup. Gnijący trup w zielonych wojskowych spodniach. Nie miał koszuli, ale jego poczerniałe tułów spinał pokryty pleśnią szeroki, ortopedyczny pas. Białe kości wyglądały przez pęknięcia w skórze opiętej ciasno na twarzy.

- Koniec z tobą, zasańcu - szepnął oświetlony blaskiem gwiazd upiór.

Repperton wybaluszył oczy i zaczął histerycznie wrzeszczeć. Jego długie włosy zjeżyły się i stały niemal pionowo dokoła zakrwawionej, wymazanej sadzą twarzy, upodabniając się do jakiegoś groteskowego hełmu. Krew chlusnęła mu z otwartych ust, spływając na kołnierz kurtki. Usiłował się cofnąć, szorując pośladkami po śniegu i odpychając się wygiętymi niczym szpony rękami, kiedy nagle postać ruszyła w jego stronę. Nie miała oczu. Jej oczy zniknęły, wyżarte z twarzy przez Bóg wie jakie, wijące się istoty. Buddy poczuł jej zapach, przypominający smród gnijących pomidorów. To był zapach śmierci.

Trup Rolanda D. LeBaya wyciągnął ręce do Buddy'ego Reppertona i uśmiechnął się.

Buddy wrzasnął. Buddy zawył. A potem nagle wyprężył się, otworzył szeroko usta układając je w idealnie okrągłe O i podniósł głowę, jakby chciał pocałować zbliżającego się do niego krok za krokiem upiora. Chwycił się kurczowo dłońmi za pierś tuż nad sercem, które wreszcie zostało przebite ostrym fragmentem złamanego żebra. Upadł na plecy kopiąc drgającymi nogami głębokie bruzdy w śniegu, z ust zaś wydobył się jego ostatni oddech, biały i mglisty... jak dym z rury wydechowej samochodu.

Zjawa zamigotała i znikła, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów.

Po drugiej stronie śnieżnego nasypu silnik Christine wydał ogłuszający ryk tryumfu, który poleciał ku milczącym, pokrytym białym puchem wzniesieniom Wzgórz Squantic, by zaraz wrócić, wzmocniony wielokrotnym echem.

Po drugiej stronie jeziora, w odległości mniej więcej dziesięciu mil, młody człowiek, który

wyszedł z domu, żeby pobiegać na nartach przy świetle gwiazd, usłyszał ten głos i znieruchomiał z dłońmi zaciśniętymi na kijkach i przechyloną głową.

Nagle poczuł, że jego ciało pokrywa się gęsią skórką i choć wiedział, że to był tylko samochód jadący drogą po przeciwnej stronie jeziora - w takie ciche zimowe noce wiatr przenosił dźwięki na bardzo duże odległości - to jednak w pierwszej chwili odniósł wrażenie, że oto przebudziła się jakaś prehistoryczna bestia i ogłosiła światu śmierć swojej ofiary; mógł to być ogromny wilk albo szablozębny tygrys.

Jednak głos nie powtórzył się i młody człowiek ruszył w swoją stronę.



### 37. DARNELL ROZMYŚLA

*Maleńka, daj mi przejechać się swoim wożem.*

*Hej, maleńka, daj no mi przejechać się swoim wożem!*

*I powiedz mi jedno, kochanie,*

*Powiedz mi zaraz: czyż nie jest wspaniale?*

Chester Burnett

Tego wieczoru, kiedy Buddy Repperton i jego przyjaciele spotkali się z Christine na Wzgórzach Squantic, Will Darnell wyszedł z garażu dopiero po północy. Rozedma płuc dokuczala mu jeszcze bardziej niż zwykle. W takich chwilach bał się kłaść spać, choć normalnie sypiał mocno i długo jak niedźwiedź.

Lekarz powiedział mu, że jest bardzo mało prawdopodobne, by udusił się we śnie, ale z biegiem lat, kiedy rozedma ścisnęła mu płuca z rosnącą siłą, bał się tego coraz bardziej. Fakt, iż ten strach miał całkowicie irracjonalne podłoże, był zupełnie nieistotny. Choć nie wszedł do żadnego kościoła od chwili, kiedy skończył dwanaście lat - to już czterdzieści dziewięć lat temu! - z przerażającą fascynacją pochłaniał wszystkie szczegóły towarzyszące śmierci papieża Jana Pawła I, która nastąpiła przed dziesięcioma tygodniami. Papież umarł w łóżku, gdzie znaleziono go z samego rana. Prawdopodobnie był już zimny. Właśnie to napelniało Willa największą zgrozą: prawdopodobnie był już zimny.

O wpół do dziesiątej przyjechał do garażu swoim chryslerem imperial z 1966 roku - ostatnim samochodem, jaki chciał mieć w życiu. Mniej więcej o tej samej porze Buddy Repperton zauważył po raz pierwszy we wstecznym lusterku odległe światła jakiegoś samochodu.

Will był wart ponad dwa miliony dolarów, ale pieniądze nie sprawiały mu już żadnej przyjemności - o ile można powiedzieć, że kiedykolwiek było inaczej. Właściwie pieniądze wydawały mu się już czymś zupełnie nierealnym. Podobnie jak wszystko, z wyjątkiem rozedmy płuc. Rozedma była przerażająco realna i Will wital z radością wszystko, co pozwalało mu choć na chwilę przestać o niej myśleć.

Na przykład sprawa Arniego Cunninghama - to na pewno oderwało jego myśli od rozedmy. Chyba właśnie dlatego pozwolił mu zostać w garażu, mimo że jakiś wewnętrzny głos kazał mu wywalić szczeniaka na zbity łeb. Coś działo się z Cunninghamelem i jego odremontowanym plymouthem 58. Coś bardzo dziwnego.

Dzisiaj chłopak nie przyszedł pracować przy swoim wozie, bo wraz z całym szkolnym klubem szachowym pojechał do Filadelfii na trzydniowy Jesienny Turniej Stanów Północnych. Sam śmiał się z tego; w niczym nie przypominał już przyszczatego, naiwnego dzieciaka, na którym wyżywał się Buddy Repperton i którego Will bez chwili wahania (jak się okazało, niesłusznie) uznał za mięczakowatą meduzę, a może nawet cholernego pedała.

Przede wszystkim stał się cyniczny.

Kiedy wczoraj wieczorem przyszedł do biura na cygaro (zasmakował w nich na dobre; Will mocno wątpił, czy rodzice Arniego wiedzą o tym), powiedział Willowi, że opuścił tak dużo zajęć w klubie, iż według regulaminu przestał już do niego należeć. Opiekujący się klubem nauczyciel nazwiskiem Slawson wiedział o tym, lecz dyplomatycznie przytknął oczy - przynajmniej do zakończenia turnieju.

- Opuściłem najwięcej spotkań, ale tak się składa, że gram najlepiej ze wszystkich i ten zasraniec dobrze o tym... - Arnie skrzywił się i złapał obiema rękami za krzyż.

- Powinieneś pójść z tym do lekarza - zauważył Will.

Arnie zamrugał powiekami; z tą zawziętą miną wyglądał na znacznie więcej niż swoje niespełna osiemnaście lat.

- Wystarczy, jeśli zerznę jak Bóg przykazał jakąś dziewczuchę, to od razu mi się poprawi.

- A więc jednak jedziesz do Filadelfii?

Will był trochę zawiedziony, choć i tak Cunningham w najbliższym czasie miał mieć wolne. Oznaczało to, że przez najbliższe kilka wieczorów będzie musiał zostawić wszystko Jimmy'emu Sykesowi, a Jimmy nie potrafił odróżnić swojej dupy od porcji lodów śmietankowych.

- Jasne. Przecież nie zrezygnuję dobrowolnie z darmowej wycieczki - odparł Arnie. Zauważył kwaśną minę Willa i uśmiechnął się. - Nie przejmuj się tak bardzo, człowieku. Święta za pasem i twoi klienci kupują teraz prezenty dla dzieciaków, a nie świece zapłonowe i gaźniki. Do przyszłego roku nie pojawi się tu żywa dusza i ty dobrze o tym wiesz.

Z całą pewnością była to prawda, ale Darnell nie życzył sobie, by przypominał mu o tym jakiś smarkacz.

- Skoczysz po powrocie do Albany?

Arnie spojrzał na niego uważnie.

- Kiedy?

- W najbliższy weekend.

- W sobotę?

- Tak.

- Co to za interes?

- Zawieziesz mojego chryslera do Albany, to cały pieprzony interes. Henry Buck ma czternaście czystych używanych wozów, których chce się pozbyć. To znaczy, on twierdzi, że są czyste. Masz im się przyjrzeć. Dam ci podpisany czek. Jeśli wszystko będzie w porządku, kupisz je. Jeśli coś będzie nie w porządku, powiesz mu, żeby wsadził je sobie w dupę.

- A co będę miał ze sobą?

Will przyglądał mu się bez słowa przez dłuższą chwilę.

- Boisz się, Cunningham?

- Nie. - Arnie zgasił wypalone do połowy cygaro i spojrzał niepewnie na Darnella. - Tylko po prostu czuję, że za każdym razem ryzyko jest coraz większe. Czy to kokaina?

- Każę to załatwić Jimmy'emu - burknął Will.

- Powiedz mi tylko, co to jest.

- Dwieście kartonów winstonów.

- Zgadzam się.

- Jesteś pewien? Tak po prostu?

Arnie parsknął śmiechem.

- Przynajmniej oderwę się na chwilę od szachów.

Will postawił chryslera w boksie sąsiadującym z jego biurem. Stanowisko było ozdobione wymalowanym starannie na posadzce napisem: MR DARNELL NIE PARKOWAĆ. Wysiadł ciężko dysząc i zatrzasnął drzwi. Rozedma siedziała mu na piersi całym ciężarem, a dzisiaj miał wrażenie, jakby przyprowadziła jeszcze brata. Nie, nie położy się spać, bez względu na to, co chrzanił ten kretyn lekarz.

Jimmy Sykes apatycznie machał wielką szczotką do zamiatania podłogi. Jimmy miał dwadzieścia pięć lat, był bardzo duży i lekko opóźniony w rozwoju, przez co wyglądał o co najmniej osiem lat młodziej. Ostatnio zaczął się czesać do tyłu w stylu lat pięćdziesiątych, naśladując Cunninghama, którego darzył niemal boskim uwielbieniem. Jeśli nie liczyć rytmicznego szmeru szczotki przesuwanej po brudnym betonie, w garażu było zupełnie cicho. I pusto.

- Cholerny ruch dzisiaj, no nie, Jimmy? - wysapał Will.

Jimmy rozejrzył się dookoła.

- Wcale nie, panie Darnell. Nikogo tu nie było, odkąd pół godziny temu przyszedł pan Hatch i zabrał swojego fairlane.

- Tylko żartowałem - mruknął Will, po raz kolejny żalując, że nie ma tu Cunninghama.

Jimmy wszystko rozumiał dosłownie. Mimo to Darnell postanowił, że zaprosi go na filiżankę kawy z domieszką dobrego koniaku. Posiedzą trochę we trójkę: on, Jimmy i rozedma płuc. A raczej we czwórkę, jako że rozedma przyprowadziła przecież brata. - Co byś powiedział na...

Umilkł nagle, gdyż spostrzegł, że stanowisko numer dwadzieścia jest puste. Christine zniknęła.

- Był tu Arnie? - zapytał.

- Arnie? - powtórzył Jimmy, mrugając głupawo powiekami.

- Tak, Arnie, Arnie Cunningham. A co, znasz jeszcze jakiegoś? Nie ma jego wozu.

Jimmy spojrział na pusty boks i zmarszczył brwi.

- Och. Rzeczywiście.

Will uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że wypieprzyli go z tego cholernego turnieju.

- Naprawdę? - zmartwił się Jimmy. - Ojej, to niedobrze!

Will z najwyższym trudem powstrzymał się, by nie potrząsnąć Jimmym i dać mu tęgiego kopa. Nie będzie się denerwował; po tym i zawsze oddychało mu się jeszcze gorzej niż zwykle i musiał ładować w płuca prawie całą śmierdzącą zawartość aspiratora.

- A co powiedział, Jimmy? Co powiedział, kiedy go zobaczyłeś?

Jednak w tej samej chwili Will nabrał granicznego z pewnością przekonania, że Jimmy nie widział Arniego.

Jimmy wreszcie zrozumiał, o co chodzi jego chlebodawcy.

- Och, ja go wcale nie widziałem, panie Darnell. Zobaczyłem tylko, jak Christine wyjeżdża przez drzwi. Fajowy wóz, no nie? Pięknie go wyszykował, zupełnie jakby znalazł jakieś czary, albo coś w tym rodzaju.

- Tak - mruknął Will. - Zupełnie jakby znalazł jakieś czary... - To słowo już wcześniej przychodziło mu do głowy, ilekroć myślał o Christine. Nagle zrezygnował z zaproszenia Jimmy'ego na kawę z koniakiem. - Możesz iść do domu, Jimmy - powiedział, nadal wpatrując się w stanowisko numer dwadzieścia.

- Jejku, panie Darnell, przecież powiedział pan, że mogę dzisiaj wieczorem porobić przez sześć godzin, a te sześć godzin minie dopiero o dziesiątej, więc...

- Dobra, zapłacę ci za sześć godzin.

Zasnute mgłą oczy Jimmy'ego pojaśniały, kiedy dowiedział się o tej niesłychanej, całkowicie nieoczekiwanej laskawości pracodawcy.

- Naprawdę?

- Tak, tak. Tylko zmykaj już stąd, dobra?

- Jasne - odparł Jimmy, myśląc sobie, że po raz pierwszy w ciągu pięciu lub sześciu lat, przez które pracował dla Darnella (nie był pewien, ile ich właściwie było; na pewno wiedziała to matka, która zajmowała się również jego sprawami podatkowymi), stary gbur zachował się przed świętami jak człowiek. Zupełnie jak w tym filmie o trzech duszkach. - To świetnie, koleś! - zawołał Jimmy, postanawiając również wprowadzić się w przedświąteczny nastrój.

Will zamrugał raptownie i bez słowa potoczył się do biura, gdzie włączył ekspres do kawy i usiadł za biurkiem, przyglądając się ponuro, jak Jimmy odstawia szczotkę, wyłącza większość wiszących pod sufitem jarzeniówek i zakłada gruby płaszcz.

Potem Will Darnell odchylił się do tyłu w fotelu i pogrążył w myślach.

Bądź co bądź to, że przez te wszystkie lata udało mu się utrzymać przy życiu, zawdzięczał właśnie swojemu umysłowi. Przy życiu, a także zawsze pół kroku przed innymi. Nigdy nie był przystojny - przez całe dorosłe życie nosił na sobie zwały tłuszczu i ciągle miał poważne kłopoty ze zdrowiem. W dzieciństwie, któregoś roku po wiosennej szkarlatynie, przypętało się polio, na szczęście o łagodnym przebiegu, ale i tak wyszedł z tego z lewą ręką sprawną nie więcej niż w siedemdziesięciu procentach. Jako młody mężczyzna cierpiał ustawicznie na czyraki, kiedy zaś osiągnął wiek czterdziestu trzech lat, lekarz odkrył pod jego pachą duży gąbczasty guz. Nowotwór okazał się niezłośliwy, ale i tak po operacji musiał przeleżeć w łóżku całe lato, w wyniku czego nabawił się odleżyn. Rok później o mało nie umarł na obustronne zapalenie płuc. Teraz przyszła kolej na początki cukrzycy i rozedmę. Jednak jego umysł pozostawał zawsze świeży i sprawny, pozwalając mu trzymać się niezmiennie pół kroku z przodu.

Tak więc teraz odchylił się do tyłu i pogrążył w rozmyślaniach na temat Arniego. Przypuszczał, że jednym z powodów, dla których zaczął traktować przychylnie tego chłopaka po tym, jak postawił się Reppertonowi, było pewne podobieństwo Cunninghama do młodego Willa Darnella sprzed wielu, wielu lat. Ma się rozumieć, Cunningham nie był chorowity, ale za to miał pryszczki, był nie lubiany i samotny. Przez to wszystko przeszedł także młody Will Darnell.

Poza tym Cunningham także miał głowę na karku.

Głowę na karku i ten samochód. Ten niesamowity samochód.

- Dobranoc panu, panie Darnell! - zawołał Jimmy. Przez chwilę stał niezdecydowanie przy drzwiach, po czym dodał: - Wesolych Świąt.

Darnell pomachał mu ręką i Jimmy wyszedł. Will dźwignął się z fotela, wyjął z szafki butelkę courvoisier, postawił ją przy ekspresie do kawy, a następnie ponownie usiadł w fotelu, jednocześnie układając w myślach przybliżoną chronologię wydarzeń.

*Sierpień:* Cunningham sprowadza wrak plymoutha model 58 i stawia go w boksie numer dwadzieścia. Willowi wydaje się, że zna ten samochód, i nic dziwnego; jest to plymouth Rolliego

LeBay. Arnie nic o tym nie wie - zresztą, nie ma najmniejszej potrzeby, żeby wiedział - ale zdarzało się, że Rollie LeBay także jeździł dla Willa do Albany, Burlington albo Portsmouth... tylko że w tych zamierzchłych czasach Darnell miał jeszcze cadillaca model 54. Jeździło się wtedy innymi samochodami, lecz skrytki w bagażnikach wypełnione fajerwerkami, papierosami, alkoholem i marihuaną były dokładnie takie same. Will wówczas jeszcze nawet nie słyszał o kokainie. Podejrzewał, że używali jej wtedy tylko jazzowi muzycy z Nowego Orleanu.

*Późny sierpień:* Repperton i Cunningham biorą się za lby, i Darnell wywał Reppertona na zbity pysk. Znudziła go jego pyszałkowatość i nadmiernie zawadiacki sposób bycia. Źle to służyło interesom, i choć Buddy jeździł do Nowego Jorku i Nowej Anglii na każde skinienie Willa, stał się nieostrożny, nieostrożność zaś zawsze niesie ze sobą potencjalne zagrożenie. Miał skłonność do przekraczania dozwolonej szybkości, za co otrzymywał coraz więcej mandatów. Wystarczyło, żeby trafił na jakiegoś bardziej wścibskiego gliniarza, a wszyscy powędrowaliby do pudła. Darnell nie bał się, że on poszedłby do więzienia - w Libertyville było to raczej niemożliwe - ale pozostałoby niedobre wrażenie. Kiedyś nie dbał o to, jak sprawy wyglądają na zewnątrz, teraz jednak był już znacznie starszy.

Wstał ponownie, nalał sobie kawy, dodał pełną nakrętkę brandy, a po chwili zastanowienia jeszcze jedną. Klapnąwszy ciężko w fotelu wydobyl z kieszeni cygaro, przyjrzał mu się, a następnie zapalił. Pieprzę cię, rozedmo. Poradz sobie z tym.

Otoczony oparami aromatycznego dymu, mając w zasięgu ręki filiżankę z dobrą, gorącą kawą wzmocnioną dwoma porcjami koniaku, zapatrzył się w pogrążone w półmroku wnętrze garażu i znowu pozwolił wędrować myślom.

*Wrzesień:* Arnie prosi go o pożyczanie tablic rejestracyjnych i nalepki kontroli technicznej, żeby pojechać z dziewczyną na mecz. Darnell zgadza się - do diabła, przecież jeszcze nie tak dawno sprzedawał takie nalepki po siedem dolarów sztuka nawet nie widząc na oczy samochodu, na którym miały zostać przyklejone. Poza tym wóz Cunninghama wygląda całkiem nieźle. Na pewno jeszcze nie jest wykończony i być może odrobinę za głośny, ale ogólnie rzecz biorąc wygląda naprawdę nieźle. Chłopak odwalil kawał dobrej roboty.

Jest to dosyć dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że właściwie nikt nigdy nie widział go przy pracy!

Ma się rozumieć, nie licząc różnych drobnostek, jak wymiana żarówek w reflektorach czy zmiana opon. Dzieciak z pewnością sporo wie o samochodach; pewnego dnia Will siedział w fotelu i obserwował, jak Arnie wymienia tapicerkę na tylnym siedzeniu. Ale na pewno nikt nie widział, żeby pracował przy układzie wydechowym, który właściwie nie istniał późnym latem, kiedy przyprowadził grata do garażu. To samo dotyczy blacharki - wtedy wyglądała jak w

ostatnim stadium zaawansowanego raka, teraz lśni i błyszczy jak nowa.

Darnell wiedział, co na ten temat myśli Jimmy Sykes, gdyż kiedyś zapytał go o to. Otóż zdaniem Jimmy'ego Arnie wszystkie poważniejsze prace wykonywał w nocy, kiedy pozostali użytkownicy garażu szli do domu.

- To cholernie dużo jak na nocną robotę - powiedział na głos Darnell i nagle poczuł lodowaty dreszcz, któremu nie zdołała zapobiec nawet gorąca kawa z koniakiem. Wręcz nieprawdopodobnie dużo. Za dnia bowiem chłopak zajmował się głównie słuchaniem WDIL i bezcelowym pętaniem się po garażu.

- Myślę, że on robi to wszystko w nocy - oznajmił Jimmy z niewinną wiarą dziecka tłumaczącego dorosłym, że święty Mikołaj wchodzi do domu przez komin albo że ćwierćdolarówkę, którą znalazło pod poduszką, wsunęła tam dobra wróżka. Will nie wierzył ani w świętego Mikołaja, ani w dobre wróżki, ani w to, że Arnie remontował Christine nocami.

Po jego umyśle kołatały się jeszcze dwa inne fakty, niczym bilardowe kule szukające otworów, w które mogłyby wpaść i wreszcie znieruchomieć.

Po pierwsze wiedział o tym, że Cunningham często jeździł swoim wozem, jeszcze zanim mógł choćby marzyć o tym, żeby zgłosić go na badanie techniczne. Odbywało się to na składowisku złomowanych samochodów, między stertami żelastwa, z prędkością pięciu mil na godzinę, wokół dźwigu z elektromagnetycznym uchwytem i wielkim pudłem zgniatarki, przez wiele, wiele godzin po tym, jak wszyscy poszli już do domów. Darnell zapytał go o to tylko raz i usłyszał w odpowiedzi, że Arnie chciał sprawdzić, czy ma dobrze ustawione przednie koła. Chłopak zupełnie nie potrafił kłamać. Nie można sprawdzić ustawienia kół przy prędkości pięciu mil na godzinę.

To właśnie robił Arnie, kiedy garaż pustoszał. Tak wyglądała jego nocna praca. Po prostu jeździł wąskimi alejkami między stosami porzewiałych wraków, wydobywanych na chwilę z ciemności, kiedy padał na nie blask reflektorów Christine.

Po drugie istniał problem licznika mil w plymoucie. Obracał się do tyłu. Cunningham pokazał mu to pewnego dnia z chytrym uśmiechem na twarzy. Obracał się do tyłu w zadziwiająco szybkim tempie. Według Arniego z każdą przejechaną milą licznik cofał się o ponad pięć. Will był tym szczerze zdumiony. Oczywiście słyszał o cofaniu liczników w używanych samochodach i nawet sam robił to niejedną raz (a także wpychał trociny do skrzyń biegów, aby przytłumić ich dychawiczne rżenie, oraz nalewał olej sojowy do ciekących chłodnic, by je chwilowo uszczelnić), ale nigdy jeszcze nie widział takiego, który obracałby się do tyłu sam z siebie. Gdyby mu ktoś o tym powiedział, uznałby to za całkowicie niemożliwe. Arnie tylko uśmiechnął się przebiegle i nazwał to błahostką.

Ładna mi blahostka - pomyślał Will.

Dwie myśli odbiły się leniwie od siebie i potoczyły w przeciwnych kierunkach.

*Fajony wóz, no nie? Pięknie go wyszykował, zupełnie jakby znał jakieś czary, czy coś w tym rodzaju.*

Will nie wierzył w świętego Mikołaja ani dobre wróżki, ale w każdej chwili był gotów przyznać, że na tym świecie istnieją różne dziwne rzeczy. Rozsądny człowiek powinien zdawać sobie z tego sprawę i starać się to wykorzystać. Mieszkający w Los Angeles przyjaciel Darnella twierdził, że tuż przed trzęsieniem ziemi w roku 1967 ujrzał ducha swojej żony i Will nie widział żadnego konkretnego powodu, dla którego miałby mu nie wierzyć (choć z pewnością uznałby to za kłamstwo, gdyby tamten mógł dzięki temu cokolwiek osiągnąć). Quent Youngerman, inny z jego przyjaciół, utrzymywał, jakoby widział od dawna nieżyjącego ojca stojącego przy jego łóżku w szpitalu; Quent, robotnik budowlany, wypadł przez okno z trzeciego piętra nowo wznoszonego domu przy Wood Street.

Will, podobnie jak większość ludzi, stykał się z takimi historiami przez całe życie. Podobnie też jak większość rozsądnych ludzi gromadził je w nie oznaczonym żadną literą segregatorze, nie przyjmując ich ani nie odrzucając, chyba że nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż opowiadającemu brakuje piątej klepki. Nie podpisywał tego segregatora, ponieważ na dobrą sprawę nikt nie wiedział, skąd ludzie przychodzą, kiedy się rodzą, i gdzie odchodzą, kiedy umierają, i żadnemu z wrzaskliwych proroków, kapłanów, teologów i papieży nie udało się go przekonać, że jest inaczej. Fakt, że niektórzy dostają świra na tym punkcie, bynajmniej nie dowodzi, że cokolwiek wiedzą. Nie podpisywał tego segregatora także i z tego powodu, że jeszcze nigdy nie przydarzyło mu się nic naprawdę niemożliwego do wyjaśnienia.

Może z wyjątkiem tego, co działo się teraz.

*Listopad:* Repperton wraz z kolegami demolują samochód Cunninghama na parkingu przy dworcu lotniczym. Kiedy wóz pomocy drogowej holuje Christine do garażu, plymouth wygląda tak, jakby nasrał na niego jakiś olbrzym z bajki. To już koniec, myśli Darnell, patrząc na ogrom zniszczeń. Ona już nigdy stąd nie wyjedzie.

Pod koniec miesiąca na John Kennedy Drive ginie Moochie Welch.

*Grudzień:* Zjawia się detektyw z Policji Stanowej i węszy po kątach. Junkins. Przychodzi jednego dnia, węszy i rozmawia z Cunninghame. Potem przychodzi nazajutrz, kiedy chłopaka nie ma, znowu węszy i chce wiedzieć, dlaczego Arnie kłamie i nie chce przyznać, jak bardzo Buddy Repperton wraz ze swoimi kumplami (do których należał także nieodżałowanej pamięci Peter „Moochie” Welch) zniszczyli mu samochód. „Czemu mnie pan o to pyta? - dziwi się Darnell, sapiąc astmatycznie i kaszląc dymem z cygara. - Z nim pan gadaj, ten pieprzony plymouth jest jego, nie mój. Ja tylko prowadzę ten interes dla ludzi, którzy muszą ciężko



pracować i mieć swoje wozy ciągle na chodzie, żeby zarobić na kawalek chleba dla rodziny”.

Junkins słucha cierpliwie. Doskonale wie o tym, że Will Darnell zajmuje się także wieloma innymi rzeczami, ale Darnell wie, że on wie, więc wszystko jest w porządku.

Junkins zapala papierosa i mówi: „Pytam pana dlatego, że rozmawiałem już z chłopakiem, ale on nie chce nic powiedzieć. Przez chwilę wydawało mi się, że jednak powie. Odniosłem wrażenie, że czegoś się boi. Jednak zaraz potem zaciął się i nie puścił pary z gęby”.

Na to Darnell: „Jeśli uważa pan, że to on rozjechał tego Welcha, niech pan to powie”.

Junkins: „Wcale tak nie uważam. Jego rodzice twierdzą, że spędził noc w domu, i nie wydaje mi się, żeby kłamali, by go chronić. Ale jesteśmy niemal pewni, że Welch był jednym z tych, którzy zniszczyli mu samochód, ja zaś jestem przekonany, że Arnie kłamie twierdząc, iż zniszczenia wcale nie były poważne, ale nie wiem, dlaczego to robi, i to doprowadza mnie do szaleństwa”.

„To przykre” - odpowiada Darnell bez śladu współczucia w głosie.

„Jak duże były zniszczenia, panie Darnell?” - pyta Junkins. – „Może pan mi to powie?”

Z ust Willa pada pierwsze kłamstwo od początku rozmowy z Junkinsem: „Nie zwróciłem uwagi”.

Owszem, zwrócił uwagę i doskonale wie, dlaczego Arnie kłamie, usiłując zminimalizować rozmiary szkód. Ten gliniarz też by to wiedział, gdyby sprawa nie była tak oczywista, że cały czas chodzi koło niej nie mogąc jej dostrzec. Cunningham kłamie, ponieważ zniszczenia były potworne, znacznie większe, niż potrafi sobie wyobrazić ten gumiak z Policji Stanowej. Tamte sukinsyny nie zdemolowali plymoutha, oni go zabili. Cunningham kłamie, bo choć w ciągu tygodnia, jaki minął od chwili, kiedy wóz pomocy drogowej przyholował wrak Christine do garażu, nikt nie widział, żeby robił przy niej coś sensownego, to już wkrótce samochód wyglądał jak nowy.

Cunningham okłamał gliniarza, bo gdyby powiedział prawdę, nikt by mu nie uwierzył.

- Nikt by nie uwierzył - powtórzył na głos Darnell i wypił resztkę kawy. Spojrzał na telefon, wyciągnął rękę w jego kierunku, po czym cofnął ją. I tak będzie musiał zadzwonić, ale najpierw powinien zakończyć rozmyślenia i ułożyć sobie wszystko po kolei.

Był jedyną osobą (oczywiście poza Cunninghame), która była w stanie docenić niezwykłość tego, co się stało, to znaczy błyskawicznej, całkowitej regeneracji samochodu. Jimmy był na to za mało rozgarnięty, natomiast faceci grzebiący przy swoich gratach pojawiali się w garażu zbyt nieregularnie. Mimo to wymieniali między sobą uwagi na temat fantastycznej roboty, jaką wykonał Cunningham przy remontowaniu plymoutha. Wielu z tych, którzy w ciągu tamtego listopadowego tygodnia kręcili się przy swoich gablotach, używało słowa „niesamowite”,

niektórzy zaś wyglądali wręcz nieswojo. Johnny Pumberton, gość zajmujący się kupnem i sprzedażą używanych ciężarówek, w tym samym czasie pracował nad swoim złomem, usiłując doprowadzić go do stanu, w jakim mógłby znowu wyjechać na ulicę. Johnny znalazł się na samochodach lepiej niż ktokolwiek w Libertyville, a może nawet w całej Pensylwanii. Powiedział Willowi jasno i prosto, że w to nie wierzy. Stwierdził, że to muszą być jakieś czary, a potem roześmiał się bez odrobiny wesołości w głosie. Will siedział bez ruchu z wyrazem uprzejmego zainteresowania na twarzy, więc stary mechanik tylko potrząsnął głową i wyszedł z biura.

Siedząc w fotelu i spoglądając na pogrążony w niezwyklej ciszy garaż, Will doszedł do wniosku (nie po raz pierwszy zresztą), że większość ludzi uwierzyłaby dosłownie we wszystko, pod warunkiem jednak, że zobaczyliby to na własne oczy. W pewnym, najbardziej rzeczywistym sensie, nie istniało nic nadnaturalnego i nienormalnego; to, co się stało, po prostu stało się, i już.

Jimmy Sykes: „Jak czary, albo co”.

Junkins: „Kłamię, ale niech mnie szlag trafi, jeśli wiem dlaczego”.

Will wyciągnął szufladę, wgniatając ją sobie boleśnie w brzuch, i wyjął z niej notes na rok 1978. Przekartkowawszy go znalazł zapisek nagryzmołony własną ręką: „Cunningham, turniej szachowy, Filad., hotel »Sheraton«, 11-13 grudnia”.

Połączył się z informacją, zapytał o numer hotelu i zadzwonił do Filadelfii. Wcale się nie zdziwił czując, że jego serce zaczęło uderzać w przyspieszonym tempie, kiedy w słuchawce odezwał się głos recepcjonisty.

*Jak czary.*

- Dobry wieczór, tu hotel „Sheraton” w Filadelfii.

- Dobry wieczór - powiedział Will. - Zdaje się, że macie tam u siebie jakiś turniej szachowy. Chciałbym...

- Tak, proszę pana. Turniej Stanów Północnych - przerwał mu recepcjonista. Sprawiał wrażenie bystrego i wręcz nieznośnie młodego.

- Dzwonię z Libertyville w Pensylwanii - poinformował go Darnell. - Chciałbym rozmawiać z Arniem Cunninghamem. To jeden z uczestników. Jest w drużynie szkoły średniej z Libertyville.

- Chwileczkę, proszę pana. Sprawdzę, czy gdzieś nie wyszedł.

Rozległo się stuknięcie słuchawki odkładanej obok aparatu. Will odchylił się do tyłu na fotelu i siedział tak, jak mu się wydawało, bardzo długo, choć czerwona sekundowa wskazówka w wiszącym na ścianie zegarze zdążyła wykonać tylko jeden pełny obrót.

Na pewno go nie będzie, a jeżeli będzie, to zjem moje własne...

- Halo?

Głos był młody, ostrożny i należał bez wątpienia do Cunninghama. Darnell poczuł nagłą pustkę w żołądku, ale nie dał nic po sobie poznać. Był na to stanowczo za stary.

- Cześć, Cunningham. Tu Darnell.

- Will?

- Aha.

- Co się stało?

- Jak ci leci, chłopcze?

- Wczoraj wygrałem, dziś zremisowałem. Gówniana gra. W ogóle nie mogłem się skoncentrować. Co się stało?

Tak, to na pewno był Cunningham. Will, który prędzej wyszedłby na ulicę bez spodni, niż zadzwonił do kogoś nie mając w zanadru jakiejś przygotowanej na wszelki wypadek bajeczki, nie zawahał się ani chwili.

- Masz jakiś pisak, chłopcze?

- Jasne.

- Na North Broad Street jest duży sklep z częściami zamiennymi. Możesz zajrzeć tam i sprawdzić, ile liczą sobie za opony?

- Bieżnikowane?

- Nówki.

- Pewnie, że mogę. Jutro mam wolne od dwunastej do trzeciej.

- To dobrze. Zapytaj o Roya Mustungerre i powołaj się na mnie.

- Mógłbyś go przeliterować?

Will przeliterował.

- To wszystko?

- Tak. Aha, mam nadzieję, że dadzą ci solidnie w tyłek

Arnie roześmiał się.

- Na to wygląda.

Will powiedział do widzenia i odłożył słuchawkę.

Tak, to był z całą pewnością Cunningham. Arnie był teraz w Filadelfii, a Filadelfię dzieli od Libertyville prawie trzysta mil.

Komu mógł dać zapasowe kluczyki od samochodu?

Guilderowi!

Jasne. Tyle tylko, że Guilder leży w szpitalu.

Swojej dziewczynie.

Ale ona nie ma prawa jazdy. Arnie sam kiedyś o tym wspomniał.

Komuś innemu.

Nie istniał żaden „ktoś inny”. Jediną osobą oprócz tamtych dwojga, z którą Arnie utrzymywał bliższe kontakty, był Will; doskonale wiedział, że Arnie na pewno nie dałby mu zapasowych kluczyków do Christine.

*Jak czary.*

Cholera.

Will ponownie oparł się głęboko w fotelu i zajął się zapalaniem kolejnego cygara. Kiedy już to zrobił, wydmuchnął kłąb dymu i zastanowił się głęboko. Bez rezultatu. Cunningham był w Filadelfii, pojechał tam szkolnym autobusem, lecz mimo to jego samochód zniknął. Jimmy Sykes widział, jak plymouth wyjeżdża z garażu, ale nie zdążył zauważyć, kto siedzi za kierownicą. Co to wszystko miało znaczyć? Jakie wnioski należało wyciągnąć?

Stopniowo umysł Darnella zaczął przestawiać się na inne tory. Przypomnił sobie własne szkolne lata, a szczególnie okres, kiedy grał jedną z głównych ról w klasowym przedstawieniu. Wcielił się w postać księdza, który popełnia samobójstwo nie mogąc zwalczyć pożądania, jakie czuje do Sade Thompson, której duszę miał za zadanie uratować. Była to jedyna chwila tryumfu w jego szkolnej karierze pozbawionej jakichkolwiek sportowych i naukowych sukcesów, a także jeden z najszcześniejszych momentów całej jego młodości - ojciec alkoholik, matka narkomanka, brat wałkoń, który miał przeżyć swój własny moment chwały podczas wojny, przy loskocie niemieckich karabinów maszynowych.

Przypomnił sobie swoją jedyną dziewczynę, bladą blondynkę nazwiskiem Wanda Haskins, o jasnych policzkach pokrytych piegami które stawały się szczególnie wyraźne w sierpniowym słońcu. Niemal na pewno pobraliby się - Wanda była jedną z czterech dziewcząt, które Will zerznął w życiu (nie licząc kurew, ma się rozumieć). Bez wątplenia była jedyną, którą naprawdę kochał (oczywiście zakładając, że coś takiego jak miłość w ogóle istnieje; wątpił w to, lecz nie mógł poprzeć swoich wątpliwości żadnymi dowodami), ale jej ojciec służył w wojsku, co wiązało się z pewnymi konsekwencjami dla całej rodziny. Kiedy oboje mieli po piętnaście lat - czyli mniej więcej rok przed tą niezwykłą chwilą, kiedy młodzi zaczynają przejmować od starych ciężar odpowiedzialności za to, co się z nimi i wokół nich dzieje - Wanda przeprowadziła się wraz z rodziną do Wichita, co położyło kres całej sprawie.

Używała charakterystycznej szminki, która tego dawno minionego lata roku 1934 miała dla Willa smak świeżych malin (dla Willa wówczas jeszcze szczupłego, bystrookiego, ambitnego i młodego). Czując na wargach ten smak sięgał często w nocy do nabrzmiałego penisa... i tańczył z nią w snach ten słodki taniec na długo przedtem, zanim wreszcie uległa jego namowom. Tańczył

z nią w swoim wąskim dzieciennym łóżku, z którego wystawały jego zbyt długie nogi.

A teraz, wspominając ten taniec, Will przestał myśleć, a zaczął śnić, potem zaś przestał śnić i zaczął znowu tańczyć...

Mniej więcej trzy godziny później wyrwał go z płytkiej drzemki odgłos podnoszonych drzwi wjazdowych do garażu. Jednocześnie zapłonęła wisząca nad nimi dwustuwatowa żarówka.

Will wyprostował się raptownie w fotelu i rąbnął stopami w leżący pod biurkiem dywanik; nieprzyjemne wrażenie, jakby ktoś wbijał mu w podeszwy tysiące ostrych igieł, przywołało go błyskawicznie do przytomności.

Christine przesunęła się powoli przez pogrążony w ciszy garaż i zaparkowała na stanowisku numer dwadzieścia.

Will, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, że już nie śpi, przyglądał się jej z obojętnością, na jaką potrafią się zdobyć wyłącznie ludzie dopiero co wyrwani ze snu. Siedział wyprostowany za biurkiem, z tłustymi rękami opartymi na brudnym, poplamionym blacie, i gapił się na nią.

Silnik warknął raz, drugi, z nowej rury wydechowej wydobył się kłęb niebieskiego dymu.

Potem silnik zgasł.

Will nadal siedział bez ruchu.

Drzwi biura były zamknięte, ale z długim, przypominającym oborę wnętrzem garażu łączył go zawsze włączony interkom. Właśnie dzięki temu urządzeniu usłyszał w sierpniu początek starcia między Cunninghamem i Reppertonem. Teraz z głośnika dobiegało powolne cykanie stygnącego silnika. I nic więcej.

Nikt nie wysiadł z Christine, ponieważ nikogo w niej nie było.

Wkladał tego rodzaju wydarzenia do nie podpisanego segregatora być może dlatego, że do tej pory nie przydarzyło mu się jeszcze nic naprawdę niemożliwego do wyjaśnienia... może z wyjątkiem tego, co działo się teraz.

Widział, jak Christine jedzie do boks numer dwadzieścia, słyszał trzask opadających drzwi, odgradzających wnętrze garażu od mroźnej grudniowej nocy. Eksperci, którzy analizowaliby później ten przypadek, mogliby powiedzieć: Świadek sam przyznaje, że zapadł w drzemkę, a następnie zasnął... To, co jakoby widział, stanowi ponad wszelką wątpliwość jedynie przedłużenie snu. Jakiś zewnętrzny impuls spowodował przeniesienie obserwacji z marzenia sennego na rzeczywistość, co dało w rezultacie...

Tak, mogliby to powiedzieć, tak samo jak Will mógł śnić o tym, że tańczy z piętnastoletnią Wandą Haskins... ale w tym przypadku rzeczywistość stanowił

sześciodziesięciojednoletni sceptyk, który już dawno pozbył się wszelkich romantycznych złudzeń.

Przede wszystkim zaś widział, jak plymouth Cunninghama sunie przez garaż zupełnie pusty, jak kierownica obraca się sama, kiedy samochód wjeżdżał na swoje stanowisko. Widział, jak gasną reflektory, i słyszał kasznięcie wyłączanego silnika.

Darnell wstał z fotela, zawahał się czując dziwną miękkość w nogach, podszedł do drzwi, zawahał się ponownie i wreszcie otworzył je. Wyszedł na zewnątrz, skręcił w lewo i ruszył między dwoma szeregami zaparkowanych samochodów w kierunku boksu numer dwadzieścia. Podążał za nim odgłos jego kroków, by w pewnej chwili raptownie umilknąć.

Will stał bez ruchu obok dwutonowego, czerwono-białego samochodu o obfitych kształtach. Nadwozie błyszczało, nigdzie nie sposób było dostrzec najmniejszego śladu rdzy. Czyste i gładkie szyby nie miały nawet żadnych rys ani zadrapań, jakie często powstają w wyniku uderzenia małego kamyczka.

W garażu słychać było tylko powolne kapanie kropli wody ze śniegu topniejącego na zderzakach.

Will dotknął klapy silnika. Była ciepła.

Pociągnął za klamkę po stronie kierowcy i drzwi otworzyły się bez najmniejszego oporu. Z wnętrza samochodu buchnął ciepły zapach nowej skóry, plastiku i chromu... a także jeszcze jakiś, ukryty nieco głębiej, zdecydowanie mniej przyjemny. Wilgotny i ziemisty. Will wciągnął głęboko powietrze, ale nie udało mu się go zidentyfikować. Zmarszczył nos, gdyż przyszła mu na myśl stara rzepa gnijąca w piwnicy ojca.

Nachylił się i wsadził głowę do środka. W stacyjce nie było kluczyków. Licznik wskazywał 52 107,8.

Nagle pusta szczelina w stacyjce przekręciła się na pozycję ACC, a zaraz potem na START. Gorący silnik zapalił od razu i zaczął pracować na wolnych obrotach, z zadowolonym pomrukiem pożerając wysokooktanowe paliwo.

Serce zamarło Willowi w piersi. Łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami cofnął się i wrócił pośpiesznie do biura, gdzie w jednej z szuflad biurka miał schowany zapasowy inhalator. Jego oddech, cienki i słaby, przypominał świst zimowego wiatru przeciskającego się przez szparę pod drzwiami wjazdowymi. Twarz przybrała woskowy kolor, palce zaś sięgnęły odruchowo ku okolonej zwałami tłuszczu szyi.

Silnik Christine zgasł.

Znowu słychać było tylko cykanie stygnącego metalu.

Will wreszcie znalazł inhalator, wepchnął go sobie szybko w gardło, wdusił przycisk i odetchnął głęboko. Stopniowo znikало uczucie, jakby na pierś wjechała mu ogromna ciężarówka

wyladowana pniami świeżo ściętych drzew. Opadł ciężko na fotel, słuchając z wdzięcznością znajomego i całkowicie normalnego pisku ściskanych sprężyn. Otarł twarz dłonią.

Nic naprawdę niewytłumaczalnego... aż do tej pory.

Widział to.

Nikt nie prowadził tego samochodu. Przyjechał zupełnie pusty, śmierdząc czymś w rodzaju gnijącej rzepy.

Lecz nawet wtedy, pomimo strachu, kółeczka w głowie Willa wznowiły swoje obroty i Darnell zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mógłby wykorzystać z pożytkiem dla siebie to, czego udało mu się dowiedzieć.

### 38. ZRYWANIE WIĘZI

*A więc, miły panie, chcę żółtą limuzynę,  
Czterodrzwiowego deVille'a,  
Z gumami continentala i chromowanymi obręczami.  
Z kierownicą ze wspomaganiem  
I wspomaganymi hamulcami.  
Ma mieć mocny silnik, żebym ruszał z piskiem opon,  
Radio z krótkimi falami,  
Telewizor i telefon,  
Żebym mógł rozmawiać z moją dziewczyną,  
Kiedy ruszę nim w drogę.*

Chuck Berry

W środę po południu strażnik parku stanowego odnalazł wypalony wrak camaro Buddy'ego Reppertona. Strażnika zawiadomiła pewna starsza dama mieszkająca wraz z mężem w małym miasteczku Upper Squantic. Cierpiała na artretyzm, w związku z czym często nie mogła spać. Wydawało jej się, że w nocy widziała płomienie w pobliżu południowej bramy wjazdowej do parku. O której godzinie? Przypuszcza, że musiało wtedy być około kwadrans po dziesiątej, mniej więcej w połowie nocnego filmu nadawanego przez CBS.

W czwartek zdjęcie spalonego samochodu pojawiło się na pierwszej stronie ukazującego się w Libertyville „Keystone”. Opatrzono je wielkim nagłówkiem: TRZY OSOBY ZGINEŁY W WYPADKU NA GRANICY PARKU STANOWEGO SQUANTIC. Zacytowano informację pochodzącą „ze źródeł zbliżonych do Policji Stanowej”, iż „prawdopodobnie jedną z przyczyn tragedii mógł stanowić alkohol”. W tej zawołowanej formie przekazano opinii publicznej wiadomość, że we wraku znaleziono kilka roztrzaskanych butelek po mieszaninie soku i taniego wina, sprzedawanej pod nazwą „Texas Driver”.

Tragedia szczególnie mocno wstrząsnęła społecznością szkoły średniej w Libertyville. Młodzi zawsze mają najwięcej trudności z zaakceptowaniem faktu, że oni także są śmiertelni. Szczególnie w przedświątecznym, wakacyjnym okresie.

Na Arniego Cunninghama wiadomość o wypadku podziałała bardzo przygnębiająco. Był wręcz przerażony. Najpierw Moochie, teraz Buddy, Richie Trelawney i Bobby Stanton. Bobby



Stanton, smarkaty pierwszoklasista, o którym Arnie słyszał pierwszy raz w życiu - co taki gówniarz robił w towarzystwie Buddy'ego Reppertona i Richiego Trelawneya? Czyżby nie wiedział, że takie postępowanie przypominało zachowanie myśliwego wchodzącego do jaskini lwa z pistoletem na wodę w dłoni? Ani przez chwilę nie wierzył w plotkę, według której Buddy wraz ze swoimi koleśkami upili się już na meczu koszykówki, po czym wsiedli do samochodu, doprawili się jeszcze paroma butelkami wina i po prostu nie zmieścili się w ostrym zakręcie.

Cały czas miał uczucie, że jest w jakiś sposób zamieszany w tę sprawę.

Po ostatniej kłótni Leigh w ogóle przestała się do niego odzywać, Arnie zaś nie dzwonił do niej - częściowo z powodu dumy, częściowo ze wstydu, a częściowo dlatego, że liczył na to, iż ona zrobi to pierwsza, i wszystko będzie znowu tak jak... przedtem.

Jak przed czym? - zapytał się w myślach. No, na przykład przed tym, jak o mało nie udławiła się na śmierć w twoim samochodzie. Przed tym, jak chciałeś pobić faceta, który ocalił jej życie.

Ale przecież zażądała od niego, żeby sprzedał Christine, a to było całkowicie niemożliwe... prawda? Nie mógł tego zrobić po tym, jak wpakował w nią tyle czasu, wysiłku, krwi i - tak, to prawda! - nawet łez.

Nie chciał o tym myśleć. Kiedy wreszcie zabrzmiał ostatni dzwonek w tym, zdawałoby się, nie mającym końca dniu, niemal pobiegł na parking przeznaczony dla uczniów i czym prędzej wskoczył do Christine.

Siedząc za kierownicą odetchnął głęboko, obserwując, jak pierwsze tego popołudnia płatki śniegu tańcząc i wirując opadają na lśniącą maskę. Wyciągnął z kieszeni kluczyk, wepchnął go w stacyjkę i przekręcił. Silnik zamruczał uspokajająco; Arnie wyjechał z parkingu słysząc, jak ubity śnieg chrzęści i skrzypi pod oponami. Chyba już niedługo powinien założyć zimowe gumy, ale na razie wyglądało na to, że Christine nie będzie ich potrzebować. Trzymała się drogi najlepiej spośród wszystkich samochodów, jakie kiedykolwiek prowadził.

Sięgnął do radia i nastawił WDIL. Sheb Wooley śpiewał "The Purple People Eater". Na twarzy Arniego wreszcie pojawił się uśmiech.

Wystarczyło, żeby usiadł za kierownicą Christine, a wszystko od razu zaczynało wyglądać lepiej. Jasne, że to okropna sprawa z Buddym, Trelawneyem i tym małym zasrańcem z pierwszej klasy, i nic dziwnego, że po ciężkich przeżyciach późnego lata i jesieni w pierwszej chwili poczuł się odrobinę winny, ale przecież prawda wyglądała w ten sposób, że był wtedy w Filadelfii. Nie mógł z tym mieć absolutnie nic wspólnego.

Jego przygnębienie wzięło się stąd, że ostatnio w ogóle nie znajdował się w zbyt dobrym nastroju. Dennis leżał w szpitalu, Leigh zachowywała się jak idiotka - zupełnie jakby samochód

miał ręce i osobiście wepchnął jej do gardła ten kawałek hamburgera - a w dodatku właśnie dzisiaj zrezygnował z uczestnictwa w zajęciach kółka szachowego.

Chyba najgorszy z tego wszystkiego był sposób, w jaki pan Slawson, opiekun kółka, przyjął jego decyzję; nawet nie spróbował przekonać go, żeby zmienił zdanie. Arnie naopowiadał mu bzdur o tym, jak to niewiele czasu ma ostatnio dla siebie i że będzie musiał ograniczyć zakres pozalekcyjnych obowiązków, a Slawson po prostu skinął głową i powiedział: „W porządku, Arnie. Gdybyś kiedyś zmienił zdanie, cały czas urzędujemy w sali numer trzydzieści”. Wpatrywał się przy tym w niego wyblakłymi niebieskimi oczami, które za grubymi okularami wydawały się wielkie jak jaja na twardo. Arnie nie był pewien, ale odniósł wrażenie, iż spojrzenie nauczyciela było przesycone... obrzydzeniem?

Może i tak. Najbardziej jednak nie mógł sobie darować tego, że Slawson nawet nie spróbował przekonać go, żeby zmienił decyzję. A powinien, gdyż Arnie stanowił najmocniejszy punkt kółka szachowego szkoły średniej w Libertyville i opiekun doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Gdyby podjął taką próbę, być może Arnie zmieniłby zdanie. Szczerze mówiąc, ostatnio miał nawet trochę więcej czasu, odkąd Christine była... była...

*Jaka?*

...no, naprawiona. Gdyby pan Slawson powiedział coś w rodzaju: „Hej, Arnie, nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany, zastanówmy się nad tym, przecież wiesz, że bardzo cię potrzebujemy...”, gdyby pan Slawson powiedział coś takiego, to wtedy, kto wie, może rozważyłby jeszcze raz swoją decyzję. Ale nauczyciel tego nie zrobił. Tylko: „Gdybyś zmienił zdanie, to cały czas urzędujemy w sali numer trzydzieści”, i bla-bla, i gadu-gadu, pieprzony zasraniec, dokładnie taki sam, jak cała reszta. Przecież to nie wina Arniego, że ich klub odpadł w półfinale turnieju. Przecież on sam wygrał przedtem cztery partie i w finale wygrałby cztery następne, gdyby miał szansę tam wystąpić. Rozłożyli ich ci dwaj zasańcy, Barry Qualson i Mike Hicks; obaj grali w szachy w taki sposób, jakby uważali, że Ruy Lopex to jakiś nowy gatunek napoju chłodzącego czy coś w tym guście.

Zdarł papier i celofan z gumy do żucia, wepchnął ją do ust, zwinął opakowanie w kulkę i bezbłędnie wrzucił ją do małej torby na śmieci przymocowanej poniżej popielniczki Christine.

- Prosto w tylek temu małemu włóczędze! - mruknął i uśmiechnął się. Był to ostry, bezlitosny uśmiech. Jego oczy przesuwaly się niespokojnie w lewo i prawo, spoglądając nieufnie na świat pełen szalonych kierowców, głupich przechodniów i ogólnego skretynienia.

Arnie krążył bez celu po Libertyville, pozwalając swoim myślom swobodnie wędrować w lekko paranoidalny i gorzko uspokajający sposób. Z głośnika sączył się nieprzerwany strumień starych przebojów, przy czym dzisiaj były to niemal wyłącznie nagrania instrumentalne: „Rebel

Rouser”, „Wild Weekend”, „Telstar”, dziki „Teen Beat” Sandy’ego Nelsona i „Rumble” Linca Wraya, najlepszy z nich wszystkich. Bolał go kręgosłup, ale mniej niż zwykle. Przez chwilę sypał bardzo gęsty śnieg, więc Arnie włączył reflektory, lecz zaraz potem rozjaśniło się, wiatr odegnał chmury i na ziemię spłynęły chłodne promienie dalekiego, zimowego, późnopołudniowego słońca.

Arnie nadal krążył.

Kiedy wreszcie otrząsnął się z zamyślenia - które dotyczyło Reppertona i doprowadziło go do konkluzji, że mimo wszystko Buddy skończył dokładnie tak, jak na to zasługiwał - stwierdził z przerażeniem, że jest już prawie za kwadrans szósta i zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Zbliżał się właśnie do pizzerii Gina. Zatrzymał samochód przy krawężniku, wysiadł i chciał już przejść na drugą stronę jezdni, kiedy uświadomił sobie, że zostawił kluczyki w stacyjce.

Cofnął się, wsadził głowę do wnętrza samochodu... i nagle w jego nozdrza z całą siłą uderzył zapach, o którym mówiła mu Leigh, a w którego istnienie nie chciał uwierzyć.

Był intensywny i wyraźny, jakby wydobył się z jakichś zakamarków w chwili, kiedy Arnie wysiadł z samochodu - zgniły, wilgotny zapach, od którego łzawią oczy i zaciska się gardło. Gwałtownym ruchem wyszarpnął kluczyki ze stacyjki, wyprostował się i spojrzał z przerażeniem na Christine.

„Arnie, wyraźnie czułam zapach... Wstrętny, zgniły zapach... Przecież wiesz, o czym mówię.”

„Nie mam najmniejszego pojęcia. Zdawało ci się.”

Skoro jej się tylko zdawało, to jemu także.

Nagle Arnie odwrócił się i popędził do pizzerii Gina tak szybko, jakby sam diabeł deptał mu po piętach.

Zamówił pizzę, na którą wcale nie miał ochoty, rozmienił kilka ćwierćdolarówek na dziesięciocentówki i wśliznął się do budki telefonicznej stojącej tuż obok szafy grającej. Szafa grała jakiś najnowszy przebój, który Arnie słyszał po raz pierwszy w życiu.

Najpierw zadzwonił do domu. Odebrał ojciec; Arnie nie pamiętał, żeby Michael kiedykolwiek mówił takim bezbarwnym, obojętnym głosem, i jego niepokój nasilił się jeszcze bardziej. Ojciec przypominał pana Slawsona. To czwartkowe popołudnie i wieczór zaczynały w coraz większym stopniu przypominać jakiś ponury koszmar. Za szklanymi ścianami budki pojawiały się i znikaly nieznajome twarze, niczym puszczane wolno balony, na których ktoś pośpiesznie naszkicował oczy, nosy i usta. Na przykład Bóg, bawiąc się swoim nowym mazakiem.

Zasrańcy - przemknęła mu zagubiona myśl. Banda zasrańców.

- Cześć, tato - powiedział niepewnie. - Wiesz, wygląda na to, że... trochę się tu zasiedzialem. Przepraszam.

- W porządku - odparł Michael. Jego głos brzmiał niczym brzęczenie komara i Arnie poczuł, jak trzymający go za gardło niepokój przeradza się w najzwyczajniejszy strach. - A gdzie właściwie jesteś? W garażu?

- Nie, w pizzerii Gina. Tato, dobrze się czujesz? Mówisz tak jakoś dziwnie...

- Czuję się znakomicie. Właśnie wyrzuciłem twój obiad do śmieci, twoja matka znowu płacze w sypialni, a ty siedzisz sobie w pizzerii. Czuję się rewelacyjnie. Mam nadzieję, że przyjemnie spędzasz czas ze swoim samochodem?

Arnie otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Tato - wykrztusił wreszcie - to nie fair.

- Szczerze mówiąc, nie interesują mnie już zbyt twoje poglądy na temat, co jest fair, a co nie jest - odparł Michael Cunningham. - Być może początkowo można było znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla twego zachowania, ale przez ostatni miesiąc zamieniłeś się w kogoś, kogo zupełnie nie jestem w stanie zrozumieć, a w dodatku przez cały czas dzieje się coś, czego nie rozumiem jeszcze bardziej. Twoja matka również tego nie rozumie, ale doskonale to wyczuwa, i w związku z tym bardzo cierpi. Wiem, że częściowo obarcza winą samą siebie, ale nie przypuszczam, żeby dzięki temu było jej lżej.

- Tato, ja po prostu straciłem poczucie czasu! - wykrzyknął Arnie. - Nie rób z tego takiego wielkiego problemu!

- Jeździłeś samochodem?

- Tak, ale...

- Zauważyłem, że wtedy zdarza ci się to najczęściej. Wrócisz na noc do domu?

- Tak, już niedługo. - Obliznął wargi. - Tylko wpadnę na chwilę do garażu. Will prosił mnie, żebym dowiedział się w Filadelfii o kilka spraw, więc...

- Wybacz mi, ale to także niespecjalnie mnie interesuje - przerwał mu Michael uprzejmym, mrożącym obojętnym tonem.

- Aha... - bąknął Arnie. Był wręcz przerażony, niewiele brakowało, żeby zaczął trząść się na całym ciele.

- Arnie?

- Słucham?... - szepnął.

- Arnie, co się właściwie dzieje?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Proszę cię. Ten detektyw przyszedł do mnie do biura. Rozmawiał też z Reganą. Bardzo

ją przestraszył. Nie wydaje mi się, żeby zrobił to celowo, ale...

- O co chodziło tym razem? - zapytał gwałtownie Arnie. - O tego skurwysyna, tak? Ja...

- Co „ty”?

- Nic. - Przełknął coś, co smakowało jak kłęb kurzu. - O co mu chodziło?

- O Reppertona - odparł ojciec. - O Reppertona i tamtych dwóch chłopców. A ty myślałeś, że o co? O geopolityczną sytuację w Brazylii?

- Buddy Repperton miał wypadek - powiedział Arnie. - Na litość boską, dlaczego ten typek musiał rozmawiać z tobą i z mamą o zwykłym wypadku?

- Nie wiem. - Michael umilkł na chwilę. - A ty?

- Skąd niby mam wiedzieć?! - wrzasnął Arnie. - Przecież byłem w Filadelfii, więc skąd miałbym coś wiedzieć? Grałem w szachy, a nie... nie w coś innego - dokończył niezręcznie.

- Pytam jeszcze raz - powiedział Michael Cunningham. - Czy coś się dzieje, Arnie?

Pomyślał o zapachu, o wstrętnym zapachu zgnilizny. O Leigh krztuszącej się, trzymającej rękami za gardło, siniejącej na twarzy. Próbował klepać ją po plecach, bo to właśnie robi się wtedy, kiedy ktoś zakrztusi się jedzeniem, nie zastosował zabiegu Heimlicha, bo nie został jeszcze wynaleziony, a poza tym przecież to właśnie tak miało się skończyć, tyle tylko, że nie w samochodzie, lecz na poboczu drogi... w jego ramionach...

Zamknął oczy, bo świat zaczął kołysać się i krążyć wokół niego w zawrotnym tempie.

- Arnie?

- Nic się nie dzieje - wycedził przez zaciśnięte zęby, nie otwierając oczu. - Tylko tyle, że masa ludzi nie może mi darować, że wreszcie mam coś tylko dla siebie. Coś, na co sam zapracowałem.

- W porządku - powiedział Michael obojętnym głosem, tak bardzo przypominającym głos pana Slawsona. - Gdybyś jednak chciał o tym pogadać, jestem do twojej dyspozycji. Zawsze byłem, choć na pewno nie dawałem ci tego do zrozumienia tak wyraźnie, jak powinienem. Nie zapomnij pocałować matki, kiedy wrócisz wieczorem do domu.

- Jasne. Posłuchaj, Mi...

*Klik.*

Stał w budce telefonicznej, wsłuchując się z głupią miną w ciszę w słuchawce. Ojciec rozłączył się. Nie było nawet sygnału, bo przecież dzwonił z głupiego, pieprzonego automatu.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął wszystkie drobne i rozłożył je na metalowej półeczce. Wziął w dwa palce dziesięciocentówkę, o mało jej nie wypuścił, lecz jakoś udało mu się wsunąć ją w otwór. Było mu niedobrze i czuł się tak, jakby miał gorączkę.

Wykręcił z pamięci numer Leigh.

Odebrała pani Cabot i natychmiast poznała go po głosie. Jej ciepły, uprzejmy, wręcz powabny głos natychmiast stwardniał i ostygł. Ten ton świadczył o tym, że niedawno dała Arniemu ostatnią szansę, lecz on całkowicie ją zaprzepącił.

- Leigh nie chce z tobą rozmawiać ani nie chce cię więcej widzieć - poinformowała go.

- Pani Cabot, błagam, gdyby zechciała pani chociaż...

- Myślę, że zrobiłeś już dosyć złego - przerwała mu. - Tamtego wieczoru przybiegła do domu z płaczem i wciąż jeszcze popłakuje po kątach. Przeżyła wtedy z tobą coś okropnego, a ja tylko modłę się, żeby to nie było to, o czym myślę.

Arnie poczuł, że wzbiera w nim histeryczny śmiech. Niewiele brakowało, żeby Leigh udławiła się hamburgerem, a tymczasem jej matka boi się, że on próbował zgwałcić jej córkę!

- Pani Cabot, ja muszę z nią porozmawiać.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

Usiłował coś wymyślić, coś, co pozwoliłoby mu pokonać opór tego nieugiętego smoka. Czuł się trochę jak domokrażca starający się dotrzeć do pani domu. Język stanął mu kolkiem w ustach. Byłby bardzo marnym domokrażcą. Za chwilę rozlegnie się kolejne głośnie *klik*, a potem niezmacona cisza.

Jednak właśnie wtedy usłyszał, że słuchawka przechodzi z rąk do rąk. Pani Cabot zaprotestowała głośno, a Leigh odpowiedziała jej coś, czego nie zrozumiał.

- To ty, Arnie? - zapytała.

- Tak, to ja. Chciałem ci tylko powiedzieć, że strasznie mi przykro z powodu...

- Wiem. Wiem, że ci przykro, i przyjmuję twoje przeprosiny. Ale mimo to nie spotkam... nie mogę się z tobą spotkać. Chyba że wszystko się zmieni.

- Poproś o coś łatwiejszego... - szepnął.

- Arnie, to wszystko, co mogę... Mamo, zostaw mnie w spokoju! - powiedziała znacznie ostrzejszym tonem, odsunawszy słuchawkę. Matka odparła coś niewyraźnie, nastąpiła chwila ciszy, a potem znowu rozległ się stłumiony głos Leigh. - To wszystko, co mogę ci teraz powiedzieć. Wiem, że to brzmi zupełnie niewiarygodnie, ale nadal uważam, że tamtego wieczoru twój samochód usiłował mnie zabić. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale im dłużej nad tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że tak było naprawdę. Wiem, że tak było! On cię opętał, prawda?

- Leigh, wybac mi, ale gadasz pieprzone bzdury! Przecież to tylko samochód! Mam ci przeliterować? S-A-M-O-C-H-Ó-D. Nie ma w nim nic...

- Tak... - szepnęła, balansując na krawędzi płaczu. - On cię opętał, ona cię opętała i wątpię, czy ktokolwiek potrafi cię uwolnić. Tylko ty sam mógłbyś to zrobić.

Nagle poczuł pulsujący ból w krzyżu, promieniujący we wszystkie strony, odzywający się dokuczliwym echem nawet w głowie.

- Czy nie tak właśnie wygląda prawda, Arnie?

Nie odpowiedział. Nie mógł odpowiedzieć.

- Pozbądź się go. Błagam cię. Przeczytałam w dzisiejszej gazecie o tym Reppertonie i...

- A co to ma z nami wspólnego? - zaskrzeczał Arnie. - Przecież to był wypadek!

- Nie wiem, co to było. Może po prostu nie chcę wiedzieć. Poza tym ja już nie martwię się o nas, tylko o ciebie, Arnie. Boję się o ciebie. Powinieneś... nie, musisz się go pozbyć.

- Powiedz mi, że mnie nie zostawisz, dobrze? - szepnął.

Teraz już chyba płakała. Prawie na pewno.

- Obiecaj mi to, Arnie. Musisz mi obiecać i musisz to zrobić. Potem... potem zobaczymy. Obiecaj mi, że pozbędziesz się tego samochodu. To wszystko, o co cię proszę.

Przymknął powieki i ujrzał Leigh wracającą ze szkoły do domu. Za najbliższą przecznicą, przy krawężniku, stała Christine z silnikiem pracującym na wolnych obrotach. Czekala na nią.

Otworzył raptownie oczy, jakby w ciemnym pokoju dostrzegł nagle dobrego przyjaciela.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział.

- W takim razie chyba nie mamy o czym rozmawiać, prawda?

- Wcale nie! Oczywiście, że...

- Nie, Arnie. Dobranoc. Zobaczymy się w szkole.

- Leigh, zaczekaj!

*Klik. I martwa cisza.*

Opanowała go szaleńcza wściekłość. Niewiele brakowało, żeby chwycił za sznur i zaczął wywijać słuchawką nad głową, roztrzaskując szyby w kabinie telefonicznej, która stała się dla niego komnatą tortur. Wszyscy go opuścili, jak szczury uciekające z tonącego statku.

„Zanim ktokolwiek ci pomoże, musisz chcieć sam sobie pomóc”.

*Głupie pieprzenie! Byli niczym szczury zmykające z tonącego statku. Wszyscy poczawszy od tego zasańca Slawsona z jego grubymi szklami i gałkami przypominającymi jajka na twardo skończywszy na ojcu pantoflarzu powinien dać brzytwę tej głupiej cipie z którą się ożenił i kazać jej żeby mu ucięła zaniósłby to potem jakiejś dziewczę siedzącej w oknie z nogą założoną na nogę pewnie miała wtedy okres i dlatego zakrzuszyła się tym cholernym hamburgerem ci wszyscy zasańcy rozbijający się eleganckimi samochodami i grający w golfa ci przeklećci oficerowie już ja bym z nimi zagrał wiedziałbym gdzie ci to wsadzić maleńka założyę się że masz dupcię jak stąd wyjde już nikt nie będzie mi mówił co mam robić wszystko będzie tak ja chcę ja chcę ja chcę ja chcę ja CHCE...*

Arnie oprzytomniał raptownie, przerażony i oszolomiony, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Co mu się stało? Przez chwilę miał wrażenie, że jest kimś innym, kto żywi

głęboką nienawiść do wszystkich ludzi...

Nie „kims”. To był LeBay.

Nie! To nieprawda!

Głos Leigh: „Czy nie o to właśnie chodzi, Arnie?”

Nagle w jego zmęczonym, zdezorientowanym umyśle pojawiło się coś w rodzaju wizji. Usłyszał głos kapłana: „Arnoldzie, czy bierzesz sobie za żonę tę oto...”

Ale to nie był kościół, lecz parking wypełniony używanymi samochodami, ozdobiony flagami i proporczykami powiewającymi na wietrze. Dookoła ustawiono plastikowe składane krzeselka. Arnie zorientował się, że to parking Willa Darnella; sam Will stał przy nim jako jego świadek. Koło Arniego nie było jednak żadnej dziewczyny, tylko Christine, lśniąca w promieniach wiosennego słońca.

Głos ojca: „Czy coś się dzieje, Arnie?”

Głos kapłana: „Kto oddaje tę kobietę temu mężczyźnie?”

Z jednego z plastikowych krzesełek, niczym statek widmo wylaniający się z odmetów Hadesu, podniósł się uśmiechnięty Roland D. LeBay. W tej samej chwili Arnie po raz pierwszy zobaczył, kto siedzi wokół niego: Buddy Repperton, Richie Trelawney, Moochie Welch. Ciało Richiego było czarne i zwęglone, większość włosów wypalona. Z ust Buddy’ego Reppertona ciekła krew, tworząc na koszuli wstrętną, lepką plamę. Jednak najgorzej ze wszystkich wyglądał Moochie Welch, rozpruty jak torba z brudnymi rzeczami. Uśmiechali się. Wszyscy się uśmiechali.

„Ja” - wyskrzecztał Roland D. LeBay. Z cuchnącej jamy jego ust wysunął się język pokryty grobową pleśnią. „Ja mu ją daję. Jest tylko jego. Ta dziwka nie ma sobie równych... i należy wyłącznie do niego”.

Arnie uświadomił sobie, że jęczy głośno, przyciskając do piersi słuchawkę. Z najwyższym wysiłkiem otrząsnął się z zamroczenia - z wizji, z czegokolwiek, czym to było - i wziął się w garść.

Tym razem, kiedy sięgnął po drobne rozłożone na półeczce, rozsypał połowę na podłodze. Wepchnął dziesięciocentówkę do otworu i zaczął pośpiesznie kartkować książkę telefoniczną, aż wreszcie znalazł numer szpitala. Dennis. Dennis tam będzie, jak zawsze. Dennis nigdy go nie opuści. Dennis mu pomoże.

- Poproszę z pokojem dwieście czterdzieści - powiedział, kiedy zgłosiła się telefonistka.

Rozległ się jeden sygnał, drugi... kolejny... Arnie chciał już odłożyć słuchawkę, kiedy odezwał się energiczny kobiecy głos.

- Tu drugie piętro, skrzydło C. Z kim chciał pan rozmawiać?



- Z Dennisem Guilderem.

- Pan Guilder jest w tej chwili na oddziale rehabilitacji - poinformował go głos. - Powinien wrócić około ósmej.

Arnie chciał już powiedzieć kobiecie, że to coś ważnego - bardzo ważnego - lecz nagle ogarnęło go pragnienie natychmiastowego wyrwania się z ciasnej kabiny. Klaustrofobia gniotła mu pierś niczym potężna dłoń jakiegoś olbrzyma. Czuł kwaśno-gorzki zapach własnego potu.

- Halo?

- Dziękuję, zadzwonię później - wykrztusił Arnie, po czym szybko odwiesił słuchawkę i dosłownie wypadł z kabiny, zostawiając drobne rozrzucone na półce i podłodze. Kilka osób odwróciło się i spojrzało na niego z umiarkowanym zainteresowaniem, by zaraz znowu zająć się jedzeniem.

- Pańska pizza - poinformował go obsługujący.

Arnie zerknął na zegar i stwierdził, że spędził w budce prawie dwadzieścia minut. Twarz miał mokrą od potu, a pod pachami wilgotne plamy. Drżały mu nogi - wydawało mu się, że zaraz ugną się pod nim i runie jak długi na podłogę.

- Nic panu nie jest? - zapytał obsługujący. - Strasznie pan zbladłeś.

- Wszystko w porządku - odparł Arnie. Teraz z kolei miał wrażenie, że za chwilę zwymiotuje. Złapał pizzę zapakowaną w białe pudeleczek z nadrukiem PIZZERIA GINA i uciekł w mroźną, rzeźką ciemność nocy. Wiatr przegonił resztki chmur i na niebie niczym drobne diamenty lśniły niezliczone gwiazdy. Przez jakiś czas stał na chodniku z głową uniesioną do góry, a potem spojrzał na Christine, czekającą wiernie po drugiej stronie ulicy.

Ona nigdy nie klóci się ani nie narzeka - pomyślał. Nigdy niczego nie żąda. Możesz wsiąść do niej, kiedy zechcesz, i odpocząć na miękkim fotelu. Ona nigdy niczego nie odmówi. Ona... ona...

*Ona go kocha.*

Tak. Czuł, że to prawda. Tak samo, jak czasem czuł, że LeBay nie sprzedałby jej nikomu innemu ani za dwieście pięćdziesiąt, ani za dwa tysiące dolarów. Stała przed jego domem czekając na właściwego nabywcę. Na kogoś, kto...

*Na kogoś, kto kochałby ją dla niej samej* - szepnął ten sam wewnętrzny głos.

Tak. To było właśnie to. Dokładnie to.

Stał nieruchomo zapomniawszy o trzymanej w dłoniach pizzy. Z poplamionego pudełka unosily się kłęby pary. Patrząc na Christine doznawał mnóstwa sprzecznych uczuć, wirujących w jego duszy jak potwornych rozmiarów cyklon, przestawiający i zmieniający wszystko, czego wcześniej po prostu nie zniszczył. Kochał ją i nienawidził, bał się i uwielbiał, potrzebował jej i

musiał od niej uciec, ona należała do niego, a on do niej...

*(ogłaszam was mężem i żoną. Bądźcie ze sobą zawsze, dopóki was śmierć nie rozłączy)*

Ale najgorsza ze wszystkiego była przerażająca, obezwładniająca świadomość, że... że...

*(w jaki sposób naciągnąłeś sobie wtedy grzbiet, Arnie? zaraz po tym, jak Repperton - świętej pamięci Clarence „Buddy” Repperton - wraz z kumplami zamienili ją w kupę złomu? w jaki sposób naciągnąłeś sobie grzbiet tak bardzo, że teraz musisz nosić ten przeklęty pas ortopedyczny? w jaki sposób naciągnąłeś sobie grzbiet?)*

W jego umyśle zaczęła kielkować odpowiedź na to pytanie i Arnie popędził do Christine, żeby do niej dotrzeć i wsiąść, zanim wszystko stanie się dla niego jasne i zanim oszaleje do końca.

Biegł do Christine, ścigając się ze swymi splątanymi uczuciami i okropnym, zbliżającym się wielkimi krokami zrozumieniem. Pędził do niej tak jak narkoman pędzi po igłę i strzykawkę, kiedy głód trzęsie nim już tak bardzo, że nie jest w stanie myśleć o niczym innym; pędził tak jak skazani na zagładę pędzą ku swemu przeznaczeniu; pędził jak oblubieniec śpieszący do oblubienicy.

Biegł do niej, ponieważ we wnętrzu Christine nic nie miało znaczenia: matka, ojciec, Leigh, Dennis, to co zrobił ze swoim grzbietem tego wieczoru, kiedy już wszyscy poszli do domów, po tym jak ściągnął swego prawie całkowicie zniszczonego plymoutha do Garażu Darnella. Kiedy został z nią sam, wrzucił luz i pchał ją tak długo, aż wreszcie zaczęła się toczyć na sflaczałych oponach, pchał ją, aż wyjechała za drzwi i usłyszał listopadowy wiatr świszczący między stosami wraków o wytłuczonych szybach i podziurawionych zbiornikach paliwa, pchał ją tak długo, aż pot ściekał z niego strumieniami, serce waliło jak koniowi po skończonej gonitwie, a kręgosłup błagał o litość; pchał ją, pracując ciałem jak w akcie jakiegoś diabelskiego spółkowania; pchał ją, a licznik mil obracał się powoli do tyłu; dwadzieścia metrów za drzwiami garażu poczuł ból w grzbiecie, lecz mimo to pchał dalej ze zdwojoną siłą, potem ból nasilił się, lecz on pchał dalej, pokonując opór dwutonowej masy i sflaczałych opon, ze zdrtwiałymi ramionami i wrzeszczącym przeraźliwie kręgosłupem. A potem...

Dopał Christine i wskoczył do środka, dysząc głośno i drżąc na całym ciele. Pizza upadła na podłogę. Podniósł ją i położył na siedzeniu, czując spokój spływający na niego jak kojący balsam. Dotknął kierownicy, przesunął po niej dłoń, rozkoszując się cudowną krzywizną. Zdjął rękawiczkę i sięgnął do kieszeni po kluczyki. Po kluczyki LeBaya.

Wciąż jeszcze pamiętał, co się wydarzyło tamtej nocy, ale teraz, kiedy znowu siedział za kierownicą Christine, wcale nie wydawało mu się to przerażające, a raczej wręcz cudowne. Bo to był cud.

Pamiętał, że nagle pchanie stało się znacznie łatwiejsze, kiedy opony w magiczny sposób

napelnily się powietrzem. Potluczone szkło zaczęło odradzać się z powietrza, dźwięcząc i brzęcząc jak niezliczone małe dzwoneczki. Wgniecenia w karoserii prostowały się jedno po drugim.

Pchał ją tak długo, aż wreszcie mogła jechać o własnych siłach, po czym krążył nią między stosami porzuconych wraków dopóty, dopóki nie zniknęły wszystkie zniszczenia i Christine znowu stała się piękna i lśniąca.

Co mogło być w tym przerażającego?

- Nic - odpowiedział czyjś głos.

Arnie obejrzał się. Na miejscu pasażera siedział Roland D. LeBay ubrany w czarny dwurzędowy garnitur, białą koszulę i niebieski krawat. Na klapie marynarki pobrzękiwały medale - Arnie domyślił się, że starzec został pochowany właśnie w tym stroju. Tyle tylko, że LeBay wyglądał teraz na znacznie młodszego i silniejszego. Na człowieka, z którym trzeba się liczyć.

- Zapal ją - powiedział. - Włącz ogrzewanie i pojedźmy gdzieś sobie.

- Dobra - odparł Arnie i przekręcił kluczyk. Christine ruszyła płynnie z miejsca, skrzypiąc oponami po ubitym śniegu. Tamtej nocy pchał ją tak długo, aż zostały naprawione niemal wszystkie zniszczenia. Nie, nie naprawione - zanegowane. To słowo dobrze oddawało sens tego, co się wtedy stało. A potem postawił ją w boksie numer dwadzieścia, by własnoręcznie dokończyć to, co jeszcze zostało do zrobienia.

- Posłuchajmy muzyki - powiedział głos obok niego.

Arnie włączył radio. Dion śpiewał „Donna the Prima Donna”.

- Będziesz jadł tę pizzę czy nie? - Głos jakby trochę się zmienił.

- Jasne. Chcesz trochę?

Kpiąco:

- Nigdy nie odmawiam, jak mnie częstują.

Arnie otworzył jedną ręką pudełko i oderwał kawalek.

- Proszę, poczę...

Wybałuszył oczy. Kawalek pizzy zaczął trząść mu się w dłoni, długie włókna żółtego sera rozchwiały się na boki jak nici zerwanej przez wiatr pajęczyny.

Obok niego nie siedział już LeBay.

To był on.

Mniej więcej pięćdziesięcioletni Arnie Cunningham, nie tak stary jak LeBay wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczyli go z Dennisem tego sierpniowego dnia, na pewno nie tak stary, ale zmierzający w tym samym kierunku, mili sąsiedzi i przyjaciele, dokładnie w tym samym kierunku. Jego starsze „ja” miało na sobie żółtą koszulkę i brudne, wymazane smarem dżinsy. Rogowa

oprawka okularów była pęknięta z boku i oklejona plastrem, włosy krótko obcięte i wyraźnie przerzedzone, nabiegłe krwią oczy rzucały mętne spojrzenie. Usta wykrzywił grymas pojawiający się zwykle po wielu latach gorzkiej samotności. Dlatego że to - ta rzecz, zjawą, czy jak to nazwać - było samotne. Wiedział o tym.

Zupełnie samotne, jeśli nie liczyć Christine. Podobieństwo było tak wielkie, że ta podstarzała wersja Arniego mogła uchodzić za syna Rolanda D. LeBaya.

- Jedziesz, czy będziesz tak siedział i gapił się na mnie? - zapytało zjawisko, po czym nagle zaczęło się starzeć w oszalamiającym tempie. Włosy posiwiały, koszulka pomarszczyła się i przetarła, kryjące się pod nią ciało zwiędło i wyschło. Twarz przeorały głębokie krechy zmarszczek, wsiąkając w skórę niczym strużki kwasu. Oczy pożółkły i zapadły się głęboko, i tylko nos wysunął się do przodu. Teraz była to twarz jakiegoś wiekowego sępa, ale nadal jego, o tak, bez wątplenia jego.

- Grasz w zielone? - zaskrzeczał ten siedemdziesięcio... nie, co najmniej osiemdziesięcioparoletni Arnie Cunningham, podczas gdy jego ciało w dalszym ciągu schło, żółkło i rozkładało się na czerwonym fotelu Christine. - Grasz w zielone? Grasz w zielone? Grasz w... - Głos stawał się coraz wyższy, aż wreszcie zamienił się w zidiociały pisk. Skóra pokryła się liszajami i wrzodami, oczy zaszyły mlecznobiałą kataraktą. Ciało gniło, wydzielając ten sam ohydny zapach, który wcześniej czuła Leigh, ale teraz był znacznie trudniejszy do zniesienia, bardziej intensywny, wstrętny, chwytający za gardło odór rozkładu, smród jego własnej śmierci. Arnie zaczął jęczeć, w radiu Little Richard śpiewał „Tutti Frutti”, włosy trupa zaczęły wypadać całymi kłakami, obojczyki przebiły naciągniętą, wyschniętą skórę i wystawały jak groteskowe białe ołówki. Wargi upiora niemal zniknęły, odsłaniając ocalale zęby, chwiejące się we wszystkie strony na podobieństwo starych nagrobków. To był on, to był jego trup... a mimo to żył. Tak jak Christine.

- Grasz w zielone? - zapiszczał. - Grasz w zielone?

Arnie zaczął krzyczeć.

### 39. JUNKINS RAZ JESZCZE

*Zderzaki waliby raz za razem w słupki,  
Faceci w woźje pobledli jak duchy.  
Zwolnij, rządekł jeden, dość mam tej podpuchy,  
Linie na jezdni migają jak kropki.*

Charlie Ryan

Mniej więcej godzinę później Arnie wjechał do Garażu Darnella. Jego współpasażer - o ile w ogóle był ktoś taki - już dawno zniknął, a z nim ohydny zapach. Bez wątpienia to także stanowiło jedynie złudzenie. Jeżeli zbyt długo przebywasz w towarzystwie zasrańców, pomyślał Arnie, w końcu wszystko zacznie ci śmierdzieć gównem. Od razu poczuł się raźniej.

Will siedział przy biurku w swoim przeszklonym biurze zajadając wielkiego sandwicza. Podniósł ociekającą sosem dłoń, ale nie wyszedł. Arnie zatrąbił krótko i zaparkował na swoim zwykłym miejscu.

To wszystko był jakiś sen. Po prostu głupi, zwariowany sen. Telefon do domu, telefon do Leigh i telefon do Dennisa - a właściwie rozmowa z pielęgniarką, która powiedziała mu, że Dennis jest na oddziale rehabilitacji - trzy razy wyciągał rękę i trzy razy jego wyciągnięta ręka została odtrącona. Że zdziwaczał? Każdy by zdziwaczał po tym wszystkim, przez co musiał przejść począwszy od minionego sierpnia. Poza tym punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, prawda? Przez całe dotychczasowe życie wydawał się kimś innym, teraz zaś wyzwał się ze skorupy, stając się zwyczajnym człowiekiem o normalnych, codziennych troskach. Nic dziwnego, że ludzie przyjmowali to z nieufnością, bo zawsze kiedy ktoś się zmienia

*(wszystko jedno, na lepsze czy gorsze)*

inni przyglądają mu się z niechętną rezerwą, gdyż rozwala im to dotychczasową perspektywę.

Leigh rozmawiała z nim w taki sposób, jakby uważała, że oszalał, a to przecież kompletna bzdura. Jasne, że ostatnio żył w dużym napięciu emocjonalnym, ale napięcie emocjonalne stanowi nieodłączny składnik życia. Jeżeli Zadar-tonosa Panna Ślicznotka Leigh Cabot uważa inaczej, znaczy to, że dobrowolnie nadstawia tyłka, żeby zostać zerżnięta przez największego mistrza wśród gwałcicieli - Życie.

Mimo to pragnął jej; nawet teraz myśląc o niej czuł, jak ogromne, umykające wszelkim określeniom pożądanie przeszywa go niczym lodowaty wiatr, sprawiając, że zacisnął kurczowo

dłonie na kierownicy Christine. Nawet nie mógł go nazwać, gdyż było zbyt wielkie, zbyt elementarne. Stanowiło siłę samo w sobie.

Mimo to czuł się bardzo dobrze. Miał wrażenie, jakby... przekroczył ostatni most czy coś w tym rodzaju.

Kiedy oprzytomniał, siedział w samochodzie pośrodku wąskiej drogi dojazdowej dość daleko za ostatnim wielkim parkingiem usytuowanym na obrzeżu Monroeville Mall - co oznaczało, że pokonał mniej więcej połowę trasy do Kalifornii. Wsiadłszy z wozu spostrzegł wielką dziurę wybitą w ciągnącej się dokoła parkingu śnieżnej ścianie, a także sporo śniegu rozsypanego na masce Christine. Widocznie stracił panowanie nad samochodem, wpadł w poślizg na parkingu (który, mimo nasilenia przedświątecznych zakupów, szczęśliwym zbiegiem okoliczności był prawie pusty) i przejechał na wylot przez pryzmę śniegu. Miał szczęście, że nie spowodował żadnego wypadku. Cholerne szczęście.

Siedział przez jakiś czas słuchając radia i spoglądając przez szybę na wiszący w górze księżyc. Bobby Helms zaśpiewał „Jingle Bell Rock”, „najbardziej odpowiednią piosenkę na tę porę roku”, jak stwierdził zapowiadający, i Arnie uśmiechnął się lekko, czując się odrobinę lepiej. Nie bardzo mógł sobie przypomnieć, co właściwie widział (albo co wydawało mu się, że widział), i wcale tego nie żałował. Cokolwiek to było, zdarzyło mu się po raz pierwszy i ostatni. Był tego zupełnie pewien. Zasańcy doprowadzili do tego, że zaczął mieć halucynacje. Pewnie byliby zachwyceni, gdyby się o tym dowiedzieli, ale on nie zamierzał dać im tej satysfakcji.

Teraz wszystko będzie lepiej. Postara się uzdrowić atmosferę w domu - właściwie mógłby zacząć już dzisiaj, oglądając telewizję z rodzicami jak za starych dobrych czasów. Odzyska Leigh. Skoro nie lubi jego samochodu, wszystko jedno dlaczego - trudno. Może kupi niedługo inny wóz i powie jej, że sprzedał Christine, a tymczasem plymouth będzie stał bezpiecznie tutaj, w Garażu Darnella. Skoro Leigh nie będzie o tym wiedziała, na pewno nie sprawi jej to przykrości. Pozostał jeszcze Will. Wyjazd w najbliższy weekend będzie ostatnią rzeczą, jaką zrobi dla Darnella. Czuł, że i tak posunął się już stanowczo za daleko. Niech sobie Will myśli, że stchórzył, jeżeli sprawi mu to przyjemność. Było wysoce wątpliwe, czy władze uniwersyteckie potraktowałyby przychylnie adnotację na jego podaniu o przyjęcie na studia, z której wynikałoby, że został przyłapany na przemyśle alkoholu i narkotyków.

Roześmiał się cicho. Naprawdę czuł się znacznie lepiej. Jak oczyszczony. W drodze do garażu zjadł całą pizzę, choć zdążyła już zupełnie wystygnąć. Był potwornie głodny. Zdziwiło go trochę, że jeden kawałek zniknął w tajemniczy sposób - szczerze mówiąc, napelnio go to nawet niepokojem - ale zaraz przestał o tym myśleć. Pewnie zjadł go w tym okresie, którego teraz nie mógł sobie przypomnieć, albo wyrzucił za okno. To by była dopiero heca! Nie smakuje mi ta

pizza, więc wio, za okno! Roześmiał się ponownie, tym razem znacznie pewniej niż poprzednio.

Wysiadł z samochodu, trzasnął drzwiami i ruszył w kierunku biura Willa, aby dowiedzieć się, co ten przygotował dla niego na wieczór. Nagle przypomniał sobie, że jutro jest ostatni dzień lekcji przed feriami świątecznymi, i radośnie przyspieszył kroku.

W tej samej chwili otworzyły się małe drzwi w ścianie garażu, sąsiadujące z dużymi, przez które wjeżdżały samochody, i wszedł przez nie jakiś mężczyzna. Junkins. Znowu.

Spostrzegłszy, że Arnie patrzy na niego, podniósł rękę.

- Jak się masz, Arnie.

Arnie zerknął na Willa; siedzący za szybą Darnell wzruszył ramionami i skoncentrował się na swoim sandwiczu.

- Dobry wieczór. Czym mogę panu służyć?

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odparł Junkins. Uśmiechnął się, ale jego badawczy wzrok ominął Arniego i spoczął na Christine, przesuwając się po niej i szukając śladów uszkodzeń. - A chciałbyś coś dla mnie zrobić?

- Jak jasna cholera - warknął Arnie. Stopniowo ogarniał go gniew.

Rudy Junkins wciąż uśmiechał się, nie zrażony.

- Przejeżdżałem tędy, więc pomyślałem sobie, że wpadnę na chwilę. Jak ci się wiedzie?

Wyciągnął rękę, lecz Arnie tylko na nią spojrział. Zupełnie nie przejęty Junkins opuścił ją, podszedł do Christine i zaczął się jej dokładnie przyglądać. Arnie obserwował go z mocno zaciśniętymi, zbiegającymi wargami. Za każdym razem, kiedy detektyw dotykał czerwono-białej karoserii, do głowy uderzała mu kolejna fala gniewu.

- Może wykupi pan sobie abonament albo coś w tym rodzaju - zaproponował. - Tak jak na mecze koszykówki.

Junkins odwrócił się i spojrział na niego pytająco.

- Zresztą nieważne - mruknął Arnie.

Junkins nadal mierzył go spojrzeniem.

- Nie uważasz, że to cholernie dziwna historia z Reppertonem i jego kumplami? - zapytał.

Pieprzę to - pomyślał Arnie. Nie mam zamiaru zawracać sobie głowy tym zasańcem.

- Byłem wtedy w Filadelfii - powiedział na głos. - Na turnieju szachowym.

- Wiem o tym.

- Boże! Pan naprawdę mnie sprawdza!

Junkins podszedł powoli do Arniego. Już się nie uśmiechał.

- Tak, to prawda. Sprawdzam cię. Trzej chłopcy, którzy najprawdopodobniej brali udział w zniszczeniu twojego samochodu, nie żyją, podobnie jak czwarty, który w ten wtorek znalazł się

z nimi zapewne zupełnie przypadkowo. To bardzo niezwykle zbieg okoliczności. Jeżeli o mnie chodzi, to stanowczo zbyt niezwykle. Pewnie, że cię sprawdzam. A czego się spodziewałeś?

Arnie był tak zaskoczony, że na chwilę zapomniał o swoim gniewie.

- Myślałem, że to wypadek... - bąknął niepewnie. - Że upili się, wypadli z szosy i...

- Brał w tym udział jeszcze jeden samochód.

- Skąd pan o tym wie?

- Przede wszystkim ze śladów na śniegu. Niestety wiatr zatarł je tak bardzo, że nie mogliśmy zrobić porządnej fotografii, ale na rozbitym szlabanie przy wjeździe do parku znaleźliśmy ślady czerwonego lakieru. Camaro Buddy'ego nie było czerwone, tylko niebieskie. - Zmierzył Arniego świdrującym spojrzeniem. - Ślady czerwonego lakieru znaleźliśmy też na ciele Moochiego Welcha. Były tam wbite. Wbite, Arnie, rozumiesz, co to znaczy? Czy wiesz, z jaką prędkością samochód musi uderzyć w człowieka, żeby odpryski lakieru wbily się w jego ciało?

- Powinien pan wyjść na ulicę i zacząć liczyć czerwone samochody - odparł Arnie lodowatym tonem. - Zanim doszedłby pan do Basin Drive, miałby ich pan już co najmniej dwadzieścia.

- Pewnie, że tak - zgodził się detektyw. - Tyle tylko, że posłaliśmy te odpryski do laboratorium FBI w Waszyngtonie, gdzie mają próbki wszystkich rodzajów i odcieni lakieru, jakich używa się w tym kraju. Dzisiaj przysłali nam odpowiedź. Domyślasz się, jak brzmiała? A może chcesz zgadnąć?

Arniemu serce waliło jak młotem. W skroniach czuł nieznośne pulsowanie.

- Skoro pan tu jest, domyślam się, że ten lakier to była „jesienna czerwień”. Kolor Christine.

- Brawo, wygrał pan pięć dolarów. Czy gra pan dalej?

Junkins zapalił papierosa i spojrzał na Arniego przez zasłonę z dymu. Przestał udawać dobry nastrój; jego wzrok był ciężki jak głaz. Arnie uniósł ręce w przesadnym geście rezygnacji.

- „Jesienna czerwień”, świetnie. Christine została polakierowana na zamówienie klienta, ale ten sam kolor stosowano w fordach od 1959 do 1963 roku, w thunderbirdach, w chevroletach od 1962 do 1964, a w połowie lat pięćdziesiątych można było kupić ramblera pomalowanego „jesienną czerwienią”. Remontuję mój wóz od pół roku i mam całą masę książek na ten temat. Trzeba z nich korzystać, kiedy robi się coś takiego, bo inaczej można wszystko spieprzyć już na samym początku. „Jesienna czerwień” była bardzo popularnym kolorem. Wiem o tym i pan też o tym wie. - Utkwił w Junkinsie nieruchome spojrzenie. - Mam rację?

Detektyw nic nie odpowiedział, tylko w dalszym ciągu wpatrywał się w Arniego nieruchomym, ciężkim, niepokojącym wzrokiem. Arnie doświadczał czegoś takiego po raz



pierwszy w życiu, lecz mimo to rozpoznał to spojrzenie. Chyba każdy by je rozpoznał. Świadczyło o głębokich, uzasadnionych podejrzaniach. Przeraziło go. Jeszcze kilka miesięcy, a może nawet kilka tygodni temu nie wywołałoby żadnej innej reakcji, teraz jednak również napelniło go wściekłością.

- Maca pan jak ślepiec, panie Junkins. Co konkretnie ma pan mi do zarzucenia? Czemu mnie pan prześladowuje?

Junkins roześmiał się, cofnął o krok i obszedł go szerokim półkolem. Garaż był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć ich dwóch i Willa, siedzącego za szybą w swoim biurze, oblizującego tłuste palce i zerkającego na nich podejrzliwie.

- Co mam do zarzucenia? - powtórzył. - A co byś powiedział na morderstwo pierwszego stopnia? Robi to na tobie jakieś wrażenie?

Arnie milczał.

- Nie obawiaj się - ciągnął Junkins, nie zatrzymując się. - Nie będzie żadnej sceny z twardym gliniarzem. Nie będę cię szantażował, straszyl ani czytał z kartki o przysługujących ci prawach. Na razie nasz bohater, Arnold Cunningham, może czuć się bezpieczny.

- Nie rozumiem, o czym pan...

- Właśnie, że wszystko rozumiesz! - ryknął Junkins, zatrzymując się przy ogromnej żółtej ciężarówce, kolejnym pupilu Johnny'ego Pumbertona. - Trzej szczeniacy, którzy rozwalili ci samochód, nie żyją. Na miejscu przestępstwa za każdym razem znajdowaliśmy odpryski czerwonego lakieru, co oznacza, że samochód, który brał w tym udział, jest przynajmniej częściowo pomalowany na „jesienną czerwień”. Przypadkiem tak się składa, że zdemolowany przez nich wóz był właśnie tego koloru. A ty stoisz przede mną, poprawiasz sobie okulary na nosie i śmiesz twierdzić, że nie wiesz, o czym mówię!

- Byłem w Filadelfii, kiedy to się stało - odparł cicho Arnie. - Nie dociera to do pana? W ogóle to do pana nie dociera?

- I to jest właśnie najgorsze z tego wszystkiego - powiedział Junkins, wyrzucając papierosa. - To mi najbardziej cuchnie.

- Niech pan stąd idzie albo aresztuje mnie czy coś w tym rodzaju. Mam jeszcze sporo do roboty.

- Na razie mogę z tobą tylko porozmawiać. Za pierwszym razem, kiedy zabito Welcha, podobno byłeś w łóżku.

- Wiem, że to kruche alibi - odparł Arnie. - Może mi pan wierzyć, że gdybym przypuszczał, że całe to gówno zwali mi się na głowę, poszedłbym do jakiegoś chorego kumpla, żeby przy nim posiedzieć i mieć świadka.

- Wcale nie, to nawet całkiem niezłe - zaprzeczył Junkins. - Twoi rodzice nie mają najmniejszego powodu, żeby ci nie wierzyć. Wynioskowałem to z rozmowy z nimi. Natomiast w każdym prawdziwym alibi można zwykle znaleźć więcej dziur niż w garniturze od Armii Zbawienia. Nabieram podejrzeń dopiero wtedy, kiedy zupełnie nie mam się do czego przyczepić.

- Święty Jezu na trampolinie! - zawołał Arnie. - Przecież ja byłem na cholernym turnieju szachowym! Należę do klubu od ponad czterech lat!

- Należałeś - poprawił go Junkins i Arnie ponownie umilkł. Detektyw skinął głową. - Tak, rozmawiałem z waszym opiekunem, Herbertem Slawsonem. Dowiedziałem się, że przez pierwsze trzy lata nie opuściłeś żadnego spotkania, nawet kiedy miałeś gripę. Byłeś najlepszym graczem. Jednak w tym roku wszystko się zmieniło.

- Musiałem pracować przy samochodzie... i miałem dziewczynę...

- Slawson powiedział mi, że nie brałeś udziału w trzech pierwszych turniejach i że bardzo się zdziwił, kiedy tym razem zobaczył twoje nazwisko na liście zgłoszeń. Przypuszczał, że szachy przestały cię w ogóle interesować.

- Już panu powiedziałem, że...

- Tak, że byłeś zajęty. Samochody i dziewczyny, tym głównie zajmują się chłopcy w twoim wieku. A jednak odzyskałeś zainteresowanie szachami dokładnie na tyle, żeby pojechać do Filadelfii, po czym ostatecznie zrezygnowałeś. Właśnie to wydaje mi się takie dziwne.

- Nie widzę w tym nic dziwnego - odparł Arnie. Szum krwi huczącej mu w uszach był tak głośny, że prawie nie usłyszał swoich słów.

- Gówno prawda. Wygląda na to, że wiedziałeś, co się święci, i postanowiłeś zafundować sobie niepodważalne alibi.

Szum w uszach upodobnił się do rytmicznego huku roztrzaskujących się fal; każdemu uderzeniu grzywacza towarzyszył impuls tępego bólu. Pękała mu głowa; dlaczego ten potworny człowiek o przenikliwych oczach nie chce zostawić go w spokoju? Nic z tego, co mówił Junkins, nie było prawdą. Nie konstruował sobie żadnego alibi. Kiedy przeczytał w gazecie, co się stało, był równie zaskoczony jak wszyscy, to zupełnie oczywiste. Nie działo się nic niezwykłego, jeśli nie liczyć tej kretyńskiej paranoi. Zamknął

*(w jaki sposób naciągnąłeś sobie grzbiet, Arnie? a tak przy okazji, czy grasz w zielone? grasz w)*

oczy i przez chwilę wydawało mu się, że świat zatoczył się szaleńczo, pod powiekami zaś ujrzał zieloną, uśmiechniętą, rozkładającą się twarz, która powiedziała: Zapal silnik. Włącz ogrzewanie i pojedźmy gdzieś sobie. A przy okazji załatwmy tych zasańców, którzy zniszczyli ci samochód. Dajmy nauczkę tym fiutom, co ty na to? Pieprznijmy ich tak mocno, żeby trupojady w kostnicy musiały wyciągać z nich lakier pincetami. Co ty na to? Włącz jakąś ekstramuzyczkę i pojedźmy

gdzieś sobie.

Cofnął się raptownie, natrafił na Christine - na jej twardy, chłodny, dający ulgę dotyk - i wszystko wróciło na swoje miejsce. Otworzył oczy.

- Jest jeszcze jedna sprawa - dodał Junkins. - Bardzo subiektywna. Nic takiego, co można by umieścić w raporcie. Jesteś inny, Arnie. Twardszy. Zupełnie jakbyś postarzał się o dwadzieścia lat.

Arnie roześmiał się i stwierdził z ulgą, że jego głos brzmi całkiem naturalnie.

- Panie Junkins, panu chyba brakuje piątej klepki.

Detektyw nie przyłączył się do jego śmiechu.

- Wiem o tym. To zwariowana sprawa. Najbardziej zwariowana ze wszystkich, jakie prowadziłem przez te dziesięć lat, odkąd pracuję w policji. Ostatnim razem wydawało mi się, że mogę do ciebie dotrzeć. Odniosłem wrażenie, że jesteś... Bo ja wiem? Zagubiony, nieszczęśliwy, zrozpaczony. Teraz nic takiego nie czuję. Zdaje mi się, że rozmawiam z zupełnie innym człowiekiem, w dodatku niezbyt sympatycznym.

- Nie mam już panu nic do powiedzenia - oświadczył nagle Arnie, odwrócił się i ruszył w kierunku biura.

- Chcę wiedzieć, co się stało! - zawołał za nim Junkins. - I dowiem się tego! Możesz mi wierzyć.

- Niech mi pan zrobi przysługę i nie pokazuje się tu więcej - poprosił Arnie. - Jest pan szalony.

Wszedł do biura, zamknął za sobą drzwi i stwierdził, że ręce wcale mu się nie trzęsą. Pomieszczenie wypełniał zapach cygar, oliwy i czosnku. Nie odzywając się do Willa, wyjął z przegródki swoją kartę i odbił ją: *br-trach*. Potem spojrzął przez szybę i zobaczył Junkinsa przypatrującego się wciąż Christine. Will nic nie powiedział. Arnie słyszał ciężki, świszczący oddech otyłego mężczyzny. Kilka minut później Junkins wyszedł z garażu.

- Gliniarz - odezwał się Darnell i beknął przeciągle. Odgłos przypominał grzechot pily łańcuchowej.

- Aha.

- W sprawie Reppertona?

- Tak. Uważa, że miałem z tym coś wspólnego.

- Chociaż byłeś w Filadelfii?

Arnie potrząsnął głową.

- Dla niego to nie ma żadnego znaczenia.

W takim razie to mądry gliniarz - pomyślał Will. Wie, że fakty zupełnie się ze sobą nie

zgadzają, a jego intuicja podszeptuje mu, że kryje się za tym coś jeszcze gorszego, więc zagłębił się w to bardziej niż jakikolwiek inny gliniarz, ale mógłby spędzić nawet milion lat, a i tak nie odgadłby całej prawdy. Przypomniawszy sobie pusty samochód wjeżdżający do boks numer dwadzieścia jak niesamowita nakręcana zabawka. Stacyjkę ustawiającą się bez kluczyka w położeniu START. Ostrzegawcze warknięcie silnika i ciszę, która nastąpiła zaraz potem.

Myśląc o tych sprawach Will wolał nie patrzeć Arniemu w twarz, mimo wieloletniego doświadczenia w oszukiwaniu ludzi i ukrywaniu własnych uczuć.

- Nie poślę cię do Albany, skoro gliny mają cię na oku.

- Nie obchodzi mnie, czy mnie tam pošlesz czy nie, ale akurat o to nie musisz się martwić.

Nachodzi mnie tylko ten jeden, a w dodatku to wariat. Interesuje się tylko tamtymi dwoma wypadkami.

Tym razem. ich oczy spotkały się; oczy Arniego były szare i nieobecne, Willa wyblakłe i lekko zażółcone. Były to oczy starego kocura, który widział już tysiące schwytych i wypatroszonych myszy.

- Interesuje się tobą. Lepiej pošlę Jimmy'ego.

- Lubisz, jak on prowadzi twój samochód, prawda?

Will wpatrywał się przez chwilę w Arniego, po czym westchnął.

- Dobra. Ale jeśli zobaczysz jakiegoś gliniarza, natychmiast wracaj. Jeżeli cię złapią, towar jest twój, a ja o niczym nie wiem. Rozumiesz?

- Tak - odparł Arnie. - Masz dla mnie coś do roboty?

- Na stanowisku czterdzieści dziewięć stoi buick z siedemdziesiątego siódmego.

Wymontuj rozrusznik i sprawdź alternator. Jeżeli jest w porządku, też go wymontuj.

Arnie skinął głową i wyszedł z biura. Zamyślane spojrzenie Willa przeniosło się z jego pleców na Christine. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie musiał wysłać chłopaka do Albany w ten weekend. Arnie też o tym wiedział, lecz mimo to parł z uporem naprzód. Powiedział, że pojedzie i zrobi to bez względu na wszystko.

A gdyby coś poszło nie tak, jak trzeba, nie puści pary z gęby, Will był tego całkowicie pewien. Kiedyś szybko załamałby się, ale teraz sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej.

Darnell słyszał wszystko przez interkom.

Junkins miał rację.

Chłopak był teraz znacznie twardszy.

Will ponownie zerknął na czerwono-białego plymoutha. Arnie pojedzie jego chryslerem do Nowego Jorku. W tym czasie on, Darnell, będzie miał Christine na oku. Będzie ją uważnie obserwował i zobaczy, co się stanie.

## 40. ARNIE W KŁOPOTACH

*Supersiedzenia z przodu i z tyłu,  
Wszystko chromowe, lśniące aż miło,  
Naciśniesz gaz i pędzisz jak strzala –  
Możesz popatrzeć,  
Ale łapy trzymaj z dala!*

The Beach Boys

Nazajutrz po południu Rudolph Junkins i Rick Mercer z Wydziału Śledczego Policji Stanowej Pensylwanii siedzieli przy kawie w małym obskurnym biurze o obłazących z farby ścianach. Na dworze padała przygnębiająca mieszanka śniegu z deszczem.

- Jestem prawie pewien, że to będzie ten weekend - powiedział Junkins. - Przez ostatnie osiem miesięcy kursował regularnie co cztery albo pięć tygodni.

- Dobrze, ale zrozum, że przyłapanie Darnella i wyjaśnianie twoich wątpliwości dotyczących tego dzieciaka to dwie zupełnie różne sprawy.

- Moim zdaniem to jest dokładnie ta sama sprawa - odparł Junkins. - Chłopak coś wie. Jeżeli nim porządnie potrząsnę, może uda mi się to z niego wydobyć.

- Myślisz, że miał współnika? Kogoś, kto pod jego nieobecność brał samochód i zabijał po kolei tamtych łobuzów?

Junkins pokręcił głową.

- Nic z tych rzeczy. Cunningham ma tylko jednego dobrego przyjaciela, który akurat teraz leży w szpitalu. Właściwie nie wiem, co mam myśleć, z wyjątkiem tego, że na pewno brał w tym udział jego samochód... a i on też jest jakoś w to zamieszany. - Junkins odstawił plastikowy kubek z kawą i wymierzył palec w mężczyznę siedzącego po drugiej stronie biurka. - Jak tylko zamkniemy budę Darnella, sześciuosobowy zespół techników ma przeszukać ten wóz od zderzaka do zderzaka, w środku i pod podwoziem, w bagażniku i w silniku. Niech go wezmą na podnośnik, niech szukają choćby najmniejszych wgłęć, zadrapań... i śladów krwi. Tego właśnie mi trzeba, Rick. Choćby jednej, jedynej kropli krwi.

- Chyba nie lubisz tego dzieciaka, prawda? - zapytał Rick.

Junkins roześmiał się z zażenowaniem.

- Wiesz, w pierwszej chwili nawet go polubiłem. Polubiłem go i współczułem mu.

Myślałem, że może boi się wsypać kogoś, kto ma na niego jakiegoś haka. Ale teraz zupełnie przestałem go lubić. - Zastanowił się. - Nie podoba mi się też jego samochód i sposób, w jaki go dotyka za każdym razem, kiedy go trochę przycisnę. Jest w tym coś cholernie dziwnego.

- Zgadza się, ale pod warunkiem, że naszym głównym celem będzie ten Darnell - powiedział Rick. - Nikogo w Harrisburgu nie interesuje twój chłopak.

- Będę o tym pamiętał - odparł Junkins. Ponownie wziął do ręki kubek z kawą i spojrzał ponuro na Ricka. - Dlatego że mogę go wykorzystać do własnych celów. Złapię faceta, który pozabijał tamtych chłopaków, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

- W ten weekend może jeszcze nic z tego nie wyjść - zauważył Rick.

Ale wyszło.

Dwaj ubrani w cywilne ubrania funkcjonariusze Policji Stanowej siedzieli wczesnym rankiem w sobotę, 16 grudnia, w czteroletnim datsunie i przyglądali się, jak czarny chrysler Darnella wyjeżdża z garażu na ulicę. Padła drobna mżawka; było zbyt ciepło, by zamieniła się w marznący deszcz, a potem śnieg. Zaczynał się jeden z tych dni, kiedy nie sposób jest stwierdzić, gdzie kończą się wiszące nisko nad ziemią obłoki, a zaczyna mgła. Zgodnie z przepisami chrysler miał włączone światła postojowe. Arnie Cunningham był ostrożnym kierowcą.

Jeden z policjantów podniósł do ust krótkofalówkę i powiedział do mikrofonu:

- Właśnie wyjechał wozem Darnella. Uważajcie na niego.

Pojechali za chryslerem aż do I-76. Kiedy upewnili się, że Arnie skręcił w kierunku Harrisburga, wjechali na estakadę prowadzącą w przeciwną stronę, do Ohio, i ponownie zameldowali się przez radio. Przy najbliższym zjeździe z autostrady mieli opuścić I-76 i wrócić na posterunek przed Garażem Darnella.

- Dobra - dobiegł z krótkofalówki głos Junkinsa. - Zaczynamy mieszać jajecznicę.

Dwadzieścia minut później, kiedy Arnie sunął autostradą nie przekraczając dopuszczalnej prędkości pięćdziesięciu mil na godzinę, trzech gliniarzy ze wszystkimi niezbędnymi dokumentami w ręku zapukali do drzwi domu Williama Upshaw, mieszkającego na zamożnym przedmieściu Sewickley. Upshaw otworzył im drzwi w szlafroku. Zza jego pleców dobiegały popiskiwanie rysunkowych postaci z porannego programu dla dzieci.

- Kto przyszedł, kochanie?! - zawołała żona z kuchni.

Upshaw zerknął na dokumenty, a przekonawszy się, że mają na sobie sądowe pieczęcie, o mało nie zemdlął. Jeden z nich nakazywał mu okazać wszystkie wpisy w księgach podatkowych dotyczące niejakiego Willa Darnella (jako osoby prywatnej), jak również Willa Darnella (jako

właściciela firmy). Oprócz pieczęci na nakazach widniały podpisy prokuratora stanowego i sędziego Sądu Najwyższego.

- Kto to jest, kochanie? - zapytała ponownie żona. Jedno z dzieci wystawiło głowę do holu i wybałuszyło oczy.

Upshaw usiłował coś powiedzieć, lecz z gardła wydobył mu się tylko rozpaczliwy skrzek. Ten dzień nadszedł. Wielokrotnie śnił mu się w nocnych koszmarach, aż wreszcie nadszedł. Nie uchronił go przed tym ani dom w Sewickley, ani kochanka, którą trzymał w bezpiecznej odległości, bo aż w Niemczech. Widział to w pozbawionych wyrazu twarzach gliniarzy wystających z jednakowych, kupowanych chyba w tym samym sklepie garniturów. Co gorsza, jeden z nich był z Policji Federalnej. Jeżeli wierzyć jego legitymacji, należał do czegoś, co nazywało się Federalnym Biurem do Walki z Narkotykami.

- Według posiadanych przez nas informacji trzyma pan wszystkie dokumenty w domu - powiedział policjant z Biura do Walki z Narkotykami. Wyglądał na... ile? Dwadzieścia sześć? Trzydzieści lat? Czy kiedykolwiek musiał się troszczyć o to, skąd zdobyć pieniądze na utrzymanie trojga dzieci i żony gustującej w odrobinę zbyt kosztownych strojach? Bill Upshaw mocno w to wątpił. Człowiek, który musi borykać się z podobnymi problemami, nie ma takiej gładkiej twarzy. Taką gładką twarz mają tylko ci, którzy mogą pozwolić sobie na luksus rozważania wyłącznie wielkich, szlachetnych problemów: dobra i zła, prawa i bezprawia, porządku i anarchii.

Otworzył usta, by odpowiedzieć policjantowi, ale i tym razem zdołał tylko wyskrzeczć coś niezrozumiałego.

- Czy to prawda? - zapytał cierpliwie gliniarz.

- Tak - wykrztusił wreszcie Bill Upshaw.

- I ma pan biuro przy Franstown Road 100 w Monroeville?

- Tak...

- Kochanie, z kim rozmawiasz? - zapytała Amber, wychodząc do holu. Na widok trzech mężczyzn stojących na progu domu zgarnęła pod szyją poly szlafroka. Postaci z filmów rysunkowych wrzeszczały i piszczały ogłuszająco.

To już koniec - pomyślał nagle Upshaw i nie wiedzieć czemu poczuł ogromną ulgę.

Dziecko, które wystawiło głowę do holu, by zobaczyć, kto przyszedł z tak wczesną wizytą, wybuchnęło płaczem i uciekło do dających poczucie bezpieczeństwa przyjaciół z telewizora.

Kiedy Rudy Junkins otrzymał wiadomość, że zatrzymano Upshawa i zajęto wszystkie dokumenty dotyczące Darnella, jakie znajdowały się zarówno w jego domu w Sewickley, jak i

biurze w Monroeville, poprowadził kilku funkcjonariuszy Policji Stanowej na coś, co w dawnych czasach bez wątpienia nazwano by „akcją”. Mimo przedświątecznego okresu po garażu kręciło się sporo ludzi (choć z pewnością nie tak wielu jak w letnie weekendy), i kiedy Junkins podniósł do ust zasilany z baterii przenośny megafon, z boksów wychyliło się co najmniej dwadzieścia głów. Wydarzenie było tak niezwykle, że miało aż do Nowego Roku stanowić główny temat rozmów właścicieli samochodów grzebiących w Garażu Darnella przy swoich gratach.

- Tu Policja Stanowa! - powiedział Junkins do mikrofonu. Jego słowa odbiły się zwielokrotnionym echem w ogromnej przestrzeni. Nagle uświadomił sobie, że nawet teraz jego spojrzenie kieruje się odruchowo ku czerwono-białemu plymouthowi stojącemu w boksie numer dwadzieścia. Junkins miał już do czynienia z najróżniejszymi narzędziami zbrodni, czasem na miejscu przestępstwa, częściej podczas rozprawy w sądzie, ale patrząc na ten samochód dostawał dreszczy.

Gitney, człowiek z Urzędu Skarbowego, spojrzał na niego nagłaco. *Nikt z was nie wie, o co tu naprawdę chodzi. Zupełnie nikt.* Mimo to ponownie nacisnął przycisk w uchwycie megafonu.

- To miejsce zostaje zajęte przez policję! Powtarzam: to miejsce zostaje zajęte przez policję. Możecie zabrać swoje pojazdy, jeżeli zdołają wyjechać stąd o własnych siłach, a jeżeli nie, proszę o natychmiastowe opuszczenie budynku. Powtarzam jeszcze raz: to miejsce zostaje zajęte przez policję!

Wyłączył megafon ze wzmocnionym, suchym pstryknięciem.

Spojrzał w kierunku biura i zobaczył Willa Darnella z nie zapalonym cygarem wetkniętym do ust, rozmawiającego z kimś przez telefon. Jimmy Sykes stał obok automatu z coca-colą. Na jego twarzy malował się wyraz zdumionego przerażenia; przypominał dziecko Billa Upshaw na chwilę przed tym, jak zalało się łzami.

- Czy zrozumiał pan wszystko, co powiedziałem o przysługujących mu prawach? - zapytał Rick Mercer. Za jego plecami garaż był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć czterech umundurowanych gliniarzy spisujących dane unieruchomionych samochodów pozostawionych przez właścicieli.

- Tak - odparł Will. Twarz miał całkowicie spokojną. O jego zdenerwowaniu świadczył jedynie głośniejszy niż zwykle oddech, gwałtowne falowanie piersi pod szeroko rozpiętą białą koszulą oraz sposób, w jaki bez przerwy obracał w dłoni gotowy do użycia aspirator.

- Chce pan coś powiedzieć?

- Dopiero wtedy, jak przyjedzie tu mój adwokat.

- Pański adwokat może dołączyć do nas w Harrisburgu - odezwał się Junkins.



Will obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i nic nie odpowiedział. Na zewnątrz mundurowi policjanci kończyli zakładać plomby na wszystkich drzwiach i oknach, z wyjątkiem małych wejściowych drzwi w pobliżu biura. Do chwili zdjęcia aresztu z garażu miała to być jedyna droga łączności między wnętrzem budynku a światem.

- To najbardziej zwariowana rzecz; o jakiej w życiu słyszałem - warknął wreszcie Darnell.

- Będzie jeszcze bardziej zwariowana - odparł Mercer, uśmiechając się szczerze. - Nie będzie cię tu przez bardzo długi czas, Will. Możliwe, że pewnego dnia zrobią cię kierownikiem więziennych warsztatów samochodowych.

- Znam cię - powiedział Will, wpatrując się w niego. - Nazywałeś się Mercer. Znałem dobrze twojego ojca. Był najbardziej pieprzonym gliną, jaki kiedykolwiek pojawił się w tym stanie.

Krew odplynęła z twarzy Ricka Mercera; uniósł gwałtownie rękę.

- Uspokój się, Rick - ostrzegł go Junkins.

- Żartujcie sobie, jeśli macie na to ochotę - ciągnął Will. - Wrócę tu najdalej za dwa tygodnie. A jeśli o tym nie wiecie, to znaczy, że jesteście jeszcze głupszy, niż na to wyglądacie.

Obrzucił ich kpiącym spojrzeniem swoich inteligentnych, przebiegłych... i zaszczytanych oczu, po czym podniósł do ust aspirator i odetchnął głęboko kilka razy.

- Zabierzcie stąd tę stertę gówna - powiedział Mercer. Wciąż był bardzo blady.

- Już wszystko w porządku? - zapytał Junkins pół godziny później, kiedy siedzieli we dwóch w nie oznakowanym policyjnym fordzie. Słońce postanowiło wyjrzeć zza chmur i zalewało oślepiającym blaskiem mokre jezdnie oraz pokryte topniejącym śniegiem trawniki. W Garażu Darnella panowała całkowita cisza. Wszystkie dokumenty Willa - a także czerwono-białe plymouth Cunninghama - zostały zamknięte w jego wnętrzu.

- Wściekłem się, kiedy powiedział to o moim ojcu - odparł ponuro Mercer. - Mój stary zastrzelił się, Rudy. Palnął sobie w głowę. A ja zawsze myślałem... to znaczy, czytałem... - Wzruszył ramionami. - Mnóstwo gliniarzy popelnia samobójstwo. Na przykład Purvis, ten, który złapał Dillingera.

Mercer zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko dymem.

- On nic o tym nie wiedział - odezwał się Junkins.

- Jak cholera - odparł Mercer. Opuścił szybę i wyrzucił dopiero co zaczętego papierosa, po czym wziął do ręki mikrofon. - Baza, tu wóz numer dwa.

- Dziesięć-cztery, wóz numer dwa.

- Co nowego z naszym gołębiem pocztowym?

- Jedzie autostradą międzystanową 84, zbliżając się do Port Jervis.

Port Jervis stanowił punkt graniczny między stanami Pensylwania i Nowy Jork.

- W Nowym Jorku są już gotowi?

- Tak jest.

- Powiedźcie im jeszcze raz, że mają go zwinąć dopiero wtedy, jak będzie na północny wschód od Middletown, żeby nie było wątpliwości, że to przemysł międzystanowy.

- Dziesięć-cztery.

Mercer odwiesił mikrofon i uśmiechnął się niewesoło.

- Jak już wjedzie do Nowego Jorku, złamie prawo federalne, ale my i tak zlizemy całą śmietankę. Czy to nie wspaniałe?

Junkins nie odpowiedział. W tym wszystkim nie było nic wspaniałego - poczynając od Darnella z jego aspiratorem, kończąc na ojcu Mercera strzelającym sobie w głowę ze służbowego pistoletu. Opanowało go bardzo dziwne, niedobre przeczucie, że to bynajmniej nie jest koniec niedobrych rzeczy, lecz dopiero ich początek. Miał wrażenie, jakby przeczytał do połowy książkę, która dalej okaże się tak okropna, że nie zdoła dobrać do jej końca. Tyle tylko, że musiał skończyć ją zaraz, natychmiast, czyż nie tak? Tak.

Wciąż nie dawało mu spokoju mrozące krew w żyłach odczucie, że kiedy po raz pierwszy rozmawiał z Cunninghamem, rozmawiał z tonącym człowiekiem, natomiast podczas drugiego spotkania stanął już twarzą w twarz z topielcem.

W pokrywie chmur nad zachodnią częścią stanu Nowy Jork zaczęły pojawiać się coraz większe pęknięcia i nastrój Arniego poprawiał się z minuty na minutę. Zawsze był zadowolony, kiedy mógł oddalić się od Libertyville, od... od wszystkiego. Jego dobrego humoru nie była w stanie zwarzyć nawet świadomość, że dokonuje przemytu. Tym razem przynajmniej nie były to narkotyki. Gdzieś w głębi jego umysłu - tak głęboko, że prawie nie zdawał sobie z tego sprawy - kolatała się leniwa myśl, co by się stało i w jaki sposób wpłynęłoby na jego życie, gdyby wyrzucił papierosy z bagażnika i nie oglądając się ruszył przed siebie, pozostawiając z tyłu całe to przygnębiające bagno.

Ale oczywiście nie zrobiłby nic takiego. Nie mógłby zostawić Christine po tym, jak włożył w nią tyle pracy i wysiłku.

Włączył radio i zaczął pogwizdywać, wtórując jakiemuś aktualnemu przebojowi. Grudniowe słońce przedarło się wreszcie całkowicie przez chmury. Arnie uśmiechnął się.

Wciąż jeszcze się uśmiechał, kiedy zrównał się z nim samochód Policji Stanowej i z umieszczonego na dachu radiowozu głośnika rozległy się skierowane do niego słowa:

- Kierowca chryslera, zatrzymać się! Kierowca chryslera, zatrzymać się!

Arnie odwrócił głowę. Uśmiech zniknął powoli z jego warg. Patrzył wprost w czarne policyjne okulary. Przerazenie, jakie nim zawładnęło, przewyższało intensywnością wszystkie uczucia, jakich do tej pory zaznał w życiu. Usta wyschły na wiór, umysł zaś opanowała wirująca, nieprzenikniona ciemność. Wyobraził sobie, jak wciska pedał gazu w podłogę i próbuje uciec, i kto wie, czyby tak nie postąpił, gdyby siedział za kierownicą Christine, ale to był samochód Darnella. Przypomniał sobie Willa mówiącego mu, że jeśli go złapią, to będzie musiał sam sobie radzić, oraz Junkinsa, wpatrującego się w niego przenikliwymi brązowymi oczami, i zrozumiał, że to na pewno robota detektywa.

Zapragnął, aby Rudolph Junkins nie żył.

- Kierowca chryslera, proszę się natychmiast zatrzymać! Powtarzam po raz ostatni: zatrzymać się!

Nie mogę im nic powiedzieć - przemknęła Arniemu rozkojarzona myśl, kiedy zjechał na pas awaryjny i nacisnął hamulec. Jądra skurczyły mu się, a żołądek wyczyniał nieprawdopodobne podskoki. We wstecznym lusterku dostrzegł swoje nieprzytomne ze strachu oczy, lecz ten strach nie dotyczył jego, tylko Christine. Bał się o nią, o to, co mogą jej zrobić.

W jego owładniętym paniką umyśle zamigotał kalejdoskop chaotycznych, nie związanych ze sobą obrazów. Podanie o przyjęcie na studia ze sporządzoną czerwonym długopisem adnotacją: ODRZUCONE - KARANY SĄDOWNIE. Stalowe, więzienne kraty. Sędzia wychylający się ze swego miejsca, z bładą, wykrzywioną odrazą twarzą. Christine na taśmociągu prowadzącym ku wielkiej zgniatarce stojącej na placu za garażem.

Jednak w chwili, kiedy zatrzymał chryslera i zaciągnął ręczny hamulec - jeden radiowóz zahamował tuż za nim, drugi zaś, który pojawił się nie wiadomo skąd, przed nim - przemknęła mu chłodna, uspokajająca myśl: Christine sama zatroszczy się o siebie.

Zaraz potem pojawiła się jeszcze jedna, gdy gliniarze wysiedli z samochodów i ruszyli w jego stronę. Również nie miał pojęcia, skąd się wzięła, ale zadźwięczała mu w uszach zgrzytliwym, starczym głosem Rolanda D. LeBaya: O ciebie też się zatroszczy, chłopcze. Musisz tylko nadal w nią wierzyć, a ona na pewno ci pomoże.

Arnie otworzył drzwi na sekundę przedtem, zanim zdążył to zrobić któryś z gliniarzy, i wysiadł z wozu.

- Arnold Richard Cunningham? - zapytał policjant.

- Zgadza się - odparł spokojnie. - Czy przekroczyłem dozwoloną szybkość?

- Nie, chłopcze - odparł policjant. - Ale i tak wpadłeś w niezłe kłopoty.

- Oto dokument upoważniający mnie do dokonania przeszukania tego oto samochodu

marki Chrysler Imperial model 1966 w imieniu władz stanu Nowy Jork, stanu Pensylwania oraz rządu Stanów Zjednoczonych - oznajmił drugi gliniarz tak oficjalnym tonem, jakby recytował tę formułę podczas egzaminu w szkole oficerskiej. - Oprócz tego...

- Cóż, wygląda na to, że już załatwiłszy wszystkie pieprzone formalności, prawda? - przerwał mu Arnie.

Gliniarz spojrzal ze zdziwieniem na młodego chłopaka mówiącego jak zgryźliwy starzec, ale mimo to kontynuował:

- Oprócz tego w imieniu władz stanu Nowy Jork, stanu Pensylwania oraz rządu Stanów Zjednoczonych mam prawo zarekwizować wszelkie przedmioty stanowiące obiekt przemytu, jakie odkryję podczas tego przeszukania.

- Świetnie - odparł Arnie. Wszystko to wydawało mu się zupełnie nierealne. Błękitne światła na dachach radiowozów migotały złowieszczo, ludzie przejeżdżający obok samochodami zwalniali i gapili się na niego, lecz on z ulgą stwierdził, że wcale nie czuje potrzeby odwrócenia się i ukrycia twarzy.

- Daj mi kluczyki, chłopcze.

- Sam je sobie weź, zasrańcu.

- W ten sposób tylko sobie zaszkożysz, synu - odparł gliniarz, ale mimo to zawahał się, zdziwiony i trochę przestraszony. Przez chwilę głos Arniego stał się chrapliwy i znacznie niższy, jakby należał do starszego o czterdzieści lat twardego typu, a nie cherlawego chłopaczka w okularach.

Wsadził głowę do środka, wyjął kluczyki ze stacyjki i w tym samym momencie trzej policjanci podeszli do bagażnika. Wiedzą - pomyślał z rezygnacją Arnie. Przynajmniej nie miało to nic wspólnego z obsesją Junkinsa dotyczącą Buddy'ego Reppertona, Moochiego Welcha i pozostałych (w każdym razie nie bezpośrednio, poprawił się ostrożnie). Cała afera wyglądała na doskonale zaplanowaną i skoordynowaną akcję wymierzoną w Willa Darnella i jego przemytniczy biznes sięgający mackami od Libertyville do Nowego Jorku i Nowej Anglii.

- Chłopcze, będziesz chciał odpowiedzieć na pytania albo złożyć jakieś oświadczenie? - zapytał jeden z policjantów. - Jeżeli tak, to poinformuję cię o twoich prawach.

- Nie - odparł spokojnie Arnie. - Nie mam nic do powiedzenia.

- Mogłoby ci to pomóc.

- Próbujesz zmusić mnie do zeznań - zauważył Arnie z uśmiechem. - Uważaj, żebyś sam sobie nie zaszkożdził.

Gliniarz zaczerwienił się.

- Twoja sprawa, cwaniaczku.

Policjanci otworzyli bagażnik chryslera i wyjęli z niego zapasowe koło, podnośnik oraz kilka pudełek z różnymi drobiazgami - sprężynami, śrubami i nakrętkami. Jeden z gliniarzy niemal wszedł do kufra; na zewnątrz sterczały tylko jego nogi w szaroniebieskich spodniach. Przez krótką chwilę Arnie żywił złudną nadzieję, że nie znajdą schowka, lecz szybko rozstał się ze złudzeniami. Żywiła je ta jego część, która nadal była dzieckiem, a której chciał jak najszybciej się pozbyć, gdyż ona właśnie przysparzała mu największych cierpień. Na pewno znajdą. A im szybciej znajdą, tym szybciej dobiegnie końca cała ta niesmaczna scena.

Chyba jakiś bóg usłyszał jego życzenie i postanowił je natychmiast spełnić, gdyż grzebiący w bagażniku policjant wykrzyknął tryumfalnie:

- Papierosy!

- W porządku - powiedział ten, który miał nakaz przeszukania. - Zamknijcie kufer. - Następnie zwrócił się do Arniego i poinformował go o przysługujących mu prawach. - Zrozumiałeś wszystko?

- Tak.

- Chcesz coś powiedzieć?

- Nie.

- Więc wsiadaj do wozu, synu. Jesteś aresztowany.

Jestem aresztowany - pomyślał Arnie i niewiele brakowało, a parsknąłby śmiechem, tak niewiarygodnie zabrzmiało to w jego uszach. Miał wrażenie, że śni jakiś idiotyczny sen, z którego lada chwila się obudzi. Aresztowany. Jazda radiowozem, ciekawskie spojrzenia ludzi...

Do oczu nabiegły mu gorzkie, dziecięce łzy rozpacz. Gardło zacisnęło się w bolesnym skurczu.

Zalkał raz, drugi...

Policjant dotknął jego ramienia, lecz Arnie gwałtownym ruchem strząsnął obcą rękę. Wydawało mu się, iż wszystko będzie w porządku, pod warunkiem, że uda mu się szybko schować we wnętrzu skorupy. Współczucie doprowadziłoby go do szaleństwa.

- Nie dotykaj mnie!

- Rób, jak chcesz, synu - odparł gliniarz cofając rękę, po czym otworzył tylne drzwi radiowozu i wskazał mu gestem, żeby wszedł do środka.

Czy można płakać przez sen? Jasne, że tak. Przecież tyle razy czytał o ludziach, którzy budzili się ze śladami łez na policzkach. On jednak nie będzie płakał, bez względu na to, czy to był sen, czy nie.

Zamiast tego pomyśli o Christine. Nie o matce ani ojcu, nie o Leigh ani Willu Darnellu, nie o Slawsonie - o żadnym z tych żalonych zdrańców, którzy go zdradzili.

Będzie myślał o Christine.

Zrobił to, zamknąwszy oczy i ukrywając w dłoniach bladą, mizerną twarz. Jak zwykle przyniosło mu to dużą ulgę. Po pewnym czasie mógł już wyprostować się, spojrzeć na przesuający się za oknem krajobraz i zastanowić nad swoją sytuacją.

Michael Cunningham odłożył słuchawkę na widelki tak powoli i delikatnie, jakby obawiał się, że lada chwila eksploduje i zasypie jego gabinet czarnymi, zakrzywionymi odłamkami szrapnela. Następnie oparł się głęboko w odchylanym fotelu stojącym za biurkiem. Na biurku rozpięła się maszyna do pisania IBM z pamięcią i możliwością wprowadzania korekt, popielniczka z ledwo widocznym na brudnym dnie błękitno-złotym napisem UNIWERSYTET HORLICKS oraz maszynopis jego trzeciej książki, poświęconej pancernikom „Monitor” i „Merrimac”. Kiedy zadzwonił telefon, znajdował się akurat w połowie strony. Teraz wcisnął przycisk po prawej stronie maszyny, wysunął papier, przyglądając się z chłodnym zainteresowaniem jego łagodnym krzywiznom i położył go na maszynopisie, pokrytym dżunglą naniesionych ołówkiem poprawek.

Zimny wiatr chłostał ściany domu. Przedpołudniowe ciepło ustąpiło miejsca wieczornemu chładowi. Wszystko, co zdążyło się stopić, teraz zamarzło na kość, a jego syn został aresztowany w Albany pod zarzutem przemytu. „Nie, panie Cunningham, to nie marihuana, tylko papierosy. Dwieście kartonów nie ostemplowanych winstonów”.

Z dołu dobiegał warkot maszyny do szycia. Teraz będzie musiał wstać z fotela, podejść do drzwi, otworzyć je, podejść do schodów, zejść na dół, wejść do salonu, przejść na drugą stronę do małego pomieszczenia, gdzie kiedyś była pralnia, a teraz Regina urządziła sobie pokój do szycia, stanąć tam, poczekać, aż ona spojrzy na niego (będzie miała na nosie połówkowe okulary) i powiedzieć: „Regino, Arnie został aresztowany przez Policję Stanową w Nowym Jorku”.

Spróbował zapoczątkować ten proces wstając z fotela, ale fotel chyba wyczuł, że Michael nie bardzo wie, co robi, bo nagle odjechał do tyłu na rolkach i Cunningham musiał złapać się krawędzi biurka, żeby nie upaść na podłogę. Zaraz potem opadł znowu ciężko na fotel, czując, jak serce łomocze mu raptownie w piersi.

Nagle ogarnęła go tak ogromna fala rozpacz i bólu, że jęknął głośno i chwycił się obiema rękami za głowę, ściskając z całej siły skronie. Powróciły dobrze znane myśli, niemożliwe do uniknięcia jak komary w wilgotne lato i tak samo jak one doprowadzające do szaleństwa. Jeszcze pół roku temu wszystko było w porządku, a teraz jego syn siedzi gdzieś w celi. Kiedy nastąpił przełom? W jaki sposób on, Michael, mógł temu przeciwdziałać? Jak dokładnie

wyglądała prawda? Skąd zaczęła się rozprzestrzeniać choroba?

- Boże...

Wzmógł nacisk na skronie, słuchając zawrota zimowego wiatru. Nie dalej jak miesiąc temu wydawało mu się, że wszystko zaczyna wracać do normy. To był bardzo miły dzień, prawda? Stał na drabinie i patrzył w dół na trzymającego ją Arniego, wołał, żeby Arnie uważał, wiatr targał mu włosy i zasypywał buty martwymi, pozbawionymi kolorów liśćmi. Tak, to był bardzo miły dzień. Nawet po pojawieniu się tego przekłętą samochodu, który zagnieździł się w życiu jego syna niczym jakaś okropna choroba, zdarzały się takie miłe dni, prawda?

- Boże... - szepnął ponownie słabym, łamiącym się głosem.

Przed oczami przesuwały mu się oderwane obrazy. Koledzy spoglądający na niego z ukosa, być może szepczący za jego plecami. Rozmowy podczas przyjęć, w których jego nazwisko będzie pojawiać się i znikać jak targane falami, niesione przez prąd ciała topielca. Arnie skończy osiemnaście lat dopiero za dwa miesiące, co chyba oznaczało, że w gazetach nie będzie można podać jego nazwiska, ale i tak wszyscy się dowiedzą. Wiadomość rozejdzie się lotem błyskawicy.

Nagle, zupełnie bez sensu, ujrzał czteroletniego Arniego siedzącego na czerwonym trójkołowym rowerku kupionym przez Reginę na wyprzedży ("wyjpedaj"), jak mówił wówczas jego syn). Rowerek był obdrapany i zardzewiały, miał zupełnie лыse opony, lecz Arnie wprost go uwielbiał i chętnie wsiadłby go do łóżka, gdyby tylko mu na to pozwolono. Michael przymknął oczy i zobaczył Arniego jeżdżącego w tę i z powrotem po chodniku, ubranego w błękitny sztruksowy kombinezon, z włoskami opadającymi na oczy, ale w pewnej chwili obraz zafalował, stało się z nim coś dziwnego, a kiedy ponownie się wyostrzył, trójkołowicz zamienił się w skorodowaną, rozsypującą się Christine o szybach zarosłych bielmem czasu.

Michael zacisnął zęby. Ktoś, kto przyglądałby mu się w tej chwili, mógłby pomyśleć, że uśmiechnął się dziko. Zaczekał, aż przynajmniej częściowo odzyska panowanie nad sobą, po czym wstał i ruszył na dół, by powiedzieć Reginie, co się stało. Powie jej, a ona natychmiast zacznie się zastanawiać, co powinni zrobić, tak jak zawsze to robiła. Uprowadzała go o pół kroku, kradnąc dla siebie gorzkie ukojenie płynące z faktu robienia czegoś, pozostawiając mu tylko ból i rozpaczliwą świadomość, że jego syn stał się kimś zupełnie obcym.

## 41. ZBLIŻA SIĘ BURZA

*Zabrała kluczyki od mojego wozu,  
Wskoczyła do środka i dodała gazu.*

Bob Seger

W samą Wigilię z północnego wschodu przyszła do Libertyville pierwsza wielka burza śnieżna tej zimy, przesuając się uprzednio nad niemal jedną trzecią terytorium Stanów Zjednoczonych. Rano świeciło jeszcze piękne słońce, ale spikerzy audycji radiowych radośnie zapowiadali raptowne pogorszenie pogody, radząc tym, którzy wybierali się jeszcze po ostatnie przedświąteczne zakupy, by postarali się uwinąć ze wszystkim najdalej do południa. Ci natomiast, którzy mieli zamiar wyruszyć w drogę, żeby spędzić tradycyjny wigilijny wieczór w rodzinnym gronie, powinni zmienić plany, jeżeli podróż miałaby trwać dłużej niż cztery do sześciu godzin.

- Jeśli nie chcecie spędzić Wigilii w zaspie na I-76, gdzieś między Bedford i Carlisle, na waszym miejscu wyjechałbym z domu wcześniej albo wcale - poinformował głos z UKF-104 swoich słuchaczy (których większość i tak była zbyt pijana lub naćpana, żeby myśleć o podróży dokądkolwiek), po czym w ramach Świątecznego Bloku Przebojów puścił „Santa Claus Is Coming to Town” w wykonaniu Bruce’a Springsteena.

O jedenastej, kiedy Dennis Guilder wreszcie opuścił Szpital Miejski w Libertyville (zgodnie z obowiązującymi w nim przepisami nie wolno mu było stanąć na własnych nogach na terenie szpitala, więc przebył długie korytarze na wózku pchanym przez Elaine), niebo zaczęło zasnuwać się chmurami, wokół słońca zaś pojawiła się niezwykła poświata. Dennis wstał z wózka i przeszedł przez parking o kulach, eskortowany troskliwie przez rodziców, mimo że asfaltowa nawierzchnia była doskonale odśnieżona i posypana obficie solą. Dotarłszy do samochodu przystanął na chwilę i wystawił twarz na odświeżające poddmuchy mroźnego wiatru. Czuł się jak zmartwychwstały. Wydawało mu się, że mógłby tak stać całymi godzinami i jeszcze nie mieć dosyć.

O pierwszej po południu kombi Cunninghamów dotarło do zabudowań Ligonier, dziewięćdziesiąt mil na wschód od Libertyville. Całe niebo było już stalowoszare i ciężkie, temperatura zaś spadła o pięć stopni.

To Arnie zaproponował, żeby nie odwoływać tradycyjnej wigilijnej wizyty u ciotki Vicky i



wuja Steve'a, czyli siostry Reginy i jej męża. Przez lata wzajemne świąteczne wizyty przerodziły się niemal w coś zbliżonego do rytuału - czasem Vicky i Steve przyjeżdżali do Libertyville, czasem zaś Cunninghamowie odwiedzali ich w Ligonier. Tegoroczna wizyta została zaplanowana na początku grudnia, a następnie odwołana z powodu, jak to uparcie określała Regina, „kłopotów Arniego”, lecz na tydzień przed świętami chłopak zaczął namawiać rodziców, żeby jednak się na nią zdecydowali.

Wreszcie, po długiej rozmowie telefonicznej z siostrą, Regina postanowiła zadośćuczynić życzeniu syna - przede wszystkim dlatego, że Vicky odniosła się do sprawy bardzo spokojnie, ze zrozumieniem, a co najważniejsze, nie wypytywała bez końca, o co chodzi i co się właściwie stało. Dla Reginy było to bardzo ważne, chyba nawet bardziej, niż kiedykolwiek odważyłaby się przyznać. Wydawało jej się, że przez osiem dni, jakie upłynęły od aresztowania Arniego, musiała stawić czoło niemal nieprzerwanej nawałnicy zachłannej ciekawości pozującej na współczucie. Dopiero rozmawiając z Vicky załamała się i rozplakała. Był to pierwszy i jedyny raz od chwili aresztowania, kiedy pozwoliła sobie na ten gorzki luksus. Arnie spał już w swoim pokoju, Michael zaś, który ostatnio pił znacznie więcej, niż powinien, zbywając to stwierdzeniem, że „w taką pogodę nie można robić nic innego”, poszedł do baru O'Malleya na piwo z Paulem Stricklandem, takim samym jak on odrzutem z linii produkcyjnej wytwarzającej elitę wykładowców uniwersyteckich. Jedno piwo zamieni się pewnie w sześć, osiem lub dziesięć, a kiedy później Regina wejdzie na górę do jego gabinetu, zastanie męża siedzącego sztywno za biurkiem, z suchymi, lecz nabiegłymi krwią oczami, wpatrzonymi nieruchomo w ciemność. Gdyby spróbowała wtedy z nim porozmawiać, rozmowa byłaby bardzo nieskładna i dotyczyłaby wyłącznie przeszłości. Regina przypuszczała, że jej mąż przeżywa przebiegające w bardzo łagodny sposób załamanie psychiczne. Ona jednak nie mogła sobie pozwolić na takie wygodnictwo (tak właśnie o tym myślała, rozgniewana i zirytowana) i co noc najróżniejsze pomysły tłukły się i kłębiły w jej głowie aż do trzeciej lub czwartej nad ranem. Wszystkie były podporządkowane jednemu celowi: „Wydobyć nas z tego bagna”. Jej umysł był w stanie zmierzyć się z rzeczywistością pod warunkiem, że ukrywał się za dwiema tarczami; pierwsza nazywała się „kłopotami Arniego”, druga zaś miała wypisane hasło „wydobyć nas z tego bagna”.

Jednak podczas telefonicznej rozmowy z Vicky kilka dni po aresztowaniu syna, żelazna samokontrola Reginy osłabła na moment. Wyplakała się na odległość na piersi siostry, Vicky zaś starała się ją łagodnie i czule pocieszyć, w związku z czym Reginie zrobiło się okropnie głupio z powodu wszystkich mało wybrednych i uszczypliwych żartów, na jakie często pozwalała sobie pod jej adresem. Vicky, której jedyna córka przerwała naukę w szkole średniej, aby wyjść za mąż i prowadzić dom, której jedyny syn zadowolil się edukacją w technikum (nie to co jej syn, myślała

Regina z dumą); Vicky, której mąż zajmował się sprzedawaniem ubezpieczeń na życie; Vicky, która handlowała naczyniami kuchennymi. Jednak to właśnie przed Vicky mogła wyznać swe żale, mogła przynajmniej częściowo dać upust dręczącemu ją uczuciu rozczarowania, zawodu i bólu... a także wstydu, gdyż wiedziała o tym, że ludzie rozmawiają na jej temat, a ci, którzy od lat pragnęli jej upadku, są wreszcie zadowoleni. Teraz okazało się, że jedyną podporą w tych ciężkich dniach jest właśnie Vicky, i Regina doszła do wniosku, że jeśli w ogóle w tym paskudnym roku chcieli mieć coś w rodzaju świąt, to powinni pojechać do zwykłego podmiejskiego domu Vicky i Steve'a we wręcz nieprawdopodobnie przeciętnym Ligonier, gdzie wciąż jeszcze większość ludzi jeździła amerykańskimi samochodami i nazywała wypad do McDonalda „zjedzeniem czegoś”.

Mike, rzecz jasna, zgodził się z jej decyzją. Nie oczekiwała niczego więcej i nie zniosłaby niczego mniej.

Dla Reginy Cunningham pierwsze trzy dni po otrzymaniu wiadomości, że Arnie „ma kłopoty”, stanowiły sprawdzian żelaznej samokontroli i zwierzęcej woli przetrwania. Przetrwania zarówno jej, jak i całej rodziny. Ból Mike'a pod żadnym względem nie dorównywał jej emocjonalnemu napięciu. Ani razu nawet nie przeszło jej na myśl, że mogliby szukać u siebie nawzajem pocieszenia. Kiedy zszedł na dół i przekazał jej hiobową wieść, spokojnie założyła pokrowiec na maszynę do szycia, po czym usiadła przy telefonie i zabrała się do pracy. Łzy, które popłynęły podczas rozmowy z siostrą, znajdowały się wtedy tysiące lat od niej. Przeszła obok Michaela, jakby był meblem, on zaś podążył niezdecydowanie za nią, tak jak zawsze do tej pory.

Zadzwoiła do Toma Sprague'a, ich prawnika, który dowiedziawszy się, że sprawa jest natury kryminalnej, pośpiesznie skierował ją do swojego kolegi, Jima Warberga. Po wykręceniu numeru Warberga usłyszała głos automatycznej sekretarki, która nie chciała podać jej domowego numeru prawnika. Regina przez chwilę siedziała przy telefonie, skubiąc palcami dolną wargę, a następnie zadzwoniła jeszcze raz do Sprague'a. Początkowo opierał się, ale wreszcie dał jej numer do domu kolegi. Odkładając słuchawkę był niemal w szoku; kontakt z Reginą działającą na pełnych obrotach często wywoływał takie następstwa.

Zadzwoiła do Warberga, który kategorycznie stwierdził, że nie może zająć się tą sprawą. Regina ponownie opuściła kopię i ruszyła do ataku, w wyniku czego Warberg nie tylko przyjął sprawę, lecz także zobowiązał się natychmiast pojechać do Albany, gdzie zatrzymano Arniego, aby zorientować się, co może dla niego zrobić. Mówiąc drżącym, oszołomionym głosem człowieka, który najpierw został naszprycowany novocainą, a następnie rozjechany przez traktor, zaprotestował stanowczo, jakoby znał w Albany kogoś, kto mógłby szybko i bezboleśnie ukręcić leb sprawie. Mimo to poleciał tam prywatnym samolotem i po czterech godzinach zgłosił się z pierwszym meldunkiem.

Na razie Arniemu nie przedstawiono jeszcze aktu oskarżenia. Nazajutrz miał zostać przewieziony do Pensylwanii. Stany Pensylwania i Nowy Jork przygotowały akcję we współpracy z trzema urzędami federalnymi: Biurem do Walki z Narkotykami, Urzędem Podatkowym oraz Biurem do Spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. Głównym celem ataku nie był Arnie - w gruncie rzeczy mała plotka - ale Will Darnell oraz ci, z którymi prowadził interesy. Grube szczy, jak stwierdził Warberg, podejrzani o liczne powiązania ze światem zorganizowanej przestępczości i współludził w przemyśle narkotyków.

- Przetrzymanie w areszcie bez przedstawienia aktu oskarżenia jest nielegalne! - parsknęła natychmiast Regina, ujawniając tym samym dogłębną znajomość telewizyjnych seriali kryminalnych.

Warberg, który nie przejawiał specjalnego zachwytu faktem, że musi być tam, gdzie jest, zamiast siedzieć spokojnie w domu i czytać książkę, nie zwlekał z ripostą:

- Byłem gotów paść na kolana i dziękować Bogu, że tak właśnie postąpili. Złapali go z bagażnikiem pełnym nie stemplowanych papierosów i jeżeli będę im za bardzo suszyć głowę, z rozkoszą oskarżą go o przemyt. Radzę wam, żebyście oboje z mężem jak najszybciej przyjechali do Albany.

- Przecież powiedział pan, że jutro mają go przewieźć do Pensylwanii...

- Tak, wszystko jest już przygotowane. Jeżeli mecz z tymi chłopcami ma się odbyć bez żadnej taryfy ulgowej, to powinniśmy być zadowoleni, że rozegramy go na własnym boisku. Problem nie polega na ekstradycji.

- A na czym?

- Ci ludzie chcą wywołać „reakcję domina”. Pani syn ma odegrać rolę kostki, która padając przewraca sąsiednią, w tym przypadku Willa Darnella, i tak dalej. Jednak Arnold nie chce powiedzieć ani słowa. Powinniście zjawić się tutaj i przekonać go, że współpraca z władzami leży w jego najlepiej pojętym interesie.

- Naprawdę? - zapytała z wahaniem.

- Do diabła, tak! - zaskrzeczał w słuchawce podniesiony głos prawnika. - Nikomu tutaj nie zależy, żeby pani syn trafił do więzienia. Jest nieletni, pochodzi z dobrej rodziny, nie ma na koncie żadnych przestępstw ani nawet wykroczeń przeciwko szkolnej dyscyplinie. Może z tego wyjść ani razu nie spotykając się z sędzią, ale musi zacząć mówić.

Pojechali więc do Albany, gdzie Reginę poprowadzono krótkim, wąskim korytarzem wyłożonym białymi kafelkami, oświetlonym mocnymi żarówkami ukrytymi w okrągłych, chronionych drucianą siatką zagłębieniach. W powietrzu unosił się trudno wyczuwalny zapach lizolu i moczu, ona zaś przekonywała samą siebie, że to tu właśnie trzymają jej syna, jej własnego

syna, lecz szło jej to bardzo opornie i z wielkimi trudnościami. Po prostu nie mogła w to uwierzyć. Znacznie bardziej prawdopodobna była ewentualność, że wszystko to jest tylko jakimś koszmarnym złudzeniem.

Jednak kiedy ujrzała Arniego, możliwość ta uległa natychmiastowemu unicestwieniu, a wraz z nią ochronna warstwa szoku, i Regina poczuła zimny, przenikający ją do głębi strach. Wtedy właśnie po raz pierwszy uczepiła się pomysłu o „wydobyciu nas z tego bagna” i chwyciła się go kurczowo, tak jak tonący chwyta się koła ratunkowego. To był Arnie, jej syn, nie w więziennej celi (oszczędzono jej tylko tego jednego doznania, lecz ona już wtedy była wdzięczna nawet za najmniejszą oznakę życzliwości), tylko w małym kwadratowym pokoiku, którego jedyne umeblowanie stanowiły dwa krzesła i stół z powypalanymi śladami po papierosach.

Arnie wpatrywał się w nią nieruchomym spojrzeniem, a jego mizerna twarz przypominała trupa główkę. Zaledwie tydzień temu poszedł do fryzjera i kazał się ostrzyć zdumiewająco krótko (do tej pory, wzorując się na Dennisie, nosił dość długie włosy). Padające z góry światło docierało do samej skóry, tak że chwilami wydawał się zupełnie łysy, jakby ogolono mu głowę, pragnąc w ten sposób zmusić do złożenia zeznań.

- Arnie... - zaczęła i ruszyła w jego kierunku, ale dotarła tylko do połowy drogi, gdyż zacisnął usta i odwrócił głowę w bok. Zwyczajna kobieta wybuchłaby natychmiast płaczem, ale Regina nie była zwyczajną kobietą. Pozwoliła, by lodowaty chłód powrócił i ogarnął ją całą. Teraz tylko to mogło jej pomóc.

Nie objęła go, gdyż najwyraźniej nie życzył sobie tego, lecz usiadła na drugim krześle i powiedziała, co powinien zrobić. Odmówił. Kazała mu porozmawiać z policją. Odmówił ponownie. Próbowwała go przekonać. Odmówił. Straszyla go. Odmówił. Błagała. Odmówił. Wreszcie umilkła na dłuższą chwilę, siedząc bez słowa i zmagając się z rozsadzającym skronie bólem, po czym zapytała go dlaczego. Nie chciał jej odpowiedzieć.

- Myślałam, że jesteś sprytny! - krzyknęła wreszcie. Niemal odchodziła od zmysłów; najbardziej ze wszystkiego nie znosiła sytuacji, kiedy nie mogła postawić na swoim, choć bardzo chciała albo wręcz musiała to osiągnąć. Szczerze mówiąc, nic takiego nie zdarzyło się jej od czasu opuszczenia rodzinnego domu. Aż do tej pory. Fakt, że ignoruje ją smarkacz, który jeszcze niedawno ssal jej pierś, doprowadzał ją do szaleństwa. - Myślałam, że jesteś sprytny, ale ty jesteś głupi! Jesteś... jesteś idiotą! Wsadzą cię do więzienia! Chcesz gnąć w więzieniu dla jakiegoś Darnella? Tego właśnie chcesz? On pierwszy cię wyśmiej, rozumiesz? Wyśmiej cię!

Regina nie mogła wyobrazić sobie nic gorszego, a całkowita obojętność jej syna wobec takiej perspektywy rozwścieczyła ją jeszcze bardziej. Poderwała się z krzesła i gwałtownym ruchem kogoś, kto przygotowuje się do walki, odgarnęła włosy z czoła. Oddychała szybko, a jej

twarz pokryła się rumieńcem. Arniemu wydała się nagle jednocześnie młodsza i starsza, znacznie starsza niż kiedykolwiek.

- Nie robię tego dla Darnella - odparł spokojnie - i nie mam zamiaru iść do więzienia.

- Kto ty jesteś, Oliver Wendell Holmes<sup>6</sup>? - Mimo to poczuła znaczną ulgę. Przynajmniej coś powiedział. - Złapali cię w jego samochodzie z bagażnikiem załadowanym papierosami! Przemycanymi papierosami!

- Nie były w bagażniku, tylko w tajnym schowku - poprawił ją Arnie. - Samochód należał do Willa. Poprosił mnie, żebym nim pojechał.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że nic o nich nie wiedziałeś?

W jego oczach pojawiło się coś, czego po prostu nie mogła zaakceptować. Coś zupełnie nie pasującego do jego twarzy: pogarda. Mój złoty chłopczyk, mój złościuteńki - przemknęła jej bezsensowna myśl.

- Wiedziałem i Will też wiedział, ale oni chyba najpierw muszą to udowodnić, prawda?

Mogła tylko wpatrywać się w niego ze zdumieniem.

- Nawet jeśli jakimś cudem to im się uda, dostanę wyrok w zawieszeniu.

- Arnie, ty w ogóle nie myślisz logicznie - wykrztusiła wreszcie. - Może twój ojciec...

- Owszem, myślę logicznie - przerwał jej. - Nie wiem, jak to wygląda u was, ale ja myślę bardzo logicznie.

W malej, pomalowanej na zielono poczekalni siedzieli na ławce Michael i Warberg.

- Teraz ty pójdz do niego - powiedziała do męża. - Może tobie uda się przemówić mu do rozsądku.

Wyszła nie czekając na odpowiedź. Zatrzymała się dopiero na zewnątrz, kiedy na rozpalonych policzkach poczuła lodowaty podmuch grudniowego wiatru.

Michaelowi nie poszczęściło się lepiej niż jej; wyszedł wkrótce z zupełnie suchym gardłem i twarzą wyglądającą o dziesięć lat starzej niż przed kilkunastoma minutami.

W motelu Regina powtórzyła Warbergowi słowa Arniego i zapytała, czy jej syn ma rację. Prawnik zastanawiał się przez chwilę.

- Tak, to całkiem sensowna linia obrony - przyznał. - Ale byłaby znacznie bardziej sensowna, gdyby Arnie był pierwszym kamieniem domina w szeregu. Niestety nie jest. Jednocześnie z nim aresztowano miejscowego handlarza używanymi samochodami, niejakiego Henry'ego Bucka.

- Co powiedział? - zapytał Michael.

---

<sup>6</sup> Oliver Wendell Holmes (1841-1935) - w latach 1902-1932 sędzia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych

- Nie mam pojęcia, ale jego adwokat nie chciał zamienić ze mną nawet jednego słowa. To niedobry znak. Jeśli Buck zacznie mówić, zwali całą winę na Arniego. Jestem gotów założyć się o mój dom, że zdoła udowodnić, iż wasz syn wiedział o schowku w bagażniku, a wtedy będzie już bardzo niedobrze. - Warberg przyjrzał im się uważnie. - To, co powiedział pani syn, nie jest aż tak sprytne, jak mu się wydaje. Porozmawiam z nim jutro, zanim przewiozą go do Pensylwanii. Spróbuję go przekonać, że istnieje całkiem realna możliwość, iż cała afera spadnie na jego głowę.

Kiedy skręcili w ulicę, przy której mieszkali Steve i Vicky, z zasnutego chmurami nieba zaczęły sypać pierwsze płatki śniegu. Ciekawe, czy w Libertyville też już pada? - pomyślał Arnie i dotknął skórzanej przywieszki od kluczyków, które miał w kieszeni. Było to całkiem prawdopodobne.

Christine wciąż stała unieruchomiona w Garażu Darnella. I bardzo dobrze. Przynajmniej nie była narażona na zmiany pogody. Zabierze ją stamtąd. Już niedługo.

Poprzedni weekend minął jak niewyraźny senny koszmar. Molestujący go w małym pokoiku rodzice mieli nie wywołujące żadnych skojarzeń twarze obcych ludzi. Jakieś głowy mówiące do niego w dziwnym języku. Prawnik, którego wynajęli - Warley, Warmly czy coś w tym rodzaju - gadał w kółko o jakiejś „teorii domina” i o tym, że „trzeba uciekać z wyburzanego budynku, zanim strop runie ci na głowę, chłopcze, tym bardziej kiedy za rozbiórkę wzięły się dwa stany i trzy agencje federalne”.

Jednak Arnie znacznie bardziej niepokoił się o Christine.

Stawało się dla niego coraz bardziej jasne, że Roland D. LeBay albo przebywał stale obok niego, albo gdzieś w pobliżu, kto wie, czy nawet nie w nim samym. Ta myśl nie tylko nie przeraziła go, lecz wręcz przeciwnie, przyniosła mu ulgę. Musiał jednak być bardzo ostrożny. Nie z powodu Junkinsa - przeczuwał, że Junkins dysponuje tylko podejrzeniami, które w dodatku zwodzą go, odciągając od Christine, zamiast prowadzić prosto ku niej.

Natomiast Darnell... Will mógł przysporzyć mu kłopotów. Tak, prawdziwych kłopotów.

Pierwszej nocy w Albany, kiedy matka i ojciec wrócili do motelu, Arniego zaprowadzono do celi dla tymczasowo aresztowanych, gdzie zasnął zadziwiająco szybko i głęboko. Miał tam sen - może nie koszmar, ale też nic specjalnie przyjemnego. Obudził się w środku nocy zlane zimnym potem.

Przyśniło mu się, że Christine została zmniejszona do rozmiarów dłoni. Otaczał ją krajobraz jak z makiety kolejki elektrycznej, jednak wykonany z zadziwiającą precyzją i dokładnością: plastikowa ulica podobna jak dwie krople wody do Basin Drive, inna,

---

(przyp. tłum.).

przypominająca John Kennedy Drive, gdzie zginął Moochie Welch, wzniesiony z klocków Lego budynek szkoły średniej w Libertyville. Plastikowe domy, papierowe drzewa...

...i olbrzymi, tłusty Will Darnell przy pulpicie sterowniczym, decydujący o prędkości, z jaką maleńki plymouth fury poruszał się po makiecie. Powietrze wpadało do jego chorych płuc i uciekało stamtąd z rykiem huraganu.

„Nie waż się otworzyć gęby, chłopcze - powiedział Will. Górował nad miniaturowym światem niczym Zdumiewająco Wielki Człowiek z komiksu. - Nie waż się podskakiwać, bo ja wszystko kontroluję. Na przykład mogę zrobić to...”

I zaczął przesuwając w prawo regulator prędkości.

„Nie! - próbował wrzasnąć Arnie. - Proszę, nie rób tego! Ja ją kocham! Proszę, nie zabijaj jej!”

Maleńka Christine pędziła coraz szybciej przez maleńkie Libertyville, zamiatając na zakrętach tyłem, ściągany na zewnątrz przez siłę odśrodkową, ten tajemniczy i przerażający fenomen. Stanowiła tylko czerwono-biały zygzak, a jej silnik brzęczał głosem rozwścieczonego komara.

„Proszę! - krzyknął Arnie. - Prooooooszeeeeeeee...”

Wreszcie Will, sprawiając wrażenie bardzo zadowolonego z siebie, przesunął regulator w lewo. Samochodzik zaczął stopniowo zwalniać.

„Gdyby przyszły ci do głowy jakieś głupie myśli, chłopcze, przypomnij sobie, gdzie zostawiłeś samochód. Trzymaj gębę na klódkę, to żadnemu z nas nie stanie się krzywda. Bywałem już w gorszych tarapatach niż...”

Arnie sięgnął po samochód, by zdjąć go z makiety, lecz Will odtrącił jego rękę.

„Czyj to był towar, chłopcze?”

„Will, proszę...”

„Powiedz tylko, czyj to był towar?”

„Mój”.

„Nie zapomnij o tym”.

Arnie obudził się, mając w uszach te słowa. Tej nocy nie udało mu się już zasnąć.

Czy prawdopodobieństwo, że Will wiedział... no, że wiedział coś o Christine, było naprawdę tak mało realne? Nie. Ze swojego przeszklonego biura widział różne rzeczy, ale wiedział, że ma je zachować dla siebie... przynajmniej do czasu, kiedy uzna, że powinien postąpić inaczej. Mógł wiedzieć to, czego nie wiedział Junkins, to znaczy, że listopadowe odrodzenie Christine było nie tylko niezwykle, ale wręcz nieprawdopodobne. Mógł wiedzieć, że większość napraw nigdy nie została wykonana, a w każdym razie nie przez Arniego.

Co jeszcze mógł wiedzieć?

Wraz z lodowatym zimnem pelznącym w górę po nogach i wypełniającym stopniowo wnętrze do mózgu Arniego dotarła wreszcie świadomość, że Will mógł być w garażu tej nocy, kiedy zginął Repperton i reszta. Wydawało się to nawet bardzo prawdopodobne. Jimmy Sykes był niezbyt rozgarnięty i Will starał się nigdy nie zostawiać go samego.

„Nie waż się otworzyć gęby, chłopcze. Nie waż się podskakiwać, bo mogę zrobić na przykład to...”

Jednak zakładając, że Will wie o wszystkim, to kto by w to uwierzył? Było już za późno na okłamywanie samego siebie - Arnie nie mógł, ba, nie chciał bronić się przed groźnymi myślami. Kto by uwierzył Willowi, gdyby ten zdecydował się pewnego dnia opowiedzieć o tym, że Christine od czasu do czasu wyrusza samodzielnie na przejażdżki? Że wyruszyła na jedną z nich tej nocy, kiedy zabito Moochiego Welcha, a także tej, gdy zginęli tamci trzej dranie? Policja? Uśmiełoby się do rozpuku. Junkins? Prędzej, ale Arnie nie przypuszczał, żeby Junkins był w stanie uwierzyć w coś takiego, nawet gdyby bardzo chciał. Tak więc nawet gdyby Will wiedział, to co by mu z tego przyszło?

Nagle, z obezwładniającym przerażeniem, Arnie zdał sobie sprawę, że to nie ma żadnego znaczenia. Za dzień lub dwa Will wyjdzie z aresztu, a wtedy Christine stanie się jego zakładniczką. Będzie mógł ją spalić - Darnell spalił w życiu mnóstwo samochodów i czasem nawet przechwalał się tym, rozmawiając z Arniem w biurze - a potem zmiążdżyć w zgniatarce. Wypalony kadłub Christine sunie powoli na taśmociągu, by zamienić się w zgnieciony sześcian metalu...

Gliny zaplombowały garaż.

To również nie miało żadnego znaczenia. Will Darnell był szcwanym lisem, przygotowanym na każdą ewentualność. Gdyby chciał spalić Christine, na pewno udałoby mu się to zrobić, choć było znacznie bardziej prawdopodobne, że zatrudniłby specjalistę od wyludzania odszkodowań - faceta, który wysypałby na tylne siedzenie kilka kostek paliwa turystycznego, a następnie wrzucił zapaloną zapalną.

Arnie bez trudu wyobraził sobie strzelające w górę płomienie i czerniejącą w ogniu tapicerkę.

Leżał na więziennej pryczy czując okropną suchość w gardle i raptowne bicie serca.

„Nie waż się otworzyć gęby. Nie waż się podskakiwać...”

Naturalnie, gdyby Will spróbował zrobić coś takiego i popełnił choćby najmniejszy błąd, Christine załatwiłaby go. Jednak Arnie miał dziwne przeczucie, że Will nie popełni żadnego błędu.



Następnego dnia przewieziono go do Pensylwanii, przedstawiono zarzuty, po czym zwolniono za minimalną kaucją. Pierwsza rozprawa miała odbyć się w styczniu i zaczęto już przebąkiwać o powołaniu ławy przysięgłych. Sprawa zajmowała miejsce na pierwszych stronach gazet w całym stanie, choć o Arniem wspomiano tylko jako o „pewnym młodym człowieku”, którego dane personalne „zostały utajnione zarówno przez władze stanowe, jak i federalne ze względu na jego niepełnoletniość”.

Mimo to w Libertyville fakt udziału Arniego w aferze nie stanowił dla nikogo tajemnicy. W gruncie rzeczy było to małe miasteczko, którego mieszkańcy, w większości związani w taki lub inny sposób z Uniwersytetem Horlicks, wiedzieli o sobie niemal wszystko, w tym również to, kto pracuje dla Willa Darnella i kto został zatrzymany zaraz za granicą stanu prowadząc samochód z bagażnikiem pełnym przemyconych papierosów. Ta świadomość stanowiła najgorszy z koszmarów dręczących Reginę.

Po krótkiej wizycie w areszcie Arnie wrócił do domu pod opiekuńcze skrzydła rodziców, zwolniony za kaucją tysiąca dolarów. Tak naprawdę to wszystko było tylko grą w wielki, zasrany Monopol. Jak należało się spodziewać, rodzice natychmiast podsunęli mu kartę „Wychodzisz z Więzienia”.

- Dlaczego się uśmiechasz, Arnie? - zapytała Regina. Michael prowadził samochód z prędkością piechura, usiłując dojrzeć przez śnieżną kurzawę dom Steve'a i Vicky.

- A uśmiechałem się?

- Tak - powiedziała, dotykając dłonią jego włosów.

- Nie pamiętam - odparł nieobecny głosem i Regina cofnęła rękę.

Wrócili do domu w niedzielę; rodzice nie narzucali mu się, być może dlatego, że nie wiedzieli, jak z nim rozmawiać, może dlatego, że czuli do niego obrzydzenie, a może po trosze z obu tych powodów.

Jego w każdym razie gównem to obchodziło. Czuł się wyczerpany, wymięty i zupełnie rozbity. Matka położyła się natychmiast do łóżka i przespała całe popołudnie, wyłączwszy uprzednio telefon, ojciec zaś pętał się bez celu po warsztacie, od czasu do czasu włączając i wyłączając elektryczny hebel.

Arnie siedział w salonie i oglądał transmisję z meczu futbolowego. Nie wiedział, kto gra, i nie chciał wiedzieć; w zupełności wystarczyła mu możliwość obserwowania graczy uganiających się za piłką, najpierw w ciepłych promieniach słońca, a potem w strugach marznącego deszczu, który pozamazywał linie i zamienił boisko w grząskie bagno.

Okolo szóstej zapadł w drzemkę.

I miał sny.

Miał sny także tej nocy i następnej, leżąc w łóżku, w którym sypiał od najwcześniejszego dzieciństwa, widząc na suficie nad sobą znajomy cień rzucany przez rosnący za oknem wiaź (szkielet zimową porą, co roku w maju okrywający się w cudowny sposób ciałem). Jego sny nie przypominały tego, w którym widział ogromnego Willa Darnella górującego nad makietą miasteczka. Pamiętał je tylko przez kilka chwil po przebudzeniu. Może i dobrze, że tak właśnie było. Jakaś postać stojąca na poboczu drogi; trupi palec stukający w gnijącą dłoń w idiotycznej parodii wyliczania nakazów lub zakazów; niejasne wspomnienie wyzwolenia i... ucieczki? Tak, ucieczki. Właściwie nic więcej, jeśli nie liczyć...

Tak, uciekał od tych snów do rzeczywistości mając pod powiekami tylko jeden zapamiętany obraz: on sam za kierownicą Christine, jadący powoli w szalejącej zamieci, w tak gęstym śniegu, że z trudem mógł dojrzeć koniec maski samochodu. Wiatr nie wyl, lecz ryczał niskim, przerażającym głosem. Nagle obraz zmieniał się; śnieg nie był już śniegiem, tylko serpentynami, ryk wiatru zaś zamienił się w ryk tłumu zebranego wzdłuż Piątej Alei i pozdrawiającego go co sił w płucach. Pozdrawiającego Christine. Tłum wiwatował, ponieważ on i Christine... oni oboje...

Uciekli.

Za każdym razem, kiedy pojawiał się ten dziwny sen, wracała ta sama myśl: Wyjeżdżam stąd, jak tylko to się skończy. Wyjeżdżam na dobre. Jadę do Meksyku. Meksyk, ze swoim świecącym bez przerwy słońcem i wiejską ciszą, wydawał mu się bardziej realny od snów.

Krótko po wyswobodzeniu z ostatniego z nich przyszedł mu do głowy pomysł, żeby jak za dawnych czasów spędzić święta z ciotką Vicky i wujem Steve'em. Obudził się, a pomysł pozostał, trwając w jego umyśle z zadziwiającym uporem. Wydawał się bardzo dobry, wręcz znakomity. Byle tylko wydostać się z Libertyville przed...

No, przed świętami, bo niby przed czym?

Powiedział więc o tym rodzicom, szczególnie mocno starając się przekonać Reginę. W środę nagle poddała się i zgodziła. Wiedział, że rozmawiała z Vicky, Vicky zaś nigdy nie starała się niczego na niej wymusić, więc pewnie dlatego Regina ustąpiła.

Teraz, w Wigilię Bożego Narodzenia, Arnie czuł, że już wkrótce wszystko będzie w porządku.

- To już tutaj, Mike - powiedziała Regina. - Zaraz go miniesz, jak zawsze, kiedy tu przyjeżdżamy.

Michael chrząknął i skręcił na podjazd.

- Ja też go zauważyłem - odparł usprawiedliwiającym tonem, jaki przyjmował zawsze w obecności żony.

To kompletny osioł - pomyślał Arnie. Ona mówi do niego jak do osła, jeździ na nim jak na osie, a on ryczy jak osioł.

- Znowu się uśmiechasz - powiedziała Regina.

- Po prostu pomyślałem sobie, jak bardzo was kocham.

Ojciec spojrział na niego, zaskoczony i poruszony, a w oczach matki błysnęło coś, co mogło być łzami.

Uwierzyli mu.

Zasrańcy.

W Libertyville o trzeciej po południu śnieg prószył wciąż jeszcze od niechcienia, choć płatki stawały się coraz większe i spadały ku ziemi coraz prędzej. Radiowi meteorolodzy twierdzili jednak, że nie należy się cieszyć z opóźnienia w nadejściu burzy, gdyż oznacza ono tylko tyle, że zamieć uderzy z jeszcze większą siłą. Przewidywane opady śniegu miały wynieść od trzydziestu do nawet czterdziestu centymetrów, co przy silnym wietrze oznaczało zasy metrowej i większej wysokości.

Leigh Cabot siedziała w salonie naprzeciwko małej naturalnej choinki, która zaczęła już pomalu gubić igły. (Leigh była gorącą zwolenniczką tradycji i już od czterech lat z powodzeniem przeciwstawiała się zapędom ojca pragnącego nabyć sztuczne drzewko i próbom matki rozpoczynania jesienno-zimowego sezonu świątecznego nie przepisowym indykiem na Święto Dziękczynienia, tylko jakąś gęsią albo kaczką). Została w domu zupełnie sama, gdyż rodzice, jak co roku, pojechali do Stewartów na wigilijnego drinka. Pan Stewart był nowym szefem ojca; obaj mężczyźni bardzo się polubili, pani Cabot zaś z całego serca popierała tę przyjaźń. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przeprowadzali się sześć razy, skacząc z miejsca na miejsce po całym Wschodnim Wybrzeżu, lecz ze wszystkich dotychczasowych przystanków matce najbardziej spodobano się właśnie w Libertyville. Chciała tu zostać na stałe, a przyjaźń jej męża z panem Stewartem mogła stanowić gwarancję realizacji tych planów.

Zupełnie sama i wciąż dziewica - pomyślała Leigh. Była to tak głupia myśl, że dziewczyna zerwała się z miejsca i przeszła do kuchni, wypełnionej przeróżnymi elektryczno-mechanicznymi odgłosami: cykaniem zegara, skwierczeniem pieca, w którym piekła się szynka (wylącz to o piątej, jeśli jeszcze wtedy nie wrócą - przypomniała sobie), dźwięcznymi brzdąknięciami z lodziarki, obwieszczającymi powstanie kolejnej kostki.

Otworzywszy lodówkę zobaczyła sześć puszek coli stojących obok piwa taty. Odejdź precz, szatanie - pomyślała, lecz mimo to wzięła jedną puszkę. Nie ma najmniejszego znaczenia, jaki wpływ wywrze to na jej cerę. I tak nie ma już chłopaka. Nawet jeżeli dostanie pryszczycy, to co z tego?

Po raz pierwszy w życiu czuła się nieswojo w pustym domu. Do tej pory zawsze, kiedy zostawała sama, była bardzo zadowolona i nawet jakby trochę dumna z siebie - bez wątpienia stanowiło to pozostałość z czasów dzieciństwa. Atmosfera domu działała na nią uspokajająco. Teraz jednak odgłosy rozlegające się w kuchni, narastające wycie wiatru na zewnątrz, nawet szmer kapci przesuwających się po linoleum - wszystko to wydawało się groźne, a nawet przerażające. Gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej, mógłby z nią teraz być Arnie. Rodzice, a szczególnie matka, bardzo go lubili. Początkowo. Teraz, rzecz jasna, po tym, co się stało, matka załamałaby się, gdyby wiedziała, że jej córka jeszcze o nim myśli. A tak właśnie było. Myślała o nim prawie bez przerwy. Zastanawiała się, dlaczego tak bardzo się zmienił. Zastanawiała się, jak zniósł rozstanie. Zastanawiała się, czy nic mu nie jest.

Wiatr zawył przeraźliwie, po czym przycichł na chwilę. Nie wiadomo czemu skojarzyło się jej to z rykiem silnika wspinającego się nagle na wysokie obroty.

„I nie wróci już z Zakrętu Śmierci”... - szepnęło jej coś do ucha. Właściwie bez powodu podeszła do zlewozmywaka i wylała całą zawartość puszek, nie wiedząc, czy zaraz wybuchnie płaczem, zwymiotuje, czy zrobi jeszcze coś innego.

Nagle uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że potwornie się boi.

Zupełnie bez powodu.

Oczywiście.

Dobrze, że rodzice zostawili samochód w garażu. (Samochody, wciąż myślała o samochodach). Nie lubiła, kiedy lekko podchmielony ojciec siadał za kierownicą. Stewartowie mieszkali tylko trzy przecznice dalej, więc ojciec i matka poszli do nich na piechotę, obejmując się i chichocząc jak dwoje dużych dzieci wybierających się na dwór, żeby zrobić bałwana. Powrotny spacer na pewno trochę ich otrzeźwi. Dobrze im to zrobi. Dobrze im zrobi, jeżeli...

Wiatr znowu przybrał na sile i Leigh nagle ujrzała matkę i ojca brnących przez coraz głębszy śnieg, trzymających się pod rękę, żeby nie pośliznąć się i nie wylądować na tyłkach. Kto wie, może nawet tata podszczypywał mamę przez ciepłe majtki, tak jak to robił czasem z Leigh, kiedy była nadąsana i okazywała wszystkim swój zły humor. Okropnie ją to irytowało, właśnie dlatego, że było takie niepoważne i pasujące raczej do młodego chłopaka, a nie do dorosłego mężczyzny. Mimo to, ma się rozumieć, kochała ich oboje. Jej miłość stanowiła część irytacji, okazjonalne rozdrażnienie zaś stanowiło nieodłączną część miłości.

Przedzierali się przez śnieżną zamięć, a w pewnej chwili za nimi w ciemności otworzyło się dwoje wielkich zielonych oczu... zatrważająco podobnych do lampek na tablicy przyrządów, które widziała krztusząc się na śmierć... i te oczy rosły, skradając się za jej bezbronnymi, roześmianymi rodzicami...

Nabrała raptownie powietrza w płuca i wróciła do salonu. Podeszła do telefonu, wyciągnęła rękę, cofnęła ją, zbliżyła się do okna i objąwszy się mocno ramionami spojrzała na kłębiącą się na zewnątrz biel.

Co właściwie chciała zrobić? Zadzwoić do nich? Powiedzieć im, że siedzi sama w domu, myśli o samochodzie Arniego, jego stalowej dziewczynie, i że chce, by szybko wracali, gdyż boi się o nich i o siebie? Czy to właśnie chciała zrobić?

Wspaniale, Leigh. Naprawdę wspaniale.

Odśnieżony przez pług pas asfaltu znikał stopniowo pod pokrywą białego puchu. Wiatr od czasu do czasu starał się wspomóc wysiłki ludzi, zamiatając śnieg i unosząc go w górę mocniejszymi podmuchami, gdzie wtapiał się w stalowoszare niebo jak nieważki, upiorny dym.

Groza czaiła się wszędzie dookoła i Leigh była całkowicie pewna, że już wkrótce coś się zdarzy. Wiadomość o tym, że Arnie został aresztowany pod zarzutem przemytu, wstrząsnęła nią do głębi, lecz jej reakcja była niczym w porównaniu z tą, jaka nastąpiła kilka dni wcześniej, kiedy rano rozłożyła gazetę i ujrzała na pierwszej stronie informację o tym, co się stało z Buddym Reppertonem i jego dwoma kolegami. Pierwsza myśl, jaka wówczas przyszła jej do głowy, była całkowicie pewna i jednoznaczna: Christine.

A teraz zawisło nad nią ciężkie przecucie kolejnego nieszczęścia. Nie potrafiła się go pozbyć ani się od niego uwolnić. Tamtego dnia Arnie brał udział w turnieju szachowym w Filadelfii, dowiedziała się tego niemal od razu, i to wszystko, nie będzie więcej zwracała sobie głowy, włączy wszystkie radia i telewizor, w domu zrobi się głośno, nie będzie myśleć o tym samochodzie, który śmierdział jak rozkopany grób, o tym samochodzie, który chciał ją zabić, zamordować...

- Do licha! - szepnęła. - Czemu nie przestaniesz?

Jej ramiona pokryły się gęsią skórką.

Odwróciła się gwałtownie, podeszła znowu do telefonu, wzięła książkę telefoniczną i podobnie jak Arnie dwa tygodnie temu zadzwoniła do Szpitala Miejskiego w Libertyville. Urzędniczka poinformowała ją przyjemnym głosem, że pan Guilder został wypisany dziś rano. Leigh podziękowała i odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę stała w pustym salonie spoglądając na małą choinkę, prezenty i żłóbek, po czym odszukała w książce numer Guilderów.

- To ty, Leigh? - ucieszył się Dennis.

Słuchawka w jej dłoni była zupełnie zimna.

- Dennis, czy mogę przyjechać do ciebie i porozmawiać?

- Dzisiaj? - zapytał ze zdziwieniem.

W jej głowie klębiły się splątane myśli. Szynka w piecyku. Powinna wyłączyć go o piątej. Rodzice wrócą do domu. Przecież to Wigilia. Śnieg. A poza tym... poza tym nie była pewna, czy na zewnątrz będzie mogła czuć się bezpieczna. Ze śnieżnej zamieci w każdej chwili mogło wyłonić się wszystko, dosłownie wszystko. Nie, nie dzisiaj. Dzisiaj było zbyt niebezpiecznie.

- Leigh?

- Nie, nie dzisiaj - powiedziała na głos. - Muszę poczekać na rodziców. Poszli na chwilę do przyjaciół.

- Moi też - odparł Dennis z rozbawieniem. - Gram z siostrą w warcaby. Oszukuje jak diabli.

Przytłumione:

- Wcale nie!

W innych okolicznościach byłoby to nawet zabawne, ale nie teraz.

- Po świętach. Może we wtorek, dwudziestego szóstego. Pasuje ci?

- Jasne. Leigh, czy chodzi o Arniego?

- Nie - odparła, ściskając słuchawkę z taką siłą, że niemal straciła czucie w palcach. Musiała bardzo się starać, żeby jej głos brzmiał choćby w miarę normalnie. - Nie o Arniego. Chcę z tobą porozmawiać o Christine.

## 42. BURZA NADESZŁA

*Piekielna z niej maszyna, to jasne jest jak słońce,  
Cholernie mocny silnik, gumy gorące,  
Kiedy rusza przed siebie z przeraźliwym rykiem,  
A ja myślę o tobie, choć patrzę z zachwytem  
Na nią, gdy pędzi tnąc mrok swoimi światłami.  
Co powiesz, kochanie? Czy pojedziesz z nami?*

Bruce Springsteen

O piątej po południu burza śnieżna objęła całą Pensylwanię, nie dopuszczając do tradycyjnego nasilenia panicznych, dokonywanych w ostatniej chwili zakupów. Większość sprzedawców i właścicieli sklepów była za to wdzięczna Matce Naturze, mimo utraconej części dochodów. Popijając drinki przy blasku choinkowych świeczek pocieszali się, że nadrobią to z nawiązką we wtorek, zaraz po świętach.

Jednak tego wieczoru, kiedy zmierzch ustąpił miejsca mrocznej, wypełnionej zamiecią nocy, Matka Natura wcale nie wydawała się troskliwa i opiekuńcza. Przypominała raczej okrutną, bezlitosną wiedźmę, nic sobie nie robiącą z Bożego Narodzenia; zerwała świąteczną dekorację z budynku Izby Handlowej i cisnęła ją w czarne niebo, przewróciła wielką szopkę ustawioną przed siedzibą policji i przysypała ją śniegiem, tak że owce, kozy, Matka Boska i Dzieciątko ujrzeli światło dzienne dopiero pod koniec stycznia, kiedy odsłoniły je pierwsze roztopy, a wreszcie, jakby wieńcząc dzieło zniszczenia, obalila dwunastometrową choinkę zdobiącą plac przed ratuszem miejskim, wybijając jej wierzchołkiem okno w gabinecie kierownika Okręgowego Urzędu Podatkowego.

Okolo siódmej wieczorem plugi przestały nadążać z usuwaniem świeżego śniegu. Kwadrans po siódmej autobus linii Trailways przepchał się przez Main Street prowadząc za sobą kilka samochodów osobowych podążających za nim niczym szczeniaki za matką, po czym ulica zupełnie opustoszała, jeśli nie liczyć kilku zaparkowanych przy krawężnikach wozów, zagrzebanych po zderzaki w przyzmacz śniegu odwalonych na bok przez plugi. Do rana wszystkie miały niemal zupełnie zniknąć w białych zaspach. Kierujący nie istniejącym ruchem sygnalizator, wiszący nad skrzyżowaniem Main Street z Basin Drive, tańczył dziko w podmuchach porywistego wiatru, aż wreszcie rozległ się donośny trzask, strzeliły iskry i światło zgasło. Akurat

wtedy przechodzili przez jezdnię trzej pasażerowie, którzy przed chwilą wysiedli z ostatniego wieczornego autobusu; zerknęli w górę, po czym przyspieszyli kroku.

O ósmej, kiedy państwo Cabot dotarli wreszcie do domu (ku ogromnej, lecz cichej uldze Leigh), wszystkie lokalne stacje radiowe nadawały apel Policji Stanowej o pozostanie w domach.

O dziewiątej, kiedy Michael, Regina i Arnie, wszyscy ze szklaneczkami gorącego rumu w dłoniach (zimowa specjalność wuja Steve'a), zgromadzili się w towarzystwie autora napitku i ciotki Vicky przed telewizorem, by obejrzeć Alastaira Sima w „Opowieści wigilijnej”, śnieg zasypał czterdziestomilowy odcinek głównej autostrady stanowej. Do rana miał ją zasypać prawie całą.

O wpół do dziesiątej, kiedy w opustoszałym Garażu Darnella nagle zapłonęły reflektory Christine, wycinając z ciemności jaskrawobiały stożek, Libertyville było już zupełnie wymarłe, jeśli nie liczyć przesuwających się od czasu do czasu ulicami pługów.

Silnik Christine zapalił i zgasł.

Zapalił i zgasł.

Dźwignia zmiany biegów przesunęła się na D.

Christine ruszyła z miejsca.

Przyczepiony do przeciwsłonecznej osłony po stronie kierowcy emiter wysłał wiązkę podczerwieni i drzwi z klekotem posłusznie powędrowały w górę. Do wnętrza wdarły się kłęby niesionego wiatrem śniegu.

Christine wyjechała z garażu jak duch, skręciła w prawo i pojechała ulicą, sunąc przez głęboki śnieg pewnie, bez wahania i najmniejszego poślizgu.

Zamigotał kierunkowskaz - samotne, bursztynowe oko w szalejącej zamieci. Christine skręciła w lewo, w kierunku John Kennedy Drive.

Don Vandenberg siedział w kantorze stacji benzynowej swojego ojca ze stopami opartymi na biurku i stojącym kutasem. Czytał jedną z pornograficznych książek ojca, niezwykle inspirujące i skłaniające do refleksji dzieło zatytułowane „Wilgotna Pammie”. Pammie przerznięli już wszyscy, którzy mieli na to ochotę, z wyjątkiem mleczarza i jej psa, ale mleczarz właśnie dzwonił do drzwi, a pies leżał na podłodze i merdal ogonem, kiedy zadźwięczał dzwonek, informując o pojawieniu się klienta.

Don z rozdrażnieniem oderwał wzrok od książki. Cztery godziny temu, o szóstej, zadzwonił do ojca z pytaniem, czy nie powinien zamknąć stacji - zanosilo się na to, że tej nocy ruch będzie tak mały, że nie zarobią nawet na rachunek za prąd zużyty przez neon. Jednak ojciec, siedzący wygodnie w ciepłym domu, kazał mu zostać aż do północy. Jeżeli na świecie istniał jakiś



odpowiednik Scrooge'a<sup>7</sup>, pomyślał Don odkładając z trzaskiem słuchawkę, to był nim właśnie jego stary.

Prawda wyglądała w ten sposób, że Don po prostu bał się siedzieć tu sam w nocy. Kiedyś, wcale nie tak dawno temu, miałby liczne towarzystwo. Na pewno byłby tu Buddy, Buddy zaś działał jak magnes, przyciągając innych alkoholem, czasem trawką, ale przede wszystkim siłą osobowości. Teraz jednak wszyscy nie żyli. Wszyscy, co do jednego.

Choć czasem Donowi wydawało się, że wcale tak nie jest. Nieraz odnosił wrażenie (szczególnie w nocy, kiedy był zupełnie sam, tak jak teraz), że kiedy podniesie wzrok, zobaczy ich siedzących w kantorku na tych samych miejscach co zwykle - Richie Trelawney po prawej, Moochie Welch po lewej, między nimi zaś Buddy z butelką „Texas Driver” w ręku i papierosem z marihuany wetkniętym za ucho. Wszyscy przeraźliwie bladzi jak wampiry, z oczami lśniącymi matowo jak oczy śniętych ryb. Buddy wyciągnąłby do niego butelkę i szepnął: *Pociągnij sobie, palancie. Już niedługo będziesz martwy tak jak my.*

Te przywidzenia bywały nieraz tak bardzo realne, że zasychało mu w gardle i trzęsły się ręce.

Doskonale wiedział, dlaczego tak się działo. Nigdy nie powinni byli podnieść ręki na samochód Ciporyjca. Wszyscy, którzy brali udział w tej wyprawie, zginęli straszną śmiercią - to znaczy wszyscy, z wyjątkiem jego i Sandy'ego Galtona, który pewnego dnia wsiadł do swego starego, poobijanego mustanga i odjechał w siną dal. Podczas długich nocy spędzanych na stacji benzynowej Don nieraz dochodził do wniosku, że chętnie zrobiłby to samo.

Na zewnątrz rozległo się zniecierpliwione trąbnięcie.

Don odłożył z trzaskiem książkę na biurko obok umazanej smarami maszynki do czytania kart kredytowych i wciągnął kurtkę, spoglądając przez okno i zastanawiając się, co za wariat wybrał się na przejażdżkę w taką gównianą pogodę. Jednak sypiący gęsto śnieg sprawił, że nie mógł dojrzeć ani kierowcy, ani jego samochodu; widział tylko świecące reflektory i niewyraźny zarys długiego nadwozia, zbyt długiego, żeby mógł to być jeden z produkowanych obecnie wozów.

Pewnego dnia, rozmyślał, zakładając rękawiczki i żegnając się niechętnie ze swoim wzwodem, pewnego dnia ojciec kupi samoobsługowe dystrybutory i wreszcie skończy się ta psia robota. Każdy, kto był na tyle szalony, żeby ruszać się z domu w taką noc, zasługiwał na to, żeby własnoręcznie nalać sobie paliwo.

Wiatr niemal wyrwał mu drzwi z ręki. Złapał je w ostatniej chwili, by nie zamknęły się z trzaskiem, gdyż mogłaby pęknąć wprawiona w nie szyba. Pośliznął się przy tym i o mało nie

---

<sup>7</sup> Ebenezer Scrooge - postać z „Opowieści wigilijnej” Karola Dickensa, stanowiąca uosobienie zgorzkniałej

wylądował na tyłku. Mimo bezustannego wycia wiatru (którego starał się nie słyszeć), zdecydowanie nie docenił rozmiarów burzy. Utrzymał się na nogach wyłącznie dzięki temu, że zapadły się do połowy łydek w śnieg. Ten pieprzony wóz ma chyba rakiety śnieżne - pomyślał z niechęcią. Jeśli facet będzie płacił kartą kredytową, przetrączę mu kręgosłup.

Brnąc w syrkim puchu dotarł do pierwszej wysepki z dystrybutorami. Ma się rozumieć, ten pieprzony kretyn podjechał do ostatniej. Podniósł na chwilę głowę, ale wiatr natychmiast sypnął mu w twarz lodowatym pyłem, więc opuścił ją prędko i naciągnął głębiej kaptur kurtki.

Wreszcie dotarł do samochodu, przeszedł przed nim, skąpany w zimnym blasku poczwórnych reflektorów, i podszedł do drzwi od strony kierowcy. W świetle zawieszonych nad dystrybutorami jarzeniówek nadwozie lśniło głębokim odcieniem szkarlatu. Don nie czuł już policzków. Jeżeli zażyczy sobie benzyny za dolara i będzie chciał, żebym sprawdził olej, każę mu stąd spieprzać - pomyślał i uniósł nieco głowę, wystawiając ponownie twarz na kąśliwe podmuchy wiatru. Szyba opuściła się bezszelestnie.

- Czym mogę panu s... - zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle, a zgłoska „s” w słowie „służyć” zamieniła się w bezsilny syk przerażenia.

Przez okno, nie dalej niż trzydzieści centymetrów od jego twarzy, wychylało się gnijące ciało. Zamiast oczu miało wielkie, puste jamy, a pomiędzy skurczonymi, zmumifikowanymi wargami kiwały się pożółkłe zęby. Jedna bielejąca w mroku ręka spoczywała na kierownicy, druga zaś z mrozącym krew w żyłach chrzęstem wyciągnęła się w jego stronę.

Don szarpnął się wstecz, czując, jak serce łomocze mu w piersi w szaleńczym tempie, a gardło zalewa roztopiony strumień strachu. Wychylający się z okna trup skinął na niego ręką; silnik samochodu nagle ożył i ryknął przeraźliwie, wspinając się na coraz wyższe obroty.

- Nalej do pełna - szepnęło monstrum. Mimo obezwładniającego przerażenia Don zauważył, że miało na sobie zapleśniałe i brudne resztki wojskowego munduru. - Nalej do pełna, zasrańcu.

Obnażone zęby wyszczerzyły się w blasku jarzeniówek, a w czarnej jamie ust błysnęło coś jakby ze złota.

- Pociągnij sobie, palancie - szepnął ochryple inny głos i na tylnym siedzeniu poruszył się Buddy Repperton, podając Donowi butelkę „Texas Driver”. Jego uśmiech był pełen wijących się robaków, pomiędzy resztkami włosów zaś uwijały się stada karaluchów. - Myślę, że ci się przyda.

Z ust Dona wyrwał się przeraźliwy wrzask. Odwrócił się i rzucił do ucieczki, sadząc przez głęboki śnieg wielkimi, komicznymi susami. Wrzasnął jeszcze raz, kiedy usłyszał za plecami morderczy ryk ośmiocylindrowego silnika. Zerknąwszy przez ramię zobaczył wreszcie, że to

Christine stoi przy dystrybutorze, a właściwie stała, bo właśnie w tej chwili ruszyła za nim, z tylnymi kołami buksującymi w sypkim śniegu. Zjawy, które widział przed chwilą, zniknęły, ale to wcale nie dodało mu otuchy. Samochód ruszył, choć miejsce za kierownicą było puste.

Skręcił w kierunku ulicy, wspiał się na zaspę usypaną przez pługi i zeskoczył na drugą stronę. Szalejący wiatr oczyścił dokładnie chodnik, pozostawiając na nim tu i ówdzie jedynie niewielkie splachetki lodu. Don pośliznął się na jednym z nich, stracił równowagę i runął na plecy.

W chwilę potem załaza go powódź białego światła. Przeturlał się na brzuch, podniósł głowę i wybaluszył przerażone oczy w samą porę, by ujrzeć, jak Christine przebija się przez śnieżną zaspę i pędzi na niego jak lokomotywa.

Podobnie jak Galia, tereny, na których leżało Libertyville, były podzielone na trzy części. Otaczające bezpośrednio miasto półkole niskich wzgórz znanych aż do połowy dziewiętnastego wieku pod nazwą „Pasma Wolności” (przypominała o tym tablica wmurowana w dwusetną rocznicę powstania Stanów Zjednoczonych na rogu Rogers i Tacklin Street) stanowiło jedyną rzeczywiście ubogą jego część. Była to mało atrakcyjna dzielnica mieszkań do wynajęcia i drewnianych domków. Nad podwórkami krzyżowały się niezliczone sznury do bielizny, pod którymi w cieplejsze pory roku kłębiły się gromady dzieci i piętrzyły sterty zabawek Fisher-Price; w większości przypadków zarówno zabawki, jak i dzieci znajdowały się w nie najlepszym stanie. Kiedyś mieszkali tu ludzie należący do klasy średniej, lecz od roku 1945, kiedy skończył się gospodarczy boom związany z rozwiniętą na wielką skalę produkcją przemysłu wojennego, okolica zaczęła stopniowo podupadać. Początkowo degradacja następowała dość powoli, by wyraźnie przybrać na tempie w latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych. Teraz doszło jeszcze najgorsze, choć nikt nie chciał powiedzieć tego na głos, a w każdym razie nie przy ludziach, którzy mogliby później powołać się na jego słowa. W sąsiedztwie osiedlało się coraz więcej czarnuchów. Szeptano o tym jedynie w ścisłym gronie znajomych, podczas przyjęć w lepszej części miasta: Niech Bóg ma nas w swojej opiece, bo do Libertyville przyjeżdża coraz więcej czarnuchów. Okolice ponownie zyskała własną nazwę, ale tym razem nie było to „Pasma Wolności”, lecz „Niskie Wzgórza”. Dla wielu osób sankcjonowało to powstanie czegoś w rodzaju załóżka przyszłego getta. Wydawca „Keystone” został dyskretnie poinformowany przez swoich najzamożniejszych sponsorów, że jeśli nazwa ta pojawi się kiedykolwiek w druku, tym samym oficjalnie potwierdzając swoje istnienie, wszyscy oni poczuliby się bardzo, ale to bardzo dotknięci. Wydawca, którego matce udało się nie wychować swoich dzieci na głupców, zatroszczył się o to, by coś takiego nigdy nie miało miejsca.

Heights Avenue odłącza się w samym mieście od Basin Drive, po czym zaczyna coraz bardziej piąć się w górę. Przeciawszy Niskie Wzgórza prowadzi przez dość rozległe tereny leśne, by dotrzeć wreszcie do najbardziej reprezentacyjnej dzielnicy, znanej po prostu jako Wzgórza. Wszystko to może wam się wydawać trochę niejasne - Wzgórza takie, Wzgórza owakie - ale mieszkańcy Libertyville dobrze wiedzieli, o czym mówią. Niskie Wzgórza oznaczały mniej lub bardziej zaawansowaną biedę, natomiast po odrzuceniu przymiotnika „niskie” otrzymywało się synonim bogactwa i zamożności. Wznosiły się tu piękne stare domy, w większości odsunięte dyskretnie od ulicy, niektóre ukryte za wysokimi żywopłotami. Mieszkali w nich ludzie rządzący miastem - wydawca gazety, czterej lekarze, bogata i lekko zwariowana wnuczka człowieka, który wynalazł sposób błyskawicznego wyrzucania pustych łusek z pistoletu maszynowego, a przede wszystkim prawnicy.

Za tą budzącą szacunek oazą malomiasteczkowej zamożności Heights Avenue prowadziła przez najprawdziwszy gęsty las, by po trzech milach dotrzeć do najwyższego punktu w okolicy, gdzie odbijała w lewo Stanson Road, kończąca się ślepo na Skarpie górującej nad całym miasteczkiem i kinem dla zmotoryzowanych.

Po drugiej stronie pasma niskich gór (również jednak zwanych Wzgórzami) rozciągał się teren zabudowany czterdziesto- i pięćdziesięcioletnimi, niszczącymi z wolna domami. Na wysokości ostatnich zabudowań Heights Avenue zamieniała się w drogę lokalną numer 2.

O wpół do jedenastej w wigilijny wieczór dwutonowy plymouth z 1958 roku sunął Heights Avenue, tnąc snopami światła ponurą, kipiącą śniegiem ciemność. Długoletni mieszkańcy tych terenów daliby głowę za to, że w taką pogodę mógłby tędy przejechać, i to z najwyższym trudem, tylko terenowy samochód z napędem na cztery koła, ale Christine jechała ze stałą prędkością trzydziestu mil na godzinę z zapalonymi reflektorami, wycieraczkami zamiatającymi przednią szybę, zupełnie pusta w środku. Zostawiała za sobą dwa samotne ślady, miejscami głębokie na trzydzieści centymetrów. Wiejący bez przerwy wiatr zasypywał je w okamgnieniu. Od czasu do czasu przedni zderzak uderzał w szczyt rosnącej na drodze przyzmy, wzbijając w górę fontannę białego pyłu.

Christine minęła Stanson Road i Skarpę, gdzie kiedyś przyjechali Arnie i Leigh, dotarła do najwyższego punktu drogi i zaczęła zjeżdżać w dół, najpierw przez ciemny las przecięty jedynie białą wstęgą szosy, potem między podmiejskimi domami o oknach rozświetlonych ciepłym, przytulnym blaskiem i kolorową poświatą bijącą od choinkowych lampek. W jednym z tych domów pewien młody człowiek, który właśnie odegrał rolę świętego Mikołaja, teraz zaś popijał z żoną drinka, ciesząc się kolejnymi szczęśliwymi świętami, zerknął przypadkiem w okno i dostrzegł reflektory sunącego przez ciemność samochodu. Pokazał je żonie.

- Jeśli ten facet przejechał tej nocy przez Wzgórza, to chyba musiał mieć diabła za pasażera - powiedział z uśmiechem.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła. - Dzieci już mają swoje prezenty, a co ja dostanę od świętego Mikołaja?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Zaraz coś wymyślimy.

Jeszcze dalej od centrum miasta, w miejscu, gdzie Wzgórza właściwie przestają już być wzgórzami, Will Darnell siedział w salonie skromnego, jednopiętrowego domu, którego właścicielem był od ponad trzydziestu lat. Miał na sobie spodnie od piżamy i stary, wytarty szlafrok, spod którego niczym księżyc w pełni wystawał jego opasły brzuch. Oglądał ostateczne nawrócenie Ebenezera Scrooge'a na drogę Dobra i Hojności, ale właściwie nic nie widział, gdyż jego umysł pracował nad rozwiązaniem coraz bardziej fascynującej układanki, usiłując dopasować do siebie rozrzucone bez ładu i składu elementy: Arnie, Welch, Repperton, Christine. Przez tydzień, jaki minął od wpadki, Will postarzał się co najmniej o dziesięć lat. Co prawda zapowiedział temu gliniarzowi Mercerowi, że najdalej za dwa tygodnie będzie znowu prowadził interes, ale w głębi duszy miał poważne wątpliwości, czy uda mu się dotrzymać obietnicy. Ostatnio ani na chwilę nie rozstawał się z inhalatorem, bez przerwy czując w gardle jego ohydny smak.

*Arnie, Welch, Repperton... Christine.*

- Hej, chłopcze! - zawołał Scrooge z ekranu telewizora, karykaturalnie świąteczna postać w koszuli nocnej i szlafmocy. - Czy ten indyk wciąż jeszcze leży na wystawie u rzeźnika?

- Jaki indyk? - zapytał chłopiec. - Ten taki wielki jak ja?

- Tak, tak! - odparł Scrooge, zanosząc się chichotem. Wyglądało to tak, jakby świąteczny nastrój, zamiast uratować go i skierować na właściwą drogę, przyprawił go o obłęd. - Ten tak wielki jak ty!

*Arnie, Welch, Repperton... LeBay?*

Chwilami wydawało mu się, że to wcale nie ostatnie przejścia z policją sprawiły, iż czuł się tak podle i bez przerwy czegoś się bał. Nie chodziło nawet o to, że zapuszkowali jego najlepszego pomocnika, że sprawą zainteresowali się ludzie z Federalnego Urzędu Podatkowego i że zachowywali się tak, jakby tym razem postanowili dobrać mu się porządnie do skóry. Przecież nie z ich powodu zaczął codziennie rano przed wyjściem z domu wyglądać ostrożnie na ulicę ani oglądać się ciągle za siebie, kiedy wracał późnym wieczorem z garażu.

Od tamtego pechowego dnia nie widział Arniego ani nie próbował skontaktować się z

nim telefonicznie. Początkowo chciał wykorzystać swoją wiedzę na temat Christine, aby zmusić go do trzymania języka za zębami, gdyby chłopak zmiękl i przyszła mu ochota zacząć mówić - jeżeli naprawdę zacząłby współpracować z policją, żaden cud nie uchroniłby Willa przed więzieniem. Dopiero kiedy policja pojawiła się jednocześnie we wszystkich newralgicznych punktach, uświadomił sobie, jak dużo Arnie wiedział, i przeżył jeden lub dwa nieprzyjemne momenty paniki (nieprzyjemne choćby przez to, że do tej pory właściwie nigdy nie zdarzyło mu się przeżyć nic takiego). Czy oni wszyscy wiedzieli o nim tak wiele? Nawet Repperton i jemu podobni, którzy przewinęli się przez garaż w ciągu minionych kilkunastu lat? Czyżby naprawdę był aż tak głupi?

Jednak doszedł do wniosku, że nie, że to tylko Cunningham. Dlatego że Cunningham był inny. Wydawał się niemal instynktownie rozumieć pewne rzeczy. Nie był jakimś naćpanym albo wiecznie podchmielonym workiem mięśni. Na swój sposób Will traktował go niemal po ojcowsku, choć oczywiście w każdej chwili bez wahania wyrzuciłby go za burtę, gdyby miało się okazać to niezbędne, by bezpiecznie dopłynąć do portu. Teraz też bym się nie zawahał - upewnił się w duchu.

W telewizorze czarno-biały Scrooge rozmawiał z Cratchetami. Film zbliżał się już do końca. Wszyscy wyglądali jak niespełna rozumu, ale najbardziej Scrooge. Wyraz obłąkanej radości w jego oczach przywiódł Willowi na myśl faceta nazwiskiem Everett Dingle, który pewnego popołudnia dwadzieścia lat temu wrócił z garażu do domu i wymordował całą rodzinę.

Will zapalił cygaro. Żeby tylko pozbyć się z ust tego wstrętnego, obrzydliwego smaku inhalatora! Ostatnio oddychanie sprawiało mu coraz więcej trudności. Przekłete cygara na pewno mu nie pomagały, ale był już zbyt stary, żeby zmieniać przyzwyczajenia.

Chłopak nie puścił pary z gęby - przynajmniej na razie. Adwokat Darnella doniósł mu natomiast, że udało im się przekabacić Henry'ego Bucka. Henry, który miał sześćdziesiąt trzy lata i był już dziadkiem, wyparłby się nawet trzy razy samego Chrystusa, gdyby tylko obiecali mu za to wolność albo choćby wyrok w zawieszeniu. Stary Henry Buck wyśpiewał wszystko, co wiedział, ale na całe szczęście nie było zbyt wiele. Wiedział na przykład o fajerwerkach i papierosach, które jednak stanowiły tylko dwa ogniwa w sześć- czy nawet siedmioogniowym łańcuchu, w którego skład wchodziły jeszcze alkohol, kradzione samochody, nie rejestrowana broń (w tym także pistolety maszynowe dla wariatów i sadystycznych myśliwych, którzy chcieli przekonać się na własne oczy, „czy naprawdę można tym podziurawić jelenia jak sito”), kradzione antyki z Nowej Anglii, a w ostatnich latach także kokaina. To był błąd, teraz zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Ci Kolumbijczycy z Miami byli świrnięci jak podgazowane szczury. Jak się nad tym trochę zastanowić, to właściwie byli szczurami. Dzięki Bogu, że chłopak nie wpadł

gliniarzom w łapy z półkilogramową paczką kokainy.

Cóż - pomyślał Will - tym razem nie ujdzie mi to całkiem na sucho. To, jak bardzo odczuje tę wpadkę, zależało w głównej mierze od niezwykłego siedemnastoletniego chłopaka i jego jeszcze bardziej niezwykłego samochodu. Sytuacja przypominała delikatny domek z kart i Will bał się cokolwiek zrobić albo powiedzieć, by go zupełnie nie rozwalić. Poza tym zawsze istniała możliwość, że Cunningham roześmieje mu się w twarz i nazwie go wariatem.

Ściskając w zębach cygaro, Will podniósł się z miejsca i wyłączył telewizor. Powinien położyć się do łóżka, ale przed tym naleje sobie jeszcze odrobinę brandy. Ostatnio był ciągle zmęczony, lecz miał poważne kłopoty z zaśnięciem.

Skierował się do kuchni... i w tej chwili na zewnątrz zatrąbił klakson, przebijając się przez wycie szalejącego wiatru.

Will znieruchomiał w drzwiach i okrył szlafrokiem wystający brzuch. Jego twarz, czujna, skupiona i wyostrożona, upodobniła się nagle do twarzy dużo młodszego człowieka. Odczekał jeszcze trochę.

Trzy kolejne, ostre trąbnięcia.

Odwrócił się, wyjął cygaro z ust i przeszedł przez salon. Przeniesione jakby wprost z sennego koszmaru uczucie *déjà vu* spłynęło po nim strumieniem ciepłej wody. Nagle nabral fatalistycznego przekonania, że niczego już nie zmieni. Wiedział, że to Christine, jeszcze zanim odsunął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Tak jak przypuszczał, zjawiała się po niego.

Samochód stał na początku półkolistego podjazdu, ledwo widoczna zjawa za zasłoną wirującego śniegu. Światło reflektorów grzęzło w zamieci. Przez chwilę Willowi wydawało się, że ktoś siedzi za kierownicą, ale kiedy zamrugał raptownie powiekami, przekonał się, że samochód jest pusty. Tak samo pusty jak tamtej nocy, kiedy wrócił sam do garażu.

*Tuut. Tuut. Tuut-tuut.*

Zupełnie jakby coś mówił.

Willowi serce zadudniło ciężko w piersi. Odwrócił się raptownie do telefonu. Nadszedł czas, żeby wreszcie zadzwonić do Cunninghama i powiedzieć mu, by okiełznał swego demona.

Znajdował się w połowie drogi, kiedy usłyszał przeraźliwy ryk silnika, przypominający wrzask rozwścieczonej kobiety. Zaraz potem rozległ się donośny chrzęst. Darnell wrócił do okna w samą porę, by ujrzeć, jak samochód wycofuje się z wysokiej zasy usypanej przez pługi przed wjazdem. Przysypana śniegiem atrapa była lekko wgięta. Silnik ryknął ponownie. Tylne koła zabuksowały przez sekundę w sybkim puchu, lecz zaraz odzyskały przyczepność i samochód skoczył naprzód, wbijając się głęboko w zaspę. Śnieg trysnął w górę obfitą fontanną i natychmiast uleciał, porwany przez silny wiatr.

Nigdy ci się to nie uda - pomyślał Will. A nawet gdybyś przedarła się na podjazd, to co, myślisz, że wyjdę cię przywitać?

Wciągając ze świstem powietrze podszedł do aparatu, odszukał w książce telefonicznej numer Arniego i zaczął wystukiwać go drżącymi, niepewnym palcami. Pomylił się, zaklął głośno, wdusił przycisk odwołania i zaczął od początku.

Na zewnątrz silnik Christine zaryczał po raz kolejny, po czym plymouth z loskotem wbił się znowu w zaspę. Silniejszy podmuch wiatru cisnął w panoramiczne okno salonu solidną porcją śniegu; szyby zadźwięczały cichutko, jakby zsunął się po nich drobny piasek. Will zwilżył językiem wargi, starając się oddychać możliwie spokojnie, ale czuł wyraźnie, jak gardło zaciska mu się coraz bardziej.

Wreszcie połączył się i w domu Cunninghamów zaczął dzwonić telefon. Trzy dzwonki. Cztery.

Znowu ryk silnika i zaraz potem głuche uderzenie.

Sześć dzwonek. Siedem. Nikogo nie ma.

- Cholera! - szepnął Will i odłożył z trzaskiem słuchawkę na widelki. Był śmiertelnie blady i miał szeroko rozwarte nozdrza, jak zwierzę, które zwęszyło zbliżający się ogień. Cygaro zgasło. Cisnął je na dywan i wsadziwszy rękę do kieszeni szlafroka wrócił pośpiesznie do okna. Jego dłoń natrafiła na znajomy kształt inhalatora; zacisnął palce na pistoletowym uchwycie.

Reflektory zaświeciły mu prosto w twarz, oślepiając go niemal całkowicie, więc Will uniósł wolną rękę, by osłonić oczy. Christine stopniowo wyrąbywała sobie drogę na podjazd. Obserwując, jak cofa się na drugą stronę szosy, zapragnął dziko, żeby nagle nadjechał pług śnieżny i z całej siły walnął przeklętą maszką w bok.

Ale pług nie nadjechał, Christine natomiast uderzyła ponownie, zalewając blaskiem reflektorów pokryty bielą trawnik i rozpychając gwałtownie na boki zwaly zamrażonego śniegu. Darnellowi wydawało się, że plymouth przebija resztki zasy broniącej dostępu do półkolistego podjazdu, ale tylne koła Christine straciły przyczepność i zaczęły obracać się w miejscu.

Cofnęła się.

Will miał wrażenie, jakby prześwit w jego gardle zmalał do rozmiarów łebka od szpilki. Płuca domagały się powietrza. Wyszarpnął z kieszeni inhalator, włożył go do ust i nacisnął przycisk. Policja. Powinien zawiadomić policję. Na pewno przyjadą. Plymouth Cunninghama nic mu nie zrobi. Jest bezpieczny w swoim domu. Jest...

Christine zaatakowała po raz kolejny, błyskawicznie nabierając prędkości na niemal nieprzejezdnej drodze. Jej przód uniósł się nieco, reflektory zalały dom swoim lodowatym światłem, i bez najmniejszego trudu przedarła się przez resztki lodowo-śniegowej bariery,



wpadając na podjazd. Dobra, udało jej się, ale to wszystko, bo przecież...

Nawet nie zwolniła, wręcz przeciwnie, jeszcze przyśpieszyła, przecięła ukosem podjazd i wzbijając w powietrze fontanny puszystego śniegu zalegającego trawnik runęła prosto ku panoramicznemu oknu, w którym stał Will Darnell.

Zatoczył się do tyłu, usiłując złapać powietrze szeroko otwartymi ustami, i przewrócił się o własny fotel.

Christine rąbnęła w dom. Okno eksplodowało, wpuszczając do środka dmący wściekle wiatr. Szyby rozprysły się na niezliczone, śmiertelnie groźne strzały odbijające i załamujące blask poczwórnych reflektorów. Niesiony wiatrem śnieg wpadł do salonu, zawirował niepewnie i opadł na dywan. Reflektory rozjaśniły na chwilę pokój nienaturalnym światłem telewizyjnych jupiterów, po czym Christine wycofała się, ciągnąc za sobą częściowo oderwany zderzak, z wypchniętą w górę maską i atrapą wykrzywioną w kapiącym chromem, wyszczerzonym uśmiechu.

Will dźwignął się na kolana i podparł rękami, rozpaczliwie próbując dostarczyć płucom choć odrobinę powietrza. Zdawał sobie niejasno sprawę z tego, że gdyby nie przewrócił się o fotel, prawdopodobnie zostałby posiekany na strzępy przez ostre jak brzytwa odłamki szkła. Wreszcie udało mu się podnieść na nogi; szlafrok rozsunał się i trzepotał rozpostartymi połami. Wpadający przez okno wiatr porwał ze stolika przy fotelu ostatni numer „TV Guide” i przeniósł aż pod prowadzące na piętro schody, szeleszcząc kartkami. Will złapał oburącz telefon i wcisnął 0.

Christine cofnęła się po własnych śladach wyłobionych w głębokim śniegu aż do rozbitej zasy na początku podjazdu, po czym ruszyła naprzód niczym pocisk; zderzak błyskawicznie wyprostował się i wrócił na miejsce, wygięta maska przybrała poprzedni kształt, rozbita atrapa wypełniła się lśniącymi chromowymi zębami. Znowu uderzyła w ścianę domu tuż poniżej panoramicznego okna. Posypało się jeszcze więcej szkła, drewniana konstrukcja budynku jęknęła i zadrżała w posadach. Parapet pękł na dwie części i do środka jak wielkie oko zajrzała przednia szyba Christine, pokryta licznymi rysami i mlecznym nalotem.

- Z policją - wydyszał Will do słuchawki głosem znacznie cichszym od szeptu. Szlafrok trzepotał w podmuchach lodowatego wiatru wpadającego do wnętrza przez roztrzaskane okno. Ściana pod parapetem wybrzuszyła się wyraźnie i popękała w wielu miejscach. Przez szczeliny niczym połamane kości wyglądały fragmenty poprzecznych desek, do których przybito zewnętrzną elewację. Chyba nie uda jej się wjechać do domu, prawda? Prawda?

- Przepraszam pana, ale czy mógłby pan mówić trochę głośniej? - odparła telefonistka. - Bardzo źle pana słyszę.

- Z policją... - powtórzył Will, lecz teraz nie był to nawet szept, tylko syk wyciskanego z

trudem z płuc powietrza. Dobry Boże, dusił się, nie mógł oddychać! Gdzie podział się jego inhalator?

- Proszę?

Tam, na podłodze. Will wypuścił słuchawkę i rzucił się po niego.

Christine zaatakowała ponownie; przemknęła z rykiem przez zaśnieżony trawnik i uderzyła z całej siły w bok domu. Tym razem rozległ się przeraźliwy trzask, ściana ustąpiła pod potwornym ciosem i w jakiś zupełnie niewiarygodny sposób pogięta i poobijana maska Christine znalazła się w salonie, w domu! Will poczuł zapach spalin i woń rozgrzanego silnika.

Christine musiała zaczepić o coś podwoziem, gdyż cofnęła się z mrozącym krew w żyłach skrzypieniem i hurgotem zrywanych desek. Jej przód przypominał dymiącą ruinę przysypaną obficie śniegiem i tynkiem. Jednak Darnell doskonale wiedział, że za chwilę czerwono-biały plymouth jeszcze raz ruszy do ataku i być może... być może...

Will chwycił inhalator i popędził na oślep ku schodom.

Udało mu się wspiąć zaledwie do połowy, kiedy usłyszał narastające wycie silnika. Zatrzymał się i odwrócił, nie tyle trzymając się poręczy, co opierając się na niej całym ciężarem ciała.

Z wysokości kilku stopni obserwował wydarzenia jakby z zupełnie nowej, koszarnej perspektywy. Widział Christine pędzącą przez trawnik z maską odgiętą do góry, tak że przypominała aligatora szarżującego z szeroko otwartą, utkaną zębiskami paszczą. Walnęła w dom z prędkością co najmniej czterdziestu mil na godzinę, wyrrywając do końca okienną futrynę i rozbijając w drzazgi kolejną warstwę desek. Jej rozjarzone reflektory podskoczyły raptownie, po czym Christine wjechała do domu, pozostawiając za sobą ogromną dziurę w ścianie i zerwany kabel elektryczny, kołyszący się smętnie jak rozszarpana tętnica. Obłoki zmiażdżonej izolacji z waty szklanej tańczyły w porywach zimnego wiatru jak nasiona dmuchawca.

Will wrzasnął, lecz jego krzyk nie zdołał przebić się przez ryk ośmiocylindrowego silnika. Założony przez Arniego tłumik - jedna z niewielu rzeczy, jakie rzeczywiście sam założył, przemknęła Darnellowi dzika myśl - został na podmurówce domu wraz z większą częścią rury wydechowej.

Plymouth przemknął rozpędem przez pokój, odtrąciwszy na bok fotel Darnella; fotel upadł na bok i znieruchomiał jak martwy kucyk. Podłoga skrzypnęła głośno, uginając się pod ciężarem samochodu, a w głowie Willa błysnęła oślepiająca myśl: Tak! Złam się! Złam się! Niech to gówno wpadnie do piwnicy! Zobaczymy, jak się stamtąd wygrzebie! Zaraz potem ujrzał oczami wyobraźni głęboką jamę wykopaną przez jakichś dzikusów i zamaskowaną starannie gałęziami, w którą zląpał się szalejący z wściekłości tygrys.

Jednak podłoga wytrzymała. Może tylko chwilowo, ale wytrzymała.

Christine zbliżała się błyskawicznie, pozostawiając za sobą na dywanie śnieżny odcisk swoich opon. Wreszcie uderzyła w podstawę schodów. Potworne pchnięcie cisnęło Willa na ścianę, inhalator wysunął mu się ze zmartwiałych palców i potoczył w dół po resztkach schodów, by znieruchomieć na podłodze pokoju.

Christine cofnęła się pod przeciwną ścianę, uderzając tyłem w telewizor. Nastąpiła implozja. Zaraz potem ponownie zaatakowała podstawę schodów, miażdżąc deski i odrywając ogromne połacie tynku. Will czuł wyraźnie, jak drewniana konstrukcja chwieje mu się pod nogami. Przez chwilę odniósł okropne wrażenie, że spada wraz z nią na dół. Christine znalazła się tuż pod nim; mógł zajrzeć w zarzyganą olejem czeluść przedziału silnikowego, poczuł na twarzy buchający stamtąd żar. Zaraz potem cofnęła się, a on popelzł w górę po schodach, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami, próbując za wszelką cenę rozluźnić tłustą obręcz ściskającą mu gardło i uniemożliwiającą zaczerpnięcie oddechu.

Dotarł na piętro na ułamek sekundy przed tym, jak Christine walnęła po raz kolejny w schody, zamieniając je niemal do połowy wysokości w bezkształtne rumowisko połamanych desek. Jakaś długa szczapa wpadła do silnika i dostała się do wentylatora, który błyskawicznie zamienił ją w garść trocin. W całym domu czuć było smród benzyny i gazów spalinowych, Willowi zaś huczało w uszach od bezlitosnego ryku potężnego silnika.

Christine wycofała się znowu, zwijając tylnymi kołami dywan w grube fałdy.

Na strych - pomyślał Will. Na strych. Tak, tam będę bezpieczny. Tam na pewno... o Boże... o Boże... BOŻE...

Ostatni atak bólu nadszedł nagle i zupełnie niespodziewanie. Zupełnie jakby ktoś wbił mu w serce lodowy sople. Lewe ramię Darnella zwisło bezwładnie. Nadal nie mógł złapać powietrza; jego pierś wznosiła się i opadała w bezsensownych spazmach. Zatoczył się do tyłu, przez ułamek sekundy zachwiał nad przepaścią, po czym runął w dół, obracając się dwukrotnie wokół własnej osi, powiewając połami szlafroka, z rozrzuconymi bezwładnie nogami i rękami.

Spadł z łoskotem na podłogę, a tam natychmiast dopadła go Christine. Uderzyła, cofnęła się, uderzyła ponownie, a potem jeszcze raz, i jeszcze.

Spod podłogowych desek zaczęło dobiegać coraz głośniejsze skrzypienie uginających się dźwigarów. Christine zatrzymała się na chwilę pośrodku pokoju, jakby nasłuchując; z dwóch opon uszło zupełnie powietrze, trzecia zsunęła się częściowo z obręczy, cały lewy bok był wgnieciony, lakier zdrapany niemal do gołej blachy.

Nagle dźwignia zmiany biegów przesunęła się na wsteczny, silnik zawył i plymouth wycofał się błyskawicznie ku dziurze w ścianie domu Darnella. Tył ugrzązł na chwilę w śniegu,

koła zabuksowały, lecz zaraz odzyskały przyczepność i wyciągnęły dwutonowe cielsko na zewnątrz. Christine skierowała się powoli w kierunku drogi, skrzypiąc, kołysząc się z boku na bok, gubiąc obficie olej i pozostawiając za sobą gęsty obłok błękitnych, cuchnących spalin.

Dotarwszy do szosy skręciła w stronę Libertyville. Dźwignia przeskoczyła na D, lecz uszkodzona skrzynia biegów nie chciała działać. Udało się dopiero za trzecim razem i Christine potoczyła się powoli przed siebie, oddalając się coraz bardziej od zniszczonego domu Willa Darnella. Smuga światła padała przez wybitą w ścianie wyrwę na śnieg, układając się tam w niemal regularny prostokąt, tak jakby okno było wciąż na swoim miejscu i nic się nie stało. Był to zupełnie bezsensowny i bardzo niepokojący widok.

Christine sunęła powoli, zataczając się na przedziurawionych oponach jak stary pijak wracający do domu. Śnieg padał obficie, niesiony podmuchami nie słabnącego ani na chwilę wiatru.

Zamigotał i ożył jeden z reflektorów zniszczonych podczas ostatniego ataku.

W oponach pojawiło się powietrze.

Kłęby oleistych spalin zrzędyły, by wreszcie wrócić zupełnie do normy.

Silnik przestał krztusić się i przerywać.

Brakujące fragmenty maski zaczęły pojawiać się z nicości, jakby robione na drutach przez jakąś niewidzialną panią domu; odrastały jeden za drugim, najpierw w kolorze surowej blachy, by zaraz sczerwień, jakby nasączone krwią.

Pęknięcia na przedniej szybie kurczyły się błyskawicznie, pozostawiając za sobą nieskazitelnie gładką powierzchnię.

Jeden po drugim zapłonęły pozostałe reflektory. Christine przyspieszyła tempo, prac bez wahania przez nocną zamięć tuż za jaskrawym stożkiem światła.

Licznik mil obracał się płynnie do tyłu.

Czterdzieści pięć minut później stała już w Garażu Darnella na stanowisku numer dwadzieścia. Wiatr wyl i zawodził między piętzącymi się na zewnątrz stosami zardzewiałych wraków, z których większość miała zapewne swoje własne upiory i bolesne wspomnienia, zasypując śniegiem zmurszałe siedzenia i odarte z wykładziny podłogi.

Silnik Christine stygl, cykając cichutko.

**CZĘŚĆ III**  
**CHRISTINE - PIOSENKI O ŚMIERCI**

### 43. LEIGH PRZYCHODZI Z WIZYTĄ

*James Dean w swoim mercury 49,  
Johnson Bonner w wypięszczonej caroline,  
Nawet Burt Reynolds w czarnym trans-amie,  
Wszyscy spotkają się kiedyś na Ranczu Cadillaców.*

Bruce Springsteen

Mniej więcej na kwadrans przed przyjściem Leigh zlałem z łóżka i przeszedłem o kulach do krzesła stojącego w pobliżu drzwi, żeby usłyszała mnie, kiedy krzyknę, że może wejść, po czym wziąłem do ręki egzemplarz „Esquire” i zająłem się ponownie artykułem zatytułowanym „Następny Wietnam”, którego lektura stanowiła część mojej pracy domowej. Niewiele z niego rozumiałem. Byłem zdenerwowany, spięty, a także - czy raczej przede wszystkim - zniecierpliwiony. Nie mogłem się doczekać, kiedy znowu ją zobaczę.

Dom był zupełnie pusty. Wkrótce po tym, jak Leigh zadzwoniła do mnie w tę śnieżną Wigilię, wziąłem tatę na stronę i zapytałem, czy po południu dwudziestego szóstego nie mógłby zniknąć na jakiś czas, zabierając ze sobą mamę i Elaine.

- Czemu nie? - zgodził się bez większych problemów.

- Dziękuję, tato.

- Ale zrewanżujesz mi się kiedyś, dobrze?

- Tato!

Mrugnął poważnie.

- Pomogę ci, jeśli ty mi pomożesz, czy nie tak?

- Niezły z ciebie numer - zauważyłem.

- Masz rację - potwierdził.

Mój ojciec nie jest idiotą, więc zapytał mnie, czy ta sprawa ma jakiś związek z Arniem.

- To chyba jego dziewczyna, prawda?

- Cóż... - bąknąłem, nie bardzo wiedząc, jak właściwie przedstawia się sytuacja i czując się trochę nieswojo z powodów, o których nie miałem zamiaru go informować. - Była nią. Nie mam pojęcia, jak jest teraz.

- Kłopoty?

- Wygląda na to, że nie bardzo sprawdziłem się jako jego oczy, co, tato?

- Trudno to ocenić ze szpitalnego łóżka. Zgoda, zabiorę gdzieś twoją matkę i Elaine we wtorek po południu, ale bądź bardzo ostrożny, dobrze?

Od tamtej pory zastanawiałem się niemal bez przerwy, co mógł mieć na myśli. Z pewnością nie chodziło mu o to, że mógłbym spróbować zniewolić Leigh, bo przecież miałem jeszcze gips i ledwo się poruszałem. Raczej obawiał się, że stało się coś bardzo niedobrego, w wyniku czego mój najlepszy przyjaciel z dzieciństwa stał się dla mnie zupełnie obcym człowiekiem, i to w dodatku takim, który całkiem niedawno popadł w konflikt z prawem.

Jeżeli o mnie chodzi, to nie miałem najmniejszych wątpliwości, że istotnie dzieje się coś paskudnego i cholernie się tego bałem. „Keystone” nie ukazuje się w święta, ale wszystkie kanały telewizyjne z Pittsburgha były pełne relacji o tym, co stało się z Willem Darnellem, pokazując nieprawdopodobne, przerażające relacje z jego domu. Cała ściana od strony drogi przestała po prostu istnieć. Było to jedyne określenie oddające to, co tam się stało. Zupełnie jakby jakiś szalony hitlerowiec wjechał mu do domu tygrysem. Dzisiaj wszystko było opisane na pierwszych stronach gazet. ZAGADKOWA ŚMIERĆ PODEJRZANEGO O UDZIAŁ W AFERZE PRZEMYTNICZEJ. Brzmiało paskudnie, a do tego jeszcze wielkie zdjęcie przedstawiające dom Darnella z ogromną dziurą z boku. Naprawdę nieswojo zrobiło mi się jednak dopiero wtedy, kiedy zajrzałem na stronę trzecią. Ta relacja została opatrzona mniejszym nagłówkiem, gdyż Darnell był „podejrzany o udział w aferze przemytniczej”, Don Vandenberg zaś tylko zwykłym gnojkiem pracującym na stacji benzynowej.

„Pracownik stacji benzynowej zabity w Wigilię przez nieznanego kierowcę” - głosił tytuł, po którym następowała relacja zajmująca jedną kolumnę. Na zakończenie szef Policji Miejskiej wyraził przypuszczenie, iż sprawca najprawdopodobniej znajdował się pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Ani on, ani dziennikarze nie łączyli tych dwóch śmierci; nastąpiły w odległości dziesięciu mil od siebie podczas nocnej burzy śnieżnej, która sparaliżowała cały ruch kołowy w Ohio i zachodniej Pensylwanii. Ja jednak natychmiast je skojarzyłem. Nie chciałem, ale nic nie mogłem na to poradzić. A czy ojciec nie zerkał na mnie jakoś tak dziwnie od samego rana? Tak. Raz czy dwa wydawało się, że coś powie - nie miałem najmniejszego pojęcia, jak bym wtedy zareagował. Dziwaczna śmierć Willa Darnella nie była nawet w połowie tak dziwaczna, jak moje podejrzenia. Jednak tata w końcu nic nie powiedział, co przyjąłem z ogromną ulgą.

Dwie minuty po drugiej zadźwięczał gong u drzwi.

- Wejź! - krzyknąłem, podnosząc się o kulach z krzesła.

Drzwi uchyliły się i Leigh wsunęła ostrożnie głowę.

- Dennis?

- Tak, tak. Wejź, proszę.

Weszła. W jaskrawoczerwonej kurtce narciarskiej i ciemnogrnatowych spodniach wyglądała wprost prześlicznie. Zsunęła z głowy obszyty futerkiem kaptur.

- Siadaj - powiedziała, rozpinając kurtkę. - Siadaj, to rozkaz. Wyglądasz jak bocian.

- Piękne dzięki - odparłem i opadłem na krzesło z głośnym kłapnięciem. Niestety, w życiu nie jest tak jak w filmach. Kiedy wsadzą cię w gips, nigdy nie uda ci się usiąść z takim wdziękiem jak Cary'emu Grantowi, kiedy szykował się do wypicia drinka z Ingrid Bergman. Po prostu walisz się na krzesło całym ciężarem i możesz uważać się za szczęśliwca, jeśli nie rozpadnie się pod tobą albo poduszka nie wyda jakiegoś niezbyt przyzwoitego odgłosu. Tym razem udało mi się. - Uwielbiam komplementy.

- Jak się czujesz, Dennis?

- Pomału wracam do siebie. A ty?

- Bywało lepiej - odparła cicho i przygryzła dolną wargę. Dziewczyny robią to czasem, kiedy zalecają się do chłopaka, ale tym razem o niczym takim nie było nawet mowy.

- Powieś kurtkę i usiądź - zaproponowałem.

- Dobra.

Spojrzała mi prosto w oczy; było to dla mnie trochę za wiele, więc skierowałem wzrok gdzieś w bok i pomyślałem o Arniem.

Powiesiła kurtkę w holu, po czym wróciła powoli do salonu.

- Czy twoi rodzice...

- Poprosiłem tatę, żeby wszystkich zabrał - odparłem. - Pomyślałem, że ta rozmowa powinna zostać tylko między nami dwojgiem - dodałem z lekkim wzruszeniem ramion.

Zatrzymała się przy kanapie, spoglądając na mnie przez całą szerokość pokoju. Po raz kolejny uderzyło mnie, jak prosta i naturalna jest jej uroda: wspaniała figura ukryta pod ciemnogrnatowymi spodniami i popielatoniebieskim sweterkiem, jakby lada chwila miała zamiar wybrać się na narty. Zebrane w koński ogon włosy spoczywały na lewym ramieniu. Oczy miała koloru swetra, no, może odrobinę ciemniejsze. Wykarmiona kukurydzą typowa amerykańska piękność, można by powiedzieć, gdyby nie wysokie kości policzkowe nadające jej twarzy odrobinę arogancki wyraz, świadczące o bardzo starym, egzotycznym dziedzictwie; kto wie, może przed piętnastoma lub dwudziestoma pokoleniami udaloby się znaleźć w jej drzewie genealogicznym jakiegoś wikinga?

A może patrząc na nią myślałem o czymś zupełnie innym?

Dostrzegła utkwione w niej spojrzenie i zarumieniła się. Pośpiesznie odwróciłem wzrok.

- Dennis, czy ty martwisz się o niego?

- Czy się martwię? Jestem przerażony!



- Co wiesz o tym samochodzie? Powiedział ci coś?

- Niewiele - przyznałem. - Posłuchaj, może masz ochotę napić się czegoś? Zdaje się, że jest coś w lodówce... - Sięgnąłem po kule.

- Nie ruszaj się - powstrzymała moje zapędy. - Owszem, chętnie się czegoś napiję, ale sama to sobie przyniosę. Co dla ciebie?

- Może być ginger, ale, oczywiście, jeśli jeszcze został choć jeden.

Poszła do kuchni, a ja obserwowałem jej cień na ścianie; poruszała się bardzo lekko, jak tancerka. Przez chwilę poczułem w żołądku zwiększony ciężar, prawie mdłości. Te mdłości mają swoją specjalną nazwę. Odczuwasz je wtedy, kiedy zakochujesz się w dziewczynie swojego najlepszego przyjaciela.

- Masz maszynę do robienia lodu - dobiegł mnie jej głos. - To znakomita rzecz. My też musimy taką kupić.

- Czasem coś jej odbija i zasypuje całą kuchnię kostkami lodu - odparłem. - Matka strasznie się wtedy wścieka i każe mi sprzątać. - Paplałem, co mi ślina na język przyniesie.

Leigh roześmiała się. Lód zadźwięczał w szklankach. Wkrótce potem wróciła z dwiema szklankami wypełnionymi lodem i dwiema puszkami canada dry.

- Dziękuję - powiedziałem, biorąc swoją szklankę i puszkę.

- To ja ci dziękuję - odparła. Jej błękitne oczy ściemniały i spoważniały. - Dziękuję za to, że jesteś przy mnie. Gdybym musiała sama dać sobie z tym radę, chyba bym... Zresztą, nie wiem.

- Daj spokój - powiedziałem. - Nie jest jeszcze tak źle.

- Czyżby? Wiesz już o Darnellu?

Skinąłem głową.

- A o tym drugim, Vandenbergu?

A więc ona też skojarzyła ze sobą te fakty.

Ponownie skinąłem głową.

- Czytałem w gazecie. Leigh, co najbardziej niepokoi cię w Christine?

Milczała tak długo, że straciłem już prawie nadzieję, czy mi odpowie. Czy w ogóle będzie w stanie odpowiedzieć. Widziałem, jak walczy ze sobą, ściskając szklankę w obu dłoniach.

- Wydaje mi się, że chciała mnie zabić - wyszeptala wreszcie.

Nie mam pojęcia, czego się spodziewałem, ale na pewno nie tego.

- Jak to?

Zaczęła mówić - najpierw powoli, z oporami, potem coraz szybciej. Znaście już tę historię, więc nie będę jej powtarzał. Powiem tylko tyle, że starałem się przekazać ją wam dokładnie w takiej formie, w jakiej ją usłyszałem. Leigh wcale nie żartowała mówiąc, że jest przerażona; było

to widać w wyrazie jej twarzy, w nerwowych poruszeniach rąk rozcierających bez przerwy ramiona, jakby mimo ciepłego swetra zmarzła po drodze z domu, a także słychać w łamiącym się, bezradnym głosie. Im dłużej trwała ta opowieść, tym bardziej udzielał mi się jej strach.

Zakończyła wyznaniem, że gdy tracąc świadomość spojrzała na tablicę przyrządów, odniosła wrażenie, że zielone lampki zamieniły się w czujne, nienawistne oczy. Zaraz potem roześmiała się niepewnie, jakby chcąc w ten sposób odebrać swoim słowom absurdalny wydźwięk, ale mnie wcale nie było do śmiechu. Wciąż jeszcze miałem w uszach suchy głos George'a LeBaya, opowiadającego mi przed drzwiami motelowego pokoju o Rolandzie, Weronice i Ricie, i mój mózg natychmiast kojarzył te fakty z nowymi, dostarczanymi mu informacjami. W ciemności zapalało się coraz więcej świateł, ja jednak wcale nie byłem zachwycony tym, co ukazywało się w ich blasku. Serce zaczęło walić mi głośno w piersi; nie potrafiłbym roześmiać się teraz, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Powiedziała o ultimatum, jakie mu przedstawiła - ona albo samochód - oraz o gwałtownej reakcji Arniego. Była to ich ostatnia randka.

- Potem został aresztowany, a ja... ja zaczęłam myśleć o tym, co się stało z Buddym Reppertonem... i Moochiem Welchem...

- A teraz z Vandenbergiem i Darnellem.

- Tak. Ale to nie wszystko. - Pociągnęła nieco gingera, a następnie drżącą ręką przelała do szklanki to, co jeszcze zostało w puszcze. - W Wigilię, kiedy do ciebie dzwoniłam, rodzice poszli na drinka do szefa mojego taty, a ja zaczęłam się denerwować. Myślałam o... Och, sama nie wiem, o czym myślałam.

- Wydaje mi się, że jednak wiesz.

Potarła dłonią czoło, jakby nagle rozboleła ją głowa.

- Chyba tak. Wyobraziłam sobie, że ten okropny samochód wydostał się na wolność... że ona wydostała się na wolność i zaczęła się na nich. Ale nawet jeśli jej się to udało, to przypuszczam, że miała wtedy tyle do roboty, że nie starczyło jej czasu na moich staruszków. - Odstawiła szklankę tak głośno, że aż podskoczyłem. - Boże, czemu wciąż myślę o tym samochodzie, jakby to była jakaś osoba?! - zawołała, a po jej policzkach zaczęły toczyć się łzy. - Czemu to robię?

Tamtego wieczoru zrozumiałem dokładnie, do czego może doprowadzić próba pocieszenia Leigh. Między nami stał nie tylko Arnie, lecz także część mnie samego. Znałem go przecież od dawna. Od bardzo dawna.

Ale wtedy było wtedy, a teraz było teraz.

Dźwignąłem się za pomocą kół z krzesła, przekuśtykałem przez pokój i klapnąłem obok

niej na kanapie. Poduszki westchnęły głośno. Niewiele brakowało, a rozległby się kompromitujący odgłos.

Matka zawsze trzymała w szufladzie małej szafki stojącej przy kanapie paczkę jednorazowych chusteczek. Wyciągnąłem opakowanie kleeneksów i podałem Leigh, po czym, częściowo wbrew sobie, objąłem ją ramieniem.

Na chwilę zeszywniała... a potem pozwoliła się przytulić. Cała drżała. Siedzieliśmy tak przez jakiś czas, oboje przerażeni, bojąc się poruszyć. Po drugiej stronie pokoju cykał zarozumiale stojący na kominku zegar. Przez wychodzące na ulicę okna wpadały jasne promienie zimowego słońca. Zamięć ucichła około południa w pierwszy dzień świąt i teraz pogodne, bezchmurne niebo zdawało się zaprzeczać, że w ogóle istnieje coś takiego jak śnieg, lecz potwierdzały to z kolei wydmowe zasy pyłki ciągnące się wzdłuż ulicy, przypominające grzbiety pogrążonych w głębokim śnie bestii.

- Ten zapach - powiedziałem wreszcie. - Jesteś pewna, że go czułaś?

- Oczywiście! - Wyprostowała się i odsunęła trochę ode mnie. Cofnąłem ramię, czując jednocześnie ulgę i rozczarowanie. - Był zgnily i wstrętny. - Spojrzała na mnie. - Dlaczego pytasz? Ty też go czułaś?

Potrząsnąłem głową. Nie czułem go. Właściwie nie.

- W takim razie, co wiesz o tym samochodzie? Na pewno coś wiesz. Widzę to po twojej twarzy.

Teraz z kolei ja musiałem się długo i poważnie zastanowić, lecz nie wiedzieć czemu właśnie w tej chwili przypomniałem sobie ilustrację z jakiegoś podręcznika fizyki przedstawiającą reakcję jądrową. Była to właściwie historyjka obrazkowa. Wiem, że w podręcznikach fizyki nie powinno być miejsca na historyjki obrazkowe, ale, jak ktoś mi kiedyś powiedział, upowszechnianie wiedzy kroczy różnymi, często bardzo krętymi ścieżkami. (Zdaje się, że tym kimś był właśnie Arnie). Na obrazkach widniały dwa pędzące ku sobie atomy, które następnie zderzały się, rozplaszczając jak dwie kulki świeżego ciasta. I to wszystko. Żadnych zniszczeń, atomowych ambulansów odwożących z miejsca wypadku ranne i martwe neutrony, żadnej masy krytycznej, reakcji łańcuchowej ani innych nieprzyjemnych rzeczy,

Jednak niemal natychmiast doszedłem do wniosku, że to wspomnienie wcale nie powinno wywoływać mojego zdziwienia. Leigh dysponowała pewnymi informacjami, o których ja nie miałem pojęcia, i na odwrót. Oboje w dość dużym stopniu musieliśmy zdać się na domysły, w obu przypadkach znaczną rolę odgrywały subiektywne uczucia i okoliczności, ale i tak to, o czym wiedzieliśmy na pewno, było bardziej niż przerażające. Przemknęła mi myśl, co by zrobiła policja, gdyby wiedziała to co my. Odpowiedź była bardzo prosta: nic. Czy można postawić przed sądem

ducha? Albo samochód?

- Dennis...?

- Zastanawiam się - odparłem. - Nie widzisz, jak dymi mi się z uszu?

- Co wiesz? - zapytała jeszcze raz.

*Kolizja. Masa krytyczna. Reakcja łańcuchowa. Łubu-du.*

W gruncie rzeczy nie dawało mi spokoju tylko jedno: jeśli zbierzemy wszystkie posiadane przez nas informacje, będziemy musieli coś zrobić albo komuś o tym powiedzieć. Będziemy musieli podjąć jakieś działanie.

Przypomniałem sobie swój sen: samochód stojący w garażu LeBaya, silnik pracujący na wolnych obrotach, nagły ryk, pisk opon...

Ująłem jej dłonie.

- W porządku - powiedziałem. - Posłuchaj. Arnie kupił Christine od człowieka, który wkrótce potem zmarł. Nazywał się Roland D. LeBay. Pewnego dnia, kiedy wracaliśmy z pracy do domu, zobaczyliśmy ją na trawniku przed jego domem i...

- Ty też to robisz - przerwała mi cichym głosem.

- Co takiego?

- Mówisz: „ona”.

Skinąłem głową, nie wypuszczając jej dłoni z uścisku.

- Wiem o tym. Trudno się od tego odzwyczaić. W każdym razie chodzi o to, że Arnie zapragnął jej - go, tego, czymkolwiek jest ten samochód - od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał. Wtedy nie przyszło mi to do głowy, ale teraz wydaje mi się, że LeBay równie mocno życzył sobie, żeby trafiła właśnie w ręce Arniego. Gdyby nie miał innego wyboru, pewnie oddałby mu ją za darmo. Zupełnie jakby i on, i Arnie doznali czegoś w rodzaju objawienia.

Leigh uwolniła dłonie i zaczęła nerwowo rozcierać nimi łokcie.

- Arnie powiedział, że zapłacił...

- Owszem, zapłacił. I nadal płaci. O ile to jeszcze w ogóle jest Arnie.

- Nie rozumiem.

- Zaraz ci to wyjaśnię. Ale najpierw pozwól, że wprowadzę cię w całą historię.

- W porządku.

- LeBay miał żonę i córkę. Było to dawno temu, jeszcze w latach pięćdziesiątych. Córka umarła na poboczu drogi. Udławiła się hamburgerem.

Twarz Leigh zbladła tak bardzo, że przez chwilę wydawała się zrobiona z mlecznego, półprzeźroczystego szkła.

- Leigh! - wykrzyknąłem. - Co ci jest?

- Nic - szepnęła z mrożącym krew w żyłach spokojem, nadal niesamowicie blada. Jej usta wykrzywiły się w przerażającym grymasie, który chyba miał być uspokajającym uśmiechem. - Zupełnie nic. - Wstała z kanapy. - Gdzie tu jest łazienka?

- Na końcu holu. Wyglądasz okropnie.

- Chyba zaraz zwymiotuję - powiedziała tym samym spokojnym głosem i ruszyła we wskazanym kierunku. Taneczna swoboda ruchów zniknęła bez śladu; szła niepewnym, rozkolysanym krokiem, jak uszkodzona marionetka. Wyszła powoli z pokoju, ale w holu zaczęła biec. Usłyszałem trzask otwieranych i zamykanych drzwi łazienki, a potem... odgłosy. Oparłem się na kanapie i ukryłem twarz w dłoniach.

Kiedy wróciła, była nadal blada, ale już nie tak bardzo jak przedtem. Umyła twarz, gdyż po policzkach i brodzie ściekały jej jeszcze krople wody.

- Przepraszam - powiedziałem.

- W porządku. Po prostu... przestraszyłam się trochę. - Uśmiechnęła się smutno. - To chyba za mało powiedziane. - Spojrzała mi w oczy. - Powiedz mi jeszcze tylko jedno, Dennis. Czy to prawda? Czy to na pewno prawda?

- Tak - odparłem. - Ale to jeszcze nie wszystko. Jesteś pewna, że chcesz usłyszeć resztę?

- Nie. Ale mimo to powiedz.

- Moglibyśmy dać sobie z tym spokój - podsunąłem jej myśl, w którą sam za bardzo nie wierzyłem.

- Chyba będzie lepiej, jeśli tego nie zrobimy - odparła, nie spuszczać wystraszonego spojrzenia z moich oczu.

- Wkrótce po śmierci córki jego żona popełniła samobójstwo.

- A samochód?

- Brał w tym udział.

- W jaki sposób?

Powiedziałem jej wszystko - nie tylko o małej dziewczynce i jej matce, ale także o samym LeBayu, takim jakiego przedstawił mi jego brat George. O jego bezdennych pokładach gniewu. O dzieciach natrzęsających się z jego ubrania i fryzury. O ucieczce do wojska, gdzie wszyscy ubierali się i strzygli jednakowo. O warsztatach samochodowych. O ciągłym złorzeczeniu na zasrańców, szczególnie na tych, którzy dawali mu do naprawy na koszt państwa swoje drogie, luksusowe samochody. O drugiej wojnie światowej. O jego bracie, Drewie, zabitym we Francji. O starym chevrolecie i równie starym hudsonie cornet. A wszystko to przy nieprzerwanym akompaniamencie jego nieskończonej wściekłości.

- To słowo... - mruknęła Leigh.

- Jakie słowo?

- Zasańcy. - Wypowiedziała je z; wyraźnym trudem, marszcząc nos w nieświadomym odruchu obrzydzenia. - Arnie też go używa.

- Wiem.

Popatrzyliśmy na siebie i jej ręce znowu znalazły się w moich.

- Masz zimne dłonie. - Była to jeszcze jedna nadzwyczaj inteligentna uwaga Dennisa Guildera, niewyczerpanej fontanny mądrości. Mam ich w zapasie całe mnóstwo.

- Tak. Wydaje mi się, że już nigdy nie będą ciepłe.

Zaprzagnąłem objąć ją i przytulić, lecz nie zrobiłem tego. Bałem się. Arnie wciąż jeszcze miał zbyt wiele wspólnego z tym wszystkim. Najokropniejsze było to, że z każdą chwilą coraz bardziej wydawał się martwy... Martwy albo pod wpływem jakiegoś tajemniczego zaklęcia.

- Czy jego brat powiedział coś jeszcze?

- Nic, co by miało jakieś znaczenie.

Jednak natychmiast pojawiło się wspomnienie, niczym bańka powietrza unosząca się z głębin: „Był opanowany obsesją i gniewem, ale nie był potworem. A w każdym razie... nie wydaje mi się, żeby nim był”. Odniosłem wtedy wrażenie, że George LeBay chciał dodać coś jeszcze, ale nagle przypomniał sobie, gdzie jest i że rozmawia z zupełnie obcym człowiekiem. Co to mogło być?

Nagle przyszła mi do głowy potworna myśl. Odepchnąłem ją natychmiast, ale okazało się to bardzo trudne. Zupełnie jakbym próbował odepchnąć fortepian. Wciąż widziałem w mroku jej przerażające zarysy.

Uświadomiłem sobie, że Leigh przygląda mi się uważnie, i zastanowiłem się z niepokojem, jak duża część tych myśli znalazła odbicie na mojej twarzy.

- Wziąłeś adres pana LeBaya? - zapytała.

- Nie. - Staralem się przypomnieć sobie przebieg pogrzebu, choć wydawało mi się, jakby minęło od niego już co najmniej kilka lat. - Ale przypuszczam, że mają go w Legionie Amerykańskim. Zorganizowali uroczystość i zawiadomili brata. A czemu pytasz?

Leigh tylko potrząsnęła głową, podeszła do okna i spojrzała na oślepiająco piękny dzień, a następnie odwróciła się ponownie do mnie, ja zaś po raz kolejny zachłysnąłem się jej urodą, chłodną i spokojną, jeśli nie liczyć tych wysokich kości policzkowych kojarzących się natychmiast z damami uganiającymi się po prerii z nożem za pasem.

- Powiedziałeś, że coś mi pokażesz. Co to takiego?

Było już za późno, żeby się wycofać. Rozpoczęła się niemożliwa do zatrzymania reakcja

łańcuchowa.

- Wejź na górę - powiedziałem. - Mój pokój jest drugi po lewej stronie. Zajrzyj do trzeciej szuflady od góry w szafce. Będziesz musiała pogrzebać w moich gatkach, ale nie powinny cię pogryźć.

Uśmiechnęła się - co prawda tylko odrobinę, ale i tak stanowiło to znaczny postęp.

- I co tam znajdę? Paczuszkę z prochami?

- Rzuciłem to w ubiegłym roku - odparłem, także się uśmiechając. - Teraz jestem lekomanem. Zdobywam pieniądze sprzedając heroinę smarkaczom z podstawówki.

- Więc co tam masz? Ale serio.

- Uwieczniony na gipsie podpis Arniego.

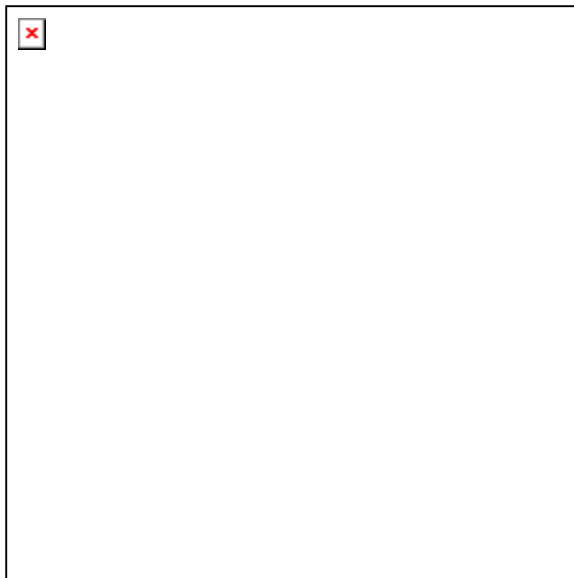
- Podpis?

Skinąłem głową.

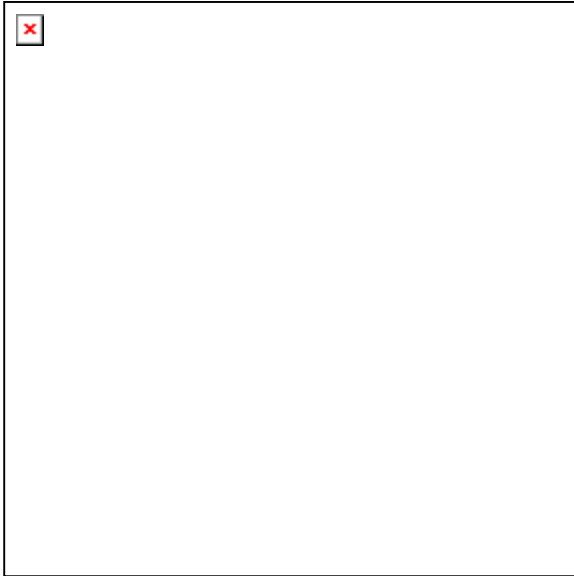
- W dwóch egzemplarzach.

Przyniosła to, o co prosiłem, i w pięć minut później siedzieliśmy znowu razem na kanapie, wpatrując się w dwa kawałki gipsowego opatrunku. Leżały obok siebie na szklanym blacie stolika do kawy, lekko wygięte, pokryte fragmentami także innych napisów. Przy zdejmowaniu opatrunków powiedziałem pielęgniarzowi, gdzie ma ciąć, a potem sam wyciąłem te dwa kawałki, jeden z prawej nogi, drugi z lewej.

Przyglądaliśmy im się w milczeniu:



prawej strony;



z lewej.

Leigh przeniosła na mnie zdziwione spojrzenie.

- To są kawalki twojego...

- Tak, mojego gipsu.

- Czy to jakiś żart?

Pokręciłem głową.

- Nie. Za każdym razem widziałem, jak się podpisywał.

Teraz, kiedy wreszcie wyrzuciłem to z siebie, poczułem ogromną ulgę. Dobrze, że mogłem się tym z kimś podzielić. Zbyt długo tłukło mi się po głowie, dręcząc mnie i nie dając spokoju.

- Ale przecież wcale nie są do siebie podobne!

- Wiem o tym - odparłem. - Arnie też nie jest taki jak dawniej. A wszystko przez ten przeklęty samochód. - Wskazałem z wściekłością na kawałek gipsu leżący po lewej stronie. - To nie jest jego podpis. Znam Arniego niemal całe życie, widziałem jego zeszyty, widziałem, jak podpisywał się na liście płac, kiedy pracowaliśmy w wakacje, i mogę stwierdzić z całą pewnością, że to nie jest jego podpis. Ten po prawej, owszem. Ten, na pewno nie. Leigh, czy zrobiłabyś jutro coś dla mnie?

- A co?

Powiedziałem jej, a ona skinęła poważnie głową.

- Dla nas obojga.

- Proszę?

- Zrobię to dla nas obojga. Bo chyba musimy coś zrobić, prawda?



- Tak. Chyba tak. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli zadam ci osobiste pytanie?  
Pokręciła głowę, nie spuszczać ze mnie spojrzenia swoich wspaniałych błękitnych oczu.

- Jak ostatnio sypiasz?

- Nie najlepiej - przyznała. - Miewam złe sny. A ty?

- Ja też.

A potem, ponieważ nie mogłem już nad sobą zapanować, objąłem ją i pocałowałem. Przez chwilę zawahała się i odniosłem wrażenie, że cofnie się, lecz w końcu uniosła nieco głowę i oddała mi pocałunek. Chyba dobrze, że prawie nie mogłem się poruszać...

Kiedy pocałunek się zakończył, spojrzała mi pytająco w oczy.

- To na te złe sny - powiedziałem, myśląc, że zabrzmiało głupio i pretensjonalnie, tak jak wygląda na papierze, lecz wcale tak się nie stało.

- Na złe sny - powtórzyła poważnie, jakby to było jakieś zaklęcie, i tym razem to ona nachyliła głowę i pocałowała mnie, podczas gdy dwa nierówne kawałki gipsu z podpisami Arniego wpatrywały się w nas jak wielkie, ślepe oczy. Całowaliśmy się po to, by czuć proste zwierzęce zadowolenie z kontaktu z innym zwierzęciem - oczywiście, że było także coś jeszcze, coś, co dopiero zaczynało kielkować - a potem bez słowa przez dłuższą chwilę trzymaliśmy się w objęciach. Nie wydaje mi się, żeby którekolwiek z nas miało wtedy jakieś złudzenia; było to zadowolenie, poczucie bezpieczeństwa, ale także stary dobry seks, buchający nastoletnimi hormonami. Istniała chyba jednak poważna szansa, żeby przerodził się w coś pełniejszego i łagodniejszego.

W tych pocałunkach kryło się jeszcze coś innego - ja o tym wiedziałem, ona wiedziała i wy zapewne też o tym wiecie. Był to wstyd z powodu dokonującej się zdrady. Krzyczało we mnie osiemnaście lat wspomnień - hodowle mrówek, gra w szachy, filmy, różne rzeczy, których mnie nauczył, sytuacje, w których ratowałem go przed niemal pewną śmiercią. Tym razem jednak nie udało mi się. Kto wie, może tego smutnego wieczoru w Święto Dziękczynienia, kiedy przyniósł mi indyka i piwo, widziałem go po raz ostatni?

Ani mnie, ani jej nie przyszło wtedy do głowy, że robimy mu krzywdę, czyli coś, co może wywołać gniew Christine.

Tymczasem sprawy przedstawiały się właśnie dokładnie w taki sposób.

## 44. ŚLEDZTWO

*Kiedy trząśnie bariera na moście  
I runę w spienione fale rzeki,  
Lekarze rzucą się na oślep,  
Dusząc mnie szponami swej opieki,  
Lecz ja mimo to umrę i stanę tam, gdzie zupełnie pusto –  
Wiem, że właśnie ona przykryje kocem moje łóżko.*

Bob Dylan

Przez następne mniej więcej trzy tygodnie bawiliśmy się z Leigh w detektywów i zakochaliśmy się w sobie.

Nazajutrz poszła do Urzędu Miejskiego i zapłaciła pięćdziesiąt centów za wykonanie kserokopii dwóch dokumentów - oryginały pojechały do Harrisburga, ale tamtejsi urzędnicy zawsze przysyłają kopie.

Tym razem, kiedy Leigh zjawiała się u mnie w domu, zastała całą rodzinę w komplecie. Ellie zaglądała do pokoju pod byle pretekstem; była zafascynowana Leigh, ja zaś zdrowo się uśmieiałem, kiedy w tydzień później zauważyłem, że zaczęła się czesać tak jak ona, w koński ogon. Korciło mnie, żeby przyciąć jej z tego powodu, ale udało mi się oprzeć pokusie. Możliwe, że stałem się bardziej dorosły (nie na tyle jednak, żeby nie schować jej tubki kremu przeciwko pryszczom, którą znalazłem wepchniętą w najdalszy kąt lodówki).

Po wymianie obowiązkowych grzeczności zostaliśmy w salonie sami, oczywiście jeśli nie liczyć powtarzających się co chwila wtargnięć mojej siostry. Był 27 grudnia. Przedstawiłem Leigh rodzicom, mama podała kawę, po czym rozpoczęła się towarzyska pogawędka. Najwięcej mówiła Elaine, paplając jak najęta o swojej szkole i zasypując Leigh pytaniami dotyczącymi naszej. Początkowo mocno mnie to irytowało, potem jednak poczułem dla niej wdzięczność. Moi rodzice stanowią typowy przykład nadmiernie uprzejmych ludzi należących do klasy średniej (mama przeprosiłaby nawet więziennego kapelana, gdyby idąc na krzesło elektryczne nastąpiła mu niechcący na odcisk) i czułem, że Leigh wywarła na nich bardzo dobre wrażenie, ale nie ulegało także najmniejszej wątpliwości - to znaczy przynajmniej dla mnie - że są zdziwieni, zdezorientowani i zastanawiają się, gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Arniego.

Szczerze mówiąc, my też się nad tym zastanawialiśmy. Wreszcie mama i tata postąpili tak,

jak zwykle postępują rodzice w podobnych sytuacjach - uznali problem za dziecinny i błahy i zajęli się swoimi sprawami. Tata wycofał się pierwszy, mówiąc, że powinien wziąć się za porządkowanie warsztacie, w którym panował typowy poświęcony bałagan, mama zaś doszła do wniosku, że musi napisać jeszcze dziś kilka stron.

Ellie spojrzała na mnie poważnie i zapytała:

- Dennis, czy Jezus miał psa?

Oboje parsknęliśmy śmiechem. Leigh przyglądała nam się uśmiechając się uprzejmie, tak jak czynią obcy, kiedy opowie się przy nich jakiś rodzinny dowcip.

- Zmykaj stąd - powiedziałem wreszcie, kiedy się nieco opanowałem.

- A co zrobisz, jeśli będę miała ochotę zostać?

Było to jednak obliczone tylko na zachowanie pozorów, bo już podnosiła się z miejsca.

- Każę ci uprać moje gatki - poinformowałem ją.

- Uważaj, bo ci się uda! - prychnęła pogardliwie i wyszła z pokoju.

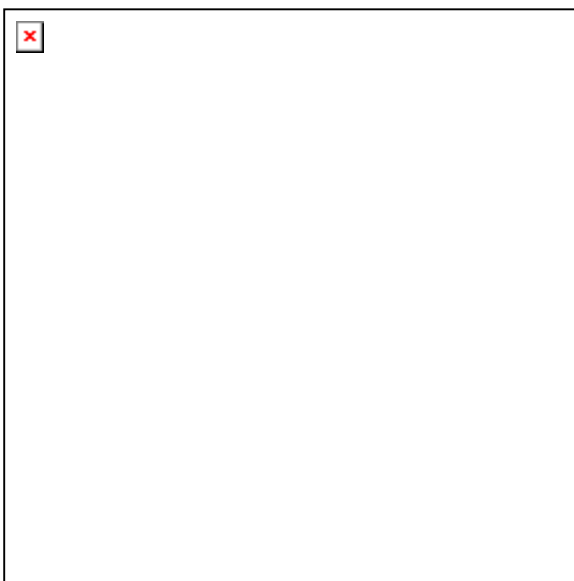
- Kochana, dobra siostrzyczka - westchnąłem.

- Jest wspaniała - stwierdziła z uśmiechem Leigh.

- Zmieniłabyś zdanie, gdybyś musiała z nią mieszkać na co dzień. Dobra, a teraz pokaż, co przyniosłaś.

Leigh położyła kserokopię na szklanym blacie stolika, dokładnie tym samym miejscu, gdzie poprzedniego dnia leżały dwa kawałki mojego gipsu.

Był to formularz rejestracyjny używanego samochodu, czterodrzwiowego, czerwono-białego plymoutha rocznik 1958, opatrzony datą 1 listopada 1978 roku i podpisany przez Arnolda Cunnighama. Na dokumencie figurował także podpis jego ojca.



- Co ci to przypomina? - zapytałem.

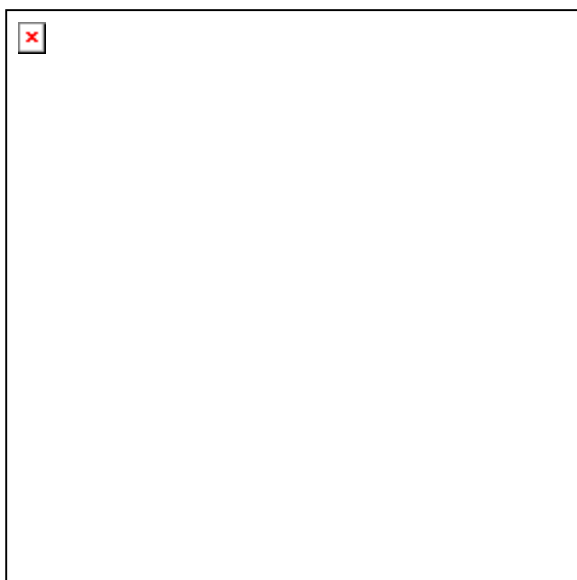
- Jeden z podpisów na fragmentach twojego opatrunku, które mi wczoraj pokazywałeś - powiedziała bez wahania. - Tylko który?

- Ten wykonany zaraz po wypadku. Arnie zawsze tak się podpisywał. A teraz obejrzyjmy drugi eksponat.

Położyła kartkę obok pierwszej. Tym razem była to kopia formularza rejestracyjnego nowego samochodu, również czterodrzwiowego, czerwono-białego plymoutha rocznik 1958, z datą 1 listopada 1957... Poczulem nagłą falę mdłości, kiedy zauważyłem podobieństwo; jeden rzut oka na twarz Leigh upewnił mnie, że ona zareagowała tak samo.

- Spójrz na podpis - powiedziała cicho.

Spojrzałem.



Był to ten sam charakter pisma, jakim posługiwał się Arnie tamtego wieczoru w Święto Dziękczynienia. Mógł to dostrzec każdy, niekoniecznie geniusz albo ekspert sądowy. Nazwiska były różne, lecz charakter pisma dokładnie ten sam.

Leigh wyciągnęła do mnie ręce, a ja ująłem je mocno.

Mój tata robi w swoim warsztacie zabawki. Może to wyda wam się dosyć dziwne, ale takie właśnie ma hobby. Czasem odnoszę wrażenie, że to nawet coś więcej niż zwykłe hobby - zdaje się, że kiedyś musiał podjąć poważną decyzję, czy pójść na studia, czy rozpocząć samodzielną pracę jako wytwórca zabawek. Jeśli tak naprawdę było, to moim zdaniem dokonał właściwego wyboru. Nieraz wydaje mi się, że widzę w jego oczach dziwny błysk, jakby czaił się tam nie do końca uśpiony duch przeszłości, ale to chyba tylko moja wyobraźnia, ostatnio coraz bardziej bujna i aktywna.

Ma się rozumieć, najczęściej obdarowywanymi osobami była Ellie i ja, choć Arnie

również dostawał często pod choinkę albo na urodziny zabawki mojego ojca, podobnie jak najbliższa przyjaciółka Ellie z czasów dzieciństwa, Aimee Carruthers (już od bardzo dawna mieszkająca w Newadzie i z tej racji wspomniana bolesnym tonem zarezerwowanym zwykle dla tych, którzy młodo i niespodziewanie zeszli z tego świata), oraz sporo dzieciaków z sąsiedztwa.

Obecnie tata niemal całą swoją „produkcję” oddawał Armii Zbawienia, w związku z czym przed Gwiazdką jego urządzone w piwnicy warsztat zawsze przypominał magazyn świętego Mikołaja - zawałony aż po sufit czyściutkimi białymi pudłami z drewnianymi pociągami, skrzyneczkami na narzędzia, drewnianymi zegarami, które naprawę odmierzają czas, wypchanymi zwierzakami i miniaturowymi teatrzykami kukielkowymi. Najbardziej lubił wytwarzać zabawki z drewna (do wojny wietnamskiej robił całe bataliony drewnianych żołnierzyków, ale jakieś pięć lat temu zrezygnował z tego, całkiem możliwe, że zupełnie nieświadomie), lecz jak każdy dobry fachowiec, nie obawiał się żadnego wyzwania. W pierwszym tygodniu po świętach następowała przerwa. Warsztat wydawał się okropnie pusty i tylko słodki zapach wiórów przypominał o tym, że jeszcze niedawno powstawały tu zabawki.

W tym czasie ojciec porządkował, sprzątał, oliwił maszyny i szykował się na następny rok. Nieco później, zwykle gdzieś na przełomie stycznia i lutego, w warsztacie zaczynały się znowu pojawiać różne dziwne części, a także całe zabawki - pociągi, drewniane baletnice z rumianymi policzkami, sterty włosów z jakiejś starej kanapy, które miały posłużyć w przyszłości do wypchania misiowego brzucha (każdy miś taty nazywał się Oven albo Olive; ja zdążyłem w dzieciństwie zużyć sześciu Ovenów, Elaine zaś tyle samo Olive'ów) - natomiast kawałki drutu, guziki i płaskie plastikowe oczy zalegały stół jak rekwizyty przeniesione bezpośrednio z jakiegoś groźnego horroru. Finał był taki, że zjawiały się znowu białe pudelka, w które tata pakował kolejną partię zabawek.

Przez ostatnie trzy lata dostał trzy dyplomy od Armii Zbawienia. ale trzymał je schowane w szufladzie, jakby się ich wstydził. Nie rozumiałem tego wtedy i nie rozumiem teraz - w każdym razie nie do końca - ale wiem na pewno, że to nie był wstyd. Mój ojciec nie miał się czego wstydzić.

Tego wieczoru po kolacji zszedłem na dół, jedną ręką trzymając się kurczowo poręczy, drugą zaś operując kulą jak kijkiem narciarskim.

- Dennis! - zawołał tata, uradowany, lecz jednocześnie jakby trochę zaniepokojony. - Pomóc ci?

- Dzięki, dam sobie radę.

Oparł szczotkę o ścianę przy malej stercie żółtych wiórów i trocin i przyglądał się, czy rzeczywiście dam sobie radę.

- W takim razie może cię trochę popchnąć?

- Bardzo zabawne.

Wreszcie dotarłem na dół, podpierając się kulą i skacząc na jednej nodze „podszedłem” do obszernego fotela stojącego w kącie obok starego czarno-białego telewizora i klapnąłem z rozmachem.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Całkiem nieźle.

Zgarnął na szufelkę śmieci z podłogi, wyrzucił je do kosza, zmarszczył nos i zamiótł resztę.

- Nic cię nie boli?

- No, trochę...

- Musisz bardzo uważać na schodach. Gdyby twoja matka zobaczyła, co wyczyniasz...

Uśmiechnąłem się.

- Wiem, wiem. Zaraz podniosłaby wielki krzyk.

- A gdzie właściwie jest twoja matka?

- Poszła z Ellie do Renneke'ów. Dinah Renneke dostała na Gwiazdkę pełną kolekcję płyt Shauna Cassidy. Ellie jest zielona z zazdrości.

- Myślałem, że Shaun wyszedł już z mody - zauważył ojciec.

- Ellie chyba boi się, że moda wróci, a ona tego nie zauważy.

Tata roześmiał się. Przez chwilę w warsztacie panowało pełne zrozumienia milczenie. Wiedziałem jednak, że prędzej czy później ojciec poruszy dręczący go problem. Tak też się stało.

- Zdaje się, że Leigh chodziła z Arniem, prawda? - zapytał.

- Tak.

Zerknął na mnie, po czym znowu zajął się zmiataniem. Myślałem, że zapyta mnie teraz, czy uważam swoje postępowanie za rozsądne, albo wspomni o tym, że odbijanie koledze dziewczyny nie stanowi najlepszego sposobu utrwalania przyjaźni, ale tym razem pomyliłem się.

- Ostatnio Arnie rzadko u nas bywa. Sądzisz, że wstydzi się tego, iż wdepnął w takie bagno?

Odniosłem wrażenie, że tata wcale w to nie wierzy i tylko stara się ostrożnie zbadać teren.

- Nie wiem - odparłem.

- Chyba nie ma się czego bać. Teraz, kiedy Darnell nie żyje - wytrząsnął zawartość szufelki do kubła - wątpię, czy będzie im się chciało przygotowywać akt oskarżenia.

- Naprawdę?

- A już na pewno nie przeciwko niemu. Zostanie ukarany grzywną i pewnie wysłucha

dłuższego wykładu sędziego, ale przecież nikomu nie zależy na tym, żeby ładować niezmywalną czarną plamę do życiorysu przyzwoitego chłopaka, który wybiera się na studia, a w przyszłości ma szansę stać się wartościowym członkiem społeczeństwa.

Obrzucił mnie przenikliwym, badawczym spojrzeniem. Poruszyłem się niepewnie w fotelu.

- Tak, chyba masz rację.
- Tyle tylko, że on już nie jest taki, prawda, Dennis?
- Prawda. Bardzo się zmienił.
- Kiedy widziałeś go po raz ostatni?
- W Święto Dziękczynienia.
- Dobrze wyglądał?

Pokręciłem powoli głową, czując ogromną chęć, żeby wybuchnąć płaczem i wszystko mu powiedzieć. Już raz czulem się dokładnie tak samo, lecz wtedy zdołałem jakoś nad sobą zapanować; teraz też mi się to udało, ale z zupełnie innego powodu. Miałem jeszcze świeżo w pamięci słowa Leigh o tym, jak bardzo bała się o swoich rodziców w wigilijny wieczór. Byłem całkowicie przekonany, że im mniej osób wie o naszych podejrzaniach, tym lepiej... dla nich.

- A co było nie tak?
- Nie wiem.
- Może Leigh wie?
- Nie. W każdym razie chyba nie. Mamy pewne... podejrzania.
- Chcesz o tym porozmawiać?
- Tak. To znaczy w pewnym sensie. Ale wydaje mi się, że nie powinienem.
- W porządku - powiedział. - Na razie.

Wrócił do zamiatania podłogi. Szelest twardego włosia po betonie działał z niemal hipnotyczną siłą.

- Może powinieneś porozmawiać z Arniem, i to już wkrótce?
- Tak, myślałem o tym. - Ale niezbyt cieszyłem się z tej perspektywy.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Ojciec skończył wreszcie zamiatanie i rozejrzał się dookoła.

- Wygląda całkiem nieźle, co?
- Świetnie, tato.

Uśmiechnął się odrobinę smutno i zapalił winstona. Po ataku serca prawie rzucił palenie, ale nigdy nie rozstawał się z paczką papierosów i od czasu do czasu sięgał do niej - najczęściej wtedy, kiedy miał jakiś ciężki orzech do zgryzienia.

- Bzdura. Pusto tu jak cholera.

- No... chyba tak.

- Pomóc ci, Dennis?

Wstałem podpierając się kulą.

- Nie powiem nie.

Spojrzał na mnie i skrzywił się z niesmakiem.

- Wyglądasz jak stary pirat - powiedział kpiąco. - Brakuje ci tylko papugi na ramieniu.

- Będziesz tak stał i nabijał się ze mnie, czy mi wreszcie pomożesz?

- Chyba jednak pomogę.

Objąłem go za szyję, czując się trochę jak mały dzieciak; nie wiadomo skąd powróciły stare wspomnienia o tym, jak w niedzielę wieczorem zanosił mnie na górę do łóżka, kiedy zacząłem przysypiać w połowie programu rozrywkowego. Wciąż pachniał tą samą wodą kolońską, co wtedy.

- Daj mi w łeb, jeśli mieszam się w nie swoje sprawy, Dennis - powiedział na ostatnim stopniu - ale wydaje mi się, że Leigh nie spotyka się już z Arniem, prawda?

- Tak, tato.

- Chodzi z tobą?

- Ja... to znaczy, właściwie nie wiem. Chyba nie.

- Chciałeś powiedzieć: jeszcze nie?

- No... tak, w pewnym sensie masz rację.

Czułem się niezręcznie i on chyba to wyczuł, lecz mimo to parł dalej.

- Czy można powiedzieć, że zerwała z Arniem, dlatego że on przestał być tym samym człowiekiem, co dawniej?

- Tak, chyba można tak powiedzieć.

- Czy Arnie wie o tobie i Leigh?

- Tato, tu nie ma o czym wiedzieć... jak do tej pory.

Chrząknął z zastanowieniem, ale nic nie powiedział. Uwolniłem go z uścisku i zająłem się wkładaniem ręki w uchwyt kuli. Poświęciłem temu chyba trochę więcej uwagi niż zwykle.

- Udzielę ci zupełnie gratis pewnej rady - odezwał się wreszcie ojciec. - Nigdy nie daj mu poznać, że między wami coś jest, i przestań udawać przed samym sobą, że nic nie ma. Zdaje się, że staracie się jakoś mu pomóc, prawda?

- Wątpię, czy nasza pomoc może mu się jeszcze na coś przydać, tato.

- Widziałem go ostatnio dwa czy trzy razy - mruknął.

- Naprawdę? - zapytałem ze zdziwieniem. - Gdzie?



Wzruszył ramionami.

- Na ulicy. Libertyville nie jest zbyt dużym miastem. Odniosłem wrażenie, że...

- Że co?

- Że w ogóle mnie nie poznał. I wydaje się o wiele starszy. Teraz, kiedy nie ma tych pryszczycy, wygląda na znacznie starszego, niż jest w istocie. Początkowo myślałem, że po prostu upodobnił się do ojca, ale teraz... - Umilkł nagle. - Dennis, czy nie przyszło ci na myśl, że Arnie może przechodzić coś w rodzaju poważnego załamania psychicznego?

- Owszem - odparłem krótko, żalując, że nie mogę mu powiedzieć o innych moich podejrzeniach. Były one tego rodzaju, iż mój staruszek z pewnością zacząłby się zastanawiać, czy to przypadkiem ja nie przechodzę załamania psychicznego.

- Uważaj na siebie - powiedział. Choć nie wspomniał ani słowem, że ma na myśli los, jaki spotkał Willa Daraella, to wiedziałem z całą pewnością, że właśnie o to mu chodzi. - Uważaj na siebie, Dennis.

Następnego dnia Leigh zadzwoniła do mnie z wiadomością, że jej ojciec został wezwany w służbowych sprawach do Los Angeles i postanowił zabrać ze sobą całą rodzinę, by uwolnić ich choćby na parę dni od mrozu i śniegu.

- Moja mama strasznie zapaliła się do tego pomysłu, a ja nie potrafiłam znaleźć żadnego wiarygodnego powodu, żeby mu odmówić. To tylko dziesięć dni, a szkoła zaczyna się dopiero ósmego stycznia.

- Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić - powiedziałem.

- Myślisz, że powinnam polecieć?

- Jeśli tego nie zrobisz, natychmiast zgłoś się na badanie do psychiatry.

- Dennis...

- Słucham?

- Uważaj na siebie, dobrze? Ja... ostatnio bardzo wiele o tobie myślałam.

Zaraz potem odłożyła słuchawkę. Byłem zdziwiony i przyjemnie poruszony, lecz w dalszym ciągu dręczyło mnie poczucie winy. Ojciec zapytał mnie, czy staram się pomóc Arniemu. Staralem się? A może tylko próbowałem wetknąć nos w tę część jego życia, którą chciał zachować wyłącznie dla siebie, przy okazji kradnąc mu jego dziewczynę? Ciekawe, jak by zareagował, gdyby się o tym dowiedział?

W głowie aż mi huczało od podobnych pytań; doszedłem do wniosku, że chyba nawet dobrze się składa, że Leigh wyjeżdża na jakiś czas.

Wydawało mi się, że tak będzie bezpieczniej.

W piątek 29 grudnia, w ostatni roboczy dzień starego roku, zadzwoniłem do siedziby mieszczącego się w Libertyville oddziału Legionu Amerykańskiego i poprosiłem do telefonu sekretarza. Nazywał się Richard McCandless; zarówno jego nazwisko, jak i numer uzyskałem od dozorczy budynku. Okazało się, że Legion Amerykański w Libertyville korzysta z telefonu w sklepie meblowym Davida Emersona. Powiedziano mi, żebym chwilę zaczekał. Wkrótce usłyszałem głos McCandlessa - głęboki, donośny i bardzo zgrzytliwy. Właściciel tego głosu musiał mieć zdrowo ponad sześćdziesiąt lat i chyba przeszedł ramię w ramię z Pattonem przez całe Niemcy, chwytając zębami nadlatujące pociski i miażdżąc je na metaliczny pył.

- McCandless, słucham?

- Panie McCandless, nazywam się Dennis Guilder. W sierpniu tego roku urządziliście panowie wojskowy pogrzeb niejakiemu Rolandowi LeBay...

- Czy był pańskim przyjacielem?

- Nie, tylko znajomym, ale...

- Skoro tak, to nie muszę przejmować się pańskimi uczuciami - zazgrzytał McCandless. Przypominał skrzyżowanie Andy'ego Devine'a z Broderickiem Crawfordem. - LeBay był cholernym, zasuszonym sukinsynem i gdyby to ode mnie zależało, Legion nawet nie kiwnąłby palcem, żeby go wsadzić do dziury w ziemi. Wystąpił z organizacji w 1970, ale gdyby nawet nie wystąpił, to i tak byśmy go wylali. To był najbardziej odrażający sukinsyn, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Nie można było z nim dyskutować, bo zaraz wywoływał awantury. Nie można było grać z nim w pokera i nawet nie było mowy o tym, żeby się z nim napić. W ogóle nie dawało się z nim wytrzymać, bo zaraz się wściekał, a najczęściej był wściekły przez cały czas. Cholerny sukinsyn, i tyle. A właściwie kim ty jesteś, chłopcze?

Z trudem powstrzymałem się, żeby nie zacytować Emily Dickson: „Jestem nikim! A kim ty jesteś?”

- Mój przyjaciel kupił od LeBaya tuż przed jego śmiercią używany samochód...

- Cholera! Chyba nie tego plymoutha z pięćdziesiątego siódmego?

- Jeśli już o to chodzi, to z pięćdziesiątego ósmego...

- Tak, tak. Czerwono-biały plymouth. Jedyna rzecz, o jaką kiedykolwiek się troszczył. Traktował go jak kobietę. To właśnie przez tego grata wystąpił z Legionu, wiedziałeś o tym?

- Nie - odparłem. - Co się stało?

- Ech, nieważne. Stare dzieje, chłopcze. I tak pewnie diabelnie cię nudzę. Ale zawsze

kiedy pomyślę o tym LeBayu, robi mi się czerwono przed oczami. Wciąż jeszcze mam blizny na rękach. Wuj Sam zabrał mi trzy lata życia podczas drugiej światowej, a dał za to tylko jedno Purpurowe Serce, choć prawie przez cały czas byłem na pierwszej linii frontu. Walczyłem na tych zasranych wysepkach na południowym Pacyfiku. Ja i pięćdziesięciu chłopców przetrzymaliśmy atak Japońców na Guadalcanal. Dwa miliony żółtków próbowały posiekać nas na wstążki tymi swoimi cholernymi mieczami, kule świszczały mi między włosami, a mimo to nie miałem nawet jednego draśnięcia, choć przed samym załamaniem ataku facetowi tuż koło mnie poprzesztawiało zupełnie bebechy. Podczas całej tej wojny na Pacyfiku widziałem swoją krew tylko dwa razy, kiedy zaciąłem się przy goleniu. A potem... - McCandless roześmiał się. - Niech to jasny gwint, znowu się rozgadałem. Moja żona powiada, że pewnego dnia zbyt szeroko rozdziawię jadaczkę i sam w nią wpadnę. Mówisz, że jak się nazywałeś, przyjacielu?

- Dennis Guilder.

- Dobra, Dennis, ja zanudzam cię, to teraz ty ponudź trochę mnie. Czego chcesz?

- No więc, mój przyjaciel kupił ten samochód i wyremontował go tak, że wygląda jak nowy. Prawdziwe cacko.

- To tak samo jak LeBay - powiedział McCandless, a mnie od razu zrobiło się sucho w ustach. - Kochał tego pieprzonego grata, to jedno trzeba mu przyznać. Na żonę w ogóle nie zwracał uwagi... Chyba wiesz, jak skończyła?

- Tak.

- On ją do tego doprowadził - stwierdził ponuro McCandless. - Po tym, jak umarło im dziecko, nie zaznała od niego ani odrobiny pociechy. Ani odrobiny. Wydaje mi się, że dzieciak też go gównem obchodził. Przepraszam, Dennis. Jak już zacznę gadać, to wcale nie mogę się zamknąć. Moja mama mawiała: „Dickie, masz język zaczepiony pośrodku i klepiesz nim na obie strony”. Więc czego właściwie chcesz?

- Byłem z przyjacielem na pogrzebie LeBaya. Po uroczystości poznałem jego brata...

- Wyglądał na porządnego faceta - przerwał mi McCandless. - Chyba nauczyciel. Z Ohio.

- Zgadza się. Rozmawiałem z nim i rzeczywiście wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie.

Powiedziałem mu, że będę pisał pracę maturalną o Ezrze Poundzie...

- Ezrze co?

- Poundzie.

- A kto to jest, u diabła? Też był na pogrzebie?

- Nie. Ezra Pound był poetą.

- Kim?

- Poetą. Też już nie żyje.

- Aha - mruknął z powątpiewaniem McCandless.

- W każdym razie LeBay - to znaczy George LeBay - obiecał, że przyśle mi kilka artykułów o poezji Pounda. Bardzo by mi się przydały, ale gdzieś zgubiłem jego adres. Pomyślałem sobie, że może pan będzie go miał.

- Jasne, jest gdzieś w papierach. Rzygać mi się chce od tej roboty sekretarza, ale muszę jakoś dociągnąć do lipca, bo wtedy kończy mi się kadencja. Nigdy więcej, rozumiesz, chłopcze? Nigdy więcej!

- Mam nadzieję, że nie sprawiam panu zbytniego kłopotu...

- Pewnie, że nie. W końcu od czego jest Legion Amerykański, jeśli nie od takich spraw? Daj mi swój adres, Dennis, to przyślę ci kartkę ze wszystkim, czego ci trzeba.

Podalem mu nazwisko i adres i jeszcze raz przeprosiłem za zawracanie głowy.

- Nie przejmuj się - odparł. - I tak miałem właśnie przerwę na kawę.

Zastanowiłem się przez chwilę, co ktoś taki jak McCandless może robić w sklepie Davida Emersona, gdzie zaopatruje się w meble śmietanka towarzyska Libertyville. Może jest sprzedawcą? Wyobraziłem sobie, jak oprowadza po sklepie jakąś elegancką młodą damę, mówiąc: „Niech no pani spojrzy na tę kanapę. Całkiem niezła sztuka. Szkoda, że nie mieliśmy takich na Guadalcanal, kiedy te pieprzone żółtki chciały nam wyprać flaki swoimi mieczami?”. Uśmiechnąłem się do swoich myśli, ale jego następne słowa sprowadziły mnie błyskawicznie na ziemię.

- Kilka razy jechałem z LeBayem jego wozem. Nie podobał mi się. Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem dlaczego, ale nie podobał mi się. A potem, kiedy jego żona... wiesz, co... w ogóle nie chciałem do niego wsiąść. Na samą myśl o tym łapała mnie sraka.

- Wcale się nie dziwię - odparłem. Miałem wrażenie, jakby mój głos dobiegał gdzieś z bardzo, bardzo daleka. - Proszę pana, a dlaczego właściwie LeBay wystąpił z Legionu? Wspomniał pan, że miało to jakiś związek z jego samochodem...

Roześmiał się z zadowoleniem.

- Naprawdę ciekawi cię taka stara historia?

- Tak. Niech pan nie zapomina, że teraz ten wóz należy do mojego przyjaciela.

- Skoro tak, to ci powiem. To była cholernie niesamowita sprawa. Chłopcy do dzisiaj o tym mówią, kiedy czasem spotkamy się i wychylimy po kielichu. Nie ja jeden mam blizny na rękach. To było naprawdę niesamowite.

- Ale co?

- Może to był dziecinny kawał, ale powiem ci, że nikt z nas nie lubił LeBaya. Był odludkiem i samotnikiem.

Jak Arnie - pomyślałem.

- Tamtego wieczoru wszyscy trochę wypiliśmy - ciągnął McCandless. - Było już po zebraniu i LeBay robił z siebie jeszcze większego fiuta niż zwykle. Siedzimy więc sobie przy barze i widzimy, że LeBay zbiera się do wyjścia. Zakładał kurtkę i klócił się z Poochiem Andersonem o jakąś sprawę związaną z baseballlem. Kiedy LeBay wychodził, zawsze robił dokładnie to samo: wsiadał do tego swojego plymoutha, cofał, a potem wciskał gaz do dechy. Gablota ruszała z parkingu jak rakieta, a żwir pryskał spod kół na wszystkie strony. No więc - Sonny Bellerman wpadł na ten pomysł - wyszliśmy we czwórkę tylnymi drzwiami na parking, a LeBay został jeszcze w środku, drąc gębę na Poochiego. Poszliśmy za róg, bo wiedzieliśmy, że zawsze cofa aż tam, żeby potem mieć więcej miejsca na rozpęd. Mówił o tym swoim gracie jak o dziewczynie. Powiadam ci, wyglądało to tak, jakby ożenił się z tą kupą żelastwa.

„Mieście oczy otwarte i trzymajcie się nisko przy ziemi, żeby was nie zobaczył” - powiedział Sonny. - „Ruszycie dopiero na mój znak”. Wszyscy byliśmy już zdrowo zatankowani. Jakies dziesięć minut później LeBay wylazł wreszcie z baru, pijany jak skunks, i zaczął grzebać w kieszeni, żeby znaleźć kluczyki. „Szykujcie się, chłopaki!” - syknął Sonny.

LeBay wsiadł do wozu i cofnął go, tak jak zwykle. Dopisywało nam szczęście, bo przystanął na chwilę, żeby zapalić papierosa. Dostaliśmy wtedy szybko, złapaliśmy za tylny zderzak i podnieśliśmy kufer tak, że tylne koła zawisły w powietrzu. Gdyby teraz chciał ruszyć jak zawsze, przyskając żwirem i w ogóle, nie ruszyłby nawet o centymetr, a koła kręciłyby się w miejscu jak szalone, rozumiesz?

- Tak - odparłem. To naprawdę był dziecinny dowcip. Podobne robiliśmy od czasu do czasu po szkolnej dyskotecie, a kiedyś postawiliśmy na ceglach samochód trenera Puffera, tak że koła napędzanej osi w ogóle nie dotykały ziemi.

- Spotkała nas jednak niespodzianka. Na razie w porządku: LeBay zapalił papierosa, a potem włączył radio. To też wszystkich nas strasznie wkurwiało: ciągle słuchał rock and rolla, jakby był jakimś cholernym gówniarzem, a nie stetryczalym staruchem na zasiłku dla niedołącznych. Wreszcie wrzucił bieg. Nie widzieliśmy tego, bo wszyscy byliśmy schyleni, żeby nas nie zauważył, ale pamiętam, że Sonny Bellerman zachichotał i zapytał: „W górze, chłopcy?”, a ja mu na to: „Tak samo jak i twój kutas, Bellerman”. On jeden naprawdę zdrowo ucierpiał. Wszystko przez obrączkę. Ale przysięgam na Boga, koła były w górze! Podnieśliśmy kufer plymoutha co najmniej na dziesięć centymetrów nad ziemię.

- I co się stało? - zapytałem, choć mogłem się już mniej więcej domyślić.

- Co się stało? Ruszył jak zwykle, oto, co się stało! Zupełnie jakby stał czterema kołami na ziemi. Strzelił nam w gęby szprycą żwiru i wyrwał zderzak z rąk, a razem z nim po pół metra

skóry. Bellermanowi urwało prawie cały środkowy palec, bo zahaczył o coś obrączką. A zaraz potem usłyszeliśmy śmiech LeBaya, jakby doskonale wiedział, co się stało. Mógł nas zobaczyć z okna klozetu po tym, jak przestał drzeć mordę na Poochiego.

Na tym skończyła się jego kariera w Legionie. Wysłaliśmy mu list z informacją, że nie chcemy, by do nas należał, i zaraz potem wypisał się. A żeby było zabawniej, to zaraz po tym, jak kojfnął, Sonny Bellerman zaproponował na zebraniu, żeby urządzić mu przyzwoity pogrzeb. „Jasne” - powiedział – „był z niego cholerny sukinsyn, ale walczył na wojnie tak jak my, więc chyba należy mu się ostatnia posługa, prawda?” Urządziliśmy mu więc ten pochówek, choć ja osobiście wcale nie jestem przekonany, że mu się należał. Chyba nigdy nie będę takim dobrym chrześcijaninem, jak Sonny.

- Widocznie nie podnieśliście kół wystarczająco wysoko - zauważyłem, myśląc jednocześnie o tym, co się stało z chłopcami, którzy w listopadzie zdemolowali Christine. Stracili znacznie więcej niż trochę skóry z palców.

- Jasne, że podnieśliśmy - odparł McCandless. - Ta szpryca wystrzeliła spod przednich kół. Do dzisiaj nie mam pojęcia, jak on to zrobił. Właśnie dlatego mówię, że to zupełnie niesamowita historia. Gerry Barlow - też był wtedy z nami - twierdzi, że LeBay wsadził w nią napęd na dwie osie, ale mnie się wydaje, że to się nie da zrobić.

- Chyba nie - potwierdziłem.

- No właśnie. O, cholera! Przegadałem prawie całą przerwę, chłopcze. Muszę jeszcze wlać w siebie trochę kawy, zanim znowu zaczniesz się kołowrót. Prześlę ci ten adres, jeśli go mamy. Jestem prawie pewien, że tak.

- Dziękuję panu.

- Nie ma sprawy, Dennis. Uważaj na siebie.

- Jasne. Naprzód, ale na czworakach, zgadza się?

Parsknął śmiechem.

- Tak właśnie mawialiśmy w Piątym Batalionie.

Odłożyłem powoli słuchawkę myśląc o samochodach, które ruszały z miejsca, mimo że ich napędzane koła nie stykały się z gruntem. *Trochę niesamowite*. Jak cholera, nie trochę, a McCandless wciąż miał blizny na rękach na potwierdzenie swojej historii. Przypomniało mi to coś, co powiedział George LeBay: jemu również brat zostawił na pamiątkę bliznę. Jego blizna z upływem lat stawała się coraz większa.

## 45. SYLWESTER

*Ten wspaniały młody człowiek spotkał śmierć w swym samochodzie -*

*Nikt nie wie, jak to się stało.*

*Wrzaski opon, piski ognia, śmierć znów była niezawodna.*

*Dlaczego to stać się musiało?*

*Gwiazdor umarł, ciało gnije, lecz legenda ciągle żyje -*

*Bo zginął bez powodu.*

Bobby Troupe

Zadzwoiłem do Arniego w sylwestra. Miałem kilka dni, żeby się nad tym zastanowić i w gruncie rzeczy wcale mi się to nie uśmiechało, ale koniecznie musiałem się z nim spotkać. Wmówiłem sobie, że nie będę w stanie podjąć żadnej decyzji, dopóki znowu go nie zobaczę. I dopóki znowu nie zobaczę Christine. Wspomniałem o niej mimochodem przy śniadaniu, tata zaś powiedział, że według niego wszystkie samochody zatrzymane w Garażu Darnella zostały sfotografowane i zwrócone właścicielom.

Telefon odebrała Regina.

- Dom państwa Cunningham - odezwiała się wyniosłym tonem.

- Cześć, Regino. Tu Dennis.

- Dennis! - wykrzyknęła z radością i zaskoczeniem. Przez chwilę była tą samą Regina, która dawała mnie i Arniemu kanapki z masłem orzechowym i plasterkami bekonu. - Jak się masz? Słyszeliśmy, że już wyrzucili cię ze szpitala?

- Wszystko w porządku. A co u was?

Po krótkiej ciszy:

- Cóż, sam wiesz, co tu się działo.

- Kłopoty - podsunąłem.

- Wszystkie te kłopoty, których udało nam się do tej pory uniknąć. Mam wrażenie, że ułożyły się za rogiem w wielką stertę i tylko czekały, kiedy na nie wpadniemy.

Chrząknąłem niewyraźnie.

- Chcesz rozmawiać z Arniem?

- Jeżeli jest w domu.

Kolejna chwila ciszy.

- Pamiętam, jak kiedyś ganiałście bez przerwy z domu do domu, żeby spotkać po drodze Nowy Rok... - powiedziała cicho, w niczym nie przypominając zawsze bojowej, energicznej Reginy. - Pamiętasz, Dennis?

- Tak - odparłem. - Straszna dziecinada, ale...

- Wcale nie! - zaprotestowała stanowczo. - Nie wolno ci tak o tym mówić! Jeżeli Arnie kiedykolwiek potrzebował przyjaciela... potrzebował ciebie, Dennis... to właśnie teraz. On... jest teraz na górze. Śpi. Ostatnio sypia zdecydowanie zbyt długo. A poza tym... on... on nie...

- Czego nie zrobił, Regino?

- Nie złożył papierów na uczelnię! - wybuchnęła, lecz natychmiast zniżyła głos, jakby bała się, że Arnie ją usłyszy. - Nie wypełnił żadnego podania! Zadzwoił do mnie pan Vickers, wasz wychowawca, i powiedział mi o tym. Ze swoimi ocenami dostałby się na każdy uniwersytet w tym kraju... to znaczy, z tymi ocenami, jakie miał przed... przed tymi kłopotami. - Jej głos balansował krótko na krawędzi płaczu, ale udało jej się opanować. - Porozmawiaj z nim, Dennis. Gdybyś mógł spędzić z nim dzisiejszy wieczór... wypić kilka piw... i po prostu porozmawiać...

Umilkła, lecz ja wyczułem, że to jeszcze nie wszystko. Próbowala powiedzieć mi coś, co nie chciało przejść jej przez gardło.

- Uspokój się - poprosilem. Nie lubilem dawnej Reginy, dominującej i nieprzystępnej, dostosowującej los syna i męża do swojego rozkładu zajęć, ale ta płaczliwa, zdezorientowana kobieta podobała mi się jeszcze mniej. - Nie przejmuj się tak bardzo.

- Boję się z nim rozmawiać - wyznała wreszcie. - Tak samo jak Michael. On... on prawie eksploduje, jeśli ktokolwiek próbuje mu się przeciwstawić. Początkowo dotyczyło to tylko samochodu, teraz to samo dzieje się ze studiami. Pogadaj z nim, Dennis, proszę cię. - Jeszcze raz umilkła na chwilę, by wreszcie jakby nigdy nic wyrzucić z siebie to, co dręczyło ją najbardziej: - Obawiam się, że go tracimy.

- Daj spokój, Regino, co ty...

- Poproszę go do telefonu - powiedziała nagle i odłożyła słuchawkę obok aparatu. Z najwyższym trudem zwalczyłem pokusę, żeby przerwać połączenie i w ten sposób odepchnąć od siebie ten ciężar.

Z tamtej strony ktoś wziął słuchawkę do ręki.

- Halo? - usłyszałem zmęczony głos.

To nie jest Arnie! - błysnęło mi w mózgu z oślepiającą jasnością.

- Arnie?

- Zdaje się, że to Dennis Guilder, rozdziawiona gęba, która udaje człowieka - powiedział głos. To było podobne do Arniego, zgoda, ale jednocześnie bardzo różniło się od tego, do czego



byłem przyzwyczajony. Jego głos nie tyle pogłębił się, co raczej ochrypl, jakby od zbyt częstego krzyczenia albo mówienia podniesionym tonem. Odniosłem niezwykle wrażenie, że rozmawiam z zupełnie obcym człowiekiem, któremu udało się znakomicie podszyć pod mego przyjaciela Arniego.

- Uważaj, co mówisz, kaprawcze - odparłem. Uśmiechałem się, ale ręce miałem lodowato zimne.

- Wiesz co? - zagadnął jakby nigdy nic. - Twoja paszcza i mój tyłek są do siebie zadziwiająco podobne.

- Zauważyłem podobieństwo, ale wydawało mi się, że jest dokładnie na odwrót. - Zapanowała krótka cisza. Uprzejmościom stało się zadość. - Co porabiasz dziś wieczorem? - zapytałem.

- Nic specjalnego. Nie mam żadnej randki ani nic w tym rodzaju. A ty?

- Och, ze mną jest zupełnie inaczej. Jestem w znakomitej formie. Zabieram Roseanne na dyskotekę. Jeśli chcesz, możesz pojechać z nami i podtrzymywać mi w tańcu kule, żeby się nie rozjechały.

Roześmiał się.

- Pomyślałem sobie, że może wpadnę do ciebie - powiedziałem. - Powitalibyśmy Nowy Rok tak jak zawsze. Co ty na to?

- Dobra! - zgodził się natychmiast. Wydawał się zachwycony pomysłem... a mimo to nie był zupełnie sobą. - Obejrzymy Guya Lombardo i cały ten szajs. Będzie świetnie.

Umilkłem na chwilę, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

- Wiesz, Arnie - bąknąłem ostrożnie - zdaje mi się, że Guy Lombardo już nie żyje...

Zdziwił się.

- Naprawdę? Hm... Rzeczywiście, chyba masz rację. Ale Dick Clark chyba jeszcze nie kopnął w kalendarz?

- Nie.

- Piosenki Dicka to najlepsza muzyka! - wykrzyknął Arnie, ale to wcale nie był jego głos. Mój umysł dokonał zupełnie niespodziewanego i wstrząsającego skojarzenia

*(najwspanialszy zapach na świecie... może z wyjątkiem cipki)*

i kurczowo zacisnąłem palce na słuchawce. Zdaje się, że o mało nie krzyknąłem. Nie rozmawiałem z Arnieniem, tylko z Rolandem LeBayem. Rozmawiałem z trupem.

- Otóż to - usłyszałem swój dobiegający z bardzo daleka głos.

- Ale jak tu się dostaniesz, Dennis? Możesz prowadzić?

- Jeszcze nie. Chyba poproszę tatę, żeby mnie podrzucił. - Przerwałem na chwilę, po

czym parłem dalej: - Pomyślałem sobie, że mógłbyś odwiedzić mnie z powrotem, oczywiście jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Jasne! - Wydawał się autentycznie zadowolony. - To świetny pomysł, Dennis! Zabawimy się jak za dawnych dobrych czasów.

- Właśnie - odparłem, po czym, tknięty jakimś niemożliwym do wytłumaczenia impulsem, dodałem: - Jak w warsztatach samochodowych.

- Otóż to! - potwierdził ze śmiechem Arnie. - Aż trudno w to uwierzyć. No, to na razie, Dennis.

- Na razie - powiedziałem machinalnie.

Odłożyłem słuchawkę, spojrzałem na telefon i zacząłem trząść się jak galareta. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak bardzo przerażony. Wraz z upływem czasu umysł wzmacnia swoje siły obronne; myślę, że jednym z powodów, dlaczego istnieje tak mało przekonujących dowodów na istnienie różnych psychicznych fenomenów, jest to, że we wspomnieniach nieświadomie staramy się zmieniać i prostować rzeczywistość. Odrobina oszustwa jest znacznie lepsza niż mnóstwo szaleństwa. Później analizowałem dokładnie naszą rozmowę, starając się wmówić sobie, że Arnie po prostu źle zrozumiał moją uwagę, ale zaraz po tym, jak odłożyłem słuchawkę, nie miałem najmniejszych wątpliwości: w jakiś sposób LeBay, wszystko jedno - martwy czy nie, zamieszkał w jego duszy.

I coraz wyraźniej zdobywał nad nią panowanie.

Sylwestrowe niebo było mroźne i idealnie czyste. Tata podwiózł mnie do domu Cunninghamów piętnaście po siódmej i pomógł dokuśtykać do tylnych drzwi; moje kule nie były przystosowane do chodzenia po lodzie i śniegu.

Nigdzie nie mogłem dostrzec kombi rodziców Arniego, ale za to na podjeździe stała Christine, lśniąca czerwonym i białym lakierem oraz pokrywającymi jej nadwozie kryształkami lodu. Zarówno ona, jak i pozostałe samochody zatrzymane w garażu zostały zwrócone właścicielom zaledwie kilka dni temu. Nawet patrząc na nią doznawałem okropnego uczucia strachu i bezradności. Nie chciałem wracać do domu tym samochodem ani dzisiaj, ani nigdy. Wołałem swojego zwyczajnego, wielkoseryjnego dusterę z winylowymi siedzeniami i kretyńską nalepką na zderzaku: SŁUŻBOWY POJAZD MAFII.

Zapłonęło światło i w matowej szybie drzwi ujrzyliśmy sylwetkę zbliżającego się Arniego. Nawet już nie wyglądał jak Arnie: garbił się i sprawiał wrażenie znacznie starszego, niż był w istocie. Usiłowałem sobie wmówić, że to tylko moja rozbudzona wyobraźnia, że jestem uprzedzony i wymyślam różne bzdury... ale i tak wiedziałem, że mam rację.

Otworzył drzwi i stanął w nich w starych dżinsach i flanelowej koszuli.

- Jak się masz, Dennis!

- Cześć, Arnie.

- Dobry wieczór, panie Guilder.

- Czołem - powiedział mój ojciec, unosząc dłoń w rękawiczce. - Co slychać?

- Sam pan wie, że nic nadzwyczajnego. Ale to się zmieni. Nowy rok, nowa miotła, wyrzucamy stare gówna, ładujemy nowe, no nie?

- Chyba tak - odparł lekko zaskoczony tata. - Dennis, jesteś pewien, że nie powinienem przyjechać po ciebie?

Pragnąłem tego najbardziej na świecie, ale Arnie nie spuszczał ze mnie wzroku. Co prawda uśmiechał się, lecz oczy miał zimne i czujne.

- Nie, Arnie mnie odwiezie... o ile uruchomi to swoje przerdzewiałe wiadro.

- Hej, uważaj, jak się wyrażasz o moim samochodzie! Ona jest bardzo wrażliwa.

- Naprawdę?

- I to jeszcze jak! - potwierdził, wciąż się uśmiechając.

Odwróciłem głowę i zawołałem:

- Przepraszam, Christine!

- Tak już lepiej.

Przez jakiś czas staliśmy bez słowa, ja i ojciec u dołu kuchennych schodków, Arnie w drzwiach, nie bardzo wiedząc, co powinniśmy powiedzieć. Czulem, jak stopniowo ogarnia mnie coś w rodzaju paniki - ktoś musiał coś powiedzieć, bo w przeciwnym razie całe to idiotyczne udawanie, że nic się nie zmieniło, zawali się jak domek z kart.

- Dobra - odezwał się wreszcie mój tata. - Tylko się nie zalejcie, dzieciaki. Zadzwoń do mnie, Arnie, gdybyście wypili coś więcej niż tylko parę piw.

- Niech pan się nie obawia, panie Guilder.

- Nic nam nie będzie - dodałem z fałszywym uśmiechem. - Wracaj do domu, tato, i walnij się spać. Na pewno pomoże ci to na urodę.

- Uważaj, jak się wyrażasz o mojej twarzy. Jest bardzo wrażliwa.

Odwrócił się i poszedł do samochodu, ja zaś odprowadziłem go wzrokiem, podpierając się obiema kulami. Zaczekałem, aż minie Christine; poczułem się odrobinę lepiej dopiero wtedy, kiedy uruchomił silnik i odjechał.

Przed wejściem do domu starannie strząsałem śnieg z gumowych końcówek kul. Podłoga w kuchni Cunninghamów była wyłożona drewnem, a ja zdążyłem się już nauczyć, że na gładkiej powierzchni kule z mokrymi końcówkami bardzo łatwo zamieniają się w coś w rodzaju

łyżew.

- Nieźle sobie radzisz - zauważył Arnie, przyglądając się moim ostrożnym manewrom. Wyjął z kieszeni na piersi paczkę tiparillos, zdarł celofan zębami, wyjął papierosa i zapalił go przechylając mocno głowę. Blask płomienia padł na jego policzki żółtymi, ruchomymi refleksami.

- Chętnie rozstanę się z tą umiejętnością - odparłem. - Kiedy zacząłeś palić?

- U Darnella. Nigdy nie robię tego przy matce, bo zaraz szlag ją trafia.

Palił nie jak chłopak, który dopiero przyzwyczajają się do papierosów, ale jak mężczyzna, który robi to od co najmniej dwudziestu lat.

- Pomyślałem sobie, że zrobię prażoną kukurydzę - powiedział. - Co ty na to?

- Świetny pomysł. Masz piwo?

- Jasne. Sześć puszek w lodówce i jeszcze dwa razy tyle w piwnicy.

- Znakomicie. - Usiadłem ostrożnie przy kuchennym stole, wyciągając przed siebie lewą nogę. - A gdzie twoi staruszkowie?

- Pojechali na sylwestra do Fassenbachów. Kiedy zdejmą ci gips?

- Może pod koniec stycznia, jeśli będę miał szczęście. - Podniosłem kule i zawołałem pełnym przejęcia głosem: - Ludzie, wasz ulubieniec znowu chodzi! Szczęść Boże wszystkim, którzy to widzą!

Arnie roześmiał się i potrząsnął głową, idąc w stronę kuchenki z głęboką patelnią, torebką kukurydzy i butelką oleju pod pachą.

- Ten sam stary Dennis. Wcale nie straciłeś animuszu, zdrańcu.

- Też się dziwię, tym bardziej że nie rozpieszczęś mi zbyt częstymi wizytami.

- Przyniosłem ci indyka na Święto Dziękczynienia. Miałem może utoczyć własnej krwi?

Wzruszyłem ramionami. Arnie westchnął.

- Wiesz, czasem wydaje mi się, że jesteś moim dobrym duchem.

- Odczep się ode mnie, koński łbie.

- Mówię serio. Jak tylko połamali ci gnaty, wpadłem w cholerny wrzątek i nadal siedzę w nim po uszy. Dziwne, że jeszcze nie wyglądam jak gotowany homar.

Roześmiał się głośno. Nie był to śmiech młodego chłopaka mającego poważne kłopoty, tylko dorosłego mężczyzny, który doskonale się bawi zaistniałą sytuacją. Postawił patelnię na płytce i nalał do niej oleju. Włosy, krótsze niż kiedyś i zaczesane do tyłu w zupełnie dla mnie nowy sposób, opadły mu częściowo na czoło. Odrzucił je gwałtownym ruchem głowy, wysypał na patelnię pierwszą porcję kukurydzy, nakrył ją przykrywką, podszedł do lodówki, wyjął mały karton z sześcioma puszkami piwa, postawił go z hukiem na stole, otworzył dwie puszki, podał

mi jedną, po czym uniósł wysoko swoją. Zrobiłem to samo.

- Teraz będzie toast - oznajmił. - Śmierć wszystkim zdrańcom na świecie w roku 1979.

Opuściłem powoli puszkę.

- Nie mogę pić za coś takiego, chłopie.

W jego szarych oczach dostrzegłem iskierkę gniewu. Zamigotała przez chwilę, by zaraz potem zgasnąć.

- W takim razie za co możesz pić... chłopie?

- Na przykład za studia - powiedziałem spokojnie.

Jego dotychczasowy dobry humor zniknął bez śladu. Spojrzał na mnie ponuro.

- Powinienem być wiedzieć, że nakładzie ci do łba tych bredni. Moja matka jest jedyną kobietą na świecie, która nigdy nie zrezygnuje z czegoś, co postanowiła zdobyć. Wiesz, że tak jest, Dennis. Gdyby było trzeba, pocałowałaby nawet diabła w dupę.

Odstawiłem na stół nie tkniętą puszkę.

- Mojej dupy na pewno nie całowała. Powiedziała mi tylko, że nie złożyłeś nigdzie podania i że bardzo się tym martwi.

- To moje życie - odparł Arnie, wykrzywiając usta w paskudnym grymasie. - Zrobię to, na co będę miał ochotę.

- To znaczy nie pójdziesz na studia?

- Pójdę, ale wtedy, kiedy będę chciał. Powiedz jej to, gdyby zapytała. Na pewno nie w tym roku. Jeżeli ona myśli, że zgłoszę się na jakiś zakichany uniwersytet, włożę na leb debilną czapkę pierwszorocznika i będę grzecznie biegał po boisku za jajowatą piłką, to znaczy, że zupełnie straciła rozum. Nie teraz, po całym tym gównie, przez które dopiero co przebrnąłem. Na pewno nie teraz, chłopie.

- W takim razie, co masz zamiar robić?

- Wyjeżdżam. Wsiądę do Christine i zniknę z tego cholernego, zasnętego miasteczka. Rozumiesz? - Jego głos przybrał na sile, stał się dziwnie piskliwy, a ja znowu poczułem na gardle lodowate palce przerażenia. Nie mogłem nic na to poradzić i tylko modliłem się, żeby Arnie niczego nie zauważył. Nie tylko mówił głosem LeBaya, ale już nawet wyglądał jak on; trupia twarz prześwitywała przez rysy Arniego niczym martwy eksponat zakonserwowany w formalinie.

- Byłem w cholernym gównie i mam przecucie, że ten przekłety Junkins wciąż węszy wokół mnie, ale niech lepiej uważa, bo może mu się przydarzyć coś przykrego...

- Kto to jest Junkins? - przerwałem mu.

- Nieważne. To bez znaczenia. - Za jego plecami olej zaczął skwierczeć na patelni. Pod przykrywką strzeliło pierwsze ziarenko kukurydzy. - Muszę się z tego otrząsnąć, Dennis. Więc

jak, napijesz się ze mną czy nie? Mnie tam wszystko jedno.

- W porządku. Co powiesz, żebyśmy wypili za nas?

Uśmiechnął się i kolek strachu tkwiący w mojej piersi cofnął się odrobinę.

- To bardzo dobry toast, Dennis. Za nas. Niech nam się wiedzie, tak?

- Niech nam się wiedzie - powtórzyłem odrobinę zachrypniętym głosem. - Tak, niech nam się wiedzie.

Stuknęliśmy się puszkami.

Arnie odwrócił się do kuchenki i zajął patelnię, na której kukurydza strzelała w coraz szybszym tempie. Pociągnąłem kilka łyków piwa. Wtedy jeszcze stanowiło ono dla mnie pewną nowość i nigdy się nim nie upijałem, bo bardzo mi smakowało, a koledzy - wśród nich przede wszystkim Lenny Barongg - twierdzili, że gdybym raz zalał się piwem w trupa, to potem nie mógłbym na nie spojrzeć przez ładne parę tygodni. Niestety, od tamtej pory zdarzyło mi się kilkakrotnie przekonać, że to nie jest prawda.

Arnie natomiast pił tak, jakby od pierwszego stycznia mieli znowu wprowadzić prohibicję. Opróżnił pierwszą puszkę, jeszcze zanim skończyła się prażyć kukurydza.

- Teraz patrz, jak wsadzę ją w tylek temu małemu włóczędze! - powiedział, zgiąwszy ją w dłoni, i rzucił do stojącego w kącie kosza na śmieci. Odbiła się od ściany i wpadła do środka. Nie zrozumiałem aluzji, więc tylko uśmiechnąłem się wymijająco.

- Dwa punkty.

- Zgadza się - potwierdził. - Podaj mi następną, dobrze?

Zrobiłem to. Moi rodzice i tak zamierzali powitać Nowy Rok w domu, więc nawet gdyby Arnie wypił za dużo, mogłem w każdej chwili zadzwonić do taty i poprosić go, żeby po mnie przyjechał. Być może od pijanego Arniego uda mi się wyciągnąć coś, czego nie powiedziałby po trzeźwemu, a poza tym i tak nie miałem najmniejszej ochoty na przejazdkę w Christine.

Jednak piwo zdawało się nie wywierać na nim żadnego wrażenia. Dokończył prażyć kukurydzę, przesywał ją do wielkiej plastikowej miski, polał roztopioną połową kostki margaryny, posolił i powiedział:

- Może pójdziemy do pokoju i pooglądamy trochę telewizję?

- W porządku.

Sięgnąłem po kule, wsadziłem je pod pachy - ostatnio miałem wrażenie, jakby skóra zupełnie mi tam zrogowaciała - i wyciągnąłem rękę po pozostałe trzy puszki.

- Zaraz po nie przyjdę - powiedział Arnie. - Lepiej już chodź, zanim wywalisz wszystko na podłogę.

Uśmiechnął się przy tym i przez moment tak bardzo przypominał dawnego Arniego, że

aż coś zakłulo mnie w sercu.

W telewizji leciał jakiś debilny program rozrywkowy. Akurat śpiewali Donny i Marie Osmond, uśmiechając się wesoło i prezentując rzędy wielkich, niemal rekinich zębów. Oni śpiewali, a my rozmawialiśmy. Opowiedziałem Arniemu o zajęciach rehabilitacyjnych, o podnoszeniu najróżniejszych ciężarków, a po drugim piwie wyznałem, iż czasem obawiam się, że już nigdy nie będę normalnie chodził. Tym, że na uniwersytecie na pewno nigdy nie zagram w drużynie futbolowej, zupełnie się nie przejmowałem. Słuchał mnie i cały czas kiwał współczująco głową.

Właściwie w tym miejscu mogę przerwać swoją relację i powiedzieć wam, że był to najbardziej niesamowity wieczór w moim życiu. Czekaly mnie jeszcze znacznie gorsze rzeczy, ale już nigdy nic nie było takie... dziwne i takie... takie rozkojarzone. Przypominało to trochę seans w kinie, podczas którego obraz ani przez chwilę nie jest zupełnie ostry. Momentami wydawał się sobą, by zaraz potem w niczym nie przypominać tego Arniego, którego znałem i pamiętałem. Nabral zupełnie nowych zwyczajów i odruchów: miętoszenie w dłoni skórzanej przywieszki do kluczyków, zacieranie rąk, przygryzanie kciuka. Ta dziwna uwaga o wsadzeniu w tyłek małemu włóczędze puszki po piwie. I choć wypił pięć piw, podczas gdy ja ledwo zdążyłem uporać się z dwoma, nie wydawał się w najmniejszym stopniu pijany.

Z kolei wiele rzeczy, które do tej pory zawsze kojarzyły mi się z Arniem, zniknęło bez śladu: nerwowe pociąganie się za ucho podczas rozmowy, częste wysuwanie przed siebie skrzyżowanych nóg, głośne wciąganie powietrza przez zęby, co w pewnych sytuacjach zastępowało śmiech. Zdarzyło mu się to raz czy dwa, ale częściej dawał wyraz rozbawieniu piskliwym chichotem, natychmiast przywodzącym mi na myśl LeBaya.

Program rozrywkowy skończył się o jedenastej. Arnie znalazł na którymś kanale transmisję z przyjęcia w jakimś nowojorskim hotelu, łączoną z relacją z Times Square, gdzie zebrał się pokaźny tłum. Co prawda nie był to Guy Lombardo, ale na pewno coś w tym stylu.

- Naprawdę nie pójdziesz na studia? - zapytałem.

- Nie w tym roku. Zaraz po maturze jedziemy z Christine do Kalifornii. Na Złote Wybrzeże.

- Twoi rodzice wiedzą o tym?

Wydawał się zaskoczony moim pytaniem.

- Jasne, że nie! I nie waż się im o tym mówić! Potrzebne mi to jak sztuczny kutas.

- Co będziesz tam robił?

Wzruszył ramionami.

- Poszukam roboty w jakimś warsztacie samochodowym. Jeżeli w czymkolwiek jestem

dobry, to właśnie w tym. - A potem jakby nigdy nic powiedział coś, co wprawilo mnie w zupełnie oszołomienie. - Spróbuję namówić Leigh, żeby ze mną pojechała.

Zakrztusiłem się piwem i zacząłem kaszleć, opryskując sobie spodnie. Arnie walnął mnie dwa razy w plecy.

- Już w porządku?

- Tak - wycharczałem. - Poleciało nie tam, gdzie trzeba... Arnie, jeśli sądzisz, że Leigh się na to zgodzi, to znaczy, że przestałeś realnie myśleć. Przecież ona idzie na studia! Wysłała już papiery, i to nie na jeden uniwersytet, ale na kilka!

Jego oczy zwięzły się raptownie, ja zaś zrozumiałem z przerażeniem, że po wypiciu dwóch puszek piwa powiedziałem więcej, niż powinienem.

- Skąd masz takie dokładne wiadomości o mojej dziewczynie?

Nagle odniosłem okropne wrażenie, że znalazłem się na samym środku rozległego pola minowego.

- Bo ona o niczym innym nie mówi. Jak raz wejdzie na ten temat, to nie chce przełączyć się na nic innego.

- Koszałki-opalki. Chyba nie próbujesz mnie wygryźć, co, Dennis? - Mierzył mnie nieruchomym, podejrzliwym spojrzeniem. - Nie zrobiłbyś czegoś takiego, prawda?

- Jasne, że nie - odparłem, łząc mu w żywe oczy. - Nie ma mowy.

- W takim razie skąd wiesz o niej tak dużo?

- Spotykamy się od czasu do czasu i rozmawiamy o tobie.

- Ona mówi coś o mnie?

- Tak, trochę - powiedziałem ostrożnie. - Powiedziała, że pokłóciliście się o Christine.

Trafiłem. Odprężył się trochę.

- To było zupełnie głupstwo. Na pewno do mnie wróci. A jeśli tak koniecznie chce studiować, to w Kalifornii też są dobre uniwersytety. Pobierzemy się, będziemy mieli dzieci i wszystkie te bzdury.

Jakimś cudem udało mi się zachować kamienną twarz.

- Ona wie o tym?

Roześmiał się.

- Coś ty! Jeszcze nie. Ale dowie się, już wkrótce. Kocham ją i nic nie jest w stanie mi przeszkodzić. - Śmiech umilkł. - A co mówiła o Christine?

Kolejna mina.

- Powiedziała, że jej nie lubi. Myślę, że... że chyba jest o nią zazdrosna.

Ponownie trafiłem. Uspokoił się jeszcze bardziej.



- I to jak. Ale to minie, Dennis. Prawdziwa miłość nigdy nie układa się idealnie od początku do końca, ale z nami wszystko będzie w porządku. Gdybyś ją kiedyś spotkał, powiedz jej, że do niej zadzwonię. Albo porozmawiam z nią w szkole, jak się zaczną zajęcia.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć mu, że Leigh właśnie teraz jest w Kalifornii, ale doszedłem do wniosku, że nie powinienem tego robić. Przemknęła mi również nieprzyjemna myśl, co by zrobił ten nowy, podejrzliwy Arnie, gdyby wiedział, że całowałem jego dziewczynę, przytulałem ją... i że z każdym dniem byłem w niej coraz bardziej zakochany.

- Spójrz, Dennis! - zawołał Arnie, wskazując na ekran telewizora. Znowu nadawano relację z Times Square. Tłum stanowił wielki, wciąż rosnący organizm. Minęła jedenasta trzydzieści. Kończył się stary rok. - Spójrz na tych zasrańców!

Parsknął krzykliwym, piskliwym śmiechem, dokończył piwo i zszedł do piwnicy po następną porcję. Siedziałem w fotelu myśląc o Welchu, Reppertonie, Trelawneyu, Stantonie, Vandenbergu i Darnellu. Myśląc o tym, że Arnie - czy też to coś, czym się stał - uważa, iż miał z Leigh tylko nieprzyjemną, ale w gruncie rzeczy bląhą sprzeczkę i że najdalej pod koniec roku szkolnego ożeni się ze swoją ukochaną, zgodnie z tym, co śpiewano w latach pięćdziesiątych w przesłodzonych miłosnych balladach.

A po plecach przechodziły mi największe ciarki, jakie miałem w życiu.

Powitaliśmy Nowy Rok.

Arnie miał kilka kapiszonów i wybuchowych serpentyn - takich, które strzelają z głośnym hukiem i rozwijają się we wszystkie strony. Wznieśliśmy toast na cześć 1979 roku i porozmawialiśmy trochę na bardziej neutralne tematy, to znaczy o zaskakująco wczesnym odpadnięciu Phillies w rundzie play-off i szansach Steelersów na zdobycie mistrzostwa kraju.

Kiedy w misce zostały już tylko przypalone resztki kukurydzy, wziąłem się w garść i zadałem mu pytanie, którego do tej pory starałem się uniknąć:

- Jak myślisz, co się stało z Darnellem?

Zerknął na mnie z ukosa, po czym przeniósł spojrzenie na ekran telewizora, gdzie tańczyły roześmiane pary z włosami przysypanymi konfetti.

- Zalatwili go ci, z którymi prowadził swoje interesy, żeby przypadkiem nie powiedział zbyt wiele.

- Ludzie, dla których pracował?

- Will mówił często, że Południowy Syndykat jest paskudny, ale Kolumbijczycy są jeszcze gorsi.

- Kto to są...

- Kolumbijczycy? - Arnie zaśmiał się cynicznie. - Kokainowi kowboje, oto, kim są. Will twierdził, że zabiliby cię tylko za to, gdybyś spojrział na żonę któregoś z nich nie tak, jak trzeba, albo nawet tak, jak trzeba. Możliwe, że to byli właśnie oni. Takie jatki są dokładnie w ich stylu.

- Wozileś kokainę dla Darnella?

Wzruszył ramionami.

- Wozilem dla niego towar. Raz czy dwa była to kokaina, ale dziękuję Bogu, że nie miałem jej akurat wtedy, kiedy mnie zgarnęli. Trafili bez pudła. A gdyby wszystko miało się powtórzyć, chyba robiłbym to samo. Will był wstrętnym, obleśnym sukinsynem, ale pod pewnymi względami był zupełnie w porządku. - Jego oczy przybrały dziwny wyraz. - Tak, pod pewnymi względami był całkowicie OK. Tyle tylko, że za dużo wiedział. Właśnie dlatego go sprzątnęli. Wiedział za dużo... i prędzej czy później coś by powiedział. Prawdopodobnie to ci Kolumbijczycy. Pieprzone matoly.

- Chyba cię nie rozumiem. Ale to nie moja sprawa, jak mi się wydaje.

Uśmiechnął się do mnie i mrugnął.

- To zaczęło się jeszcze w Wietnamie - powiedział. - Kręcił się tam taki facet, Henry Buck. Teraz on miał sypać mnie, a ja jego. Jednak zanim doszedł do mnie, zaczął śpiewać o ludziach z Południa, którzy sprzedawali mu prochy, broń, alkohol i papierosy. Jun... to znaczy gliniarzom zależało przede wszystkim na nich. Szczególnie na Kolumbijczykach.

- Myślisz, że to oni go zabili?

- Jasne. Oni albo Południowy Syndykat. Któż by inny?

Potrząsnąłem głową.

- Wypijmy jeszcze po piwie, a potem odstawię cię do domu - zaproponował. - Było mi bardzo miło, Dennis. Naprawdę.

Brzmiało to nawet prawdziwie, z tym tylko, że Arnie nigdy nie pozwoliłby sobie na taką kretyńską uwagę jak „było mi miło”. W każdym razie nie dawny Arnie.

- Mnie też.

Co prawda nie miałem już ochoty na piwo, lecz mimo to wziąłem puszkę do ręki. Chciałem jak najbardziej odroczyć okropną chwilę, kiedy będę musiał wsiąść do Christine. Po południu wydawało mi się to logicznym posunięciem - odczuć na własnej skórze atmosferę panującą w samochodzie, jeżeli w ogóle można było mówić o jakiegokolwiek atmosferze - teraz jednak doszedłem do wniosku, że to idiotyczny i przerażający pomysł. Tajemnica mojego rodzącego się związku z Leigh kolatała mi się po głowie niczym wielkie, łatwo tłukące się jajko.

*Powiedz mi, Christine, czy potrafisz czytać w myślach?*

Pociągnąłem łyk piwa, by utopić wzbierający mi w gardle histeryczny śmiech.

- Posłuchaj - odezwałem się. - Jeśli chcesz, mogę zadzwonić do ojca, żeby po mnie przyjechał. Na pewno jeszcze nie śpi.

- Nie trzeba - odparł Arnie. - Mógłbym przejść dwie mile po krawężniku. Nic się nie bój.

- Pomyślałem tylko...

- Na pewno nie możesz się doczekać, kiedy znowu sam będziesz mógł prowadzić wóz, co?

- Jasne.

- Nie ma nic wspanialszego, niż siedzieć za kierownicą swojego samochodu - powiedział Arnie, a następnie jego lewe oko zwięzło się w obleśnym mrugnięciu. - Może z wyjątkiem cipki.

Nadszedł czas. Arnie wyłączył telewizor, ja zaś przekużyłem przez kuchnię i ociągając się założyłem swoją starą kurtkę narciarską. Miałem nadzieję, że Michael i Regina lada chwila wrócą z przyjęcia i odsuną nieco ode mnie perspektywę budzącej grozę przejażdżki. Może nawet Michael wyczuje zapach piwa w oddechu Arniego i zaproponuje, że sam odwiezie mnie do domu? Wciąż jeszcze miałem w pamięci żywe wspomnienie przeżyć, jakich zaznałem tego popołudnia, gdy wśliznąłem się za kierownicę Christine w garażu LeBaya, podczas gdy Arnie ubijał interes z obrzydliwym staruchem.

Arnie wziął z lodówki dwa piwa – „na drogę”, jak powiedział. Otwierałem już usta, by zauważyć, że gdyby zatrzymała go policja, trafiłby do pudła szybciej, niż zdążyłby splunąć, ale doszedłem do wniosku, że będzie lepiej, jeśli zachowam milczenie. Wyszliśmy na zewnątrz.

Pierwszy wczesny ranek roku 1979 był pogodny i lodowato zimny do tego stopnia, że po kilku oddechach wszystko zamarzało w nosie. Śnieżne zasy wznoszące się po obu stronach podjazdu skrzyły się milionami brylantowych kryształków, ja jednak wpatrywałem się w Christine, stojącą przede mną z czarnymi szybami pokrytymi cienką warstwą lodu. „Syndykat - powiedział Arnie. - Południowy Syndykat albo Kolumbijczycy”. Brzmiało to trochę melodramatycznie, ale wydawało się prawdopodobne. Mało tego: wydawało się niemal wiarygodne. Tyle tylko, że Syndykat strzelał do ludzi, wyrzucał ich z okien albo dusił. Według legendy Al Capone pozbył się jakiegoś nieszczęsnego palanta za pomocą wypełnionego ołowiem kija do baseballa. Ale żeby wjechać samochodem do domu i tam rozjechać faceta na plackę?

W takim razie może to Kolumbijczycy. Arnie powiedział, że są kompletnie postrzeleni. Czy jednak aż tak bardzo? Mocno w to wątpiłem.

A jeżeli to była ona, lśniąca w blasku gwiazd i świetle padającym na śnieg przez okna domu? Jeżeli dowie się o podejrzeniach moich i Leigh? Albo, co gorsza, o tym, że coraz bardziej interesujemy się sobą?

- Pomóc ci zejść po schodkach? - zapytał Arnie tak nagle, że aż drgnąłem.

- Nie, dzięki. Ale przydałoby się, gdybyś asekurował mnie na ścieżce.

- Dobra.

Zszedłem pomału po kuchennych schodach, ściskając w jednej ręce kule, drugą zaś trzymając się poręczy. Na ścieżce wsadziłem kule pod pachy i ruszyłem ostrożnie przed siebie, lecz zaledwie po dwóch krokach rozjechały mi się w przeciwne strony. Okropny ból szarpnął moją lewą nogą, tą niewartą jeszcze nawet funta klaków. Arnie chwycił mnie od tyłu.

- Dziękuję - powiedziałem rad, że nie muszę ukrywać drżenia głosu.

- Nie ma sprawy.

Kiedy dotarliśmy do samochodu, Arnie zapytał mnie, czy dam radę sam wejść do środka. Odparłem twierdząco. Zostawił mnie przy drzwiach, a sam przeszedł na drugą stronę. Położyłem na klamce ukrytą w rękawiczce dłoń i natychmiast zawładnęło mną niesamowite uczucie strachu i odrazy. Chyba dopiero wtedy uwierzyłem we wszystko naprawdę i do końca, bo kiedy dotknąłem klamki, odniosłem wrażenie, że dotykam jakiejś żywej, pogrążonej we śnie istoty. Wydawało mi się, że nie dotykam chromowanej stali, lecz skóry. Gdybym zacisnął mocniej dłoń, bestia na pewno przebudziłaby się z rykiem.

Bestia?

Jaka bestia?

Co to właściwie było? Zwyczajny samochód, który w jakiś sposób przemienił się w siedzibę niebezpiecznego, cuchnącego demona? Niesamowita manifestacja pozostałej na tym świecie osobowości LeBaya, diabelski nawiedzony dom poruszający się na oponach Goodyear? Nie miałem pojęcia. Wiedziałem tylko tyle, że jestem śmiertelnie przerażony i wydawało mi się, że nie dam rady przejść przez to wszystko.

- Hej, nic ci nie jest? - zapytał Arnie. - Poradzisz sobie?

- Pewnie - wychrypiałem i nacisnąłem kciukiem guzik przy klamce. Otworzyłem drzwi, odwróciłem się tyłem do fotela, po czym opadłem na niego z wyciągniętą sztywno lewą nogą. Następnie chwyciłem ją oburącz i wsadziłem do środka, tak jakbym przenosił jakiś mebel. Serce łomotało mi ciężko w piersi. Zatrzasnąłem drzwi.

Arnie przekręcił kluczyk i silnik natychmiast ożył, zupełnie jakby nie był lodowato zimny. Smród buchnął mi w twarz z ogromną siłą; zdawał się dochodzić ze wszystkich stron, ale szczególnie spod tapicerki. Był to wstrętny, zgniły odór śmierci i rozkładu.

Nie wiem, jak wam opowiedzieć o jeździe do domu, o tej trzymilowej przejażdżce trwającej nie więcej niż dziesięć lub dwanaście minut, żeby nie wyjść na uciekiniera z domu

wariatów. Nie mam co silić się na obiektywizm; nawet siedząc i przypominając sobie tamte chwile dostaję dreszczy, gorących wypieków i czuję się tak, jakbym miał za chwilę zwymiotować. Nie istnieje żaden sposób, żeby oddzielić to co realne od wytworów mego umysłu. Nie istnieje żadna granica między światem obiektywnym i subiektywnym, między prawdą a halucynacjami. Jednak wcale nie byłem pijany - jeżeli w ogóle mogę być czegokolwiek pewien, to właśnie tego. Ta odrobina animuszu, jakiej nabrałem po dwóch puszkach piwa, zniknęła bez śladu. Zupełnie trzeźwy wyruszyłem w podróż przez krainę przeklętych.

Między innymi cofnęliśmy się w czasie.

Chwilami to nie Arnie siedział za kierownicą, tylko LeBay, rozkładający się i cuchnący grobem, szkielet oblepiony przegniłym ciałem, z wyraźnie widocznymi ogniskami pleśni. Zza kołnierzyka rozpadającego się munduru wylazły białe robaki. Usłyszałem ciche bzyczenie i pomyślałem, że to jakieś zwarcie w jednej z lampek na tablicy przyrządów, ale to chyba było bzyczenie much składających jaja w jego ciele. Wiem, że była zima, ale...

Chwilami odnosiłem wrażenie, że w samochodzie jest jeszcze ktoś oprócz nas. Raz zerknąłem we wsteczne lusterko i ujrzałem woskową mumię kobiety wpatrującą się we mnie szklistymi oczami wypchanego zwierzątka. Była uczesana w stylu lat pięćdziesiątych. Jej policzki wyglądały tak, jakby pokryła je grubą warstwą różu, ale przypomniałem sobie, że ofiary zatrucia tlenkiem węgla znajdowano zawsze z intensywnymi rumieńcami, stwarzającymi złudzenie zdrowia i żywotności. Kiedy nieco później pozwoliłem sobie na jeszcze jedno spojrzenie w lusterko, zobaczyłem obok niej małą dziewczynkę o nabrzmiałej twarzy i wybaluszonych, szeroko otwartych oczach. Zacisnąłem szybko powieki, a gdy je otworzyłem, z tyłu siedzieli już Buddy Repperton i Richie Trelawney. Usta, broda, szyja i przód koszuli Buddy'ego pokrywała skrzepnięta krew. Ciało Richiego było niemal całkowicie zwęglone, ale oczy miał czujne i błyszczące.

Buddy powoli wyciągnął przed siebie osmaloną rękę zaciśniętą na szyjce butelki z „Texas Driver”.

Ponownie zamknąłem oczy i nie spojrzałem już więcej w lusterko.

Pamiętam, że radio grało wyłącznie rock and rolla: Dion i Belmontowie, Ernie K-Doe, Royal Teens, Bobby Rydell („Och, Bobby, och... wszystko jest wspaniale... lecz czemu nie chcesz, o nie... chodzić do szkoły wcale...”).

Pamiętam, że przez chwilę na lusterku wisiała maskotka w kształcie wielkiej kostki do gry, potem para dziecięcych buczków, a potem już nic.

Przede wszystkim jednak pamiętam, jak czepiałem się kurczowo myśli, że te wszystkie

rzeczy - przede wszystkim smród gnijącego ciała i butwiejącej tapicerki - stanowią jedynie wytwór mego umysłu i nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Czułem się jak kompletnie pijany osobnik usiłujący prowadzić logiczną rozmowę z trzeźwym człowiekiem. Tak, rozmawiałem z Arniem. Przypominam to sobie, lecz nie jestem w stanie powtórzyć, o czym mówiliśmy. Odzywałem się normalnym głosem, odpowiadałem na pytania, a te dziesięć czy dwanaście minut zdawało się trwać całe godziny.

Powiedziałem wam już, że nie potrafię zachować obiektywizmu w mojej relacji z tej podróży. Nawet jeśli miało wtedy miejsce jakieś logiczne następstwo zdarzeń, to w mojej pamięci nie pozostał po tym najmniejszy ślad. Ta jazda przez mroźną zimową noc rzeczywiście przypominała drogę przez piekło. Nie pamiętam wszystkiego, co się podczas niej działo, ale i tak pamiętam więcej, niżbym sobie życzył. Cofnąwszy się z podjazdu przed domem Cunninghamów wjechaliśmy w niesamowity świat, gdzie wszystkie koszmary stały się rzeczywistością.

Powiedziałem, że cofnęliśmy się w czasie, ale czy tak było naprawdę? Jechaliśmy ulicami teraźniejszego Libertyville, które jednak stanowiły tylko cienką, powierzchowną warstwę, zupełnie jakby współczesne miasto zostało sprasowane do grubości bibulki i nałożone na świat znacznie bardziej autentyczny i realny. Czułem, jak przeszłość wyciąga ku nam martwe dłonie, pragnąc nas schwytać i już na zawsze przygarnąć do siebie. Arnie zatrzymywał się na skrzyżowaniach, gdzie powinniśmy mieć pierwszeństwo przejazdu, by na innych jechać bez wahania naprzód, nie zwracając uwagi na czerwone światła. Na Main Street minęliśmy sklep jubilerski Shipstada i kino, choć oba budynki zburzono w roku 1972, a na ich miejscu wzniesiono nową siedzibę Pennsylvania Merchants Bank. Wszystkie samochody stojące przy krawężnikach - zgromadzone przed tymi domami, gdzie odbywały się noworoczne przyjęcia - zdawały się pochodzić sprzed roku 1960... a raczej nawet sprzed 1958. Długie, pletwiaste buicki. DeSoto firelite kombi z ciągnącym się przez całą karoserię błękitnym pasem. Czterodrzwiowy dodge lancer z 1957 roku. Ford fairlanes z charakterystycznymi tylnymi lampami przypominającymi przewrócone dwukropki. Pontiaki z wciąż jeszcze nie przedzielonymi osłonami wlotu powietrza do chłodnicy. Ramblery, packardy, kilka obłonosych studebakerów, a nawet jeden edsel, wręcz niesamowity i zupełnie nowy.

- Tak, ten rok na pewno będzie lepszy - powiedział Arnie.

Spojrzałem na niego. Uniósł puszkę do ust i zanim dotknął jej wargami, jego twarz zamieniła się w gnijącą, jakby przeniesioną z komiksowego horroru twarz LeBaya. Palce zaciśnięte na puszcze składały się wyłącznie z kości. Przysięgam wam, nie było na nich ani odrobiny ciała, spodnie zaś leżały płasko na fotelu, jakby w nogawkach znajdowały się tylko gole

kije od szczotki.

- Naprawdę? - bąknąłem, starając się oddychać możliwie jak najpłycej, aby nie wpuścić do płuc ohydneho smrodu.

- Jasne - odparł LeBay, który tymczasem znowu zamienił się w Arniego. Kiedy zatrzymaliśmy się przed znakiem stopu, główną ulicą przemknął najnowszy model camaro. - Chcę cię tylko prosić, Dennis, żebyś trzymał moją stronę. Nie pozwól, żeby moja matka wciągnęła cię w to gównu. Mówię ci, wszystko będzie w porządku - powiedział LeBay, uśmiechając się bezzębnie na myśl o tym, że wszystko będzie w porządku. Odniosłem wrażenie, że mózg gotuje mi się na twardo. Byłem pewien, że jeszcze trochę i zacznę krzyczeć.

Odwróciłem wzrok od okropnej, dotkniętej rozkładem twarzy i zobaczyłem to samo, co Leigh: światełka na tablicy przyrządów, które wcale nie były światełkami, tylko zielonymi, fosforyzującymi, wpatrzonymi we mnie oczami.

W pewnej chwili koszmar dobiegł końca. Zatrzymaliśmy się przy krawężniku w jakiejś zupełnie mi nie znanej części miasta. Byłem gotów przysiąc, że znalazłem się tu po raz pierwszy w życiu. Dokola stały domy w różnych stadiach zaawansowania budowy, niektóre już na ukończeniu, inne dopiero co rozpoczęte. Reflektory Christine oświetlały wielką tablicę z napisem:

DZIELNICA MAPLEWAY  
TERENY POD ADMINISTRACJĄ RADY MIEJSKIEJ  
LIBERTYVILLE

Wspaniałe miejsce, żeby osiedlić się i założyć rodzinę!

Zastanów się nad tym!

- No, jesteśmy - powiedział Arnie. - Dasz radę sam dojść do domu?

Rozejrzałem się niepewnie po wyludnionej, pustej okolicy i skinąłem głową. Lepiej wracać stąd o kulach, niż zostać choć chwilę dłużej w tym okropnym samochodzie. Przywołałem na twarz szeroki, sztuczny uśmiech.

- Jasne. Dzięki za podwiezienie.

- Żaden kłopot. - Arnie wysączył do końca piwo i LeBay cisnął pustą puszkę na tylne siedzenie. - Jeszcze jeden martwy żołnierz.

- Tak - odparłem. - Szczęśliwego Nowego Roku, Arnie.

Pociągnąłem za klamkę i otworzyłem drzwi. Zastanawiałem się, czy zdołam utrzymać kule w roztrzęsionych rękach.

LeBay spoglądał na mnie z uśmiechem.

- Pamiętaj, żebyś trzymał moją stronę, Dennis. Wiesz, co spotyka zdrajców, którzy tego nie robią.

- Tak - szepnąłem. Rzeczywiście wiedziałem.

Wystawiłem kule na zewnątrz, oparłem się na nich i wysiadłem z samochodu, nie zwracając sobie głowy lodem ani śniegiem. Utrzymały mnie. Jak tylko znalazłem się na zewnątrz, otoczenie zmieniło się w okamgnieniu. Wszędzie zapłonęły światła - ma się rozumieć, były włączone przez cały czas. Moja rodzina sprowadziła się do dzielnicy Mapleway w roku 1959, na rok przed moim urodzeniem. Mieszkaliśmy tam przez cały czas, ale dzielnica utraciła swoją dawną nazwę jeszcze w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych.

Wyszedłszy z samochodu stanąłem przed własnym domem na zupełnie normalnej ulicy, takiej jakich wiele w Libertyville, w stanie Pensylwania. Obejrzałem się na Arniego, oczekując podświadomie, że ujrzę znowu LeBaya, kierowcę z piekła wożącego na tylnym siedzeniu ładunek starych i świeżych trupów.

Jednak za kierownicą siedział znowu Arnie, w szkolnej bluzie z wyhaftowanym na lewej piersi swoim imieniem, blade i samotny, trzymając między udami puszkę piwa.

- Dobranoc, chłopie.

- Dobranoc - odparłem. - Uważaj w drodze powrotnej. Lepiej, żeby cię nie przyłapali.

- Nie przyłapią. Trzymaj się, Dennis.

- Jasne.

Zatrzasnąłem drzwi Christine. Moje przerażenie zamieniło się w głęboki, okropny ból; czułem się tak, jakbym właśnie go pochował. Żywcem. Patrzyłem, jak czerwono-biały plymouth rusza z miejsca i sunie ulicą. Patrzyłem, jak skręca w pierwszą przecnicę, a potem zniknął mi z oczu. Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku domu. Wybetonowana ścieżka była idealnie czysta. Tata wysypał na nią z myślą o mnie prawie całą zawartość pięciokilogramowej torby ze środkiem odmrażającym.

Przebyłem mniej więcej trzy czwarte drogi, kiedy nagle spłynęła na mnie ciemność. Musiałem przystanąć i pochylić głowę, starając się ze wszystkich sił nie stracić przytomności. Gdybym teraz zemdlął, przemknęła mi niewyraźna myśl, zamarzlby na śmierć i rano znaleziono by mnie martwego w tym samym miejscu, gdzie kiedyś bawiliśmy się z Arniem w berka i przeciąganie liny.

Wreszcie ciemność zaczęła stopniowo ustępować. W pewnej chwili poczułem, że ktoś obejmuje mnie ramieniem. Był to ojciec, w kapciach i szlafroku.

- Dennis, nic ci się nie stało?



Czy nic mi się nie stało? Nic, może z wyjątkiem tego, że zostałem odwieziony do domu przez trupa.

- Wszystko w porządku - odparłem. - Zakręciło mi się trochę w głowie. Wejdźmy do środka, bo odmroziśz sobie zadek.

Pomógł mi wejść po schodkach. Byłem bardzo zadowolony, że wciąż obejmuje mnie ramieniem.

- Mama już śpi? - zapytałem.

- Tak. Zaczekała na Nowy Rok, a potem poszła do łóżka. Ellie też. Czy ty jesteś pijany, Dennis?

- Nie.

- Ale nie wyglądasz zbyt dobrze - zauważył, zamykając za nami drzwi.

Parsknąłem obląkańczym, ochryplym śmiechem i znowu zrobiło mi się ciemno przed oczami... ale tym razem tylko na chwilę. Kiedy doszedłem do siebie, zobaczyłem, że tata przygląda mi się z niepokojem.

- Co tam się stało?

- Tato...

- Dennis, odpowiedz mi na pytanie!

- Nie mogę.

- Co z nim jest? Co z nim jest, Dennis?

Potrząsnąłem tylko głową, nie tylko dlatego, że to wszystko było takie idiotyczne ani ze strachu o swoją skórę, ale dlatego, że bałem się o nich wszystkich - o tatę, mamę, Elaine, rodziców Leigh. Był to normalny, najzdrowszy w świecie strach.

„Trzymaj moją stronę, Dennis. Wiesz, co spotyka zasrańców, którzy tego nie robią”.

Czy ja naprawdę to słyszałem?

A może tylko sobie wyobraziłem?

Ojciec wciąż mi się przyglądał.

- Nie mogę, tato.

- W porządku - powiedział. - Przynajmniej na razie, jak mi się zdaje. Ale muszę wiedzieć jedno, Dennis, i bardzo cię proszę, żebyś mi to powiedział. Czy masz jakiegokolwiek powody, by przypuszczać, że Arnie miał coś wspólnego ze śmiercią Darnella i tamtych chłopców?

Przypomniałem sobie gnijącą, uśmiechniętą twarz LeBaya i spodnie, pod którymi mogły być tylko kości.

- Nie - odparłem, prawie zgodnie z prawdą. - Arnie nie miał z tym nic wspólnego.

- To dobrze. Pomóc ci wejść na górę?

- Dam sobie radę. Zmykaj do łóżka, tato.

- W porządku. Szczęśliwego Nowego Roku, Dennis... A gdybyś jednak chciał ze mną porozmawiać, to jestem do twojej dyspozycji.

- Właściwie nie ma o czym mówić.

Nie mogłem o niczym mówić.

- Nie wiem czemu, ale mocno w to wątpię - odparł.

Poszedłem na górę; nie gasząc światła położyłem się do łóżka i w ogóle nie zmrzyłem oka. Była to najdłuższa noc w moim życiu; kilka razy chciałem już wstać i pójść do pokoju rodziców, tak jak często robiłem będąc dzieckiem. W pewnej chwili nawet podniosłem się z łóżka i sięgnąłem po kule, ale opanowałem się i położyłem z powrotem. Bałem się o nich, to prawda. Ale nie to było teraz najgorsze.

Bałem się o swoje zdrowe zmysły. To było najgorsze ze wszystkiego.

Słońce wychylało się już zza horyzontu, gdy wreszcie zapadłem w niespokojną drzemkę. Kiedy się obudziłem, mój umysł rozpoczął już akcję samooczyszczania z niesamowitych wspomnień. Jedyne problem polegał na tym, że nie mogłem sobie pozwolić na to, by ukoilo mnie jego uspokajające nucenie. Granica zatarła się na dobre.

## 46. PONOWNIE GEORGE LEBAY

*Tej fatalnej nocy, gdy wóz wpadł z loskotem  
Na twardą ścianę przydrożnej bariery,  
Wymlokłem cię z niego i byłeś bezpieczny,  
By wrócić do niego zaraz potem.*

Mark Dinning

W piątek, 5 stycznia, otrzymałem kartkę pocztową od Richarda McCandlessa, sekretarza mieszczącego się w Libertyville oddziału Legionu Amerykańskiego. Na odwrocie, zapisany rozmazującym się ołówkiem, znajdował się domowy adres George'a LeBaya w Paradise Falls w stanie Ohio. Niemal przez cały dzień nosiłem kartkę w kieszeni spodni, od czasu do czasu wyjmując ją i przyglądając się jej. Nie miałem ochoty do niego dzwonić. Nie miałem ochoty znowu rozmawiać z nim o jego stukniętym bracie. Nie miałem ochoty zajmować się dalej tą zwariowaną sprawą.

Po południu rodzice pojechali z Ellie do Monroeville Mall, gdyż moja siostra postanowiła przeznaczyć otrzymane w prezencie gwiazdkowym pieniądze na nowe narty zjazdowe. Pół godziny po tym, jak wyszli z domu, postawiłem kartkę przy aparacie, wziąłem słuchawkę do ręki i zadzwoniłem do informacji, gdzie uzyskałem numer kierunkowy do Paradise Falls - 513, zachodnie Ohio. Po krótkim namyśle jeszcze raz połączyłem się z informacją i zapytałem o numer George'a LeBaya. Po jeszcze jednej przerwie - tym razem znacznie dłuższej - wziąłem po raz trzeci słuchawkę do ręki, ale po wykręceniu połowy numeru LeBaya rzuciłem ją na widelki. Pieprzę to - pomyślałem z wściekłością, stanowiącą dla mnie zupełnie nowe doznanie. Pieprzę to, nie zadzwonię do niego. Skończyłem z tym, umyłam ręce od tego całego burdelu. Jeśli chce, niech jedzie sobie do piekła tym swoim samochodem. Pieprzę to.

- Pieprzę to - szepnąłem i odszedłem pośpiesznie od telefonu, zanim zdążyły się odezwać wyrzuty sumienia. Poszedłem na górę, umyłem się i położyłem do łóżka. Spałem już, kiedy rodzina wróciła do domu, i przespałem spokojnie całą noc. Bardzo dobrze, gdyż miało minąć sporo czasu, zanim znowu zaznałem głębokiego, niczym nie zakłóconego snu. Bardzo dużo czasu.

Kiedy spałem, ktoś - albo coś - zabił Rudolpha Junkinsa z Policji Stanowej. Donosiły o

tym poranne gazety. OFICER PROWADZĄCY ŚLEDZTWO W SPRAWIE DARNELLA ZAMORDOWANY W POBLIŻU BLAIRSVILLE, informował wielki tytuł.

Tata brał na górze prysznic, Ellie wraz z dwiema rozchichotanymi koleżankami grała na ganku w Monopol, mama pracowała w „szwalni” nad nowym opowiadaniem, ja zaś, oszołomiony i przerażony, siedziałem sam przy kuchennym stole. Natychmiast przyszło mi do głowy, że jutro Leigh wraca z rodzicami z Kalifornii, pojutrze zaczynają się lekcje i że jeśli Arnie (albo LeBay) będą w dalszym ciągu postępować tak jak do tej pory, czeka ją śmiertelne niebezpieczeństwo.

Odsunąłem talerz z jajecznicą, którą sam sobie zrobiłem. Nie byłem już głodny. Jeszcze wczoraj wieczorem wydawało mi się, że równie łatwo mogę odsunąć od siebie całą tę złowieszczą, niewytłumaczalną historię z Christine. Teraz zastanawiałem się, jak mogłem być aż tak naiwny. Arnie wspomniał o Junkinsie podczas naszej sylwestrowej rozmowy, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. W gazecie napisano, że kierował śledztwem w sprawie Darnella, i dano jednoznacznie do zrozumienia, iż najprawdopodobniej za jego zabójstwem kryje się jakaś tajna organizacja przestępcza. Na przykład Południowy Syndykat, jak powiedziałby Arnie. Albo szaleni Kolumbijczycy.

Ja miałem na ten temat odmienne zdanie.

Samochód Junkinsa został zepchnięty z mało uczęszczanej bocznej drogi

*(Ten przeklęty Junkins wciąż wjeżdża wokół mnie, ale niech lepiej uważa, bo może mu się przytrafić coś przykrego... Trzymaj moją stronę, Dennis. Wiesz, co spotyka zdrańców, którzy tego nie robią...)*

i zupełnie rozbity.

Kiedy zginęli Buddy Repperton i jego kumple, Arnie był w Filadelfii na turnieju szachowym. Kiedy zginął Darnell, Arnie był z rodzicami w Ligonier, z wizytą u krewnych. Za każdym razem miał żelazne alibi. Przypuszczałem, że teraz będzie tak samo. Siedem... Tak, już siedem trupów tworzyło koszmarny krąg wokół Arniego i Christine. Policja z pewnością zwróci na to uwagę; tylko ślepiec nie zauważyłby tak oczywistego związku. Ale w gazecie nie znalazłem wzmianki o tym, że „policja jest na tropie przestępcy”, jak to delikatnie określają Brytyjczycy.

Oczywiście wiedziałem, że gliniarze niechętnie dzielą się swymi podejrzeniami z dziennikarzami, ale miałem graniczące z pewnością przeczucie, że w ogóle nie wzięli Arniego z ostatnim morderstwem.

Mógł dalej działać zupełnie swobodnie.

Co zobaczył Junkins we wstecznym lusterku na mało uczęszczanej drodze w pobliżu Blairsville? Czerwono-biały samochód. Może pusty, a może prowadzony przez nieboszczyka.

Moje ręce pokryły się gęsią skórką.

Siedem trupów.

To musiało się wreszcie skończyć choćby dlatego, że zabijanie mogło po pewnym czasie wejść w nawyk. Jeżeli Michael i Regina nie zgodziłyby się na szaleńczy plan przenosin do Kalifornii, jedno z nich stanowiłoby kolejną ofiarę. A gdyby Arnie podszedł w przerwie między lekcjami do Leigh i poprosił ją o rękę, a ona odmówiłaby mu? Jak myślicie, co zobaczyłaby przy krawężniku wracając po południu do domu?

Byłem sparaliżowany przerażeniem.

- Dennis, ty nie jesz - powiedziała matka, wetknąwszy głowę do kuchni.

Spojrzałem na nią.

- Czytałem gazetę. Nie jestem głodny, mam.

- Musisz jeść, bo nigdy nie wrócisz do zdrowia. Zrobić ci owsianki?

Natychmiast zebrało mi się na mdłości, ale tylko uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

- Nie, dzięki. Zjem za to duży lunch.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Jesteś pewien, że się dobrze czujesz? Ostatnio wyglądasz na bardzo wyczerpanego.

- Nic mi nie jest, mam.

Uśmiechnąłem się szerzej, aby udowodnić jej, w jak dobrej jestem formie, lecz nagle wyobraziłem sobie, jak wysiada ze swojego granatowego relianta przy Monroeville Mall, nieco z tyłu zaś stoi wielki czerwono-biały samochód z silnikiem mruczącym cicho na wolnych obrotach. Wyobraziłem sobie, jak mama wchodzi na jezdnię, a w tej samej chwili Christine rusza z piskiem opon...

- Na pewno? Może dokucza ci noga?

- Nie.

- Wzięłaś witaminy?

- Tak.

- A kisiel żurawinowy?

Parsknąłem śmiechem. Przez chwilę wydawała się tym zirytowana, potem jednak rozpoznała się.

- Jesteś po prostu niemożliwy, Dennisie Guilder - powiedziała ze swoim najlepszym irlandzkim akcentem (całkiem niezłym, jako że jej matka należała do pierwszego pokolenia emigrantów), po czym wróciła do swojej pracowni, skąd po chwili znowu zaczął dobiegać nieregularny stukot maszyny do pisania.

Wziąłem do ręki gazetę i spojrzałem na zdjęcie przedstawiające rozbitą wóz Junkinsa.

*Śmiertelna pułapka*, głośił podpis.

A może spróbuj w ten sposób - pomyślałem. Junkinsa interesuje coś więcej niż tylko dotarcie do ludzi, którzy sprzedawali Darnellowi nielegalne fajerwerki i papierosy. Junkins jest detektywem Policji Stanowej, a tacy jak on zwykle pracują jednocześnie nad kilkoma sprawami. Być może starał się odkryć, kto zabił Moochiego Welcha, albo...

Pokuśtykałem do drzwi „szwalni” i zapukałem.

- Tak?

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, mamó...

- Nie wyglupiaj się, Dennis.

- Jedziesz dziś do miasta?

- Być może. A czemu pytasz?

- Chciałbym zajrzeć do biblioteki.

O trzeciej po południu znowu zaczął padać śnieg. Od gapienia się w czytnik mikrofilmów rozboleła mnie głowa, ale udało mi się znaleźć to, co chciałem. Okazało się, że przeczucie mnie nie omyliło... choć w gruncie rzeczy nie było to wcale taką wielką sztuką.

Junkins nie tylko prowadził śledztwo w związku z zabójstwem Moochiego Welcha, ale także zajmował się sprawą Reppertona, Trelawneya i Bobby’ego Stantona. Chyba tylko wyjątkowo tępy gliniarz nie skojarzyłby tego wszystkiego z Arniem.

Wylączyłem czytnik, odchyliłem się do tyłu na krzesło i zamknąłem oczy, próbując spojrzeć na sprawę z punktu widzenia Junkinsa. Podejrzewał Arniego o to, że ma jakiś związek z tymi morderstwami. Może nie bezpośredni, ale jakiś na pewno. Czy podejrzewał również Christine? Być może. W telewizyjnych serialach detektywi nie mają żadnych problemów z identyfikacją broni, maszyn do pisania i samochodów. Zadrapania, odpryski lakieru...

Potem wpada Darnell. Dla Junkinsa to znakomita okazja. Może zamknąć garaż i dokładnie zbadać wszystkie pojazdy. Prawdopodobnie podejrzewa...

Co?

Moja wyobraźnia pracowała na coraz większych obrotach. Jestem gliniarzem. Wierzę wyłącznie w racjonalne, sensowne wyjaśnienia. W takim razie, co mogę podejrzewać?

Odpowiedź pojawiła się po kilku sekundach.

Współdziałanie, ma się rozumieć. Musi istnieć jakiś współnik. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby, że samochód robi to sam, więc...

Po zamknięciu garażu Junkins ściąga najlepszych techników i laborantów, jakich może znaleźć. Sprawdzają Christine centymetr po centymetrze, szukając dowodów na to, co się stało.

Rozumując tak jak Junkins - albo przynajmniej starając się odtworzyć tok jego rozumowania - trzeba założyć, że takie dowody istnieją. Zderzenie z ludzkim ciałem to nie to samo co zderzenie z poduszką. Zderzenie z barierą na Wzgórzach Squantic to też nie to samo, co zderzenie z poduszką.

Co znajdują eksperci od samochodowej przestępczości?

Nic.

Żadnych wcięć, pośpiesznie wykonanych zaprawek, śladów krwi ani odprysków farby z rozbitej bariery. Krótko mówiąc: Junkins nie ma absolutnie żadnych dowodów na to, że Christine brała udział w którymś z przestępstw. Teraz zajmijmy się morderstwem Darnella. Czy Junkins nazajutrz po zabójstwie popędził do garażu, aby i tym razem przyjrzeć się dokładnie Christine? Na jego miejscu z pewnością bym tak zrobił. Ściana domu to również nie poduszka i samochód, który przez nią przejechał, powinien doznać licznych uszkodzeń. Takich uszkodzeń, których na pewno nie dałoby się usunąć w jedną noc. Co więc zobaczył Junkins?

Nietkniętą, lśniącą Christine.

Dzięki temu zrozumiałem, dlaczego jej nie zarekwirował. Do tej pory nie mogłem tego pojąć, gdyż zakładałem, że cały czas podejrzewał ją o udział w zabójstwach. Ostatecznie jednak ustąpił przed logiką i prawdopodobnie to właśnie stało się przyczyną jego śmierci. Junkins nie poczynił żadnych kroków przeciwko Christine, ponieważ jej alibi, aczkolwiek nieme, było równie niepodważalne jak alibi jej właściciela. Jeżeli istotnie obejrzał Christine zaraz po śmierci Darnella, musiał dojść do wniosku, że me miała nic wspólnego z tą sprawą, bez względu na wszystkie poszlaki wskazujące na coś wręcz przeciwnego.

Ani jednego zadrapania. Właściwie, co w tym dziwnego? Po prostu Junkins nie znalazł wszystkich faktów. Pomyślałem o liczniku mil obracającym się w przeciwną stronę, o znikającej siatce pęknięć na przedniej szybie, o bezsensownej, pozbawionej wszelkiej logiki wymianie niektórych części, a przede wszystkim o moim niedzielnym, koszmarnym powrocie do domu - o zaparkowanych przed domami starych samochodach wyglądających na zupełnie nowe, o nietkniętym budynku teatru, o nie wykończonym osiedlu, w którym moja rodzina mieszkała od niemal dwudziestu lat.

„To błahostka” - powiedział Arnie o liczniku mil.

Tym, co naprawdę zabiło Rudolpha Junkinsa, była właśnie niewiedza o takich błahostkach.

Dlaczego? Ano, dlatego: jeżeli masz samochód przez dłuższy czas, prędzej czy później zaczynają pojawiać się w nim różne usterki, choćbyś nie wiadomo jak bardzo o niego dbał. Każdy samochód schodzi z taśmy montażowej jak nowo narodzone dziecko i tak jak ono rozpoczyna

życie, którym w znacznej mierze rządzi przypadek. Tylko los decyduje o tym, czy pęknie obudowa akumulatora, zatrze się łożysko, zatka dysza gaźnika, pęknie opona, nastąpi zwarcie w instalacji elektrycznej, tapicerka zacznie rozlażyć się na szwach.

Wszystko jest jak w filmie. A jeśli puści się film do tyłu...

- Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze? - zapytał pracownik biblioteki, a ja o mało nie wrzasnąłem z przerażenia.

Mama czekała na mnie w głównym holu. Niemal przez całą drogę do domu trajkotała o swojej twórczości literackiej i nowym hobby, którym był taniec dyskotekowy. Kiwałem głową i wydawałem uprzejme pomruki mniej więcej w tych miejscach, gdzie należało, myślałem zaś o tym, że jeśli Junkins rzeczywiście ściągnął najlepszych techników i laborantów z Harrisburga, to wszyscy oni szukali igły, nie potrafiąc dostrzec stojącego przed nimi słonia. W gruncie rzeczy nie mogłem mieć o to do nich pretensji. Samochodu nie można „puścić do tyłu” jak filmu, w oleju silnikowym zaś nie kryją się zwykle żadne demony ani upiory.

Jeśli uwierzyłeś w jedno, musisz uwierzyć we wszystko - pomyślałem i moim ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Mam włączyć ogrzewanie, Dennis? - zapytała mama.

- Jeśli możesz.

Moje myśli pobiegły ku Leigh, która miała wrócić nazajutrz z Los Angeles. Do Leigh o uroczej twarzy (jeszcze śliczniejszej dzięki wydatnym, niemal wyzywającym kościom policzkowym) i cudownej, apetycznej figurze, nie zniszczonej jeszcze działaniem czasu i grawitacji; tak jak ten plymouth, który wiele lat temu, w 1957 roku, zjechał z taśmy montażowej w Detroit, w pewnym sensie była jeszcze na gwarancji. Potem pomyślałem o LeBayu, niby martwym, a przecież jakby żywym, i o jego namiętności (czy jednak na pewno była to namiętność? a może tylko pragnienie szkodenia innym?). Pomyślałem o Arniem oświadczającym mi bez mrugnięcia okiem, że postanowił ożenić się z Leigh. Zaraz potem, z bezsilną dokładnością, ujrzałem ich noc poślubną - ją wpatrzoną w ciemność w jakimś motelowym pokoju i wylaniające się z mroku przegniłe, szyderczo uśmiechnięte zwłoki. Słyszałem jej krzyki, podczas gdy Christine, wciąż jeszcze przystrojona wstążkami i z wielkim napisem NOWOŻEŃCY na karoserii, czekała wiernie pod zamkniętymi na klucz drzwiami. Christine, a raczej ta napędzająca ją okropna siła, wiedziałaby, że Leigh nie wytrzyma tego długo. Byłaby blisko, żeby natychmiast ją zastąpić.

Zamknąłem oczy, aby odegnać od siebie te straszne obrazy, ale tylko pogorszyłem w ten sposób sprawę.



Zaczął się od tego, że Leigh pragnęła Arniego, potem zaś, całkiem logicznie, on chciał ją odzyskać, ale na tym się nie skończyło, ponieważ teraz Arniem rządził LeBay... i to on zapragnął dziewczyny.

Postanowiłem uczynić wszystko, co w mojej mocy, żeby nie dostał jej w swoje ręce.

Jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniłem do George'a LeBaya.

Tak, panie Guilder. - Wydawał się znacznie starszy, jakby bardziej zmęczony. - Dobrze pana pamiętam. Zanudzałem pana swoją gadaniną przed pokojem w chyba najbardziej przygnębiającym motelu w całym wszechświecie. Czym mogę panu służyć?

Odniosłem wrażenie, iż ma nadzieję, że nie przedstawię zbyt wygórowanych wymagań.

Zawahałem się. Czy miałem mu powiedzieć, że jego brat zmartwychwstał? Że nawet śmierć nie położyła kresu jego nienawiści do zasrańców? Że zawładnął duszą mojego przyjaciela, odnajdując go tak samo bezbłędnie, jak Arnie odnalazł Christine? Czy opowiedzieć mu o śmierci, czasie i zjedzałej miłości?

- Jest pan tam jeszcze, panie Guilder?

- Proszę pana, mam pewien problem, ale nie jestem pewien, jak powinienem panu o nim powiedzieć. Sprawa dotyczy pańskiego brata.

W jego głosie zabrzmiała nowa nuta, napięta i bardzo ostrożna.

- Nie wiem, jaki to mógłby być problem. Przecież Rollie nie żyje.

- Właśnie o to chodzi. - Nie mogłem już zapanować nad swoim głosem; powędrował nagle w górę, by zaraz załamać się i opaść oktawę niżej. - Szczerze mówiąc, wcale nie jestem tego taki pewien...

- O czym pan mówi? - zapytał z rozdrażnieniem... i strachem. - Jeżeli silił się pan na dowcip, to zapewniam pana, że zupełnie się panu nie uda!

- Nie, to nie miał być dowcip. Proszę pozwolić mi opowiedzieć o tym, co się działo od chwili śmierci pańskiego brata.

- Panie Guilder, muszę jeszcze poprawić całą stertę klasówek, jestem zajęty pisaniem książki i naprawdę nie mam czasu na...

- Proszę - powiedziałem. - Błagam pana, niech pan mi pomoże, mnie i mojemu przyjacielowi.

Nastąpiła długa, bardzo długa cisza.

- Niech pan mówi - westchnął wreszcie George LeBay, po czym dodał: - I niech pana szlag trafi.

Przekazałem mu te opowieść za pomocą łączącego dwa odległe miasta kabla telefonicznego. Wyobraziłem sobie, jak mój głos przechodzi przez komputerowe stacje pośrednie wypełnione zminiaturyzowanymi obwodami, biegnie pod przysypanymi śniegiem polami i wreszcie dociera do jego ucha.

Opowiedziałem mu o przejściach Arniego z Reppertonem, o porażce i zemście Buddy'ego. Opowiedziałem o śmierci Moochiego Welcha, o tym, co zdarzyło się na Wzgórzach Squantic i podczas wigilijnej zimy śnieżnej. Opowiedziałem mu o pęknięciach na przedniej szybie, które zdawały się maleć, i o obracającym się wstecz liczniku mil. Opowiedziałem o radiu, na którym można było złapać wyłącznie nadającą stare przeboje WDIL, i uzyskałem w odpowiedzi zdumione chrząknięcie. O podpisach na moim gipsie, o tym, że autograf złożony przez Arniego w Święto Dziękczynienia był dokładnie taki sam, jak podpis Rolanda LeBaya na formularzu rejestracyjnym Christine. Opowiedziałem mu o tym, że Arnie bez przerwy używa słowa „zasrańcy”. Że zaczął się czesać jak jakiś gwiazdor z lat pięćdziesiątych. Opowiedziałem mu właściwie o wszystkim, z wyjątkiem tego, co spotkało mnie podczas drogi powrotnej do domu w noworoczny poranek. Miałem zamiar powiedzieć również o tym, ale po prostu nie mogłem. Po raz pierwszy wyrzuciłem to z siebie dopiero teraz, cztery lata później, gdy spisałem całą tę historię.

Kiedy skończyłem, w słuchawce zapadła cisza.

- Halo, panie LeBay? Jest pan tam?

- Jestem - odparł wreszcie. - Panie Guilder... Dennis... Nie chciałbym cię urazić, ale musisz zdawać sobie sprawę z tego, że to, co sugerujesz, wykracza daleko poza sferę wszelkich zjawisk pozazmysłowych i ociera się o...

- O szaleństwo?

- Nie użyłbym tego słowa. Z tego, co usłyszałem, wynika, że miałeś bardzo poważny wypadek. Leżałeś przez dwa miesiące w szpitalu, przez pewien czas bardzo cierpiąc. Czy nie uważasz za możliwe, że twoja wyobraźnia...

- Panie LeBay - przerwałem mu - czy pański brat wspominał czasem o małym włóczędzie?

- O kim?

- O małym włóczędzie. Na przykład kiedy rzucał papier do kosza, czy zamiast powiedzieć „dwa punkty” nie mówił czegoś w rodzaju: „Zobacz, jak wsadzę to w tyłek temu małemu włóczędzie”?

- Skąd o tym wiesz? - A zaraz potem, nie dając mi czasu na odpowiedź, dodał: - Pewnie użył tego wyrażenia, kiedy go spotkałeś, prawda?

- Nie.

- Panie Guilder, pan jest kłamcą.

Nic nie odpowiedziałem. Trząsałem się cały, stojąc na miękkich nogach. Jeszcze nigdy w życiu nikt dorosły nie powiedział do mnie w ten sposób.

- Wybacz mi, Dennis. Zrozum, że mój brat nie żyje. Był nieprzyjemnym, chyba nawet złym człowiekiem, ale teraz już nie żyje i żadna z tych ponurych fantazji...

- Kto to był mały włóczęga? - wykrztusiłem.

Cisza.

- Charlie Chaplin?

Wydawało mi się, że już nigdy nie odpowie, lecz wreszcie, po długim milczeniu, jednak się odezwał.

- W pewnym sensie - powiedział ciężko. - Właściwie miał na myśli Hitlera. Hitler i mały włóczęga grany przez Chaplina byli do siebie trochę podobni. Chaplin nakręcił film pod tytułem „Dyktator”. Wątpię, czy go widziałeś. Podczas wojny często go tak nazywano. Jesteś za młody, żeby to pamiętać, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia.

Tym razem ja milczałem.

- To nic nie znaczy! - krzyknął. - Zupełnie nie! To wszystko tylko przywidzenia i domysły, nic więcej! Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tutaj, w zachodniej Pensylwanii, zginęło już siedmiu ludzi - odparłem. - To nie przywidzenie. Zachowałem dwa podpisy na moim gipsie. One także nie są przywidzeniami. Jeśli pan chce, mogę je panu przysłać. Proszę przyjrzeć im się dokładnie i powiedzieć mi, czy jeden z nich nie jest wykonany ręką pańskiego brata.

- To może być świadome lub nie zamierzone fałszerstwo.

- Skoro pan tak uważa, proszę zatrudnić grafologa. Na mój koszt.

- Sam mogłeś to zrobić.

- Panie LeBay - powiedziałem dobitnie - ja nie potrzebuję więcej dowodów.

- Ale czego ode mnie chcesz? Żebym dzielił z tobą twoje złudzenia? Nie zrobię tego. Mój brat nie żyje. Jego samochód jest zwykłym samochodem.

Kłamał. Czulem to. Czulem to nawet przez telefon.

- Chciałbym, żeby wyjaśnił mi pan jedną rzecz, jaką usłyszałem od pana podczas naszej poprzedniej rozmowy.

- Jaka to rzecz? - zapytał nieufnie.

Zwilżyłem językiem wargi.

- Powiedział pan, że pański brat był opanowany obsesyjnym gniewem, ale nie był

potworem, a w każdym razie takie jest na ten temat pańskie zdanie. Zaraz potem zmienił pan temat, ale im dłużej nad tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że w gruncie rzeczy pan wcale nie zmienił tematu. Następną rzeczą, jaką pan wtedy powiedział, było, że w gruncie rzeczy brat nigdy nikomu nie wyrządził bezpośrednio krzywdy.

- Dennis, ja naprawdę...

- Jeżeli wtedy chciał pan coś powiedzieć, to, na litość boską, niech pan powie to teraz! - krzyknąłem łamiącym się głosem. Otarłem czoło i stwierdziłem, że było pokryte zimnym potem.

- Wcale nie jest mi łatwiej niż panu. Arnie znikował na punkcie pewnej dziewczyny, ale mnie wydaje się, że to wcale nie Arnie, tylko pański brat, pański nieżywy brat, więc niech pan wreszcie mówi, do licha ciężkiego!

Westchnął.

- Mówić? Mam mówić o tych dawno minionych wydarzeniach, a raczej podejrzaniach? To zupełnie tak samo, jakbym szturchał kijem śpiącego wroga. Ja naprawdę nic nie wiem.

- W takim razie proszę mi powiedzieć, co pan podejrzewa.

- Zadzwoń do ciebie.

- Panie LeBay, proszę...

- Zadzwoń do ciebie - powtórzył. - Muszę porozumieć się z moją siostrą Marcją z Kolorado.

- Jeśli to ma coś pomóc, sam do niej zadzwonię.

- Z tobą na pewno nie chciałaby o tym rozmawiać. Nawet między nami poruszyliśmy tę sprawę najwyżej raz albo dwa. Ufam, Dennis, że masz czyste sumienie, gdyż żądasz od nas, byśmy rozdrapali stare rany i pozwolili im znowu krwawić. Dlatego muszę cię zapytać raz jeszcze: czy jesteś zupełnie pewien?

- Jestem - szepnąłem.

- W takim razie zadzwonię do ciebie - powtórzył po raz trzeci i odłożył słuchawkę.

Minęło piętnaście minut, potem dwadzieścia. Nie mogąc usiedzieć w miejscu chodziłem po pokoju podpierając się kulami. Wyglądałem przez okno na okrytą zimową szatą czarno-białą ulicę. Dwukrotnie podszedłem do telefonu, ale nie podniosłem słuchawki, obawiając się, że mógłby dzwonić do mnie właśnie w tej chwili, lecz znacznie bardziej bojąc się, że w ogóle nie zadzwoni. Za trzecim razem, kiedy już prawie dotykałem ręką aparatu, zaterkotał dzwonek. Cofnąłem raptownie dłoń, jakby ukąsiła ją żmija, po czym zerwałem słuchawkę z widełek.

- Halo? - usłyszałem zadyszany głos Ellie z drugiego aparatu. - To ty, Donna?

- Czy zastałem Dennisa Guil... - zaczął George LeBay.

- Jestem przy telefonie - wpadłem mu w słowo. - Wyłącz się, Ellie.

- Proszę bardzo! - prychnęła moja siostra i odłożyła słuchawkę.

- Słucham pana - powiedziałem, czując, jak serce łomocze mi w piersi.

- Rozmawiałem z moją siostrą. Poradziła mi, żebym kierował się wyłącznie własnym zdaniem. Bardzo się boi. Razem, ty i ja, przeraziliśmy starą kobietę, która nigdy nikogo nie skrzywdziła i nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

- Zrobiliśmy to w dobrej sprawie.

- Na pewno?

- Gdybym tak nie myślał, nie zadzwoniłbym do pana - odparłem. - Będzie pan ze mną rozmawiał, panie LeBay?

- Tak. Z tobą, ale z nikim innym. Gdybyś powiedział o tym jeszcze komuś, wszystkiemu zaprzeczę. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- To dobrze. - Westchnął głęboko. - Podczas naszej poprzedniej rozmowy skłamałem dwa razy: raz na temat tego, co się wydarzyło, drugi na temat tego, co myśleliśmy o tym z Marcją. Okłamywaliśmy również samych siebie. Gdyby nie ty, zapewne robilibyśmy to do końca życia. Chodzi o to zdarzenie na poboczu szosy.

- O jego córeczkę?

Ścisnąłem słuchawkę z całej siły.

- Tak, o Ritę.

- Co się wtedy naprawdę stało?

- Moja matka często nazywała Rolliego podrzutkiem - powiedział LeBay. - Mówiłem ci o tym?

- Nie.

- Oczywiście, że nie. Wspomniałem tylko, że twój przyjaciel byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby pozbył się tego samochodu, bo to jeszcze wydawało się w miarę racjonalne, ale nieracjonalna reszta nie czeka, tylko wślizguje się zewsząd...

Umilkł. Nie poganiałem go. Sprawa przedstawiała się bardzo prosto: powie albo nie powie.

- Matka twierdziła, że dopóki nie skończył sześciu miesięcy, był wręcz idealnym dzieckiem. A potem... potem został podmieniony. Śmiała się, kiedy to mówiła, ale nie mówiła tego nigdy w obecności Rolliego, a śmiały się tylko jej usta, nie oczy. Myślę, że... że tylko w ten sposób potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego jest taki, jaki jest - nieprzystępny, wiecznie zagniewany, opanowany żądzą zrealizowania swoich obsesyjnych pragnień.

Był pewien chłopiec - zapomniałem już, jak się nazywał - który kilka razy dał mu

porządnie w skórę. Prawdziwy byczek. Kpił sobie z ubrania Rolliego, pytając go, czy kalesony, które ma na sobie, nosi od dwóch miesięcy, czy tylko od jednego. Rollie oczywiście wściekał się, miotał przekleństwa i rzucał na niego, tamten zaś tylko śmiał się, trzymał go na odległość wyciągniętej ręki i uderzał po twarzy tak długo, aż mu to się znudziło albo Rolliemu zaczęła lecieć krew z nosa. Potem mój brat siadał na rogu ulicy, palił papierosa i płakał, a lzy ściekały po jego twarzy umazanej krwią i smarkami. Jeżeli Drew albo ja zbliżyliśmy się wtedy do niego, bił nas tak długo, aż o mało nie wyzionęliśmy ducha.

Pewnej nocy dom tego chłopaka spłonął do fundamentów. On sam, jego ojciec i młodszy brat zginęli w płomieniach, natomiast młodsza siostra doznała poważnych oparzeń. Podobno przyczyną pożaru był wadliwie działający piec w kuchni. Może tak było, ale kiedy w nocy obudziło mnie wycie syren, Rolliego nie było w pokoju. Wszedł w chwilę potem przez okno, wymazany sadzą i cuchnący benzyną. Kiedy zauważył, że nie śpię, powiedział: „Jeżeli coś komuś piśniesz, Georgie, zabiję cię”. Od tamtej pory cały czas wmawiałem sobie, iż chodziło mu o to, żebym nikomu nie wygadał, że był poza domem, przyglądając się pożarowi. Może tak właśnie było.

Usta miałem zupełnie suche, w żołądku czułem ołowiany ciężar i zjeżyły mi się włosy na karku.

- Ile miał wtedy lat? - zapytałem ochrypłym szeptem.

- Niecałe trzynaście - odparł LeBay z fałszywym spokojem. - Pewnej zimy, chyba rok później, podczas meczu hokejowego na lodowisku wybuchła bójka i chłopak nazwiskiem Randy Throgmorton rozplatał mu kijem głowę. Rollie stracił przytomność. Zawieźliśmy go do starego doktora Farmera, który założył mu kilkanaście szwów. Po kilku dniach pod Randym załamał się lód na pobliskim stawie i chłopak utonął. Prawdopodobnie jeździł tam na łyżwach, choć na brzegu stała tablica z wyraźnym napisem: „Uwaga, cienki lód”. Prawdopodobnie.

- Chce pan powiedzieć, że pański brat zabił tych ludzi? Usiłuje dać mi pan do zrozumienia, że zamordował własną córkę?

- On jej nie zamordował, Dennis. Udławiła się kawałkiem bułki. On jej tylko pozwolił umrzeć.

- Przecież podobno potrzasał nią, uderzał w plecy, starał się wywołać wymioty...

- Tak opowiadał mi na jej pogrzebie.

- W takim razie...

- Później rozmawiałem o tym z Marcją - tylko ten jeden raz, ma się rozumieć. Oto co powiedział mi Rollie: „Złapałem ją za nogi i próbowałem wytrząsnąć tego hamburgera, ale utkwil na dobre”. Relacja Weroniki zaś przedstawiała się następująco: „Rollie podniósł ją, odwrócił

głową do dołu i potrząsał, ale to nic nie dało”. Powiedzieli mniej więcej to samo, prawie identycznymi słowami. Wiesz, co mi to przypomniało?

- Nie.

- Przypomniało mi to Rolliego, który wszedł przez okno do pokoju i szepnął: „Jeśli coś komuś piśniesz, Georgie, zabiję cię”.

- Ale... dlaczego? Czemu miałby...

- Później Weronika napisała do Marci list, w którym sugerowała, że w rzeczywistości Rollie wcale nie starał się uratować dziecka. Kiedy potrząsanie nie przyniosło żadnych rezultatów, położył dziewczynkę w samochodzie. Żeby była w cieniu, powiedział. Jednak w swoim liście Weronika napisała, iż przypuszcza, że jej mąż chciał, by Rita umarła właśnie tam.

Nie chciałem tego powiedzieć, ale musiałem.

- Czy sugeruje pan, że złożył ją w ofierze?

Nastąpiło długie, niepokojące milczenie.

- Nawet jeżeli tak, to na pewno nieświadomie - odezwał się wreszcie LeBay. - Tak samo jak nie twierdzę, że świadomie ją zamordował. Gdybyś znał mego brata, wiedziałbyś, że podejrzewanie go o konszachty z siłami nieczystymi nie ma najmniejszego sensu. Wierzył wyłącznie w to, co widział... i w to, co pragnął zdobyć. Wydaje mi się, że mogło nim kierować jakieś... jakieś przeczucie albo że ktoś kierował jego postępowaniem.

- A jak było z Weroniką?

- Nie wiem - przyznał. - Policja uznała to za samobójstwo, choć nie znaleziono żadnego listu. Być może to prawda. Ale ta biedna kobieta miała w mieście kilka przyjaciółek i zastanawiałem się często, czy na przykład nie podzieliła się z którąś z nich swoimi podejrzeniami i czy nie dowiedział się o tym Rollie. „Jeśli coś komuś piśniesz, Georgie, zabiję cię”. Oczywiście nie mam na to żadnych dowodów. Zastanawiałem się również, dlaczego zrobiła to właśnie w taki sposób i czym wytłumaczyć fakt, że kobieta nie mająca najmniejszego pojęcia o samochodach wpadła na pomysł, by nałożyć gumowy wąż na rurę wydechową i włożyć jego drugi koniec przez uchylone okno. Teraz staram się o tym zbyt często nie myśleć, bo nie mogę wtedy zasnąć.

Głowę miałem nabitą tym, co powiedział, i tym, czego nie powiedział, a co dawał do zrozumienia między wierszami. „Opanowany żądzą zrealizowania swoich obsesyjnych pragnień”. Przypuśćmy, że Roland LeBay zrozumiał w jakiś sposób, nie przyznając się do tego nawet przed samym sobą, że jego plymouth jest opanowany przez nadnaturalne siły, potem zaś czekał na pojawienie się kogoś, kto mógłby go po nim odziedziczyć, by...

- Czy odpowiedziałem na twoje pytania, Dennis?

- Chyba tak.

- Co masz zamiar teraz zrobić?
- Przecież pan wie.
- Zniszczysz samochód?
- Spróbuję - odparłem, po czym spojrzałem na oparte o ścianę kule. Moje przeklęte kule.
- Przy okazji możesz również zniszczyć swojego przyjaciela.
- Ale mogę też go ocalić.
- Zastanawiam się, czy to jeszcze jest możliwe - powiedział cicho George LeBay.



## 47. ZDRADA

*Wszędzie była krew i szkło,  
I tylko ja, zupełnie sam.  
Deszcz lat ulewny, zimny i wściekły,  
A koło drogi leżał facet we krwi  
I krzyczał, żeby mu pomóc.*

Bruce Springsteen

Pocałowałem ją.

Objęła mnie za szyję i poczułem na karku dotknięcie jej chłodnej dłoni. Nie miałem już żadnych wątpliwości, co się między nami dzieje, a kiedy odsunęła się ode mnie z na wpół przymkniętymi oczami, zobaczyłem, że ona także ich nie ma.

- Dennis... - szepnęła, a ja znowu ją pocałowałem. Nasze języki zetknęły się delikatnie. Przez chwilę wzmożła intensywność pocałunku, tak że poczułem tę namiętność, na którą wskazywały wystające kości policzkowe, po czym cofnęła się. - Wystarczy - powiedziała. - Zaaresztują nas za obrazę moralności publicznej albo za coś w tym rodzaju.

Był 18 stycznia. Siedzieliśmy w moim samochodzie stojącym na parkingu przed barem z pieczonymi kurczakami. Prowadziłem wóz po raz pierwszy od chwili wypadku. Rano lekarz zdjął mi z uda gipsowy opatrunek i zastąpił go elastycznym bandażem. Co prawda ostrzegł mnie z marsową miną, żebym nie forsował nogi, ale wyczułem, że jest bardzo zadowolony z postępów, jakie czyniłem. Wyprzedziłem harmonogram rekonwalescencji o prawie miesiąc. On wiązał ten fakt z nowoczesnymi metodami leczenia, moja matka z pozytywnym nastawieniem psychicznym i rosołem z kury, trener Puffer zaś z owocami dzikiej róży.

Ja osobiście uważałem, że znaczną rolę w tym wszystkim odegrała Leigh Cabot.

- Musimy porozmawiać - powiedziała.

- A może jeszcze trochę poobrażamy moralność?

- Najpierw rozmowa.

- Czyżby znowu zaczął?

Skinęła głową.

W ciągu dwóch tygodni, jakie minęły od mojej telefonicznej rozmowy z LeBayem, czyli przez dwa pierwsze tygodnie zimowego semestru, Arnie pracował nad ponownym nawiązaniem

bliskich kontaktów z Leigh, czyniąc to z zapalem, który przerażał nas oboje. Opowiedziałem jej o wszystkim, czego dowiedziałem się od George'a LeBaya (przemilczając jednak, jak już wspomniałem, okropne przeżycia noworocznego poranka), i dałem jasno do zrozumienia, że w żadnym wypadku nie wolno jej go jednoznacznie odtrącić. Na pewno zareagowałby wybuchem wściekłości, a ostatnio wszystkich, którzy zdenerwowali czymś Arniego, spotykał los niespecjalnie godny pozazdroszczenia.

- Z tego wynika, że będę musiała go oszukiwać - zauważyła.

- Wiem - odparłem ostrzej, niż miałem zamiar. - Mnie też się to nie podoba, ale nie chcę, żeby ten samochód znowu kogoś zabił.

- Więc?

Potrząsnąłem głową.

Coraz bardziej czułem się jak Hamlet, wciąż zwlekając i zwlekając. Oczywiście wiedziałem, co trzeba zrobić: Christine musiała zostać zniszczona. Wraz z Leigh zastanawialiśmy się, w jaki sposób tego dokonać.

Najpierw wpadła na pomysł z koktajlami Mołotowa. Nalejemy benzyny do butelek po winie, powiedziała, podkradniemy się o świcie do domu Cunninghamów, zapalimy lonty („Lonty? Jakie lonty?” - przerwałem jej. „Może być nasmołowany sznurek” - odparła, a ja znowu zacząłem rozmyślać o jej przodkach, po których odziedziczyła wystające kości policzkowe) i wrzucimy butelki do środka.

- A jeśli szyby będą zasunięte, a drzwi zamknięte? - zapytałem. - Wszystko wskazuje na to, że tak właśnie będzie.

Spojrzała na mnie, jakbym postradał rozum.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że pomysł podpalenia samochodu Arniego nie budzi twoich zastrzeżeń, natomiast odczuwasz wyrzuty sumienia na myśl o tym, że miałbyś przedtem wybić szybę?

- Nie - odparłem. - Ale kto odważy się podejść do niej tak blisko, żeby uderzyć młotkiem? Może ty?

Przygryzła dolną wargę i nic nie odpowiedziała.

Następny pomysł był mój: dynamit.

Leigh zastanowiła się przez chwilę i pokręciła głową.

- Myślę, że zdobyłbym go bez żadnego kłopotu - powiedziałem. Wciąż jeszcze widywałem się od czasu do czasu z Bradem Jeffriesem, który nadal pracował dla Penn-DOT, Penn-DOT zaś miało wystarczająco dużo dynamitu, żeby wystrzelić na Księżyc miejski stadion. Chyba udałoby mi się pożyczyć bez wiedzy Brada właściwy klucz; zawsze kiedy w telewizji była

transmisja z meczu Pingwinów, siadał przed odbiornikiem i tankował bez opamiętania. Mógłbym zabrać klucz od magazynu z materiałami wybuchowymi podczas jednego meczu i oddać go w czasie następnego. Prawdopodobieństwo, że będzie potrzebował dynamitu w środku stycznia, było tak niewielkie, że prawie nie istniejące. Oczywiście musiałbym dokonać kolejnego oszustwa, ale był to jedyny sposób, żeby wreszcie wszystko zakończyć.

- Nie - powiedziała Leigh.

- A dlaczego? - Moim zdaniem użycie dynamitu rozwiązałoby problem całkowicie i nieodwołalnie.

- Dlatego, że Arnie trzyma ją teraz na podjeździe przed domem. Naprawdę chcesz, żeby odłamki rozsypały się po całej okolicy? Przecież tam jest mnóstwo dzieci.

Skrzywiłem się. Nie pomyślałem o tym, ale teraz, kiedy zwróciła mi uwagę na tę sprawę, moja wyobraźnia natychmiast podsunęła mi obraz przerażających zniszczeń. Jednocześnie przyszedł mi do głowy inny pomysł: a gdyby zapalić od papierosa lont przy lasce dynamitu i cisnąć nią w cel? Co prawda w wieczornym westernie sprawa wyglądała znacznie prościej niż w rzeczywistości, w której istniały jeszcze takie szczegóły jak splonki i zapalniki, lecz mimo to uczepiłem się tej myśli nogami i rękami.

- A gdybyśmy zrobili to w nocy?

- I tak byłoby bardzo niebezpiecznie - odparła. - Ty też o tym wiesz. Masz to wypisane na twarzy.

Nastąpiła długa cisza.

- Zgniatarka koło Garażu Darnella? - odezwała się wreszcie.

- Ten sam kłopot co przedtem. Kto ją tam zaprowadzi? Ty, ja czy Arnie?

I na tym utknęliśmy.

- Co było dzisiaj? - zapytałem.

- Chciał, żebym wyszła z nim wieczorem. Tym razem pograć w kręgle. - Poprzednio zapraszał ją do kina, na kolację, kurs tańca i oglądanie telewizji w jego domu. Proponowanym środkiem transportu była zawsze Christine. - Staje się coraz bardziej natarczywy, a mnie już kończą się wymówki. Jeżeli mamy w ogóle coś zrobić, zróbmy to jak najprędzej.

Skinąłem głową. Jedną z przyczyn powstrzymujących nas przed przystąpieniem do działania był brak zadowalających pomysłów, drugą zaś moja noga. Teraz wreszcie zdjęto mi gips, i choć lekarz surowo zalecił mi poruszać się wyłącznie o kulach, natychmiast spróbowałem, czy dam sobie radę bez nich. Trochę bolało, ale nie tak bardzo, jak się spodziewałem.

Przed wszystkim jednak chodziło o nas. Odkrywaliśmy się nawzajem. Chociaż to, co teraz wyznam, zabrzmiać może dość paskudnie, myślę, że muszę to powiedzieć, jeżeli chcę

nadal trzymać się prawdy. (Rozpoczynając tę opowieść przyrzekłem sobie, że przerwę ją natychmiast, jak tylko zorientuję się, że nie jestem w stanie przekazać w niej wszystkiego, co naprawdę się wydarzyło). Otóż posmak niebezpieczeństwa z pewnością przyczynił się do wzmocnienia uczuć, jakie żywiłem do niej, a także chyba tych, jakie ona żywiła do mnie. Arnie był moim najlepszym przyjacielem,, co jednak zupełnie nie przeszkadzało, że spotykając się za jego plecami doznawaliśmy bezsensownego, ale przyjemnego dreszczyku emocji. Czulem to za każdym razem, kiedy brałem ją w ramiona i dotykałem jędrnej wypukłości piersi. Nie jestem w stanie powiedzieć, dlaczego wydawało mi się to takie ekscytujące, ale tak właśnie było. Po raz pierwszy w życiu zakochałem się w dziewczynie. Wcześniej zdarzały mi się różne zauroczenia i fascynacje, ale nigdy nic o takim natężeniu. Bardzo mi się to podobało. Kochałem ją. Natomiast ta towarzysząca mi ciągle świadomość, że postępuję jak zdrajca... Było to jednocześnie fascynujące i pobudzające. Zawsze mogliśmy sobie powiedzieć (i robiliśmy to), że trzymamy usta na klódkę wyłącznie po to, by chronić nasze rodziny i nas samych.

Tak było naprawdę.

Ale to nie wszystko, Leigh, prawda? Nie, to jeszcze nie wszystko.

W pewnym sensie nie mogło zdarzyć się nic gorszego. Miłość spowalnia czas reakcji i tłumi poczucie niebezpieczeństwa. Od mojej rozmowy z George'em LeBayem minęło już dwanaście dni i wspomnienie o tym, co powiedział - a co gorsza, nawet o tym, co tylko sugerował - nie wywoływało już gęsiej skórki na moim ciele.

To samo - lub wcale nie to samo - dotyczyło nielicznych chwil, kiedy zamieniałem kilka słów z Arniem lub widywałem go przelotnie na korytarzu. Wyglądało to tak, jakbyśmy w jakiś niezwykle sposób cofnęli się w czasie do września i października, kiedy rysującą się między nami szczelinę dało się wytłumaczyć tym, że Arnie był zawsze bardzo zajęty. Rozmawiał ze mną uprzejmie, choć jego szare oczy ukryte za okularami pozostawały cały czas chłodne. W każdej chwili oczekiwałem telefonu od zrozpaczonej Reginy lub wytrąconego z równowagi Michaela, z informacją, że Arnie przestał bawić się z nimi w kotka i myszkę i przyznał, że na dobre zrezygnował już z zamiaru rozpoczęcia studiów od jesieni.

Nic takiego jednak się nie stało, od naszego zaś wychowawcy dowiedziałem się, iż Arnie wziął do domu mnóstwo informatorów przysyłanych przez Uniwersytet Stanowy, Uniwersytet Drew i Uniwersytet Penn. Tymi właśnie uczelniami najbardziej interesowała się Leigh. Wiedziałem o tym... i Arnie też o tym wiedział.

Wieczorem, dwa dni wcześniej, przypadkiem podsłuchałem rozmowę mojej matki z Ellie.

- Dlaczego Arnie przestał do nas przychodzić, mamó? - zapytała Ellie. - Pokłócił się z

Dennisem?

- Nie, kochanie - odparła mama. - Nie wydaje mi się. Po prostu z biegiem lat czasem rozchodzą się drogi nawet bardzo dobrych przyjaciół.

- Mnie takie coś nigdy się nie zdarzy - stwierdziła Ellie z niezachwianą stanowczością piętnastolatki.

Siedziałem w pokoju i zastanawiałem się, czy prawda nie przedstawia się właśnie w taki sposób: halucynacje wywołane długim pobytom w szpitalu, na które nałożyło się powolne oddalanie od siebie dwóch wkraczających w dorosłość przyjaciół z dzieciństwa. Musiałem przyznać, że nie było to pozbawione pewnej logiki. W ten sposób dawała się nawet wytłumaczyć moja niechęć do Christine, dzieląca nas niczym ostrze.

Co prawda to wyjaśnienie pomijało milczeniem pewne niezaprzeczalne fakty, ale za to było bardzo wygodne. Gdybyśmy w nie uwierzyli, moglibyśmy, zarówno Leigh, jak i ja, znowu zacząć prowadzić zupełnie normalne życie: działać w szkolnych kołach zainteresowań, przygotowywać się do matury, a także, rzecz jasna, kochać się zawsze, jak tylko jej lub moi rodzice wyszliby z pokoju. Moglibyśmy znowu stać się tym, kim naprawdę byliśmy: parą podnieconych, zafascynowanych sobą nastolatków.

Wszystko to uśpiło naszą czujność. Do tej pory zachowywaliśmy się bardzo ostrożnie - zupełnie jak dorośli, nie jak dzieciaki - ale dzisiaj wreszcie zdjęto mi gips, dzisiaj wreszcie mogłem usiąść za kierownicą samochodu, więc natychmiast zadzwoniłem do Leigh i zapytałem, czy nie chciałaby wybrać się ze mną na inauguracyjną przejażdżkę. Zgodziła się z entuzjazmem.

Rozumiecie więc chyba, dlaczego nasza czujność nieco osłabła i dlaczego na chwilę zapomnieliśmy o środkach ostrożności. Siedzieliśmy w samochodzie stojącym na parkingu z włączonym silnikiem i dmuchawą ciepłego powietrza i rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób zabić podstępny czerwono-biały potwór, jakbyśmy byli parą dzieci bawiących się w kowbojów.

Żadne z nas nie zauważyło, kiedy za nami zatrzymała się Christine.

- Wygląda na to, że przygotowuje się do długiego obłączenia - zauważyłem.

- Jak to?

- Te informatory, które wziął do domu.

- Nie rozumiem... - przyznała z niepokojem.

- Wybrał te uczelnie, którymi ty się najbardziej interesujesz - wyjaśniłem cierpliwie.

Spojrzała na mnie, a ja na nią. Spróbowałem się uśmiechnąć, lecz nic mi z tego nie wyszło.

- W porządku, przyjrzyjmy się wszystkiemu jeszcze raz - powiedziałem. - Koktajl

Mołotowa odpada. Dynamit wydaje się trochę ryzykowny, ale gdyby...

Przerwałem w pół zdania, gdyż Leigh wciągnęła nagle powietrze w płuca, a na jej twarzy pojawił się wyraz przerażonego niedowierzania. Wpatrywała się przed siebie wytrzeszczonymi oczami, z otwartymi ustami. Spojrzałem w tamtą stronę; to, co zobaczyłem, było tak zaskakujące, że przez chwilę nie mogłem wykonać żadnego ruchu.

Przed samochodem stał Arnie.

Zaparkował bezpośrednio za nami i poszedł do baru po piezzonego kurczaka. Nie wiedział, że to my, bo i skąd miałby wiedzieć? Było już prawie ciemno, czteroletni zaś, zablocony duster nie stanowił tak niezwykłego widoku, żeby od razu zwrócić na niego uwagę. Wszedł do środka, kupił sobie porcję, wyszedł... i ujrzał przez przednią szybę Leigh i mnie, przytulonych do siebie, objętych ramionami i spoglądających sobie głęboko w oczy, jak mawiają poeci. Czysty przypadek - okropny, niewiarygodny, ale jednak przypadek. Z tym tylko, że nawet teraz gdzieś w głębi mojej duszy kolacze przekonanie, że to była sprawka Christine, że to ona celowo go tam przywiozła.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Potem z gardła Leigh wydobył się cichy jęk. Arnie stał mniej więcej w połowie niezbyt rozległego parkingu, ubrany w szkolną bluzę, wypłowiałe dżinsy i wysokie buty. Szyję miał owiniętą kraciastym szalikiem. Wyraz jego twarzy okolonej czernią postawionego kołnierza zmieniał się stopniowo z bolesnego niedowierzania we wściekłą nienawiść. Papierowa torebka z porcją piezzonego kurczaka wysunęła mu się z rąk i upadła na ubity śnieg pokrywający nawierzchnię parkingu.

- Dennis... - szepnęła Leigh. - Mój Boże, Dennis...

Arnie ruszył biegiem w naszą stronę. Miałem wrażenie, że chce wyciągnąć mnie z samochodu i sprawić tęgie lanie. Wyobraziłem sobie, jak podskakuję w blasku latarni na zdrowszej, ale też jeszcze niezupełnie sprawnej nodze, Arnie zaś, któremu podczas wszystkich szkolnych lat tak wiele razy ratowałem życie, tłucze mnie na kwaśne jabłko. Biegł z ustami wykrzywionymi grymasem, który już kiedyś widziałem, tyle tylko, że nie na jego twarzy, lecz na twarzy LeBaya.

Jednak nie zatrzymał się przy moim samochodzie. Pobiegł dalej. Odwróciłem się za nim i właśnie wtedy zobaczyłem Christine.

Otworzyłem drzwi, chwyciłem za rynienkę dachową i zacząłem gramolić się na zewnątrz. Było tak zimno, że niemal natychmiast straciłem czucie w palcach.

- Dennis, nie! - krzyknęła Leigh.

Wylazłem z samochodu akurat wtedy, kiedy Arnie gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi Christine.

- Arnie! Zaczekaj!

Poderwał głowę. Miał rozszerzone, błyszczące, zupełnie puste oczy. Z kącika ust kapiała mu ślina. Atrapa Christine szczyrzyła na mnie chromowane zęby. Arnie uniósł obie pięści i potrząsnął nimi w moją stronę.

- Ty zasańcu! - wrzasnął piskliwym, łamiącym się głosem. - Weź ją sobie! Zaslugujesz na nią! To gówno! Oboje jesteście gówno! Cieszcie się sobą, bo nie macie dużo czasu!

Przy szklanych ścianach baru zaczęli gromadzić się ludzie, zaintrygowani dobiegającymi z parkingu krzykami.

- Arnie, daj mi coś powiedzieć...

Wskoczył do samochodu i zatrzasnął drzwi. Silnik Christine ryknął, a zaraz potem zapłonęły reflektory - jaskrawobiałe ślepie z mojego snu - przyszpilając mnie niczym bezradnego owada. Nad nimi, za przednią szybą, widziałem przerażającą twarz Arniego, grzeszną twarz ogarniętego szaleństwem diabła. Mam ją do dzisiaj przed oczami, ohydną i zarazem nieszczęśliwą. W chwilę potem zniknęła, na jej miejscu zaś pojawiła się wyszczerzona czaszka.

Leigh wrzasnęła przeraźliwie, wiedziałem więc, że to nie halucynacja. Ona także to zobaczyła.

Christine skoczyła do przodu, wyrzucając spod tylnych kół fontanny śniegu. Nie celowała w duster, tylko we mnie. Myślę, że chciała zetrzeć mnie na miazgę, przyciskając do boku samochodu. Ocaliła mnie moja niesprawna noga, która nagle ugięła się pode mną, dzięki czemu wpadłem do wnętrza wozu, zawadzając biodrem o kierownicę i naciskając klakson.

Na twarzy poczułem podmuch lodowatego powietrza. Jaskrawo-czerwony bok Christine przemknął metr ode mnie. Nie zmniejszając prędkości skręciła w John Kennedy Drive, pokonując zakręt kontrolowanym poślizgiem. W chwilę potem zniknęła.

Opuściłem wzrok na śnieg i zobaczyłem świeży ślad jej opon. Minęła otwarte drzwi mojego samochodu nie więcej niż o pięć centymetrów.

Leigh płakała. Ująłem lewą nogę obiema rękami, wciągnąłem ją do samochodu, zatrzasnąłem drzwi i objąłem łkającą dziewczynę. Jej ramiona zacisnęły się na mojej szyi z rozpaczliwą siłą.

- To... to nie był...

- Ciiii!... Nieważne, Leigh. Nie myśl już o tym.

- To nie był Arnie, tylko jakiś trup! Trup, rozumiesz?!

- LeBay - powiedziałem. Teraz, kiedy już to się stało, zamiast nerwowego roztrzęsienia i poczucia winy wywołanego faktem odebrania dziewczyny najlepszemu przyjacielowi odczuwałem niezwykle spokój. - To był on, Leigh. Właśnie poznałaś Rolanda D. LeBaya.

Szlochala na moim ramieniu, przerażona, wstrząśnięta i wciąż niedowierzająca. Cieszyłem się, że jest ze mną. W lewej nodze czułem pulsujący ból. Spojrzałem we wsteczne lustro, gdzie niedawno ujrzałem zaparkowaną za nami Christine. Teraz, po wszystkim, wydawało mi się, że jakiegokolwiek inne rozwiązanie było po prostu niemożliwe. Spokój ostatnich dwóch tygodni, radość z przychylności Leigh - wszystko to wydawało mi się czymś nienaturalnym i fałszywym; równie fałszywym, jak udawana wojna aliantów między napaścią Hitlera na Polskę a jego miażdżącym uderzeniem na Francję.

Jednocześnie dostrzegłem sposób, w jaki cała ta sprawa powinna się zakończyć.

Leigh odsunęła od mojej piersi wilgotny policzek, spojrzała na mnie i zapytała:

- Co teraz, Dennis? Co teraz zrobimy?

- Skończymy to.

- Jak to? Co masz na myśli?

- Arnie potrzebuje alibi - powiedziałem bardziej do siebie niż do niej. - Kiedy wyjedzie, musimy być gotowi. Garaż Darnella. Tam ją zwabię i zabiję.

- Dennis, co ty wygadujesz?

- Na pewno wyjedzie z miasta - ciągnąłem. - Nie rozumiesz? Wszyscy ludzie, których zabiła Christine, byli w jakiś sposób związani z Arniem. On o tym wie i dlatego znowu sprawi, żeby gdzieś wyjechał.

- Masz na myśli LeBaya.

Skinąłem głową. Ciałem Leigh wstrząsnął dreszcz.

- Musimy ją zabić. Nie ma innego wyjścia.

- Ale jak? Jak mamy to zrobić?

Wreszcie przyszedł mi do głowy pewien pomysł.



## 48. PRZYGOTOWANIA

*Na drodze czeka zbrodniarz okrutny,  
Myśl ma ponurą, wzrok paskudny...*

### The Doors

Odwiozłem Leigh do domu i nakazałem jej, żeby zadzwoniła do mnie natychmiast, gdyby tylko zobaczyła gdzieś w pobliżu krążącą Christine.

- I co wtedy zrobisz? Przyjedziesz z miotaczem płomieni?

- Nie. Z granatnikiem przeciwpancernym.

Oboje wybuchnęliśmy histerycznym śmiechem.

- Cel: czerwony plymouth... Ładuj... Pa! - wykrzyknęła Leigh. Jednak śmiejąc się byliśmy cały czas potwornie przerażeni, ja zaś dodatkowo myślałem o Arniem - zarówno o tym, co zobaczył, jak i o tym, co zrobiłem. Przypuszczam, że Leigh czuła się podobnie. Śmialiśmy się tylko dlatego, że czasem są takie chwile, kiedy po prostu musisz się śmiać. Musisz, i już. Nic wtedy nie może cię powstrzymać. - A co mam powiedzieć rodzicom? - zapytała wreszcie, kiedy zdołała się trochę opanować. - Przecież muszę im coś powiedzieć. Nie mogę ryzykować, że zostaną rozjechani na ulicy!

- Nic - odparłem. - Nic im nie powiesz.

- Ale...

- Po pierwsze, nie uwierzą ci. Po drugie, dopóki Arnie jest w Libertyville, na pewno nikomu nic się nie stanie. Ręczę za to własnym życiem.

- Tak jest naprawdę - szepnęła.

- Wiem. W grę wchodzi nie tylko moje życie, ale także mojej matki, ojca i siostry.

- Skąd będziemy wiedzieć, że wyjechał?

- Ja się tym zajmę. Leigh, jutro zachorujesz i nie pójdziesz do szkoły.

- Właściwie to już jestem chora. Dennis, co się stanie? Jakie masz zamiary?

- Zadzwoń do ciebie wieczorem - powiedziałem i pocałowałem ją w usta. Były zimne jak lód.

Kiedy wróciłem do domu, zastałem Elaine zakładającą kurtkę i miotającą pod nosem inwektywy na ludzi, którzy wysyłają innych ludzi do sklepu po mleko i pieczywo właśnie wtedy,

kiedy w telewizji jest nadawana „Gorączka tańca”. Mnie także z pewnością by coś objechało, gdyby nie to, że zaproponowałem jej podwiezienie do supermarketu i z powrotem. Elaine rozchmurzyła się nieco, ale jednocześnie obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem, jakby nieoczekiwane okazanie uprzejmości młodszej siostrze mogło stanowić objaw jakiejś choroby. Na przykład opryszczki. Zapytała, czy dobrze się czuję. Uśmiechnąłem się tylko dobrotliwie i kazałem jej włączyć do samochodu, zanim zmienię zdanie, choć zaczęła już mnie boleć także prawa noga, lewa zaś rwała tak, że trudno było wytrzymać. Mogłem przekonywać Leigh, że Christine nie wyruszy na łowy tak długo, jak długo Arnie nie opuści Libertyville, i sam nie miałem właściwie co do tego żadnych wątpliwości, ale... na myśl o tym, że Ellie miałyby iść ciemnymi ulicami w swojej jaskrawożółtej kurtce, przechodząc kilka razy przez opustoszałe jezdnie, coś przewracało mi się w żołądku. W mojej wyobraźni bez przerwy pojawiał się obraz Christine stojącej w jednej z bocznych ulic, przyczaponej jak stary myśliwski pies.

Kiedy dojechaliśmy do supermarketu, dałem jej dolara.

- Kup nam po ciastku i coca-coli.

- Dennis, czy ty na pewno dobrze się czujesz?

- Tak. Jeśli przegrasz resztę w automatach, złamię ci rękę.

To ją chyba uspokoiło. Weszła do sklepu, a ja siedziałem zgarbiony za kierownicą dusterą, rozmyślając o paskudnej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Najgorsze było to, że nie mogliśmy z nikim porozmawiać. Właśnie na tym polegała przewaga Christine. Nie było mowy o tym, żebym zszedł do warsztatu taty i powiedział, że czerwono-biały plymouth Arniego Cunninghama jeździ sam, bez kierowcy, ani żebym zadzwonił na policję i poinformował ich, że pewien martwy facet dybie na moje życie i na życie mojej dziewczyny. Jedyne, co przemawiało na naszą korzyść - oprócz faktu, że Christine nie wykona żadnego ruchu, dopóki Arnie nie będzie miał żelaznego alibi - to fakt, że do tej pory zawsze zabijała bez świadków. Mochie Welch, Don Vandenberg i Darnell zginęli w nocy, kiedy byli sami, Buddy Repperton zaś i jego kumple zostali zamordowani poza miastem, na zupełnym pustkowiu.

Elaine wróciła przyciskając do brzucha pękatą torbę, wsiadła do samochodu i dała mi moją colę i ciastko.

- Reszta - zażądałem.

- Okropna z ciebie maruda - mruknęła, lecz mimo to położyła na mojej wyciągniętej dłoni dwadzieścia kilka centów.

- Wiem, ale i tak cię kocham.

Ściągnąłem jej z głowy kaptur, zmierzwiłem włosy i pocałowałem w ucho. Przez chwilę stroszyła się, zaskoczona i podejrzliwa, a potem uśmiechnęła. Musiałem przyznać, że moja siostra

wcale nie była taka znowu najgorsza. Na myśl o tym, że mogłaby zostać przejechana w jakiejś ciemnej uliczce tylko dlatego, że zakochałem się w Leigh Cabot po tym, jak Arnie oszalał i zostawił ją... Nie, po prostu nie mogłem do tego dopuścić.

Znalazłszy się z powrotem w domu powiedziałem mamie cześć i od razu ruszyłem na górę. Chciała wiedzieć, jak się miewa moja noga; skłamałem, że bardzo dobrze, ale kiedy wreszcie dotarłem na piętro, od razu skierowałem się do szafki z lekarstwami i połknąłem kilka tabletek aspiryny w intencji moich nóg - obie śpiewały już „Ave Maria”. Potem wszedłem do sypialni rodziców, gdzie jest zainstalowany drugi telefon, i opadłem z westchnieniem ulgi na bujany fotel mamy. Podniosłem słuchawkę i wykręciłem pierwszy numer.

- Dennis Guilder, podpora projektu budowy przedłużenia autostrady! - wykrzyknął radośnie Brad Jeffries. - Cieszę się, że cię słyszę, chłopcze. Kiedy znowu razem obejrzymy mecz Pingwinów?

- Nie wiem - odparłem. - Ostatnio znudziło mi się oglądanie niepełnosprawnych hokeistów. Ale gdyby zainteresowała cię jakaś naprawdę dobra drużyna, na przykład Flyersi...

- Boże, czy muszę wysłuchiwać takich rzeczy od cudzego dzieciaka? Zdaje się, że świat naprawdę schodzi na psy.

Jeszcze trochę poplotkowaliśmy o niczym, a potem powiedziałem mu, o co mi chodzi.

- Co jest, Dennis, do kurwy nędzy? - roześmiał się Brad. - Otwierasz własny interes?

- W pewnym sensie - odparłem, myśląc o Christine. - Ale na krótko.

- Nie chcesz o tym gadać?

- Na razie nie. Znasz kogoś, kto mógłby mi wypożyczyć coś w tym rodzaju?

- Powiem ci coś, Dennis: jest tylko jeden facet, z którym możesz załatwić taką sprawę. Nazywa się Johnny Pomberton i mieszka przy Ridge Road. Ma więcej sprzętu niż Carter pastylek na wątrobę.

- To dobrze. Dzięki, Brad.

- A co u Arniego?

- Myślę, że wszystko w porządku. Ostatnio nie widuję go tak często, jak kiedyś.

- Zabawny chłopak z niego. Jak go pierwszy raz zobaczyłem, dalbym głowę za to, że nie wytrzyma do końca lata, ale okazało się, że to uparty gość.

- Aha - potwierdziłem. - Bardzo uparty.

- Pozdrów go ode mnie, jak go zobaczysz.

- Jasne, Brad. Trzymaj się.

- Spróbuję. Wpadnij do mnie któregoś dnia, to obalimy parę piw.

- Postaram się. Dobranoc.

- Czołem.

Odłożyłem słuchawkę i przez minutę albo dwie siedziałem bez ruchu. Zupełnie nie miałem ochoty na następną rozmowę, ale nie istniał żaden sposób, w jaki mógłbym jej uniknąć, gdyż była najważniejsza w całej tej żalostnej, beznadziejnej historii. Wreszcie wykręciłem z pamięci numer Cunninghamów. Gdyby odebrał Arnie, po prostu rozłączyłbym się bez słowa. Jednak dopisało mi szczęście, gdyż usłyszałem zmęczony, jakby trochę niewyraźny głos Michaela:

- Halo?

- Michael? Tu Dennis.

- Jak się masz!

Wydawał się autentycznie uradowany.

- Czy Arnie jest w domu?

- Na górze. Wrócił skądś i od razu poszedł do siebie. Wyglądał jak chmura gradowa, ale ostatnio to u niego zupełnie normalne. Mam go zawołać?

- Nie trzeba. Właściwie to miałem zamiar rozmawiać właśnie z tobą. Chciałbym prosić cię o przysługę.

- Nie ma sprawy, Dennis. Wal śmiało. - Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego jego głos był trochę niewyraźny - Michael Cunningham wypił o kilka drinków za dużo. - Jesteśmy ci bardzo zobowiązani za to, że przekonałeś go, by jednak poszedł na studia.

- Obawiam się, że nie dotarło do niego nic z tego, co mówiłem.

- Coś jednak dotarło, bo złożył papiery na trzy uczelnie. Regina uważa cię za cudotwórcę, a tak tylko między nami dwoma, to cholernie jej wstyd za to, jak cię potraktowała, kiedy Arnie po raz pierwszy powiedział nam o swoim samochodzie. Ale znasz Reginę: nigdy w życiu nie zdobyła się na to, żeby powiedzieć „przepraszam”.

Rzeczywiście, taka właśnie była. Zastanawiałem się przez chwilę, jak by zareagowała na wiadomość, że jej syn - czy też raczej to, co nim zawładnęło - interesuje się w rzeczywistości studiami mniej więcej w takim samym stopniu, co świnia zmianami stopy procentowej w bankach, i że tak naprawdę to po prostu stara się tylko iść tropem Leigh, opanowany obsesją na jej punkcie. Była to perwersja podniesiona do n-tej potęgi: LeBay, Leigh i Christine połączeni w jakimś odrażającym *ménage à trois*.

- Posłuchaj, Michael - powiedziałem. - Chciałbym, żebyś zadzwonił do mnie, gdyby Arnie postanowił wyjechać w jakiejś sprawie z miasta. Szczególnie w ciągu najbliższych kilku dni albo w weekend. Dzwoni bez względu na porę; muszę wiedzieć, kiedy Arnie wyjedzie z Libertyville. I muszę o tym wiedzieć przed faktem. To bardzo ważne.

- Dlaczego?

- Na razie wolalbym ci tego nie wyjaśniać. To bardzo skomplikowana sprawa, a poza tym... mogłaby ci się wydać zupełnie bez sensu.

Nastąpiła długa, bardzo długa cisza, a kiedy wreszcie w słuchawce rozległ się głos Michaela, był niewiele donośniejszy od szeptu.

- To ten jego przeklęty samochód, prawda?

Jak wiele podejrzewał? Jak dużo wiedział? Jeżeli był taki sam, jak większość ludzi, których znałem, podejrzewał znacznie więcej będąc pijany niż trzeźwy. O ile więcej? Nawet teraz nie potrafię jeszcze odpowiedzieć na to pytanie. Wydaje mi się jednak, że domyślał się więcej niż ktokolwiek inny - może z wyjątkiem Willa Darnella.

- Tak - przyznałem. - To ten samochód.

- Wiedziałem - mruknął ponuro. - Wiedziałem. Co się właściwie dzieje, Dennis?

- Nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Zawiadomisz mnie, jeśli będzie chciał gdzieś wyjechać?

- Tak, oczywiście.

- Dziękuję.

- Dennis... Czy myślisz, że kiedykolwiek odzyskam syna?

Zasługiwał na prawdę. Ten nieszczęśliwy, znękany człowiek zasługiwał na to, żeby usłyszeć prawdę.

- Nie wiem - powiedziałem i ugryzłem się w dolną wargę tak głęboko, że aż poczułem ból. - Obawiam się... Obawiam się, że sprawy zaszły już za daleko.

- Jakie sprawy? - zaskakał. - Narkotyki? Chodzi o narkotyki?

- Powiem ci, kiedy będę mógł - odparłem. - Przykro mi, ale na razie nic więcej ci nie obiecuję. Powiem ci, jak tylko będę mógł.

Rozmowa z Johnnym Pombertonem była znacznie łatwiejsza.

Był bystrym, gadatliwym człowiekiem i wszystkie obawy, jakie żywiłem, że nie będzie chciał ubić interesu z młodocianym klientem, bardzo szybko zniknęły bez śladu. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że Johnny Pomberton ubiłby interes nawet z samym diabłem, który dopiero co wylazł z piekła i stawiał się na spotkanie cuchnąc siarką, oczywiście pod warunkiem, że ów diabeł miałby dla niego jakąś interesującą propozycję.

- Jasne - powtarzał bez przerwy. - Jasne, jasne. - Nie zdążyłeś jeszcze nawet porządnie otworzyć ust, a Johnny Pomberton już zgadzał się z tobą bez żadnych zastrzeżeń. Było to odrobinę deprymujące. Naturalnie opowiedziałem mu przygotowaną zawczasu bajeczkę, ale

wątpię, czy z niej cokolwiek usłyszał. Po prostu podał mi cenę - jak się okazało, wcale niewygórowaną.

- Może być - powiedziałem.

- Jasne - zgodził się. - O której przyjedziesz?

- Czy wpół do dziesiątej ra...

- Jasne. Wszystko będzie gotowe.

- Mam jeszcze jedno pytanie, panie Pomberton.

- Jasne. I mów mi Johnny.

- Dobrze, Johnny. Czy masz coś z automatyczną skrzynią biegów?

Johnny Pomberton parsknął tak donośnym śmiechem, że musiałem odsunąć słuchawkę od ucha. Ten śmiech stanowił dla mnie wystarczającą odpowiedź.

- Chyba żartujesz! W moich ślicznotkach? Zresztą, po co ci to? Nie potrafisz obchodzić się z ręczną?

- Potrafię - odparłem.

- Jasne! Więc nie powinieneś mieć żadnych problemów, zgadza się?

- Chyba nie. - Pomyślałem o mojej lewej nodze, która będzie musiała naciskać pedał sprzęgła. Wystarczyło, że dziś wieczorem trochę nią poruszałem, a zaczęła boleć jak wszyscy diabli. Miałem nadzieję, że Arnie poczeka parę dni, zanim postanowi wyjechać z miasta, ale przeczuwałem, że stanie się inaczej. Najprawdopodobniej nastąpi to jutro, a najdalej w weekend, i moja lewa noga będzie musiała znieść to najlepiej, jak tylko jej się uda. - W takim razie dobranoc, panie Pomberton. Zobaczymy się jutro rano.

- Jasne. Dziękuję za telefon, chłopcze. Myślę, że mam dla ciebie coś odpowiedniego. Na pewno ci się spodoba, mogę się założyć. A jeżeli nie zaczniesz mówić mi po imieniu, podwoję cenę.

- Jasne - odparłem. Odkładając słuchawkę słyszałem jego głośny śmiech.

*Na pewno ci się spodoba, mogę się założyć.*

Znowu ona. Powoli zaczynałem się przyzwyczajać do tego zaimka... i coraz bardziej go nienawidzić.

Potem przeprowadziłem ostatnią rozmowę przygotowawczą. W książce telefonicznej znalazłem czterech Sykesów; na tego, na którym mi zależało, trafiłem za drugim razem. Jimmy osobiście odebrał telefon. Kiedy przedstawiłem się jako przyjaciel Arniego Cunninghama, jego głos wyraźnie poweselał. Jimmy lubił Arniego, który nigdy się z niego nie wyśmiewał ani nie wyzywał się na nim, w przeciwieństwie do Buddy'ego, kiedy jeszcze Buddy pracował dla Willa.

Zapytał, co słyhać u Arniego, ja zaś ponownie skłamałem i powiedziałem, że wszystko w porządku.

- To dobrze, bo zdaje się, że miał spore kłopoty. Ja tam od początku wiedziałem, że z tych papierosów i fajerwerków nie wyjdzie nic dobrego.

- Dzwonię właśnie w imieniu Arniego - wyjaśniłem. - Pamiętasz, jak po aresztowaniu Willa policja zamknęła garaż?

- Pewnie, że pamiętam - westchnął Jimmy. - Teraz biedny Will nie żyje, a ja zostałem bez roboty. Mama mówi, że powinienem pójść do zawodówki, ale ja myślę, że to nie dla mnie. Pewnie zostanę stróżem albo czymś w tym rodzaju. Mój wuj Fred jest stróżem na uniwersytecie i mówi, że teraz tam u nich zwolniło się miejsce, bo inny stróż wziął sobie coś i uciekł, i oni teraz...

- Arnio powiedział mi, że kiedy policja zamknęła garaż, zostawił tam cały zestaw kluczy nasadkowych - przerwałem mu. - Leżał za jakimiś starymi oponami. Arnio zawsze tam go kładł, żeby ktoś mu nie podwędził.

- Jeszcze tam leży? - zapytał Jimmy.

- Chyba tak.

- Co za pech!

- Żebyś wiedział. Jest wart co najmniej stówę.

- O, cholera! Ja tam jednak myślę, że tych kluczy już nie ma. Na pewno wziął je któryś z gliniarzy.

- Arnio uważa, że jeszcze są, ale nie może po nie pójść ze względu na kłopoty, w jakich się znalazł. - Było to bardzo marne kłamstwo, lecz miałem nadzieję, że Jimmy nabierze się na nie, i nie omyliłem się. Jednak fakt, że oszukuję na wpół niedorozwiniętego chłopaka, bynajmniej nie napelnił mnie dumą.

- O, kurczę! Wiesz co? Pójdę tam i poszukam ich. Jutro, z samego rana. Mam jeszcze swoje klucze.

Odetchnąłem z ulgą. Nie zależało mi na wymyślonym przez siebie zestawie kluczy Arniego, tylko na kluczach Jimmy'ego Sykesa.

- Chodzi o to, Jimmy, że wolałbym ich sam poszukać. Chcę sprawić Arniemu niespodziankę. Poza tym dokładnie wiem, gdzie je położył. Mógłbyś chodzić po garażu cały dzień i nie zauważyć ich.

- Ano, prawda. Nigdy nie byłem zbyt dobry w znajdowaniu różnych rzeczy. Will kiedyś powiedział, że nie znalazłbym własnej dupy nawet macając dwiema rękami i świecąc latarką.

- Tylko tak żartował. Ja jednak wolałbym sam to zrobić.

- Jasne.

- Pomyślałem sobie, że wpadnę do ciebie jutro rano i pożyczę klucze. Oddałbym ci je przed zmrokiem.

- Bo ja wiem? Will mówił, żebym nigdy nikomu ich nie pożyczał...

- Oczywiście, ale to było dawniej, a teraz garaż jest pusty. Wkrótce pójdzie na licytację wraz z wyposażeniem i gdybym wtedy do niego wszedł, to już byłoby włamanie.

- Aha. No, skoro tak, to chyba je pożyczę. Tylko nie zapomnij mi ich oddać. - A potem dodał coś absurdalnie wzruszającego: - To jedyna pamiątka, jaka została mi po Willu.

- Obiecuję.

- W porządku. Skoro to dla Arniego, to myślę, że to w porządku.

Tuż przed pójściem spać wykonałem jeszcze jeden telefon - do sprawiającej wrażenie bardzo zaspanej Leigh.

- Mamy szansę zakończyć to któreś z najbliższych nocy. Wchodzisz do gry?

- Tak - odparła. - To znaczy, wydaje mi się, że tak. Jaki masz plan, Dennis?

Przedstawiłem jej go krok po kroku, oczekując, że znajdzie w nim mnóstwo dziur. Jednak kiedy skończyłem, ona zapytała tylko:

- Co będzie, jeśli się nie powiedzie?

- Chyba nie muszę ci mówić?

- Nie - przyznała. - Chyba nie.

- Wolalbym nie mieszać cię do tego, ale przynęta musi być jak najlepsza, bo inaczej LeBay mógłby coś zwęszyć.

- Nie pozwoliłabym ci mnie odsunąć - oświadczyła stanowczo. - Przecież to także moja sprawa. Kochałam go. Naprawdę go kochałam. A kiedy raz kogoś pokochasz... chyba kochasz go już zawsze. Nie uważasz tak, Dennis?

Pomyślałem o wszystkich minionych latach. O letnich wakacjach spędzanych na czytaniu, pływaniu i graniu w Monopol, kartofelki i chińczyka. O hodowlach mrówek. O tym, ile razy ocaliłem go przed okrutnym losem, jaki dzieci gotują tym trochę innym, odmiennym, stojącym nieco na uboczu. Wielokrotnie miałem tego już serdecznie dosyć i zastanawiałem się, czy nie byłoby mi lżej, gdybym pozostawił go jego własnemu losowi i pozwolił utonąć. Nie byłoby. Potrzebowałem Arniego, by stawać się lepszym. Wymiana była całkowicie uczciwa, i to właśnie sprawiało mi największy ból.

- Tak - potwierdziłem. Musiałem unieść rękę do oczu, by otrzeć zbierającą się w nich wilgoć. - Nigdy nie przestajesz go kochać. Ja też go kochałem. Może jeszcze nie jest za późno, nawet teraz. - Właśnie o to bym się modlił. *Panie Boże, spraw, żeby jeszcze ten jeden raz Arniemu nie*



*stało się nic złego. Ten jeden, jedyny raz.*

- To nie jego nienawidzę - powiedziała cicho. - Nienawidzę LeBaya... Czy my wtedy naprawdę to widzieliśmy, Dennis? To w samochodzie?

- Tak - odparłem. - Myślę, że naprawdę.

- Musimy go zniszczyć. Jego i tę sukę Christine. Czy to już niedługo?

- Tak - potwierdziłem. - To już niedługo.

- To dobrze. Kocham cię, Dennis.

- Ja też cię kocham.

Jak się okazało, koniec nadszedł już następnego dnia - 19 stycznia.

## 49. ARNIE

*Pewnego wieczoru jechałem swym wozem,  
Gdy nagle jakiś facet śmignął pełnym gazem,  
Wychylił się przez okno swego jaguara  
I krzyknął, że chce się ścigać - kto przegra, ten stawia.  
Ja mu na to odrzekłem: „Proszę bardzo, chłopie,  
Ścigajmy się, skoroś tak bardzo kąpany w ukropie,  
Ale pamiętaj, kochasiu, że bardzo mnie korci  
Napić się na twój koszt”. Ryknęły silniki, meta –  
Zakręt Śmierci.*

Jan i Dean

Rozpocząłem ten długi, okropny dzień od wizyty w domu Jimmy’ego Sykesa. Obawiałem się, że napotkam trudności ze strony jego matki, ale nic takiego się nie stało. O ile to w ogóle możliwe, była jeszcze mniej rozgarnięta od syna. Zaprosiła mnie na jajecnicę na bekonie (podziękowałem, gdyż czułem się tak, jakbym zamiast żołądka miał ogromny supel), a następnie zaczęła roztkliwiać się nad moją niesprawną nogą, podczas gdy Jimmy przetrząsał swój pokój w poszukiwaniu kluczy do garażu. Rozmawiając z panią Sykes, która rozmiarami przypominała Etnę, stopniowo nabierałem przekonania, że Jimmy zgubił klucze i całe przedsięwzięcie weźmie w łeb, jeszcze zanim na dobre się zaczęło.

Wreszcie Jimmy zjawił się, kręcąc głową.

- Nie mogę znaleźć - oznajmił. - Gdzieś je posiałem. Jezu, co za obciach.

W tym momencie pani Sykes - sto pięćdziesiąt kilogramów z okładem ubrane w wypłowiałą podomkę, z różowymi papilotami we włosach - zapytała z błogosławioną rzeczowością:

- A sprawdziłeś w kieszeniach?

Przez twarz Jimmy’ego przemknął wyraz zaskoczenia. Chłopak pośpiesznie wepchnął rękę do kieszeni swych zielonych roboczych spodni, po czym z zawstydzonym uśmiechem wyciągnął pęk kluczy przytroczonych do breloczka w kształcie wielkiego sadzonego jaja, kupionego zapewne w supermarkecie w Monroeville. Gumowe jajko było ciemne od brudu i smarów.

- Tu jesteście, skurczysyny!

- Nie wyrażaj się, młody człowieku - skarciła go matka. - Pokaż Dennisowi, który klucz jest od głównych drzwi, i trzymaj ten swój paskudny język za zębami.

Ostatecznie Jimmy wręczył mi trzy niemal identyczne klucze, gdyż nie były oznakowane i nie potrafił teraz stwierdzić, który jest który. Jeden powinien otwierać główne drzwi wjazdowe, drugi tylne, prowadzące na złomowisko, trzeci zaś te od biura Darnella.

- Dziękuję - powiedziałem. - Zwrócę ci je najprędzej, jak tylko będę mógł.

- To dobrze - odparł Jimmy. - Pozdrów ode mnie Arniego, jak go zobaczysz.

- Jasne.

- Jesteś pewien, że nie masz ochoty na jajecznicę, Dennis? - zapytała pani Sykes. - Jest mnóstwo.

- Bardzo dziękuję, ale naprawdę muszę już iść.

Było piętnaście po ósmej, a lekcje zaczynały się o dziewiątej. Dowiedziałem się od Leigh, że Arnie zwykle zjawia się w szkole za kwadrans dziewiąta. Nie miałem ani chwili do stracenia. Wziąłem kule do ręki i dźwignąłem się z krzesła.

- Pomóż mu, Jim - poleciła pani Sykes. - Nie stój jak słup soli.

Otworzyłem usta, by zaprotestować, ale zbyła mnie machnięciem ręki.

- Nie chcę, żebyś się przewrócił w drodze do samochodu, Dennis. Mógłbyś złamać sobie nogę, albo coś w tym rodzaju.

Rozbawiona własnym żartem ryknęła donośnym śmiechem, Jimmy zaś, jako wzór posłuszeństwa, niemal zaniósł mnie do wozu.

Tego dnia niebo zaciągnęło się szarymi chmurami, meteorolodzy zaś przewidywali na popołudnie opady śniegu. Przejechawszy przez całe miasto dotarłem do szkoły, skręciłem w podjazd prowadzący na parking dla uczniów i zaparkowałem w pierwszym rzędzie. Nietrudno było się domyślić, że Arnie zawsze parkuje w ostatnim. Musiałem go zobaczyć, musiałem podsunąć mu przynętę pod nos, ale jednocześnie zależało mi na tym, żeby był wtedy jak najdalej od Christine. Z dala od tego samochodu władza LeBaya wydawała się znacznie słabsza.

Siedziałem w samochodzie słuchając radia i spoglądając na boisko. Nie mogłem uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno na pokrytych teraz śniegiem ławkach zjadłem z Arniem drugie śniadanie. Nie mogłem uwierzyć, że biegałem po tym boisku, ubrany w ochraniacze, kask, luźną bluzę i obcisłe spodenki, naiwnie przekonany o swojej fizycznej niezniszczalności... a może nawet nieśmiertelności.

Teraz to uczucie bezpowrotnie odeszło.

Przyjeżdżali kolejni uczniowie, zatrzymywali samochody, wysiadali z nich i kierowali się do budynku, śmiejąc się, dowcipkując i wrzeszcząc jeden przez drugiego. Osunąłem się niżej na fotelu, żeby nikt mnie nie rozpoznał. Przed główne wejście zajechał autobus, z którego wysypała się gromada młodszych dzieciaków. Na terenie palarni - tam gdzie pewnego jesiennego dnia Buddy napadł na Arniego - zebrała się grupka drżących z zimna chłopców i dziewcząt. Tamten dzień również wydawał mi się nieprawdopodobnie odległy.

Serce waliło mi głośno w piersi, byłem spięty i zdenerwowany. Gdzieś w głębi duszy pojawiła się nadzieja, że Arnie po prostu się nie pojawi, ale właśnie w tej chwili zobaczyłem znajomy czerwono-biały kształt skręcający ze School Street z prędkością dwudziestu mil na godzinę. Za kierownicą siedział Arnie, ubrany w kurtkę ze szkolnym emblematem. Nie spojrzał w moją stronę; pojechał od razu na swoje miejsce w ostatnim rzędzie i zaparkował samochód.

Skul się jeszcze bardziej, to nawet cię nie zobaczy - usłyszałem w głowie podstępny, zdradziecki szept. Przejdzie koło ciebie, tak jak wszyscy.

Ja jednak otworzyłem drzwi, wystawiłem na zewnątrz kule i oparłszy się na nich stanąłem na ubitym śniegu, czując się trochę jak Fred McMurray w tym starym filmie „Podwójne wynagrodzenie”. Od strony szkoły dobiegło brzęczenie pierwszego dzwonka, ciche i pozbawione znaczenia w związku z odległością. Arnie spóźniał się, co kiedyś nigdy mu się nie zdarzało. Moja mama często mawiała, że jest punktualny aż do nieprzyzwoitości. Widocznie LeBay taki nie był.

Szedł w moim kierunku z książkami pod pachą i opuszczoną głową, lawirując między samochodami. Na chwilę zniknął mi z oczu za jakąś furgonetką, po czym pojawił się znowu, tuż przede mną. Podniósł głowę, zatrzymał się i spojrzał mi prosto w oczy.

Zaskoczony, wykonał nagły półobrót, jakby chciał wrócić do Christine.

- Nie czujesz się zbyt pewnie, kiedy nie siedzisz za kierownicą, prawda? - zapytałem.

Znieruchomiał, spojrzał ponownie na mnie i wykrzywił usta, jakby połknął coś bardzo niesmacznego.

- Jak się miewa twoja cipcia, Dennis? - zapytał.

George LeBay nie powiedział mi tego wprost, ale dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jego brat posiadał nadzwyczajną umiejętność bezpośredniego trafiania w najbardziej czule miejsca ludzi, z którymi się stykał.

Powłóczęc nogą i podpierając się kulami zrobiłem dwa kroki w jego stronę. Nie poruszył się, obserwując mnie z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Tak ci się spodobało, jak Repperton nazywał cię Ciporyjcem, że teraz postanowiłeś zrewanżować się tym samym komuś innemu?

Coś w nim chyba drgnęło - coś, co było tylko w oczach - ale ironiczny uśmiech nie

zniknął. Było bardzo zimno. Nie założyłem rękawiczek i powoli traciłem czucie w dłoniach zaciśniętych na uchwytach kul. Nasze oddechy ulatywały w górę małymi obłoczkami.

- A pamiętasz, jak w piątej klasie Tommy Deckinger nazywał cię Smrodliwą Gębą? - zapytałem podniesionym tonem. Nie planowałem wybuchu gniewu, ale teraz czułem, jak wszystko zaczyna we mnie kipieć. - Lubileś to? Albo kiedy Ladd Smythe podstawił ci na ulicy nogę, a ja zjąłem mu z głowy czapkę i wepchnąłem mu ją za spodnie? Gdzie wtedy byłeś, Arnie? Ten LeBay zjawił się bardzo niedawno. Ja byłem tu cały czas.

Znowu to drgnięcie. Tym razem odwrócił się, szukając wzrokiem Christine w taki sam sposób, w jaki ludzie szukają swoich bliskich na zatłoczonym lotnisku albo dworcu kolejowym. Albo w jaki narkoman patrzy na handlarza prochami.

- Tak bardzo jej potrzebujesz? - zapytałem. - Jesteś od niej kompletnie uzależniony, zgadza się?

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział ochryplym głosem. - Zabrałeś mi dziewczynę i nic tego nie zmieni. Zakradłeś się podstępnie... oszukiwałeś... jesteś takim samym zasańcem, jak cała reszta. - Wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami, błyszczącymi gniewem i wściekłością. - Myślałem, że mogę ci zaufać, ale ty okazałeś się gorszy niż inni, nawet niż Repperton! - Zrobił krok naprzód i wrzasnął z bezsilną furią: - Ukradłeś ją, ty zasańcu!

Ja także zbliżyłem się do niego. Jedna kula trafiła na zlodowaciały kawałek śniegu i pośliznęła się nieco. Przypominaliśmy dwóch idących ku sobie rewolwerowców, z których żaden nie chce pierwszy sięgnąć po broń.

- Nie można ukraść czegoś, co kto inny dobrowolnie oddał.

- O czym ty gadasz?

- O wieczorze, kiedy zakrztusiła się w twoim samochodzie. O tym wieczorze, kiedy Christine usiłowała ją zabić. Powiedziałeś wtedy, że jej nie potrzebujesz i żeby się od ciebie odpieprzyła.

- Nieprawda! Nic takiego nie mówiłem! To cholerne kłamstwo!

- Z kim ja właściwie rozmawiam? - zapytałem.

- Nieważne! - Jego szare, ukryte za okularami oczy były wręcz niesamowicie wielkie. - Nieważne, z kim rozmawiasz, do jasnej cholery! To wszystko pieprzone kłamstwo! Spodziewałem się czegoś takiego po tej przeklętej suce!

Jeszcze jeden krok. Na jego bladą twarz wystąpiły intensywne rumieńce.

- Kiedy się podpisujesz, Arnie, to już nie jest twój charakter pisma.

- Zamknij się, Dennis.

- Twój ojciec twierdzi, że czuje się tak, jakby mieszkał pod jednym dachem z zupełnie

obcym człowiekiem.

- Powtarzam, zamknij się!

- Po co owijać w bawełnę? - zapytałem brutalnie. - I tak doskonale wiem, co się stanie. Podobnie jak Leigh. Dokładnie to samo, co spotkało Reppertona, Darnella i innych. Dlatego że nie jesteś już Arniem. Słyszysz mnie, LeBay? Pokaż się, żebym mógł cię znowu zobaczyć. Już cię widziałem. Widziałem cię w sylwestra, widziałem cię wczoraj przed barem z pieczonymi kurczakami. Wiem, że tam jesteś, więc czemu nie przestaniesz się zgrywać i nie pokażesz się?

Zrobił to... lecz tym razem pozostawił twarz Arniego, co dało efekt znacznie bardziej przerażający niż wszystkie czaszki, szkielety i straszydła trzymane w różnych komnatach grozy. Twarz Arniego zmieniła się. Na jego ustach jak cuchnąca róża wykwitł pogardliwy grymas i ujrzałem go takim, jaki musiał być wtedy, kiedy świat był jeszcze młody, a wszystkim, czego potrzebował chłopak w moim wieku, był nowy samochód. Ujrzałem starszego brata George'a LeBaya.

„Pamiętam z tamtego okresu tylko jedno, ale na pewno nigdy tego nie zapomnę. Jego wściekłość. Był zawsze wściekły”.

Ruszył do mnie z zamglonymi, nieobecnyimi oczami i pogardliwym grymasem odcisniętym na twarzy jak znak zrobiony rozpalonym żelazem.

Zdażyłem pomyśleć o bliźnie na przedramieniu George'a LeBaya, ciągnącej się od łokcia do przegubu. „Pchnął mnie, a potem podszedł i rzucił na ogrodzenie”. Słyszałem wrzask czternastoletniego Rolanda LeBaya: „Nie włącz mi w drogę, smarkaczu, rozumiesz?”

Teraz miałem go przed sobą. Nie był to człowiek, który łatwo godził się z porażką. Poprawka: ten człowiek nigdy nie godził się z porażką.

- Walcz z nim, Arnie - powiedziałem. - Zbyt często stawiał na swoim. Walcz z nim, pokonaj go, zmuś, żeby...

Kopnął w prawą kulę, wytrącając mi ją z ręki. Zachwiałem się, rozpaczliwie starając się zachować równowagę, prawie mi się udało... a wtedy on kopnął w lewą. Runąłem na zmrożony, ubity śnieg. Stał nade mną z groźną, obcą twarzą.

- Dostaniesz to, o co prosisz - wycedził.

- Jasne - jęknąłem. - A pamiętasz nasze hodowle mrówek? Arnie, jesteś tam? Ten przeklęty brudas nigdy w życiu nie miał hodowli mrówek, nigdy w życiu nie miał przyjaciela.

Nagle jego twarz zaczęła... kipieć. Nie znam słowa, które lepiej oddałoby to, co widziałem. Chwilami patrzyłem na LeBaya, rozwścieczonego próbą wyrwania się spod jego władzy, chwilami zaś na Arniego - wyczerpanego, zawstydzonego, lecz przede wszystkim okropnie nieszczęśliwego. Potem znowu pojawił się LeBay i zamachnął się nogą, żeby kopnąć

mnie, leżącego bezradnie na śniegu, by zaraz ustąpić miejsca Arniemu, mojemu dobremu przyjacielowi Arniemu, który znajomym, roztargnionym gestem odgarnął sobie włosy z czoła i wyszeptał:

- Boże, Dennis... Tak mi przykro... Okropnie mi przykro...

- Za późno, chłopie - odparłem.

Wreszcie namacałem jedną kulę, a potem drugą. Wstałem powoli, dwa razy o mało nie tracąc równowagi. Wydawało mi się, że moje ręce są wykonane z kawałków drewna. Arnie nawet nie spróbował mi pomóc; stał oparty plecami o furgonetkę i wpatrywał się we mnie rozszerzonymi, oszołomionymi oczami.

- Nie mogę na to nic poradzić... - szepnął. - Czasem nawet wydaje mi się, że mnie już w ogóle nie ma. Pomóż mi, Dennis. Pomóż mi.

- Czy teraz jest w tobie LeBay? - zapytałem.

- On zawsze jest - jęknął Arnie. - Mój Boże, zawsze! Z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem?...

- Kiedy Christine... Kiedy ona zaczyna... wtedy on jest z nią. Tylko wtedy... Tylko wtedy on...

Umilkł, przechylił głowę i oparł brodę na piersi jak połamana marionetka. Ślina kapiała mu z ust na buty. A potem zaczął walić pięściami w bok stojącej za nim furgonetki i krzyczeć przeraźliwym, piskliwym głosem:

- Zostaw mnie! Zostaw mnie! Zoostaaaaaaaw...!

Przez jakieś pięć sekund nic się nie działo - nic z wyjątkiem tego, że jego ciało skręcało się i wilo, jakby ktoś wrzucił mu za koszulę cały kosz węży.

Przez chwilę ludziłem się, że zwycięży, że pokona tego starego sukinsyna. Jednak kiedy podniósł głowę i spojrzał na mnie, zobaczyłem oczy LeBaya.

- Wszystko stanie się tak, jak ci powiedział - przemówił. - Nie wtrącaj się, chłopcze, to może cię nie rozjadę.

- Przyjedź dziś wieczorem do Garażu Darnella. - Miałem zachrypnięty głos i gardło tak suche, jakbym przed chwilą połknął wiadro piachu. - Zabawimy się. Ja przyprowadzę Leigh, ty przyprowadź Christine.

- Sam wybiorę czas i miejsce - odparł LeBay, po czym uśmiechnął się ustami Arniego, odsłaniając jego zęby - mocne, zdrowe i młode. - Nie będziesz wiedział gdzie ani kiedy. Ale dowiesz się... kiedy nadejdzie czas.

- Przemyśl to sobie - powiedziałem jakby nigdy nic. - Albo zjawisz się wieczorem u Darnella, albo jutro oboje zaczniemy mówić.

Roześmiał się pogardliwie.

- I co wam to da? Skierowanie do domu wariatów?

- Oczywiście, początkowo nikt nie będzie nas traktował poważnie - przyznałem. - Nie mam co do tego żadnych złudzeń. Ale nie opowiadaj bzdur, że każdego, kto zaczyna mówić o duchach i demonach, pakują od razu do szpitala dla psychicznie chorych. Może tak było w twoich czasach, przed latającymi talerzami, „Egzorcystą” i nawiedzonym domem w Amityville. Teraz jest mnóstwo ludzi, którzy wierzą w takie rzeczy.

Nadal się uśmiechał, lecz jego zmrużone oczy mierzyły mnie podejrzliwym spojrzeniem. Wydawało mi się, że dostrzegam w nich coś jeszcze: pierwsze przebliski strachu.

- I chyba nie zdajesz sobie sprawy, ilu jest ludzi, którzy przeczuwają, że coś tu nie gra.

Uśmiech zniknął. Na pewno o tym wiedział i niepokoiło go to. Jednak widocznie zabijanie wchodzi w nawyk i po pewnym czasie nie jesteś w stanie zatrzymać się i rozważyć wszystkich „za” i „przeciw”.

- Całe to ohydne, nienormalne życie, jakie się w tobie jeszcze kołacze, ogniskuje się w twoim samochodzie - powiedziałem. - Wiedziałeś o tym i od samego początku zaplanowałeś sobie, że wykorzystasz Arniego... tyle tylko, że słowo „planować” zupełnie tutaj nie pasuje, bo ty przecież nigdy w życiu niczego nie planowałeś, zgadza się? Po prostu postępowałeś tak, jak podszeptywał instynkt.

Parsknął pogardliwie i odwrócił się, by odejść.

- Naprawdę dobrze się nad tym zastanów! - zawołałem. - Ojciec Arniego wie, że coś jest nie w porządku. Mój też. Na pewno znajdzie się jakiś policjant, który zechce wysłuchać czegokolwiek, co mogłoby wyjaśnić zagadkę śmierci Junkinsa. A wszystkie ślady prowadzą do Christine. Wcześniej czy później ktoś wepchnie ją do zgniatarki na złomowisku za Garażem Darnella, tak na wszelki wypadek.

Zatrzymał się i odwrócił do mnie, przypatrując mi się oczami płonącymi nienawiścią i strachem.

- Kiedy zaczniemy mówić, większość ludzi będzie się z nas natrzasać, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale ja wtedy pokażę im dwa kawałki gipsu z podpisami Arniego - tyle tylko, że jeden z nich wcale nie jest jego podpisem, lecz twoim. Pokażę je policjantom i tak długo będę im wiercił dziurę w brzuchu, aż zrobią ekspertyzę, która to potwierdzi. Ludzie zaczną się baczniej przyglądać Arniemu, a to oznacza, że będą też baczniej obserwować Christine. Dociera do ciebie, co mówię?

- Synu, jeżeli myślisz, że mnie przestraszysz, to cholernie się mylisz.

Jednak jego oczy mówiły co innego. Bał się, i to bardzo.



- W końcu mi uwierzą - ciągnąłem. - Ludzie są racjonalni tylko pozornie. Zawsze rzuca kilka ziaren soli przez ramię, jeśli przewrócą solniczkę, nie przechodzą pod drabinami, wierzą w życie po śmierci. Prędzej czy później - raczej prędzej, jeżeli Leigh i ja naprawdę się postaramy - ktoś przerobi tego twojego grata na puszkę sardynek. A ja jestem gotów iść o zakład, że kiedy on zniknie, ty znikniesz wraz z nim.

- Obyś się nie przeliczył! - prychnął.

- Dziś wieczorem będziemy u Darnella. Jeżeli naprawdę jesteś taki dobry, uda ci się nas pozbyć. Co prawda na dłuższą metę nic ci to nie da, ale pozwoli zaczerpnąć trochę oddechu... i uciec z miasta. Ja jednak uważam, że nie jesteś wystarczająco dobry, śmieciu. To my się ciebie pozbędziemy, nie ty nas.

Odwrociłem się, pokuśtykałem do swojego dusteru i wgramoliłem się za kierownicę. Robiłem to bardzo nieporadnie, starając się sprawiać wrażenie kogoś znacznie bardziej niedołęznego, niż byłem w rzeczywistości. Kiedy wspomniałem o podpisach, wyraźnie wytrąciłem go z równowagi; musiałem wycofać się jak najprędzej, żeby nie wypuścić z ręki wszystkich atutów. Pozostała mi jednak do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Coś, co z całą pewnością powinno doprowadzić LeBaya do szału.

Wciągnąłem oburącz do środka lewą nogę, zatrzasnąłem drzwi, opuściłem szybę i wychyliłem się na zewnątrz.

Następnie spojrzałem mu prosto w oczy i uśmiechnąłem się szeroko.

- Jest wspaniała w łóżku - powiedziałem. - Wielka szkoda, że nigdy się o tym nie przekonasz.

Rzucił się na mnie z wściekłym rykiem, ale ja szybko podkręciłem szybę i zablokowałem drzwi od środka. Potem, nie zwracając uwagi na jego pięści uderzające bezsilnie w szkło, bez pośpiechu uruchomiłem silnik. Miał koszmarną twarz, w niczym nie przypominającą Arniego. Absolutnie w niczym. Mój przyjaciel umarł. Poczulem przejmujący ból, znacznie bardziej dokuczliwy od łez albo strachu, ale udało mi się utrzymać na twarzy paskudny, obraźliwy uśmiezek. Pokazałem mu przez szybę wyprostowany środkowy palec.

- Pieprzę cię, LeBay - powiedziałem i ruszyłem z miejsca, pozostawiając go na parkingu ogarniętego tą samą prymitywną, obsesyjną wściekłością, o której opowiadał jego brat. Liczyłem na to, że właśnie ona zmusi go, by stawił się na miejsce spotkania.

Wkrótce miałem się przekonać, czy nie omyliłem się w swoich oczekiwaniach.

## 50. PETUNIA

*Coś ciepłego pociekło mi do oczu,  
Lecz tego wieczoru znalazłem moją ukochaną.  
Objąłem ją mocno i pocałowałem ostatni raz...*

J. Frank Wilson i Cavaliers

Opóźniona reakcja nadeszła dopiero wtedy, kiedy minąłem co najmniej cztery przecznice. Musiałem zjechać do krawężnika i zatrzymać wóz. Wstrząsały mną okropne dreszcze, mimo że ogrzewanie było nastawione na pełną moc. Łapałem powietrze płytkimi, gwałtownymi łykami i rozcierałem ramiona, by się rozgrzać, ale wyglądało na to, że już nigdy, ale to nigdy nie będzie mi ciepło. Ta twarz, ta przerażająca twarz nie mająca w sobie nic z Arniego. „On zawsze jest” - powiedział Arnie. Z wyjątkiem... Co to był za wyjątek? Oczywiście te chwile, kiedy Christine wyruszała samotnie na lowy. LeBay nie mógł przebywać jednocześnie w dwóch miejscach. Przekraczało to nawet jego możliwości.

Wreszcie uspokoiłem się na tyle, że znowu mogłem prowadzić samochód. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że płaczę, aż do chwili, kiedy zerknąłem we wsteczne lustro i zobaczyłem wilgotne ślady pod swoimi oczami.

U Johnny'ego Pombertona zjawilem się za kwadrans dziesiąta. Okazał się wysokim, barczystym mężczyzną w zielonych gumowcach na grubej podeszwie i myśliwskiej kurtce w czerwono-czarną kratę. Zsunął na tył lysiejącej czaszki starą, utyłaną w smarach czapkę i spojrzał na szare niebo.

- W radiu mówią, że będzie jeszcze padać. Szczerze mówiąc, wątpilem, czy przyjedziesz, chłopcze, ale na wszelki wypadek wyprowadziłem ją na dwór. I co o niej myślisz?

Ponownie wysiadłem z samochodu i podparłem się kulami. Sól, którą był posypany podjazd, zaskrzypiała pod gumowymi końcówkami. Przed przygotowanym na zimę stosem drewna stał jeden z najdziwniejszych pojazdów, jakie widziałem w życiu. Wiatr niósł od jego strony niezbyt intensywny, ale i niespecjalnie przyjemny zapach.

Dawno temu, na samym początku swojej kariery, stanowił produkt koncernu General Motors, o czym świadczyła plakietka na gigantycznym pysku. Teraz było w nim wszystkiego po trochu. Tylko jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości: był wielki. Nawet bardzo wysoki

mężczyzna z trudem sięgnąłby głową do szczytu chromowanej atrapy, nad którą górowała kabina kierowcy, przypominająca ogromny kwadratowy helm. Za kabiną, podparty z każdej strony poczwórnymi kołami, ciągnął się długi tulów, niemal identyczny jak u cystern przeznaczonych do przewożenia paliwa. Tyle tylko, że nigdy nie widziałem cysterny pomalowanej na jaskrawopomarańczowy kolor. Słowo PETUNIA wypisano na boku ozdobnymi literami niemal półmetrowej wysokości.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odparłem. - Co to właściwie jest?

Pomberton wetknął sobie do ust camela i zapalił go zapalką, którą potarł o zrogowaciałą narośl na paznokciu kciuka.

- Wysysaczka gówna - powiedział.

- Co takiego?

Uśmiechnął się.

- Dwadzieścia tysięcy galonów pojemności. Prawdziwe чудо, ta Petunia.

- Nie rozumiem.

Jednak w rzeczywistości zaczynałem rozumieć. Była w tym jakaś absurdalna, ponura ironia, którą Arnie - stary Arnie - na pewno by docenił.

Zapytałem Pombertona przez telefon, czy ma do wypożyczenia jakąś dużą ciężarówkę. Okazało się, że wszystkie cztery śmieciarki są zajęte, dwie w Libertyville, a dwie w Filadelfii. Miał także wywrotkę, która jednak poważnie zaniemogła tuż po świętach. Odkąd zamknięto Garaż Darnella, Johnny z trudem radził sobie z naprawą sprzętu.

Petunia była w gruncie rzeczy drogowym tankowcem przeznaczonym do wypompowywania i przewożenia nieczystości.

- Ile ona waży? - zapytałem Pombertona.

Wyrzucił niedopalek papierosa.

- Pusta czy wyladowana gównem?

Przelknąłem głośno ślinę.

- A jaka jest teraz?

Odchylił głowę do tyłu i ryknął donośnym śmiechem.

- Myślisz, że wypożyczałbym załadowanego grata? Coś ty, jest pusta jak nowa trumna i cała wyszorowana. Ale i tak trochę pachnie, no nie?

Pociągnąłem nosem. Pachniała, nie można powiedzieć.

- Mogło być dużo gorzej - zauważyłem. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Jasne - zgodził się Johnny. - Oryginalne papiery dawno gdzieś się zapodziały, ale teraz ma w dokumentach dziewięć ton cmp.

- Co to znaczy?

- Całkowita masa pojazdu - wyjaśnił. - Jeśli złapią cię na autostradzie i będziesz ważył więcej niż dziewięć ton, możesz mieć kłopoty. Na pusto chyba się w tym mieści, choć nie dałbym głowy. Ma pięć biegów i dwustopniowy dyferencjał, czyli w sumie dziesięć biegów do przodu... o ile potrafisz posługiwać się sprzęgłem, ma się rozumieć. - Obrzucił powątpiewającym spojrzeniem moje kule i zapalił kolejnego papierosa. - Dasz sobie z tym radę?

- Oczywiście - odparłem bez drgnięcia powieki. - Ta noga wcale nie jest sztywna.

Problem polegał tylko na tym, czy pozostanie taka przez wystarczająco długi czas.

- Cóż, to twoja sprawa i nie zamierzam wtykać w nią nosa. - Nagle wyraźnie się ożywił. - Wiesz co? Jeśli zapłacisz gotówką, dam ci dziesięć procent zniżki. Lubię transakcje gotówkowe, bo nigdy nie zgłaszam ich do mojego ulubionego urzędu.

Wyjąłem portfel i znalazłem w nim trzy dwudziestki i trzy dziesiątki.

- Więc ile by to było za jeden dzień?

- Co powiesz na dziewięćdziesiąt papierów?

Dałem mu je bez dyskusji. Byłem gotów zapłacić nawet sto dwadzieścia.

- A co zrobisz ze swoim wozem?

Nie pomyślałem o tym.

- Mógłbym go tu zostawić? Tylko na jeden dzień.

- Jasne, możesz go u mnie trzymać nawet cały tydzień. Postaw go gdzieś z tyłu i zostaw kluczyki, gdybym musiał go ruszyć.

Pojechałem na zaplecze domu, gdzie spod głębokiego śniegu wystawało mnóstwo mniej lub bardziej skorodowanych elementów ciężarówek, przypominających kości dinozaurów wylaniające się spod warstwy piasku. Powrotna droga na piechotę zajęła mi prawie dziesięć minut. Poszłoby mi znacznie szybciej, gdybym zdecydował się nieco obciążyć lewą nogę; ja jednak nie uczyniłem tego, oszczędzając ją z myślą o sprzęgle Petunii.

Zbliżając się do ciężarówki czułem, jak strach zbija mi się w żołądku w czarny obłok. Nie miałem wątpliwości, że z jej pomocą uda mi się powstrzymać Christine, oczywiście pod warunkiem, że ta zjawi się wieczorem w Garażu Darnella, a ja zdołam uruchomić i poprowadzić tę górę żelastwa. Nigdy w życiu nie siedziałem za kierownicą czegoś tak ogromnego, choć rok wcześniej podczas wakacji jeździłem trochę buldożerem, a Brad Jeffries pozwolił mi kilka razy pokierować koparką.

Pomberton, w kraciastej kurtce i z rękami wbitymi głęboko w kieszenie roboczych spodni, obserwował mnie swoimi przenikliwymi oczami. Podszedłem do szoferki od strony kierowcy, złapałem za klamkę i pośliznąłem się na ubitym śniegu. Natychmiast zrobił krok w

moją stronę.

- Dam sobie radę - powiedziałem.

- Jasne.

Podparłem się mocniej kulą, wydychając powietrze małymi obłoczkami, i szarpnąłem za klamkę. Następnie, trzymając się lewą ręką za uchwyt umocowany na wewnętrznej stronie drzwi i balansując jak bocian na prawej nodze, wrzuciłem obie kule do kabiny, sam zaś wciągnąłem się w ślad za nimi. Kluczyki tkwiły w stacyjce, układ biegów był wyrysowany na plakietce obok dźwigni. Zatrzasałem drzwi, wcisnąłem lewą nogą sprzęgło - nawet specjalnie nie zaboląła - i uruchomiłem silnik. Ożył z rykiem, jaki zwykle towarzyszy wyścigom na Philly Plains.

Pomberton podszedł bliżej.

- Trochę głośna, co?! - krzyknął.

- Odrobinę! - odwrzasnąłem.

- Szczerze mówiąc, wątpię - ciągnął nie ścisząc głosu - czy masz prawo jazdy kategorii I.

Prawo jazdy kategorii I uprawnia do kierowania ciężarówkami. Oprócz zwykłego, na samochody osobowe, miałem też (ku przerażeniu matki) prawo jazdy kategorii A, na motocykle, ale nie I.

Spojrzałem na niego z góry i wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

- Nie sprawdziłeś tego, ponieważ wywarłem na tobie korzystne wrażenie.

Odpowiedział identycznym uśmiechem.

- Jasne.

Nacisnąłem delikatnie pedał gazu. Tłumik Petunii zrewanżował się dwiema detonacjami przypominającymi eksplozje moździerzowych granatów.

- Mógłbym wiedzieć, do czego jej potrzebujesz? Ma się rozumieć, to nie mój interes, ale...

- Oczywiście. Do tego, do czego została stworzona - odparłem.

- To znaczy?

- Żeby pozbyć się sterty gówna.

Jechałem przez miasto z duszą na ramieniu; mimo że zupełnie pusta, Petunia ważyła jednak swoje. Siedziałem tak wysoko, że widziałem dachy mijających mnie samochodów. Przejżdżając przez centrum czułem się jak młody wieloryb w stawie ze złotymi rybkami. Wrażenia tego bynajmniej nie pomniejszał fakt, że szambiarzka Pombertona została pomalowana na jaskrawopomarańczowy kolor. Wielu przechodniów oglądało się za mną z rozbawionymi minami.

Zaczęła mnie trochę boleć lewa noga, ale na razie nie myślałem o tym, zajęty ciągłym

zmienianiem biegów i manewrowaniem pomarańczowym kolosem. Ku memu zaskoczeniu odczuwałem też ból w barkach i klatce piersiowej; Petunia nie miała hydraulicznego wspomagania układu kierowniczego, w związku z czym w prowadzenie jej musiałem wkładać sporo wysiłku.

Skręciłem z Main Street w Walnut Street, a następnie na parking za sklepem wielobranżowym. Wylączyłem silnik, wygramoliłem się z szoferki, zatrzasnąłem za sobą drzwi (mój nos zdążył się już przyzwyczać do otaczającej ciężarówkę delikatnego smrodku), oparłem się na kulach i wszedłem do środka tylnym wejściem.

Skierowałem się prosto do punktu ekspresowego dorabiania kluczy, gdzie za dolara osiemdziesiąt uzyskałem kopie trzech kluczy do Garażu Darnella otrzymanych od Jimmy'ego. Wsadziłem nowe klucze do lewej kieszeni, stare do prawej i wyszedłem przez główne drzwi na Main Street. Skierowałem się prosto do baru szybkiej obsługi, gdyż wiedziałem, że jest tam automat telefoniczny. Ciemnoszare chmury zdawały się wisieć tuż nad moją głową. Pomberton miał rację; zanosilo się na nowe opady śniegu.

Zamówiłem kawę, coś do przekąszenia, po czym kupiłem żeton do telefonu. Wszedłem do budki, niezgrabnie zamknąłem za sobą drzwi i wykręciłem numer Leigh. Podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Dennis! Gdzie jesteś?

- W barze przy Main Street. Jesteś sama w domu?

- Tak. Tata pojechał do pracy, a mama na zakupy. Dennis, ja... ja o mało jej wszystkiego nie powiedziałam! Wyobraziłam sobie, jak wychodzi z supermarketu, idzie przez parking, i... i to wszystko, co mówiłeś o Arniem, o tym, że musi najpierw wyjechać z miasta, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Miało sens, ale nie miało znaczenia. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

- Tak - odparłem, myśląc o tym, jak wczoraj wieczorem podwoziłem Elaine do sklepu, choć noga bolała mnie wtedy jak diabli. - Doskonale wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Dennis, to nie może tak dłużej trwać, bo w końcu oszaleję. Czy nadal masz zamiar wypróbować swój pomysł?

- Tak. Zostaw mamie krótki list. Napisz, że musiałaś wyjść z domu na kilka godzin, nic więcej. Kiedy nie wrócisz na kolację, twoi rodzice na pewno zadzwonią do moich. Kto wie, może wspólnie dojdą do wniosku, że uciekliśmy do innego stanu, żeby potajemnie wziąć ślub.

- To nawet niezły pomysł - zauważyła i roześmiała się tak, że aż przeszły mnie ciarki. - W takim razie, do zobaczenia.

- Zaczekaj, jeszcze jedno. Masz w domu jakiś środek przeciwbólowy? Na przykład darvon, albo coś w tym rodzaju?

- Chyba zostało jeszcze trochę darvonu od czasu, kiedy tacie wyskoczył dysk. Masz kłopoty z nogą, Dennis?

- Trochę mnie boli.

- Trochę czy bardzo?

- To naprawdę nic wielkiego.

- Nie bujasz?

- Nie bujam. Obiecuję, że jutro dam jej odpocząć, w porządku?

- W porządku.

- Więc przyjeżdżaj tu najszybciej, jak możesz.

Weszła do baru, kiedy zamawiałem drugą filiżankę kawy. Miała na sobie obszytą futerkiem kurtkę, sprane dżinsy i grube, ocieplane buty. Wyglądała jednocześnie pociągająco i bardzo rzeczowo. Wiele głów odwróciło się w jej stronę.

- Świetnie wyglądasz - powiedziałem i pocałowałem ją w czoło.

Podala mi fiolkę wypełnioną szaropomarańczowymi kapsułkami.

- Ty natomiast nie bardzo, Dennis. Masz.

Kelnerka, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta o stalowoszarych włosach, przyniosła mi kawę. Filiżanka przypominała wyspę na jeziorze ciemnobrązowej cieczy rozlanej na spodeczku.

- Czemu nie jesteście w szkole, dzieciaki? - zapytała.

- Wyrzucili nas - odparłem ponuro. Wybałuszyła na mnie oczy.

- Ja też poproszę kawę - powiedziała Leigh ściągając rękawiczki. Kiedy kelnerka odwróciła się wyniośle i wróciła za ladę, nachyliła się do mnie i powiedziała: - Byłoby zabawnie, gdyby akurat dziś zgarnął nas któryś z nauczycieli, co?

- Raczej żałośnie - poprawiłem ją, myśląc, że mimo wywołanych zimnem rumieńców Leigh wcale nie wygląda tak ładnie, jak zwykle. Podejrzywałem, że żadne z nas nie miało najmniejszych szans na kwitnący wygląd aż do zakończenia tej sprawy. Miała podkrążone i opuchnięte oczy, jak po źle przespanej nocy.

- W takim razie, co robimy?

- Kończymy zabawę - odparłem. - Proszę zaczekać, madame, aż ujrzy pani swój rydwan.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Leigh na widok ogromnej, przeraźliwie pomarańczowej cysterny. Petunia stała spokojnie na parkingu za sklepem wielobranżowym w towarzystwie furgonetki sprawiającej wrażenie śmiesznie małej i wręcz karzelkowego volkswagena. - Co to

jest?

- Wysysaczka gówna - odparłem z kamienną twarzą.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem... po czym wybuchnęła niemożliwym do opanowania, histerycznym śmiechem. Nie miałem nic przeciwko temu. Kiedy opowiedziałem jej o moim porannym spotkaniu z Arniem, bruzdy na jej twarzy pogłębiły się jeszcze bardziej, a zaciśnięte w wąską kreskę usta zbieleły jak śnieg.

- Wiem, że wygląda dość zabawnie... - zacząłem.

- Zabawnie? - wykrztusiła, wciąż chichocząc. - Delikatnie to ująłeś!

- ...ale jeśli coś w ogóle może nam jeszcze pomóc, to tylko ona.

- Tak, chyba masz rację. Poza tym... chyba jest w tym jakiś sens, prawda?

Skinąłem głową.

- Też mi to przyszło na myśl.

- W takim razie, wsiadajmy - zaproponowała Leigh. - Zimno mi.

Marszcząc nos wspięła się do szoferki.

- Ojej...

Uśmiechnąłem się.

- Przyzwyczaisz się do tego zapachu.

Podąłem jej kule i wgramoliłem się z wysiłkiem za kierownicę. Ból w nodze zelżał, zmieniając się z ostrych ukłuć w jednostajne, tępe świdrowanie. W barze połknąłem dwie kapsułki darvonu.

- Dennis, czy twoja noga wytrzyma?

- Musi - odparłem i zatrzasnąłem drzwi.



## 51. CHRISTINE

*I rzekłem do kumpla,  
bo ja ciągle gadam,  
John, co jest,*

*tak rzekłem, choć  
na imię miał całkiem inaczey,  
ciemno dokola, co  
teraz zrobimy,  
może kupimy większy wóz,  
a on na to -*

*jedź, na Boga,  
uważaj, dokąd  
jedziesz.*

Robert Creeley

Ruszyliśmy z parkingu mniej więcej w pół do dwunastej, kiedy w powietrzu wirowały już pierwsze płatki śniegu. Pojechałem przez miasto do domu Sykesów, dzięki darvonowi zmieniając biegi znacznie łatwiej niż przedtem.

Dom był ciemny i zamknięty na cztery spusty; widocznie pani Sykes poszła do pracy, Jimmy zaś odebrać zasilek dla bezrobotnych, albo coś w tym rodzaju. Leigh znalazła w torebce zmiętą kopertę ze swoim adresem, skreśliła go, napisała ślicznym, pochyłym charakterem pisma *Jimmy Sykes*, a następnie włożyła do środka klucze, złożyła kopertę na pół i wrzuciła ją do skrzynki na listy. Ja w tym czasie trzymałem Petunię na wolnych obrotach, pozwalając wypocząć nodze.

- Co teraz? - zapytała Leigh, wróciwszy do szoferki.

- Jeszcze jeden telefon.

W pobliżu skrzyżowania John Kennedy Drive i Crescent Avenue znalazłem budkę telefoniczną. Zszedłem ostrożnie na ziemię, trzymając się drzwi dopóty, dopóki Leigh nie podała mi kul, po czym brnąc w coraz głębszym śniegu ruszyłem do telefonu. Petunia widziana przez

brudną szybę i zaslonę z płatków śniegu przypominała dziwnego pomarańczowego dinozaura.

Wykręciłem numer centrali Uniwersytetu Horlicks i poprosiłem, żeby połączono mnie z gabinetem Michaela Cunninghama. Arnie powiedział mi kiedyś, że jego ojciec nigdy nie wychodzi na lunch, tylko je go przy swoim biurku. Teraz, kiedy zaledwie po drugim dzwonku podniósł słuchawkę, pobłogosławiłem go w duchu za ten zwyczaj.

- Dennis! Próbowałem złapać cię w domu, ale twoja mama powiedziała, że...

- Dokąd wyjeżdża?

W żołądku czułem lodowate zimno. Chyba dopiero wtedy, dokładnie w tej chwili, zdałem sobie sprawę, że wszystko dzieje się naprawdę i że naprawdę musi dojść do ostatecznej konfrontacji.

- Skąd wiesz, że wyjeżdża? Musisz mi powiedzieć, bo...

- Nie mam teraz czasu, a poza tym i tak nie potrafiłbym ci tego wyjaśnić. Dokąd wyjeżdża?

- Zaraz po szkole jadą z Reginą na Uniwersytet Stanowy - powiedział powoli Michael. - Arnie zadzwonił do niej rano i zapytał, czy będzie mogła z nim pojechać. Powiedział, że poczuł, jakby nagle spadła mu zasłona z oczu. W drodze do szkoły doszedł do wniosku, że jeśli nie zacznie poważniej interesować się swoimi studiami, to może w ogóle stracić na nie szansę. Pomyślał, że najlepiej byłoby mu na Uniwersytecie Stanowym, więc byłby bardzo wdzięczny, gdyby zechciała pojechać tam z nim i porozmawiać z dziekanem wydziału humanistycznego.

W budce panowało przenikliwe zimno. Powoli traciłem czucie w palcach. Leigh siedziała w szoferce Petunii, spoglądając z niepokojem w moją stronę. Jak wspomniałem wszystko zaplanowałeś, Arnie - pomyślałem. Jak wytrawny szachista. Manipulował swoją matką jak marionetką, każąc jej tańczyć tak, jak mu się podobało. Było mi jej trochę żal, nie tak bardzo jednak, jakbym się mógł spodziewać. Do tej pory to ona manipulowała wszystkimi, którzy znaleźli się w jej życiu, ustawiając ich na scenie jak bezwolne kukielki. Teraz, kiedy była niemal sparaliżowana obawą i wstydem, LeBay rzucił jej na przynętę jedyną rzecz, jaka na pewno zmusiłaby ją do działania: szansę na powrót do normalności.

- I uwierzyłeś w to wszystko? - zapytałem Michaela.

- Oczywiście, że nie! - wybuchnął. - Ona też by nie uwierzyła, gdyby potrafiła rozsądnie myśleć! Przy tych limitach przyjęć, jakie są obecnie, przyjęliby go nawet w lipcu, oczywiście jeżeli miałby pieniądze i wystarczająco dobre oceny, a ma i jedno, i drugie. To, co mówił, miało sens w latach pięćdziesiątych, ale nie teraz!

- Kiedy wyjeżdżają?

- Umówiła się z nim przy szkole po szóstej lekcji. Ma go zwolnić z reszty zajęć.

Oznaczało to, że opuszczą Libertyville najdalej za półtorej godziny. Zadałem jeszcze jedno pytanie, choć właściwie znałem na nie odpowiedź:

- Chyba nie biorą Christine, prawda?

- Nie. Jadą naszym kombi. Dennis, ona była wręcz pijana z radości. Pijana, rozumiesz? Ten pomysł, żeby zabrać ją ze sobą na rozmowę z dziekanem... Trafiał w dziesiątkę. Nic nie zdołaloby jej powstrzymać. Dennis, co tu się właściwie dzieje? Proszę, powiedz mi!

- Jutro - odparłem. - Obiecuję, że jutro wszystko ci wyjaśnię. Słowo honoru. Tymczasem musisz coś dla mnie zrobić. To sprawa życia lub śmierci dla mojej rodziny i dla rodziny Leigh Cabot. Musisz...

- Boże! - wykrztusił tonem człowieka, który właśnie doznał objawienia. - Nigdy nie było go w mieście... z wyjątkiem tej nocy, kiedy zginął Welch, ale Regina widziała go śpiącego w jego łóżku, a na pewno wtedy nie kłamała... Dennis, kto prowadził ten samochód? Kto używał Christine do zabijania ludzi?

Niewiele brakowało, żebym mu wtedy powiedział, ale w budce robiło się coraz zimniej, znowu zaczęła mnie boleć noga, a na pewno nie skończyłoby się na jednym zdaniu wyjaśnienia, bo natychmiast posypałyby się dziesiątki pytań. Zresztą najprawdopodobniej i tak by mi nie uwierzył.

- Posłuchaj mnie, Michael - powiedziałem najspokojniej, jak tylko potrafiłem. Przez chwilę czułem się jak pan Rogers z telewizji. *Uwaga, chłopcy i dziewczęta, oto zbliża się wielki samochód z lat pięćdziesiątych, żeby was wszystkich zjeść. Czy wiecie, jak się nazywa? Jeśli tak, to powiedzcie głośno jego imię: Christine!* - Musisz zadzwonić do mojego ojca i ojca Leigh. Niech obie rodziny zbiorą się w jej domu. - Według tego, co widziałem, był wykonany z solidnej cegły. - Myślę, że ty też powinieneś być z nimi. Zostańcie tam tak długo, dopóki po was nie przyjedziemy albo zadzwonimy. Najważniejsze jest jedno: nikomu nie wolno wychylić z domu nosa po... - Obliczyłem szybko w pamięci: ile czasu musiało upłynąć, żeby alibi Arniego stało się nie do podważenia? Powiedzmy, dwie godziny. - Po czwartej po południu. Nikt z was nie może być wtedy na ulicy. Na żadnej ulicy. Pod żadnym pozorem, rozumiesz?

- Dennis, przecież nie mogę...

- Musisz - przerwałem mu. - Na pewno uda ci się przekonać mojego staruszka, a we dwóch powinniście dać sobie radę z państwem Cabot. Ty sam też trzymaj się z dala od Christine.

- Pojechał nią do szkoły. Doszedł do wniosku, że teraz już nic jej nie grozi.

Po jego głosie zorientowałem się bez trudu, iż wie o tym, że to także było kłamstwo. Po wydarzeniach minionej jesieni Arnie prędzej wszedłby do klasy zupełnie nago, niż zostawił Christine na ogólnie dostępnym parkingu.

- Ale nawet gdybyś wyjrzał przypadkiem przez okno i zobaczył ją na podjeździe, nie zbliżaj się do niej. Rozumiesz?

- Tak, ale...

- Najpierw zadzwoń do mojego ojca. Obiecuj, że to zrobisz.

- Dobrze, obiecuję, ale...

- Dziękuję, Michael.

Odwiesiłem słuchawkę. Ręce i stopy miałem zupełnie sztywne z zimna, ale moje czoło pokryło się kropelkami potu. Pchnąłem kulą drzwi budki i ostrożnie wróciłem do Petunii.

- Co powiedział? - zapytała Leigh. - Obiecał?

- Tak - odparłem. - Obiecał, a mój ojciec zatroszczy się o to, żeby wszyscy zrobili to, co im kazałem. Jestem tego pewien. Jeśli Christine wyruszy dziś na polowanie, będzie musiała zdecydować się na nas.

- To dobrze.

Wrzuciłem bieg, nacisnąłem na gaz i puściłem sprzęgło. Scena była przygotowana do przedstawienia, teraz więc pozostało tylko czekać na rozwój wypadków.

O pierwszej po południu, przejechawszy przez niemal całe miasto, dotarliśmy do Garażu Darnella. Długi budynek z mocno rdzewiejącej blachy falistej był zupełnie pusty; wielkie opony Petunii wyłobily w głębokim, nie naruszonym śniegu głębokie koleiny. Na głównych drzwiach wisiały te same tabliczki co w ów dawno miniony sierpniowy wieczór, kiedy Arnie po raz pierwszy przyprowadził tu Christine: ZAOSZCZĘDŹ TROCHĘ PIENIĘDZY. TWOJE UMIEJĘTNOŚCI, NASZE NARZĘDZIA. „Wynajem miejsc parkingowych na tydzień, miesiąc lub rok”, „Proszę zatrzeć”. W ciemnym oknie biura pojawił się nowy napis, jedyny, jaki miał w tej chwili autentyczne znaczenie: „Nieczynne do odwołania”. W kącie opustoszałego parkingu drzemał pod śnieżną czapą samotny mustang z końca lat sześćdziesiątych.

- Okropnie tutaj - powiedziała cicho Leigh.

- Aha - mruknąłem i dałem jej dorobione przed południem klucze. - Jeden z nich powinien pasować.

Wzięła je ode mnie, wysiadła z kabiny i podeszła do głównych drzwi. Kiedy zajmowała się zamkiem, spoglądałem bez przerwy to w jedno, to drugie wsteczne lusterko, ale nie zobaczyłem nic, co świadczyłoby o tym, że zwróciliśmy na siebie czyjąś uwagę. Przypuszczam, że kiedy ludzie widzą taki wielki, rzucający się w oczy pojazd, łatwo dochodzą do wniosku, że na pewno nie bierze on udziału w żadnym nielegalnym przedsięwzięciu.

Leigh szarpnęła mocno za uchwyt zainstalowany przy drzwiach, ponowiła próbę, a

następnie odwróciła się twarzą do mnie.

- Przekręciłam klucz, ale drzwi nie chcą się podnieść - powiedziała. - Myślę, że mogły przymarznąć do ziemi.

Świetnie, pomyślałem. Cudownie. Trudności piętrzyły się jedna za drugą.

- Przykro mi, Dennis - dodała, widząc wyraz mojej twarzy.

- W porządku.

Otworzyłem drzwi i po raz kolejny zademonstrowałem swój komiczny sposób wychodzenia z szoferki.

- Uważaj - powiedziała troskliwie, obejmując mnie ramieniem i pomagając brnąć przez głęboki śnieg. - Pamiętaj o nodze.

- Dobrze, mamusiu - odparłem z uśmiechem. Zatrzymałem się przy drzwiach w taki sposób, żeby stanąć mocniej na prawej nodze, odciążając lewą. Sięgnąłem prawą ręką do uchwyty, trzymając w lewej obie kule, tak że musiałem wyglądać jak cyrkowy człowiek-guma. Szarpnąłem. Drzwi poruszyły się odrobinę, ale to było stanowczo za mało. Leigh miała rację: cała dolna krawędź przymarzła do podłoża. Wyraźnie słyszałem charakterystyczny chrzęst.

- Pomóż mi - poprosilem.

Leigh położyła obie dłonie na mojej i pociągnęliśmy razem. Chrzęst przybrał nieco na sile, ale lód nie chciał ustąpić.

- Już prawie nam się udało - powiedziałem. W prawej nodze czułem nieprzyjemne mrowienie, po policzkach ściekały mi strumyczki potu. - Będę liczył. Jak powiem „trzy”, ciągniemy z całej siły, dobrze?

- W porządku.

- Uwaga: raz... dwa... trzy!

Drzwi otworzyły się tak łatwo, jakby wcale nie były przymarznięte. Tak gwałtownie powędrowały w górę na prowadnicach, że aż zatoczyłem się do tyłu, wypuszczając kule z ręki. Pośliznąłem się i wylądowałem na podwiniętej lewej nodze. Gruba poducha śniegu złagodziła nieco upadek, ale i tak poczułem przeszywający cios bólu, który wbił się w moje udo niczym długie ostrze sztyletu, sięgając do biodra, kręgosłupa, a nawet do skroni. Zaciśnąłem mocno zęby, zatrzymując w gardle rozpaczliwy krzyk. W następnej chwili Leigh znalazła się tuż przy mnie, klęcząc w śniegu i wyciągając do mnie ramiona.

- Nic ci się nie stało?

- Pomóż mi wstać.

Nie było to wcale takie łatwe. Kiedy wreszcie stanąłem na nogach, podpierając się ostrożnie kulami, oboje dyszeliliśmy jak zziąjane konie. Teraz kule okazały się wręcz nieodzowne,

gdyż lewa noga zamieniła się cała w ognisko rwącego bólu.

- Nie ma mowy, żebyś w takim stanie naciskał sprzęgło w...
- Oczywiście, że będę je naciskał. Pomóż mi wrócić do szoferki.
- Jesteś błąd jak ściana. Chyba powinnam zawieźć cię do lekarza.
- Nie. Pomóż mi usiąść za kierownicą.
- Dennis...
- Leigh, przestań!

Brnęliśmy powoli w stronę Petunii, pozostawiając za sobą wyraźne, nierówne ślady. Znalazłszy się przy kabinie wyciągnąłem w górę ręce, złapałem za kierownicę i spróbowałem się podciągnąć, ale z pewnością nie udało mi się, gdyby Leigh nie popchnęła mnie od dołu. Wreszcie, spocony jak mysz i drżący z bólu, znalazłem się z powrotem na fotelu kierowcy. Koszulę miałem przesiąkniętą potem i wodą z roztopionego śniegu. Aż do tego styczniowego dnia 1979 roku nie miałem pojęcia, jak bardzo człowiek może się spocić z bólu.

Nacisnąłem ostrożnie sprzęgło i natychmiast poczułem kolejne ukłucie bólu, tak silne, że odrzuciłem w tył głowę i zacisnąłem z całej siły zęby.

- Dennis, idę do najbliższego automatu, żeby wezwać lekarza. - Miała bladą, przerażoną twarz. - Złamałeś ją po raz drugi, prawda? Wtedy, kiedy upadłeś?

- Nie wiem - odparłem. - Nie możesz tego zrobić, Leigh. Jeśli teraz z tym nie skończymy, zginą nasi rodzice. Doskonale o tym wiesz. LeBay nie przestanie zabijać. On rozkoszuje się zemstą. Musimy doprowadzić to do końca.

- Ale przecież ty nie możesz prowadzić!

Wpatrywała się we mnie załzawionymi oczami. Kiedy pchała mnie w górę do szoferki, gdzie teraz siedziałem jak dostojny, ale kompletnie bezużyteczny pomnik, kaptur zsunął się jej zupełnie z głowy. Na jasnych włosach osiadało coraz więcej płatków śniegu.

- Wejdz do środka i poszukaj jakiejś miotły albo długiego kija - poleciłem.

- Co nam to da? - zapytała szlochając.

- Najpierw to znajdź, a potem zobaczymy.

Odwróciła się i zniknęła w czarnej, rozwartej paszczy drzwi, ja zaś trzymałem się oburącz za nogę i toczyłem nierówny bój z ogarniającym mnie przerażeniem. Jeśli rzeczywiście złamałem ją po raz drugi, to miałem spore szanse na to, że do końca życia będę chodził w ortopedycznym bucie na wysokiej podeszwie. Jeżeli jednak nie uda mi się powstrzymać Christine, owo „do końca życia” będzie oznaczało zaledwie kilka dni, może tygodni. Tak, to istotnie była niezwykle pocieszająca myśl.

Leigh wróciła ze szczotką do zamiatania podłogi.

- Taka będzie dobra?

- Do tego, żebyśmy wjechali do środka, owszem. Potem poszukamy czegoś lepszego.

Zmiotkę można było odkręcić od kija. Zrobiłem to, wyrzuciłem niepotrzebną część na zewnątrz, kijem natomiast nacisnąłem pedał sprzęgła; przez chwilę wszystko było w porządku, a potem kij ześliznął się, o mało nie uderzając mnie w usta. Znakomicie, Guilder. Ale musiałem sobie jakoś z tym poradzić.

- Wsiadaj - powiedziałem.

- Dennis, jesteś pewien?

- Zupełnie pewien.

Przez sekundę lub dwie wpatrywała się we mnie bez słowa, po czym skinęła głową.

- W porządku.

Obeszła szoferkę i wsiadła od strony pasażera. Zatrzasnąłem swoje drzwi, wcisnąłem kijem od szczotki sprzęgło i wrzuciłem pierwszy bieg. Udało mi się puścić sprzęgło niemal do połowy, tak że Petunia prawie ruszała już z miejsca, kiedy kij ześliznął się po raz drugi i wielka szambiarka wjechała do Garażu Darnella serią gwałtownych podskoków. Kiedy wcisnąłem hamulec, silnik natychmiast zgasł. Byliśmy prawie w środku.

- Muszę mieć coś z szerszą końcówką - powiedziałem. - Ten kij od szczotki nie bardzo się nadaje.

- Rozejrzę się.

Wysiadła i zaczęła myszkować w okolicy drzwi. Rozejrzałem się dookoła. Uwaga Leigh, że jest tu okropnie, była jak najbardziej uzasadniona. Jedynymi samochodami, jakie zostały w garażu, byli czterej weterani szos z tak ciężkimi ranami, że nikomu nie chciało się ich stąd zabierać. Pozostałe boksy, z wielkimi numerami namalowanymi na posadzce białą farbą, były puste. Spojrzałem w kierunku stanowiska numer dwadzieścia, po czym szybko odwróciłem wzrok.

Wysokie stojaki na opony także były niemal puste, jeśli nie liczyć kilku łysych kapciów zwalonych jeden na drugi niczym gigantyczne, zbyt mocno wysmażone pączki. Jeden z dwóch podnośników znajdował się częściowo w górze, opierając się na pustej obręczy. Wiszący na ścianie po prawej stronie schemat połączeń elektrycznych mienił się czerwienią i bielą i wybaluszał niczym ślepią dwa jaskrawe punkty wyobrażające przednie reflektory. Poza tym wszędzie dookoła były cienie. Umieszczone pod sufitem dmuchawy ciepłego powietrza wisiały nieruchomo jak wielkie nietoperze.

To miejsce było przesycone atmosferą śmierci.

Za pomocą drugiego klucza z kolekcji Jimmy'ego Leigh otworzyła drzwi do biura

Darnella. Widziałem ją przez tę samą szybę, przez którą Will obserwował swych klientów, tych ciężko pracujących ludzi, którzy muszą się zdrowo naharować, żeby ble, ble, ble. Przekreśliła kilka wyłączników i rząd za rządem zapłonęły usytuowane pod sufitem jarzeniówki. A więc elektrownia nie odcięła dopływu prądu. Powinniśmy wyłączyć światło, żeby nie zwróciło czyjejs uwagi, ale przynajmniej będziemy mogli się trochę ogrzać.

Leigh otworzyła kolejne drzwi i zniknęła mi na chwilę z oczu. Zerknąłem na zegarek: wpół do drugiej.

Wróciła z długą metalową myjką do okien zakończoną żółtą gąbką.

- Może to będzie dobre?

- Wręcz znakomite. Wskakuj, dzieciно. Wracamy do roboty.

Wspięła się ponownie do kabiny i podała mi pręt. Wcisnąłem nim sprzęgło.

- O niebo lepiej - oznajmiłem. - Gdzie to znalazłaś?

- W łazience - odparła, marszcząc nos.

- Aż taka fatalna?

- Brudna, cuchnąca cygarą i ze stertą paskudnych pisemek w kącie.

A więc tyle zostawił po sobie Darnell, pomyślałem: pusty garaż, stos świerszczyków i kwaśny odór dawno wypalonych cygar. Znowu zrobiło mi się bardzo zimno. Gdyby to ode mnie zależało, kazalbym zrównać tę rudę z ziemią, a cały teren dokładnie wyasfaltować. Nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że jest to coś w rodzaju niczym nie oznakowanego grobu - miejsce, gdzie LeBay do spółki z Christine zabili duszę mojego przyjaciela i zawładnęli jego życiem.

- Nie mogę się doczekać, kiedy stąd sobie pójdziemy - powiedziała Leigh, rozglądając się nerwowo dookoła.

- Naprawdę? A mnie się tutaj bardzo podoba. Nawet zastanawiałem się, czy nie powinienem się tu przeprowadzić. - Przyciągnąłem ją do siebie i spojrzałem jej głęboko w oczy. - Moglibyśmy założyć rodzinę... - szepnąłem marzycielskim tonem.

Uniosła ostrzegawczo rękę.

- A założyć ci nelsona?

- Nie trzeba. Szczerze mówiąc, ja też wolalbym się stąd jak najprędzej wydostać.

Wprowadziłem Petunię całkowicie do środka. Okazało się, że manipulowanie pedałem sprzęgła za pomocą metalowego drążka nie przedstawia większych problemów... pod warunkiem, że ograniczam się do pierwszego biegu. Co prawda rączka lekko się wyginała i wolalbym mieć do dyspozycji coś zdecydowanie bardziej solidnego, ale na razie musiało mi wystarczyć to, co akurat było pod ręką.

- Musimy zgasić światło - powiedziałem wyłączwszy silnik. - Mógłby je zobaczyć ktoś



niepowołany.

Leigh wysiadła i przekręciła wyłączniki, podczas gdy ja wykonałem Petunią szeroki nawrót, a następnie cofnąłem ją ostrożnie, tak że tyłem niemal dotykała ściany między biurem Darnella a resztą garażu. Wielki pysk ciężarówki celował prosto w szeroko otwarte drzwi, przez które wjechaliśmy.

Kiedy zgasły światła, wszędzie dookoła znowu rozgościły się cienie. Poblask wpadający przez drzwi był słaby, blady i przyćmiony. Rozlewał się na pokrytym plamami oleju, popękany betonie jak nie zastygły budyń, by zniknąć mniej więcej w połowie szerokości podłogi.

- Zimno mi, Dennis! – zawołała Leigh z biura Darnella. - Są tu jakieś przełączniki od ogrzewania. Mogę włączyć?

- Możesz! - odkrzyknąłem.

W chwilę potem w garażu rozległ się szum dmuchaw tłoczących rozgrzane powietrze. Oparłem się głębiej w fotelu kierowcy i delikatnie przesunąłem dłońmi po lewej nodze. Nogawka była ciasno opięta, bez najmniejszej zmarszczki. Moja cholerna noga puchła. I bolała. Boże, jak bolała!

Leigh wyszła z biura, wspięła się do szoferki i usiadła obok mnie. Po raz kolejny powiedziała mi, że fatalnie wyglądam, ja zaś z niewiadomych przyczyn wróciłem myślą do tamtego wieczoru, kiedy Arnie jechał tu swoją Christine, a konkretnie do ojca tłustych dzieciaków, o którym Arnie powiedział, że wygląda jak Robert Deadford. Śmiałyśmy się wtedy do rozpuku. Zacisnąłem powieki, by powstrzymać napływające do oczu łzy.

Ponieważ nie mieliśmy nic do roboty oprócz czekania, czas włókl się niemilosiernie powoli. Była za kwadrans druga, potem druga. Na zewnątrz śnieg zgęstniał odrobinę, ale nie za bardzo. Leigh wysiadła z ciężarówki i nacisnęła guzik zamykający drzwi. W garażu zrobiło się jeszcze ciemniej.

Wróciła, usiadła w swoim fotelu i powiedziała:

- Po prawej stronie drzwi jest zamontowane dziwne urządzenie. Przypomina trochę czujnik zdalnego otwierania, jaki mieliśmy w garażu w Weston.

Wyprostowałem się raptownie i spojrzałem w tamtym kierunku.

- O, Boże...

- Co się stało?

- Bo to jest czujnik zdalnego otwierania drzwi. A w Christine został zamontowany jeden z nadajników. Arnie powiedział mi o tym w Święto Dziękczynienia. Musisz go zepsuć, Leigh. Najlepiej tym kijem od szczotki.

Ponownie wysiadła z samochodu, podniosła z posadzki kij od szczotki, stanęła przy drzwiach i zaczęła dźgać nim w umocowany przy górnej krawędzi futryny czujnik. Wyglądało to tak, jakby próbowała zabić karalucha kryjącego się gdzieś pod sufitem. Po pewnym czasie jej wysiłki zostały nagrodzone trzaskiem pękającego plastiku i brzękiem tłuczonego szkła.

Wróciła wolnym krokiem do ciężarówki, cisnęła w kąt bezużyteczny już kij i usiadła obok mnie.

- Dennis, czy nie uważasz, że już najwyższy czas, żebyś wreszcie powiedział mi, co właściwie zamierzasz?

- Co masz na myśli?

- Doskonale wiesz, co mam na myśli - odparła, wskazując ruchem głowy zamknięte drzwi. Pięć brudnych kwadratowych okienek umieszczonych mniej więcej w trzech czwartych ich wysokości wpuszczało do środka przyćmione światło. - Kiedy się zupełnie ściemni, otworzysz je, prawda?

Skinałem głową. Same drzwi były wykonane z drewna, ale ich szkielet stanowiły grube metalowe płaskowniki, prawie takie same, z jakich budowano klatki staroświeckich wind. Christine z pewnością nie zdołałaby przebić się przez nie i uciec na wolność. W każdym razie miałem taką nadzieję. Robiło mi się niedobrze na myśl o tym, jak niewiele brakowało, żebyśmy zapomnieli o zdalnym otwieraniu drzwi.

Tak, chciałem otworzyć je o zmierzchu. Tak, chciałem wpuścić Christine do środka i uwięzić ją w garażu. Tak, chciałem użyć Petunii, by zgnieść ją na placek.

- W porządku - powiedziała Leigh. - Rozumiem. Ale w jaki sposób zamkniesz drzwi, kiedy ona już znajdzie się w środku? Może w biurze Darnella jest jakiś przycisk, którym da się to zrobić, ale ja nic takiego nie zauważyłam.

- Z tego co wiem, nie ma takiego przycisku - odparłem. - Będziesz musiała stać tam z palcem na guziku. - Wskazałem miejsce po prawej stronie drzwi, znacznie poniżej szczątków czujnika, gdzie znajdowało się urządzenie do ich ręcznego zamykania. - Schowasz się w cieniu, a kiedy Christine wjedzie do środka - zakładając, że to zrobi - naciśniesz ten guzik i uciekniesz czym prędzej na dwór. Drzwi się zatrzasną, a Christine znajdzie się w pułapce.

- A ty razem z nią - powiedziała Leigh, marszcząc brwi. - To paskudnie cuchnie, żeby zacytować słowa nieśmiertelnego Wordswortha.

- Nie Wordswortha, tylko Coleridge'a. Nie ma innego sposobu, Leigh. Jeżeli będziesz w środku, kiedy drzwi zaczną się zamykać, zginiesz pod kołami Christine. Nawet gdyby przycisk był zainstalowany w biurze Darnella, to przecież widziałas w gazecie, co się stało z jego domem.

- Więc zaparkuj obok tego przycisku - zaproponowała. - Kiedy wjedzie do środka,

wychyłę się przez okno i nacisnę guzik.

- Gdybym tam stanął, byłoby mnie widać z zewnątrz, a wtedy nawet by się tu nie zbliżyła.

- Nie podoba mi się to wszystko! - wybuchnęła. - Nie chcę zostawiać cię samego! Czuję się tak, jakbyś mnie oszukał!

W pewnym sensie to właśnie zrobiłem, choć teraz na pewno bym tego nie uczynił - o ile takie zapewnienie ma jakąkolwiek wartość, rzecz jasna. Wtedy jednak miałem osiemnaście lat, a spośród wszystkich męskich szowinistycznych świń, jakie chodzą po świecie, najgorsze są właśnie te osiemnastoletnie. Objąłem ją i przyciągnąłem do siebie. Przez chwilę opierała się, ale wreszcie ustąpiła.

- To jedyny sposób - powiedziałem. - Gdyby nie moja noga albo gdybyś wiedziała, jak posługiwać się ręczną skrzynią biegów... - Wzruszyłem ramionami.

- Boję się o ciebie, Dennis. Chcę ci pomóc.

- I tak będziesz mi bardzo pomagać. Tak naprawdę to właśnie tobie będzie grozić największe niebezpieczeństwo. Kiedy ona wjedzie do środka, będziesz z nią sam na sam, a ja zostanę tu, w bezpiecznej szoferce, żeby rozgnieść ją na miazgę.

- Mam nadzieję, że ci się uda - szepnęła i oparła mi głowę na piersi. Poglaskałem ją po włosach.

Tak więc czekaliśmy.

Oczami wyobraźni widziałem Arniego wychodzącego ze szkoły z książkami pod pachą. Widziałem rozpromienioną Reginę czekającą na niego w kombi Cunninghamów. Arniego uśmiechającego się zdawkowo i pozwalającego objąć się matczynym ramionom. Arnio, podjąłeś słuszną decyzję... Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się z tego cieszymy... Tak, mam. Może chcesz prowadzić, kochanie? Nie, mam, ty prowadź.

Widziałem, jak w padającym bez przerwy śniegu ruszają w drogę, Regina za kierownicą, Arnio obok niej z dłońmi leżącymi sztywno na kolanach i poważną twarzą, pozbawioną uśmiechu i pryszczy.

A za ich plecami, na szkolnym parkingu, pozostała Christine. Czekając na większy śnieg. Czekając na ciemność.

O wpół do trzeciej Leigh poszła do łazienki, ja zaś, korzystając z jej nieobecności, polknąłem dwie kolejne kapsułki darvonu. Noga bolała bez przerwy, okrutnie i nieubłaganie.

Wkrótce potem straciłem poczucie czasu. Podejrzewam, iż przyczyniło się do tego działanie środka przeciwbólowego. Rzeczywistość zaczęła przypominać senne marzenie: coraz bardziej pogłębiające się cienie, wpadające przez okna szarzące światło, pomruk wiszących pod

sufitem dmuchaw...

Wydaje mi się, że kochałem się z Leigh. Nie w normalny sposób - nie pozwalał na to stan mojej nogi - lecz w jakiś inny, zastępczy, choć wcale nie mniej słodki. Chyba pamiętam, jak oddychała coraz głośniejsze, a potem szeptała mi do ucha, żebym był ostrożny, żebym był bardzo ostrożny, bo utraciła już Arniego i teraz nie zniosłaby, gdyby to samo miało stać się ze mną. Zdaje mi się, że pamiętam eksplozję rozkoszy, która sprawiła, że nieznośny ból zniknął na chwilę bez śladu, czego nie dokonałyby wszystkie kapsułki darvonu, jakie są na świecie... lecz tylko na chwilę. I to bardzo krótką. A potem chyba zasnąłem.

Następną rzeczą, jaką pamiętam na pewno, było gwałtowne potrząsanie za ramię i głos Leigh szepczący moje imię.

- Co się stało?

Wraz ze świadomością powrócił ból opuchniętej, gotowej lada moment eksplodować nogi. Łupało mnie w skroniach, moje gałki oczne wydawały się zaś zbyt wielkie, żeby pomieścić się w oczodołach. Spojrzałem na Leigh mrugając raptownie powiekami jak wielka, głupia sowa.

- Już ciemno - powiedziała. - Zdaje się, że coś słyszałam.

Wyglądała na porządnie przestraszona. Spojrzałem na drzwi i zobaczyłem, że są otwarte.

- Jak...

- To ja - wpadła mi w słowo. - Ja je otworzyłam.

- Cholera! - Podciągnąłem się trochę na fotelu kierowcy i skrzywiłem, kiedy noga zareagowała zdwojonym bólem. - To nie było zbyt rozsądne, Leigh. Gdyby akurat wtedy przyjechała...

- Ale nie przyjechała - przerwała mi znowu. - Robiło się coraz ciemniej i zaczął padać większy śnieg, więc wysiadłam, otworzyłam drzwi i zaraz tu wróciłam. Sądziłam, że obudzisz się lada chwila... mamrotałeś coś przez sen... a ja myślałam: „Zaczekam, aż się zupełnie ściemni... Zaczekam, aż się zupełnie ściemni”... Potem jednak zrozumiałam, że oszukuję sama siebie, bo zupełnie ciemno było już od co najmniej pół godziny, a ja marzę tylko o tym, żeby zapalić choć odrobinę światła... A teraz wydaje mi się, że coś usłyszałam.

Zaczęły drżeć jej usta, więc zacisnęła je mocno.

Spojrawszy na zegarek przekonałem się, że jest już piętnaście po piątej. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, to moi rodzice i siostra powinni być już razem z Michaeliem i rodzicami Leigh. Spojrzałem przez przednią szybę Petunii na prostokąt wypełnionej padającym śniegiem ciemności. Słyszałem zawroźnienie wiatru, wdmuchującego białe płatki na cementową posadzkę.

- To tylko wiatr - powiedziałem niepewnie. - Słyszałaś tylko wycie wiatru.

- Możliwe, ale...

Skinąłem niechętnie głową. Wolalbym, żeby nie opuszczała bezpiecznego schronienia w sfoferce Petunii, ale jeśli nie udało mi się namówić jej do tego teraz, to tym bardziej nie powiodłoby mi się później. A wtedy, kiedy i gdyby Christine wjechała do garażu, wystarczyłoby, żeby wrzuciła wsteczny bieg i łatwo wymknęłaby się z pułapki.

By poczekać na lepszą okazję.

- Dobrze - powiedziałem. - Ale pamiętaj: stań w tej małej wnęcie po prawej stronie drzwi. Jeśli przyjedzie, możliwe, że najpierw zaczeka trochę na zewnątrz. - Węsząc jak zwierzę, dodałem w myśli. - Nie bój się i nie poruszaj. Nie daj się spłoszyć. Zachowaj spokój, zaczekaj do chwili, kiedy wjedzie do środka, a wtedy naciśnij guzik i uciekaj szybko na zewnątrz. Rozumiesz?

- Tak... - szepnęła. - Dennis, czy to się uda?

- Powinno, jeżeli ona w ogóle się zjawi.

- Zobaczymy się dopiero po wszystkim.

- Chyba tak.

Nachyliła się, dotknęła delikatnie dłonią mojego karku i pocałowała mnie w usta.

- Bądź ostrożny, Dennis - powiedziała. - Ale zabij to. Tak naprawdę to nie jest żadna „ona”, tylko „to”. Zabij to.

- Zabiję.

Spojrzała mi w oczy i skinęła głową.

- Zrób to dla Arniego - dodała. - Uwolnij go.

Przytulilem ją mocno, a ona mnie, po czym przesunęła się na fotelu w kierunku swoich drzwi. Potrafiła przy tym torebkę, która spadła na podłogę kabiny. Leigh znieruchomiała na chwilę z przekrzywioną głową i wyrazem zaskoczenia na twarzy, a następnie uśmiechnęła się, schyliła, podniosła torebkę i zaczęła w niej szperać.

- Pamiętasz „Morte d’Arthur”? - zapytała.

- Trochę.

Jednym z przedmiotów, na które uczęszczaliśmy wspólnie przed moim wypadkiem, była historia literatury angielskiej, a jednym z pierwszych dzieł, z jakimi przyszło nam się tam borykać, właśnie „Morte d’Arthur” Malory’ego. Nie miałem najmniejszego pojęcia, dlaczego Leigh zapytała mnie o to akurat teraz.

Wreszcie znalazła to, czego szukała: nylonową różową wstążkę, jaką dziewczęta związują często włosy, kiedy pada deszcz, a one chcą uchronić je przed zmoknięciem. Zawiązała ją na lewym rękawie mojej kurtki.

- Co to ma być, do diabła? - zapytałem, uśmiechając się lekko.

- Bądź moim rycerzem - odparła. Również się uśmiechnęła, lecz jej oczy pozostały zupełnie poważne. - Bądź moim rycerzem, Dennis.

Wziąłem do ręki metalowy pręt od myjki, który znalazła w biurze Darnella, i zasalutowałem nim niezgrabnie.

- Z przyjemnością - powiedziałem. - Od tej pory będę się nazywał sir O'Myjka.

- Żartuj sobie, jeśli chcesz, ale nie lekceważ tego, dobrze?

- W porządku, skoro taka twoja wola, pani. Będę twoim wiernym, nieustraszonym rycerzem.

Roześmiała się i od razu zrobiło się lepiej.

- Pamiętaj o tym guziku, dziecko. Naciśnij go z całej siły. Chyba nie chcemy, żeby drzwi zatrzymały się w połowie drogi, prawda?

- Prawda.

Wysiadła z Petunii. Jeszcze teraz, kiedy zamknę oczy, widzę ją taką, jaka była w tej ostatniej czystej i spokojnej chwili, zanim wszystko potoczyło się potwornie źle i niewłaściwie: wysoką, piękną dziewczynę o długich włosach koloru świeżego miodu, smukłych biodrach, długich nogach i charakterystycznych nordyckich kościach policzkowych, ubraną w narciarską kurtkę i sprane dżinsy, poruszającą się z wdziękiem tancerki. Wciąż ją taką widzę i wciąż o tym śnię, ponieważ w czasie, kiedy byliśmy zajęci zastawianiem pułapki na Christine, ona, ten stary i nieskończenie przebiegły potwór, zastawiała pułapkę na nas. Czy naprawdę myśleliśmy, że uda nam się ją tak łatwo przechytrzyć? Chyba tak.

W moich snach wszystko rozgrywa się w koszmarным, zwolnionym tempie. Widzę łagodne falowanie bioder Leigh idącej w kierunku drzwi; słyszę skrzypienie grubych podeszew jej butów na brudnej betonowej posadzce; słyszę nawet delikatny szelest podszewki kurtki ocierającej się o bluzkę. Idzie powoli, z uniesioną głową - teraz ona jest zwierzęciem, ale nie drapieżcą. Przypomina zebbrę zbliżającą się o zmierzchu do wodopoju. Porusza się jak zwierzę wyczuwające niebezpieczeństwo. We śnie próbuję krzyknąć do niej przez grubą szybę Petunii: Wracaj, Leigh, wracaj szybko, miałaś rację, rzeczywiście coś słyszałaś, ona jest tam, na zewnątrz, ze zgaszonymi światłami, przyczajona do skoku, wracaj, Leigh, wracaj!

Zatrzymała się raptownie z dłońmi zaciśniętymi w pięści i w tej samej chwili w śnieżnej ciemności jak otwierające się zniecka ślepa zapłonęły jaskrawe kręgi reflektorów.

Leigh zamarła w bezruchu, samotna i bezbronna naprzeciwko otwartych drzwi. Stała w odległości jakichś dziesięciu metrów od nich, nieco po prawej stronie. Odwróciła się w kierunku światła z wyrazem zaskoczenia i bezradności na twarzy.

Byłem równie oszołomiony, w związku z czym ten pierwszy, najbardziej istotny moment

minął nie wykorzystany. Zaraz potem reflektory skoczyły naprzód i dostrzegłem za nimi długi, niski kształt Christine. Z wściekłym rykiem silnika runęła ku nam z parkingu po drugiej stronie ulicy, gdzie się czaiła - kto wie, czy nawet nie od kilku godzin. Zdmuchnięty z maski pędem powietrza śnieg rozwlókł się pajęczymi nićmi na przedniej szybie. Wciąż nabierając szybkości wpadła na podjazd prowadzący do garażu. Z jej ośmiocylindrowego silnika wydobywał się szaleńczy skowyt.

- Leigh! - wrzasnałem, sięgając rozpaczliwie do tkwiącego w stacyjce kluczyka.

Skoczyła w prawo, w kierunku przycisku i wdusiła go w momencie, kiedy Christine wpadła z rykiem do wnętrza garażu. Natychmiast rozległ się klekot opadających drzwi.

Christine również skręciła w prawo, w stronę Leigh. Zawadziła o ścianę, miażdżąc na drzazgi drewniane obicie i rozdierając sobie błotnik - blacha nadwozia pękła z odgłosem przypominającym idiotyczny śmiech pijaka. Sypiąc iskrami wpadła w długi poślizg; tym razem minęła dziewczynę, ale ponowny atak musiał zakończyć się powodzeniem, gdyż Leigh została uwieczona w kącie, bez żadnej drogi ucieczki. Być może udałoby się jej wymknąć na zewnątrz, ale obawiałem się, że zbyt wolno opadające drzwi nie zdołają powstrzymać Christine; doskonale wiedziałem, że kontynuowałyby pościg nawet z oderwanym dachem.

Wreszcie silnik Petunii ożył. Czym prędzej włączyłem reflektory; zapłonęły jaskrawym blaskiem, oświetlając zamykające się drzwi i unieruchomioną w kącie Leigh. Stała z szeroko otwartymi oczami, oparta plecami o ścianę. W blasku reflektorów jej kurtka przybrała nienaturalny odcień jaskrawego błękitu, mój umysł zaś poinformował mnie z obrzydliwą, kliniczną precyzją, że jej krew byłaby purpurowa.

Spojrzała na chwilę w górę, a potem znowu utkwiała wzrok w Christine.

Opony plymoutha zapiszczały wściekle i czerwono-biały samochód wystrzelil w kierunku dziewczyny. Spod tylnych kół poszedł dym, na betonie zostały wyraźne czarne ślady, a ja zdążyłem jeszcze zauważyć, że we wnętrzu Christine siedzą ludzie, dużo ludzi.

W tej samej chwili, kiedy Christine wystartowała ku niej, Leigh odbiła się z całej siły i skoczyła w górę. Przez mój pracujący z szybkością światła mózg przemknęła idiotyczna myśl, że pewnie postanowiła przeskoczyć przez plymoutha, jakby miała na nogach siedmiomilowe buty.

Ona jednak chwyciła oburącz przerdzewiały metalowy pręt podtrzymujący półkę umocowaną mniej więcej dwa i pół metra nad podłogą, czyli co najmniej siedemdziesiąt pięć centymetrów nad jej głową. Półka biegła wokół całego garażu, wzdłuż wszystkich czterech ścian. Tego wieczoru, kiedy po raz pierwszy przyprowadziliśmy tu Christine, półka była zawalona oponami - bieżnikowanymi i tymi dopiero czekającymi na bieżnikowanie. W jakiś dziwny sposób skojarzyło mi się to z ciasno zastawionymi półkami w bibliotece. Teraz jednak była

niemal pusta. Chwyciwszy się prętu Leigh rozkołysała się i zarzuciła nogi na górę jak dziecko bawiące się na trzepaku - sam też to robiłem, mniej więcej na początku szkoły podstawowej. Pysk Christine rąbnął w ścianę bezpośrednio pod nią. Gdyby Leigh podniosła nogi ułamek sekundy później, od kolan w dół zostałyby zmiażdżone na galarete. Posypały się kawałki chromowanej stali, a dwie ostatnie opony spadły z półki i podskakując potoczyły się po podłodze jak wielkie gumowe pączki.

Christine cofnęła się z piskiem wszystkich czterech opon, Leigh zaś walnęła mocno głową w ścianę.

Zastanawiacie się zapewne, co robiłem przez ten czas? Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że to wcale nie trwało tak długo. Kiedy nacisnąłem lancą O'Myjki sprzęgło i wrzuciłem pierwszy bieg, wjazdowe drzwi dopiero zamknęły się z hukiem. Wszystko trwało nie dłużej niż kilka sekund.

Leigh wciąż trzymała się pręta podtrzymującego metalową półkę, ale teraz, oszołomiona uderzeniem, już tylko wisiała tam bezwładnie.

Częściowo zwolniłem sprzęgło, a jakaś chłodna część mego umysłu pomyślała: Spokojnie, kolego. Jeżeli silnik zgaśnie, ona jest martwa.

Petunia ruszyła z miejsca. Wdepnąłem mocniej gaz i puściłem zupełnie sprzęgło. Christine ponownie pędziła w kierunku Leigh, z maską zgiętą pod wpływem pierwszego uderzenia niemal pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. W miejscach, gdzie odprysł lakier, błyszczał nagi metal. Wyglądało to tak, jakby nagle wyrosły jej zęby rekina.

Rąbnąłem w nią mniej więcej w jednej czwartej długości nadwozia. Wykonała pełen obrót, podczas którego jedna opona zsunęła się zupełnie z obręczy, a następnie z ogłuszającym hukiem uderzyła w leżącą w kącie stertę żelastwa. Ośmiocylindrowy silnik zgasł i znowu zawył, zgasł i zawył. Cały lewy przód zamienił się w kupę złomu, lecz Christine wciąż żyła.

Wdusiłem w podłogę pedał hamulca i zatrzymałem Petunię tuż przed Leigh, o mało jej nie rozgniatając. Silnik ciężarówki zakrzuszył się i umilkł. Jedynym odgłosem rozlegającym się w garażu było przeraźliwe wycie jednostki napędowej Christine.

- Leigh! - wrzasnąłem, starając się je przekrzyczeć. - Leigh, uciekaj!

Spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem, a ja dostrzegłem strumyk krwi wyciekający pomiędzy jej włosów - była purpurowa, dokładnie tak, jak się spodziewałem. Wypuściła pręt z dłoni, spadła na wyprostowane nogi, zachwiała się i przyklękła na jedno kolano.

Christine natychmiast ruszyła w jej stronę. Leigh wstała, zrobiła dwa chwiejne kroki i schowała się za Petunię. Rozpędzona Christine walnęła w przód ciężarówki. Szarpnęło mną w prawą stronę, nogę przeszyło ostrze bólu.



- Wsiadaj! - ryknąłem do Leigh, starając się przechylić maksymalnie w prawo i otworzyć drzwi. - Wsiadaj!

Christine cofnęła się i zniknęła mi z oczu gdzieś z tyłu, za wielką cysterną Petunii. Mignęła mi jeszcze we wstecznym lusterku przymocowanym do drzwi, a potem słyszałem już tylko pisk jej opon.

Poruszająca się jak we śnie Leigh szła dalej wzdłuż ściany, trzymając obie ręce przyciśnięte do tyłu głowy. Krew sączyła się jej między palcami. Wyszła przed Petunię i stanęła bez ruchu.

Nie musiałem zbytnio wysilać wyobraźni, aby domyślić się, co nastąpi za chwilę: Christine cofnie się ponownie dla nabrania rozpędu i rozgniecie ją o ścianę.

Wcisnąłem rozpaczliwie sprzęgło, po czym przekręciłem kluczyk w stacyjce. Rozrusznik obrócił się kilka razy, ale bez efektu. W powietrzu czułem wyraźny zapach benzyny. Zalałem świece.

We wstecznym lusterku dostrzegłem nadjeżdżającą Christine. Pędziła prosto na Leigh, która jednak w ostatniej chwili zachwiała się i cofnęła o krok, schodząc z toru jazdy. Czerwono-biały plymouth rąbnął z potworną siłą w ścianę. Pod wpływem uderzenia otworzyły się przednie drzwi po stronie pasażera; to, co ujrzałem, sprawiło, że podniosłem do ust dłoń, w której nie ścisnąłem metalowego prętu, i wrzasnąłem przeraźliwie.

W środku, niczym groteskowa, naturalnej wielkości lalka, siedział Michael Cunningham. Jego kołysząca się bezwładnie na karku głowa odchyliła się do tyłu i zobaczyłem, że policzki ma pokryte intensywnym rumieńcem charakterystycznym dla ofiar zatrucia tlenkiem węgla. A więc nie usłuchał mojej rady. Zgodnie z moimi podejrzeniami Christine pojechała najpierw do domu Cunninghamów. Kiedy Michael wrócił z pracy, czekała na niego na podjeździe. Podszedł do niej, a ona... jakoś go złapała. Może po prostu usiadł na chwilę za kierownicą, tak samo jak ja tamtego dnia w garażu LeBaya? Całkiem możliwe. Pewnie chciał się przekonać, jakie to wywrze na nim wrażenie. Musiało być, podczas tych kilku ostatnich chwil jego życia, okropne. Czy Christine sama uruchomiła silnik? Czy sama wjechała do garażu? Być może. Czy Michael przekonał się w pewnej chwili, że nie jest w stanie ani przekręcić kluczyka w stacyjce, ani wysiąść z samochodu? Czy spojrzal w bok i ujrzawszy na sąsiednim fotelu prawdziwego właściciela plymoutha zemdlal z przerażenia?

Nie miało to już żadnego znaczenia. Teraz liczyła się tylko Leigh.

Ona także to zobaczyła. Jej rozpaczliwe, piskliwe krzyki wzbily się w cuchnące spalinami powietrze jak pomalowane w jaskrawe barwy balony. Przynajmniej ocknęła się ze swojego półprzytomnego transu.

Odwróciła się i pobiegła do biura Darnella, zostawiając za sobą ślad z rozbryźniętych kropli krwi. Krew była też na kołnierzu kurtki. Bardzo dużo krwi.

Christine wycofała się, znacząc posadzkę czarną gumą i szklanymi odpryskami. Kiedy ścigając Leigh weszła w ciasny zakręt, siła dośrodkowa zatrzasnęła drzwi, ale i tak zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak głowa Michaela odchyła się bezwładnie w drugą stronę.

Christine przyhamowała i zatrzymała się na chwilę, celując zdemolowaną maską w plecy uciekającej Leigh. Być może LeBay rozkoszował się ostatnimi sekundami przed końcowym atakiem. Jeśli tak było w istocie, to jestem mu bardzo wdzięczny, bo gdyby ruszył od razu, nic nie zdołaloby ocalić Leigh przed pewną śmiercią, tak natomiast zyskałem nieco bezcennego czasu. Belkocząc coś na głos - chyba jakąś modlitwę - przekręciłem znowu kluczyk; tym razem silnik zaczął działać bez żadnych kłopotów. Puściłem sprzęgło i wdepnąłem pedał gazu w podłogę dokładnie w tym samym momencie, kiedy czerwono-biały plymouth ruszył z miejsca. Trafiłem w prawy bok. Rozległ się zgrzyt dartego metalu, kiedy zderzak Petunii rozerwał blachę drzwi, Christine odbiła się i walnęła w ścianę. Posypało się jeszcze więcej szkła. Jej silnik był przeraźliwie. Siedzący za kierownicą LeBay odwrócił się i uśmiechnął do mnie, szczerząc trupie zęby.

Petunia ponownie znieruchomiała.

Z moich ust posypały się jedno za drugim chyba wszystkie znane mi przekleństwa. Gdyby nie moja noga, gdyby nie ten cholerny upadek w śniegu przed drzwiami garażu, byłoby już po wszystkim. Pozostałoby mi tylko osaczyć ją w kącie i rozwalkować na placek.

Tymczasem kiedy z desperacją przekręcałem raz za razem kluczyk w stacyjce Petunii - trzymałem stopę z dala od pedału gazu, żeby znowu nie zalać świec - Christine ruszyła do tyłu i z okropnym jękiem giętej blachy wycofała się z wąskiej przestrzeni między zderzakiem Petunii i ścianą. Odpadł jej cały prawy przedni błotnik, odsłaniając koło wraz z fragmentami zawieszenia.

Zanim uruchomiłem silnik i wrzuciłem wsteczny bieg, Christine zdążyła cofnąć się na drugi koniec garażu. Nie miała już ani jednego światła, przednia szyba była pokryta siatką niezliczonych pęknięć, zdeformowana maska zdawała się szczerzyć w ohydny uśmiechu.

Natomiast radio grało na cały regulator. Słyszałem Ricky'ego Nelsona śpiewającego „Waitin' in School”.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu Leigh i dostrzegłem ją w biurze Willa, obserwującą wydarzenia rozgrywane się we wnętrzu garażu. Jej jasne włosy były zlepione krwią, która ściekała też po policzkach i wsiąkała w kołnierz kurtki. Cholera, za bardzo krwawi - przemknęła mi oderwana myśl. Za bardzo krwawi, nawet jak na ranę głowy.

Nagle jej oczy rozszerzyły się i wyciągnęła rękę, wskazując coś za moimi plecami.

Poruszała ustami, lecz nie usłyszałem ani słowa z tego, co wołała.

Z przeciwległego końca garażu nadjeżdżała Christine, nabierając błyskawicznie prędkości.

Jej maska prostowała się błyskawicznie, zakrywając pracujący na najwyższych obrotach silnik. Dwa spośród czterech reflektorów zamigotały, po czym zapłonęły pełnym blaskiem. Prawy błotnik... Tylko rzuciłem na niego okiem, ale jestem gotów przysiąc, że odradzał się wprost z powietrza, obudowując jaskrawoczerwonymi krzywiznami koło i zawieszenie. Pęknięcia na przedniej szybie kurczyły się i nikły w niesamowitym tempie, natomiast sflaczała opona, która niedawno spadła z obręczy, wyglądała jak nowa.

Ona cała wygląda jak nowa - pomyślałem. Boże, miej nas w swojej opiece.

Pędziła ku ścianie odgradzającej biuro od pozostałej części garażu. Zwolniłem raptownie sprzęgło w nadziei, że zdołam zagrozić jej drogę, lecz Christine okazała się szybsza ode mnie. Potężne cielsko Petunii trafiło w pustkę, a potem uderzyło w stojące pod przeciwległą ścianą stare, pogiete szafki na narzędzia, które z metalicznym łomotem poprzewracały się natychmiast na podłogę. Ja jednak nawet się nie odwróciłem; patrzyłem przed siebie, na Christine atakującą ścianę biura. Nie zwolniła ani odrobiny.

Nigdy nie zapomnę tych kilku chwil, które nastąpiły potem. Kiedy tylko zechcę, mogę przywołać je w pamięci ze wszystkimi szczegółami, jakbym patrzył na nie przez powiększające szkło. Leigh dostrzegła pędzącą Christine i zatoczyła się do tyłu. Zlepione krwią włosy opadły jej na czoło. Potknęła się o fotel Willa, przewróciła i upadła na podłogę za biurkiem, niknąc mi z oczu. Ułamek sekundy później - naprawdę ułamek - Christine rąbnęła w ścianę. Wielka szyba, przez którą Darnell obserwował wnętrze garażu, eksplodowała do małego wnętrza. Szklane odłamki poszybowały w powietrzu niczym chmara zatrutych strzał. Maskę Christine wygięła się, a następnie oderwała, przeleciała nad dachem i wylądowała na posadzce z takim samym odgłosem jak przed chwilą przewrócone przeze mnie szafki na narzędzia.

Ciało Michaela Cunninghama z groteskowo splaszczoną głową przeleciało przez otwór po przedniej szybie, wpadło do biura, uderzyło jak worek piasku w biurko i osunęło się na podłogę. W górę sterczały tylko jego nogi.

Leigh zaczęła krzyczeć.

Upadek prawdopodobnie uchronił ją przed dotkliwym poranieniem przez odłamki szkła, ale kiedy podniosła się z podłogi, twarz miała wykrzywioną potwornym przerażeniem. Wpadła w histerię. Bezwładne ręce Michaela zaczepiły o jej ramiona, więc kiedy próbowała wstać, wyglądało to niemal tak, jakby tańczyła ze zwłokami. Krzyczała co sił w płucach. Krew, w dalszym ciągu sącząca się z głowy, błyszczała jaskrawą czerwień w elektrycznym świetle. Wreszcie wyzwoliła się z objęć trupa i popędziła do drzwi.

- Leigh, nie! - wrzasnąłem, wciskając jednocześnie z całej siły sprzęgło. Metalowy pręt pękł z cichym trzaskiem na dwie części. W dłoni został mi kawałek najwyższej dwudziestocentymetrowej długości. - Cholera!

Christine wyjechała tyłem spod rozbitego okna, pozostawiając na betonie plamy wody, oleju i plynu chłodzącego.

Prawie nie czując bólu wdusiłem pedał sprzęgła lewą nogą, pomagając sobie lewą ręką opartą na kolanie, podczas gdy drugą zmieniłem bieg.

Leigh otworzyła drzwi biura i wbiegła do garażu.

Christine obróciła się w jej kierunku, mierząc w nią pogiętym, zdemolowanym przodem.

Wdepnąłem na gaz. Petunia ruszyła z ogłuszającym rykiem, a kiedy byłem już bardzo blisko tego diabelskiego samochodu, zobaczyłem przyciśniętą do tylnej szyby nabrzmiałą, siną twarz dziecka. Wpatrywało się we mnie wybaluszonymi oczami, jakby błagając, żebym się zatrzymał.

Uderzenie było bardzo silne. Pokrywa bagażnika odskoczyła w górę, tył plymoutha uciekł w bok i Christine przemknęła poślizgiem obok Leigh, biegnącej przed siebie z oczami tak rozszerzonymi przerażeniem, że zdawały się zajmować co najmniej pół twarzy. Pamiętam krople krwi rozbryźnięte na kapturze jej kurtki, przypominające jakąś piekielną rosę.

Opanowało mnie szaleńcze uniesienie. Nawet gdyby potem mieli mi amputować całą nogę, musiałem dokończyć dzieła, musiałem doprowadzić do końca to, co zacząłem.

Christine odbiła się od ściany. Wcisnąłem sprzęgło, wrzuciłem wsteczny bieg, cofnąłem Petunię parę metrów, ponownie wcisnąłem sprzęgło i wrzuciłem jedynekę. Christine usiłowała odpelznąć wzdłuż ściany, lecz ja skręciłem nieco w lewo i uderzyłem w nią ponownie, tym razem przecinając ją niemal na pół. Siedzący za kierownicą LeBay zmieniał się raptownie; chwilami był nagim szkieletem, by zaraz potem przeistoczyć się w gnijące zwłoki albo w zdrowego, tryskającego energią pięćdziesięciolatka. Spojrzał na mnie z szyderczym uśmiechem na ustach, jedną rękę trzymając na kierownicy, drugą zaś, zaciśniętą w pięść, wygrażając w moją stronę.

A jej silnik nadal pracował.

Ponownie wrzuciłem wsteczny bieg, ale teraz okupiłem to paralizującym bólem, który przeszył nie tylko złamaną nogę, lecz sięgnął do najdalszych zakamarków ciała. Był wręcz potworny i był wszędzie. Czulem go w

*(Michael, mój Boże, dlaczego nie zostałeś w domu)*

karku, w szczęce, w

*(Arnie? Tak mi przykro, chłopie. Szkoda, że)*

skroniach. Christine - a właściwie to, co z niej zostało - pelzła przed siebie zataczając się jak

pijana, stracając z pólek narzędzia i zużyte części. Szafki przewracały się na posadzkę z głuchym klekotem przywodzącym na myśl jakiś szatański aplauz.

Nacisnąłem pedał gazu i zwołnilem sprzęgło. Silnik Petunii ryknął donośnie, ja zaś przywarłem do jej kierownicy jak człowiek ujeżdżający dzikiego mustanga. Rąbnąłem Christine w prawy bok, zdzierając blachy aż do tylnej osi, po czym nie zdejmując nogi z gazu zawlokłem wrak plymoutha aż do wjazdowych drzwi i rąbnąłem nim w nie z ogłuszającym loskotem. Nadziałem się żołądkiem na kierownicę, w wyniku czego straciłem na chwilę oddech, po czym opadłem z powrotem na fotel.

Wtedy zobaczyłem Leigh. Stała w kącie z dłońmi przyciśniętymi do twarzy, zasłaniając oczy palcami.

Silnik Christine wciąż działał.

Ruszyła powoli w stronę Leigh niczym zwierzę, którego tylne łapy zostały przytrzaśnięte w pułapce. Choć poruszała się bardzo powoli, widziałem, jak z każdym metrem odzyskuje dawny kształt: jedna z opon napelniła się nagle powietrzem, z donośnym brzęknięciem wyrosła nowa antena, tu i ówdzie zaczęła pojawiać się gładka blacha.

- Zdechnij wreszcie! - wrzasnąłem.

Z oczu płynęły mi łzy, łapałem z trudem powietrze gwałtownymi, płytkimi łykami, lewa noga przestała mnie w ogóle słuchać. Złapałem ją obiema rękami i napałem nią na sprzęgło. Przed oczami eksplodowały mi białe ognie bólu. Zdawało mi się, że słyszę chrzęst trących o siebie odłamków kości.

Włączyłem jedynkę, dodałem gazu i ruszyłem za Christine. W tej samej chwili usłyszałem, po raz pierwszy i jedyny, wysoki, skrzekliwy, przepelniony nieopisaną wściekłością głos LeBaya:

- Ty ZASRAŃCU! Odpieprz się ode mnie, ty żalosny ZASRAŃCU! ZOSTAW MNIE W SPOKOJU!

Chciałem krzyknąć, że to on powinien być zostawić w spokoju mojego przyjaciela, lecz z gardła wydobył mi się tylko rozpaczliwy, bolesny jęk.

Najechałem na nią ukosem od tyłu, miażdżąc zbiornik paliwa. Pokazał się ogień, więc zasloniłem rękami oczy, ale płomienie zaraz zniknęły. Christine stała bez ruchu niczym uciekinier z jakiejś orgii niszczenia samochodów. Silnik zakrzuszył się raz, drugi... aż wreszcie umilkł.

W garażu zapadła cisza zakłócana jedynie basowym pomrukiem silnika Petunii.

Leigh puściła się pędem w moją stronę, płacząc i wykrzykując moje imię. Uświadomiłem sobie z otepiałym zdziwieniem, że na rękawie mam związaną jej różową wstążkę do włosów.

Odróciłem się do niej, żeby to jej powiedzieć, lecz nie zdążyłem, gdyż spłynęła na mnie

nieprzenikniona szarość.

Poczułem jeszcze jej rękę, a potem przestałem czuć cokolwiek.

Odzyskałem przytomność mniej więcej piętnaście minut później. Twarz miałem moką i cudownie chłodną. Leigh stała na stopniu kabiny, ocierając mi czoło wilgotną szmatą. Złapałem szmatę jedną ręką, zbliżyłem do ust i wycisnąłem kilka kropel wody, ale zaraz je wyplułem. Cuchnęły olejem.

- Nic się nie bój, Dennis... - mówiła Leigh. - Wybiegłam na ulicę... zatrzymałam plug śnieżny... zdaje się, że kierowca o mało nie dostał przeze mnie zawału... tyle krwi... karetka... powiedział, że zawiadomi... Dennis, dobrze się czujesz?

- A wyglądam na to? - szepnąłem.

- Nie - odparła i wybuchnęła płaczem.

- Więc nie... - Musiałem przelknąć bolesny, suchy guz, który wyrósł mi w gardle. - Więc nie zadawaj głupich pytań. Kocham cię.

Objęła mnie.

- Powiedział, że zawiadomi też policję - dodała.

Prawie jej nie słyszałem. Odnalazłem wzrokiem stertę pogiętego żelastwa stanowiącą szczątki Christine. Szczątki... Tak, to było dobre słowo. Właściwie w niczym nie przypominała już samochodu. Ale dlaczego nie spłonęła? Jeden z kołpaków leżał obok niej jak pusty, poobijany talerz.

- Jak dawno temu zatrzymałaś ten plug? - zapytałem ochryplym szeptem.

- Jakies pięć minut. Potem znalazłam jakąś szmatę i zmoczyłam ją w wiadrze z wodą. Dennis... Dzięki Bogu, już po wszystkim.

Brzdęk! Brzdęk! Brzdęk!

Wciąż wpatrywałem się w kołpak.

Wgniecenia zaczęły się prostować.

Nagle podskoczył, ustawił się na krawędzi i jak wielka moneta potoczył w kierunku samochodu.

Leigh również to dostrzegła. Jej twarz zamarła w grymasie przerażenia, oczy niemal wyszły z orbit, usta zaś ułożyły się jak do słowa „nie”, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Wejdz do kabiny - poleciłem jej przyciszonym głosem, jakbym bał się, że Christine nas usłyszy. Kto wie, może rzeczywiście słyszała? - Usiądz obok mnie. Będiesz naciskać gaz, a ja zajmę się sprzęgłem.

- Nie... - wykrztusiła wreszcie. Oddychała płytko i szybko. - Nie... nie...

Wrak drgał, poruszał się i skręcał. Był to najbardziej niezwykle i przerażający widok, jaki dane mi było ujrzeć w życiu. Wil się jak... jak zwierzę, które nie jest do końca... martwe. Metal tarł o metal, blachy prostowały się ze szczękiem. Na moich oczach zgięta śruba leżąca na podłodze odzyskała dawny kształt i poturlała się w kierunku drgającej kupy złomu.

- Wsiadaj - powtórzyłem.

- Dennis, ja nie mogę - wymamrotała. Wargi trzęsły się jej jak w febrze. - Już nie mogę... To ciało... Te zwłoki... to był ojciec Arniego. Już nie mogę, zrozum...

- Musisz.

Spojrzała na mnie, przeniosła wzrok na wijące się w ohydny sposób szczątki wstrętnej dziwki, którą dzielili się Arnie i LeBay, zeszła ze stopnia i zaczęła obchodzić od przodu szoferkę Petunii. Z poruszającego się złomowiska wystrzelił nagle kawałek chromowanej stali, raniąc ją głęboko w nogę. Leigh krzyknęła głośno, przebiegła szybko na drugą stronę ciężarówki, wdrapała się do kabiny i wpełnęła obok mnie.

- C-co... Co mam robić?

Złapałem się mocno krawędzi dachu, wychyliłem do połowy z kabiny i nacisnąłem prawą nogą pedał sprzęgła. Silnik Petunii wciąż pracował.

- Tylko wciśnij gaz - powiedziałem. - I trzymaj go tak, bez względu na to, co się będzie działo.

Ściskając kierownicę prawą ręką, lewą zaś trzymając się dachu, zwolniłem sprzęgło. Przetoczyliśmy się przez wrak, miażdżąc go pod kołami i rozwlekając po posadzce. We wnętrzu mojej czaszki rozległ się kolejny wściekły wrzask.

Leigh złapała się oburącz za głowę.

- Nie mogę, Dennis! Nie mogę! Ona... To krzyczy!

- Musisz wytrzymać. - Stopa Leigh zsunęła się z pedału gazu, na zewnątrz zaś rozległo się co prawda jeszcze odległe, ale zbliżające się z każdą chwilą wycie syren. Nie zwracając uwagi na szarpiący mi nogę ból chwyciłem ją za ramię. - Leigh, na razie jeszcze nic się nie zmieniło. Musisz to zrobić!

- Ale ona krzyczy na mnie!

- Tracimy czas, a właściwie nic nie osiągnęliśmy. Wytrzymaj jeszcze trochę.

- Spróbuję - szepnęła i ponownie nacisnęła pedał gazu.

Wrzuciłem wsteczny bieg. Petunia cofnęła się o sześć metrów. Wdusiłem sprzęgło, włączyłem jedynkę...

- Dennis, nie! - wrzasnęła nagle Leigh. - Spójrz!

Matka i dziecko, Weronika i Rita, stały trzymając się za ręce przed poskręcany wrakiem

Christine, wpatrując się w nas poważnymi, smutnymi oczami.

- Ich tutaj nie ma - powiedziałem. - A nawet jeżeli są, to najwyższa pora, żeby wróciły tam... - Znowu ból w nodze i towarzysząca mu fala szarości. - Tam, gdzie ich miejsce. Trzymaj nogę na gazie.

Puściłem sprzęgło. Petunia ruszyła naprzód, nabierając powoli prędkości. Dwie postaci nie rozplynęły się w powietrzu, jak to się dzieje na filmach, tylko blakły stopniowo, tracąc barwy... aż wreszcie zupełnie zniknęły.

Uderzyliśmy po raz kolejny w Christine, miażdżąc to, co jeszcze zostało do miażdżenia. Rozległ się jęk dartego metalu.

- Nie ma ich - szepnęła Leigh. - Rzeczywiście ich nie ma. W porządku, Dennis. W porządku.

Jej głos dobiegał do mnie jakby z końca bardzo długiego korytarza. Cofnąłem Petunię, po czym znowu ruszyłem do przodu. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Jak długo? Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że za każdym uderzeniem w mojej nodze następowała kolejna eksplozja bólu, świat zaś okrywał się coraz grubszą peleryną szarości.

Wreszcie podniosłem z trudem głowę i zobaczyłem, że ciemność za kwadratowymi okienkami w drzwiach wypełniła się krwią. Nie była to jednak krew, tylko pulsujące czerwone światła. Do drzwi dobijali się jacyś ludzie.

- Czy już wystarczy? - zapytała Leigh.

Spojrzałem na Christine... tyle tylko, że to już nie była Christine, a rozwleczona po betonowej podłodze sterta pogiętego metalu, strzępów tapicerki i odłamków szkła.

- Musi wystarczyć - odparłem. - Wpuść ich, Leigh.

Kiedy poszła, zemdląłem po raz drugi.

Potem nastąpiła seria zmieniających się, poplątanych obrazów. Przed oczami pojawiały mi się na chwilę różne rzeczy, by zaraz potem zniknąć w ciemności. Pamiętam, jak wystawiano z karetki nosze na kółkach, jak rozkładano je - blask jarzeniówek odbijał się w chromowanych rurkach - i jak ktoś mówił: „Rozetnijcie nogawkę, niech choć rzucę na to okiem?”. Ktoś inny - zdaje się, że Leigh - powtarzał niemal bez przerwy: „Tylko nie zróbcie mu krzywdy, błagam, tylko nie zróbcie mu krzywdy!”. Pamiętam widok sufitu karetki... To musiała być karetka, ponieważ na granicy mojego pola widzenia kolysały się cały czas dwie kroplówki. Pamiętam chłodne dotknięcie watki umaczanej w środku dezynfekującym, a następnie uklucie igły.

Potem wszystko stało się jeszcze bardziej dziwaczne i niezwykle. Gdzieś głęboko w podświadomości kołatało mi się przekonanie, że nie śnię - dowodził tego choćby ból, który



towarzyszył mi bez chwili przerwy - a jednocześnie mógłbym przysiąc, że to jednak był sen. Z pewnością przyczyniła się do tego potężna dawka środków usmierających i szok, w jakim cały czas się znajdowałem. Słowo honoru. Widziałem matkę zalewającą się łzami w pokoju przypominającym do obrzydzenia ten, w którym spędziłem całą jesień. Potem pojawił się mój ojciec, a wraz z nim ojciec Leigh; ich twarze były takie poważne i zaniepokojone, że wyglądali jak podniesione do kwadratu uosobienie nieszczęścia. Mój ojciec nachylił się nade mną i zapytał głosem, który przedarł się jak grom przez spowijający moją głowę bandaż: „Dennis, skąd tam wziął się Michael?” A więc to najbardziej chcieli wiedzieć: skąd tam wziął się Michael. Och, przyjaciele - pomyślałem. Mógłbym niejedno wam opowiedzieć...

Pojawiła się też pani Cabot, która zapytała: „W co ty wplątałeś moją córkę, chłopcze?” Wydaje mi się, że odpowiedziałem jej coś w tym rodzaju: „Tu nie chodzi o to, w co ją wplątałem, ale o to, z czego ona was wyciągnęła”. Uważam, że zważywszy na okoliczności była to nawet dość rezolutna odpowiedź.

Mignęła mi także Elaine - zdaje się, że z jakimś przysmakiem, którego w żaden sposób nie mogłem dosięgnąć - oraz Leigh, która kazała mi unieść ramię, żeby mogła zawiązać mi swoją nylonową wstążkę. Nie spełniłem jej życzenia, gdyż każda z moich rąk zdawała się ważyć tyle co stalowa belka.

Potem pojawił się Arnie i to oczywiście musiał być sen.

„Dzięki, chłopie” - powiedział, a ja zauważyłem z przerażeniem, że lewe szkło w jego okularach uległo rozbiciu. Twarz była w porządku, ale to szkło... ogromnie mnie przestraszyło. „Bardzo ci dziękuję. Zrobileś, co należało. Teraz czuję się znacznie lepiej. Myślę, że wszystko jeszcze się ułoży”.

Nie ma sprawy, Arnie - powiedziałem, a raczej spróbowałem powiedzieć, lecz on już zniknął.

Dopiero następnego dnia - nie dwudziestego, tylko w niedzielę, dwudziestego pierwszego stycznia - zacząłem powoli dochodzić do siebie. Lewa noga, znowu w gipsie, wisiała w znajomej pozycji na wyciągu. Obok łóżka siedział jakiś człowiek, którego widziałem po raz pierwszy w życiu, i czytał paperbackowe wydanie powieści Johna D. MacDonalda. Kiedy zauważył, że na niego patrzę, odłożył książkę, zaznaczywszy uprzednio miejsce, w którym przerwał lekturę.

- Witaj z powrotem w świecie żywych, Dennis - powiedział z umiarkowanym entuzjazmem.

- Pan jest lekarzem? - zapytałem. Na pewno nie był to doktor Arroway, który opiekował się mną poprzednim razem. Ten facet był co najmniej o dwadzieścia lat młodszy i dwadzieścia pięć kilogramów lżejszy. Wyglądał na niezłego twardziela.

- Oficerem Policji Stanowej - odparł. - Nazywam się Richard Mercer. Rick, jeśli nie masz niż przeciwko temu.

Wyciągnął rękę. Z najwyższym trudem udało mi się podnieść swoją i jej dotknąć, ale o żadnym uścisku nie mogło nawet być mowy. Poza tym strasznie bolała mnie głowa i chciało mi się pić.

- Z przyjemnością z tobą pogadam, Rick, i odpowiem na wszystkie pytania, ale najpierw chciałbym zobaczyć się z lekarzem. - Spojrzał na mnie z niepokojem, więc dodałem pośpiesznie: - Muszę wiedzieć, czy jeszcze kiedykolwiek będę mógł chodzić.

- Jeśli ten Arroway mówi prawdę, to wstaniesz z łóżka za cztery do sześciu tygodni - odparł Mercer. - Na szczęście nie złamałeś jej jeszcze raz, tylko bardzo mocno ją nadwreżyłeś. Spuchła jak kielbasa. Wspomniał coś o tym, że chyba urodziłeś się w czepku.

- A co z Arniem? Z Arniem Cunninghamem? Wie pan coś o...

Uciekł spojrzeniem w bok.

- Co z nim? Co mu się stało?

Zawahał się.

- Dennis... Nie jestem pewien, czy to właściwa pora...

- Ja muszę wiedzieć! Czy Arnie... Czy on nie żyje?

Mercer westchnął ciężko.

- Tak, nie żyje. On i jego matka mieli wypadek samochodowy na autostradzie. Jeżeli to był wypadek.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. Wskazałem ruchem głowy na karafkę z wodą stojącą na szafce przy łóżku. To bardzo przygnębiające uczucie znaleźć się w szpitalnym pokoju i wiedzieć dokładnie, co gdzie się znajduje. Mercer nalał szklankę, wetknął zakrzywioną słomkę i podał mi. Po kilku łykach zrobiło mi się trochę lepiej. A raczej nie tyle mnie, co mojemu gardłu.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- To się stało w piątek wieczorem, kiedy śnieg wcale nie był taki gęsty. Służba drogowa ogłosiła tylko drugi stopień zagrożenia - nawierzchnia mokra i czysta, ograniczona widoczność, konieczność zachowania wzmożonej ostrożności. Sądząc z siły uderzenia nie jechali szybciej niż jakieś czterdzieści pięć mil na godzinę. Volvo pani Cunningham wpadło w poślizg, przebiło barierę i zderzyło się czołowo z nadjeżdżającą z przeciwnej strony półciężarówką. Zaraz potem eksplodowało.

Zamknąłem oczy.

- Czy Regina...

- To samo. Śmierć na miejscu. Nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, ale wygląda

na to, że żadne z nich...

- ...nie cierpiało - dokończyłem. - Gówno prawda. Cierpieli, i to bardzo. - Z trudem powstrzymałem łzy cisnące mi się do oczu. - Wszyscy troje. Boże, wszyscy troje...

- Kierowca półciężarówki ma tylko złamaną rękę. Twierdzi, że w samochodzie, który na niego wpadł, jechały trzy osoby.

- Trzy?

- Tak. Utrzymuje też, że wyglądało to tak, jakby ze sobą walczyły. - Mercer utkwił we mnie nieruchome spojrzenie. - Wyszuliśmy na tej podstawie teorię, że wzięli jakiegoś autostopowicza spod ciemnej gwiazdy, który uciekł z miejsca wypadku przed pojawieniem się policji.

Nikt, kto znał Reginę Cunningham, nie wpadłby na podobny pomysł. Prędzej zjawiłaby się w kapciach na zebraniu rady wydziału, niż zabrała do samochodu autostopowicza. Rzeczy, które należy robić, i te, których nie należy, były w jej umyśle określone jednoznacznie i raz na zawsze. Nic nie mogło tego zmienić.

To musiał być LeBay. Nie mógł przebywać w dwóch miejscach naraz, więc pod koniec, kiedy zorientował się, jak marnie wyglądają jego szanse w Garażu Darnella, spróbował wrócić do Arniego. Można tylko zgadywać, co się wtedy stało. Ja jednak uważałem i uważam nadal, że Arnie stawiał mu opór... i zasłużył sobie co najmniej na remis.

- Arnie nie żyje... - szepnąłem. Nie mogłem już powstrzymać łez. Byłem na to za słaby i zbyt wstrząśnięty. A więc jednak nie udało mi się go uratować. Innych - być może, ale nie Arniego.

- Powiedz mi, co się stało - zażądał Mercer. Położył książkę na szafce i nachylił się ku mnie. - Powiedz mi wszystko, co wiesz, Dennis. Od początku do końca.

- Co powiedziała Leigh? - zapytałem. - Jak ona się czuje?

- Przez cały piątek była tutaj na obserwacji - odparł Mercer. - Miała rozciętą skórę na głowie. Założyli jej chyba z dziesięć szwów. Na szczęście na twarzy nie zostaną żadne blizny. To bardzo ładna dziewczyna.

- Więcej - poprawiłem go. - Jest piękna.

- Nic nie chciała powiedzieć - przyznał Mercer z powściągliwym uśmiechem. Myślę, że był to uśmiech podziwu. - Ani mnie, ani swojemu ojcu. Delikatnie mówiąc, jest tym wszystkim trochę przygnębiona. Powtarza w kółko, że tylko ty możesz zdecydować, co i kiedy powiedzieć. - Spojrzał na mnie z zastanowieniem. - Dlatego że, jak twierdzi, ty zakończyłeś całą tę historię.

- Nie zrobiłem nic wielkiego - mruknąłem. Wciąż jeszcze usiłowałem oswoić się z myślą, że Arnie nie żyje. To chyba niemożliwe, prawda? Kiedy mieliśmy po dwanaście lat, pojechaliśmy

razem do obozu Winnesko w Vermont. Po pewnym czasie stęskniłem się za rodzicami i postanowiłem, że zadzwonię do nich i poproszę, żeby po mnie przyjechali, ale kiedy powiedziałem o tym Arniemu, ten wyśmiał mnie i zagroził, że jeśli to zrobię, on rozpowie w szkole, że zostałem karnie wyrzucony z obozu za objadanie się w łóżku słodyczami. Wspinaliśmy się na szczyt wysokiego drzewa rosnącego za moim domem i wycinaliśmy w korze nasze inicjały. Nieraz zostawał u nas na noc i wtedy często oglądaliśmy w telewizji Teatr Niesamowitości, przytuleni do siebie na kanapie i nakryci po czubek nosa starym kocem. Zajadaliśmy się kanapkami z Cudownego Chlebka. Kiedy Arnie miał czternaście lat, opowiedział mi ze wstydem o swoich erotycznych snach i podzielił się podejrzeniami, że one właśnie są przyczyną nocnego moczenia. Ja jednak najczęściej wracałem we wspomnieniach do naszych hodowli mrówek. Jak to możliwe, żeby teraz był martwy, skoro kiedyś razem hodowaliśmy mrówki? I to wcale nie tak dawno temu. Gotów byłem przysiąc, że od tamtych czasów nie minęło więcej niż tydzień lub dwa. Otworzyłem już nawet usta, by powiedzieć Mercerowi, że na pewno się myli, ale zaraz je zamknąłem. Nie zrozumiałby tego. Był obcy.

To nieprawda, Arnie - pomyślałem. To nieprawda, zgadza się? Boże, przecież tyle jeszcze mieliśmy zrobić. Jeszcze ani razu nie byliśmy na podwójnej randce w kinie dla zmotoryzowanych.

- Co się stało? - powtórzył pytanie Mercer. - Powiedz mi, Dennis.

- Nigdy byś w to nie uwierzył.

- Zdziwiłbyś się, w jak wiele jestem skłonny uwierzyć - odparł. - I zdziwiłbyś się, jak wiele wiemy. Tę sprawę prowadził przede mną facet nazwiskiem Junkins. Zginął niedaleko stąd. Był moim przyjacielem. Dobrym przyjacielem. Tydzień przed śmiercią powiedział mi, że w Libertyville dzieje się coś, w co nikt by nie uwierzył. A potem został zabity. Dla mnie to sprawa osobista.

Poruszyłem się ostrożnie w łóżku.

- Nie powiedział nic więcej?

- Tylko tyle, że chyba udało mu się wpaść na trop morderstwa sprzed wielu lat - odparł Mercer, wciąż nie spuszczać ze mnie wzroku. - Ale to podobno i tak nie miało większego znaczenia, ponieważ sprawca już nie żył.

- LeBay - mruknąłem i pomyślałem, że skoro Junkins wiedział tak wiele, to nic dziwnego, że Christine go zabiła. Zginął, gdyż dotarł niebezpiecznie blisko prawdy.

- Rzeczywiście, wymienił to nazwisko - przyznał Mercer i nachylił się jeszcze bliżej. - Powiem ci coś jeszcze, Dennis. Junkins był znakomitym kierowcą. W młodości, zanim się ożenił, brał udział w wyścigach na Philly Plains i sporo z nich wygrał. Wypadł z szosy jadąc z prędkością co najmniej stu dwudziestu mil na godzinę. Ten, kto go ścigał - a jesteśmy pewni, że ktoś go

ścigał - był przynajmniej równie dobry jak on.

- Zgadza się.

- Przyjechałem tu zupełnie prywatnie. Czekalem od dwóch godzin, kiedy się obudzisz. Wczoraj siedziałem do późnego wieczoru, aż wreszcie kazali mi się stąd wynosić. Nie przywiozłem stenografa, nie mam magnetofonu i zapewniam cię, że nikt nas nie podsłuchuje. Jak będziesz składał zeznania - o ile do tego w ogóle dojdzie - wtedy co innego. Ale na razie jesteśmy tylko ty i ja. Muszę wiedzieć. Choćby dlatego, że od czasu do czasu widuję żonę i dzieciaki Rudy'ego Junkinsa. Kapujesz?

Bardzo długo, chyba z pięć minut, zastanawiałem się nad tym, co mi powiedział. Siedział i cierpliwie czekał. Wreszcie skinąłem głową.

- W porządku. Ale i tak mi nie uwierzysz.

- Zobaczymy.

Otworzyłem usta nie mając najmniejszego pojęcia, co się z nich wydobędzie.

- Był kozłem ofiarnym - zacząłem. - W każdej szkole średniej musi być przynajmniej dwoje takich. To ogólnokrajowe prawo. Okazja do wyżycia się dla każdego. Tyle tylko, że czasem... czasem udaje im się czegoś złapać i przeżyć. Arnie miał najpierw mnie, a potem Christine.

Spojrzałem mu w oczy. Były szare i zadziwiająco przypominały oczy Arniego. Gdyby wtedy drgnęła mu powieka, zakończyłbym w tym miejscu swoją opowieść i kazał mu napisać w raporcie, co mu się żywnie podoba, i opowiedzieć dzieciom Junkinsa taką bajeczkę, jaką tylko zdoła wymyślić.

On jednak tylko skinął głową, przyglądając mi się uważnie.

- Po prostu chciałem, żebyś to dobrze zrozumiał - wyjaśniłem. W gardle utkwiał mi kłęb suchych pakul, uniemożliwiając powiedzenie tego, co powinienem był powiedzieć: Leigh Cabot pojawiła się później.

Przelknąłem potężny haust wody i zacząłem mówić. Mówiłem nieprzerwanie przez następne dwie godziny.

Wreszcie skończyłem. Nie było żadnego punktu kulminacyjnego; po prostu umilkłem, z gardłem obolałym od długotrwałego mówienia. Nie zapytałem, czy mi uwierzył, nie zapytałem, czy zamknie mnie u czubków, czy może przyzna medal dla najlepszego kłamcy w kraju. Przypuszczałem, że uwierzył przynajmniej w znaczną część mojej opowieści, gdyż współbrzmiała z tym, czego zdążył się wcześniej dowiedzieć z innych źródeł. Nie wiedziałem natomiast, co myśli o całej reszcie - o Christine, LeBayu i o przeszłości sięgającej mackami do teraźniejszości. Nie

wiem tego do dzisiaj.

Zapadła cisza. Przerwał ją uderzywszy dłońmi w kolana i podniósł się z miejsca.

- Dobra! - powiedział. - Twoi rodzice pewnie już czekają pod drzwiami.

- Całkiem możliwe.

Wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął z niego małą białą wizytówkę ze swoim nazwiskiem i numerem telefonu.

- Najczęściej można mnie tam złapać, a jeśli nie, to powiedzą ci, gdzie jestem. Kiedy zobaczysz się z Leigh Cabot, czy powtórzysz jej to samo co mnie i poprosisz, żeby się ze mną skontaktowała?

- Dobrze, skoro tego chcesz.

- Sądzisz, że ona potwierdzi twoją historię?

- Tak.

Spojrzał na mnie uważnie.

- Powiem ci tylko tyle, Dennis: nawet jeżeli kłamiesz, to nie masz o tym pojęcia.

Wyszedł z pokoju. Potem widziałem go tylko raz, na wspólnym pogrzebie Arniego i rodziców. Gazety zamieściły wstrząsającą relację o niesamowitej tragedii: ojciec ginie przed domem, matka i syn na autostradzie. Paul Harvey wykorzystał to w swoim programie.

Nikt nawet nie wspomniał o tym, że w Garażu Darnella była także Christine.

Wieczorem, kiedy przyszli z odwiedzinami rodzice i Elaine, znajdowałem się już w znacznie lepszym nastroju. Częściowo dlatego, że odsłoniłem duszę przed Mercerem (który, jak by powiedział jeden z wykładowców psychologii na moim uniwersytecie, spełnił rolę „życzliwie zainteresowanego nieznajomego”, czyli kogoś, z kim najłatwiej jest szczerze porozmawiać), ale chyba przede wszystkim dzięki popołudniowej wizycie doktora Arrowaya. Był na mnie wściekły i poradził mi, żebym następnym razem po prostu odciął sobie nogę piłą łańcuchową i w ten sposób oszczędził wszystkim wielu kłopotów, ale także poinformował mnie szorstkim tonem, że jego zdaniem nie nastąpiły żadne nieodwracalne uszkodzenia. Na odchodnym ostrzegł mnie jeszcze, że mimo wszystko nie zwiększyłem w istotny sposób swoich szans na wzięcie udziału w maratonie bostońskim.

Tak więc rodzinna wizyta upłynęła w rozluźnionej atmosferze, głównie dzięki Elaine, która paplała bez przerwy o zbliżającym się kataklizmie, to znaczy o jej Pierwszej Randce. Piegowaty, mongoloidalny kretyń nazwiskiem Brandon Hurling zaprosił ją na wrotki. Tata miał ich odwiedzić i przywieźć z powrotem. Pierwsza klasa.

Rodzice przyłączyli się do naszych przekomarzań, ale mama cały czas rzucała tacie

nerwowe spojrzenia z rodzaju „tylko-nie-zapomnij” Wreszcie wyszła, zabierając ze sobą Elaine, on zaś został przy moim łóżku.

- Co się właściwie stało? - zapytał. - Leigh opowiedziała swojemu ojcu jakąś zwariowaną historię o samochodach jeżdżących bez kierowców, o martwych dziewczynkach i licho wie, o czym jeszcze. Kompletne szaleństwo!

Skinąłem głową. Byłem już bardzo zmęczony, ale nie chciałem, żeby rodzice Leigh myśleli, że ich okłamuje, albo zaczęli podejrzewać, że zwariowała. Jeżeli miała poprzeć mnie przed Mercerem, ja musiałem jej pomóc przekonać starszków.

- Zgadza się, to niesamowita historia - potwierdziłem. - Ale lepiej wyślij mamę i Elaine na ciastko albo jeszcze lepiej do kina.

- Jest aż tak długa?

- Zgadza się. Bardzo długa.

Przez chwilę przyglądał mi się niepewnie.

- W porządku - powiedział wreszcie.

Tak więc powtórzyłem swą opowieść po raz drugi. Teraz opowiedziałem ją trzeci raz, a jak mawiają niektórzy, do trzech razy sztuka.

Spoczywaj w pokoju, Arnie.

Kocham cię, chłopie.

## EPILOG

Gdyby to była zmyślona historia, zakończyłbym ją chyba tym, że rycerz ze złamaną nogą wyzdrowiał i pojął za żonę swoją damę z Garażu Darnella, tę z różową wstążką od włosów i wystającymi kośćmi policzkowymi. Tak się jednak nie stało. Leigh Cabot nazywa się teraz Leigh Ackerman. Mieszka w Taos, w Nowym Meksyku, i jest żoną miejscowego przedstawiciela IBM. W wolnych chwilach zajmuje się sprzedażą oprogramowania. Ponieważ jednak ma dwie córki, identyczne bliźniaczki, nie ma tych chwil zbyt wiele. Wciąż staram się wiedzieć, co porabia, gdyż moje zainteresowanie dla niej wcale nie osłabło. Na Boże Narodzenie pisujemy do siebie kartki z życzeniami; pamiętam też o jej urodzinach, gdyż ona nigdy nie zapomina o moich. Tak to wygląda. Chwilami wydaje mi się, że minęło już więcej niż cztery lata.

Co się z nami stało? Nie mam pojęcia. Przez dwa lata chodziliśmy ze sobą, spaliśmy razem (z satysfakcją dla obu stron), uczęszczaliśmy na ten sam uniwersytet (Drew) i byliśmy znakomitymi przyjaciółmi. Jej ojciec po rozmowie z moim ojcem nie odezwał się ani słowem na temat naszej szalonej historii, choć wydaje mi się, że od tamtej pory zawsze odnosił się do mnie z odrobiną podejrzliwości. Myślę, że zarówno on, jak i pani Cabot odetchnęli z ulgą, kiedy nasze drogi się rozeszły.

Odczułem to, kiedy zaczęliśmy się od siebie oddalać, i bardzo mnie to zabolalo. Pragnąłem jej tak, jak pragnie się czegoś, od czego wcale nie jest się uzależnionym - cukierków, coca-coli, czekolady. Nosilem w sercu jej wizerunek, lecz czynilem to głównie dla własnego zadowolenia.

A może jednak wiem, co się stało. Wydarzenia, jakie rozegrały się w Garażu Darnella, stanowiły tajemnicę, którą dzieliliśmy tylko między sobą. Oczywiście kochankowie muszą mieć jakąś tajemnicę, ale chyba nie tego rodzaju. Było to coś zimnego i nienaturalnego, cuchnącego szaleństwem albo i czymś gorszym - grobem. Zdarzały się takie noce, kiedy kochaliśmy się, a potem leżeliśmy nadzy w łóżku, przytuleni mocno do siebie, lecz mimo to tamta sprawa potrafiła wcisnąć się między nas, przybierając kształt twarzy Rolanda D. LeBaya. Całowałem jej usta, piersi lub brzuch, rozgrzany narastającym podnieceniem, i nagle słyszałem zgrzytliwy głos: „To najwspanialszy zapach na świecie... może z wyjątkiem cipki?”. Zamierałem wtedy w bezruchu, a całe moje uniesienie znikalo bez śladu.

Bóg mi świadkiem, że czasem widziałem to samo w jej twarzy. Kochankowie nie zawsze są szczęśliwi zaraz po tym, co zrobili, nawet jeżeli zrobili to najlepiej, jak umieli. Nauczenie się tej prostej prawdy zajęło mi cztery lata.



Tak więc - zaczęliśmy oddalać się od siebie. Sekret potrzebuje dwóch twarzy, w których może się odbijać, i dwóch par oczu, żeby się cały czas obserwować. Choć bardzo ją kochałem, to ani pocałunki, ani pieszczoty, ani wspólne spacery wśród niesionych podmuchami wiatru jesiennych liści nie były w stanie dorównać tamtej chwili, kiedy zawiązała mi na ramieniu swoją wstążkę.

Leigh zrezygnowała ze studiów, żeby wyjść za mąż. Żegnaj, Drew, witaj, Taos. Byłem na ich ślubie. Dość miły facet. Jeździł wtedy hondą civic.

Jak się okazało, moje obawy związane z niezdolnością do gry w piłkę były przedwczesne, gdyż Uniwersytet Drew w ogóle nie miał drużyny futbolowej. W związku z tym w każdym semestrze mogłem wziąć sobie jakiś dodatkowy przedmiot i przez dwa lata uczęszczać na zajęcia także przez część przerwy letniej, zamiast pocić się na treningach i uganiać za piłką po boisku. W rezultacie skończyłem studia przed terminem - dokładnie trzy semestry wcześniej, jeśli chodzi o ścisłość. Gdybyście spotkali mnie na ulicy, nie zauważylibyście, że kuleję, ale po cztero- lub pięciomilowym spacerze zwrócilibyście na pewno uwagę, że trochę ściąga mnie na prawą stronę (w ramach ćwiczeń staram się codziennie pokonywać na piechotę od trzech do czterech mil).

Lewa noga boli mnie we wszystkie deszczowe dni. I śnieżne noce.

A czasem, kiedy dręczą mnie senne koszmary - ostatnio zdarza się to coraz rzadziej - budzę się zlany potem ściskając oburącz to miejsce nad kolanem, gdzie pozostała mi twarda, wystająca gula. Jednak na szczęście wszystkie obawy związane z wózkami inwalidzkimi i ortopedycznymi butami okazały się całkowicie bezpodstawne. Futbolu też mi specjalnie nie brakuje; zdaje się, że tak naprawdę to nigdy go nie lubiłem.

Michael, Regina i Arnie Cunningham zostali pochowani w rodzinnym grobie na cmentarzu w Libertyville. W pogrzebie uczestniczyli niemal wyłącznie członkowie rodziny: siostra Reginy z Ligonier, krewni Michaela z New Hampshire i Nowego Jorku, jeszcze kilka osób.

Ceremonia odbyła się pięć dni po finałowej, diabelskiej scenie w garażu. Trumny były zamknięte. Widok tych trzech drewnianych skrzyń, ustawionych jedna obok drugiej jak żołnierze, wstrząsnął mną do głębi. Wspomnienia o hodowlach mrówek musiały ustąpić wobec ich milczącego świadectwa. Trochę płakałem.

Następnie podjechałem wózkiem do środkowej trumny i delikatnie dotknąłem jej ręką. Nie wiedziałem, czy w tej właśnie spoczywa Arnie i w gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodziło. Zamknąłem oczy, opuściłem głowę i trwałem w tej pozycji przez dłuższą chwilę, kiedy nagle usłyszałem za sobą czyjś głos:

- Odwieźć cię z powrotem, Dennis?

Odwróciłem się z wysiłkiem i zobaczyłem Mercera. W ciemnym welnianym garniturze wyglądał niemal jak prawnik.

- Jasne - odparłem. - Daj mi tylko jeszcze parę sekund, dobrze?

- W porządku.

Zawahałem się, po czym powiedziałem:

- W gazetach napisali, że Michael zginął przed swoim domem. Przejechał go jakiś samochód, kiedy pośliznął się na jezdni, czy coś w tym rodzaju.

Skinął głową.

- To twoja robota?

Tym razem on się zawahał.

- To znacznie upraszcza sprawę. - Spojrzał na Leigh stojącą nieco dalej w towarzystwie moich rodziców. Rozmawiała z mamą, ale cały czas zerkiała niespokojnie w moim kierunku. - Ładna dziewczyna - powtórzył to samo, co powiedział w szpitalu.

- Kiedyś się z nią ożenię - odparłem.

- Wcale bym się nie dziwił. Czy ktoś już ci kiedyś powiedział, że masz jaja jak tygrys?

- Zdaje się, że trener Puffer. Ale tylko raz.

Mercer uśmiechnął się.

- Więc jak, jedziemy? Musisz się z tym pogodzić, Dennis.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Skinął głową.

- Tak, chyba masz rację.

- Odpowiesz mi na jedno pytanie? Okropnie mnie to męczy.

- Spróbuję.

- Co zrobiliście... - Głos uwiązał mi w gardle. Musiałem odchrząknąć i zacząć od początku.

- Co zrobiliście z... z wrakiem?

- Osobiście tego dopilnowałem - odparł Mercer pozornie lekkim i swobodnym tonem, lecz jego twarz pozostała bardzo, ale to bardzo poważna. - Kazałem dwóm facetom z miejscowej policji przepuścić go przez zgniatarkę na zapleczu Garażu Darnella. Wyszła z tego mniej więcej taka kostka. - Pokazał dłońmi odcinek około półmetrowej długości. - Jeden z nich paskudnie się przy tym skaleczył. Musieli go zszywać. - Uśmiechnął się, ale był to najbardziej gorzki i lodowaty uśmiech, jaki widziałem w życiu. - Powiedział, że coś go ugryzło.

A potem chwycił za poręcze wózka i zawiózł mnie z powrotem do tylnej części kościoła, gdzie czekali na mnie rodzice i moja dziewczyna.

To już cała historia. Z wyjątkiem snów.

Jestem teraz starszy o cztery lata i twarz Arniego zatarła się już lekko w mojej pamięci, jak zbrązowiała fotografia ze starego albumu. Nigdy bym nie uwierzył, że coś takiego jest możliwe, ale tak właśnie się stało. W tym czasie udało mi się pokonać próg dorosłości; mam dyplom wyższej uczelni, na którym atrament zdążył już prawie wyschnąć, i uczę historii w szkole średniej. Kiedy zaczynałem w ubiegłym roku, dwaj spośród moich uczniów - obaj w typie Buddy'ego Reppertona - byli starsi ode mnie. Mieszkam sam, choć w moim życiu znalazło się miejsce dla kilku interesujących kobiet, i prawie wcale nie myślę o Arniem.

Chyba że w snach.

Sny nie są jedynym powodem, dla którego spisałem tę opowieść - istnieje jeszcze jeden, który wam za chwilę wyjawię - ale skłamałbym, gdybym twierdził, że nie przyczyniły się w znacznym stopniu do podjęcia przeze mnie tego wysiłku. Być może jest to próba oczyszczenia rany, by mogła się wreszcie zagoić, a może po prostu nie jestem wystarczająco zamożny, żeby zafundować sobie psychiatrę.

W jednym z moich snów wracam do kościoła, w którym odbywało się nabożeństwo żałobne. Trzy trumny stoją nadal na swoim miejscu, ale oprócz nich w świątyni jestem tylko ja sam. Podpierając się kulami stoję przy samych drzwiach na początku głównej nawy. Nie chcę nigdzie iść, lecz kule same się poruszają, ciągnąc mnie do ołtarza. Dotykam środkowej trumny. Wieko odskakuje jak na sprężynach, w wysłanym atlasem wnętrzu zaś leży nie Arnie, lecz Roland D. LeBay, gnijące ciało w wojskowym mundurze. Wstrętny odór rozkładu bucha mi w twarz, trup zaś otwiera oczy i wyciąga do mnie czarne, pokryte pleśnią ręce. Nim zdążę się cofnąć, chwytą mnie za koszulę, podnosi się z trumny i przysuwa ohydną, napuchniętą twarz, po czym zaczyna belkotać skrzypiącym, chrapliwym głosem: „Nie zniszczysz tego zapachu, prawda? Nic nie pachnie tak pięknie... może z wyjątkiem cipki... z wyjątkiem cipki... z wyjątkiem cipki...” Próbuję krzyczeć, ale nie mogę, gdyż ręce LeBay'a zaciskają się coraz bardziej na mojej szyi.

W innym śnie - chyba jeszcze gorszym - jestem w pokoju nauczycielskim w szkole średniej w Norton, gdzie pracuję. Biorę pod pachę zeszyty i dokumenty i wychodzę na lekcję. W korytarzu, wciśnięta między szare szafki uczniów, stoi Christine - nowiutka, lśniąca, na oponach z białymi krawędziami, z błyszczącym chromowanym emblematem na chłodnicy. Jest pusta, ale nagle jej silnik ożywa i gaśnie... ożywa i gaśnie... ożywa i gaśnie. Ma włączone radio. Czasem dobiegający z niego głos należy do Richiego Valensa, który zginął wiele lat temu w katastrofie samolotowej razem z Buddym Hollym i J.P. Richardsonem. Richie śpiewa „La Bambę” przy wtórze latynoskich bębnów, a kiedy Christine rusza ku mnie z piskiem opon, zostawiając na podłodze czarne ślady i wrywając klamkami drzwi szafek, spostrzegam, że na jej czarnej jak noc

tablicy rejestracyjnej widnieje trupia główka, a nad nią napis: ROCK AND ROLL NIGDY NIE UMRZE.

Wtedy się budzę, czasem z krzykiem, zawsze trzymając się oburącz za nogę.

Jednak ostatnio takie sny nawiedzają mnie coraz rzadziej. Podczas wykładów z psychologii - uczęszczałem na nie bardzo chętnie, chyba w nadziei, że pomogą mi zrozumieć to, czego nie można zrozumieć - dowiedziałem się także, iż ludzie, w miarę jak się starzeją, mają coraz mniej snów. Myślę, że niedługo zupełnie wrócę do normy. Przed minionymi świętami, kiedy jak zwykle pisałem do Leigh kartkę z życzeniami, tknięty nagłym impulsem dodałem pod podpisem jeszcze jedną linijkę: Jak sobie z tym radzisz? Potem szybko zakleiłem kopertę i wrzuciłem do skrzynki, żebym nie zdążył się rozmyślić. Miesiąc później otrzymałem pocztówkę z odpowiedzią. Fotografia przedstawiała nowo wzniesione w Taos Centrum Sztuki Użytkowej. Na odwrocie był mój adres i tylko jedno zdanie: Z czym sobie radzę? L.

W taki lub inny sposób zawsze dowiadujemy się tego, czego chcemy się dowiedzieć.

Mniej więcej w tym samym czasie - wygląda na to, że moje myśli najchętniej wracają właśnie do Świąt Bożego Narodzenia - wysłałem krótki list do Mercera, ponieważ pewne pytanie, gnębiące mnie już od dość dawna, ostatnio coraz bardziej nie dawało mi spokoju. Zapytałem go mianowicie, co się stało z sześcianem metalu, w który zamieniła się Christine.

Nie otrzymałem odpowiedzi.

Jednak czas uczy mnie, jak dawać sobie z tym radę. Ostatnio myślę o tym coraz rzadziej. Naprawdę.

Tak więc udało mi się wreszcie przelać na te kilkaset stron papieru wszystkie moje wspomnienia i koszmary. Wkrótce wsadzę je w plastikowe okładki, schowam do szuflady i zamknę ją na klucz. I to będzie naprawdę koniec.

Powiedziałem wam jednak, że istnieje jeszcze jeden powód, dla którego podjąłem się tej pracy, prawda?

*Jego obsesyjne pragnienie. Jego nieskończona wściekłość.*

Przeczytałem to kilka tygodni temu w gazecie. Dziwaczna informacja, która trafiła na dalekopis AP chyba właśnie ze względu na swoją niezwykłość. „Bądź szczerzy, Guilder” - slysze głos Arniego, więc będę. Właśnie te kilka linijek tekstu sprawiło, że zabrałem się do pisania. Właśnie one, nie zaś moje sny i wspomnienia.

Wiadomość dotyczyła osobnika nazwiskiem Sander Galton, którego przezwisko, jak można się łatwo domyślić, brzmiało Sandy.

Otóż ów Sander Galton został zamordowany w Kalifornii, w Los Angeles, gdzie

pracował w kinie dla zmotoryzowanych. Był sam, zamykał interes po skończonym nocnym seansie. Sprzątał właśnie wnętrze baru, kiedy jakiś samochód rozwalil ścianę, przebił się przez kontuar, rozbił maszynę do prażenia kukurydzy i dopadł go w chwili, kiedy Sandy usiłował otworzyć drzwi do kabiny projekcyjnej. Gliny domyśliły się, że zdążył tam dobiec, ponieważ kiedy go znaleźli, ścisnął w dłoni klucz od tych drzwi. Przeczytałem tę notatkę zatytułowaną: ZAGADKOWE MORDERSTWO W LA, SAMOCHÓD SPRAWCĄ i przypomniałem sobie ostatnie słowa Mercera: „Powiedział, że coś go ugryzło”.

To oczywiście niemożliwe, ale na dobrą sprawę cała ta historia była niemożliwa, od samego początku.

Wciąż myślę o George’u LeBayu w Ohio.

O jego siostrze w Kolorado.

O Leigh w Nowym Meksyku.

Co będzie, jeśli wszystko zacznie się od początku?

Co będzie, jeśli ona kieruje się na wschód, by dokończyć dzieła?

Zostawiając mnie na deser...

*Jego obsesyjne pragnienie.*

*Jego nieskończona wściekłość.*

---

---

---

---

STEPHEN KING'S

STEPHEN KING'S



EBOOKS RELOAD

EBOOKS RELOAD